

**DOMINO ZBIGNIEW**

Syberiada polska tom 1

**SYBERIADA POLSKA**



Część pierwsza

LUDZIE  
z CZERWONEGO JARU

Była wtedy zima wyjątkowo śnieżna i mroźna. Nocna, nadrana pora. Czerwony Jar, niewielka podolska wioska, otulona ciszą zaśnieżonej, głębokiej kodiny, spała jeszcze snem sprawiedliwych. Spała nieświadoma zbliżającego się niebezpieczeństwa, jakiego nawet w koszmarnych snach wyśnić niepodobna. Toteż, jak grom z jasnego nieba, spadło ono tej nocy na ludzi z Czerwonego Jaru.

Nagle po całej wsi rozległo się wściekłe ujadanie psów, a jacyś obcy, uzbrojeni ludzie, przy wtórze głośnych wrzasków i przekleństw, kolbami karabinów zaczęli dobijać się do chałup. Rżenie koni, ryk wystraszonego bydła, wszystko to zmieszane z żalonym zawodzeniem kobiet i dziecięcym płaczem. A do tego co jakiś czas karabinowe wystrzały, odbijające się echem w czystym, mroźnym powietrzu.

Tak ludziom z Czerwonego Jaru objawiła się tragiczna godzina wywózki na syberyjską katorgę.

Dla ciekawych historii odnotujemy, że działo się to dokładnie dnia 10 lutego 1940 roku.

Zagroda Kalinowskich, najokazalsza i najbogatsza w Czerwonym Jarze, ulokowała się na skraju wsi, tuż przy drodze z Tłustego do Bor-szczowa. Pewnie dlatego do Kalinowskich w pierwszej kolejności wdarli się enkawudziści z miejscowymi ukraińskimi milicjantami.

U Kalinowskich na podwórku padł pierwszy strzał i pierwsza ofiara: Brytan, owczarek podhalański, który w obronie gospodarskiego obejścia skoczył na sowieckiego oficera w białym kozuchu i do krwi rozharatał mu trzymającą nagan rękę. Zakotłowało się na podwórku. Brytan nie puszczał. Dopiero wystrzał z żołdackiego karabinu położył

kres jego psiej wierności. Na te hałasy zerwał się ze snu młodszy z Kalinowskich, Janek, i podbiegł do oszronionego okna. Dziadek Feliks też się obudził.

- Co tam, Jasiu?

- Brytan kogoś tarmosi... Jacyś ludzie... Z karabinami.

- Strzelają! Musi - banderowcy! Nie otwieraj, broń Boże!

- Brytana chyba zabili...

Równoczesny łomot do drzwi i do okien. Janek odskoczył od okna i złapał za siekiere. W drzwiach izby stanął rozespany ojciec. Kołatanie ucichło.

- Hej tam, Kalinowski, otwieraj! Co tam, wymarliście wszyscy czy co?

- A kto tam? - Ojciec, podskakując na jednej nodze, wciągał spodnie.

- To ja, Borma, z milicją do ciebie idziemy. Nie bój się, tu swoi, otwieraj.

- Borma, Dyśko Borma, po głosie go poznaję. Z milicją, mówi... Trzeba otworzyć, nie ma rady... - mamrotał półgłosem ojciec.

Narzucił kozuch na ramiona i wyszedł do sieni. Kalinowska też już wstała i drżącymi rękami zapalała naftową lampę.

Wraz z chłodem i kłębami pary do izby wpadło dwóch czerwono-armiejców z karabinami o bagnetach jak piki, a za nimi Dyśko Borma i młody oficer w białym kozuchu.

- Ruki w wierch, wsie pod stienku! Nie ruszać się! A ty, babuszka, na co jeszcze czekasz? Wstawaj! Bystro, bystro! - Pokrzykiwał żołdat nad łóżkiem babki Łucji.

Babka od pół roku leżała sparaliżowana. Patrzyła na to, co się działo, wystraszonymi oczami, ale ani się ruszyć, ani odezwać nie mogła.

- Sparaliżowana. - Wstawiła się za teściową Regina Kalinowska.

- Zostaw ją! Przeszukać wszystko - rozkazał żołdatom młody oficer. Nagan schował do kabury, ale wciąż podtrzymywał krwawiącą, pogryzioną przez Brytana dłoń. Kalinowska, nie czekając, naląła wody do miednicy, podała oficerowi czysty ręcznik i buteleczkę z jodyną.

- Przekłeta sabaka... - Oficer syknął z bólu, zalał ranę jodyną i owinął dłoń ręcznikiem. - Spasibo, pani.

Z drugiej izby żołnierze przyprowadzili dwójkę rozespanych malców.

- Nikogo więcej tam nie ma! - zameldowali.

- Wszyscy? - Oficer w białym kożuszku spojrzał pytająco na Bor-mę, który razem z tutejszym milicjantem, Trofimukiem z Worwoli-niec, stał przy samym progu i dotąd słowem się nie odezwał. Pytanie oficera Borma pokwitował skinieniem głowy.

- Wszyscy. No, charaszo, zaraz to sprawdzimy. - Oficer wyjął jakiś papier. Wyglądził go na kolanie i zbliżył się do lampy. W izbie zrobiło się cicho, jedynie stary ścienny zegar głośno tykał.

- Wszyscy. Tak, zaraz się przekonamy... Kalinowski Julian Feli-ksowicz to który?

- Syn Feliksa to ja... A to mój ojciec, Feliks Kalinowski, moja matka, Łucja Kalinowska, moja żona Regina, a to moje dzieci: Jan, ten najstarszy, potem Romciu, czyli Roman Kalinowski. No i Irenka, to ta najmłodsza.

Oficer ogryzkiem ołówka zaznaczał coś na swojej liście, kątem oka spoglądając na Bormę, który kiwaniem głowy potwierdzał słowa Kalinowskiego.

- Tak, tak... No, charaszo... A obcych w waszym domu nie ma? Uciekinierów, kolonistów, polskich żołnierzy?

- Nie ma, panie towarzyszu oficerze, my tu sami swoi.

- A broń macie?

- Nie mamy. Po co nam broń, panie...

- No, no, gospodarzu, uważajcie! Zrobimy dokładną rewizję w całym obejściu i jeśli coś znajdziemy, to wtedy będzie gorzej. Lepiej oddać dobrowolnie... - Przerwał na chwilę i sięgnął po kolejny papier.

- A teraz, obywatele, ogłoszę wam postanowienie władzy radzieckiej, od którego, i to powiem wam od razu, nie ma żadnego odwołania. - Zbliżył się do lampy i przeczytał treść jednym tchem:

„Ukazom sowieckowo prawiłelstwa grażdanie: Kalinowski Julian Feliksowicz razem z całą rodziną pieresielajetsa w druguju obłašt nateritoriiZSRR...”.

Zaskoczenie odebrało Kalinowskiemu mowę. Na chwilę zapadło milczenie. Pierwszy odezwał się dziadek Feliks:

-Jak to, panie oficerze, będziemy przesiedleni? A niby dokąd? Przecież tutaj, z dziada pradziada, jest nasz dom, nasza ziemia, nasza cała chudoba. Wszystko!

Oficer schował papiery, z trudem zapiął raportówkę, poprawił opatrunek na rękę i spojrzął na zegar, który akurat zaczął wybijać godzinę czwartą rano. Dotąd spokojny, podniósł głos:

- Tam wszystko jasno było powiedziane: przesiedla się was do innego rejonu Związku Radzieckiego. Nieodwoalnie! Teraz - ponownie zerknął na zegar - teraz jest dokładnie godzina czwarta pięć... Za pół godziny macie być gotowi do drogi. Wolno wam zabrać rzeczy osobiste, bagażu i jedzenia po worku na osobę. Jasne?!

- Pół godziny? Po worku? A gospodarstwo? Jak tu wyjeżdżać? Babcia chora, dzieci maleńkie, mrozy takie! Panie oficerze, niech się pan nad nami zlituje. Panie oficerze!

Kalinowska złożyła ręce jak do modlitwy. Kalinowski objął ją ramieniem.

- Daj spokój, Reniu, daj spokój... - Rozpłakała się.

Oficer odrzucił zakrwawiony ręcznik, owinął dłoń własną chusteczką. Był wyraźnie speszony.

- Idziemy, Borma. A wy - oficer rozkazał żołnierzom - zostaniecie tutaj i żeby mi było tak, jak powiedziałem.

Odwrócił się od progu do Kalinowskiej.

- Dziękuję za opatrunek, chaziajka!... A o chorą babkę to ty się nie martw. Tam, gdzie jedziecie, lekarze są. I szpitale, i szkoły. U nas, w Związku Radzieckim, wszystko jest!

W szeroko otwarte drzwi wdarła się do izby nowa fala ostrego mrozu...

Wikta Wysocka nie traciła nadziei, że jej mąż lada dzień wróci z wojny. Jeśli nawet nachodziły na nią chwile zwątpienia, przed nikim tego nie okazywała. A już, broń Boże, przed swoimi dziećmiakami, które nie było dnia, żeby o ojcu nie wspominały. Sąsiedzi, Biegański z Daniłowiczem, też przecież byli na wojnie i wrócili, to czemu by akurat jej Stefan nie miał wrócić? A może w niewoli gdzieś tam biedaka trzymają? U Niemców czy nawet u Ruskich? A nie opowiada to Jurek Daniłowicz, jak go Sowietnicy w niewoli trzymali, nim do Czerwonego Jaru wrócił? To i jej Stefan wróci. Musi wrócić, bo niby co by ona bez niego z tymi swoimi bisurmanami robiła? A do tego jeszcze gospodarstwo na jej babskiej głowie. Całe szczęście, że tak się trafiło i tych Dolinów z Worwolinieckiej Kolonii na kwaterę przygarnęła. Dolina w gospodarstwie pomoże, z Dolinową wieczorami sobie o życiu pogadają, popłaczą, zawsze to jakoś razem raźniej. Nawet i do tego już zdążyła się Wysocka przyzwyczaić, że co jakiś czas, o różnych porach dnia i nocy, wpadała do niej na rewizję worwoliniecka milicja. Pytali, czy mąż jeszcze nie wrócił, zaglądali we wszystkie kąty. I prawie za każdym razem zabierali ze sobą Dolinę na posterunek do Tłustego, na przesłuchanie. Wtedy obydwie z Tosią Dolinową płakały. I czekały. Dolina, najczęściej za dzień, za dwa, wracała, a jej Stefana jak nie było z tej wojny widać, tak nie było.

Tej nocy Wikta Wysocka czuwała szczególnie, bo krowa, nówka, lada dzień miała się cielić. Dolina już drugą noc spał w stajni, pilnował, żeby się chudobie jakieś nieszczęście nie przydarzyło. Toteż kiedy Wikta pukanie do okna usłyszała, dwie myśli jej się błyskawicznie skrzyżowały: Stefan wrócił! Jałówka się celi! Zerwała się spod pierzyny, chuchnęła na szybę zakwidą mrozem. Ktoś łomotał do drzwi.

- Otwierajcie, Wysocka! To ja, Taras Grobelny, poznajecie? Otwierajcie, nie bójcie się, my tu do was z milicją. Sprawę mamy...

Rozumiała i mówiła po ukraińsku. Nie miała wątpliwości, że to był Taras, zresztą chrzestny jej najmłodszego, Piotrusia, przyjaciel Stefana od małego. Pewnie znowu po tego biednego Dolinę przyszli - pomyślała.

- Co tak po nocy? Zaraz, zaraz otwieram, otwieram... Włożyła gumowce na boscie stopy, narzuciła starą kapotę na ramiona. Na progu drugiej izby stała Tośka Dolinowa.

- Co? Już się cieli?

- Nie. To milicja... Pewnie znowu po twojego przyszli. -Jezus, Maria, kiedy to się wszystko skończy!

Wysocka otworzyła. Na progu stał Jan Dolina z podniesionymi rękami, dwóch rosyjskich żołnierzy z karabinami, Taras Grobelny i jakiś obcy mężczyzna w kurtce, z kaburą wielkiego rewolweru przy pasie. Weszli do izby. Ten nieznany skrzesał zapalną, znalazł i zaświecił lampę. Bez słowa też, na dany przez niego znak, żołnierze rozeszli się po chałupie. Dolina stał przy ścianie z rękami do góry.

Wikta patrzyła na Tarasa, jakby szukając u niego jakiegoś wyjaśnienia, ale ten wyraźnie unikał jej wzroku. Wprowadzili Dolinkę z dziećmi; starszy, Staszek, niósł w ręku zapaloną świeczkę, czteroletni Tadek tarł piąstkami zaspane oczy, trzymając się matki za spódnicę.

-Wy jesteście Dolina? - pytał cywil z rewolwerem. -Janjanowicz? Opuście ręce... Osadnik? -Tak.

- Legionista?

- Nie byłem w legionach. Za młody...

- A na wojnie?

- Nie zdążyłem... Kartę mobilizacyjną, owszem, miałem.

- No tak, bystro ta wasza pańska Polska się skończyła... Broń macie?

- Nie mam.

- Zdajcie dobrowolnie, bo jeśli my znajdziemy, to będzie gorzej!

- Nie mam broni, już tyle razy tu rewidowali...

- A my znajdziemy! - Cywil miał szeroką, mongolską twarz, głos ostry, chrapliwy. Krzywił twarz brzydkim grymasem.

- Antonina Dolina to która z was będzie?

- To ja - nieśmiało odezwała się Dolinka.



- Leonowna?
- Nie rozumiem?
- Mamo, pan się pyta, czyją jesteś córką? Jak dziadek miał na imię - dumaczył matce Staszek, bo Dolinowa nie bardzo rozumiała po ukraińsku, a co dopiero po rosyjsku.
- Tak, tak, córka Leona jestem, z domu Kaplita.
- Dzieci wasze to które?
- Dolina wskazał na Staszka i Tadka.
- A teraz, obywatelu Dolina, komunikuję wam, że decyzją władzy radzieckiej wy i cała wasza rodzina będziecie przesiedleni na inny teren Związku Radzieckiego. Przesiedlenie następuje zaraz. I nieodwołalnie! Macie pół godziny na spakowanie się i pojedziemy na stację. Po worku bagażu wolno wam zabrać na osobę...
- Co pan mówi, Stasiu, co pan mówi? - gorączkowo dopytywała się Dolinowa.
- Mówi, że musimy się zbierać, bo będą nas zaraz dokądś wywozić.
- Boże drogi! Wywozić? Dokąd... - Dosłyszała piąte przez dziesiąte rosyjskie słowo cywila: „stancja”, i zrozumiała je po swojemu. - Panie kochany, po co nam inna stancja? My już tu, u pani Wysockiej, jeśli nas nie wygoni, jakoś tę zimę przebijemy.
- Mamo! Panu wcale nie chodzi o „stancję”, tylko o stację kolejową. Koleją pojedziemy!
- Jezusie święty! Matko Boska Borkowska...
- Nic nie poradzimy, chodź, Tosiu, trzeba się zbierać. Dzieci ciepło poubieraj, bo siarczasty mróz na dworze.
- Cywil zwrócił się do Wysockiej:
- A wy jesteście Wysocka?
- Wysocka.
- Wiktoria Pietrowna?
- Tak, córka Piotra...
- Mąż, Stefan Józefowicz Wysocki? -Tak.
- A gdzie on teraz?

- Żebym to ja wiedziała. Z wojny jeszcze nie wrócił.  
- A nie chowasz ty go czasem gdzieś pod ciepłą pierzyną?  
- Samiuteńka jestem z dziećmiakami. Państwo Dolinowie mogą to poświadczyć. I kum... I kum, Taras, też przecież wszystko wie, jak z tym moim jest.

- Kum, mówcie? - Cywil nie bez ironicznej podejrzliwości zerknął na Tarasa, który, żeby nie spojrzeć Wikcie w oczy, gorliwie poprawiał na rękawie czerwoną opaskę milicjanta.

- Kum nie kum... - ciągnął dalej cywil. - Dzieci wasze to Jerzy, Emil i Piotr?

Wysocka pokazywała po kolei chłopaków.

- No dobrze... Więc tak, obywatelko Wysocka, wy także, razem z całą rodziną, decyzją władzy radzieckiej zostaniecie przesiedlona w inny rejon ZSRR. Zbierajcie się tak jak wasi lokatorzy. I bystro, bo macie na to wszystko pół godziny.

Wikta padła przed cywilem na kolana.

- Panie, towarzyszu naczelniku, zlituj się nad nami sierotami! Zlituj! Za co? Dokąd? Mąż z wojny nie wrócił. Czekam na niego dniami i nocami, oczy wypatruję, ojca dzieciom, sierotom, czekam... A gdzie on nas potem znajdzie? Panie naczelniku, panie naczelniku... - Szła na kolanach, pod nogi ująć chciała. Jeden z żołnierzy zastawił Wiktę karabinem.

- Uspokójcie się, kobieto! Uspokójcie! To jest decyzja władzy radzieckiej i musi być wykonana. Nikt jej zmienić nie może.

- Panie naczelniku, męża nie ma, jak on nas tam znajdzie?

- Znajdzie, znajdzie! Pomożemy mu znaleźć, jak się tylko tutaj zjawi.

- Taras! Kumie! - Wysocka, nie wstając z klęczek, odwróciła się do Tarasa i w błagalnym geście uniosła ręce do góry. - Kumie, ratuj nas, wstaw się za nami, powiedz dobre słowo, zrób coś, znasz nas przecież! Co ja takiego zrobiłam, co te moje biedne sieroty komu winne?

Grobelny nie śmiał podnieść oczu, bełkotał:

- Wstań, wstań, Wikta... Co ja tu mogę zrobić... Widzisz przecież... Wstań, Wikta... Wstań..., co ja tu...

-Jałówka lada moment ma się ocielić! Jałówka! - Wikta przerwała lament w pół zdania, zerwała się z kolan i przygarnęła do siebie dzieci. I nagle głosem zmienionym raczej wysyczała, niż wymówiła: -A niech was wszystkich Pan Bóg za moje krzywdy i za te biedne sieroty pokarze! - I zamasyście splunęła Tarasowi pod nogi.

Jeszcze zeszłego dnia pod wieczór Florek Unicki zabrał się do pędzenia samogonu. Tej zimy po całej okolicy chłopci nagminnie pędzili samogon. Nowa radziecka władza niezbyt gorliwie im w tym przeszkadzała, bo nie tylko, że sama za kołnierz nie wylewała, ale wychodziła ze słusznego skądinąd założenia, że z otumanionymi pijanicami łatwiej sobie radzić. A chłopci, jak to chłopci - jedni pędzili samogon, żeby sobie popijać, inni z chytrości, na sprzedaż. Jeszcze inni znów, jak zwyczaj każe, na święta, na wesela, stypy, chrzciny, imieniny czy na świniobicie. Porzekadła nowej rosyjskiej władzy, że „bierz wódki nie rozbierosz”, nie trzeba już było nikomu dumaczyć.

Niezbyt skomplikowaną aparaturę zainstalował Florek w stajni. Z interesowną gorliwością pomagał Florkowi w tym gorzelnianym przedsięwzięciu Broniek Szuszkiewicz, już nieco przechodzony kawaler, obieżyświat i obibok, znany hulaka i pies na baby.

Czerwony Jar od dawna pogadywał, że kto jak kto, ale Honorka Unicka chłopca, który potrafiłby jej dogodzić, na pewno spod swojej pierzyny by nie wyrzuciła. Nawet takiego włóczykija jak Broniek. Plotki - plotkami, a prawda polegała na tym, że Honorka, baba ładna, zgrabna, wysoka i zbudowana jak łania, zgodziła sobie za męża Florka, owszem chłopca nie z biednych, zaradnego i pracowitego jak mróweczka, ale od niej dużo starszego i postury tak mizernej, że wyglądał przy niej jak wysuszona ulegalka. A do tego, choć to ich niedobre małżeńskie stadło trzymało się już ładnych parę lat, Unicycy nie mogli doczekać się potomka. Nie pomagały ofiary dawane na msze ani leki sprowadzane przez Żyda aptekarza aż z samego miasta Warszawy, ani wróżby wędrownych Cyganek, ani zamawianie śle-

pej Wasilisy spod Husiatyna; Honorka i Florek dziecka jak nie mieli, tak nie mieli. „Jałowa musi być ta Honorka, i tyle - orzekły miejscowe baby - bo gzi się to z byle kim jak, nie przymierzając, sposoczona sobaka i nic z tego! Jałowa musi być, jałowa i tyle!...”

Honorka Unicka miała wszystkiego dość! I tego zazdrosnego plotkowania, i tych chłopskich obleśnych spojrzeń, zalotów i poklepywania. Wśród ludzi głowę hardo zadzierała do góry, ale w samotności, zwłaszcza w puste i długie bezsenne noce - zagryzała wargi do krwi i wypłakiwała do poduszki żal na swój nieudany babski los. A to, że bez grzechu nie była? Fakt! Nie tylko z Bronkiem tarzała się spleciona w miłosnej rozkoszy. Świadomie wychodziła na tarło do tych, którzy jej się podobali. Rozgrzeszała się tym, że z Florka, od czasu kiedy parę lat temu przeziębził się przy wywózce drzewa z lasu, żadnego męskiego pożytku w łóżku nie miała. No i to dziecko, dziecko, dziecko! Boże! - jak ta Honorka chciała mieć dziecko!

Długo tej nocy nie mogła usnąć, przewracała się pod rozparzoną pierzyną. Nagle usłyszała, jak cicho skrzypnęły drzwi do sieni, podciągnęła pierzynę pod samą brodę. Do izdebki, cichutko jak cień, wsunął się Broniek i nachylił się nad łóżkiem.

- Spisz, Honorciu? - Był podpity, śmierdział stajnią i nieprzetrą-wionym samogonem. Na piersi poczuła jego chciwą pieśczoć, lodowatą z mrozu dłoń. Wściekła odrzuciła ją ze wstrętem.

- Won mi stąd! Ale to już! Buhaju zatracony!

- Coś ty, Honorciu, nie bój się... Florek śpi w stajni, pijany całkiem. Posuń się, daj się odrobinę zagrzać, nie bądź taka...

Odepchnęła go, zwała na podłogę.

- Wynoś mi się stąd, ale to już, bo ci lampę na tym głupim łbie rozwałę!

I nagle rozplakała się na głos, żałośnie. Speszony Broniek niezdarnie gramolił się z podłogi i mamrocząc coś pod nosem, wyniósł się z izby. Słyszała jeszcze trzask zapieranych drzwi i skrzyp jego kroków na mrozie zmierzających do stajni.

W półśnie, w półjawie zaskoczyło ją mocne pukanie do okna.

- Otwierać, szybko, tu milicja z Tłustego!

Widocznie zorientowali się, że drzwi do domu są niezamknięte, bo ledwie zdążyła wstać, już wdarli się do izby i oślepiili Honorkę latarką.

- Ruki w wierzch! Nie ruszać się!

Nie bardzo wiedziała, o co chodzi, czy to do niej się odnosi. Ale kłujący dotyk bagnetu pozbawił ją złudzeń.

- Ruki, ręce, ręce do góry!

Uniosła ręce, przykrótka halka odsłoniła jej nagie, zgrabne uda. Strumień światła, oślepiając oczy, przesunął się z jej twarzy przez pierś, brzuch i sięgnął bosych stóp. Oślepiiona nie rozpoznawała twarzy, ale zorientowała się, że w izbie jest ich kilku.

- Gdzie mąż? Czy w domu nie ma nikogo obcego?

- Nie ma, nie ma - odpowiedziała i opuściwszy ręce, pośpiesznie wciągała sukienkę.

Drasnęła zapalka, ktoś zapalił lampę. Wtedy dopiero zobaczyła w izbie dwóch żołnierzy z karabinami i młodego oficera w białym kożuchu, który jedną rękę miał zabandażowaną, a w drugiej trzymał pistolet. Razem z nimi był Dyśko Borma, przewodniczący rady wiejskiej z Worwoliniec. Honorka pomyślała sobie, że pewnie ktoś doniósł o pędzeniu samogonu. „E tam, co nam mogą zrobić; wszyscy gonią samogon! Najwyżej niech go sobie zabierają. Bormę muszę jakoś na bok odwołać i pogadać!” Tymczasem żołnierze zdążyli zrewidować chatę.

- Nie ma nikogo - zameldowali temu w białym kożuchu. -Tak, charaszo, zobaczmy... Wy, obywatelko, jak się nazywacie?

- Unicka, Honorata Unicka... Toć przecież Dmytro, pan Borma mnie zna... - zdziwiła się Honorka.

- Aleja was pytam! - przerwał oficer. - Honorata Stanisławowna, tak?

- Tak, córka Stanisława...

- Charaszo. charaszo... Wasz mąż nazywa się Unicki, Florian Jakubowicz... Tak?

- Tak się nazywa, syn Jakuba.

To mówiąc, Honorka, a zdawało jej się, że robi to chytrze, starała się krok po kroku zbliżyć do Bormy. Szepnęła:

- Florek samogon w stajni goni. Zrób coś... - Borma usłyszał i wzruszył tylko ramionami.

- Nie porozumiewać się, obywatelko! Odpowiadać tylko na moje pytania. Gdzie jest wasz mąż?

- A bo ja to wiem? Z wieczora gdzieś poszedł, pewnie na wieś i chyba jeszcze nie wrócił.

- Do kogo poszedł?

- A skąd ja mogę wiedzieć, gdzie te chłopcy łążą? Pewnie gdzieś w karty gra albo samogon żłapie... - Mówiąc to, kątem oka zauważyła, jak Dmytro szepnął coś żołnierzowi, a ten zaraz wybiegł z izby. „Zdradził, świnia!”

I wcale się nie pomyliła. Nie upłynęło wiele czasu, jak żołnierz przyproceedził pod karabinem ledwie trzymającego się na nogach, ubabranego w sianie i nielicho wystraszonego - Bronka Szuszkiewicza.

-Jest tam jeszcze jeden, ale całkiem pijany, towarzyszu naczelniku, i w żadnym razie przebudzić się go nie da. Samogon pędzili -meldował młody żołnierz.

- To wasz mąż? - Oficer wskazał na Szuszkiewicza. -Jeszcze tego brakowało! - Oburzyła się Honorka.

- Nie, nie. To ich sąsiad, nazywa się Szuszkiewicz Bronisław -podpowiedział usłuznie Borma. I dodał: -Jego też mamy na liście...

Szuszkiewicz trzeźwiał w okamgnieniu, a i Honorata zaczęła rozumieć, że przybyszom wcale nie chodzi o pędzenie samogonu.

Niezbyt okazały dom Bialerów, z przybudówką służącą gospodarzowi za podręczny warsztat, stał na wzgórku, prawie w samym środku chutoru.

Rachela zbudziła się w środku nocy, nękana jakimś sennym koszmarem, w którym uciekała i uciec nie mogła. Nie zdążyła jeszcze dobrze ochłonać, jak usłyszała za oknem gwałtowne ujadanie psów, ludzkie wrzaski i wystrzały. Zaczęła tarmosić śpiącego obok męża.

-Josele! Josele! Zbudź się, zbudź...

- Co jest, co? Co się stało?

Rozespany Josele usiadł, przecierając oczy.

- Posłuchaj! Nie wiem, co to jest, ale na wsi coś się dzieje! Może znowu jacyś bandyci? Co robimy? Co my teraz zrobimy!

- Sza, kobieto, sza! Co ma być, to i tak będzie. A może nawet nic nie będzie...

- Mądrała mi się znalazł. Obudzę dzieci, niech się lepiej w komorze ukryją.

Zaczęli się ubierać. Josele przyznał w duchu rację żonie. Pamiętał dobrze, jak wkrótce po wkroczeniu Rosjan napadła na ich dom banda rezunów. I nie wiadomo, co by się stało, gdyby nie skuteczna odsiecz sąsiadów. Janek Kalinowski, za którym Cynia wypatruje oczy, prawie cały Czerwony Jar poderwał na równe nogi. Złapali nawet jednego z napastników, niejakiego Daniłę Filipiuka z Worwoliniec. Sprali go i, związanego jak parciuka, w postronkach zawieźli rano do Tłustego. Tam jednak nie bardzo było go komu oddać, bo starej polskiej policji już nie było, a nowa, radziecka milicja jeszcze się nie zorganizowała. A o tym Filipiuku cała okolica wiedziała, że „samostijnik” z niego zawzięty i wystarczyło, że zamroczył się samogonem, jak zaczynał publicznie wykrzykiwać, że niedługo już będzie „rizał Żidiw, ta Lachiw, jak czornu swynynu!” Bialer nie tyle się zdziwił, co wystraszył nie na żarty, kiedy za parę dni ten sam Daniło zmienił się z rezuna w milicjanta w Tłustem.

-Jeszcze ty mnie, żydowski parchu, popamiętasz! Ty polski szpiegu! - odgrażał się Bialerowi.

Rachela zbudziła dzieci i kazała im się ubierać. Cynia, siedemnastoletnia panna, urodziwa i smagła, z oczami spłoszonej sarny, i dziewięcioletni Herszel, ponad swój wiek wyrośnięty i chudy jak szczapa.

- Sza! - uciszył wszystkich ojciec. Usłyszeli wtedy charakterystyczny poświst płóz na zmrożonym śniegu, parskanie koni i ludzkie głosy. Nie ulegało wątpliwości, że ci na zewnątrz zatrzymali się przed ich do-

mem. - Schowajcie się do komory! Już, już! Nie! Lepiej po drabinie na strych. Ty też, Rachela, razem z nimi. No już, już!

- A ty, a ty! Panie Wszechmocny, ratuj lud Izraela!

- Tato! Chodź z nami, tato! - prawie płakał wystraszony Hersz. Josele wypchnął ich do komory, skąd było wejście na strych.

Ledwie zdążył odstawić drabinę, jak zaczęto dobijać się do drzwi. Po doświadczeniach tamtego napadu Bialer miał wejście do sieni zabezpieczone solidną, żelazną sztabą. Nie reagując na gwałtowne walenie do drzwi, wycofał się do izby, zabarykadował komodą i, zdecydowany na wszystko, stanął z siekierą przy okiennej framudze. Nie opuszczała go nadzieja, że i tym razem sąsiedzi nie zostawią go w niebezpieczeństwie. Przybysze przestali kołatać do drzwi, słyszał, jak któryś szpetnie zaklął. Podeszli do okna. Pukali w szybę.

- Otwieraj, Bialer, tu milicja z Worwoliniec!

Z przerażeniem poznał głos Daniły Filipiuka. Mocniej ścisnął sty-lisko siekiery. Milczał. Za chwilą ponowili walenie w szybę. I znów rozwścieczony głos Daniły:

- Wiem, że tam jesteś, Żydzie! W imieniu władzy radzieckiej mówię ci, otwieraj, bo inaczej pożałujesz! Drzwi wywalimy, i tak cię dostaniemy.

- Poczekaj, Daniło, ja z nim pogadam. - Josele poznał po głosie Bormę.

- Bialer, to ja, Borma! Poznajesz mnie?

- Poznają... Ciebie, Borma, poznają. Czego chcesz po nocy?

- Sprawę mamy do ciebie: urzędową, porozmawiać trzeba.

- A nie można do rana poczekać? Żonę i dzieci mi straszycie.

- Widać nie możemy. A ty się władzy radzieckiej nie bój.

Otwieraj!

- A to niby czemu mam się bać władzy? Ale Filipiukowi nie otworzę.

- Otwórz, otwórz, Josek, nie opieraj się. Jest tutaj z nami sam towarzysz komisarz z Tłustego. To towarzysz komisarz chce z tobą pogadać, a nie Filipiuk.

- Odkrywaj, grażdanin Bialer, my k dębnie ot imieni sowieskoj własti, a sowietskuju włast uważać nada! Odkrywaj, nie bojsia.



- Zrozumiałeś? - Włączył się Borma.

- Nikomu nie otworzę, dopóki nie przyprowadzicie tutaj któregoś z sąsiadów. Po tamtym napadzie nie wierzę już nikomu. Nawet tobie. A po rosyjsku to byle kto może gadać...

Naradzali się chwilę. Pomyślał też Bialer i doszedł do wniosku, że skoro jest Borma, to pewnie nie bandyci. I odryglował drzwi. Żołnierz, który stanął w progu, uderzeniem kolby karabinu powalił Bialera na ziemię. Rozsierzdzeni jego oporem, dali mu na zbiórkę do wywózki tylko piętnaście minut. A do tego jeszcze zagrozili sądem za stawianie oporu radzieckiej władzy.

Josele Bialer wyrzucał sobie czasami, że nie jest dostatecznie pobożnym Żydem. Ale tego ranka, wypędzony ze swojego rodzinnego domu, nakazał swoim i sam z czią ucałował starą mezuzę. Oderwał ją z futryny i schował za pazuchę. Na progu, wyruszając w nieznane, przypomniał rodzinie słowa Pisma świętego: „Żaden człowiek na dole nie zrani sobie palca, jeśli tego nie postanowiono na górze”...

**Do** domu Daniłowiczów enkawudowcy wdarli się wzmocnionymi siłami. Domowników traktowali z nieustępliwą surowością, przeprowadzili drobiazgową rewizję. Jerzego Daniłowicza trzymali cały czas pod ścianą z rękami do góry.

Kapral rezerwy, Jerzy Daniłowicz, dopiero na same święta Bożego Narodzenia wrócił z wrześniowej wojny do domu. Znękany trudami wojny, ucieczką aż spod Lwowa z radzieckiej niewoli, szczęśliwie dotarł do Czerwonego Jaru. W domu zastał swoją ukochaną Natałkę... „Żono ty moja czarnobrewa, kochanie ty moje nieustające. Wierzyłaś, że z tej wojny do ciebie wrócę! Wierzyłaś!” I obsypywał ją pocałunkami. Natałka brzuch miała duży, wysklepiony. Gładził, pieścił go delikatnie. Zatrzymała na chwilę jego dłoń: „Czujesz? Rusza się, kopie już..., o tu, z boku, tutaj kopie. Czujesz teraz? Słyszysz?”

W styczniu Natałka urodziła Daniłowiczowi syna. Na imię dali mu Andrzej, ale przez te mrozy i śnieżyce jeszcze go nawet nie ochrzcili

i zarejestrować w urzędzie nie zdążyli. Najważniejsze, że mały był zdrowy, a i Natałka kwida po dawnemu. Natałka Wieliczko była Ukrainką i pochodziła z Kasperowiec nad Seretem. W Czerwonym Jarze było kilka małżeństw polsko-ukraińskich. Polacy często brali sobie za żony Ukrainki. Były to udane rodziny, a jedyny kłopot, jaki miały, to rokroczne obchodzenie podwójnych świąt: katolickich i prawosławnych. Zresztą, spokrewnieni czy nie, wszyscy na Podolu tego podwójnego świętowania nie omijali. Natałka była bogatą jedynaczką. A jej ojciec słusznie liczył na to, że mu dobrego, gospodarnego zięcia ukochana donia do domu przyprowadzi. Nie brakowało krasawicy Natał-ce godnych ukraińskich kawalerów. Ale serce nie sługa, donia Lacha polubiła...

Rewizja u Daniłowiczów trwała długo. Natałka bajukała synka otulonego w poduszkę. Teściowa siedziała obok, przebierając paciorki różańca. Za stołem usadowił się, znany Jerzemu, enkawudzista z Tłustego, komisarz Leonów. Milczał i palił papierosa. Jerzy był pewien, że w domu niczego nie znajdą, co najwyżej mogą mu coś prowokacyjnie podrzucić. Pewnie znowu zabiorą go na posterunek do Tłustego, na przesłuchanie, i jak zwykle komisarz Leonów zacznie mu wmawiać ukrywanie broni, spiskowanie przeciwko władzy radzieckiej. No i, po raz nie wiadomo który - każe mu opowiadać życiorys, a zwłaszcza ten ostatni, wojenny epizod. Daniłowicz zważał wtedy na każde słowo, żeby się nie pomylić, bo zataił przed komisarzem pobyt w radzieckiej niewoli i swoją ucieczkę spod Lwowa. Trzymał się stałej wersji o rozbiciu jego jednostki przez Niemców pod Tomaszowem Lubelskim, skąd, jak wielu szeregowych żołnierzy wrześnie wojny, przywędrował do Czerwonego Jaru...

- Odwróćcie się i opuśćcie ręce, Daniłowicz. - Głos Leonowa wyrwał Jerzego z zadumy.

Komisarz wstał zza stołu i zbliżył się do Jerzego.

- Nic nie znaleziono... Jak zwykle, prawda, panie Daniłowicz?

- Bo nigdy z niczym podejrzanym nie miałem do czynienia, panie komisarzu.

- Tak mówisz? I myślisz sobie pewnie, że nas przechytrzyłeś, że możesz sobie bezkarnie kpić z władzy radzieckiej?

- Ani mi to przez myśl nie przeszło, panie...

-Już sto razy ci mówiłem, Daniłowicz, że panowie to byli w pańskiej Polsce! - przerwał komisarz. - Mylisz się, Daniłowicz. Tym razem my ciebie przechytrzymy! - To mówiąc, Leonów wyciągnął z raportówki decyzję o wywózce i zaczął ją ogłaszać. - Wyczytane osoby mają pół godziny na spakowanie się, wolno im ze sobą zabrać worek bagażu na osobę. Decyzja ta jest nieodwołalna i podlega natychmiastowemu wykonaniu! No zbierajcie się, zbierajcie, i tak już za dużo czasu zmitrężyliśmy - ponaglał Leonów.

Matka i Natałka bezradnie patrzyły na Jerzego. Podszedł do nich. Przytulił Natałkę.

- Wywożą nas... Zbierać się musimy... O dzieciaka zadbaj, opatul go ciepło. I ty, mamó, dobrze się ubierz, bo mrozy.

-Jak to, synku, wywożą? Dokąd?

- Nie wiem, mamó, nie wiem... Jakoś sobie poradzimy. Małego, Natałko, no, sama wiesz, co tam trzeba... Stefan, Krzysiu, ubierajcie się, pomagajcie mamie, Natałce. Zaraz jakichś worków poszukam.

- Chwileczkę, Daniłowicz - wtrącił się komisarz - bo coś mi się zdaje, że nie wszystko tu u ciebie jest w porządku.

To mówiąc, jeszcze raz wyciągnął złowieszczy dokument.

- No tak, tak! - Trzepnął o kartkę palcami. - A wy, obywatelko, kim tu właściwie jesteście? - Pokazał na Natałkę.

-Ja? - Zdziwiona spojrzała na Jerzego. - Żoną jestem.

- Żona, mówicie? - mruknął Leonów. - A jak wy się nazywacie?

- Natalia Daniłowicz, córka Wasyla, z domu Wieliczko.

- Natalia Wieliczko, córka Wasyla - powtórzył rozwlekle komisarz. - Ukrainka?

- Ukrainka.

- A to dziecko?

- To dziecko? - Zdziwiła się. - To dziecko to mój, to nasz synek, Andrijko.

- Andrijko, mówicie, ładne imię. - Ponownie potrząsnął papierem, popatrzył na Jerzego. - A mówiłem, Daniłowicz, że coś tu u was nie jest w porządku! Was, obywatelko Wieliczko, decyzja o przesiedleniu nie dotyczy. I waszego syna też nie dotyczy. Wy zostajecie w Czerwonym Jarze.

-Jak to? - Jednogłośnie zdziwili się Jerzy i Natałka. Przerażony Daniłowicz zrozumiał, ku czemu zmierza komisarz. - Nie rozbijecie mi przecież rodziny?

- Rodzina, rodzina!... Z dokumentu nie wynika. Nic na to nie poradzę, Daniłowicz.

- Panie komisarzu, ślub braliśmy w kościele. A że to moja żona, mój syn, cała okolica może wam potwierdzić.

- Ale w dokumencie tego nie ma! Nie moja wina, Daniłowicz. Ale nie martw się na zapas. Zajedziesz na miejsce, załatwisz, co trzeba, i ściągniesz żonę do siebie. No, szkoda czasu, zbierajcie się, zbierajcie!

Daniłowicz tulił szlochającą żonę, a bezradna myśl nie umiała podpowiedzieć mu żadnego wyjścia z tej zda się beznadziejnej sytuacji.

**Jedna** wielka trwoga wisiała tej nocy nad Czerwonym Jarem. Ogłuszeni nagłym nieszczęściem ludzie poruszali się jak w malignie. Wraz ze zbliżającym się świtem tężał mróz. Psy ochryły od wściekłego ujadania na obcych. Kłęby pary waliły z chałup, pootwieranych stajni, chlewów i kurników. Żołnierze i ukraińscy milicjanci porozstawiani w opłotkach pilnowali, żeby nikt z otoczonej wsi nie uciekł. Na drodze biegnącej przez chutor czekały zaprzężone sanie. Konie trzęsły oszronionymi pyskami, starając się wypluć przymarzające do warg wędzidła. Marzli okoliczni ukraińscy chłopci, ściągnięci z podwodami do Czerwonego Jaru. Dreptali, podskakiwali dla rozgrzewki, objali rękawicami baranie kozuchy, dymili skrętami tabaku, a kto miał -pociągał samogon. I gadali, gadali:

- Z całej okolicy Lachów zabierają...

- No i dobrze im tak, Lachom zarozumiałym; rozpanoszyli się na naszej Ukrainie jak na swoim.

- Naściągali kolonistów z całej Polski, ziemię nam zabierali.
- Akurat tobie zabrali, gołodupcu jeden!
- Mnie, nie mnie, ale zabierali!
- Prawdę Wasyl mówi! Kolonista polski mógł ziemię z parcelacji kupić, a ty, ciemny hajdamaku, choćbyś czystym złotem płacił, ot, takiego byś dostał!
- Teraz też takiego dostaniesz, jak cię do kołchozu zagonią! -Ja się tam kołchozu nie boję; wszędzie trzeba robić. Ciebie jak rozkułaczą, to dopiero zapłaczesz.
- A ty swojego siwka im oddasz?
- Koń to koń, trochę szkoda będzie... A ciekawe, co z tutejszą chudobą się stanie?... Konie, krowy, świnie... Tyle tu dobra wszelakiego... Bogaty ten Czerwony Jar...
- Nie martw się, tobie na pewno nie dadzą. Ty lepiej o ludziach pomyśl, co się z nimi stanie. Zima taka, a tu staruchy, dzieci...
- Lachy, nie Lachy, ale takie same chłopcy jak my, całe życie grzbiety na roli zginali...
- Sąsiedzi bądź co bądź, z niejednym się kumało, moharycz w Tłu-stem piło.
- No, niby tak... Ale „moja chata skraja”, nie nasza wina przecież, że ich wywożą.
- Nawet tego Żyda Joska wywożą!
- A niech spierdala do tych swoich komisarzy! Tam u nich, w Rosji, Żyd na Żydzie siedzi, krzywdy mu nie robią.
- Głupiś jak but, Mykoła! Co ci taki Jasek zawinił? Okna teraz sam będziesz sobie szklili albo do Zaleszczyk jeździł...
- Ciekawe, dokąd ich zabierają?
- Mówią, że Niemcom ich oddadzą, do starej Polski, za San pogonią...
- Albo na Sybir! Mało to razy Moskale Lachów na Sybir gnały?
- Ukraińców też nie żalowali!... Niedawno do Dmitruka krewniak aż spod Żmerynki przyjechał, a jak sobie dobrze podjadł i popił, to takie rzeczy opowiadał, że strach mówić. Uwierzyć trudno, włos się je

ży... Tam u nich, opowiadał, w trzydziestych latach w tych kołchozach głód był taki, że, człowieku, do ludożerstwa dochodziło! Ajak ich rozkułaczali, to całe ukraińskie wsie na Sybir gonili, żywego krzywego, tak jak tych z Czerwonego Jaru.

- Hospody pomyłuj! Hospody pomyłuj, co za czortowe czasy na tym świecie nastały!

- Tylko jeden Pan Bóg wie, bracie, co nas jeszcze czeka! Jeden Bóg tylko wie...

- Podwody! Dawaj podwody! Podjeżdżać pod chałupy! Podjeżdżać! Bystro! Bystro!

Chłopi brali za lejce, klęli gęsto i na koniach grzęznących w zaspach wyładowywali nagłą złość.

Wschodzące słońce pokazało się nad Czerwonym Jarem tylko na chwilę, a jego purpurowa tarcza zwiastowała śnieżne zamiecie.

Długi konwój sań, z trudem przedzierający się przez kopne śniegi na stację do Worwoliniec, co chwila grzął w głębokich jarach i wąwozach. Oszronione, buchające parą konie nie radziły sobie z drogą i ciężarem przeładowanych sań. Ciemne chmury zasłoniły niebo, zerwał się wiatr, sypnęło gęstym śniegiem. Widać było tyle, co na wyciągnięcie ręki. Konwojenci pogubili się na tym rozszalałym żywiole i w obawie, żeby im ludzie nie pouciekali, co chwila palili z karabinów w powietrze.

Daniłowicz był po swojemu szczęśliwy w tym całym nieszczęściu, bo niemal w ostatniej chwili udało mu się ubłagać komisarza, żeby pozwolił zabrać się razem z nimi Natalce z synkiem. „Jak będzie, tak będzie, ale grunt, że jesteśmy wszyscy razem”. Otulony pierzyną synek smacznie spał, chroniony troskliwie matczynymi objęciami. Na uśmiech Natałki Jerzy musnął jej zarumieniony policzek, poprawił matce koc na kolanach i kroczył obok sań, chroniąc je od wywrotki i przechyłów.

Tuż za Daniłowiczami wlokły się sanie z rodziną Kalinowskich. Tym znowuż, kiedy żegnali się z domem i wynosili sparaliżowaną babcię za próg, przydarzyła się jeszcze jedna bieda: babcia Kalinowska zmarła. Co teraz począć, co z pochówkiem?

- Pozwólcie, panie naczelniku, zawieziemy babkę na cmentarz do Tłustego, pogrzebiemy po chrześcijańsku, a potem już pojedziemy, dokąd tam każecie.

Komisarz Leonów, kierujący całością akcji wysiedlenia Czerwonego Jaru, nie zgodził się na to.

- To tu się pożegnacie. A z pochówkiem sami damy sobie radę. Gmina to załatwi. Władza radziecka ze wszystkim sobie poradzi. Nie pierwszozna. No, żegnajcie się z babką, dłużej nie będę przez was całego konwoju wstrzymywał.

„Wieczne odpoczywanie racz jej dać, Panie.”

Klękali na śniegu Kalinowscy, klękali sąsiedzi. Przed majestatem śmierci ukraińscy woźnice też zdejmowali z głów wysokie baranice.

Komisarz pozwolił dokończyć modlitwy, ale zaraz potem sanie ze zwłokami babki Kalinowskiej ruszyły w stronę Tłustego.

Szalejącą śnieżycę wykorzystał Janek Kalinowski. Przykucnął w wąwozie pod śnieżnym nawisem, a kiedy ostatnie sanie go minęły, pomknął polami w stronę Worwoliniec. Janek miał dwie sprawy do załatwienia: zadbać o pochówek babki Łucji i pożegnać się z Oksaną. A potem niech go wiozą, gdzie tam chcą. Zresztą i tak im ucieknie.

Worwolińce, rozległa ukraińska wieś. Znajoma chata Olijników. Przystanął. Poczł zapach dymu, pewnie już wstali. Gdzie teraz może być Oksana. Pewnie jeszcze śpi. Ileż to razy pukał do tego okna umówionym znakiem, ileż to razy wciągały go do izdebki spragnione pieścnot dziewczęce ramiona. Nie zdążył zapukać w szybę, jak usłyszał skrzyp stajennych drzwi. Oksana wyszła ze stajni ze skopkiem mleka. Kwiecista chusta na głowie, barani serdak na ramionach. Przywołał ją po cichu:

- Oksana! Oksana!

Spłoszona, upuściła skopek; białe mleko wsiąkło w biały śnieg. Zagarnął ją ramieniem i wciągnął do ciepłej stajni.

Oksana nie wiedziała o niczym. Teraz dopiero zrozumiała, dokąd ojciec w nocy został zabrany na podwodę.

- W Czerwonym Jarze go nie było. Pewnie na Worwoliniecką Kolonię albo do Jakubówki pojechali.



- Dokąd was wywożą? Dlaczego?  
- Dokąd, dlaczego?... Myślisz, że ci powiedzą? Ech, dziewczyno ty moja... Wszystkich Polaków wywożą i już.

Gładził jej krucze włosy, scałowywał z policzków łzy.

- Będiesz o mnie pamiętał?

- Pamiętał? Ja tu wrócę, Oksano, wrócę! Ucieknę i wrócę do ciebie. Nawet z końca świata im ucieknę! Byłeś ty tylko o mnie pamiętała!

- O Janku, Janku, sokoliku mój ridnyj...

Z pośpiechu gubili się w chaosie słów, przysiąg, pożegnalnych pocałunków. Oderwał się od niej rozpaczliwie i skoczył za drzwi. Gęsta śnieżycą wchłonęła go, ukryła i wichrem pogoniła w stronę miasteczka.

Kościół w Tłustem stoi na wzgórku, w samym środku miasteczka. Plebania obok. Ale posterunek policji też niedaleko. Teraz urzęduje tu NKWD i ukraińska milicja. Rozjechali się po okolicy wywozić Polaków, to pewne, ale trzeba uważać. Korytem Dubnej Janek przekradł się pod kościół. Przystanął za kasztanem.

Przed posterunkiem stały sanie, a na nich po kraciastym kocu poznał, przysypane śniegiem, zwłoki babki Łucji. Dymiący parą koń potrząsnął workiem z obrokiem. Woźnicy, milicjantów nie ma. Niedawno przyjechali, są pewnie na posterunku. Wichura kręci śnieżnym tumanem. Ciemnowo, na krok nie widać. Skoczył ku saniom. Koń parsknął i łypnął przekrwionym ślepiem. Ciało babki Łucji, sztywne od śmierci i od mrozu, było zadziwiająco lekkie. Janek zarzucił je na ramię i biegł do kościoła. Na głównym ołtarzu migotała czerwona lampka oliwna. Kościół był pusty. Skradał się boczną nawą, bo tam było wejście do zakrystii. Omijając konfesjonał, zauważył kapłana. Ksiądz Bochenek zdawał się drzemać, przysłoniwszy oczy stulą. Janek złożył zwłoki babki obok konfesjonału, przeżegnał się i przykląkł jak do spowiedzi. Nim zdążył coś powiedzieć, ksiądz Bochenek delikatnie zapukał w kratę.

- W imię Ojca i... Mów, synu, co cię do mnie o tej porze sprowadza. Tyś chyba Kalinowski z Czerwonego Jaru?

- Tak, proszę księdza...

Ksiądz Bochenek już wiedział, że w okolicy coś złego z Polakami się dzieje. Z Tłustego też w nocy ludzi wywożono. Ale u niego w kościele, na plebanii, jeszcze nie byli. Ksiądz zdał się na wolę Bożą, choć też był przygotowany na najgorsze.

-Jeśli po mnie zaraz nie przyjadą, jeśli zdążę i Bóg pozwoli, to w święconej ziemi świętej pamięci babkę twoją Łucję pochowam. Modlitwy też nie poskapię, pobożna była niewiasta. Będzie ci to kiedyś przed Bogiem policzone, mój synu.

Wyszedł z konfesjonału i razem z Jankiem zanieśli zwłoki do zakrystii.

- A co ty, biedaku, ze sobą zrobisz?

- Na stację do Worwoliniec pójde. Cała nasza rodzina tam przecież...

- Tak, tak, rodzina... No to z Bogiem, z Bogiem, mój synu. Ani niczym pomóc, ani niczego innego doradzić ci nie potrafię. Niech się dzieje wola nieba.

- Tyle kłopotu księdzu narobiłem.

- Idź już, synu, idź! Chrześcijański uczynek wobec babki spełniłeś: „Zmarłych pogrzebać"... A o mnie się nie martw, wszystko na tym ziemskim padole w ręku Boga.

Konwój zesłańców z Czerwonego Jaru zbliżał się powoli do Wor-wolinieckiej Kolonii, którą tuż przed wojną zaczęto zasiedlać przybywającymi z głębi Polski chłopami. Księżna Lubomirska parcelowała swoje podolskie dobra i sprzedawała je Polakom. Wyłącznie Polakom. Na kolonii w Worwolińcach zakładała swoje nowe gniazdo, pochodząca aż z Rzeszowskiego, rodzina Dolinów. Usytuowano Worwoliniecką Kolonię między Tłustem, Karolówką i Worwolińcami, tuż przy państwowej szosie z Czortkowa do Zaleszczyk. Na czarnoziemnej równinie w karnym ordynku stawały zgrabne, czerwoną dachówką kryte domy polskich kolonistów. Przed wojną nie wszystkie zostały zasiedlone. Gospodarskie obejścia, stajnie, stodoły koloni-

ści budowali sobie sami, według gospodarskiej potrzeby i możliwości. Sami kopali studnie, grodzili płoty i sadzili sady. Kościół i szkołę mieli w pobliskim Tłustem. „Koloniści” albo „Mazury”, tak ich miejscowi Ukraińcy nazywali i tak się na Podolu przyjęło: „Didkowy Madzury prijszły naszu ukraińsku zemlu zabiraty!”

Ten groźny pomruk niezadowolenia ukraińskich sąsiadów często docierał do kolonistów. Jan Dolina też go nieraz słyszał. Spytał nawet kiedyś o to Martyniuka, świadego Ukraińca, sąsiada z Worwoliniec.

- Powiedz ty mi, Piotrze, o co wy, Ukraińcy, o co ty do mnie, jako chłop do chłopu, masz pretensje? Przecież widzisz, jak żyję? Żyję tak jak ty i twoja rodzina, ty i ja harujemy pod tym samym słońcem, grzbiet zginamy od świtu do nocy. A wy nic, tylko wciąż nam wymawiacie, że jakąś ziemię wam zabieramy? Za swoją krwawicę te parę hektarów od Lubomirskiej kupiłem.

Piotr skrzył papierosa, przypalił i pokazał ręką w kierunku Worwoliniec.

- Widzisz tam moją chałupę, poznajesz?

- No, poznaję?

- To dobrze wiesz, że pola pani księżnej Lubomirskiej, na których teraz stoimy, na których stoi twój nowy dom, przylegają przez miedzę do mojego pola. Nie przelewa mi się, ale trochę grosza zaoszczędziłem, córkę pora za mąż wydawać... Pomyślałem sobie, kiedy te wasze domy zaczęto tu stawiać, ziemie parcelować, że dobrze by było dokupić sobie kawałek ziemi. Pasowało mi te parę morgów po sąsiedzku, no i dla Kseni, córki, by na posag było. Niewiele myśląc, poszedłem do Tłustego, do wójta, żeby się go zapytać, jak to trzeba załatwić. I u kogo. Wójt, pan Dziegielewski, czekać chwilę kazał, ale nie powiem, przyjął mnie, wysłuchał grzecznie. Potem wstał, klepnął mnie nawet po ramieniu i powiedział tak: „Bardzo żałuję, panie Martyniuk, ale pan tej ziemi kupić nie możesz”. „Dlaczego, panie wójcie? Pasuje mi bardzo, akurat koło mojego domu pola parcelują? Choć ze dwie morgi”. „Przykro mi, Martyniuk - powtarza wójt, drzwi otwiera, kapelusz sobie nakłada i dokądś się śpieszy — z parcelacji ziemi

Ukraińcom nie sprzedajemy". Rozumiesz teraz, Dolina? Ukraińcom ziemi nie sprzedajemy. Z tego wynika, że Polak jest lepszy. A co, czy ja nie jestem polski obywatel?

Dolinowie, chłopci z dziada pradziada, pochodzili z Kalinowej. Jest taka wioska niedaleko Rzeszowa, w malowniczych lesistych rozłogach Dynowskiego Pogórza. Nie należeli do najbiedniejszych. Jan z Antoniną zaraz po ślubie dom nie najgorszy w Kalinowej pobudowali. Ziemi, co prawda, za dużo nie mieli, ale dla nich i dla dwojga dzieci chleba nigdy nie brakowało. Co ich na to Podole z rodzinnych miejsc pogoniło?

Jan Dolina, kiedy się w myślach sam o to pytał — niezmiennie odpowiadał: „Ziemia! I to jaka! Czarnoziem. Więcej tam jej będzie niż w Kalinowej. O dzieciakach, kiedy dorosną, trzeba myśleć". Dolina nie mógł zapomnieć wrażenia, kiedy pierwszy raz tu właśnie, pod Worwolińcami, schylił się i wziął do garści podolskiej ziemi. Było akurat parno, po krótkiej wiosennej ulewie. Ziemia była ciepła, wilgotna, tłusta i czarna jak sadza! A pachniała rosiście i korzennie. Ta dopiero będzie rodzić!

Z niewesołymi myślami włókł się Jan Dolina za saniami. A na tych saniach, zaledwie w dwóch workach, chybcikiem i byle jak zebranych - cały dobytek jego chłopskiego żywota. „Ziemia, ziemia!" Tosia trzyma na kolanach czteroletniego Tadka. Starszy syn, dziesięcioletni Staszek, potykając się w głębokim śniegu, wytrwale maszeruje obok ojca. Kiedy wyjeżdżali na Podole, to właśnie Staszek z całej rodziny cieszył się prawdziwie; pierwszy raz w życiu miał jechać pociągiem! A do tego jeszcze gdzieś tam, na tym dalekim i tajemniczym Podolu, dojrzewają podobno ogromne, do dyni podobne - arbuzy, miąższ mają czerwony, a smaczniejsze są od najsmaczniejszego jabłka! I jeszcze są tam winogrona, których dotąd nigdy nie próbował i nie bardzo nawet mógł je sobie wyobrazić. Więc czemu niby miał się martwić tym wyjazdem? Razem z mamą i tatajadą, nie mówiąc już o tym, jak mu chłopcy tego wyjazdu zazdrościli. Tylko Trota było mu żal; zadusiło się psisko, za nic nie chciało iść za wozem na łańcuchu, nie chciał odejść

od swojej kalinowskiej budy... Mama się rozplakała i uznała śmierć wiernego psa za zły znak. Zresztą mama najbardziej ten wyjazd na Podole przeżywała. Płakała i żegnała się ze wszystkimi jakby na zawsze.

Dolinka, Tosia, tak na nią w Kalinowej wołano, była kobietą rzadkiej urody. Smagła, rumianolica, piwnooka, wysoka i po dziewczęcemu smukła, nie nadawała się do ciężkiej, chłopskiej harówki. Miała w sobie coś, co wyraźnie odróżniało ją od kalinowskich rówieśnic; lubiła nosić się z miejska, a cały dookolny świat interesował ją bez reszty. A może właśnie ta zachłanna ciekawość świata i ludzi sprawiła, że Tosia zgodziła się ostatecznie z rodzinnej Kalinowej na Podole wyruszyć?

Mieszkający na Kolonii, tuż przy zaleszczyckim trakcie, Dolinowie ciężko przeżyli wybuch wrześniowej wojny. A wejścia Rosjan omal życiem nie przypłacili. Tłumy uciekinierów z głębi kraju przewaliły się przez ich dom, z których większość, tuż przed nadejściem Sowietów, zdążyła uciec przez Zaleszczyki do Rumunii.

Dolinowie też byli o krok od decyzji, żeby uciekać do Rumunii. A właściwie to nawet już się zdecydowali. Dobytek, jaki się dało, spakowali, konie były zaprzęgnięte do wozu. Tosia z dziećmi już na wozie siedziała. Dolina lejce w rękę trzymał, nogę oparł na kole, żeby na wóz wskoczyć... ale nie wskoczył. Nie ruszyli. Nie uciekli do Rumunii, bo akurat w tym momencie w stajni zaryczała krowa. Jan Dolina zdecydowanie zeskoczył z koła i... bez słowa zaczął wyprzęgać konie. Chłopu z dziada pradziada nie mieściło się w głowie, że można krowę - karmicielkę na pastwę losu zostawić.

Działo się to wszystko w sobotę po obiedzie, a w niedzielę pod wieczór, na Worwowieckiej Kolonii, od strony Tłustego pojawił się pierwszy zwiad sowieckich kawalerzystów. A już w poniedziałek rano Jana Dolinę i dwóch polskich pilotów, rannych w potyczce z ukraińskimi dywersantami - inny sowiecki patrol, tym razem pieszy, prowadził do akacyjowego przylasku blisko Jakubówki - na rozstrzelanie.

Z Tadkiem na rękę, ze Staszkiem przy boku biegła za mężem zrozpaczona Dolinka. Nie zdążyli ich żołdacy rozstrzelać. Kiedy pro-

wadzono skazanych po zaleszczyckiej szosie - nadjechał osobowy samochód, chroniony przez dwie ciężarówki z obstawą. Wsiadł z nich jakiś wyższy sowiecki dowódca w otoczeniu całej świty. Rzuciła się Dolinka przed nim na kolana, Staszkowy kark do ziemi przygięła. Oficer, starszy, postawny pan, z mnóstwem czerwonych zygzaków na rękawach, kazał jej wstać, a dowódcy konwoju zameldować, o co tu chodzi.

- Niech pani nie płacze. Armia Czerwona nikogo nie skrzywdzi. Niech pani weźmie dzieci i wraca do domu. Mąż pani też jest wolny.

Rannych lotników Sowietów zabrali na ciężarówkę. Powiedzieli, że to żołnierze i biorą ich do niewoli.

Na Kolonii nie było spokoju ani w dzień, ani w nocy. Zaleszczycką szosą ciągnęły kolumny sowieckich czołgów, tabuny kawalerii i taborów, niezliczone bataliony piechurów w długich do ziemi szarych szynelach. W dzień po niebie brzęczały eskadry samolotów, latających nisko, jakby na pokaz. Jeszcze kilka razy po Jana Dolinę przychodziły żołnierskie patrole, grozili rozstrzelaniem, żądali wydania broni i polskich oficerów, o przechowywanie których go nieustannie podejrzewali. Parę dni po wkroczeniu Sowietów zaczęła się na Kolonii gęsta strzelanina. Okopani wzdłuż zaleszczyckiej szosy krasnoarmiejcy ogniem karabinów maszynowych ostrzeliwali pobliskie zalesione wzgórza, gdzie znajdowało się kilkudziesięciu okrążonych polskich żołnierzy. Polacy co jakiś czas odpowiadali ogniem. Krzyżujące się kule gwizdały u Dolinów na podwórku. Prysnęła szyba w oknie. Zaczął się palić bróg ze zbożem.

- Tosiu, bierz dzieci i uciekaj! - Głos Doliny nie znosił sprzeciwu.

- Dokąd? Jak się ma coś stać, to niech już razem...

- Nie ma ani chwili czasu! Uciekaj wąwozami do Czerwonego Jaru. Nie martw się o mnie... Dzieci ratuj, siebie... Ja tam do was dołączę, dobytku trzeba dopilnować.

Wepchnął ją z dziećmi do porosłej burzanem fosy. Czołgała się, zasłaniała Tadka własnym ciałem, ciągnęła Staszka za rękę. Bała się gwizdzących nad ich głowami kul, drżała na myśl, co się stanie, jeśli

ich zauważą, dopadną. Co się tam dzieje z Jankiem, czy go jeszcze żywego zobaczy. Kiedy następnego dnia Jan Dolina szczęśliwie dotarł do Czerwonego Jaru i odnalazł rodzinę u pani Wysockiej, kruczoczarne włosy jego żony były przyprószone gęstą siwizną.

Stacja kolejowa, a ściślej: przystanek w Worwolińcach, leżący na linii kolejowej Zaleszczyki - Czortków - Tarnopol, miał tylko jedną towarową bocznicę. Głucha, zapadła stacyjka, na której nawet nie wszystkie pociągi osobowe się zatrzymywały. Przystanek był na odludziu, z jednej strony Jakubówka, z drugiej Worwolińce. A do tego obrastały go gęste akacjowo-czereśniowe przylaski. Może dlatego NKWD wybrało ten przystanek na jeden z punktów etapowych lutowej wywózki okolicznych Polaków. Zwożono tu ludzi z Uściczka, Jakubówki, Tarskiego, Karolówki, Berestek, Uchrynkowiec, Charła-mowiec, Chinkowiec i Worwoliniec.

Przed południem śnieżna wichura zelżała. Zza pierzastych niskich chmur od czasu do czasu wyglądało zaczerwienione słońce. Mróz nie ustępował. Przy worwolinieckiej bocznicy stało kilkadziesiąt wagonów, takich, jakimi zwykle się przewoziło bydło. Stację otaczał kordon krasnoarmiejców, nie licząc specjalnych milicyjnych posterunków rozlokowanych na drogach dojazdowych. Zadaniem ich było zapobiegać ucieczkom deportowanych i nie dopuszczać do zbiegowiska okolicznej ludności. Sztab operacji „wywózka” na czas załadunku ulokował się w niewielkim stacyjnym budynku. Śnieżycą sprawiła, że kolumny sań z wysiedlonymi nadjeżdżały na stację z opóźnieniem. Z każdą też chwilą pogłębiał się panujący tu chaos. Sdoczone na małym zaśnieżonym placu dziesiątki załadowanych tobołkami sań, koni i ludzi - tworzyły trudne do uporządkowania kłębowisko. Bił w niebo ludzki gwar, płacz wystraszonych i przemarzniętych dzieci, lamenty kobiet i przekleństwa mężczyzn.

Doświadczenie komisarza Leonowa przy tego typu przesiedleniach dało znać o sobie. Widząc, co się na przydworcowym placu dzieje, komisarz zatrzymał konwój z Czerwonego Jaru przed stacją.

Tutaj kazał sprawdzić listy konwojowanych, żeby po przybyciu na stację przekazać je, rozliczyć się ze sztabem. Enkawudziści szli od sań do sań i według listy sprawdzali osobę po osobie. Rychło też wykryli nieobecność młodego Kalinowskiego. Brakowało również Tomasza Jaworskiego, statecznego gospodarza. Jego żona i trójka małych dzieci znajdowały się na miejscu, w konwoju. Co się z Kalinowskim i Jaworskim stało, gdzie się podzieli, o tym ani ich rodziny, ani miejscowi milicjanci, nie mówiąc już o woźnicach - nie umieli nic konkretnego powiedzieć. „Uciekli, swołoczcie!” Leonów działał szybko i bezwzględnie, zdając sobie sprawę z kłopotów, jakie spadną na niego, jeśli zjawi się w sztabie z niepełną listą wysiedleńców. Po krótkiej naradzie z miejscowymi milicjantami wysłał dwa konne patrole: jeden powrotną drogą do Czerwonego Jaru, drugi do Worwoliniec, do chaty Oksa-ny Olijnik. Ten ostatni trop podpowiedział komisarzowi woźnica, młody Taras Bałaban, sąsiad Olijników, zawzięty rywal Janka Kalinowskiego. Rozwścieczony Leonów przystąpił do przesłuchań rodzin. Zaczął od Jaworskiej, schorowanej, zmalretowanej życiem suchotniczki.

-Jak mi nie powiesz, gdzie jest twój mąż, to syna ci zabierzemy!

-To mówiąc, Leonów uniósł do góry brodę patrzącego nań spode łba, wyrosłego ponad swój wiek, piętnastoletniego Władka. - I ty też, synu, nie wiesz, co się z twoim ojcem stało?

- Nie wiem! - odburknął chłopak.

- Nie wiemy, panie, nie wiemy. Jezusie święty, żeby się mu tylko coś złego nie stało! Szedł cały czas za saniami...

Jaworska, z wpadłymi, nienaturalnie zaczerwienionymi policzkami, o wielkich gorejących oczach, nie dokończyła, rozkasłała się gwałtownie i sucho, wycierając końcem chusty krople krwi w kącikach spękanych warg.

Tomasz Jaworski uchodził w Czerwonym Jarze za odludka, a nawet dziwaka. Do najbogatszych też nie należał. A bywały i takie lata, jak choćby zaraz po ożenku, kiedy dzieci, jedno po drugim, zaczęły się zjawiać na ten świat, a do tego żona mu na suchoty zapadła, że nie mieli co do gęby włożyć. Małomówny, zamknięty w sobie, hono-



rowy - nie tylko, że nie pożalił się nikomu, ale i o pomoc nie prosił. Czasami tylko jakaś litościwa sąsiadka poza jego plecami nad Jadwigą się ulitowała, wspomagając ją odrobinką mleka dla dzieci. Ziemi miał niedużo, dom liche, obejście wiatrem podszyte. Do Czerwonego Jaru przyszedł spod Kopyczyniec na sezon, roboty szukać. Potem ożenił się tutaj. Jadwiga mieszkała w Czerwonym Jarze ze starą matką, która niedługo po ich ślubie umarła. Jeśli sąsiedzi czegoś Tomaszowi zazdrościli, to nadludzkiej wprost pracowitości. Rok po roku, krok po kroku, ten przybłęda spod Kopyczyniec stawał się samodzielnym gospodarzem. Własnymi rękami uporządkował rozlatującą się zagrodę, kupił parkę prosiąt, rasową krowę. Na tych swoich paru morgach plony miał dobre i, ku zdziwieniu sąsiadów, nastawił się na hodowlę świń. I za te wieprzki właśnie Tomasz Jaworski kupił sobie pierwszego konia! Od tej pory uniezależnił się od sąsiadów, skończyło się chodzenie na odrobek. Chyba to wtedy rozkochał się w koniach! Nikt z Czerwonego Jaru nie miał ładniejszych i bardziej zadbanych koni od niego. Na wojnę nie poszedł, ale wojsko zmobilizowało mu Gniadego: pięknego, wytrzymałego pięciolatka, zdatnego i pod siodło, i do pługa. Ze łzami w oczach przebolewał tę stratę: wojna! Została mu Maleńka. Klacz złocistogniada, z białymi pęcunami i białą gwiazdką na łbie. „Wio, Maleńka, wio!” Tomasz nie przypominał sobie, żeby kiedyś choć raz trzepnął ją lejcamy po grzbiecie. Wystarczyło, że cmoknął: „Wio, Maleńka, wio!”, a ta żyły z siebie w pracowitości i posłuszeństwie wypruwała. Maleńka była teraz wysoko żrebna, i lada dzień, lada godzina miała się ożrebić...

Kiedy zaczęła się wywózka, enkawudziści zastali Tomasza w stajni. Czuwał tam od paru nocy, żeby się, broń Boże, Maleńkiej nic złego nie przydarzyło. Nie bardzo rozumiał, czego od niego chcą, czym komu zawinił, dokąd niby ma się zbierać? Ale nie było rady, zaczął więc pakować do worków, co uważał w podróży za najważniejsze, najpotrzebniejsze dla rodziny. Nie prosił, nie błagał o nic, tylko raz jeszcze, jakby nie wierząc własnym uszom, zapytał komisarza Leonowa, który wydał mu się najważniejszym:

- A co z moim gospodarstwem? Co z chudobą? Kobylę, panie, mam na oźrebieniu, lada moment powinna...

Leonów popatrzył na Jaworskiego jak na wariata, a potem wykrzyczał:

- O dzieciach, chłopie, lepiej pomyśl, a nie o kobyle! O pierzynie dla nich nie zapomnij, żarcia na drogę nie zapomnij. A ten mi tu bredzi o jakiejś kobyle! Nie martw się, twoją kobyłą władza radziecka też się zajmie! I pośpiesz się lepiej, durniu jeden, bo sanie na mrozie czekają!

O nic już więcej Tomasz nikogo nie pytał. W zawziętym milczeniu zbierał, co mu pod rękę wpadło, ale jego myśli nijak z tym poradzić sobie nie mogły. Jak to? Wszystko, co jego, tę chałupę, to łóżko, ten święty obraz na ścianie, tę uprząż, chomąta i kantary mosiądzem wybite, co je niedawno własnymi rękami wyrzyczał, krowy, świny, pszenicę w komorze, kukurydzę na siew przygotowaną, on, gospodarz, ma to na pastwę losu zostawić? Do tego Maleńka lada moment się oźrebi. W głowie huczało mu jak we młynie, samego siebie już nie słyszał, nikogo nie rozumiał, ludzi jakby nie poznawał, coraz bardziej tracił porozumienie z otaczającym go światem.

Mieli już ruszać; Hryćko Tukan, znajomy Ukrainiec z Worwoli-niec, trzepnął konia lejcamy. Tomasz, zamiast za saniami, zdecydowanie skierował się do stajni.

- A ty dokąd, chłopie? Wracaj do sań, władzy radzieckiej nie słuchasz? Już i tak zmitrężyliśmy przez ciebie tyle czasu. Ruszaj, ruszaj, cała kolumna czeka. Co za człowiek, nic, tylko jakaś kobyla mu się ubzduriała - wściekał się Leonów.

- Chodźcie, tato, chodźcie, bo oni... - Władek prosił ojca, do którego zmierzał krasnoarmiejec z karabinem. Tomasz posłuchał syna. Ale jeśli coś jeszcze w tym momencie dostrzegał, to tylko uchylone, buchające parą stajenne drzwi, i jeśli czegoś słuchał, to cichego, niespokojnego rżenia Maleńkiej. A może mu się tylko tak zdawało?

Nadaremnie komisarz Leonów nękał i straszył Jaworskich. Bo naprawdę żadne z nich nie zauważyło, w którym momencie zabrakło

ojca. Nawet Władek, który przez długi czas nie opuszczał go ani na krok. Potem rozszalała się taka zamieć, że prawie ciemno się zrobiło; to tu, to tam wywracały się sanie, rwały postronki, zapadały w zasy konie. Ludzie biegali, zbierali porozrzucone tobołki, zziębnięte dzieciaki, pomagali sobie. Wtedy to Władek stracił ojca z oczu.

A Tomasz Jaworski wracał do Czerwonego Jaru. Obojętny na wszystko, przedzierał się przez śnieżycę, tonął po pas w kopnym śniegu. Ocknął się, otrzeźwiał z zadumy, kiedy dostrzegł pierwsze opłotki chutoru. Instynktem ściganego zwierza starał się uniknąć pułapki. Skradał się w stronę domu, wypatrywał ludzi. Opuszczone zagrody, porozrzucone w nieładzie sprzęty domowe, drzwi do chałup uchylone, stajnie pootwierane. U Biegańskiego wył pies uwiązany przy budzie. Od Daniłowiczów z chlewa wymknęła się jakaś skulona postać. W worku pokwikiwało prosię. Z chałupy Unickiego dochodziły hałasy, gwar, śpiewy. Tomasz przyczał się tuż za płotem, bo akurat ktoś wyszedł stamtąd na ganek. Rozchelstany, w rozpiętym kozuchu, ukraiński milicjant, Iwanko Smyrnyj, chwiejąc się od samogonowego ugaru, załatwiał potrzebę i podśpiewywał:

***Oj deś graje, oj deś graje, Skripka wilinaje, skripka wilinaje, Skripka...***

Do własnego obejścia przekradł się Tomasz od strony głębokiego parowu. Wyrzał zza rogu stodoły, chwilę przepatrywał zawieję, nikogo nie widział i nie słyszał. Na drzwiach wejściowych do jego chaty wisiała cudza kłódka. Mocna. Otumaniony, zmęczony, mimowolnie przycupnął na schodach. Wichura smagała mu twarz ostrym, mroźnym śniegiem. Myśli znów nie chciały go słuchać i nie dawały się rozsądnie poukładać. Co tu robi, po co tu przyszedł, czemu tak siedzi na tym zimnie? Pies! Burek, uradowany widokiem gospodarza, skomlał radośnie i przysiadł, zamiatał ogonem przy budzie. Tomasz wstał. W drewnutni siekierę z pieńka wyszarpnął i przeciął łańcuch. Wystraszony Burek uskoczył na bok, ale zaraz potem przypadł gospo-

darzowi do butów. Tomasz odrzucił siekiere i wszedł do stajni. Stanął w progu i nim oswoił się z półmrokiem, usłyszał ciche rzenie Maleńkiej. Poznała go! I jakby chciała się gospodarzowi pochwalić. Żrebiątko! Malutkie, jeszcze nie całkiem wyschłe po oźrebianiu, chwiało się na drżących nogach, śmiesznie podrygiwało ogonem i zawzięcie ssalo matczyne wymię. Jaworski przyklęknął na jedno kolano, gładził ufną mordę Maleńkiej, przesunął dłonią po mokrym, ciepłym grzbiecie żrebaka.

- Też żrebiczka, też. Gniada, gniada!

Maleńka strzygła uszami i zezowała białkami w stronę gospodarza. Znów lekko zarżała. Tomasz wstał, delikatnie poklepał ją po szyi.

- Nie bój się, nic mu nic zrobię. Nie bój się, nie bój. Zaraz cię napoję, obroku podrzucę.

Przetarł piekące oczy i sięgnął po wiadro. Zaczepnął wody z beczki stojącej pod schodami. Maleńka pila łapczywie i dużo. Obrok miał pod ręką; kukurydziana śruta zmieszana z burakami. Nasypał do żłobu obficie. Dwa naręcza siana z koniczyny za drabinkę założył. Postał chwilę, popatrzył: Maleńka, zezując na gospodarza, chrupała obrok, żrebiczka wciąż targała matkę za wymię. Może się Tomasz na ten widok nawet uśmiechnął. Potem drzwi stajenne przymknął na wewnętrzny haczyk. Uniósł siekiere spod progu, ważył, pasował stylisko do ręki, ale po chwili ją odrzucił. Burek warował przy drabinie i wiernie wślepiał się w pana. Tomasz, jakby sobie coś przypomniał, jeszcze krowom koniczyny za drabinę założył. Tylko dla pokwikujących prosiaków nie miał przygotowanej karmy; ziemniaki trzeba by było dopiero parzyć. Więc wsypał im otrąb, ile miał w stajni pod ręką. Znowu stał jak skamieniały dłuższą chwilę. Potem spowolnionym ruchem zdjął postronek z haka, ciężko wspiął się na szczeblach przystawionej do sąsiedka drabiny, umocował sznur na belce, pędę założył na szyję i skoczył. Maleńka głośno zarżała, Burek podwinął ogon i zawył...

Mieszkańców Czerwonego Jaru ładowano do wagonów późnym popołudniem. Przez cały dzień trzymano ich na mrozie, nie pozwolono odejść od sań choćby na krok. Czekaając na załadunek na mrozie i śnieżycy, ludzie zaczęli coraz wyraźniej zdawać sobie sprawę z ponurego losu, jaki ich czeka.

Na stacji w Worwolińcach zaczęli się gromadzić Ukraińcy z okolicznych wiosek. Komisarzowi ulżyło, bo młody Kalinowski zgłosił się do transportu sam i choć nie przyznał się, gdzie był i co robił, komisarzowi rachunek się zgadzał i to mu wystarczyło. Zwłaszcza, że jego wysłannicy wrócili z Czerwonego Jaru i zameldowali o wisielczej śmierci Tomasza Jaworskiego. Tak! Grunt, że rachunek komisarzowi się zgadzał!

Ludzie z Czerwonego Jaru ładowali się do transportu jako ostatni. Prawie wszystkie wagony były już zajęte. Do dwóch jeszcze wolnych napchano ludzi, ilu się tylko dało. Bez ładu i składu, ponaglani pokrzykiwaniami konwojentów - wdrapywali się do wagonów, podawali sobie z rąk do rąk chorych, starych i dzieci. Swoją niebogaty dobytek: tobołki, worki, walizki, wrzucali byle jak i byle gdzie. A żołdaci poganiali:

- Bystrej, bystrej! Dawaj, dawaj!
- W tym wagonie nie ma już gdzie palca włożyć! -Jak by było jakie nas traktują!
- Worek, worek! I toboł z pierzynami, o tam leży!
- Marysiu, dziecko, gdzie ty się podziałaś?
- Cynia! Cynia! Cyniaaaa!
- Bronek, pomóż tam babci.
- O Boże, jeszcze do nas nowych ładują!
- Przecież my się tu wszyscy podusimy!
- Niczewo, niczewo. Wsio uładitsia. Dawaj, dawaj! Bystreje! Mie-sta mnogo. Dawaj, dawaj!

Enkawudowcy poganiali, upychali opiesziałych, wrzucali do wagonów ostatnie tobołki. Gęsty kordon krasnoarmiejców z trudem trzymał w bezpiecznej odległości od transportu gromadkę Ukrainek

przekrzykujących się z odjeżdżającymi. Furmani też nie bardzo wiedzieli, jak się znaleźć. Jedni poderwali konie batem i galopem co prędzej odjeżdżali, byle dalej od tego wszystkiego. Inni wciąż stali, jakby na coś czy na kogoś czekali. Niektórzy zdejmowali baranice i miętosili je w rękach, niczym przed cerkwią.

Komisarz Leonów, zdenerwowany, nakazał przepędzić woźniców, odsunąć napierający dum.

- Zakrywaj wagony! - krzyknął.

Zgrzyt, świst przymarzniętych drzwi. I trzask! Trzask! Jeszcze mocny skobel od zewnątrz, żeby ci w wagonie nie mogli ich odsunąć.

- Gatowo!

- Zakryto!

- Wsio! - Podsumował swoją udaną akcję komisarz Leonów.

Wagony zamknięte. Powoli dochodzące z ich wnętrza brzęczenie, podobne do odgłosu pszczoł rojących się w ulu, zaczęło cichnąć. Słysząc było tylko posapującą parą, gotową do drogi lokomotywę. Czerwone słońce skłaniało się ku zachodowi. Nagła cisza nastąpiła na malutkiej, zagubionej w śniegach podolskiej stacji Worwolicie. Gwizd lokomotywy. Jeden, drugi. I wtedy dopiero się zaczęło. W którym wagonie? Nie wiadomo. Fakt, że po nagłej ciszy buchnął śpiew i toczył się od wagonu do wagonu, dopóki nie ogarnął całego transportu:

***Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki Otaczał blaskiem potęgi i chwały...***

Lokomotywa zagwizdała, buchnęła parą, koła buksowały, kręciły się w miejscu, ale po chwili zesłariczy transport ruszył...

Pociąg nabierał szybkości. Koła rytmiczne podskakują na złączach szyn: tak-tak, tak-tak! Lokomotywa ciężko sapie pod górę, pogwizduje na rozjazdach, zwalnia przed semaforami. Cichną powoli, wygasają nabożne pieśni pełne żalu, wiary i nadziei. A kiedy ucichły, nie było wśród zesłańców takiego, który by w tej chwili nie myślał o jednym: dokąd ich wiozą, jaki los ich czeka?

W wagonie nie ma nar. Ściany, podłoga i dach. Wysoko pod dachem dwa małe okienka, teraz na głucho od zewnątrz zamknięte. Zasunięte, zaryglowane drzwi. Towarowy wagon, przystosowany do przewożenia skrzynek z towarami, worków ze zbożem, mąką, cukrem. Albo bydła. Ciemno

Poświst przemarzniętych drzwi. Trzask zewnętrznego rygła. Z bieli śniegu, ze światłości czerwono zachodzącego słońca - ta nagła wagonowa ciasnota i ciemność! Dotąd ludzie wolni, zrosnięci od kolebki z naturą, ziemią, słońcem, wiatrem, powietrzem i wodą, z chwilą zaryglowania w ciemnym towarowym wagonie poczuli się jak zwierzęta w klatce.

Przemarznięci w ciągu dnia, tajali pomału w ciepłe własnych ciał i oddechów. Rezygnacja, poddanie się losowi, siła sennego bezwładu obejmowała ich dusze i ciała. Tu, gdzie teraz stoisz, powalić się i spać, spać, spać! Nic nie wiedzieć, nic nie słyszeć, zapaść w senne zapomnienie i uwolnić się choć na chwilę od tego nagłego koszmaru.

Ludzie nawoływali się wzajemnie, rozglądali się za skrawkiem wolnego miejsca, gdzie by można wymościć jakieś legowisko dla płaczących dzieci. Szukali gdzieś zapodzianych tłumoków z jedzeni-

niem i pościelą. Świecili zapałkami. Czasami błyskała na chwilę kieszonkowa latarka, jeszcze rzadziej świeczka, którą ktoś przezorny zabrał z domu.

Natura ma swoje prawa. Dorośli jeszcze nie wyzbyli się wstydu, niektórzy nawet zapytać nie mieli śmiałości, więc cierpieli do granic wytrzymałości. Dzieci głośno prosiły o wyprowadzenie ich za potrzebą. W kącie wagonu znaleźli ludzie specjalnie do tego celu przystosowany otwór w podłodze. Nie osłonięty. Dla wszystkich na widoku - mały otwór w podłodze wagonu. Oszroniony, ciągnący mroźnym przeciągiem...

Noc. Zaduch w wagonach gęstnieje z każdą chwilą; schną baranice, kozuchy, pierzyny, onuce, śmierdzi potem, kałem i uryną. Szczęśliwi, którzy przysnęli. Większość drzemie w półśnie zaczadziałym. A są i tacy, którzy z natłokiem myśli poradzić sobie nie mogą, do których sen nie przychodzi. Niepokojna nocna cisza. Ktoś tam krzyknie przez sen, zapłacze dziecko, suchy kaszel kogoś męczy.

Jerzego Daniłowicza sen omijał. Z przymkniętymi powiekami siedział oparty o ścianę wagonu i bił się z myślami. Miał ochotę na papierosa, ale bał się ręką poruszyć, żeby nie zbudzić żony, która zasnęła przytulona do niego. Synek spał w jej ramionach, nasycony matczyną piersią. Obok drzemała reszta rodziny. Jerzy myślał o nich wszystkich z wielką czułością i, co najdziwniejsze, był w tym momencie prawie szczęśliwy: „Jak będzie, tak będzie, ale najważniejsze, że wszyscy jesteśmy razem”. Nie chciał nawet myśleć, co by się stało, gdyby tak Natałki z synkiem razem z nimi nie puścili. Co ma być, to będzie - najważniejsze, że wszyscy jesteśmy razem. Najważniejsze, najważniejsze...

Dokąd nas wiozą? Sdczyli ludzi jak bydło. W takich warunkach daleko nie zajedziemy. A może z Niemcami się dogadali i do centralnej Polski nas odtransportują? Bzdura! Leonów wyraźnie czytał: „Pieresieleny w druguju obłast Sowieckowo Sojuza!” A więc wiozą nas do Rosji! Do Rosji, do Rosji... Na Sybir? Nie pierwszyczna by to była dla Polaków... Za cara dziadek Teofil był na Sybirze, kajdana-



mi dzwonił w kopalni złota. Na cara dziadek narzekał, ale tamtejszych ludzi, Sybiraków, zawsze chwalił.

Kiedy Jerzy trafił do sowieckiej niewoli pod Lwowem, obiecywali im komisarze, że wszystkich szeregowców i podoficerów pozwalniają, do domów im wrócić pozwolą. A zamiast tego do takich samych bydłęcych wagonów ich pod silnym konwojem wpakowali, i w drogę! Też na wschód ich wieźli. W Dubnie Jerzemu udało się uciec z sowieckiej niewoli, a teraz znowu w niej się znalazł, do tego z całą rodziną... Dziś znów go wiozą... Od mobilizacji przez cały ten nieszczęsny wojenny czas o Natałkę martwił się najbardziej. W ciąży została. Swary w jej domu, upór ojca, który córce nie chciał pozwolić wyjść za Lacha. Wojna! „Guzika od płaszcza nie damy nikomu!” A potem ten straszny chaos, jatka pod niemieckimi bombami, to stałe cofanie się i beznadziejny, choć bohaterski opór wojska. Do reszty zaskoczyła, dobiła żołnierzy wieść o wkroczeniu do Polski wojsk radzieckich. Liniowi dowódcy, najczęściej bez łączności i pozostawieni samym sobie, nie bardzo wiedzieli, jak się w obliczu tego nowego najazdu zachować. Stawiać opór, bić się? Nie do wszystkich dotarł niepojęty rozkaz marszałka Śmigłego: „Z Sowiecami nie walczymy”. Jerzego nawet rana tak nie bolała, kiedy odłamek niemieckiego szrapnela rozdarł mu ramię, jak ta chwila, gdy pod Lwowem poddawali się Rosjanom, musieli oddać broń i szli do niewoli. Poddawali się posłuszni rozkazom swoich dowódców, a nie tym propagandowym ulotkom, jakimi z samolotów z czerwonymi gwiazdami zasypywali ich Sowieci:

**„Żołnierze! W ciągu ostatnich dni armia polska została ostatecznie rozgromiona. Żołnierze miast: Tarnopol, Galicz, Równe, Dubno, w liczbie przeszło 60,000 osób dobrowolnie przeszli na naszą stronę. Żołnierze! Co pozostało wam? O co i z kim walcycie? Dla czego narażacie życie? Opór wasz jest bezskuteczny. Oficerowie pędzą was na bezsensowną rzeź. Oni nienawidzą was i wasze rodziny. To oni rozstrzelali waszych delegatów, których posłaliście z propozycją o poddaniu się. Nie wiercie swym oficerom. Oficerowie i gene-**

ralowie są waszymi wrogami, chcą oni waszej śmierci. **Żołnierze! Bijcie oficerów i generałów. Nie podporządkowujcie się rozkazom waszych oficerów. Pędźcie ich z waszej ziemi. Przechodźcie śmiało do nas, do waszych braci, do Armii Czerwonej. Tu znajdziecie uwagę i troskliwość'. Pamiętajcie, że tylko Armia Czerwona wyzwoli naród polski z nieszczęsnej wojny i uzyskacie możliwość rozpocząć pokojowe życie. Wierźcie nam! Armia Czerwona Związku Radzieckiego - to wasz jedyny przyjaciel.**

**Dowódca Frontu Ukraińskiego, S. Timoszenko".**

Śmiali się z tej prowokacji, klęli brzydko, piętrowo.

- Nawet po polsku się nie nauczyli, skurwysyny!

- Cyganią, aż im się z pyska kurzy.

- Za twardy papier, żeby nim dupę podetrzeć!

- Ładna mi pomoc.

- Nóż w plecy!

- A swoją drogą, to ci nasi panowie senatorzy ładnie nas wykie-rowali.

- Narządzili się. Na pastwę losu nas zostawili.

- Dupę w troki i do Rumunii.

- Mościcki tam podobno jakieś orędzie do narodu wydal.

- Niech mnie pocałuje...

- A Rydz gdzie jest? „Guzika nie damy"...

Wielu żołnierzy płakało z bezsilnej wściekłości i żalu, rzucając broń, otoczeni radzieckimi czołgami. Rosjanie odłączyli oficerów, od samego początku traktując ich szczególnie surowo.

„Żaden człowiek nie skaleczy sobie palca, jeśli tego tam, na górze, Najwyższy nie postanowił". Josele Bialer kiwał głową i więcej w tym kiwaniu było powątpiewania niż wiary. Jemu też się nie udawało usnąć. Myślał sobie o wszystkim, tak jak mu się w skołowanej nieszczęściem głowie przypominało. A że nie o wszystkim myślało mu się najlepiej, to trudno, przecież to też nie od niego zależy. Jest przyczyna, to i skutek być musi. Może mają rację pobożni Żydzi, że

Wszechwiedzący to bardzo dobry buchalter i ludzkie rachunki zawsze mu się tam na górze zgadzają? Ale żeby znów dla każdego Żyda tak dokładną Księgę Życia prowadzić? Przecież to nie sklepik towarów mieszanych, żeby wszystkich dłużników sobie kopiowym ołówkiem zapisywać dla pamięci! A zresztą, żeby On tylko takich jak ja Żydów miał do zapisywania! Co ja znowu takiego zrobiłem, żeby mi to za grzech poczytywać? Albo taka moja Rachela? Albo taki mój mały Hersz? Albo nawet taka moja Cynia? Taka, bo ona jest inna ta moja Cynia, uczona! Rachela martwi się, co z niej wyrośnie. A co niby ma wyrosnąć? Uczy się dobrze, a jak się wyuczy, to jeszcze zmądrzeje. Jak się wyuczy... O czym ty teraz myślisz, o czym ty mówisz, Josele? Ty się najpierw, Josele, lepiej zastanów. Przecież ty nawet nie wiesz, dokąd cię wiozą. Nie wiesz, co z tobą będzie!

Nie było w okolicy lepszych szklarzy od Bialerów! Nie było! Witraże w bożnicy wprawiali? Wprawiali! A w kościele w Tłustem kto wprawiał? Bialerowie! A w Czortkowie? W Trembowli nawet. No i co, że to w kościele. „Bóg jest jeden! Pan jest naszym Bogiem” Zarobek? Jaki tam znowu zarobek! Co tam w tych chłopskich chałupinach czy u Żydów w miasteczku jest wielkiego do oszklenia? A w takim Tłustem? Nu, chyba przed świętem Kuczek, jak te batiary Żydom okna powybijali. Ale lepiej, żeby tego nie robili. No i jeszcze przed samą wojną, kiedy koloniści przyjeżdżać zaczęli, nowe domy sobie budowali. O, wtedy to tak! Domy budowali ładniejsze od miastowych, pod dachówką, z wielkimi oknami. A niektórzy kolonista to nawet w stajni szklił sobie okna większe od tych, co są we wsiowych chałupach. Taki na przykład Dolina! No i co ten Dolina ma teraz z tego nowego domu, z tych wielkich okien? Najpierw z Kolonii przed Ukraińcami musiał do Czerwonego Jaru uciekać, a teraz też jedzie z Joskiem w tym samym wagonie. Są goje, co Żydów nie lubią. Są Żydzi, co gojów za nic mają. Ale są też goje, co nie lubią się z gojami. A Żydzi z Żydami się tak znowu lubią? Ukraińcy nie lubią Polaków, Polacy nie lubią Ukraińców, a znów wszyscy oni naraz nie lubią Żydów. Wszyscy? Nie wszyscy. Coś w tym jest? Rosja

nie też nie za bardzo Żydów lubią. A nie opowiadali to starzy Żydzi, jak to czasie pierwszej wojny światowej ruskie Kozaki pogromy Żydom urządzali, gwałcili żydowskie niewiasty, a starozakonnym brody i pejsy obrywali? Czemu tak się na tym świecie dzieje? „Wszyscy Żydzi mają zapewniony udział w życiu wiecznym, bo są latoroślą przeze mnie zaszczepioną” - powiedział Pan. A on wie, co mówi! Tylko co mi z tego, kiedy wyrywają mi brodę tutaj. Teraz. A ci Niemcy? Co ci Niemcy zrobili ze swoimi Żydami, kiedy jeszcze nawet tej wojny świata nie zmagstrowali? A co robią teraz? Bożnice rujnują, bogobojnych Żydów prześladują, mordują. „Człowiek dziś jest, jutro go nie ma”... Rachela się wierci, spać nie może, pewnie znowu o Cynię będzie pytać.

-Josele? Nie śpisz? Gdzie ta nasza nicpota córka się podziała. Śniło mi się, strasznie...

-Uspokój się, kobieto, sza! Cicho, do ciebie mówię, bo kto ci tu teraz pomoże? A Cynia, nie bój się, nie zginie.

-Jak ty możesz tak mówić? Czy dobry ojciec może tak mówić, kiedy jego dziecka z nim nie ma?

- A co ja znowu gadam takiego złego? Mówił ci Hersz, widział na własne oczy, jak Cynia do innego wagonu wsiadała. Widział!

-Ale tam przecież młody Kalinowski jedzie!

- Nu, jedzie! A czemu ma nie jechać? Jedzie młody Kalinowski, Cynia jedzie, my jedziemy. Ty popatrz, kobieto, ile ludzi jedzie.

- I to mówi żydowski ojciec! I to mówi żydowski ojciec o swojej jedynej córce? Jak ty możesz! Jak ty możesz tak brzydko myśleć o swojej córce, że ona tam samiuteńka z tym młodym Kalinowskim jedzie! Tak mi się strasznie śniło. Oj, oj...

Jak nigdy dotąd, troskliwie okrył żonę baranicą, bo mu się jej żal zrobiło. Wiedział, że Rachela płacze teraz po cichutku, o Cynię się zamartwia. A czy on się o córkę nie martwi? Czy on o nich wszystkich się nie martwi? I o Rachełę, i o Hersza, i o Cynię. Czy za ostatni grosz nie posłał swojej córki do gimnazjum? Nie wynajął jej stancji w Zaleszczykach, w dobrej żydowskiej rodzinie. W tych sa-

mych Zaleszczykach, dokąd sam pan marszałek Piłsudski zjeżdżał na letnisko, nad Dniestrem w szezlongu wypoczywać. Cynia marszałka widzieć nie mogła, bo umarł, nim ona do tych Zaleszczyk uczyć się pojechała, ale on, Jasek, pana marszałka na własne oczy widział! Jechał sobie marszałek Piłsudski przez te Zaleszczyki w takim pięknym otwartym aucie. Policja ludzi odganiała, bo się pchali jeden przez drugiego, żeby pana marszałka oglądać. Jasek też mała kolbą od policjanta nie oberwał: „Gdzie się, parchu, pchasz, gdzie!” Parchu! Nawet nie „Żydzie”, tylko zaraz „parchu”. A Jasek chciał się tylko z bliska panu marszałkowi przypatrzeć. O jaka to szkoda, że Cynia nie mogła wtedy widzieć pana marszałka: pięknie wyglądał, z tymi wąsami, z taką świecą szablą, co się na niej podpierał. Jasek często o to zaleszczyckie gimnazjum córkę wypytywał:

- A czego mądrego cię tam uczą?

- Wszystkiego, tato - Cynia zaplatała warkocze przed lustrem, poprawiała biały wykładany kołnierzyk na granatowej marynarskiej bluzce.

- A co ty będziesz umieć?

- Tato! Dopiero jak skończę gimnazjum, po maturze, jeśli zdam na studia, to dopiero będę coś umiała.

- Dopiero po studiach? A ile to pieniędzy będzie kosztowało? I gdzie te studia będą? Może jeszcze na przykład we Lwowie albo w Krakowie nawet?

- A może w samej Warszawie? Oj, tato, potem będziemy się martwić. No to ja lecę! Powiedz mamie, że poszłam do Tłustego, do Hanki Rozenblatówny. - I ucałowała ojca w brodaty policzki. Oj, Cynia, Cynia... A ta Hanka Rozenblatówna to się raczej nazywała Janek Kalinowski! Jasek to nie martwiło tak bardzo, chłopak był grzeczny i też w gimnazjum uczony. Tylko Rachelę wzdychała czasami, że to goj ten młody Kalinowski.

- Tak jakby nie było dla niej dobrych żydowskich kawalerów! Taki na przykład, Kuba Lipszyc, adwokata syn! Albo taki syn doktora Kaminesa, co Mojszele ma na imię... Czy to nie mogliby być dobrzy

koledzy dla naszej Cyni? No, Josele, czemu nic nie mówisz? Czy ciebie nasza córka nie interesuje? Czy ty, Josek...

- Rachela! Kobieto! Przecież Cynia to jeszcze dziecko! Sama wiesz. Co tuja mam mówić, co?

- To ty sobie myślisz, że ja nie wiem, że nasza córka jest jeszcze dziecko? Jak ty brzydko myślisz o własnej córce?

- Kobieto! Daj ty mi święty spokój, ja już sobie lepiej nic nie myślę...

Taka ona jest ta moja Rachela, że lubi sobie dużo pogadać. A nawet pokłócić się lubi. A teraz, na przykład, udaje, że ona sobie śpi, a ja dobrze wiem, że ona płacze. Martwi się. A czy ona nie ma się czym martwić? Mieli coś, nie mają nic. Dokąd ich wiozą? A może, nie daj Bóg, Niemcom ich oddadzą? Wszystko w mocy Wszechmogącego! Tylko, co On może mieć przeciwko takiej biednej żydowskiej rodzinie jak nasza, żeby aż takie nieszczęście na nią sprowadzać? No, co On może mieć? Co? O Wszechmocny! Jeśli nasza Księga Żywota jest tam u Ciebie na górze naprawdę prowadzona, to ty lepiej przypilnuj, żeby żadnego szwindla w niej nie było... I żeby te nasze cierpienia były tam dokładnie zapisane. „Słuchaj, Izraelu! Pan jest naszym Bogiem! Pan jest jeden”...

W przeciwległym kącie wagonu umierała Jaworska. Nieprzytomna miotła się w gorączce, nieświadoma, gdzie jest i co się z nią dzieje. Męża wołała. Dzieciaki nie umiały matce w niczym pomóc. Najmłodsza, Marysia, cichutko popłakiwała. Adaś, niewiele od niej starszy, też płaczliwie pociągał nosem. Na Władku, najstarszym, trzymało się wszystko. Mama nieprzytomna, taty nie ma... Myśleli z mamą, że tata jest tam gdzieś, między saniami, chłopom pomaga. Ale gdzie tam! Kiedy śnieżycy ustała, kiedy stanęli przed stacją i zaczęli Rosjanie z milicjantami ludzi sprawdzać - taty nigdzie nie było. Mama tak się tym wszystkim zdenerwowała, tak się zmartwiła, że znowu ten straszny kaszel ją złapał i krwią płuć zaczęła. Władek wiedział, że mama choruje na suchoty, a jak zaczyna krwią płuć, to najlepiej zim-

ne jej pomaga. Złapał przygarść czystego śniegu i na chwilę jakoś pomogło. Do wagonu na ostatku ich wepchnęli, bo mama wciąż rozpaczała i za nic bez taty nie chciała jechać.

- Dalej, dalej, wsiadaj, kobieto, nie utrudniaj! A męża ci znajdziemy. U nas ludzie nie giną! Dogoni was, dogoni!

W wagonie ludzie mamę pocieszali.

- Nie martw się, Jadwiga, co to Tomasz, dziecko czy co? Sama widziałaś, jaki bałagan był przy tym załadunku. Na pewno w ostatniej chwili do innego wagonu wskoczył. Na pewno wskoczył. Staniemy na jakiejś stacji, to się do was przesiądzie.

Mamę znowu ten straszny kaszel złapał i znowu krew jej poszła. Krwi było coraz więcej. Władek nie mógł znaleźć żadnej szmaty i dopiero Dolinka dała mu ręcznik, który zaraz nasiąkł krwią. Mama prosiła pić, ale przecież niczego do picia nie było, bo niby skąd ludzie w wagonie mogli mieć jakieś picie? Władek naskrobał do garści odrobinę szronu przy drzwiach. Nic nie pomogło. Potem się to wszystko uspokoiło i mama nawet jakby usnęła. Młodsze dzieciaki trochę marudziły, bo chciały jeść. No to Honorka Unicka dała wszystkim po kawałku chleba z kiełbasą. Mama oddychała ciężko, ale wciąż spała. Władek krzepił się, jak mógł, choć i jego co chwila bral sen. Ciemność w wagonie jakby nieco zrzędała, poszarzała. Pociąg wciąż jechał. Władek najpierw pomyślał, że pewnie oczy mu się do ciemności przyzwyczaiły, a to świtało. Z rozespania zimny dreszcz przeleciał mu po plecach. Dookoła gęsto sdoczeni, poprzedzielani tobołkami leżeli lub siedzieli ludzie. Prawie wszyscy spali albo drzemali w półśnie. Co z matką? Mama! Jaworska leżała na wznak i nienaturalnie szeroko otwartymi oczami patrzyła w sufit wagonu. Władek dotknął lodowatego czoła, uniósł sztywną, bezwładną matczyną dłoń.

-Mamo! Mamo! Maamoo!...

Honorka Unicka odciągnęła Władka od matki. Ona też przymknęła Jaworskiej powieki, na twarz zmarłej chusteczkę narzuciła.

A pociąg wciąż mknął w zimową dal, beznamiętnie wystukując swoje tak, tak-tak, tak. Nie było żadnego sposobu, żeby go zatrzy-

mać. Nie pomogły głośnie wołania, nie pomagało walenie w ściany wagonu; nikt ich nie słyszał. A może nie chciał słyszeć? Próby wyważenia żelaznych przysłon malutkich podsufitowych okienek też im się nie udawały. Ludzie byli na granicy zdesperowania, kiedy pociąg zaczął zwalniać bieg i nareszcie stanął. Nie mieli pojęcia, gdzie stoją: na stacji czy pod semaforem. Znowu jednym wielkim głosem wołali, łomotali, czym mogli, w ścianę wagonu. Przycichli, kiedy na zewnątrz usłyszeli głosy:

- Cicho, tam! Cicho! A to strzelać budiem! Czto tam u was? Zaczęli wołać, krzyczeć jeden przez drugiego:

- Otwórzcie! Otwórzcie!

- Człowiek umarł!

- Podusimy się tu!

- Kobieta umarła w naszym wagonie!

- Wody! Wody nam dajcie!

- Dzieci wody proszą.

- Trupa mamy w wagonie!...

- Uspokójcie się tam! Niech jeden mówi, bo zrozumieć trudno. O co wam chodzi?

Daniłowicz poznał po głosie komisarza Leonowa, Skąd on tutaj, pomyślał. Ale odpowiedział:

- W nocy kobieta umarła. Trupa mamy w wagonie, panie komisarzu.

Leonów też go poznał.

- To ty, Daniłowicz? -Ja, panie komisarzu.

- To słuchaj mnie uważnie, a to, co ci powiem - ludziom wydu-macz. Nim otworzymy drzwi, przygotujcie tego nieboszczyka do wyniesienia. A kto to umarł?

-Jaworska umarła, z Czerwonego Jaru.

-Jaworska, mówisz... Trupa zaraz odbierzemy... Uprzedź ludzi, żeby mi się nie ważyli z wagonu wyłazić, bo żołnierze będą strzelać! Zrozumiałeś?



- Zrozumiałem.

W odsunięte raptownie drzwi wagonu wraz z mroźnym, czystym powietrzem uderzyła po oczach jasność słonecznego dnia. Konwojenci szerokim półkolem otoczyli wagon. Transport stał na dalekiej bocznicy jakiejś dużej stacji. W oddali dymiły kominy, widać było kamienice większego miasta. „Chyba Tarnopol”, wydało się Daniłowiczowi. Nie mylił się. O parę torów dalej, z boku, stał pociąg towarowy, przy którym kręciło się paru kolejarzy.

Owinięte w koc zwłoki Jaworskiej podali konwojentom.

- A co z dzieciakami? - spytał Daniłowicz.

- Niczewo... Na miejscu zdecydujemy.

Nawet paru kroków żołnierze niosący Jaworską nie zdążyli odejść, jak z wagonu wyskoczył Władek i podbiegł do nich. Za nim stoczył się na tory mały Adaś. Za Adasiem, żeby go ratować, niewiele myśląc - wyskoczyła Honorka Unicka. A za nią wyskakiwali inni, jeden przez drugiego. Jedni biegli do Jaworskiej, inni starali się nazbierać choć odrobinę śniegu, inni kucali przy wagonie za swoją potrzebą.

- Ruda! Kuda! - Leonów i żołnierze próbowali zagrozić ludziom drogę i zapędzić z powrotem do wagonu.

Sytuacja stawała się coraz bardziej dla konwoju niebezpieczna, bo oto nagle ożyły, dotąd milczące, sąsiednie wagony. W jednej chwili - od końcowego wagonu aż po lokomotywę - słychać było dobijanie się do drzwi, rozpaczliwe krzyki i nawoływania. Dopominano się powietrza i wody. Leonów kilka razy strzelał w powietrze i poganiał do energiczniejszych działań. Od czoła transportu pośpiesznie nadciągała pomoc.

- Wsiadać do wagonu! Wsiadać! Bystreje! Dawaj, dawaj!

- A co z dzieciakami? - krzyczała do Leonowa zdesperowana Honorka.

- Zabierajcie je z powrotem do wagonu! Do wagonu! No już, już!

- Gdzie te sieroty same pojedą? Matkę trzeba pogrzebać...

- Wsiadaj, Honorka! Adasia mi podaj!

Nim zatrzasnęli drzwi, Daniłowicz zdążył jeszcze zauważyć, że kilku polskich kolejarzy zbliżyło się do transportu i przystanęło parę kroków od zwłok Jaworskiej. Krzyknął więc, na ile głosu mu starczyło.

-JadwigaJaworska się nazywa! Jaworska!

Drzwi wagonu zasunięto z taką siłą, że odbiły się na chwilę, nim znowu powróciły na swoje miejsce. Po chwili pociąg ruszył. I dopiero wtedy spostrzegli, że w wagonie nie ma Władka Jaworskiego. Uciekł? Został przy matce? Z całej rodziny Jaworskich został w wagonie pięcioletni Adaś i najmłodsza Marysia.

Ludzie długo nie mogli się uspokoić. Najbardziej winiła siebie Honorka, że zajęta maluchami - Władka nie dopatrzyła. Baby nie ustawały w lamentach:

- Matka zmarła, ojciec się gdzieś zapodział, a teraz jeszcze ten najstarszy zaginął. Co te biedne sieroty będą teraz robiły?

- Sieroty! Sieroty! Mało to nieszczęść dookoła? Przestałybyście mleć jęzorami! - zdenerwowała się Honorka. - Lepiej by któraś z was choć łyk herbaty, wody czy czegoś do picia im znalazła.

Późnym popołudniem pociąg ponownie stanął. Na zewnątrz panowała cisza. Nie słyhać było tak charakterystycznych stacyjnych odgłosów.

- Pewnie gdzieś w polu albo pod semaforem stoimy...

- Zaczniemy walić w ściany, może choć na stronę nas wypuszczą.

Przecież tu nawet wysrać się człowiek porządnie nie może...

- Cicho, cicho! Słyszycie? Tak jakby sąsiedni wagon otwierali.

- Cicho! Idą w naszą stronę.

Szczęknał rygiel. Odsunięto drzwi. Konwojent ogłosił:

- Kto chce, może wyjść z wagonu za swoją potrzebą. Ale tylko na parę minut! I nie próbować uciekać, bo strzelamy bez ostrzeżenia! Jasne? Nu, dawaj, dawaj! Bystreje wychadi, bystreje!

Pociąg stał na rozjeździe małej stacyjki, w pustym polu. Konwojenci otwierali naraz tylko po dwa wagony. Wolno było odejść jedynie parę kroków od wagonu; wszyscy społem na jedną stronę. Konwojenci nie wypuszczali nikogo poza gęsty kordon. Jedynym

sposobem na odosobnienie było wzajemne przysłanianie albo wstydlive zamknięcie oczu... Nie było wody. Zbierali śnieg. Ludzie próbowali zagadywać konwojentów:

- Dokąd nas wieziecie?
- Ani wody, ani jedzenia...
- Zadusimy się w tej ciasnocie.
- Dzieci chociaż pożałujcie! Dzieci...

Konwojenci, młodzi żołnierze, milczeli. Starszy konwoju, podoficer zawodowy, widać był w dobrym nastroju, bo czasami odpowiadał:

- Dokąd was wieziemy? Jak zajedziecie, to się dowiecie. Niedługo będziecie mieli to, czego trzeba. I wodę, i czaj, i ciepło - wsio budiet! U nas niczego nie brakuje. A teraz wsiadać do wagonów, bo inni na swoją kolejkę czekają. Nu, dawaj, dawaj! Bystreje, bystreje...

Transport ruszył, jechali dalej. Dzielili się domysłami, spostrzeżeniami, krzepili wzajemnie nadzieją, wymieniali wieści zasłyszane od ludzi z sąsiedniego wagonu. Najsmutniejszą zdążył przekazać Danilewiczowi Janek Kurylak z Jakubówki, który jeszcze na stacji w Worwolińcach dowiedział się od znajomego ukraińskiego milicjanta, że Tomasz Jaworski wrócił do Czerwonego Jaru i tam się w stajni powiesił.

Noc. Transport stoi. Z odgłosów manewrujących pociągów, pogwizdujących, porykujących parowozów można się domyślić, że to jakaś wielka stacja. Sdoczeni w wagonach ludzie, zaczerwieni brakiem powietrza i smrodem, drętwieją w ciężkim półśnie, Kto nie może spać, ten przymyka powieki, byle choć odrobinę odgradzić się od ponurej rzeczywistości.

Staszka Dolinę z półsennego odrętwienia wyrwał długi, przeraźliwie głośny i chrapliwy ryk. Co to? Chłopak czegoś takiego nigdy dotąd nie słyszał. Co to może być? Ryk się powtórzył. Staszek domyślił się, że tak potwornie ryczą na tej nieznanej stacji rosyjskie parowozy.

Świt. Transport nadal stoi. W wagonach ludzkie nieszczęście zaczyna ożywać. Niemowlaki, a tych było kilkoro, popłakiwały - było im mokro i głodno. Maluchy, które już umiały nazwać mamę i tatę, prosiły, żeby wyprowadzić je na stronę, chciały jeść i pić.

W wagonie sdoczono prawie pół setki ludzi. W wagonie nie było wody. W wagonie nie było piecyka. W wagonie nie było świada. W wagonie nie można było otworzyć okna. W wagonie były na głucho zaryglowane drzwi. W wagonie były tylko cztery gołe ściany, dach i podłoga. W wagonie była tylko jedna dziura w podłodze o średnicy litrowego naczynia, bez parawanu, służąca za ubikację. Tak było w całym transporcie, który wyruszył ze stacji Worwolińce, w zaleszczyckim powiecie.

Poranek. Transport nadal stoi. Gwar w wagonie ucisza się natychmiast, kiedy ludzie orientują się, że na zewnątrz coś zaczyna się dziać. Obojętnie co. Wszystko ludzi uwieczonych w wagonach obchodzi, bo też wszystko może ich dotyczyć. Są bezwolni i zależą

od tych tam, na zewnątrz wagonu. Wszyscy zmieniają się w słuch, domyślają się wspólnie i szeptem komentują:

- Idą w naszą stronę!
- Po rosyjsku mówią?
- Co, co mówią?
- Cichooo!
- Z psami chyba...
- Mróz pewnie, śnieg skrzypi... -Cicho! Stanęli...

Na zewnątrz głos, który słyszą już wszyscy. I choć mówi po rosyjsku, rozumieją.

- Od tego wagonu zaczniemy?
- Dawaj, otwieraj drzwi.

Słyszą trzask odrzucanego skobla, chrobot, chrzęst odsuwanych drzwi. Ale to jeszcze nie w ich wagonie.

Domyślają się że to w wagonie stojącym blisko nich, chyba na przeciwległych torach.

- Spisok gotów?
- U mienia.
- Konwój?
- W poriadku!
- Togda dawaj, odkrywaj dwier!

Daniłowicz rozpoznał głos komisarza Leonowa. Odsunięty skobel. To w ich wagonie. Ludzie odskoczyli od drzwi; lepiej udawać, że to ich nic nie obchodzi. Jeszcze dalej odrzuciła ich mroźna fala powietrza i jasność dnia, które wdarły się do wagonu wraz z trzaskiem drzwi odsuniętych na całą szerokość.

Na przeciwległych torach stał transport towarowych wagonów, tyle tylko, że nieco większych. Wagony były radzieckie, z szerszym rozstawieniem osi. Tory szerokie - rosyjskie. Parowozy też były większe - rosyjskie, z czerwonymi gwiazdami na łbach. To one tak niezwykajnie dla polskiego ucha ryczały. Wagony, choć towarowe, ale jako tako były przystosowane do przewożenia ludzi na dalekie

odległości. W wagonie znajdowały się piętrowe, drewniane prycze. W wagonie, na samym środku, był żeliwny piec - burzujka. W wagonie pod samym sufitem były dwa niewielkie okienka, od zewnątrz zaryglowane na głucho żelazną okiennicą. W wagonie nie było wody. W wagonie nie było elektrycznego światła. Ale był gazowy kaganek. W wagonie była tylko jedna dziura w podłodze, o średnicy litrowego naczynia, bez parawanu, służąca za ubikację.

Tak było w każdym z pięćdziesięciu wagonów transportu, który stał na przeciwnym torze.

Ludzie otrząsali się z chłodu i czekali w milczeniu. Komisarz Leonów z trudem wdrapał się do środka. Zaraz za nim zgrabnie wskoczył młodszy od niego, wyższy, ubrany w biały kożuszek, w wołokowych walonkach, przystojny brunet. Też oficer. Daniłowiczowi się zdawało, że Leonów kilka razy zerknął w jego stronę. Ten nowy, w białym kożuszku, patrzył na wszystkich bez większego zainteresowania, sięgnął do parcianej raportówki i wyciągnął spis. Taką samą kartkę Leonów wyjął z kieszeni.

-Więc tak, obywatele przesiedleńcy. Więc tak... Słuchajcie uważnie, bo czasu na powtarzanie nie będzie. To jest wasz nowy naczelnik transportu. - Tu wskazał na tego nowego w kożuszku. - Jak to u nas mówią: „Gar, Boh i woiskij naczelnik!”

Temu w kożuszku nie drgnął na twarzy ani jeden muskuł. W odróżnieniu od Leonowa widać nie miał ochoty na żarty. Przeglądał spis. Leonów skończył surowym, rozkazującym tonem:

- Więc tak, obywatele przesiedleńcy: wyczytani zabierają wszystkie swoje rzeczy i przenoszą się do tego wagonu na przeciwko.

Któraś z kobiet nie wytrzymała, a zaraz za nią następne. Dotąd trwająca cisza zamieniła się w narastający harmider.

- A dokąd to jeszcze nas powieziecie?

- Myśleliśmy, że to już koniec tej naszej mordegi.

- Bez wody!

- Bez jedzenia!

- Gorzej niż świnie, bo nawet za swoją potrzebą wyjść nie można.

- Nad dziećmiakami się ulitujcie...

Nowy komendant transportu zdecydowanie wstąpił w swoje prawa. Na jego skinienie dwóch żołnierzy z karabinami podskoczyło do wejścia. Szczęknęły karabinowe zamki.

- Milczeć! Mołczać, grażdanie pieresieleńcy! Tu nie bazar. Wykonujemy polecenia władzy radzieckiej i żadnego oporu tolerować nie będziemy.

Umilkli, tylko jakieś dziecko, choć uspokajane przez matkę, głośno pochlipywało.

- A teraz wyczytani z listy przenoszą się do tamtego wagonu. Prędko, bez gadania i bez pytań. O wszystkim, o czym powinniście wiedzieć, zostaniecie w swoim czasie poinformowani. I uprzedzam. Przy każdej próbie niepodporządkowania się konwojowi, przy każdej próbie ucieczki żołnierze mają rozkaz strzelać bez uprzedzenia! Jasne?

Komisarz Leonów wyczytywał: nazwisko, imię, imię ojca. Nowy komendant na swojej liście zaznaczał wyczytanych. Wyczytani musieli natychmiast przenosić się do nowego wagonu.

- Dawaj, dawaj! Bystreje, bystreje!

- Ale, panie komendancie, walizki mi brakuje...

- Niczewo, bystreje, przesiadajcie się. A walizkę potem znajdziemy. W Związku Radzieckim, tak jak w przyrodzie - nic nie ginie.

Leonów czytał. Nowy sprawdzał. Żołnierze pomagali przedostać się z wagonu do wagonu starym i dzieciom. Schodków do wagonów nie było, wejścia oszronione, wysoko. A ludzie, jak to ludzie - najpierw denerwowali się tym, że ich przesadzają i powiozą dalej, teraz znowu zaczęli się niepokoić, że wyczytani w pierwszej kolejności lepsze miejsca w nowym wagonie pozajmują. Leonów czytał: Niski, Wrzosek, Żurek, Zelek, Szajna, Gruba, Dolina, Bialer, Ziemniak, Kurylak, Unicki...

Florek Unicki ciągnął do wyjścia jakiś worek. Honorka przepychała się z końca wagonu z Marysią Jaworską na rękę. Adaś trzymał się jej spódnicy. Unickiego przepuścili bez pytania. Honorkę zatrzy-

mał ten nowy.

- Wy Unicka Honorata?

- No, ja...

- A dziecko czyje?

- Moje, a bo co?

- Wasze? A ja tu w spisie nie mam waszych dzieci. Unickich jest tu dwoje. Unicki Florian to wasz mąż. I wy, Unicka Honorata. A dzieci tu nie ma. Czyje to dziecko? I ten mały czyj?

Honorka nie myślała ustępować.

- Moje są! To jest Adaś, a to jest Marysia. Teraz są moje, sieroty maleńkie.

- Sieroty? - dosłyszał Leonów. - Czyje sieroty?

- Niby to pan komisarz nie wie! Po Jaworskich to sieroty. Zaopiekowałam się nimi, no i teraz są moje.

Honorka otuliła Marysię przed chłodem, Adasia mocniej ujęła za rękę.

- To co, mogę już iść, bo mi się dzieci na tym przeciągu przeziębą? Nowy powstrzymał ją gestem ręki, nachylił się do Leonowa

i przez chwilę coś szeptem radzili. Honorce łzy zaszkliły oczy. Marysia cichutko popłakiwała. Adaś w kusym kubraczku trząśniętym z zimna. Kobiety, widząc, co się święci, znów nie wytrzymały i ujęły się za Honorką. Coraz głośniejsze, coraz bardziej zdecydowane.

- Przecież Honorka to ich krewniaczka!

- Ciotka nawet...

- Krewniaczka! Ma prawo do nich.

- Ona im jak matka rodzona...

Komisarze skończyli się naradzać i coś tam zapisywali. Nowy zbliżył się do Honorki.

- Ludzie mówią, że wy ich krewniaczka? Prawda to?

- Prawda, panie komisarzu, prawda! - Baby krzyczały jedna przez drugą.

- Cicho, obywatele! Obywatelkę Unicką pytam, a nie was. Kto wy dla tych dzieci będziecie?



- No..., ciocia! Nieboszczka Jadwiga, ich matka, i ja to...

- Nu charaszo, charaszo, niech będzie ciotka! U nas wsie takije cioci - to już odnosiło się do Leonowa. A potem znów do Unickiej. I do wszystkich ludzi w wagonie. - Obywatelko Unicka, tymczasowo powierzamy wam opiekę nad tymi dziećmiakami. Możecie przesiadać się do drugiego wagonu razem z nimi.

- Panie komisarzu, niech pana Bóg...

Z tej radości Honorka chciała go w rękę pocałować. Nowy cofnął się speszony.

Obserwując kłopoty Honorki, Jerzy Daniłowicz uświadomił sobie nagle, że i jego rodzinę może spotkać to samo. Przecież nawet teraz mogą oddzielić od niego żonę i synka! Nie ma dokumentów małżeństwa z Natałką, nie ma metryki syna. Jeśli Leonów nie umieścił ich w spisie. Co robić? Co tu zrobić? Cały strach i cała nadzieja w komisarzu Leonowie. I Jerzy zaryzykował.

- Bystreje, Wysocka, bystreje!

Wysocka nie mogła poradzić sobie z bagażem i niesfornymi chłopakami. Leonów cofnął się za nią w głąb wagonu. Nowy rozmawiał z żołnierzami konwoju. Ten moment był najstosowniejszy i Daniłowicz znalazł się obok Leonowa.

- Panie komisarzu, chciałem podziękować za żonę i synka. - Mówił to szeptem, a jednocześnie jego srebrny kieszonkowy zegarek z łańcuszkiem wślizgiwał się do kieszeni komisarza.

Leonów, zaskoczony, spojrzął spode łba na Jerzego, wkładając rękę do kieszeni. Ale zaraz ją wyjął i jak gdyby nigdy nic, zaczął ponownie pośpieszać Wysocką.

- Nu kak, Wysocka? Długo tam jeszcze?

Na moment tylko odchylił głowę do Daniłowicza i wysyczał przez zęby:

- Nu żesz ty, Daniłowicz... job twoju...

Wieczór. Nowy transport jeszcze stoi. Przez cały dzień trwał przeladunek zesłańców z polskich wagonów do rosyjskich. Ludzie już wiedzą, że stacja przeladunkowa nazywa się Szepietówka. Niedaleko

od polskiej granicy, ale już poza nią, w Rosji! Tak właśnie mówią: w Rosji. Nie mówią: Związek Radziecki, tylko Związek Sowiecki, a dla skrótu: Sowiety. Sowiety, sowiecki, Rosja, rosyjski. Dla ludzi z transportu Szepietówka przed wojną była już w Sowieciech, w Rosji.

- Wygląda na to, że nas już z Polski wywieźli?

- Ano. Tak wygląda.

- Gdzie to widziane, żeby Polaków z własnego kraju wywozić.

- A bo to kiedyś, za cara, nie wywozili?

- Do szkoły nie chodziłeś?

- O Sybirze nie słyszałeś?

- Znów rozdrapali nam Polskę. Z jednej strony Niemcy, a Rosjanie z drugiej...

- Nie ma już naszej Polski, to kto się teraz ujmie za takimi biedakami jak my?

- Jak to nie ma Polski? Z Polską, bracie, jest jak z tym lasem: „Nie było nas - był las, nie będzie nas - będzie las”.

- Dalby Bóg, dalby Bóg!...

Szepietówka. Śnieg obfity, mroźny szron nie mogły ukryć ubogiej okolicznej szpetoty. Widać ją było dookoła. Nawet na stacji. Na niewiele się zdały gęsto ponawieszane, byle gdzie i byle jak, czerwone transparenty i chorągwie. I liczne portrety Józefa Stalina. Lenin pojawiał się rzadziej. A jeszcze rzadziej dwóch brodaczy: Marks i Engels, o których ludzie z transportu mało co wiedzieli.

Na stacji przez cały dzień ryczały manewrujące parowozy. Ryczały też marszową muzyką olbrzymie, zachryple stacyjne głośniki.

W Szepietówce nareszcie pozwolono ludziom z transportu nabrać wody. Po dwóch, trzech z wagonu, objuczeni wiadrami, bańkami, garnuszkami, co kto miał - doprowadzeni przez konwój pod kolejową pompę - brali wodę. Woda! Nie bacząc na mróz, niektórzy od razu sycili pragnienie, myli ręce i twarze. Przy pompie była jedyna okazja spotkać się z ludźmi z innych wagonów, o coś popytać, coś usłyszeć, podzielić się nowinami. Niektórym poszczęściło się nawet zamienić parę zdań z kręcącymi się po stacji kolejarzami. Nowi kon-

wojenci, przeważnie młodzi żołnierze z poboru, głównie Rosjanie, nie umieli po ukraińsku, a co dopiero po polsku. Od samego początku byli regulaminowo surowi, zwłaszcza w obecności przełożonych. Łatwo było dostrzec, że boją się ich jak ognia. Wzajemnego zaufania do siebie też nie mieli. Na jedno baczyli zawzięcie, żeby, broń Boże, konwojowany im nie uciekł. Przy każdym wyjściu z wagonu i przy każdym powrocie recytowali głosem możliwie najsurowszym nakazaną im formułę:

- Uwaga! W razie próby ucieczki - strzelamy bez uprzedzenia! A co gorliwszy konwojent dodawał:

- W czasie drogi - krok w lewo, krok w prawo - strzelam bez uprzedzenia! Jasno! Togda marsz!

Ale nawet najsurowszy, najbardziej służbisty konwój przy takiej ludzkiej gromadzie wszystkiego dostrzec i dopilnować nie był w stanie.

Miejscowi kolejarze, Rosjanie i Ukraińcy, też nie wiedzieli, jaka jest stacja przeznaczenia worwolinieckiego transportu. Ale skoro przeładowano ich na szerokie tory, to wiadomo, że powiozą w głąb Rosji. Tylko dokąd?

- Takich transportów jak wasz jeszcze w Szepietówce nie było. Kobiety, dzieci! A za co was wiozą?

- Żebyśmy to wiedzieli! Zabrali z chałupy i wiozą.

- A komandiry mówią, że wy polskie pany, burżuje, pomieszczy-ki, przeciwko władzy radzieckiej się buntujecie.

- My pomieszczyki, burżuje? Coś mi się zdaje, człowieku, że moje portki mają na dupie więcej lat niż twoje.

- Nie, takich transportów jak wasz to my w Szepietówce dotąd nie widzieli... Owszem, jeszcze przed zimą na takie same transporty ładowano polskich oficerów, co tu w niewoli siedzieli, sporo, sporo ich było. Koszar nie starczyło, to tych waszych oficerów nawet po szkołach trzymali. Ale to rzeczywiście byli panowie! Mundury eleganckie, buty z cholewami... Od jednego to nawet zegarek sobie kupiłem. A dokąd ich stąd powieźli, też nie wiemy.

Rosyjskie wagony były znacznie większe, obszerniejsze. A co naj-

ważniejsze - miały prycze! Piętrowe, zbite z desek. Pierwsze kłótnie zaczęły się w transporcie o miejsca na pryczy. Najlepsze były na górze, przy samej ścianie. Gorsze na dole, zwłaszcza przy drzwiach. Najgorsze blisko kloacznej rury. Trudno, kto pierwszy, ten lepszy, i ludzie z tym prawem się pogodzili. Ale mimo to zrobili dwa wyjątki: dla matek z dziećmi przy piersi. Dla Natałki Daniłowiczowej i kolonistki, Hanki Zelkowej - miejsca na górnych pryczach się znalazły.

Najważniejsze, że były prycze!

Najważniejsze, że było odrobinę wody!

Najważniejsze, że mogli w piecyku rozpalić ogień!

Najważniejsze, że w ciemnościach kaganek karbidowy, świeczkę czy szczapę można było zaświecić!

Podzielili prycze. Potem dzielili wodę. Mało jej było na tyle ludzi, ale chociaż herbaty wszyscy mogli się napić. A przecież od paru dni się nie myli. Swary swarami, lecz i w tym wypadku kobiety zgodnym chórem uznały, że niemowlętom kąpiel się należy. Więc wydzielono młodym matkom dodatkowy garnuszek wody. Im też odstąpiono pierwszeństwo, żeby sobie tej wody na piecyku zagrzały. Ale już o następną kolejność postawienia garnuszka zgody za wielkiej nie było. Wyklócali się, gdzie zgromadzić bagaże, bo każdy chciał je mieć blisko siebie, komu ile miejsca należy się na pryczy, kto z kim chciałby sąsiadować.

Noc. Transport wciąż stoi. Na zewnątrz hałas przejeżdżających obok pociągów, porykiwanie rosyjskich parowozów. W wagonie ludzie poukładali się jakoś, miejsca dla siebie znaleźli, śpią. Ale nie wszyscy. W przejściu pomiędzy pryczami żarzy się rozpalony do czerwoności piecyk. Błogie ciepło rozplywa się kręgami po wagonie. Nie wszędzie dociera, ale zawsze do piecyka można podejść, wyciągnąć dłonie i choć na chwilę się ogrzać. W otwartych drzwiczkach piecyka przelewają się, migają złocistoczerwone smugi płomienia. Ogień! Daje ciepło i przyciąga jak magnes.

Wokół piecyka zgromadzili się mężczyźni. Kopcą podolski tabak

samosiejkę i półgłosem, żeby śpiących nie pobudzić, gadają, gadają.

- No i jakoś się pomalutku wszyscy poukładali. - Manterys, pogrzebał w piecyku, ruszył iskry i szczapą przypalił skręta. - Jeszcze trochę, a w tamtych wagonach chybabyśmy się podusili. Tu też nie za luźno, ale zawsze...

- To ja wam, chłopcy, powiem, że z tym luźno czy nie luźno, to jest tak, jak to było z jednym Żydem, co miał kłótniwą żonę i kopę dzieci, rabinem i kozą... - Bialer grzał zgrabiałe ręce i opowiedział im ten kawał. Porechotali chwilę.

- To nie przymierzając, z tym twoim Żydem i kozą było tak jak teraz z nami; cieszymy się niby głupki, że wagon mamy większy.

- Tylko szkoda, że nie ma takiego rabina, by nam w tym nieszczęściu coś mądrego doradził.

- Cholera, wy, Żydy, to wszystko potraficie jakoś sobie wydumaczyć.

- I wszędzie wam dobrze.

- No tak! Takiś, Josek, niby mądry, to czemu dałeś się wywieźć? Nie mogłeś to na czas u tych twoich żydowskich komisarzy w Tłu-stem czy nawet w Zaleszczykach rady poszukać? Na pewno by ci pomogli, jak to Żyd - Żydowi.

- A bo to może nieprawda? Jak tylko Sowietci do nas weszli, to kto ich w Tłustem witał? Same Żydy i Ukraińcy!

- Ja tam nikogo nie witałem - bronił się Josek - ani za Polski, ani za Sowietów. Bóg dał żyć, to sobie żyłem. Bóg żyć pozwoli, będę sobie żył. Wszystko w ręku Najwyższego!... Niech każdy sam za siebie odpowiada. A słyszanego nie można porównać do widzianego! Czyś ty mnie, Manterys, widział, żebym ja kogoś w tym Tłustem witał. Nu?

- Ma rację! Co to, chłopcy, nie znacie Joska? Tyle on ma z komisarzami, co ja z księżną Lubomirską! Żydy, Żydy! A co to, może nie było w Tłustem takich Polaków, którzy też Sowietów witali?

- Kogo masz na myśli? Derenia?

- A choćby i jego! A Dąbrowski to niby nie witał? Nawet mowę na rynku głosił.

- Dziady zasrane i komunisty! Mało to się ten Dereń przed woj-

na policji nasiedział? Za komunizm go ciągal.

- Komunisty czy nie komunisty, ale Polaki i już! To jak to wrogów, co na Polskę napadły, witać?

- Ale i tak te czerwone kokardy gównu im pomogły! Ot, obydwaj jadą teraz, jak te trusie, w tym samym transporcie co my.

- Niemożliwe! To ich też zabrali?

- Sam w Szepietówce z Dereniem gadałem tak jak teraz z wami.

- Tak to nieraz w życiu jest. Chłopy, a pamiętacie tego Balikowe-go wilczura?

- Zły jak cholera, mało mi kiedyś portek nie potargał.

- Wyszkolony! Karol go od policjantów w Tłustem kupił.

- No to teraz sobie pomyślcie, że ta psina od samych Worwoli-niec leciała za naszym pociągiem aż do Tarnopola! Tam, gdzie my nieboszczkę Jaworską zostawili.

- Nie opowiadaj!

- Bih me, że tak było... Znalazł Karola, wył, czekał przed wagonem, a jakiś zajebany bojec go zastrzelił...

- Wierna psina.

- Jak to pies. Tak się przecież mówi: „wiernyjak pies...”

- A słyszeliście, że dziadek Kalinowski pomarł?

- Świeć, Panie, nad jego duszą!... Jak, kiedy?

- Jasiek Kalinowski przy pompie mi mówił... Zaraz na drugą noc, kiedyśmy z Worwoliniec ruszyli, to jak dziadek usnęli, tak się już nie obudzili.

- Za babką poszli.

- I tak jak naszą Jaworską, wynieśli dziadka Kalinowskiego z wagonu i gdzieś tam na śniegu zostawili.

- Bez księdza, bez chrześcijańskiego pochówku...

- Babka Kalinowska, Jaworski, Jaworska, dziadek Kalinowski, z małym Władkiem też nie wiadomo, co się dzieje.

- Ledwie parę dni minęło, a już tylu naszych z Czerwonego Jaru żeśmy pogubili.

Dwie doby minęły od ostatniego postoju. Ludzie zamknięci w wagonach nie widzieli świata Bożego, brakowało im wody, opału, nie mówiąc już o kawałku chleba czy ciepłej stawie. Transport, jeśli nawet przystawał, to zazwyczaj w nocy, na oddalonej boczniczy. Na każdym dłuższym, zwłaszcza nocnym postoju zesłańców budziło hałaśliwe bieganie po dachu i walenie młotkami o podłogę od spodu wagonów. To konwój sprawdzał w ten sposób, czy zesłańcy nie przygotowują sobie możliwości wydostania się z wagonu, ucieczki z transportu. Wieziono ich po złodziejsku, skrycie, wszelkimi sposobami izolując od miejscowej ludności. Przez pierwsze tygodnie podróży było to szczególnie widoczne i uciążliwe.

Transport zatrzymano na dłużej dopiero w Kijowie. Stał po wschodniej stronie Dniepru, na wielkiej rozrządowej stacji w Darnicy. Za każdym razem, kiedy szczekał wagonowy rygiel i skrzypiały przymarzniałe drzwi, ludzie nie wiedzieli, co ich czeka i czego się spodziewać. I w dalszym ciągu nie mieli pojęcia, gdzie ma być kres ich wędrówki, dokąd ich wiozą i co ich tam, w tym nieznanym czeka. Pociąg stawał, drzwi skrzypiały, ludzie czekali w napięciu: a może to właśnie teraz, już? Tymczasem drzwi się otwierały i konwój rutynowo obwieszczał:

- Tri czelowieka, dwa wiedra i mieszok! Będziemy fasować produkty. Bystro, dawaj, bystro, bystro!...

Opał, prawie zawsze przemarzniały miał węglowy, fasowano osobno. Wtedy polecenie konwojentów brzmiało krócej:

- Dwa czelowieka za uglom! Bystro, bystro! Dawaj, dawaj...

I za każdym razem padało owo sakramentalne ostrzeżenie:

- Wnimanje! W razie próby ucieczki - konwój strzela bez uprzedzenia!

W Darnicy zaczęto od sprawdzania listy obecności. Do wagonu wdrapał się pomocnik komendanta, pucołowaty, krótkonogi grubasek. Zarządził, żeby wszyscy, łącznie z niemowlakami, przemies'cili się na jedną stronę wagonu.

- Sprawdzać będziemy, czyście się nie pogubili! - zażartował. Kazał żołnierzowi przeszukać opuszczoną część wagonu. Żołnierz zaglądał, gdzie się dało, i nie znalazł nikogo.

- Charaszo! - ucieszył się starszyna. - A teraz wyczytani przechodzą z powrotem na swoje miejsce.

Starszyna czytał, odfajkowywał na liście, żołnierz liczył. Nikogo nie brakowało. Nikogo obcego też nie znalazł.

- Panie! - zaatakowały go kobiety. - Wody przynajmniej nam dajcie! Nad dzieciakami się zlitujcie! Jak długo jeszcze będziemy się tak męczyć? Dokąd nas wieziecie?...

- Cicho, baby, cicho! Wsio budiet! Tylko spokojnie, tylko spokojnie!

- „Wszystko będzie, wszystko"... Nic, tylko obiecujecie, a my tu niedługo wyzdychamy i będziecie mieć spokój!

- Spokojnie, baby, panowie grażdanie! Jak mówię, że wszystko będzie, to będzie. A to niby po co listę sprawdzałem? Trzeba wiedzieć, ile chleba, ile porcji zupy wam przydzielić.

- Węgla nie mamy!

- No widzicie! Wszystko trzeba dokładnie policzyć. Władza radziecka lubi porządek. To nie tak, jak tam u was było, w tej pańskiej Polsce... A komendanta wagonu macie?

-Jakiego znowu komendanta?

- A niby po co nam jakiś komendant?

- No widzicie! Krzyczycie, a nie jesteście przygotowani. Komendanta nawet nie macie! A komendant wagonu, dawni panowie, a dzisiaj obywatele, jest wam potrzebny po to, żeby ktoś za porządek



w tym waszym kolektywie odpowiadał! Ot, żeby na ten przykład komendant za każdym razem ludzi po prowiant czy tam po opał wyznaczył, żeby wam porcje sprawiedliwie podzielił... Jasne? No, to zamiast krzyczeć, najpierw wybierzcie sobie komendanta, a ten niech wydzieli paru ludzi, bo niedługo będziemy prowiant pobierać! Nie ma się co tak denerwować.

Zadowolony z siebie, starszyna wyskoczył z wagonu. Drzwi zasunięto, skobel zapadł na swoje miejsce.

Komendantem wagonu bez większych sporów okrzyknięto Dani-łowicza. Chciał czy nie chciał, nie wypadało ludziom odmówić.

- A skoro już taka wasza wola, to musicie mnie słuchać, bo nie zamierzam z każdym z osobna się użerać. Dzieciarnia też, bo pasa nie pożałuję.

- A pewnie, bo też rozbrykało się to jak źrebięta na łące.

- Teraz przygotujmy sobie wiadra, worki, co tam kto ma przydatnego, żebyśmy mieli pod ręką, jak nas wywołają. Może rzeczywiście nam coś wreszcie dadzą.

Do prowiantu wyznaczył Zelka, Malinowskiego i siebie. Chciał poznać za pierwszym razem procedurę pobierania żywności, a przy okazji rozejrzeć się po świecie. Po opał i wodę wyznaczył Korczyńskiego, nauczyciela z Tłustego, Bronka Szuszkiewicza i młodego Szajnę.

Karol Korczyński dobiegał czterdziestki. Wieku nie było po nim widać; szczupły, wysportowany, średniego wzrostu. W Tłustem od lat uczył polskiego i historii. Przed wojną był kierownikiem szkoły. Na wojnę powołania nie dostał; inwalida, ranny w dwudziestym roku, na wojnie polsko-bolszewickiej. Kawaler. Razem z nim na zesłanie jechała matka, starsza, siwiuteńka i cichuteńka, nikomu niewadząca pani.

Najpierw wywołano po węgiel i wodę. Ranek był słoneczny, mroźny. Ostre powietrze zatykało niedodone płuca. Korczyński głęboko odetchnął, przetarł łzawiące oczy i oswoiwszy się z jasnością dnia, z ciekawością rozejrzał się dookoła. W oddali widać było wiel-

kie miasto na wzgórzach, urwistą skarpe brzegową, a na niej wśród parkowych oszronionych drzew połyskujące w słońcu złocistozielone, charakterystyczne cerkiewne kopuły. Korczyński nie żywił wątpliwości, że ma w zasięgu wzroku wysoki brzeg Dniepru i miasto Kijów.

Węgla i wody im nie żałowano. Szuszkiewicz ugiął się pod metrowym workiem, Korczyński z Szajną dźwigali wielki baniak i dwa wiaderka wody. Transport stał na dalekiej, odludnej bocznicy. Nie było widać miejscowych. Nawet kolejarze, zwykle ruchliwi i ciekawi, się nie pokazywali. W składzie węglowym, przy wodociągu i po drodze spotykali się tylko z ludźmi z innych wagonów. Konwojenci baczili pilnie, żeby im ktoś nie uciekł, natomiast w rozmowach nie przeszkadzali.

Ten sam konwój poprowadził Daniłowicza, Zelka i Malinowskiego po prowiant. Daniłowicz rozglądał się za znajomymi. Zelek nie tracił nadziei, że przy tej okazji uda mu się zdobyć odrobinę mleka dla córeczki, bo jej matka z dnia na dzień traciła pokarm i niemowlak nił w oczach. Malinowski martwił się, czy im aby na ten prowiant naczyń wystarczy.

- Za cara, Panie Świąty, Moskale, czego jak czego, ale żarcia, Panie Świąty, to nam nie żałowali.

Malinowski, w czasie pierwszej wojny austriacki żołnierz cesarza Franciszka Józefa, trafił był do rosyjskiej niewoli i lubił o tym przy lada okazji opowiadać.

Żywność wydawano w baraku, niedaleko wiaduktu. Łatwo było się zorientować, że niejeden transport już się tutaj zaopatrywał. Kuchnia była zorganizowana po wojskowemu i żołnierze w niej kucharzyli. Najpierw wydano im chleb, po pół kilograma na osobę. Chleb żytni, pieczony w blaszanych, prostokątnych brytfankach. W następnym okienku odmierzone im dwa wiaderka gęstej jaglanej kaszy, okraszonej tranem.

- To już wsio? - zdziwił się Malinowski. I przy okazji spróbował zagadać po rosyjsku.

- Wsio, dziadku, wsio! - Uśmiechnął się szef kuchni, nadzorujący kucharzy wąsaty starszyna. - Należy się po dwa wiaderka na wagon. Norma, dziadku, norma.

Zelek poprosił starszynę:

- Panie, dajcie mi trochę mleka. Dla córeczki, niemowlak jeszcze, przy piersi. Choć odrobinę, z pół garnuszka...

- Takie małe rebionko ma - swoim nieporadnym rosyjskim próbował pomagać mu Malinowski.

Starszyna nie bardzo ich rozumiał, pojął dopiero, kiedy Zelek wyciągnął z kieszeni i pokazał mu małą buteleczkę na mleko.

- A, mleka chcesz? A skąd ja ci tu wezmę mleka! - Starszyna bezradnie rozłożył ręce.

- Dziengi dam, czasy. - Zelek błagał ze łzami w oczach. Milczący dotąd konwojent odepchnął go od okienka.

- Nu, chwatit! Bierzcie się za naczynia i idziemy. Bystreje, dawaj, bystreje.

Sprawiedliwie, bez większych grymasów i swarów, podzielili to skromne pożywienie. Chleb pokroili na porcje, kaszę odmierzali półlitrowym garnuszkiem. Smakowali bardziej, niż jedli, bo ciekawi byli tego pierwszego, obcego posiłku. Popijali kwaśny chleb wodą. Kto miał cukru trochę, słodził, inny zadowalał się szczyptą soli. Zaczął się drugi tydzień podróży, kończyły się resztki domowego jadła. Najczęściej były to kawałki solonej słoniny, sadła, okruchy zeschniętego sera, resztki zjełczalego masła w glinianym dzbanuszk. Kto z nich miał czas i głowę do tego, żeby się na drogę zaopatrzyć jak należy? Brali ludzie na łapu-capu, co im akurat pod rękę trafiło. A zresztą kto z nich mógł przewidzieć, że będą ich więzili tak długo.

Jedzenie jedzeniem, ale ludzi w wagonie najbardziej interesowało, co tam na zewnątrz się dzieje, co widzieli, czego dowiedzieli się ci, którzy chodzili po zaopatrzenie. Więc jeden przez drugiego opowiadali. I choć nowości przynieśli sporo, wciąż wśród nich nie było tej najważniejszej, na którą ludzie od pierwszych chwil wysiedlenia oczekiwali: dokąd i po co ich wiozą?

Milczał na ten temat nieprzystępny komendant transportu. Milczeli żołnierze konwojenci, którym wyraźnie zabroniono wszelkich pozasłużbowych kontaktów z zesłańcami, a którzy najpewniej sami o stacji docelowej nie byli poinformowani. Najbardziej rozmowny z ochrony, pomocnik komendanta, „Grubasek”, jak go ludzie zdążyli ochrzcić, zbywał ich pytania żartami.

Nic pewnego powiedzieć nie mogli, zazwyczaj dobrze poinformowani, kolejarze, z którymi od czasu do czasu udawało się parę zdań wymienić.

Ludziom w zamkniętym, pędzącym w nieznane transporcie nadal pozostawały jedynie domysły i plotki.

-Jedno tylko jest pewne, że dzisiaj staliśmy w Kijowie, na wschodnim brzegu Dniepru. A z tego by wynikało, że wciąż na wschód nas wiozą.

- Daleko to od naszych stron będzie?

- Oj, daleko już, daleko.

- Na wschód nas wiozą... A co tam na tym wschodzie może być, panie Korczyński? Co nas tam może czekać?

- Na wschodzie? Moi kochani, wschód Rosji jest ogromny!... Stepy, wielkie rzeki, góry, lasy, nawet morza... Na wschodzie Rosji jest również Sybir.

Korczyński umilkł, bo zląkł się samego siebie, że w złą godzinę wypowiedział tę złowieszczą dla Polaków nazwę: Sybir! Dodał więc szybko, żeby ludzi nie pozbawić nadziei, nie trwożyć do reszty.

-Ale, moi drodzy, do tej Rosji to jeszcze strasznie daleko. Jesteśmy na Ukrainie. Może akurat tutaj nas gdzieś wysadzą? Ziemie tu żyzne, prawie takie jak u nas, na Podolu, możemy się na roli przydać.

- To prawda, na czym, jak na czym, ale na ziemi to robić umiemy.

- I po ukraińsku bałakamy jak po swojemu.

- Możemy u nich trochę porobić, czemu nie... A da Bóg, kiedy nasza Polska wróci, to i my z powrotem, na swoje, do domu.

Zadumali się, zamilkli na chwilę. Z tej ciszy wyrwał się Broniek Szuszkiewicz.

- A słyszeliście nowinę: Jasiek Kalinowski im uciekł.
- Jak to uciekł? Przecież jeszcze w Tarnopolu z nim gadałem!
- Dokąd, kiedy?
- A kto ci to mówił?

- A przy węglu spotkaliśmy ludzi z ich wagonu. Stanisław Bolek tam był, stary Rydz i Janek Majka. Pan kierownik Korczyński przecież też to słyszał. A uciekł na tej stacji, co nas tam do ruskich wagonów przeładowywali. No, w tej... Szpietówce czy jak. Dopiero dzisiaj rano, jak przyszli te spisy sprawdzać, to wykryli, że Jaśka w wagonie nie ma. Podobno za karę ten nowy komendant starego Kalinowskiego pod bronią zabrał z wagonu i dokądś tam poprowadził, przesłuchanie jakieś.

- Jasiek wciąż się odgrażał, że im i tak ucieknie. Taki już był, od małego nie bał się nigdy niczego i nikogo. A uparty! Ciekawe tylko, dokąd uciekł? Rodziny nie ma...

- Dokąd? A do tej swojej Oksany, na ten przykład.
- Do tej czaruli z Worwoliniec?
- Człowieku, przecież on za nią świata nie widział.

Noc. Wtulona w nędzne poślanie na twardej pryczy, Cynia bezgłośnie płakała. Trzeba było ją widzieć, kiedy usłyszała o ucieczce Janka Kalinowskiego. Zmieniona na twarzy, niepostrzeżenie usunęła się spośród ludzi i zaszyła w swoim kącie. Janek uciekł! Uciekł z miłości do Oksany. Wiedziała to, czuła dziewczęcą intuicją. Zresztą on sam nie krył się przed Cynią z tą miłością. Na stacji w Worwolicach Cynia specjalnie wsiadła do tego samego wagonu, do którego załadowano rodzinę Kalinowskich. Chciała być razem z Jankiem, a to pragnienie było silniejsze od wszystkiego. To była ich jedna jedyna wspólna noc. Pośród ludzkiego nieszczęścia, w ciemności zadoczonego do bezmiaru wagonu, oni byli tylko sami ze sobą. W tę jedną jedyną noc. Przycupnęli w kącie. Janek otulił Cynię swoją kurtką. Zwierzał jej się długo. Płakał na jej ramieniu z miłości do tamtej, do Oksany. Cynia czule głaskała go po policzkach i też płakała z miłości do niego. A potem nie pamiętała nawet, jak to się stało, całowali się i pieścili przez całą noc. A kiedy transport się wreszcie zatrzymał i Cy-

nia przesiadała się do swojego wagonu, Janek pogładził ją na pożegnanie po włosach, czule ucałował:

- Celinka, nie gniewaj się na mnie, proszę. Bardzo, bardzo cię lubię. Jesteś mi jak siostra, a może więcej nawet. Ale Oksana... I wiesz, ja im z tego transportu ucieknę. Nie wytrzymam. Muszę!

No i dotrzymał słowa, uciekł. Jaśku, Jaśku jedyny...

Transport zmierzał na wschód. Została w tyle Ukraina, zaczęły się niezmiernie stepowe równiny centralnej Rosji. Co dwa, trzy dni zesłańcy otrzymywali opał, wodę i liche pożywienie. Wszędzie oczekiwała ich taka sama, widać dokładnie i od dawna wypraktykowana, procedura zaopatrzeniowa. Ale nie wszędzie zaopatrywano transporty jednakowo. Gdzieś tam brakowało opału, wtedy męczyli się w zimnie, bez możliwości przegotowania garnuszka wody, aż do następnego postoju. Z wyżywieniem też rozmaicie bywało. Zdarzało się, że poprzedzający ich transport podobnych nieszczęśników wziął swoje, a dla nich już nie starczyło. Chleb był różny, od glinopodobnego, kwaśnego, z otrębami, do podpłomyków z kukurydzianej mąki. Nie zawsze dotrzymano półkilogramowej normy na głowę. Kasza, kasza i kasza; jaglana albo jęczmienna, jęczmienna albo jaglana. A czasami jeszcze wodnisty kapuśniak, zwany z rosyjska: „szczy”.

Po tych kapuścianych „szczynach” ludzie dostawali wzdęć i biegunki. Kilka razy była jakaś lura ze śmierzącym tranem. Czasem oszronione grubą solą, przygnięte śledzie. Tylko wody im nie żałowano, więc czerpali jej na każdej stacji, ile i w co się dało, zwłaszcza „kapiatok”, wodę gorącą, gotowaną. Na postojach nie wolno im było opuszczać wagonów, nie mówiąc już o kontaktach z miejscową ludnością. Mijał tydzień, drugi, zaczął się trzeci; przymusowa podróż w nieznaną dłużyła się ludziom nieskończenie. Ciasnota, zaduch, brak ruchu, brak higieny, niedożywienie, zimno i wciąż ta dręcząca niepewność dalszych losów doprowadziły uwiezionych w transporcie zesłańców na skraj wyczerpania fizycznego i psychicznego. Ludzie zaczęli chorować, umierali. Nie było postoju, żeby z któregoś

wagonu nie wynoszono trupa. Transport ruszał w swoją drogę, a zwłoki zostawały samotne, zamarzające na przytorowej boczniczy, czekając na zmiłowanie miejscowych władz.

Transport zmierzał na wschód. Woroneż, Saratów, Wołga „matuszka reka”. Śnieżne bezkresne dale, rzadkie, liche osiedla, ni to wioski, ni to miasteczka. Rosja, bezkresna Rosja... Tak naprawdę ludzie z transportu niewiele o niej wiedzieli. Co to za kraj, co to za ludzie?

Zesłańcy, którzy pod konwojem wychodzili na stacjach po zaopatrzenie, spotykali miejscowych, najczęściej kolejarzy i robotników kolejowych, rzadziej pasażerów i przygodnych stacyjnych bywalców. Rzucali im się w oczy, jak tu wiele kobiet pracowało na stacjach. Opatulone grubymi chustami, w watowanych spodniach i walonkach, naprawiały tory, czyściły zaśnieżone, zamrażnięte rozjazdy, ładowały i rozładowywały towarowe wagony. Niewiele z tych przypadkowych spotkań wynikało. Miejscowi bali się konwojentów, nie zbliżali się do transportu, a zagadywani, albo nie bardzo zesłańców rozumieli, albo unikali z nimi rozmów. Sprawiali przy tym wrażenie, że tego typu transporty z ludźmi przewożonymi całymi rodzinami w bydłych wagonach wcale ich tak bardzo nie dziwią. Czasami pytali:

- A kto wy tacy? Skąd?

- Polacy. Z Polski nas wiozą.

- Aaaa!... - Kiwali rozumiejąco głowami i zaspokoivszy pierwszą ciekawość, zazwyczaj na tym poprzestawali. Ale zdarzało się też, że po owym, wyrażającym jednocześnie zrozumienie i zdziwienie, przeciągłym „aaa”, można było usłyszeć:

- Aaaa!... Burzuje, znaczy się, polskie pany z zachodniej Ukrainy! Czasami punkty fasowania żywności mieściły się tuż przy stacji.

Wówczas przy bardziej tolerancyjnym konwoju można było nieco więcej zobaczyć, czegoś się dowiedzieć, a nawet coś w przystacyjnym kiosku kupić.

Na wszystkich stacyjnych budynkach wisiały ogromne portrety Stalina, z ręką wyciągniętą jak do błogosławieństwa. Czerwone transparenty z powtarzającymi się hasłami: „Da zdrowstwujet wielikij



Stalin!" „Niech żyje radziecka, stalinowska konstytucja!" „Niech żyje władza radziecka!" „Niech żyje Kraj Rad!" „Niech żyje towarzysz Stalin, twórca wszystkich naszych zwycięstw!"

Zdarzyło się parę razy, że na przeciwległym torze stawał transport wojskowy. Takie same towarowe wagony przystosowane do przewożenia ludzi, tyle tylko, że wypełnione żołnierzami. Platformy z czołgami, taborami, artylerią. Zesłańcy jechali na wschód. Żołnierze - na zachód. Kontaktu między nimi żadnego. Zesłańców pilnowali konwojenci. Żołnierzy - wojskowe posterunki i patrole. Żołnierze, nie bacząc na mrozy, grali na harmoszkach, śpiewali:

*Na granice tuczi chodiat chmuro*

*Kraj surowej tiszynoj obniat,*

*Tri tankista, tri wiesiotych druga...*

Śpiewy, tańce, przysiady na zaśnieżonym peronie. I koniecznie „Katusza!"

- Dokąd tyle tego wojska jedzie?

- Z Finami wojują. -Armaty, samochody, czołgi...

- Może jakaś nowa wojna?

- A może Zachód ruszył?

- Może na świecie o Polaków się upomnieli?

- Akurat, ktoś się tam o ciebie upomni!

- O mnie może i nie, ale o Polskę!

- O Polskę, o Polskę!... Polskę też tam mają w wielkim poważaniu. Gdyby chcieli, mogliby nam we wrześniu pomóc.

Bezkresny, zaśnieżony, równy step zastąpiły lesiste, kamieniste góry. Transport był już na Uralu. Im dalej na wschód, tym zima stawała się bardziej śnieżna i mroźna. Nie wiedzieli, że właśnie zeszłej nocy minęli geograficzną granicę między Europą i Azją.

Na Uralu Józek Zelek zostawił bez pogrzebu ciało swojej paromiesięcznej córeczki, Rózi. Nie udało mu się zdobyć dla niej mleka: Hanka, żona, najpierw pokarm w piersiach zakwasiała, potem całkiem

straciła. Przez jakiś czas starała się dokarmiać Rózię Natałką Daniłowiczową. Odstawiała od piersi swojego Andrzejka, wrzeszczącego i wiecznie głodnego, i przystawiała do piersi Rózię. Ale Rózi niewiele już to pomogło. Nie miała sił ssać, wypluwała pierś Natałki, i cichutko kwiliła. Płakała Hanka, płakała Natałka, chlipały baby w wagonie. Józek zgrzytał zębami, kłął Boga i ludzi, ale poradzić nic nie mógł. Konwojenci nie reagowali, komendant o jego prośbach o mleko nie chciał słyszeć: „Niet małaka. Nie należy się”. Tej nocy, zmorzony nieustannym czuwaniem, Zelek zapadł w kamienny, niekontrolowany sen. Kiedy się ocknął, ludzie krzatali się już przy swoich sprawach. Zerknął, gdzie Hanka z córeczką. Żona leżała obok, tuląc do piersi małą, i coś tam sobie pod nosem mruczała. Józek nachylił się ku niej.

- No i jak tam Rózia?

Hanka nie odpowiedziała, tuliła małą i cichutko nuciła kołysankę:

*Oj uśnij mi, uśnij albo mi urośnij,*

*Bo możesz mi się przydać wołki w pole wygnać...*

- Hanuś, słyszysz? Jak tam Rózia, jadła co?

Rozpalone ciało, odsłonięte obwisłe piersi żony i lodowata, śmiertelnie sztywna, przyciśnięta do niej główka Rózi. Dziecko nie żyło!

Rózię Zelkównę zostawili na peronie w Czelabińsku. A jej matka zwariowała. Początkowo wszyscy myśleli, że to jej minie; wiadomo, szok po śmierci dziecka. Z trudem wyrwali jej z objęć martwe niemowlę. Potem przez parę dni była nieprzytomna, a kiedy wreszcie wróciła do niej świadomość, była to już nie ta Hanka. Nie poznawała nikogo, nawet męża, nie wiedziała, co się z nią dzieje i na jakim świecie żyje. Któregoś wieczoru w napadzie szału rzuciła się na Natałkę, karmiącą akurat swojego synka. Mężczyźni z trudem sobie z nią poradzili. Napady agresywnego szału powtarzały się, by po chwili spokoju wybuchnąć ze zdwojoną siłą. I ten jej straszny, przejmujący, skomlaący, nieustanny krzyk. Dwa dni i dwie noce pociąg biegł, nim przystanął w Omsku. Wtedy Zelkową zabrano. Mówili, że do szpitala. Józkowi nie pozwolono pojechać z żoną.

- Spakojno, pan, spakojno... Żonę wam wyleczymy i przyjedzie do was. A wam z transportu ruszać się nie wolno. Nie martw się, żona rzecz nabyta, dziewczuszek charoszych na świecie nie brakuje.

Nie dokończył, bo rozjuszony Józek straszliwym uderzeniem zwałił wesołego pomocnika komendanta z nóg. Zakuty w kajdany, zбитy i skopany Zelek zabrany został do wagonu konwojentów.

Noc. Która to już wagonowa noc? Ludzie pomału tracą rachubę czasu, nie wiedzą: wtorek dzisiaj czy już niedziela? Niedługo miesiąc, jak wiozą ich w nieznane. Tłoczno, ciasno, rodzina przy rodzinie, starcy, dzieci, młodzi, chłop przy babie, ciało dotyka ciała. Jeśli na tych legowiskach dzieli ich cokolwiek od siebie, to pierzyna, kożuch, koc, własne odzienie, przepocona koszula. Smrodliwe, zac zadzone, duszne powietrze staje się coraz cięższe. Rozluźniona snem człowiecza fizjologia ma swoje prawa; smród zepsutych oddechów, niemytego ciała, kobiecych przypadłości łączy się z fetorem bezustannie używanej, zachlapanej oślizłymi odchodami latryny. Ktoś tam głośno chrapie, ktoś krzyczy, płacze, miota się niespokojnie w sennym koszmarze. Nie wszyscy śpią. Niektórzy nie mogą. Inni nie chcą i wśród zac zadzialej, dusznej ciemności wagonowej nocy szukają okazji na chwilkę samotności, odrobinę czułości, namiętnej fizycznej rozkoszy.

Nie ma wieczoru, żeby dorośli zwyczajowo nie gromadzili się wokół piecyka. Gadają, radzą, wspominają, narzekają, planują, plotkują, kłócą się i godzą, a bywa, że sobie pośpiewają:

***Na Podolu biały kamień, Podolanka siedzi na nim. Przyszedł do niej Podoleniec, Podolanko, daj mi wieniec.***

***... A góral na góry spoziera I lzy rękawem ociera...***

***Jichał Hucuł z Kołomyi, A Hucułka z Gdyni, Pisidały pid smerekom, Zrobiły snidyni...***

Gęstnieją kolejne zwrotki piosenek rubasznością. Śpiewacy prześcigają się w pomysłach. Przerzucają się sprośnymi anegdotami. Babka Szajnowa, tęga, pyskata i energiczna, pokrzykuje groźnie z górnej pryczy:

- Dzieciaków byście się powstydzili, takie głupoty wyśpiewywać! No to wyganiają te dzieciaki spać na prycze. Wszystko ma swój

koniec. Śpiew powoli cichnie. Rozmowa w wagonie też się już nie klei. Chłopi dopalają ostatnie skręty, na dobranoc korzystają z latryny i włączają na swoje barłogi. U przygasającej burżujki pozostają młodzi, chłopaki z dziewczynami. Sporo ich się w wagonie nazbierało. A takie ciemne wieczory to jedyne okazje, żeby w zadocznym do niemożliwości wagonie zejść ludziom z oczu. Jedyna okazja, żeby ze sobą pobyc. Ciemności, uspiomy wagon uciszał rozmowy, sprzyjał wzajemnej bliskości, kradzionym pocałunkom. Ale po jakimś czasie i młodzi odchodzili od gasnącego piecyka, znikali w sobie tylko znanych zakamarkach wagonu, by choć przez chwilę nacieszyć się sobą.

Tego ranka transport stał na stacji. Na jakiej, jeszcze tego nie wiedzieli. Brakowało im wody, węgla, od dwóch dni nie otrzymywali prowiantu. Daniłowicz wyznaczył ludzi, kto po co pójdzie, przygotowali naczynia, wiaderka, worki i czekali. Na każdym takim dłuższym postoju w zesłańcach kołatała się nadzieja, że może właśnie dzisiaj, że właśnie tutaj dobiegnie kres ich wędrówki w nieznane.

Ustalonym zwyczajem konwojent zakolatał do drzwi i krzyknął:

- Przygotować się! Pobieramy chleb, zupe, węgiel i wodę. Najpierw węgiel!

Byli gotowi. Szarpnięcie drzwi. Konwojenci w czapach uszan-kach, walonkach i długich baranich kozuchach. A oni odziani jak to kolo domu, przygotowani na tamte, swojskie, podolskie, a nie srogie, syberyjskie mrozy. Wyfasowali chleb, kipiatoke do woli, zupe, uzupełnili zapasy węgla.

Stacja nazywała się Tajga! To już była Syberia. Minawszy góry Uralu, nie mieli wątpliwości, że ich zesłańczy szlak skończy się na Syberii. Tylko gdzie i kiedy?

- To dopiero zachodnia Syberia - dumaczył Korczyński - a jest jeszcze wschodnia: Nowosybirsk, Krasnojarsk, Irkuck. Tu była rzeka Irtysz, a tam rzeki są jeszcze większe -Jenisej, Ob, Lena.

- To chyba na koniec świata nas wiozą!

- Może masz rację. Ale wschodnia Syberia to jeszcze nie koniec! Bo jeszcze dalej jest kraj Jakutów, Buriatów, Kamczatka, Kołyma, Kraj Amurski, kilka razy większy od Polski, Daleki Wschód, rzeka Amur i ogromne morze - Ocean Spokojny...

- A za tym morzem, za tym oceanem? -Japonia. A za Amurem - Chiny.

- Ludzie, to może Japończykom albo Chinom nas oddadzą!

- Zwariował! Japończykom?

- A co? Czemu nie? Przecież mógł się Zachód albo taka Ameryka o nas upomnieć! No to żeby się nie cofać do tyłu, to Sowieci dowiozą nas do Japonii albo do Chin, a jak się wojna skończy, to wrócimy stamtąd do Polski.

**Wszy** objawiły się w transporcie niespodziewanie, jakby jednego dnia z nieba pospadały. I od razu we wszystkich możliwych gatunkach żerujących na człowieku: głowowe, odzieżowe. A nawet te łonowe „mendy”. Z początku ludzie wyraźnie wstydzili się tego gadaństwa i nikt do wszy się nie przyznawał. Każdy po kryjomu starał się od nich opędzić. Ale w wagonie niczego nie dało się ukryć. Nie minęło wiele czasu, a już bez jakiegokolwiek wzajemnego wstydu matki kładły na kolana dziecięce łepetyny i iskały, iskały, iskały. Potem baby iskały się nawzajem. Strugali drewniane gęste grzebienie którymi to paskudztwo wyczesywali. Stary Malinowski miał zardzewiałą maszynkę i strzygł chłopom łby do gołego. Nie wszyscy się na to godzili, bo było im zimno. Ludzie ściągali z siebie odzież i dusili gadzinę pazurami, aż krew z nich tryskała. Siadali dookoła rozpalonego do czerwoności piecyka i do swądu przypalonego materiału wywabiali łase na ciepło, duste i opasłe od ludzkiej krwi pasożyty.

- Coś trzeba robić, bo nas te wszy całkiem zjedzą!  
- A nie daj, Boże, jeszcze jakąś zarazę przywleką.  
- Tyfus plamisty albo dur brzuszny... U Ruskich wszów zawsze było dużo. Pamiętam, jak w pierwszą wojnę byłem tam w niewoli, to wszy my mieli, ho, ho!

- Dajcie spokój, Malinowski, z tą waszą ruską niewolą!  
- Daniłowicz, jesteś komendantem wagonu czy nie? Zrób coś do cholery, zgłoś konwojowi, czy co.

Daniłowicz zgłosił wszawicę pomocnikowi komendanta.

- Wszy, mówisz, was gryzą? Niecharaszo, niecharaszo. A zdawało mi się, że Polaki to taki kulturny naród. Higieny nada przestrzegać.

- Obywatel komendant znów raczy sobie żartować? - ponuro spytał go Daniłowicz.

Grubasek spoważniał.

- Wszy, wszy, nie tylko w waszym wagonie są wszy. Podumajem... Na pewno w baniu was nada.

- A przy okazji, obywatelu komendancie, czy można zapytać?

- A pytaj, pytaj... Pytać możesz zawsze.

- A co z naszym Zelem? Już tyle dni nie wraca, a w wagonie są jego rzeczy. Jego, jego żony...

Grubasek mimo woli dotknął obolałego nosa i naburmuszony warknął:

- Pod trybunał ten twój jobanyj Zelek poszedł! Pod trybunał! A co wy sobie, panowie Polaki, myślicie, że na władzę radziecką możecie, ot tak, bezkarnie napadać? - Tu grubas wałnął się pięścią w pierś - myślicie, że w mordę bić ją możecie? Pod trybunał ten twój Zelek poszedł, pod trybunał! - Na odchodnym dorzucił: - A te jego rzeczy spisz i zdaj konwojowi.

W Nowosybirsku transport wymanewrowano na oddaloną bocznice, przylegającą bezpośrednio do wielkiego budynku, przypominającego halę fabryczną.

- Wszyscy przygotować się do sanobrobotki! - Obstukiwali wagony konwojenci.

Owa „sanobrobotka” w przekładzie na zrozumiały język miała oznaczać, że ludzi z transportu poprowadzą do łaźni, zawieszoną odzież wrzuci się do parówki, a wagony przesypie chlorem. Ten ponury gmach, dymiący na czterdziestostopniowym mrozie obłokami pary, był łaźnią.

- Wsie w baniu! Wszyscy do łaźni, bez wyjątku: i stary, i mały. Wsie! I wszystkie ubrania zabierajcie ze sobą. Wszy będziemy parzyć.

- I pościel też?

- A bierzcie, co chcecie. No bystro, bystro!

Bania! Zganiałi ludzi do tej łaźni z trzech wagonów naraz, bo tylu mogło się tam zmieścić. Najpierw do wielkiego hallu, dokąd wchodziłi przemarznięci, niektórzy z naręczami odzieży i pościeli. Następnie była szatnia, gdzie kazano im rozebrać się do naga i zdać odzież, łącznie z osobistą bielizną, do parówki. A potem już była łaźnia właściwa, duszna, prześmierdła zgnilizną drewnianych podkładów, ludzkim potem, chlorem i uryną, zawleczona kłębami pary. W drzwiach do łaźni dostawali po garści czarnej i rzadkiej jak smoła, mydlanej mazi. Z sufitowych natrysków spływała gorąca woda.

Konwojenci pilnowali łaźni na zewnątrz. Wewnątrz, i tu był pierwszy szok dla kobiet, łaźniami byli wyłącznie mężczyźni. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że prawie wszyscy z nich to więźniowie, kryminaliści. Drugi wstydlivy szok czekał ich w rozbieralni: pod prysznicę zaganiano wszystkich społem - mężczyzn, kobiety i dzieci.

- Jakże to tak? Razem?

- Istna Sodoma i Gomora.

- Żadnego wstydu ani zmiłowania.

- Jak bydło nas traktują albo jeszcze gorzej.

- Dawaj, dawaj, bystreje, gospoda Polaki! Inni na swoją kolejkę czekają. Nie wariujcie, ludzie, co, niby w łaźni nie byliście? To gdzie wy dotąd żyliście, na jakim świecie? U nas, w Rosji, bez bani ani kroku; pełna kultura u nas! No wchodzić, baby, wchodzić. Wyparzycie się, to i żyć się wam zachce od nowa. Bystreje, bystreje!

Nieodgadniona bywa ludzka natura. Nagły dojmujący wstyd, brutalne upokorzenie dodaje człowiekowi powagi. Ludzie z transportu poddali się szokującej dla nich procedurze z godnością, której chyba sami po sobie się nie spodziewali.

Zmuszeni do wspólnej nagości, patrzyli na siebie i nie widzieli. Ani jednego głupiego żartu. Żadnych przymówek i chichotów. Żadnej nieprzystojności. Ludzie myli się w milczeniu. W milczeniu się odziewali. W milczeniu, przy srogim mrozie, wracali do wagonów.



Wszystko ma swój początek i koniec. Transport stał przez całą noc. Rano drzwi wagonu nagle odsunięto, bez zwykłego uprzedzenia. Do wagonu wdrapał się pomocnik komendanta, Grubasek.

- Nu, grażdanin - pan Danilewicz - koniec! Prijechali! To stacja waszego przeznaczenia. Sprawdzimy listę i będziemy się wyładowywać.

Daniłowicz nie zdążył zareagować, gdy zgromadzeni za jego plecami, zwłaszcza wszędobylskie dzieciaki, narobili wrzasku:

- Wysiadamy! Wysiadamy! -Jesteśmy na miejscu!
- Nareszcie!
- Pakujemy się!
- Wysiadamy!
- Zbierajmy się.
- Co to za stacja?
- Jezus, Maria! Nareszcie, nareszcie!

Zakomunikowano zesłańcom decyzję: Nim się wypakują z wagonów, otrzymają jeszcze gorącą zupę i przydział chleba. Mają się spakować i przygotować do wysiadania. Dalej pojedą saniami.

- Dokąd?
- Do miejsca osiedlenia.
- A daleko to jeszcze?
- Na Syberii wszędzie daleko, ziemia nasza bezkresna, żyć, nie umierać!
- A tutaj nie możemy zostać?
- Naczalstwo wie lepiej, gdzie dla was miejsce przygotować. Toż wy chłopci, co z was w mieście za pożytek?

- A co to za stacja, można wiedzieć?
- Można. To miasto nazywa się Kańsk.

Pozwolono wychodzić z wagonów, byle tylko nie oddalali się od transportu. Jak wyrojone pszczoły, ludzie biegali, kłębili się wokół transportu, szukali krewnych, znajomych, witali się, płakali. Konwojenci nie bronili ludziom kontaktu, stali w rzadkim kordonie.

- To jak się to miasto nazywa: Kańsk?
- Kańsk! Na wschodnim Sybirze jesteśmy.
- Mrozy, Chryste Panie, chyba ze czterdzieści stopni!

Zamarzniemy tu na sopeł.

- Żyją tu ludzie? Żyją! No to i my jakoś sobie poradzimy.
- Akurat! Przyjdzie nam zdychać na tym przeklętym Sybirze.

Mało to Polaków z Sybiru nie wróciło?

- Od wieków, od wieków to samo.
- Nie kraczcie! Popatrzcie lepiej, ile tu naszego polskiego luda!

Aż się roi. I to tylko z jednego naszego transportu. Zresztą łatwo policzyć; pięćdziesiąt wagonów w naszym transporcie, w każdym wagonie najmniej po pół setki ludzi.

Paru chłopaków zmyliło obstawę i wykradło się do miasta. Od pierwszego kroku dziwiło ich tu wszystko. Kańsk był miastem drewnianym. Parterowe domy z rzeźbionymi okiennicami. Wysokie płoty z desek, drewniane furtki i wrota broniły dostępu do podwórek. Wzdłuż wąskich, zaśnieżonych uliczek chodniki z grubych desek. Do czerwonych transparentów z hasłami sławiącymi Stalina już byli przyzwyczajeni. Sklepy ubogie, bez wystaw. „Stołowaja Nr 1” - uczyli się sylabizować cyrylicę. „Piekarnia”. Długa kolejka bab okutanych w wełniane chusty. Mężczyźni w futrzanych czapkach uszankach, wszyscy w ciepłych walonkach. Na ich tle Polacy odziani w kurtki, buty z cholewami, trzewiki, w czapkach narciarskich albo baciarkach z kaszkietami na głowach - wyróżniali się dziwnie i łatwo poznawano w nich obcych. Miejscowi przyglądali się im z ciekawością, ale nikt ich nie zaczepiał. Mieli przy sobie parę rubli, odważyli się wstąpić do sklepu z szyldem „Prodtowary”. Za ladą stały dwie dziew-

czyny w białych chałatach, z białymi czepkami na głowach. W kącie, przy żeliwnym piecyku grzał zgrabiałe ręce jakiś staruszek. Mała dziewczynka kupowała czerwone cukierki i lukrowane pierniki. Pokazali na cukierki, potem na pierniki.

- Skolko? - spytała młodsza z dziewczyn, z ładnym białozębnym uśmiechem.

- Kilo... Kilogram! Można?

Dziewczyna spojrzała pytająco na koleżankę. Ta była nieco starsza, też blondwłosa i rumiana.

- Daj im po pół kilo... Starczy i tak. - I też się uśmiechała. Zważyła. Zapłacili.

- Dziękujemy paniom - wyrwało się któremuś po polsku. Zrozumiały albo domyśliły się sensu.

- Ruszajcie na zdrowie! - odpowiedziały razem. A staruszek przestał grzać ręce, rozgarnął brodę i zachrypiał przemarzniętym głosem.

- Polaki?

- Polacy. Z Polski jesteśmy. Starzec pokiwał w milczeniu głową.

- Jeszcze Polska nie zginęła!" - powiedział ku ich zaskoczeniu całkiem poprawnie po polsku. Ale zaraz potem obojętnie odwrócił się i zaczął grzać ręce przy piecyku.

Postanowili wracać, po co kusić lichu. Po mieście z rzadka przejeżdżały oszronione ciężarówki. Nie było autobusów ani taksówek. Za to sań ciągnionych przez krępe, mocne koniki było sporo. W kiosku kupili jeszcze parę paczek papierosów, zapałki i miejscową gazetę. Papierosy, w twardym kartonowym pudełku, z czarnym kaukaskim jeźdźcem na niebieskim tle, nazywały się „Razbek”. A gazeta: „Wostoczno-Sibirskaja Prawda”...

Kańsk! Skąd chłopcy z Czerwonego Jaru mogli wiedzieć, że to niewielkie syberyjskie miasteczko, leżące u podnóża gór Sajanów, znajdowało się na skrzyżowaniu starych zesłańczych traktów. Na północ, na południe i na wschód - począwszy od Jeniseju do jeszcze potężniejszej rzeki Leny - wiodły one po przepastnym oceanie syberyjskiej taj-

gi. Skąd mogli wiedzieć, że wcale nie są pierwszymi z polskiego plemienia, którzy te syberyjskie niezmierzone obszary przemierzają. Od zamierzchłych czasów Dymitra Samozwańca i Maryny Mniszchówny, od wojen o Moskwę i Smoleńsk, od początków klęski potężnej niegdyś Rzeczypospolitej Obojga Narodów, przez konfederację barską, insurekcję Kościuszki, powstania listopadowe i styczniowe, do socjalistycznych rewolucjonistów Waryńskiego - przemierzali Polacy te same syberyjskie szlaki. Po dziadach i pradziadach szli na Sybir synowie i wnuki.

A teraz są tutaj oni: Dolina, Daniłowicz, Unicki, Kalinowski, Byr-ski, Szajna, Gruba, Manterys, Koń, Zelek, Ziemiak, Kuryłaki, Stani-sze, Żurek: setki, tysiące zesłańców roku Pańskiego tysiąc dziewięćset czterdziestego...

Z Kańska wyruszyli dopiero następnego dnia. Noc przed etapem spędzili jeszcze w wagonach, ale już spakowani, gotowi do drogi. Zesłańców zabierano z Kańska partiami, po dwa, trzy wagony razem. Nie wiedzieli, kto dokąd pojedzie, co tam będzie robił. Rozwożono ich głównie do „lespromchozów”, gospodarstw leśnych, które nad rzekami - Jenisejem, Birusą i ich licznymi dopływami, zajmowały się wyrębem tajgi. Zbierano konwoje z kilkadziesiąt sań i wyruszano w drogę. Woźnica powoził dwójką koni, z których każdy ciągnął osobno sanie.

Dotychczasowy enkawudowski konwój, który pilnował ich w transporcie na trasie od Szepietówki do Kańska, został zastąpiony przez miejscowych konwojentów. Na początku i na końcu kolumny sań jechali strażnicy. Nie było ich wielu. Ich przykazania dla zesłańców ograniczyły się do rutynowych przestróg przed próbami ucieczki.

- Spróbujecie uciekać, buntować się, będziemy strzelać bez uprzedzenia. Wszelkie naruszenie radzieckiego prawa grozi wam trybunałem. Rozumiemy się?

Czego tu mieli nie rozumieć? Uciekać? Jak, dokąd, na tym mrozie, w tych srogich, porośniętych tajgą ostępach, gdzie tylko dziki zwierz swe tropy odnajdzie.

Zimowy syberyjski dzień liczy swój czas zaledwie na parę godzin. Sybiracy zaczynają go w ciemnościach i w ciemnościach kończą.

Było jeszcze ciemno, kiedy ludzie z Czerwonego Jaru ładowali się na sanie. Parskały, dzwoniły wędzidłami konie. Nad oszronioną kolumną unosiła się woń końskiego nawozu i potu. Mróz trzymał ostry, kilkudziesięciostopniowy, a w miarę zbliżania się świtu krzepł coraz mocniej. Mroził licho odzianych zesłańców, niezwyčajnych takich temperatur, szczypał w policzki i uszy, zatykał nosy, dusił oddechy.

Dolinom trafiły się sanie razem z Bialerami. Rachela Bialerowa była chora, gorączkowała. Razem z Dolinką, tulącą małego Tadka, siedziały poprzykrywane, czym się dało. Dolina z Bialerem pilnowali, żeby wszystko trzymało się na przeładowanych saniach. Tuż za nimi jechali Daniłowiczowie z Korczyńskimi, a z przodu babcia Szajnina ze swoją liczną rodziną. Zaprzęgiem powoził starszy chłop, wysoki jak tyka, skośnooki, z niewielką kozią bródką, małowówny i z wyglądu ponury. Odziany był po tutejszemu ciepło, w niedźwiedzią szubę do samych stóp, walonki, psie rękawice i ogromną sobolową czapę uszan-kę. Woźnice z sąsiednich zaprzęgów wołali na niego Afanasij.

Ruszyli. Mimo ciemnego przedświtu Kańsk nie spał. Okna drewnianych domów mrugały żółtymi świadami. Drewnianymi chodnikami ludzie śpieszyli do roboty. Przy wyjeździe z Kańska minęli na rogatkach przytupujących z zimna milicjantów.

Wstające słońce zastało ich daleko za miastem. Niebo było czyste, bez jednej chmurki. A słońce turlało się szybko, od razu ogromne, coraz bardziej na de śniegów bielszych od bieli ceglasto jaskrawe, otoczone delikatną, tęczową obręczą. Na południu, hen, hen na horyzoncie, widać było oświedone promieniami słońca pasmo wysokich gór.

- Sajany! - Wskazał biczyskiem w tamtym kierunku Afanasij.

Kolumna sań kierowała się na północny wschód od Kańska, w zakole wpadającej do Jeniseju, niepośledniej swoją wielkością i sławą, rzeki Birusy. Droga była przetarta i od czasu do czasu kolumna mijała, zepchnięte przez strażników na zaśnieżone pobocze, konne za-

przęgi śpieszące do miasta, najczęściej wyładowane sianem, workami zboża, beczkami jagód i dziczyzną. Niedługo potem kolumna zeszła z głównego traktu i wąską, ledwie przetartą drogą zagłębiała się w syberyjską tajgę. Mimo czystego nieba i coraz wyżej wspinającego się słońca, w tajdze było ponuro, a chwilami, kiedy drzewa gęstniały, robiło się szaro.

- Tajga! - rzucił Afanasij i głośno trzasnął z bicza. - Anu dawaj, miłaj, dawaj! - bardziej zachęcał, niż straszył siwka, bo droga głębokim, kamienistym kanionem zaczynała wspinać się pod górę.

Tajga! „Wielki las” znaczy to słowo u Ewenków i Buriatów, Tatarów i Mongołów, u wszystkich tutejszych rdzennie syberyjskich plemion i skośnookich, śniadoliczych ludów. Tajga to dla nich święte słowo. Tajga to ich jedyne miejsce na ziemi, dopóki przed wiekami nie skolonizował ich zły „lucza” - biały, rosyjski zdobywca. Tak jak Indianie swoich amerykańskich, pełnych bizonów prerii, tak i tu-ziemskie plemiona broniły swojej tajgi, pełnej brunatnych niedźwiedzi i mnogich jelenich stad. Broniły dzidą, łukiem i strzałą, przed prochowym hukiem i kozackimi strzelbami rosyjskiego zdobywcy Jermaka. I tak jak Indianie, nie obronili...

Tajga! Zesłańcy przyglądali się jej w trwożnym, nabożnym milczeniu. Teren tu pofałdowany. Łagodnie z pozoru pagórki przechodzą nagle w strome, wcale niemałe góry, uskakują w skaliste osypiska, spływają w głębokie kaniony. A w dolinach rzeki bystre górskie strumyki, zastygłe teraz pod lodem. Sosna to najczęściej spotykane we wschodniosyberyjskiej tajdze drzewo. Syberyjska sosna rośnie wysoko, zgrabnie, z latami tężeje w obwodzie, wciąż prosta, strzelista jak maszt. Tam, gdzie rosną wielkie połacie starej sosny - jaśniej w tajdze od złocistobrazowego koloru sosnowych pni. I głowa pijanieje od gorzkiego zapachu sosnowej żywicy. Modrzewie, mocne drzewa, służące Sybirakom do budowy domów - rosną w tajdze całymi stajaniem. I oprócz przedniego materiału budowlanego dają Sybirakom - żywicę „sierę”. Modrzewiową żywicę „sierę” żują starzy i młodzi, tak jak ewenkijskie kobiety żują tabakę i palą fajki. No

i wreszcie - cedr! Unikalne syberyjskie drzewo, cedr. Lubi słońce, zasiedla stajaniem południowe stoki. Co za wspaniały widok takie stajanie kilkusetletnich syberyjskich cedrów, dochodzących do kilkudziesięciu metrów wysokości! Cedr, materiał drzewny najprzedniejszego gatunku, zwłaszcza na meble. Ale to także drzewo-żywiciel. Jesienią dojrzewają na nim szyszki pękate, większe od sosnowych, pełne orzeszków, wielkości ziarnka kawy albo drobnej fasoli. Orzechy cedrowe mają słodkawy smak, są\*zbiornicą witamin, a tłoczony z nich olej nie ma sobie równego.

Tajga zimuje przykryta śnieżną pierzyną. Jest cicho, bezwietrznie. Parskają konie, skrzypią płozy. Wielkimi białymi szalami zwisa śnieg z konarów drzew, zaspami leży na stokach, po brzegi zasypał głębokie wąwozy i kaniony. Zwłaszcza świerki dźwigają masy śniegu na swoich rozłożystych gałęziach. Ślady dzikiego zwierza! Tu wilcze, zdecydowane tropy. Tam chytry lis ciągnął po głębokim śniegu swoją kitę. Tu niedawno skikał zając-bielak. A tam jeleni albo ogromny łoś - „sochatyj”, świeżo obgryzł z kory młodą olszynę.

Syberyjski zimowy dzień jest krótki. Słońce kryje się w tajdze równie nagle, jak nagle rano wstaje; niepoprzedzana zmierzchem nastaje od razu ciemna noc. Chyba, że księżyc jest w pełni, a niebo bezchmurne i czyste. W takiej nocy śnieżna zimowa biel, srebrzysta poświata księżyca, wielkie gwiazdy na niskim niebie sprawiają, że widać jak w dzień. W takiej księżycowej mroźnej nocy wszelkie odgłosy niosą się daleko i odbijają się o ciemną ścianę tajgi głośnie, tajemniczym echem.

Kolumna sań przez cały dzień zagłębiała się w tajgę. Jechali bez przerwy, jeśli nie liczyć krótkich postojów, pozwalających koniom odsapnąć przed stromym podjazdem, poprawić uprzęż czy podnieść wywrócone sanie. Ludzie marzli coraz bardziej. Na niewiele się zdało zabijanie rąk i nóg, tarcie twarzy i groźnie bielejących na mrozie uszu i nosów. Cały dzień na mrozie, bez ciepłej strawy. Porcje chleba wyfasowane w Kańsku zjedli od razu, na miejscu. Natałka długo nie mogła utulić cicho kwilącego synka. Afanasij uznał widać, że małe

mu zimno, bo bez słowa zdjął z ramion niedźwiedzie futro i rzucił Natałce na sanie. Z wielką ulgą, kiedy droga wspięła się na stromiznę, dostrzegli ludzie rozległą dolinę rzeki, a na jej brzegu wieś z dymiącymi kominami.

- Pokrowka! - poinformował Afanasij i wcale nie musiał ponaglać zmęczonych koni, bo te, czując bliskość ludzkiej siedziby, rwały do niej z rażnym parsaniem. Droga gwałtownie spadała w dół.

Wieś była duża. Jeszcze nie spała, bo dymy z kominów wysokimi smugami szły prosto do nieba. Drewniane, dranicami kryte chałupy, zasłonięte okiennice, wysokie płoty z desek, zamknięte furty i bramy. Mieszkańców jakby wymiodo. Tylko syberyjskie kudłate łajki wściekłym ujadaniem witały przejeżdżające przez wieś sanie.

Zesłańców ulokowano na noc w dawnej prawosławnej cerkwi, od paru lat wolą radzieckiej władzy przeznaczoną na wiejski „Krasnyj Ugołok” albo - jak mówili inni - klub. Cerkiew była drewniana, modrzewiowa, z wysokim sklepieniem pomalowanym na niebiesko. Na ścianach jakimś cudem pozostały prawie nie zniszczone stare malowidła. Bogato ozdobiony ikonostas carskich wrót służył jako przegroda na prymitywnej scenie. Czernie, złotawe żółcie, czerwień i zieleń cerkiewnych starych malowideł ostro odbijały na de wybielonej ściany. Lampa naftowa stojąca na scenie świeciła skąpo i drżąco. Ludzie lokowali się, gdzie kto stanął, rzucali tobołki i najczęściej pokotem walili się z nóg. Wielu ratowało odmrożone twarze, ręce i nogi. Dzieci płakały z bólu, kiedy w ciepłe odchodziło z nich zimno. Rozpalona do czerwoności burżujka dawała odrobinę ciepła, w osmolonym blaszaku bulgotał kipiatok.

- Bierzcie, ile trzeba. Zabraknie, znowu nagotujemy - zachęcała stojąca przy piecyku starsza kobieta. Obok niej druga, nieco młodsza, wielką chochlą rozlewała wodę. Tego wieczoru pożywienia im nie dano. Komendant konwoju wskoczył na scenę.

- Obywatele przesiedleńcy, tutaj tylko jedną noc przenocujemy, a jutro, skoro świt, jedziemy dalej. Z klubu nie wolno się oddalać. Odpoczywajcie, bo raniutko jedziemy dalej.



- Głodni jesteśmy, a tu nic, tylko woda.
- Kawalka chleba nie mamy!
- Lekarz by się przydał, chorych mamy. Ludzie się poodmrażali.
- Spokojnie, obywatele przesiedleńcy, spokojnie! Chleb na drogę

pobraliście w Kańsku. Jak sami widzicie, na stołówkę to tutaj warunków nie ma. Popijcie kipiateru, prześpijcie się, odpocznijcie. Dojedziemy na miejsce, to będzie wszystko. I lekarz, i jedzenie, wszystko tam będzie.

- A daleko to jeszcze?
- Niedaleko, niedaleko...

Woźnice wyprzęgli konie, sanie zostawili obok cerkwi i rozeszli się po wsi na nocleg. Afanasij, kiedy Daniłowicz dziękował mu za szubę, zostawił mu ją na noc.

- Dzieciakowi cieplej będzie.

Daniłowicz próbował zdobyć coś do jedzenia, może mleka dla małego? Zaczął od kobiet gotujących kipiateru. Obiecały, że może jutro rano coś przyniosą. Próbował wyjść na wieś.

- Kuda?

Żołnierz przy drzwiach kurzył machorkowego skręta.

- Za swoją potrzebą, muszę...

- Też was przypiliło! Nic, tylko łążą tak bez przerwy, jeden za drugim. Na prawo idź, tam koło ściany. I zaraz mi wracaj. A spróbujesz uciekać, to cię zastrzelę i już.

- Dokąd ja mogę uciekać?

- A czort was Polaków wie. No idź już, idź.

Ruchome posterunki odcinały cerkiew od wsi. Nie było szans, żeby przy jasnym księżycu prześliznąć się przez ich kordon niezauważonym. Daniłowicz wrócił do cerkwi.

Bialerowa rzucała się w gorączce i co chwila prosiła o picie. Dolinowa poila ją słoną gorącą wodą, przykładala do czoła zimne kompresy. Babka Szajnowa, swoim zwyczajem, spróbowała zaintonować „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, ale jej drżący głos zginął w gwarze układających się do snu ludzi, więc zamilkła zgorszona i wzięła się za

różaniec. Zmartwiony nagłą chorobą żony, Bialer kiwał się modlitewnie i powtarzał w myślach: „Kogo Pan miłuje, tego karze. Bez woli tego na górze nawet włos ci z głowy nie spadnie"... A Staszewi Dolinie, którego ciepło skłaniało coraz bardziej do snu, czarna prawosławna Madonna, w którą się wpatrywał, przypomniła nagle Matkę Boską Borkowską, klasztor na górze, słoneczny, pełen kolorowych kramów, odpust na Zielną. A zaraz potem, niby na jawie, widział Strug wijący się między ispinami, dziadkowy sad z czerwonymi wiśniami, szkołę i całą rodziną Kalinową... Nawet głodu nie czuł. Ale z tej nagłej tęsknoty zebrało się chłopczynie na płacz, więc mocno zagryzł wargi, schował głowę w ramiona i zwinął się w kłębek.

„Noc przygnała, noc wygnała"... Ledwo wymęczeni, głodni i przemarznięci ludzie zdążyli się jako tako we śnie ukoić, już trzeba było wstawać. Odziewali się najcieplej, jak tylko mogli. Szmatami owijali buty, szalikami, chustami chronili twarze przed mrozem.

Rosjanki z Pokrowki dotrzymały słowa. Raniutko nie tylko, że zdążyły przygotować ludziom kipiateru, ale z własnej inicjatywy zasypały go maliniakiem i posłodziły. A niemowlakom zagotowały po garnuszku mleka. Z całej wsi zebrały to mleko. Natałka chciała się jednej odwdziżyć kolorową chusteczką na głowę.

- Coś ty, mileńka, coś ty! My przecież tak, ze szczerego serca. Dzieci szkoda...

Starsza odwróciła się nagle i końcami zapaski wycierała oczy.

Bialer w porannej modlitwie szczerze dziękował Najwyższemu, bo żona poczuła się lepiej, i kolejny raz nadziwić się nie mógł mądrości Talmudu: „Słońce wstaje, chory wstaje". Babka Szajnowa po chwili wahania uznała, że może się bez grzechu przeżegnać przed czarnym od starości prawosławnym obrazem i bezgłośnie poruszając wargami, przesuwając paciorki różańca. Staszek Dolina pomagał ubierać się Tadekowi, który marudził z głodu i niewyspania.

Kiedy słońce wstało na dobre, zesłańcy już dawno stracili z oczu Pokrowkę. Droga wiodła na północny wschód, korytem wijącej się zakolami rzeki.

- Pojmą! - nazwał rzekę Afanasij, który nadal nie zabierał z sań swoje szuby. A po chwili dorzucił. - Ryby w niej mnogo!

Nim wyruszyli z Pokrowki, Afanasij wyciągnął z za pazuchy parę ciepłych ziemniaków w łupinach i bez słowa, sprawiedliwie podzielił je pomiędzy swoich pasażerów. Teraz szedł za saniami i gospodarskim okiem doglądał porządku. Tupnął w lód i powtórzył:

- Ryby mnogo! Rybna rzeka, Pojmą.

Droga wytyczona po lodzie Pójmy wiodła cały czas po równym, była więc łatwiejsza od wczorajszej, wlokącej się przez tajgę górami, dolinami. Ale co z tego, kiedy z każdym kilometrem wycieńczeni głodem, zimnem i długim marszem ludzie byli coraz bardziej zmęczeni. Wlekli się noga za nogą, zostawali w tyle, w beznadziejnym otepieniu niewiele sobie robiąc z ponagleń i pokrzykiwań konwojentów. Co jakiś czas kolumna przystawała, rwała się na części, czekała, żeby zebrać się razem. A pod wieczór, kiedy czerwone słońce zaczynało już zachodzić, rozdzierający żalem krzyk przeleciał nad kolumną, poleciał doliną Pójmy i dalekim echem zaginął w tajdze. Tak rozpaczła matka, Katarzyna Dereniowa, która nie zdołała ochronić chorego, słabowitego synka przed zamrożeniem.

Poruszeni śmiercią dziecka, woźnice przyśpieszyli. Po paru kilometrach, jeszcze przed nastaniem zmroku, na prawym, wysokim brzegu Pójmy zesłańcy dojrzelizabudowania.

- Kiedraczi! - informował Afanasij.

Tym razem nocowali w szkole. Barakowa chata z trudem ich wszystkich pomieściła. Było napalone w piecach, ciepło. W Kiedraczach po raz pierwszy od wyjazdu z Kańska otrzymali gorący posiłek, po litrowym czerpaku zawieszistego gulaszu z łosia. I gotowanej wody „skolko ugodno”. Ale felczera w tej leśnej osadzie nie było. Wczoraj patrzyli na nich z cerkwi wszyscy prawosławni święci, a dzisiaj ze szkolnych ścian spoglądał na nich tylko jeden: ojciec i wódz radzieckich narodów, towarzysz Józef Stalin! W odróżnieniu od wczorajszych zmartwionych, cierpiących świętych, towarzysz Stalin miał łagodny wyraz twarzy i uśmiechał się do zesłańców dobrodiwie. A na

jednym z portretów towarzysz Stalin nie tylko się uśmiechał, ale nawet głaskał po główce małą dziewczynkę i przyciskał do piersi. Nad tym to portretem wisiał czerwony transparent z napisem: „Niech żyje towarzysz Stalin, nauczyciel i przyjaciel dzieci całego świata!”

Następnego dnia, a była to już trzecia doba ich podróży w głąb tajgi, wymarsz kolumny znacznie się opóźnił. Komendant konwoju zgodził się na pochówek zmarłego dziecka. Chowali go razem, na małym cmentarzu w Kiedraczach, znaczone starymi prawosławnymi krzyżami i całkiem nowymi słupkami z czerwoną gwiazdą na szczycie. Długo dębali dziaganami, rąbali siekierami zmarzniętą na kość syberyjską ziemię. Trumienkę zbili z sosnowych dranic. Brzozowy krzyż z tabliczką postawili. A na tabliczce rozpalonym do czerwoności gwoździem wypalili: „Adaś Dereń z Polski 1. 4 prosi o modlitwę”. Na pożegnanie ukłękli i głośno odmówili „Wieczne odpoczywanie”... Sdobre w osobnej gromadce zebrały się przy pochówku tutejsze, przeważnie starsze kobiety. Stały w milczeniu, sięgały rogami chust do oczu, a niektóre znaczyły czoła prawosławnym krzyżem.

„Niedaleko już, niedaleko”. Słyszeli to wciąż od woźniców. Widocznie syberyjskie odległości inaczej się mierzy, bo jeszcze przez następne trzy długie doby zesłańczy tabor ostatkiem sił włókł się w górę Pójmy. Droga przez cały czas prowadziła korytem tej rzeki. Jeszcze dwukrotnie nocowali w leśnych osadach. Im bardziej zagłębiali się w tajgę, tym bardziej okolica stawała się dzika, pierwotna i bezludna.

Na przedostatnim noclegu dostali trochę kapiatoku i po chochli „uchy”, zupy rybnej, lekko już przytęchłej.

- Katorga tu, lespromchoz... - Tyle tylko na temat tej ostatniej osady miał do powiedzenia małowówny Afanasij. Konwój i miejscowi żołnierze izolowali zesłańców szczególnie, bo łatwo się było zorientować, że był to obóz karny, tutejszy gułag.

Sdobre ich w ponurym starym baraku, z piętrowymi pryzami. Było tam ciemno, zimno, śmierdziało stęchlizną, ludzkimi odchodami i dziegciem. Nietrudno się było rozeznąć, kogo w tym obozie trzymano. Nie zdążyli się jeszcze na dobre na noc rozłokować, jak

dwóch więźniów napadło za barakiem dziewczynę z Tłustego i tylko przypadek uchronił ją przed gwałtem. Spłoszeni napastnicy uciekli, a pobita, przyduszona dziewczyna z trudem wychodziła z ciężkiego szoku. A rano jeden ze strażników z zimną krwią zastrzelił więźnia, który przekradł się do Polaków i błagał o coś do jedzenia. Na widok zbliżających się strażników zaczął uciekać, grzęznąc co krok w głębokim śniegu. Strażnik strzelił. Człowiek zakreślił się na miejscu, rozkrzyżował ręce i runął na śnieg. Strażnicy ciągnęli trupa za nogi, na śnieżnej bieli została czerwona smuga krwi.

- Jezu miłosierny! Co z człowieka może zostać. Widziałam go o dwa kroki przed sobą, o tak jak teraz was widzę: kościotrup owinięty w łachmany. Tylko te oczy, te oczy. Chyba do końca życia tych oczu nie zapomnę - opowiadał wzburzony do żywego Dolina. Mały Staszek stał obok ojca, trzęsąc się z zimna i strachu. On też to wszystko widział i słyszał. A co najstraszniejsze, pierwszy raz w swoim życiu zobaczył, jak człowiek zabija człowieka.

Ostatnią noc przetrwali w tajdze, przy ogniskach. Osada, przy której się zatrzymali, składała się z kilku baraków, niestety dawno już opuszczonych, zdewastowanych. Powybijane okna, przegniłe prycze. Nie było tu śladu żywego ducha. Nawet Afanasij nie umiał tej osady nazwać. Dowódca konwoju dumaczył, że noclegu tego w planie nie było.

Woźnice, rdzenni Sybiracy, wiedzieli, jak taką mroźną noc w tajdze przetrwać. Ześrodkowali sanie w krąg na polanie, wyprzęgli konie, udeptali śnieg i rozpalili kilka ognisk. Wyciągnęli piły, topory i razem z Polakami zajęli się gromadzeniem opału na całą długą noc. Naścina-li sterty sosnowych gałęzi i wyścielili nimi udeptany krąg dookoła ognisk. Topili w wiaderkach śnieg na kipiatak. Afanasij okradł nawet swoje konie z paru przygarści owsa i gotował w wiaderku dla „swoich” Polaków pożywną owsiankę. Przez całą noc woźnice czuwali, nie zmrużywszy oka, starali się też nie dać zasnąć zesłańcom i podsycali ogień.

- Na mrozie usniesz, umriesz! - groźnie pouczał Afanasij i tarmosił każdego, kto na jego saniach sposobił się do drzemki.

W nocy od siarczystego mrozu pękały z hukiem drzewa w okolicznej tajdze. A nad ranem, wraz ze wschodem słońca, mróz przybrał na sile. Po nieprzespanej nocy przemarznięci, niektórzy poodmrażani, ludzie przychodzili do siebie, szykowali się do drogi. Woźnice i kto sprawniejszy krzatali się przy ogniskach, topili w wiaderkach śnieg, żeby oszukać dojmujący głód, rozgrzać łykiem wrzątku przemarznięte organizmy.

Przy jednym z ognisk jakieś zamieszanie, głośnie kobiece zawodzenia.

-Jezusie, Maryjo Święta! Ludzie, ludzie, nie upilnowałam tej mojej okruszyny... To moja wina, że jej nie upilnowałam, moja wina -lamentowała Kulabińska z Podśniatynki, kiedy nie dobudziła się paromiesięcznej córeczki.

Przygnębieni nieszczęściem Kulabińskich, w ponurym milczeniu wyruszyli w ten ostatni etap. Według konwojentów miało być niedaleko, a wlekli się zawijastym korytem Pójmy prawie cały dzień, forsując nieprzetartą, zawianą kopnym śniegiem drogę.

Na jednym z postojów znowu rozpacz, znowu niespodziewana śmierć; w rodzinie Czulaków zamarzło niemowlę, też dziewczynka.

Czerwone słońce nisko siadło nad tajgą, mróz pod wieczór tężał, kiedy po tygodniu od wyruszenia z Kańska dowlekli się wreszcie do miejsca zsyłki. Dowlekli się resztkami sił, głodni i poodmrażani, wioząc ze sobą, zamarznęte na kość, dwa dziecięce trupy.

- Kaluczoje!

Afanasij pokazał na wysoki brzeg Pójmy, gdzie stało kilka starych baraków, i niespodziewanie zaklął głośnie, zdzieliwszy nahają Bogu ducha winnego, oszronionego konia.

Kaluczoje! „Kłujące”, „Kolczaste”? Tak się nazywał jeden z licznych obozów pracy przymusowej „gułagu” - czyli Głównego Uprawnienia Łagiernej NKWD ZSRR - rozrzuconych po niezmiernym obszarze wschodniosyberyjskiej tajgi. W tym odludnym miejscu górnego biegu rzeki Pójmy nigdy nie było osiadłego ludzkiego gniazda, nie mówiąc już o typowej wiosce. Brzeg rzeki, niewielkiej jak na syberyjskie warunki, naturalna polana na wzgórku, a dookoła dziewicza tajga i błotne trzęsawiska, „koczki”. Do Kaluczego dojechać można było tylko w zimie, bo poczynając od wiosennych roztopów dostępu broniła nieprzejezdna tajga i błotne topiele.

Kaluczoje pobudowali, od pierwszego zrębu, jeszcze w latach trzydziestych zesłani tutaj więźniowie. Mieszkali w barakach i pracowali przy wyrębie tajgi. Na wiosnę, kiedy zeszły lody, spławiali drewno Pójmą, najpierw do większej rzeki Birusy, a Birusą aż do potężnego Je-niseju. Na krótko przed przywiezieniem do Kaluczego zesłańców z Polski katorżników radzieckich pogoniono dalej, w głąb tajgi.

Obóz w Kaluczem składał się z baraków zbudowanych z sosnowych okraglaków uszczelnionych mchem. Taki barak miał kilkadziesiąt metrów długości, z dziesięć szerokości, jedno drzwi wejściowe u szczytu i kilka niedużych okienek pod niskim sklepieniem, bez powały. Wzdłuż barakowych ścian z ledwie ociosanych bali ciągnęły się jednolite, zbite z nieheblowanych sosnowych desek - prycze. Na środku, między pryczami, stały długie stoły z ławami. W każdym baraku dwa żeliwne piecyki, „burżujkami” zwane. Był osobny barak - stołówka i barak - izba chorych. Prócz tego podręczne magazyny, stolarnia, piekarnia, a nawet kuźnia. Nad brzegiem rzeki pobudowano pralnie

i łącznie. A całkiem na uboczu, ukryty za wysokim ogrodzeniem z dranic, budynek obozowego „naczalstwa”, gdzie urzędował i mieszkał komendant z ochroną. Tam też mieścił się podręczny areszt, jak go tu nazywano: „katałaszką”.

Ścisła strefa obozowa, „zona”, w Kaluczem nie istniała. Nie było tutaj wysokich płotów, kolczastych drutów ani strażniczych wieżyczek. Płot okalający Kaluczoje, z bramami po dwóch stronach obozu, był typowym płotem z sosnowych żerdzi, jakimi wszystkie syberyjskie wioski odgradzają się od tajgi, żeby im bydło nie uciekało albo żeby się leśna zwierzyna nocą po wsi nie włóczyła; w zimie zgłodniałe wilki, a w lecie - nie mniej żarłoczne i łase nie tylko na pasieki - niedźwiedzie. Nie grodzono, nie strzeżono Kaluczego, bo więzień na udaną ucieczkę prawie nie miał szans. W zimie wycieńczony głodem i pracą ponad siły, nędznie odziany, bez broni i żywności - zamarłby w tajdze na śmierć. W lecie ucieczka miała nieco większe szanse, bo było ciepło, tajga żywiła uciekinierów, ale i tak bładzili, topili się w błotach, umierali zamęczeni chmurami komarów i syberyjskiej muszki. A jeśli nawet szczęście zbiegowi wyjątkowo sprzyjało i udało mu się dotrzeć do ludzkiego osiedla, za sprawą wszędobylskich szpicli i sprzedaj nych „łowców głów” wpadał ponownie w sidła NKWD.

Komendantem Kaluczego był komisarz, Iwan Iwanowicz Sawin, doświadczony oficer NKWD. Na jego pomocnika i zastępcę wyznaczono niejakiego Barabanowa. Pod ich komendą było kilkunastu żołnierzy. Funkcję brygadzystów, magazynierów, funkcyjnych specjalistów pełnili cywilni pracownicy lespromchozu bądź byli więźniowie, przymusowo pozostawieni na stałym syberyjskim osiedleniu.

Polacy z kańskiego transportu, ludzie z Czerwonego Jaru, byli pierwszymi „spiecpieresielericami”, jacy dotarli do Kaluczego. Może dlatego komendant Sawin, który dotąd z Polakami nie miał do czynienia, nie tylko że był ich ciekaw, ale kazał swoim pomocnikom czekać na nich z ciepłą strawą, a w barakach napalić w piecach. Ludzie, którzy poprzednią noc spędzili na śniegu i czterdziestostop-



niowym mrozie, po wejściu do ogrzanego baraku, na wółprzymomni, padali z nóg i większość z nich, mimo dojmującego głodu, me miała siły, żeby zmusić się do ponownego wyjścia na mróz, do stołówki. Ci, którzy na to się zdobyli, dostali po misce gorącego krupniku i kromce chleba. I „kpiatoku skolko ugodno”.

Tylko Kulabiński i Czulak tę noc mieli nieprzespaną, bo dostawszy w komendanturze narzędzia i parę desek, zbijali trumienki dla swoich zmarłych córeczek, żeby je nazajutrz pochować.

Rano do baraku wkroczył komendant Sawin ze swoimi pomocnikami Panował tu poranny bałagan, hałas, nikt nie miał swojego stałego miejsca, niektórzy jeszcze spali. Komendant stanął na środku baraku i czekał, aż się ludzie uciszą. Sawin był wysokim mężczyzną koło czterdziestki, o szerokiej, mięsistej twarzy. Miał na sobie czarny barani kozuch, z kaburą pistoletu przy pasie. Z jego pomocników wyróżniał się szczególnie jeden, bo był karłowato niski i płomiennie rudy. Nawet kredowobiałą twarz i ręce miał upstrzone rudymi plamami. Był to zastępca komendanta, tak zwany „oper”, spec od inwigilacji, werbowania donosicieli i wszelkich dochodzeń - Dymitrij Barabanów.

Gwar cichł, ludzie gromadzili się wokół przybyłych. Zaczął Sawin półzartobliwie, z uśmiechem:

- Długo śpicie, obywatele przesiedleńcy! Rozumiem, że to po podróży... No, podchodźcie, obywatele, podchodźcie bliżej. Kobiety też, śmiało, śmiało, nie gryziemy. Lepiej usłyszycie, a ja głosu nie zedrę... Kim wy jesteście, obywatele przesiedleńcy, to ja wiem. Wy natomiast, dla porządku, powinniście wiedzieć, kim my jesteśmy, dokąd przybyliście, jak tu będziecie sobie żyć i pracować. I jakie obowiązują u nas prawa. Ja jestem tutaj komendantem, a nazywam się Sawin, Iwan Iwanowicz. A to są moi współpracownicy. Reprezentujemy tu radziecką władzę i radzieckie prawo. Zajdzie taka potrzeba, zgłaszajcie się do nas, pytajcie o wszystko. My też będziemy się wami opiekować, interesować. Prawda, towarzysze?

- Po to tu jesteśmy, towarzyszu komendancie! - wyciągnął się na palcach Barabanów, ale i tak ledwie było go widać.

- No właśnie - zgodził się komendant i kontynuował: - Jesteście spiecpierosielenkami i myślę, że wiecie, co to znaczy? Widzę, że niektórzy przeczą! No to wam dla jasności przypomnę. Na mocy dekretu radzieckiego rządu przesiedlono was tutaj z zachodniej Ukrainy, którą Armia Czerwona wyzwoliła z niewoli pańskiej Polski i przyłączyła do macierzy, wielkiego Związku Radzieckiego. A jako że wśród was jest wielu takich, którym, prawdę mówiąc, władza radziecka nie bardzo się podobała - kułaków, kolonistów, nacjonalistów, policjantów i tym podobnych wrogów ludu, przesiedlono was tutaj na reedukację. No, żeby was wychować na porządnym radzieckim obywateli. Musicie docenić wielkoduszność władzy radzieckiej, że dała wam taką szansę. Bo tak po prawdzie, za takie czyny można było nawet pod sąd trafić. A wy zostaliście tylko przesiedleni, i to z całymi rodzinami. Teraz, obywatele Polacy, tylko od was samych, od waszej pracy zależy, jak będziecie tutaj żyć, jak się w Kaluczem urządzicie. Na razie obowiązuje u nas taki porządek, że z Kaluczego nie wolno nikomu z was nigdzie wyjeżdżać czy samowolnie poza teren Kaluczego się oddalać. Gdyby ktoś odważył się to zrobić, trafi pod sąd i niech potem ma żal do samego siebie: ja was uprzedzam. Nie słuchajcie też, obywatele przesiedleńcy, żadnych tam buntowszczyków i podżegaczy czy innych zamaskowanych wrogów radzieckiej władzy. Zajmujcie się lepiej pracą, urządzajcie się tutaj po ludzku. No i o tej pańskiej Polsce, która była nawet dla wielu z was macochą i burżuazyjnym krwiopijcą - zapomnijcie raz na zawsze. Przekonacie się, że władza radziecka jest sprawiedliwa, a nasza Syberia to kraj bogaty, piękny, gdzie można żyć...

- ... raczej zdychać!

Jakiś głos z dumy przerwał zdanie komendanta. Sawin zawiesił głos, ale dokończył:

- ...i nie umierać. Kto tam coś powiedział? Może niejasno się wyraziłem? Myślę, że całkiem jasno. Ale jak ktoś chce o coś spytać, to proszę bardzo, pytajcie.

Czekał chwilę, bo ludzie szumieli, półszepem wymieniając uwagi, ale pytań nie było. Wobec tego komendant i jego pomocnicy za-

komunikowali zesłańcom, że wszyscy zdolni do pracy, nie wyłączając kobiet i dzieci od lat czternastu, mają obowiązek pracy. Zwolnić ich od tego obowiązku może tylko lekarz. Już od jutra zaczną pracować przy wyrębie tajgi; będą przygotowywać drewno do wiosennego spławu, kiedy lody zejną z rzeki Pójmy. Dzień roboczy zaczyna się od gongu. Dla pracujących śniadanie w stołówce i wymarsz brygadami do roboty. Osiem godzin pracy, po powrocie obiad w stołówce i czas wolny. W pracy obowiązuje norma, którą każdemu wyznaczą brygadziści. Norma obowiązuje też w stołówce, w przydziale chleba i innych produktów. Pracujący otrzyma dwa gorące posiłki i pół kilograma chleba dziennie. Niepracujący tylko jeden gorący posiłek i dwieście gramów chleba.

- Musicie pamiętać, że u nas, w socjalizmie, obowiązuje sprawiedliwa zasada: „Kto nie pracuje, ten nie je!” Ten, kto pracuje, i pracuje po stachanowsku, ma nie tylko pieniądze, produkty, ale i sławę! Wy też, obywatele, możecie zostać stachanowcami, pracować ponad normę. Wtedy nie tylko będziecie otrzymywać dodatkowy przydział produktów czy dodatkowy talon do naszego sklepiku, ale czeka was uznanie. Praca dla radzieckiego człowieka to najwyższy honor. Teraz jeszcze towarzysz Barabanów sprawdzi wasze dane. Dzisiaj do końca dnia macie wolne, urządzcie się wypoczywajcie, a jutro od rana do roboty! - Komendant skierował się do wyjścia, ale jeszcze coś sobie przypomniał:

- Barabanów, wszystkich o profesję wypytaj. I zanotuj, może są wśród was specjaliści: kowale, ślusarze, stolarze. Mogą się przydać. Bo musicie wiedzieć, obywatele przesiedleńcy, że my tutaj, w Kaluczem, nie tylko wyrębem tajgi się zajmujemy.

- Rolnikami jesteście, obywatelu komendancie, tylko ziemię potrafimy uprawiać, zboże siać, ziemniaki sadzić.

- Niczewo, niczewo, jak trzeba, wszystkiego się nauczycie. A zboże i tu możecie siać, jak sobie tajgę wykarczujecie. I ziemniaki sadzić. Bo ziemia tu dobra, żyzna. Czemu nie, zboże możecie siać, ziemniaki sadzić, krówkę hodować. To nic, że teraz sroga zima, mrozy. Nie-

długo przyjdzie wiosna. Wtedy różniej będzie. Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Wkrótce zapełniono Polakami wszystkie baraki. Jeśli pobieżnie policzyć, że w każdym baraku sdoczono po około setki ludzi, to w połowie marca czterdziestego roku w Kaluczem nad Pojmą znalazło się około tysiąca Polaków.

Dzień w dzień rano jeden z dyżurnych enkawudzistów walił młotem w kawałek szyny podwieszanej między barakami. Była godzina szósta. Na ten sygnał ludzie wstawali, szykowali się do roboty, śpieszyli do stołówki. Mimo że baraki były ponumerowane i mieszkańcy każdego z nich mieli wyznaczony swój czas, przed stołówką było zawsze doczno i hałaśliwie. Wszyscy poganiali wszystkich, byle jak najprędzej dostać się do okienka i otrzymać chochlę gorącej zupy. A tą zupą poranną, rzadką i jałową, bywał najczęściej krupnik jęczmienny lub jaglany, kapuśniak albo zupa z suszonych, woniących zjełczalym tranem ryb. Jedni łapczywie chleptali swoją porcję na miejscu, inni wracali do baraku nakarmić dzieci, podzielić się z rodziną. Obiad wydawano wieczorem, po powrocie brygady z pracy. Był obfitszy i składał się dwóch dań: zupy i chochli kaszy na gęsto polanej jakimś sosem i odrobiną oleju. Czasami dorzucano po kawałku żylastego mięsa z łosia. Chleb wydawano wieczorem, bezpośrednio z piekarni. Był czarny, gliniasty i kwaśny. W Kaluczem też był sklepik, w którym za zarobione ruble mogli coś tam dokupić. Ale niewiele. Brakowało w sklepiku chleba, tłuszczu, cukru, kaszy. W pierwszych dniach było jeszcze trochę herbaty, machorki, jakieś grzebyki, scyzoryki, sól i zapalki. Po paru dniach zabrakło prawie wszystkiego. Jedynie stachanowcy i protegowani komendantury na specjalne kwitki mogli zaopatrzyć się w dodatkowy kawałek chleba, odrobinę cukierków lub pierników. Oni mogli też kupić papierosy i flaszkę wódki.

Wolnym od pracy dniem była niedziela. Każdy mógł wtedy robić, co chciał, byle nie oddalał się poza rejon obozu. Kontaktów pomiędzy mieszkańcami poszczególnych baraków nie zabraniano.

Pracowali przy wyрубie tajgi. Ścinali masztowe sosny, modrzewie i cedry. Bale oczyszczone z gałęzi, porżnięte według miary, ściągali na brzeg rzeki i składali w olbrzymie sagi. Koni, z wyjątkiem kilku pod siodło dla enkawudzystów, w Kaluczem nie było. Zesłańcy ściągali drzewo z poręby własnymi siłami. Norma wyrubu wynosiła trzy kubiki na jednego drwala. Zarabiali nominalnie trzy ruble za dniówkę, ale faktycznie wysokość zarobku zależała od brygadzysty. Właściwie wszystko w pracy od niego zależało: uzna normę czy nie, da odpocząć czy przydzielili dodatkowy talon. Brygadzystami byli dawni więźniowie, dziś „wolni osiedleńcy”. Ale trafiali się też rdzenni Sybiracy, ludzie tajgi z dziada pradziada. Brygady były kilkudziesięcioosobowe. I w zależności od wykonywanej pracy brygadzysta dzielił je na mniejsze grupy, na czele których stawiał wyznaczonych przez siebie „dziesiątników”.

Barak, w którym mieszkali ludzie z Czerwonego Jaru, podzielono na dwie brygady. W pierwszej brygadystą był Sdepan Fadiejewicz Bukowski, mężczyzna w sile wieku, łagodny w obejściu i wyrozumiały. Skory do żartów, mówił z wyraźnym ukraińskim nalotem i, ni stąd, ni zowąd, lubił niespodziewanie wtrącić jakieś polskie słowo. Nie zdradzał się z tym, ale widać było, że po polsku rozumie. Drugą brygadą rządził Paweł Makarowicz Siedych, Rosjanin, rdzenny Sybirak, młodszy od Bukowskiego, a w sposobie bycia wyraźne jego przeciwieństwo. Chłop na schwał, mocny, żyłasty. Siedych był typowym milczkiem, odzywał się skąpo i rzadko kiedy się uśmiechał. Był sprawiedliwy, o brygadę dbał, a nierzadko sam brał się do cięższej roboty. Tajga i wszystko z nią związane nie miało dla Siedycha żadnych tajemnic.

Czas porannego wstawania. Na dworze ciemno. Jakże krótka wydaje się noc. Dudni gong. Czas do roboty. Ktoś głośno żałuje tego, co mu się śniło. Inny klnie w żywe kamienie. Ktoś modli się na głos. Większość zwleka się z twardej, ciasnej pryczy siłą woli, stękając i pokasłując. Wielu ma stan podgorączkowy; są przeziębieni, goją odmrożenia, kaszlą ochryple i spluwają flegmą. W baraku ciemno, drgający płomyk

kaganka, błyski ognia z dymiących piecyków. Powietrze z nocy gęste, śmierdzące. W doku i pośpiechu, z rozspania trudno znaleźć swoje odzienie, które nie zdążyło przez noc przeschnąć, jak należy. Najgorzej z obuwiem. Skórzane buty, trzewiki, śniegowce, w jakich z Polski przyjechali, nie nadają się na syberyjskie, głębokie śniegi i mrozy. Nie trzymają ciepła, przemakają, a z rana, przeschnięte i twarde jak skorupa, z trudem dają się wbić na obolałą, często odmrożoną nogę. Wdziewają na siebie, co się da: koszule, kalesony, swetry, płaszcze, kurtki, szaliki, chusty - byle tylko chronić się przed zimnem. Ale ta ich odzież też nie na tutejsze zimy. Marzą o walonkach, watowanych kufajkach i watowanych spodniach, o czapkach uszankach, o skórzanych jedno-palcych rękawicach, jakie noszą tutejsi. Skąd je wziąć, gdzie kupić, u kogo wymienić? Komendant, co prawda, obiecuje że lada dzień będzie ich dostawa do sklepiku i stachanowcy będą mogli sobie kupić. Ale wciąż tylko obiecuje.

Łyknąwszy tedy odrobinę gorącego płynu, zostawiwszy w baraku na cały dzień najmłodsze dzieci, starców i chorych, wloką się z brygadą na swój rewir. Daleko, często kilka kilometrów od Kaluczego. Idą gęsiego, bo śnieg głęboki. Milczą, żeby chronić przed porannym mrozem parujące nozdrza. Usta łapią powietrze krótkimi rybimi haustami. Idący na przedzie Siedych zatrzymuje brygadę.

- Zdzieś! - rzuca krótko, co oznacza, że dzisiaj wyrąb będzie właśnie tutaj. Woła do siebie dziesiętników, żeby podzielić robotę.

Brygada nie próżnuje, zbiera, gromadzi suche wiatrołomy i rozpala wielkie ogniska. Ludzie zasłaniają przed blaskiem gorąca twarze, grzeją zgrabiałe ręce, ocieplają sryliska toporów, ostrzą piły.

- Zaczynamy! - wskazuje nieodwołalnie Siedych i brygada niechętnie rozchodzi się na wyznaczone miejsca.

Wokół drzew przeznaczonych do wyrębu wydeptują głęboki śnieg, żeby pilarzom było poręczniej. Nim zaczną piłować, zadzierają głowy do góry, oglądają wysokie drzewo i jego koronę, debatują za każdym razem, w którą stronę się zwali. Przez kilka pierwszych dni Siedych decydował o tym sam. I nie zdarzyło mu się, żeby się pomylił. Pomału

i oni się tego nauczyli. Najpierw podcinali drzewo siekierą, ukośnie od tej strony, na którą miało upaść. A potem piłowali. Kiedy potężne drzewo zaczynało rozpaczliwie drgać, śniegiem z konarów prószyć, był to znak niechybny, że za chwilę podda się i runie. Wtedy śpiesznie wyszarpywali pilę i odskakiwali na boki, z głośnym ostrzegawczym krzykiem:

- Bieregiś! Bieregiś! Uwaga, uwaga! Wali się!

Pilarze bez chwili wytchnienia szli do następnego drzewa, a powalonym zajmowali się inni. Przeważnie były to kobiety i młodzi, prawie jeszcze dzieci. Do nich należało obcięcie wierzchołka, osieczenie konarów i spalenie ich na ognisku. Kto wie, czy nie cięższą pracą od pilarzy mieli ci z brygady, którzy musieli zwałoną i oporzadzoną kłodę wyciągnąć ze śniegu, dowlec ją, doturlać na brzeg rzeki. Było im łatwiej, kiedy wyrąb był dokonywany na wzgórzu opadającym ku rzece. Gorzej, kiedy poręba była na równinie, a często dość daleko od rzeki.

W południe należało im się pół godziny przerwy. Odpoczywali, jak umieli. Połowa marca, dzień robi się dłuższy, słońce na czystym, mroźnym niebie łaskawsze. Bezwietrznie. To tu, to tam osunie się z drzewa czapa śniegu, załśni sopelek lodu. Po odrobinie, po odrobinie, ale przedwiośnie daje już o sobie znać. Jak dobrze usiąść na gałęziach, oprzeć się o pień, przymknąć powieki i wystawić umęczoną twarz do słońca! Kiedy sypie śnieg, a jeśli w tajdze śnieg pada, to puszyście i gęsto, wtedy te krótkie chwile na odpoczynek spędzają przy ognisku. Nie jedzą, bo nie ma co. Niektórzy nauczyli się już zbierać z modrzewi żywicę i żuć ją nieustannie. Zwłaszcza młodzi. Gorzko toczyła ślinę i pęcherzykami strzelała w zębach, ale głodu nie zaspokajała.

Siedych, który „siery” z ust nie wypływał, doradzał:

- Głodu sierą nie oszukasz, ale zęby ci wyczyści, dziąsła wygarbuje. Na cyngę dobra.

Zimowa tajga, poza dzikim zwierzem, nie ma czym głodnego i bezbronnego pożywić. Chyba, że spod głębokiego śniegu przypadkiem wygrzebiesz zeszłoroczną jagodę: błotną granatową klukwę

lub czerwoną brusznicę. Na zwierza zesłańcy nie mieli czym zapolować. Kiedy chciało się pić, śnieg lizali z garści. Nie spodobało się to Siedychowi.

-Jutro z magazynu kocioł pobiorę. Tylko jakieś garnuszki do picia będą potrzebne.

O, jakże ten okopcony, blaszany kociołek im się przydał! Palili poranne ognisko. Ustawiali kociołek na trójnogu i topili w nim śnieg, gotowali wodę.

- Sibirskij czaj będziemy pić

Dziwili się za pierwszym razem, kiedy Siedych wrzucił do bulgocącego wrzątku drobno połamane łodygi dzikiej maliny i czarnej porzeczki. Pieniło się tu tego całe stajania, zwłaszcza w kodinach strumyków wpadających do Pójmy Sibirskij czaj nabierał ciemnowi-śniowej barwy i pachniał maliną.

- Witamina! - zachwalał Siedych i głośno siorbał parujący na mrozie wrzątek.

Od tej pory brygada Siedycha codziennie piła czaj. Nie potrwało długo, jak i całe Kaluczoje piło syberyjski malinowy czaj.

Zmierzchało się, dopalały się ogniska, kiedy brygadier dawał wreszcie upragniony sygnał.

- Kańczaj robotu!

Zmordowani, głodni do bólu żołądka i zamętu w głowie wlekli się do baraków. Niektórzy śpieszyli od razu pod stołówkę, gdzie już czekał ktoś z rodziny z naczyniem na obiad. Potem jeszcze do piekarni po codzienną normę chleba. I dopiero wtedy do ciepłego baraku.

Jeszcze w wagonach zesłańcy złapali wszawicę. I nijak nie mogli jej się pozbyć. Żarłoczne pasożyty gnieździły się we włosach i zakamarkach odzieży. Nie pomagało częste pranie bielizny w ługu, który robili z drzewnego popiołu, bo mydła nie mieli. Nie pomagało wyrzucanie odzieży i pościeli na mróz. Na niewiele zdało się parzenie w łaźni, osmalanie przy ognisku i codzienne iskanie. Na wszawicę nie było rady. I jak by tego było mało, w Kaluczem już w pierwszą noc po zasiedleniu baraków spadła na nich jeszcze jedna plaga, plaga plu-



skiew! Stare, obozowe baraki były doszczętnie zapluskwione. Po wysiedleniu z nich więźniów, wygłodzone, krwiożercze robactwo tylko czekało na następne ofiary. Ledwo zapadła ciemność i ludzie układali się do snu, całe roje pluskiew wyruszały na żer. Desantem lądowały z sufitu, wyłaziły ze szpar i szczelin ściennych, atakowały spod pryczy. W baraku gniazdowały całe stada czarnych dorodnych karaluchów i choć też były klopodiwe, bo całymi garściami topiły się w wodzie, w zupie, ale przynajmniej nie brały się do gryzienia ludzi.

Wszyscy wypatrywali niedzieli. Tego dnia nie pracowali. Śniadanie wydawano o godzinę później, można było odrobinę dłużej pospać. A jeśli się spać nie dało, to choćby tylko poleżeć na pryczy, starać się o wszystkim na moment zapomnieć, poleniuchować. A może nawet pomarzyć. Chleb wydawano w sobotę wieczorem, od razu na dwa dni. Jeśli ktoś umiał pohamować głód, to na niedzielę miał tego chleba trochę więcej. Obiad przynosili do baraku i spożywali go w rodzinnym gronie. W niedzielę chodzili do łaźni, prali, suszyli, łatali coraz bardziej potargane przy robocie odzienie, ratowali, jak mogli, rozlatujące się, zmacerowane wilgocią buty, bili wszy i wypalali pluskwy. Popołudniami łązili po barakach, odwiedzali starych i nowych znajomych, wymieniali zasłyszane plotki i nowości.

W niedzielę też, i to coraz częściej, chodzili na pogrzeby, grzebali w wiecznie zamarzniętej syberyjskiej ziemi swoich zmarłych. Jeśli śmierć przyszła po kogoś w tygodniu, jego sosnowa, grubo ciosana trumna musiała czekać na pochówek do niedzieli.

- Robota jest robotą. Norma musi być wykonana. A nieboszczykowi przecież i tak się już nigdzie nie śpieszy - zdecydował nieodwołalnie komendant i odmawiał zezwolenia na pogrzeb w dzień roboczy.

Chowano zmarłych na skraju tajgi, na wysokim, porośłym starymi sosnami brzegu Pójmy. Spod głębokiego śniegu wystawało kilkanaście ociosanych sosnowych słupków, z wypalonymi na nich wielkimi numerami. Były to mogiły i numery zmarłych w Kaluczem więźniów. Tylko numery, bez nazwiska i daty śmierci.

Pierwszymi Polkami pochowanymi na cmentarzu w Kaluczem były dwie zamarznęte dziewczynki: Kulabińska i Czulakówna, starsza pani ze Lwowa, która zmarła na ostatnim etapie zimowej drogi z Kańska do Kaluczego, i młoda dziewczyna z Czortkowa, którą zabiła spadająca sosna.

Teraz, na przedwiośniu, coraz rzadziej zdarzała się niedziela, żeby na cmentarzu nad Pojną nie przybyło katolickiego krzyża. Tej pierwszej zimy umierali przeważnie ludzie wiekowi, schorowani. Umierali pozbawieni należytej pomocy lekarskiej, wycieńczeni głodem i chłodem. Z niedożywienia, braku mleka i witamin, zimna, robactwa i brudu zapadały na wszystkie możliwe choroby, gasły jak słabo dące się płomyczki niemowlęta i małe dzieci.

Trumny zbijali zesłańcy z surowych sosnowych desek, których sami musieli naciąć tracką pilą. Krzyże stawiali brzoźowe. A na deszczułkach do krzyża przybitych wypalali nazwisko, datę i prośbę o modlitwę. Najtrudniej było z wykopaniem grobu. Na niewiele zdało się palenie ogniska, żeby choć odrobinę roztopić ziemię. Twardą jak kamień, wieczną syberyjską zmarzlinę trzeba było centymetr po centymetrze, kawałek po kawałku wyrąbywać siekierą. A mogiła powinna być odpowiednio głęboka, nie tylko dlatego, że tak nakazywała tradycja, ale i po to, żeby pokoju zmarłego leśny zgłodniały zwierz nie naruszył.

Na pierwsze pogrzeby przychodziło prawie całe Kaluczoje. Nie było wśród zesłańców księdza, więc sami, jak umieli i pamiętali, celebrowali chrześcijański pochówek. Po grudce ziemi na wieko trumny rzucali, odmawiali litanie i śpiewali „Wieczne odpoczywanie”. A kiedy ktoś intonował „Pod Twą obronę, Ojciec na niebie, grono twych dzieci swój powierza los” - nie było mocnych. Płakali wszyscy: nad zmarłym i nad swoim zesłańczym losem.

Komendant Sawin, z wyjątkiem zakazu urządzania pogrzebów w dni robocze, nie zabraniał stawiania krzyży, nie przeszkadzał Polakom w pogrzebowych obrzędach. Tylko jego zastępca, oper Barabanów, czujnie wszystko i wszystkich obserwował.

Wkrótce po przyjeździe zachorowała Rachela Bialerowa. Przeziębła się jeszcze w transporcie. Kasłała, potem gorączkowała do nieprzytomności. Cynia co rano wychodziła z brygadą do tajgi. Bialer, jako fachowiec i majster na cztery ręce, od świtu do zmroku pracował w obozowych warsztatach. Przy chorej matce zostawał najmłodszy z rodziny, Herszel. Bialer szukał dla żony ratunku, gdzie się tylko dało. Poszedł tedy do felczera na izbę chorych, bo lekarza z prawdziwego zdarzenia w Kaluczem nie było. Felczer, niski pucołowaty mężczyzna w okularach, które co chwila opadały mu na fioletowy nos, nazywał się Tartakowski, pochodził z Leningradu, a na Syberię trafił parę lat temu, skazany za jakieś trockistowskie przewiny przeciwko radzieckiej władzy. W Kaluczem, jako „wróg ludu”, odbywał zesłanie i do Leningradu nie miał prawa powrotu.

Tartakowski był Żydem. Kiedy Bialer wszedł do jego przegródki w sanitarnym baraku, Tartakowski siedział przy stole i siorbał herbatę wzmocnioną spirytusem. Na widok Bialera opuścił okulary na nos, przyjrzał mu się uważnie i spytał:

- Amchu?

-Amchu. Nu, Żyd jestem.

- Nu, to czewo Jewreju nużno?

-Jewreju? - Bialer nie bardzo rozumiał po rosyjsku.

- Jewrej to po rosyjsku znaczy Żyd właśnie. Zresztą od teraz to ty już nie jesteś Żyd. Rozumiesz?

- Nu, rozumiem... Ale znowu nie tak bardzo... Jeśli ja, Josele Bialer, nie jestem Żydem, to kim ja jestem?

- Jesteś, Bialer, Żydem, bo tego ukryć się nie da. Ale u nas w Związku Radzieckim to ty jesteś Jewrej! Rozumiesz? Żyd to ty byłeś tam w szlacheckiej, antysemickiej Polsce. A u nas, w socjalistycznym kraju, gdzie wszystkie narody są równe, to ty nie jesteś żaden „parszywy Żyd”, jak się tam u was w tej Polsce mówi, czy choćby u tych śmierdzących chachłów, na Ukrainie! Odtąd, Bialer, to ty jesteś Jewrej! Rozumiesz? - Tartakowski poprawił okulary i siorbnął herbaty.

- Rozumiem, rozumiem. Od teraz w Związku Radzieckim to ja, Josele Bialer, nie jestem Żyd, tylko ja jestem Jewrej! Nu, nu... - zdziwiony Bialer pokręcił głową.

- Jak Jewrej rozumie, to dobrze. I nie trzeba mi tu żadnego „nu, nu”.

- A można się zainteresować?

- Nu, interesuj się, interesuj.

- To niech mi pan doktor powie, gdzie w tym wszystkim jest jakaś logika?

- Jaka znowu logika? O co ci chodzi?

- A chodzi mi o to, czy żebym ja, Josele Bialer, dowiedział się, że w Polsce byłem Żydem, a w Związku Radzieckim jestem Jewrejem, to trzeba mnie było z całą moją biedną żydowską rodziną aż na Sybir wywozić? I żeby mi teraz moja biedna Rachela w gorączce umierała, żeby moje dzieci...

- Sza, sza, Żydzie! Filozof mi się znalazł. Lepiej mów od razu, po co Żyd tu przyszedł i czego Żyd potrzebuje?

Felczer odwiedził chorą w baraku. Przełożył dłoń do rozpalonego czoła, policzył puls, posłuchał stetoskopem. Pokiwał głową, pogrzebał w parcianej sanitarnej torbie, wyjął dwie porcje jakiegoś proszku, z których jedną nakazał chorej wypić zaraz, a drugą wieczorem.

- Nu, jak? - spytał z nadzieją Bialer.

Tartakowski opuścił okulary, potem znówje poprawił. Był poważny. I trzeźwy. Odwołał Bialera na bok.

- „Uznaję, o Panie Boże mój i Boże moich ojców, że moje uzdrowienie i moja śmierć są w Twoich rękach”... Czy Żyd mnie zrozumiał?

- „Pan jest naszym Bogiem. Pan jest jeden”... - wyszeptał w odpowiedzi poblady Bialer, który tym razem zrozumiał wszystko od razu.

Bialerowa zmarła kilka dni później. Ale nie było w Kaluczem „chewra kadisza”, tradycyjnego żydowskiego świętego bractwa, które w każdej gminie żydowskiej zajmuje się pogrzebem. Bialer, usprawie-

dliwszy się w myślach przed Wszechmogącym najgorliwiej, jak umiał, że religijnym nakazom pogrzebowym, jakie pobożnego Żyda obowiązują, sprostać nie może, wszystko przy zwłokach Racheli robił sam. Obmył ciało symbolicznie, w czyste prześcieradło od stóp do głowy owinął, no bo niby skąd miał w Kaluczem wziąć śmiertelny lniany całun... Sam też złożył Rachelę do trumny z surowych, sosnowych desek, którą pomogli mu zrobić Danilowicz z Doliną. Oni też, kiedy Bialer z dziećmi nieustannie czuwał przy zwłokach, grób Racheli w zamarzniętej ziemi wyrabali.

Nie było takiego z Czerwonego Jaru, który by Bialerowej na cmentarz nie odprowadził. A bogobojna babka Szajnina nawet „Wieczne odpoczywanie” próbowała zaintonować. I tak, jak to na każdym pogrzebie w zwyczaju, po grudce ziemi sąsiadce na trumnę rzucili.

Początek kwietnia. Dni stawały się coraz dłuższe. Mróz wciąż jeszcze trzymał, a zwłaszcza srożył się w nocy, z armatnim hukiem rozsadzając w tajdze drzewa, w których zaczynały krążyć soki. Łagodniał rano, w miarę jak słońce wspinało się coraz wyżej. W południe jego łagodne ciepło zmieniało wierzchnią warstwę śniegu w szklistą, twardą skorupę. W taką przedwiosenną porę wygłodniałe watahy wilków mogą łatwiej upolować sarnę, jelenia, a nawet łośia, zagoniwszy je w głębokie zaspasy, w których długonogie zwierzęta grzęzły po pas, a zlodowaciała śnieżna skorupa ograniczała ich ruchy, łamała i do krwi kaleczyła pęciny. Niedawno z takiego wilczego polowania skorzystali ludzie z brygady Siedycha. W drodze na wyrąb zobaczyli, jak wilki zaganiają półkolem wielkiego łośia w dolinę Pójmy. Łoś biegł coraz wolniej, grzązł w zaspach, z trudem wyciągał poranione nogi. Wilki dopadły go, szarpały żywcem.

Siedych strzelił ze sztucera. Nie trafił, bo było za daleko, ale wilki spłoszył. Odskoczyły od łośia niechętnie. Kiedy jednak Siedych strzelił jeszcze raz, ogromna wadera poprowadziła posłuszną sforę na drugi brzeg Pójmy. Na wysokim brzegu przystanęła i zawyła z wściekłości. Pokaleczony łoś dogorywał i wielkimi wystraszonymi ślepiami patrzył na zbliżających się ludzi. Siedych zwierza dostrzelił... Mięso podzielili sprawiedliwie.

Na zbliżające się przedwiośnie wskazywał także wzmożony ruch transportów, które, korzystając z zimowej drogi korytem zamarzniętej Pójmy, dowoziły saniami do Kaluczego zaopatrzenie. Miejscowi wiedzieli z doświadczenia, że z nastaniem wiosny, kiedy stopnieją śniegi, rozleje się powódź, ruszą lody, ożyją okoliczne topiele i grzęzawiska -

Kaluczoje na długie tygodnie zostanie odcięte od świata. Magazynowano więc mąkę na chleb, produkty do stołówki.

Ludzie głodowali. Co bardziej energiczni i przedsiębiorczy nie ustawali w poszukiwaniu okazji do zdobycia choć odrobiny dodatkowego pożywienia.

Daniłowicz, patrząc na swego paromiesięcznego synka, nie mógł sobie miejsca znaleźć. Malec, pozbawiony odpowiedniego pożywienia, a zwłaszcza mleka, marniał w oczach. Widział, jak Natalka oszukiwała dziecięcy głodny płacz matczyną piersią, w której już dawno nie było ani kropli pokarmu. Felczerowi Tartakowskiemu mleka w proszku dla dzieci starczało jedynie na lekarstwo. Daniłowicz próbował dogadywać się z woźnicami dostarczającymi towar z Kańska, żeby przywieźli mu mrożonego mleka. Mimo strachu przed NKWD, może dałoby się któregoś przekupić, ale żaden z nich nie był pewien, czy jeszcze raz tej zimy do Kaluczego przyjedzie. Od jednego z nich dowiedział się, że mniej więcej o dwadzieścia wiorst od Kaluczego, nad Pojmą, znajduje się najbliższa ludzka osada, Usolie. Mieszkają tam Buriaci, którzy, choć głównie trudnią się myślistwem, hodują czasami bydło, uprawiają liche ogródki, więc chyba u nich dałoby się nieco żywności i mleka zdobyć.

Daniłowicz nie wahał się długo. W tajemnicy namówił na tę ryzykowną wyprawę do Usolia Jana Dolinę i jednego z braci Kurylaków, Staszka. O uzyskaniu zgody w komendanturze nie mogło być mowy. Postanowili wyruszyć w sobotę wieczorem i wrócić najpóźniej w niedzielę. Oprócz rubli, nieśli ze sobą na wymianę różnoraki polski przyrodziewek.

Z Kaluczego do Usolia przetartej drogi nie było. Postanowili trzymać się Pójmy. Szli gęsiego, środkiem zamrożonej rzeki. Księżyc był w pełni, widoczność dobra, noc mroźna, bezwietrzna i cicha. Odgłosy kroków, chrzęst zmrożonego śniegu, pokasływania niosły się daleko. Po obydwu brzegach ciemniała zwartą ścianą tajga. Szli szybko, w milczeniu, czujnie wpatrzeni i wsłuchani w okolicę. Dobrze obliczyli przypuszczalną odległość od Usolia i swoje możliwości, bo kiedy,

wraz ze wstającym świtem, oszronieni i zmęczeni wyszli z ostrego zakrętu Póymy, na jej prawym brzegu dojrżeli leśną osadę. Przystanęli, żeby nieco odsapnąć i zastanowić się, co robić dalej. Najbardziej obawiali się spotkania z wioskową władzą, nie mówiąc już o milicji. Wieś nie spała, z paru kominów dym wysoko wspinał się do nieba. Postanowili zaryzykować i zapukać do pierwszej z brzegu chałupy. A jeśli będzie coś nie tak?... Nie zdążyli uzgodnić dalszego postępowania, bo zaskoczył ich charakterystyczny poświst sunących po śniegu nart. Obejrżeli się. Ich śladem zbliżał się uzbrojony mężczyzna! Sunął wolno, na krótkich, szerokich nartach. Krępy, średniego wzrostu, w jeleniej kurtce i wielkiej psiej czapie. Na kilkanaście kroków przed nimi przystanął. Poprawił na lewym ramieniu dyndające tuszki zajęcy bielaków, dubeltówkę przerzucił na przedramię, poręcznie do strzału. Był śniady, pociągły na twarzy, skośnooki. Wyglądało, jakby ten człowiek wracał z polowania, ale czy był myśliwym? Przybysz pierwszy przerwał przeciągające się milczenie. Uśmiechnął się przyjaźnie i spytał:

- Polaki?

- Polaki - przyznali chórem, dziwiąc się, po czym to poznał.

- Kaluczoje? - Myśliwy kiwnął ręką do tyłu.

- Da, da, Kaluczoje - przytaknęli.

Spoważniał, jakby nad czymś przez moment się zastanawiał.

- Ubieżali?

- Niet! Niet! - Gwałtownie zaprzeczyli. - My w dierewniu - pokazali na wieś - chcemy kupić mleka dla dzieci, produktów...

- Aaa... Produkty. - Pokiwał ze zrozumieniem głową i znów się uśmiechnął.

Napotkany człowiek był Buriatem i nazywał się Onoj Jegorow. Prawie wszystkim skolonizowanym syberyjskim ludom Rosjanie nadawali nazwiska na swoją manierę, przy czym ich źródłem było zwykle rosyjskie imię. Stąd w syberyjskich koczowiskach hodowców renów, w leśnych osadach i nadrzecznych wioskach, wśród Buriatów, Ewenków i Czuwaszów co drugi nosił rosyjskie nazwisko Iwanowa, Piętrowa, Jegorowa, Wasiliewa czy Stiepanowa.



- Usol! - Onoj pokazał w stronę wioski. Po rosyjsku mówił źle, krótkimi, urywanymi zdaniami.

- Prodasz produkty? - spytali.

- Mało, mało jest... - Wciąż się uśmiechał.

- Małoko nada... Dziecko, rebionok - tłumaczył mu Daniłowicz.

- Rebionok, małoko... panimaju, panimaju. Poszli - zdecydował Jegorow i ruszył w kierunku wioski. Szli za nim, choć nadal nie bardzo pewni, kim ten Jegorow jest i co ich tam czeka.

- Ryzyk, fizyk, najwyżej milicja nas do Kaluczego odprawi.

- Albo na gorszą katorgę pogoni.

- A nie wszystko to jedno?

- Mój dom! - Buriat pokazał na zasypaną śniegiem po dach chałupę. - Zachodzi Polaki, gość budziesz.

Obejście Jegorowa składało się z obszernego drewnianego domu i niskiej gospodarskiej przybudówki. Izba, do której gości wprowadził, była obszerna, z wielkim ruskim piecem, w którym palił się ogień. Oswoiwszy się z półmrokiem, z ciekawością rozglądali się dookoła. W izbie była para staruszków, pewnie rodzice Jegorowa, trzy młode kobiety i kilkoro małych dzieci. Wszyscy w milczeniu oglądali przybyszów. Jedna z kobiet pomagała myśliwemu, powiesiła strzelbę i wyniosła do sieni zające. Druga rozdmuchiwała wielki, okopcony samowar. Trzecia, najmłodsza, obwieszona koralami, z ozdobną krajką na czole, kryła się w ciemnym kącie otoczona dzieciakami. Dziadek siedział na pokrytej skórą pryczy i kurzył fajkę. Babka, też z fajką w zębach, manipulowała sagankami w piecu. Jegorow rozmawiał z rodziną po buriacku, co jakiś czas pokazując na swoich gości. Rozumieli tylko powtarzające się słowo „Polak”. Rodzina słuchała w milczeniu, jedynie stary kiwał rozumiejąco głową. W izbie było ciepło, duszno; śmierdziało skórą, starym duszczem i ludzkim potem. Ale czysto. Na drewnianej podłodze leżały wilcze i niedźwiedzie skóry. W rogu na półeczce stał niewielki posążek Buddy. Na ścianie wisiał papierowy portret uśmiechniętego Stalina. Myśliwy, śledząc ich spojrzenia i domyślając się zainteresowania, pokazał na portret.

- Stalin! Samyj bolszoy naczalnik! Charaszo! - uśmiechnął się i dodał: - Budda - tu pokazał na dziadka - tożę charaszo. Sadiś, Polaki, czaj pić budiem.

Przy podłużnym, niskim stole, z ławami po bokach, usiedli tylko mężczyźni. Kobiety donosiły do stołu. Żeliwny saganek z duszonym jelenim mięsem, wrzący samowar, czajnik z zaparzoną herbatą i czerwoną zamrożoną brusznicę w naczyniu z brzozonej kory, zwanej tutaj „tujaskiem”. Chleba nie było. Gospodarz nabijał wielkie kawałki mięsa na nóż i kładł przed każdym na poręcznych deseczkach zastępujących pewnie talerzyki. Herbatę pili ze starych, zakopconych blaszanych misek. Słoną. Chcąc się wkupić i odwdziżyć za gościnę, Daniłowicz wyciągnął z plecaka flaszkę wódki i wręczył Onojowi.

- O! Charaszo, Polak, wódka pić budiem! - Ucieszył się myśliwy. Zresztą nie tylko on. Babka coś tam zamamrotała, nie wytrzymała i podeszła bliżej stołu. Za piecem przestała chichotać wystrojona młódka, wyjęła skądś i postawiła na stole kilka garnuszków. Onoj nalał mężczyznom, resztę w butelce wręczył babce.

- Polak, twoja charaszo, Buriat, moja charaszo. - I łyknął swoją porcję jednym haustem. Babka pociągnęła z butelki i przekazała ją pozostałym kobietom.

Udała im się ta wyprawa do Usolia. Nie tylko, że korzystnie wymienili wszystko, co ze sobą tutaj nieśli, na zamrożone krążki mleka i wędzone mięso, ale udało się im Buriatów dobrze do Polaków usposobić. Milicji we wsi nie było. A właśnie Onoj Jegorow był tu przewodniczącym „sielsowietu”.

Usolie było typową buriacką osadą, której nieliczni mieszkańcy trudnili się myślistwem; żyli z tego, co im tajga podarowała. Niektórzy produkowali dziegieć z brzozonej kory. Ludzie z zewnątrz zaglądali tu rzadko. A Polaków w Usoliu widziano po raz pierwszy, choć Buriaci wiedzieli, że tej zimy pojawili się w tajdze Polacy. Władza tłumaczyła im, że są to „wragi naroda”, „kułacy”, że trzeba na nich uważać, unikać z nimi kontaktów, bo mogą próbować uciekać,

obrabować, zabić. Od Jegorowa dowiedzieli się, że za Usoliem, w dolnym biegu Pójmy, też są Polacy. Buriaci jako miejsca polskiego zesłania wymieniali jeszcze rzekę Birusę, leśne osady: Kajen, Burunduk i Szytkino.

Gospodarz odprowadził ich daleko za wsiowe rogatki.

- Prychodzi, Polak, u Jegorowa gość budziesz.

W drodze powrotnej mieli mniej szczęścia. Pod wieczór mróz zelżał, ale zaczął prószyć śnieg, który przeszedł w gęstą śnieżycę. Zrobiło się ciemno. Opady świeżego śniegu sprawiły, że nogi grzęzły głęboko, szło się im coraz wolniej i trudniej. Nie bali się zabłądzić, bo wiedzieli, że koryto rzeki musi ich do Kaluczego doprowadzić. Byle tylko zdażyć do roboty. Prawie po omacku dreptali zygzakami, grzęzli w przybrzeżnych zaspach. Szli objuczeni ciężkimi, nieporęcznymi do niesienia workami. Pewnie z przejedzenia męczyło ich rozwolnienie i bóle żołądka. I jakby tego wszystkiego było mało, Dolinę zaatakowała nagle ślepotą zmierzchowa, znana im od pewnego czasu w Kaluczem. Chory na kurzą ślepotę od zmierzchu do świtu nic nie widział i był bezradny jak prawdziwy ślepiec. Kiedy zapadł zmrok, taki „kurzy ślepiec” przestawał pracować i wracał z roboty prowadzony pod rękę przez kolegów. W baraku aż do świtu pozostawał mu tylko dotyk i liczenie na łaskawą pomoc sąsiadów. Zdarzyło się już, że samotny chory błądził, ginał, zamarzał w tajdze na śmierć. Felczer Tartakowski nie dysponował na kurzą ślepotę lekarstwami.

- Kurza ślepotą przejdzie, od tego się nie umiera.

- Ale ja nic nie widzę, doktorze!

- A czy ja ci mówię, że ty widzisz? Sowa nie widzi w dzień i żyje, a ty nie widzisz tylko w nocy. W nocy możesz spać.

- Jest na to jakieś lekarstwo?

- Pewnie, że jest lekarstwo! Na wszystko, z wyjątkiem śmierci, jest lekarstwo. Na kurzą ślepotę też jest lekarstwo.

- No to może...

- Co może, co może! - Podenerwowany i bezradny felczer manipulował okularami. - Czy ty sobie myślisz, że ja dam ci witaminę A?

Czy ty sobie myślisz, że ja ci dam rybiego tranu? A może ty sobie myślisz, że ja ci dam wątrobianą pigułkę, a najlepiej wątróbki z cebulką ci na lekarstwo nasmażę? No to ty sobie możesz nawet tak myśleć, a ja ci niczego takiego nie dam. A nie dam, bo nie mam. Od kurzej ślepoty się nie umiera.

Nameńczyli się, strachu najedli, ale szczęśliwie zdążyli do baraku przed porannym gongiem. Gęsta śnieżycą nie tylko skryła ich w mroku, ale zamiotła na Pojmie wszystkie ślady...

W ciągu dnia w baraku zostawali obłożnie chorzy, starcy i małe dzieci. Niemowlaki i malcy pod czyjąś opieką, starsze musiały sobie radzić same. Dzień, podobny do dnia, mijał im wśród zabaw, psot, bijatyk i hałasów. Dzieci pomagały sprzątać w baraku, palić w piecykach, przynieść drzewa, czystego śniegu nazbierać. Na dwór wybiegały rzadko, bo ani odzienia, ani stosownego obuwia na tutejszą siarczystą zimę nie miały. Nie uczyły się, bo w Kaluczem o szkole nie było mowy. Zadoczony, zawszony i zapluskwiony barak był dla nich jedynym dostępnym miejscem. Radziły sobie dzieciaki w tych warunkach, jak umiały. Tylko z jednym poradzić sobie nie mogły: z nieustającym głodem. Jak te nienasycone bocianie piskłeta głodne były zawsze.

Korczyński, nauczyciel z zawodu, a do tego barakowy starosta, nakarmić dzieci nie mógł, ale postanowił, że w jego baraku dzieci będą się uczyć.

-Jak to będzie wyglądało - przekonywał rodziców. - Wrócą wasze dzieci do Polski i „ani czytaty, ani pisaty”.

- No dobrze, panie Korczyński, ale kto je będzie uczył?

- Nie zapominajcie, że jestem nauczycielem. Myślę, że pomocników też sobie znajdę.

I znalazł. Celina Bialerówna zgodziła się uczyć polskiego, „Student”, czyli Władek Lutkowski, geografii, a sam Korczyński - wziął się za rachunki i historię. Uczyli dzieci w niedzielę, a na cały następny tydzień zadawali im lekcje. Nie było czym i na czym pisać. Dobrze, że w sklepiku było jeszcze parę kopiowych ołówków. Dzieci pisały na

strzępach gazet, resztkach zeszytów, papierowych torebkach. Nie było podręczników. Na szczęście Heniek Bialer, dumny ze swego nowego tornistra, zabrał go z Czerwonego Jaru i dowiózł z całą zawartością do Kaluczego. Szukali polskich książek po innych barakach. Ale kto podczas nagłej wywózki miał do książek głowę? A jednak znalazło się parę: Wandzia Malinowska pożyczyła im „W pustyni i w puszczy”, Olek Balik „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, a Staszek Dolina wy-błagał od mamy „Najnowszą kuchnię warszawską”, zawierającą przeszło 1200 przepisów różnych potraw, od najskromniejszych do najwykwintniejszych, ułożonych przez Aniełę Owoczyńską”.

- Pani Tosiu! - żartował Korczyński. - Kiedy kiszki nam zaczną marsza grać, przerwiemy naukę i poczytamy sobie na przykład o „nóżkach cielecych faszerowanych” albo o „sznycelkach po wie-deńsku”... A na deser... Na deser wybierzemy sobie, o, już wiem: dla dzieci „lody czekoladowe”. A dla nas „faworki na pianie” i filiżankę mocnej czarnej kawy!

- Kawa, kawa! Niech pan się nade mną nie znęca.

Od siebie dorzucił Korczyński ulubionego Mickiewicza, któremu zawsze dawał prym wśród wszystkich polskich poetów. Miał ze sobą w Kaluczem zbiór wydany przez Anczyca, ze wstępem profesora Pigonia. Były tam „Dziady”, „Grażyna”, „Konrad Wallenrod” i „Księgi Pielgrzymstwa”. Ileż to razy modlił się Korczyński żarliwą mickiewiczowską modlitwą, którą znał na pamięć!

***Panie Boże wszechmogący! Dzieci narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce bezbronne z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalni syberyjskich i ze śniegów kamczackich, i ze stepów Algieru, i z Francji ziemi cudzej. A w Ojczyźnie naszej, w Polsce wiernej Tobie, nie wolno jest wołać do Ciebie i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości, myślą i łzami. Boże Jagiellonów! Boże Sobieskich, Boże Kościuszków! zlituj się nad Ojczyzną naszą i nad nami. Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem zrobionym z bębnow i dział, przed bal***

***dachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech się stanie nie nasza wola, a Twoja. Amen.***

Iwan Sawin najbardziej cenił sobie święty spokój. Nie pierwszy raz był szefem gułagu, ale ten w Kaluczem znacznie różnił się od poprzednich. W dotychczasowych przebywali skazani; polityczni, pospolici kryminaliści, głównie mężczyźni. Rosjanie, Ukraińcy, Gruzini, Czeczeńcy - słowem wszystkie narody radzieckiego związku. I z nimi sprawa była prosta: wyrok, obozowy regulamin, koniec kary, do domu albo na zesłanie. A tu nagle ci Polacy! Co to za ludzie? A do tego zesłani całymi rodzinami, ze staruchami i małymi dziećmi. Nie mają wyroków, a więc nie są, formalnie rzecz biorąc, skazanymi, tylko przesiedlonymi na mocy rządowego dekretu. Sawin słyszał o podobnej kategorii zesłańców, kiedy to do Kazachstanu i na Syberię zaczęto w latach trzydziestych przesiedlać kułaków z Ukrainy, Białorusi i Kozaków znad Donu. Zostawiono ich na stepie, w tajdze, niech sobie radzą. Niech żyją, jak potrafią. Bez prawa powrotu w rodzinne strony. A ci to Polacy, burżuje. Co z takimi robić, jak ich traktować? Sawin chciał wiedzieć. Lubił porządek, regulamin i spokój.

Jeszcze przed nadejściem pierwszych transportów zebrano takich jak Sawin na odprawę w Tajszecie, gdzie mieściło się szefostwo gułagów na tym obszarze wschodniosyberyjskiej tajgi. Instrukcje były następujące:

- Polacy, którzy będą wam podporządkowani, to antyradziecki, kontrrewolucyjny element: burżuje, obszarnicy, kułacy, słowem -wyzyskiwacze. A oprócz tego są wśród Polaków oficerowie, policjanci, urzędnicy, księża i tego typu „wsiąkają kontra”. Wszyscy oni rozkazem NKWD, towarzysza Berii, zostali wysiedleni z wyzwolonych obszarów zachodniej Ukrainy i Białorusi i skierowani do oddalonych regionów ZSRR, w tym na Syberię. Na zawsze! Bez prawa powrotu w rodzinne strony. Za ucieczkę z zesłania - oddawać ich pod

sąd. Aż do odwołania nie wolno im oddalać się poza teren obozu. Zabronić kontaktów z miejscową ludnością. Zaraz po przybyciu do obozu wyjaśnić Polakom ich status „spiecpieresielańców”, uprzedzić o grożących im karach. Stanowczo podkreślić, że przybyli tutaj na stałe i tylko od nich zależy, jak sobie ułożą życie. Wszyscy Polacy od lat 14 do 60-ciu bez wyjątku podlegają obowiązkowi pracy. Jako element antyradziecki, o nastawieniu kontrrewolucyjnym - podlegają stałej obserwacji, straży i operacyjnemu rozpracowaniu NKWD. Werbować i likwidować najmniejsze nawet przejawy antyradzieckiej agitacji i kontrrewolucyjnej działalności. Wyławiać i izolować prowodyrów. Zakładać sprawy karne, aresztować i kierować na śledztwo do Tajsztetu.

Sawin odetchnął z ulgą. Wiedział już, jak ma z tymi Polakami postępować. W każdym od nowa zasiedlanym baraku osobiście wygłaszał do Polaków „powitalną” mowę. A oni podobnie na nią reagowali. Do roboty chodzili bez oporu, choć narzekali na brak ciepłego odzienia i złe wyżywienie. Ucieczek Sawin się nie obawiał: dokąd ci Polacy mogą uciec przez tajgę, śniegi i mrozy? Kontakty z miejscową ludnością też odpadają; nie znają terenu, nie mówiąc o tym, że do najbliższych ludzkich osiedli tyle kilometrów bezdroża. W zimie śniegi i mrozy, na wiosnę - dookoła błota i topiele. Nie, z Kaluczego Polacy nosa mu nie wysuną, nie ma obawy. Za operacyjne sprawy odpowiada Barabanów. Niech on się martwi. Ale ten karzeł jak dotychczas niczego konkretnego nie wykrył. Żali się, że Polacy to nie to co nasi, są czujni, ostrożni i nieufni. Trudno zwerbować wśród nich agenta, znaleźć informatora, nie mówiąc o prowokatorze.

Raz w tygodniu, w poniedziałek wieczorem, Sawin miał obowiązek złożyć radiowy meldunek do Tajsztetu o stanie spraw w Kaluczem. W depeszy za każdym razem potwierdzał stan liczbowy obozu. Ze zgonów się nie dumaczył. Podawał tylko przyczynę śmierci. Gorzej, gdyby zdarzyła się ucieczka, antyradziecka propaganda albo artykuł 58 kodeksu karnego, czyli „kontrrewolucyjna działalność”.

Któregoś dnia Barabanów wpadł do komendanta wyraźnie podniecony.

Trzymał w ręku jakiś papier i już od progu krzyczał:

- Mam, Iwanie Iwanowiczu, nareszcie ich mam! Sawin zdjął dłonie z ciepłego pieca.

- Co tam znowu takiego? Co masz, kogo?

- Czytajcie, proszę.

Z pisemnego meldunku Barabanowa wynikało, że w baraku numer 1 niejaki Korczyński samowolnie zorganizował nauczanie polskich dzieci: „żeby jak kiedyś wrócą do Polski, umiały po polsku czytać i pisać”.

- Skąd o tym wiesz?

- Mam swoje sposoby, towarzyszu naczelniku! Trzeba to zaraz, w dzisiejszym meldunku...

- Niczego nie trzeba w dzisiejszym meldunku. Ty, Barabanów, nie bądź w gorącej wodzie kąpany. Zameldujesz, a jak potem niczego nie udowodnisz?

- Udowodnię, Iwanie Iwanowiczu, udowodnię!

- No to najpierw mi udowodnij. A z meldunkiem do Tajsztetu zawsze zdążymy. Nie ucieknie nam ten twój Korczyński czyjak mu tam...

Doświadczony enkawudzista Sawin miał rację, bezpośrednich dowodów na Korczyńskiego nie było. A o samej sprawie Barabanów dowiedział się przypadkowo od swojej kochanki, którą kupił sobie za trochę jedzenia dla jej dzieci i za pracę, jaką załatwił jej w stołówce. Irena Puc, drobna, delikatna blondynka, była żoną jakiegoś urzędnika z Tarnopola. Jej męża NKWD aresztowało zaraz po wkroczeniu do Polski i od tego czasu wszelki ślad po nim zaginął. Irenę wraz z dwójką dzieci wywieziono na Sybir. Przed wojną nigdzie nie pracowała. Zaskoczona wojennymi nieszczęściami, absolutnie nie umiała sobie radzić. Ale już w transporcie skokietowała młodego komendanta i nie bacząc na to, co powiedzą ludzie, chodziła do jego wagonu „sprzątać”. Komendant był przystojny, do tego hojny, nie cierpiała więc głodu ani ona, ani jej dzieci.



W Kaluczem musiała Irena iść do tajgi, do roboty, i mało tam nie umarła z zimna i głodu. Na jej szczęście albo na nieszczęście, bo kto to wie, pewnego wieczoru oper Barabanów wezwał ją na zwykłą rutynową rozmowę. Była kolejną na liście do rozmowy, jako żona urzędnika państwowego. Zgodnie z instrukcją Barabanów wzywał na takie rozmowy urzędników, leśników, sędziów, adwokatów, nauczycieli, żony oficerów, policjantów, słowem - inteligencję. To środowisko NKWD uznawało za potencjalnie groźne i do obowiązków Barabanowa należało bliższe jego rozpoznanie. A przy okazji, jeśli nadarzy się sposobność - kogoś z nich zwerbować na agenta lub tajnego informatora. W tym, jak dotąd, Barabanów nie mógł się pochwalić sukcesami. Polacy byli twardzi, hardzi, nigdy niczego nie widzieli, nie słyszeli, niczym się nie interesowali, nikogo nie znali, z nikim o niczym nie rozmawiali. A najczęściej udawali, że nie rozumieją, czego Barabanów od nich chce, bo nie znają rosyjskiego. Niewiele tedy obiecywał sobie i po tej rozmowie. Ale kiedy dyżurny wprowadził do izby Pucową, komisarz Barabanów postawił oczy w słupek: stała przed nim naprawdę piękna kobieta. Irena, choć wystraszona nagłym wezwaniem do komendantury, w lot zorientowała się, jakie wrażenie na tym wszechmocnym karle wywarła, i zdecydowała się spróbować tę szansę wykorzystać. Niech się dzieje, co chce, a nie wróci na wyrąb, nie da zdechnąć z głodu swoim dzieciom.

Jak postanowiła, tak też zrobiła. Na początek rozplakała się żałośnie, złapała za serce, zatrzepotała rzesami i zemdlona spadła z taboretu na podłogę. Wystraszony Barabanów pośpieszył z pomocą. Śledziła uważnie, jak się przy niej krząta, rozpinając bluzkę, poklepuje policzki, obejmuje, usiłując przenieść ją na leżankę. Pojękiwała, poddawała mu się, niby bezwolnie obejmując go za szyję. Cichym, żalonym głosem poprosiła wody. Unosił jej głowę i troskliwie poił. Otworzyła powiększające się ze zdziwienia niebieskie oczy. Próbowwała usiąść.

- Co się stało? Gdzie jestem? O Boże, co...

- Niczego, pani Irena, niczego. Już dobrze, dobrze, niech się pani uspokoi. - Barabanów wciąż jeszcze podtrzymywał ją półobjęciem

- osłabła pani, zemdląca. Ale już dobrze. Zaraz zrobię pani gorącej herbaty.

-Jaki pan dobry! - szepnęła Irena głosem, w którym Barabanów mógł usłyszeć, czego tylko zapragnął, i nim zdążył zareagować, uczył na swoim policzku gorący pocałunek jej ładnie wykrojonych, wilgotnych warg.

- Nu czto wy, pani Irena, czto wy...

Tego wieczoru na tym się skończyło. Na drugi dzień, za sprawą Barabanowa, felczer wypisał Irenie zwolnienie lekarskie z pracy na porębie. Niedługo potem została utrzymanką Barabanowa i zaczęła pracować w stołówce.

Irena Puc nie była agentką. Barabanów nawet nie usiłował swej kochanki werbować. Ale o Korczyńskim, o nauczaniu przez niego dzieci, Barabanów dowiedział się właśnie od niej. Irena wygadała się przed nim przypadkowo. I nawet jej przez myśl nie przeszło, co z tego może wyniknąć.

Zadurzony w Irenie i pragnący jej nieustannie, Barabanów stwarzał poręczne okazje, żeby jak najczęściej być z nią sam na sam. Działająca rozmyślnie Irena, szła do niego jak na tortury i rzygać jej się chciało już na samą myśl o zbliżeniu z tym oślizłym, nigdy nienasyconym karłem. Ale bała się go czymkolwiek zrazić, żeby znowu nie zamarać w tajdze i wraz z dziećmi nie zdychać z głodu. Przychodziła więc co parę wieczorów, wypijała herbatę ze spirytusem, rozbierała się i półpijana, z zamkniętymi oczami, pozwalała roznamiętnionemu komisarzowi znęcać się nad swoim ciałem. Feralnego wieczoru miała już wychodzić, pakowała do kieszeni kostkę prasowanej herbaty, jakąś konserwę, gdy nagle na stoliku zobaczyła grubego zeszyt. To jej przypomniało, że dzieci nie mają na czym pisać. Machinalnie po niego sięgnęła, ale Barabanów nie pozwolił.

- Co ty? Nielżia tego ruszać, służbowe. - Miał tam swoje notatki, wrzucił zeszyt do szuflady.

- Potrzebny mi jest taki czysty zeszyt. Możesz mi taki dać albo najlepiej ze dwa?

- Zeszyt? A na co ci zeszyt?

- Nie mnie, dzieci prosiły, żebym im coś do pisania znalazła. Lekcji nie mają w czym odrabiać. A w tym waszym zasranym sklepiku nawet zeszytu nie można kupić.

- Lekcji nie mają w czym odrabiać? - W Barabanowie obudził się enkawudzista. - A ja coś nie słyszałem o tym, żeby w Kaluczem była jakaś szkoła.

- No właśnie, jak dzicy ludzie tu żyjemy.

- No, no, Irena, licz się ze słowami! Kiedy przyjdzie pora, to i szkoła będzie. Zeszytu potrzebujesz? Proszę bardzo, o jest! Jeden tylko, ale następnym razem zdobędę ci więcej. To mówisz, że dzieci się uczą?

- E, jaka tam w baraku nauka, ale zawsze to coś...

- No pewnie, pewnie... A nauczycieli choć dobrych mają? Kto ich tam uczy?

- Nauczyciele są. Taki na przykład pan Korczyński z naszego baraku, który to wszystko zorganizował, on jeszcze w Polsce był kierownikiem szkoły...

Od Sawina wyskoczył Barabanów wściekły. „Brak dowodów, brak dowodów - warczał pod nosem - jak będzie trzeba, to z tego cholernego Korczyńskiego i bez dowodów wszystko wyduszę”. Ale w chwilę później, kiedy nieco ochłonął, przyznał komendantowi rację. „Dobra jest, chce Sawin dowodów, to mu ich dostarczę, niech sobie nie myśli”.

Rano, kiedy ludzie z baraku nr 1 byli w pracy, Barabanów ze swoimi pomocnikami przeprowadził tam rewizję. Wywrócili wszystko do góry nogami i znaleźli to, czego szukali: parę polskich książek, w tym wszystkie podręczniki do czwartej klasy małego Bialera oraz dzieła Mickiewicza, należące do Korczyńskiego. A najbardziej cieszył się Barabanów z zeszytów, skrawków gazet i szarego papieru, zapisanych dziecięcymi, niewprawnymi kulfonami. Ale nie tylko wyniki rewizji go ucieszyły.

Enkawudziści przeszukiwali barak, a Barabanów rozmawiał z jego mieszkańcami. Pomagał mu w tym Cybulko, enkawudzista, Ukra-

iniec spod Żytomierza, który znał język polski i służył w komendanturze za dumacza. Dzieci, jak to dzieci, ciekawe były obcych, zwłaszcza że ten rudy naczelnik częstował ich cukierkami, których smaku już prawie zapomniały. Odpowiadały na pytania chętnie, a co śmielsze, same chwaliły się na wyścigi.

- A ty jak się uczysz? - pytał uśmiechnięty Barabanów, głaskał dziecko po główce i częstował cukierkiem.

- Dobrze, proszę pana.

- A kto cię uczy?

- Pan Korczyński! - Włączyły się chórem pozostałe, wyciągając ręce po cukierki.

- I jeszcze pani Celina też nas uczy. - I jeszcze pan Włodek nas uczy.

- A czego oni was uczą?

- Polskiego i rachunków, i jeszcze historii, i geografii...

- Nawet śpiewu nas uczą!

- Śpiewu? - Dziwił się udanie Barabanów. - A jakich to piosenek uczyłyście się ostatnio? Pamiętacie? - Barabanów bawił się cukierkami, przesypując je z garści do garści.

- Pamiętamy! Pewnie, że pamiętamy.

- A zaśpiewacie mi? No, odważnie! Jak mi ładnie zaśpiewacie, to te wszystkie cukierki będą wasze.

Ośmieliła się Tereska Balikówna i zaczęła drżącym głosem. Podtrzymały ją pozostałe dzieci i wyśpiewywały, jak umiały, wpatrzone w przesypujące się z ręki do ręki cukierki:

***Dziesiąty luty będziemy pamiętali, Przyszli Sowieci, gdyśmy jeszcze spali, I nasze dzieci na sanie wsadzili, Wszystkich Polaków na Sybir gonili. Przez cały miesiąc transportem jechali, Ginęli z głodu, z zimna umierali.***

***A na tym Sybirze tajga, straszna bieda, Ale nasz Polak wrogowi się nie da, Nie da się wrogowi, nie ugnie kolana, Chociażby miał zginąć, ojczyzno kochana. Polsko ukochana, ty nasza miłości, Wrócimy do ciebie, jak da Bóg wolności!***

Barabanów rzucił dzieciom cukierki na podłogę baraku. Maluchy kodowały się, zbierały. Komisarz sam już nieco po polsku rozumiał, ale z tego, co mu w trakcie dziecięcego śpiewania zdążył przedumaczyć Cybulko, nie miał żadnych wątpliwości, co tu się w tym baraku dzieje i jaką „kontrrewolucją” ten Korczyński ze swoimi pomocnikami się zajmuje.

Po wyjściu Barabanowa z baraku starzy wyraźnie się tym zdarzeniem zaniepokoiili; rewizja, rekwirowanie książek, zeszytów, wypytywanie o Korczyńskiego, wszystko to wskazywało, że nauczyciel może mieć poważne kłopoty. Rada w radę zdecydowali jak najszybciej powiadomić o tym Korczyńskiego. Ale kto wie, gdzie oni dzisiaj pracują?

- My wiemy, pod górą, za Pojmą. - Zgłosili się Stasiek Dolina i Edek Ziemniak.

- No to lećcie tam, chłopaki. Ino duchem, duchem! - zdecydowała babka Szajnowa.

Korczyński wysłuchał chłopaków uważnie. Rewizja w baraku mogła być rutynowa, chociaż skoro Barabanów zabrał ze sobą wszystkie książki, zeszyty i papiery, wypytywał dzieci o naukę - mogło to mieć związek właśnie z ich nauczaniem. No i ta piosenka „Dziesiąty luty...”

Odwołał na bok Celinę i Władka:

- Może to przedwczesny alarm, ale gdyby was wypytywali, to umawiamy się tak: wy obydwójce czasami pomagaliście dzieciakom przy odrabianiu zadań. Uczniem dzieci zajmowałem się ja. I tylko ja! Niech mnie w razie czego o wszystko pytają.

Przyszli po nich w czasie przerwy obiadowej, kiedy cała brygada grzała się przy ogniskach. Niczego nie tłumaczyli, o nic po drodze nie pytali. Zamknęli ich w „katałażce”, w osobnych komórkach.

Po śmierci matki Cynia Bialerówna jakby spoważniała, wydorosłała. Zrozumiała, że bezpowrotnie skończyły się czasy, kiedy mogła sobie pozwolić na błąkanie marzeniami w obłokach, na kaprysy rozpieszczonej jedynaczki i zajmowanie się tylko sobą. Zaleszczyki

pełne letników, kawiarni, romantycznych spacerów nad Dniestrem, wiejskie uroki Czerwonego Jaru, kradzione randki z Jankiem Kalinowskim, wypadki do Tłustego na lody poziomkowe, które tak uwielbiała... Zesłanie, transport, Syberia, łzy, wszy, pluskwy, głód, mrozy i ciężka harówka. Niespodziana śmierć mamy, rozpacz ojca, którego nigdy by o teką mężowską miłość nie podejrzewała. Sieroca samotność bezradnego swoją krótkowzrocznością, cichego i chorowitego braciszka. Mamy zastąpić nie mogła, ale prała, cerowała, gotowała. Dla siebie nie miała czasu, zaniedbała urodę i poza rodziną - traciła pomалу zainteresowanie całym światem.

I kto wie, co by się z nią stało, gdyby nie Władek Lutkowski. Od dawna, jeszcze w Czerwonym Jarze, rozumiała, że mu się podoba. Łechtało to mile jej dziewczęcą próżność, ale to wszystko. Jej myśli i marzenia krążyły niezmiennie przy Janku Kalinowskim. Nawet wtedy, gdy już pozbyła się wątpliwości, że Janek kocha się w Oksanie. w'transportcie, jeśli tylko nadarzyła się okazja, Władek nie odstępował Celinie ani na krok. Nie narzucał się, był skromny i dumny, ale całym swoim postępowaniem dawał Celinie do zrozumienia, jak mu jest bliska i droga. Przystojny blondyn o jasnej twarzy, bławatkowych oczach, spokojny, rozważny, studiował na lwowskiej politechnice. Kiedyś przysłał jej stamtąd widokówkę.

W transportcie, w jednym z Władkiem wagonie, w Kaluczem w tym samym baraku, w tej samej leśnej brygadzie - Władek zawsze był przy niej. Uważny, skory do rady i pomocy. Było to parę dni po śmierci matki, już po pogrzebie. Wracali z pracy na wyrębie. Otepiała z bólu, była tak przemarznięta, zmęczona i głodna, że wlokła się ostatkiem sił, obojętna na wszystko. Sypał gęsty śnieg, mylił wydeptane ścieżki, wodził po zaspach. W pewnym momencie Celinie zrobiło się ciepło, tak jakoś błogo, słodko w gardle. Pamięta tyle, że przytuliła się do grubej sosny zasłaniającej ją przed śnieżycą. Kiedy odzyskała świadomość, Władek do bólu nacierał jej zmarznięte skronie, chuchał na rękę, ratował przed zamrożeniem.

To ona namówiła go, żeby pomóc Korczyńskiemu uczyć dzieciaki.

- Nie potrafię, Celinko - próbował się wymówić.

- Potrafisz, potrafisz! - I cmoknęła go w policzek. Władek zarumienił się jak panna. Celina uczyła polskiego, bo w zaleszczyckim gimnazjum była naprawdę w tym dobra. Władek uczył rachunków i geografii. Uczyli w niedzielę. Razem sprawdzali, co dzieciaki umieją, razem uczyli ich piosenek.

Barabanów z przesłuchaniami doczekał nocy. A zaczął je od Bia-lerówny. Po młodziutkiej niedoświadczonej dziewczynie spodziewał się najłatwiejszej zdobyczy. Świadomie trzymał ją w oszronionej, ciemnej komórce, głodną i przemarzniętą. Cybulko pomagał w du-maczeniu. Barabanów zaczął od tego, że nie pozwolił dziewczynie usiąść, kazał jej stać na środku izby. Groźnie naburmuszony, zgarbiony karzeł krążył dookoła, rzucał pytanie za pytaniem:

- Nazwisko? Imię? Imiona rodziców? Narodowość?

- Żydówka.

Zatrzymał się, zironizował.

- Żydówka? Naprawdę? A ja myślałem, po tym coś robiła, żeś ty polska patriotka... Żydówka, mówisz?

- Żydówka. Polska Żydówka.

- Nie Żydówka, tylko Jewrejka! To tylko u was, w tej byłej pańskiej Polsce, wolno było przeżywać was Żydami. U nas szanuje się wszystkie narody. Jewrejka, Żydówka. Ty lepiej mi powiedz, za co zostałaś aresztowana?

- Nie rozumiem... Za co mnie aresztowano? Proszę pana, to właśnie ja chciałabym się dowiedzieć, za co mnie tu trzymacie!

- Niewiniątko! Patrzcie ją! Ty mi lepiej opowiedz, i to szczegółowo, do jakiej polskiej kontrrewolucyjnej organizacji należałaś i jak działaliście przeciwko Związkowi Radzieckiemu. No, mów!

-Ależ, towarzyszu naczelniku...

- Aresztowana, nie jestem dla ciebie towarzyszem. Ani panem. Mówi się do mnie: obywatelu.

- Przepraszam. Ale, obywatelu naczelniku, ja nie, ja naprawdę nic nie wiem. Nigdzie nie należałam.



- Nie wiesz, nie należałaś, nigdy?
- Nigdy.
- I przeciwko władzy radzieckiej nie działałaś?
- Ja... przeciwko władzy radzieckiej? A co ja takiego robiłam?
- Ty dobrze wiesz, co robiła. Przyznasz się szczerze, opowiesz wszystko, potraktujemy cię łagodniej. Nie przyznasz się, miej żal do siebie samej. Jasne?
- Obywatelu naczelniku, ja naprawdę o niczym nie wiem. Nie rozumiem, czego pan ode mnie chce. Niech mnie pan puści do baraku. Ojciec się martwi, brat. Mama niedawno nam umarła.
- Ot, jaka chytra Jewrejka, na litość mnie bierze. Dobrze, jak chcesz ze mną pohandlować, to proszę bardzo: ty się przyznasz do kontrrewolucyjnej polskiej organizacji, opowiesz o własnej działalności, podasz wszystkie nazwiska, a ja pomyślę, co z tobą dalej zrobić. Może nawet cię zwolnimy? No, handlujemy?
- Jak się mam przyznać do czegoś, czego nie było i o czym nie mam zielonego pojęcia? Ja naprawdę nigdzie nie należałam i żadnej działalności przeciwko władzy radzieckiej nie prowadziłam.
- Nie prowadziłaś?
- Nie, nie prowadziłam, obywatelu naczelniku.
- A kto w baraku polskie dzieci uczył, kto im do głowy antyradziecką agitację wbijał?
- Przecież ja nie jestem nauczycielką. Ja sama jestem uczennicą. To znaczy, uczyłam się w Polsce.
- Nie uczyłaś? A może Korczyńskiego nie znasz? I Lutkowskiego może nie znasz?
- Nie uczyłam. Owszem, znam pana Korczyńskiego i Władka, to znaczy Lutkowskiego. Przecież pan dobrze wie, że mieszkamy w jednym baraku, w jednej brygadzie pracujemy.
- A śpiewać dzieci nie uczyłaś?
- Śpiewać?
- Cybulko, jak to tam u nich idzie po polsku? Tłumacz wygrzebał spośród sterty papierów zeszyt.

Dziesiąty luty będziemy pamiętali, Przyszli Sowieci, gdyśmy jeszcze spali, I nasze dzieci...

- Dość! - Przerwał mu Barabanów. - No co, może i tego nie znasz? Nie słyszałaś?

- Słyszałam. Znam. Całe Kaluczoje zna tę piosenkę.

- Całe Kaluczoje, mówisz? A ty, ty skąd ją znasz?

- Słyszałam gdzieś, wszyscy ją znają, to i ja.

- Konkretnie, gdzie, od kogo?

- Ludzie w barakach śpiewali.

- Kto, konkretnie? Kto śpiewał?

- Nie wiem, słyszałam, jak ludzie śpiewają.

- A kto ją napisał?

- Nie wiem, naprawdę nie wiem.

- Nie wiem, nie wiem! A kto ją dzieciakom w baraku podyktował?

- Nie wiem.

- Kto ich śpiewać antyradzieckie piosenki uczył? -Ja ich nie uczyłam. Nie wiem.

- A może sama jej nie śpiewałaś? No, mów!

- Nie wiem, nie pamiętam. Może śpiewałam, wszyscy śpiewali... Ja naprawdę...

Władek Lutkowski tłumaczył się podobnie. Dzieci nie uczył. Nie jest nauczycielem. Jeśli któreś do niego przyszło i prosiło o pomoc, to mu pomagał, jak to dziecku. Głównie przy rachunkach, czasem z geografii, bo na tym się trochę zna.

Barabanów otworzył podręcznik do geografii i znalazł tam mapę Polski.

- A to widziałeś?

- Może widziałem, nie pamiętam.

- A co to jest?

- Mapa. Mapa Polski.

- I tego ich nauczyłeś, tej mapy?

- Mówiłem już, obywatelu naczelniku, że ja nikogo nie uczyłem.
- Nie uczyłeś! A co to jest?
- Mapa Polski.
- A gdyby cię tak dzieciak o tę mapę zapytał, to co byś mu powiedział? Że co to jest?
- To przecież widać: mapa Polski.
- A ty wiesz, że nie ma już tej waszej pańskiej Polski? To czego ty tych dzieciaków uczyłeś? Antyradziecką propagandę uprawiałeś, swołocz!

Na wszystkie następne pytania Barabanowa Lutkowski odpowiadał jak automat: nie, nie, nie.

Korczyńskiego trzymał Barabanów w karcerze. Krok tam, krok z powrotem. Ciasna, ciemna komórka, bez okna i pryczy. Mógł stać przytulony do ściany, w najlepszym razie usiąść na przemarzniętej podłodze. Jedyne przez wąską szczelinę pod drzwiami, z korytarza, gdzie grzał piecyk i czuwał wartownik, sączył się wąty strumyczek ciepła. Stamtąd też dochodziły dumione odgłosy, których nasłuchiwał. Łatwo się zorientował, że jako pierwszą na przesłuchanie wyprowadzono Celinę. Strasznie długo to trwało. Korczyńskim trzęsło od przejmującego chłodu. Odzywała się reumatycznym bólem kulawa noga. Ale najbardziej męczył się wyrzutami sumienia, że przez niego cierpi tych dwoje młodych. Pocieszał się tym, że niczego im nie mogą udowodnić. Bo o co tu chodzi? Na pewno o uczenie dzieci bez zgody komendantury. Weźmie to na siebie. Obroni młodych, byle się tylko nie załamali, nie dali podejść, sprowokować. Byle tylko pamiętali o tym, co im radził. Wróciła Celina? Chyba tak. Coś mówią? „Wychadi!” To Lutkowskiego wyprowadzają? Na pewno...

Na początku Barabanów potraktował Korczyńskiego grzecznie. Trzęsącego się z zimna posadził na taborecie, poczęstował kubkiem gorącej herbaty.

- Tajga, panie Korczyński. Mróz, zima. Mamy takie warunki, jakie mamy. Ale przystąpmy do rzeczy. Mam nadzieję, że wie pan, za co pana aresztowano?

- Pojęcia nie mam, obywatelu komisarzu. Jestem całkowicie zaskoczony. Nie poczuwam się do żadnej winy.

- Panie Korczyński, zdaje mi się, że jesteście poważnymi ludźmi, więc rozmawiajmy poważnie. Organizował pan w Kaluczem nauczanie dzieci czy nie?

- „Organizowałem”, może to za mocno powiedziane. Ale, owszem, uczyłem dzieci. W swoim baraku. Pan naczelnik przecież wie, że jestem z zawodu nauczycielem?

- Wiem, panie Korczyński. Nie tylko to zresztą. To znaczy, przyznaje się pan, że uczył? Rozsądnie, to już jest coś. A czy pan wie, że taka samowola jest niedopuszczalna i naruszył tym pan nasze radzieckie prawo?

- Nie miałem takiego zamiaru. Po prostu żal mi się zrobiło dzieciaków; nie chodzą do szkoły, marnują się, bisurmanią. Więc jako stary pedagog postanowiłem się nimi zająć.

- Makarenko z pana! - Zironizował Barabanów.

- Nie zrozumiałem?

- Taki słynny radziecki pedagog... I czego to ich pan nauczał?

- Wszystkiego po trochu, żeby czytać i pisać umiały, żeby nie zapomniały.

- Po polsku?

- Po polsku.

- A czemu na ten przykład nie uczył pan po rosyjsku? Niepomy-ślał pan, że te dzieci tu będą żyć i rosyjski im się bardziej przyda?

- A wie pan, nie pomyślałem. Zresztą, jak pan słyszy, ja z rosyjskim ledwie, ledwie.

- Uczył ich pan czytać, pisać. A śpiewu też ich pan uczył?

- Śpiewu? Nie sądzę, żeby to był w tych warunkach niezbędny przedmiot.

-Ja też tak myślę. A kto panu w tej nauce pomagał?

- Nikt. Sam uczyłem. Nie znam tu innych nauczycieli.

- Nie zna pan? Nikt panu nie pomagał? A ten Lutkowski, a ta Bia-ler? Panie Korczyński, niech pan durnia ze mnie nie robi. Albo pan mówi prawdę, albo inaczej z panem porozmawiamy.

Barabanów zerwał się z krzesła, nastroszył się jak kogut.

- Mówię prawdę. Sam uczyłem. Ci młodzi? Jacy tam z nich nauczyciele?

- Ale śpiewu kazał im pan uczyć?

- Niczego nikomu nie kazałem. Sam dzieci uczyłem.

- To znaczy, że słowa tej piosenki też pan sam dzieciom podyktował?

Barabanów przysunął Korczyńskiemu przed oczy zeszyt z piosenką „Dziesiąty luty”, zapisaną starannym, dziecięcym pismem.

- Nie dyktowałem. Dzieci różności sobie zapisują.

- A może mi pan jeszcze powie, że nie zna pan tej treści?

- Coś słyszałem, ludzie w barakach to śpiewają.

- Tylko za tę antyradziecką piosenkę ma pan dziesięć lat z głowy!

Boję się, panie Korczyński, że pan mnie nie całkiem zrozumiał. Albo pan udaje i nie chce zrozumieć. Więc zagrajmy w otwarte karty: albo przyzna się pan, panie Korczyński, do wszystkich swoich antyradzieckich przestępstw i wtedy zasłuży pan sobie na łagodniejsze potraktowanie, albo... No niech pan wybiera. Czekam.

- Nie mam do czego się przyznać, poza tym, że te biedne dzieci uczyłem.

- A do tego, że zorganizował pan w Kaluczem kontrrewolucyjną polską organizację, że zajmował się pan antyradziecką propagandą? Co, o tym pan zapomniał? My wszystko wiemy, panie Korczyński, wszystko!

- Nie mogę się przyznać do tego, czego nie robiłem. Dzieci uczyłem, owszem. Ale jakaś organizacja, kontrrewolucja?

- Dość tego, panie Korczyński. Widzę, że potrzebuje pan jeszcze trochę czasu do namysłu. Odprowadzić aresztowanego...

Dopiero na trzecią dobę, o szarym świcie konwój z aresztowanymi wyruszył z Kaluczego do śledczego więzienia NKWD w Kańsku. Do tego czasu każdej nocy Barabanów nękał ich przesłuchaniami.

Trwali przy swoim, nie przyznawali się do niczego. Jedyne Korczyński nie zaprzeczał, że uczył polskie dzieci.

Rozwścieczony Barabanów trzymał ich o głodzie i chłodzie. Dopiero interwencja bardziej zrównoważonego Sawina sprawiła, że drugiego dnia nakarmiono aresztowanych miską gorącej zupy. Nie pozwolono rodzinom na widzenie. Transportowano ich do Kańska tylko w tym, co mieli na sobie w czasie aresztowania na porębie.

Dowódcą konwoju był zawodowy, starszy wiekiem podoficer, który osobiście pilnował zaplombowanego worka z pocztą i aktami zgromadzonymi przez Barabanowa. Konwojenci mieli do swojego szefa stosunek dość familiarny, zwracali się do niego per Kuźmicz. Przyjechali specjalnie po aresztowanych, nie należeli do załogi Ka-luczego. Aresztowanych ulokowali na pierwszych saniach. Nie skuli ich, nie zabraniali rozmawiać. Przed wyruszeniem w drogę Kuźmicz rutynowo wygłosił ostrzeżenie, jakie dobrze pamiętali jeszcze z podróży koleją:

- Aresztowani, uprzedzam: w razie próby ucieczki konwój strzela bez dodatkowego wezwania! Jasne?

Dobrze utrzymane konie zerwały się do biegu. Kuźmicz wskoczył na tylne sanie. Barabanowa przy odjeździe nie było; zrobił swoje i pewnie zażywał teraz zasłużonego, nadranego snu. Kaluczoje lada moment się obudzi i ludzie zaczną wychodzić do roboty. Stołówka już dymiła, gotowano zupę na śniadanie. Patrzyli w stronę pierwszego baraku, gdzie zostawiali swoich bliskich. O przewrotności losu! Jak bardzo pragnęli być tam, w tym zadoczonym, śmierzącym baraku, który zdawał im się w tej chwili niemal rodzinnym domem.

Wymęczeni śledztwem, niewyspani, wygłodzeni i przemarznięci, czuli się podle. Korczyńskiego boleśnie nękał reumatyzm. Władek głucho pokasływał. Najgorzej czuła się Celina, wyraźnie atakowana jakąś chorobą. Nie mogła wydobyć głosu z bolącego gardła, głowa pękała od bólu, gorączkowała. Skapo odziana w pepitkowy płaszcz, trzęsła się z zimna. Korczyński z Władkiem wzięli ją między siebie, żeby choć odrobinę mogła się ogrzać. Władek bał się, żeby nie zamarzła we śnie, i ani przez chwilę nie spuszczał jej z oka. Czym mógł, otulał, osłaniał przed wiatrem, masował zimne jak lód ręce. Serce pękało mu z tkliwej miło-

ści, z bezradnej wściekłości, że nic więcej nie może dla niej zrobić. Co chwila pytał:

- Dobrze? Lepiej?

Nie mogła mówić. Ale za każdym razem unosiła ciężkie powieki i próbowała mu odpowiedzieć uspokajającym uśmiechem.

Na nocleg zatrzymali się w Pokrowce, w tej samej wsi, gdzie miesiąc temu ludzie z Czerwonego Jaru w drodze do Kaluczego pochowali małego Adasia Derenia. Już w ciemnościach konwój wjechał na podwórze i zatrzymał się przed gankiem solidnego, dawniej zapewne bogatego domu. Kuźmicz wbiegł do wnętrza, konwojenci kazali aresztowanemu złączyć z sań.

- Starczy na dzisiaj!

Weszli do obszernej izby, z wielkim pobielonym ruskim piecem. Było ciepło, pachniało kapuśniakiem. Można się było domyślić, że było to stałe miejsce, gdzie zatrzymywały się na postój enkawudowskie konwoje. W domu gospodarzyli starzy ludzie. Dziadek z długą siwą brodą narzucił kozuch i wyszedł na podwórze wprowadzić konie do stajni. Babka, drobna i miła z wyglądu kobieta, otworzyła drzwi do drugiej, mniejszej izby. Kuźmicz skierował tam aresztantów.

- Tutaj będziecie nocować. Drzwi mają być cały czas otwarte. Izba była pusta, tylko na środku stał stół, a przy nim długa ława.

Rozglądali się, gdzie ulokować chorą Celinę. Korczyński zrzucił z siebie płaszcz, Władek watomaną kurtkę. Dziewczyna była półprzytomna; gorączka pod wieczór wyraźnie wzrosła. Kuźmicz pochylił się nad chorą.

- Żar! - skonstatował. - Niczewo, odpocznie przez noc, to jej przejdzie. Przeziębła się pewnie.

Stojąca w drzwiach gospodyni wytarła ręce w podolek. Podeszła i dotknęła czoła dziewczyny. Gniewnie rzuciła Kuźmiczowi:

- Ma wysoką gorączkę! Dawaj ją na piec, nie będzie tutaj leżeć. Chodź, doczeńko, chodź, wygrzejesz się na piecu, napijesz ciepłego. Ot, przekłęci, do czego dzieciaka doprowadzili.

- No, no, ty, Praskowia, licz się ze słowami! Chora, to chora, jak na piec, to na piec, ale ze słowami to ty się lepiej licz. Polaki to są, a nie swoi.

- Ale chyba ludzkim językiem gadają?

- Dlatego licz się lepiej ze słowami. Rozpydowała się...

- Dobra, dobra! Pomóżcie mi lepiej tę biedaczkę na piec wsadzić.

Bożeż ty mój, przecież to całkiem jeszcze dziecko.

Kuźmicz wyjął z worka zmarznięty na kamień bochenek chleba, położył na przypiecku, żeby trochę odtajał. Dal babce dwie konserwy.

- Jedną wrzuc do kapuśniaku, a drugą dla ciebie. Tylko sama nie zjedz, o staruchu swoim pomyśl.

- Patrzcie go, na żarty mu się zebrało! Ty lepiej, Kuźmicz, tych swoich Polaków nakarm. Akurat twoja konserwa mi potrzebna!

- Ciebie chyba, Praskowia, giez jakiś dziś ugryzł; wściekasz się jak czort. A Polakom dawaj jeść normalnie, tak jak wszystkim.

- To to, że jak wszystkim.

Tego wieczoru w chacie u dobroduszej Praskowii Korczyński i Lutkowski po raz pierwszy od bardzo dawna najedli się do syta.

A Praskowia prawie nie zmrużyła oka, troskliwie zajmując się chorą. Wlazała na piec, nacierała dziewczynę jakąś pachnącą ziołami maścią, poila gorącą herbatą z miodem i malinowym sokiem. Nad ranem Celina usnęła, choć często rzucała się i bredziła w gorączce.

Rano wyruszyli w drogę nieco później. Babka awanturowała się, żeby Kuźmicz chorą dziewczynę zostawił pod jej opieką.

- Uspokój się, Praskowia. Nie mogę. Sama dobrze wiesz, regulamin nie pozwala. Aresztowana przecież!

- Chora, chora ona jest, a nie aresztowana! Zobaczysz, Kuźmicz, będziesz miał biedaczkę na sumieniu!

- Zamknij się, babo, mam już tego dość! Znowu ten jęzor rozpuściła. Widzisz, że lepiej wygląda. Wieczorem będziemy w Kańsku, a tam już się nią zajmą.

- Juz ja tam wiem, jak wy się nią zajmiecie. Masz tu, Kuźmicz, szubę mojego starego, niech się biedaczka okryje. Odwieszysz przy okazji.



Celina, blada jak opłatek, czuła się trochę lepiej, gorączka spadła. Mówić nie mogła. Babka Praskowia jeszcze na saniach otuliła ją szubą. Dziewczyna uniosła głowę i pocałowała babkę w rękę.

Późnym wieczorem konwój z Kaluczego wjechał na skąpo oświe-done uliczki Kańska.

Korczyński nie miał wątpliwości, że w więzieniu ich rozdziela. A już na pewno oddziela od nich Celinę. Nachylił się nad nią, pogłaskał w policzki. Był gorący; znowu wracała gorączka. Ale dziewczyna była przytomna i trzymała się dzielnie.

- Wybacz mi, Celinko, bo to wszystko przeze mnie. Wybacz mi, dziecko. Bądź mi zdrowa. Życie przed tobą. - I odwrócił się szybko, bo nie mógł powstrzymać łez.

Celina trzymała Władka za rękę. Poczul, że przyciąga go do siebie, jakby chciała coś powiedzieć. Kiedy się nad nią nachylił, usłyszał to, czego tak bardzo pragnął:

- Kocham cię, Władziu, bardzo...

Dopiero na przedwiośniu, wyrwaną cudem z ciężkiego zapalenia płuc, Celinę Bialer wypisano z więziennego szpitala i osadzono w kilkunastoosobowej celi, wśród kryminalistek.

Karola Korczyńskiego i Władka Lutkowskiego już dawno w kańskim więzieniu nie było. Pędzono ich etapami do gułagu.

Wszystkich, już bez dodatkowego śledztwa i rozprawy sądowej, w oparciu o materiały zebrane przez Barabanowa NKWD skazało z art. 58. Postanowienie stwierdzało, że „w/w, działając w porozumieniu, zajmowali się kontrrewolucyjną działalnością na szkodę ZSRR oraz antyradziecką propagandą”. Skazani otrzymali następujące kary, od których nie było odwołania:

Karol Korczyński - 20 lat ciężkiego obozu.

Władysław Lutkowski - 10 lat ciężkiego obozu.

Celina Bialer - 10 lat obozu zwykłego.

Przedwiośnie! Dzień robi się coraz dłuższy, słońce chodzi wyżej, mocniej grzeje i pomału zaczyna topić śniegi. W samo południe, nawet w bezwietrznej ciszy, korony drzew strzepują zimowe śnieżne czapy, z hukiem zrzucają je na ziemię. Z barakowych dachów zwisają lodowe sople, kapie woda. Śnieg na Pojmie nasiąka wilgocią, rzeka łysieje coraz większymi połaciami lodu, przetarta w zimie droga zamienia się w ciemną koleinę, upstrzoną resztkami siana i końskiego nawozu. W nasłonecznionych przybrzeżnych zakolach ciurkają cieniutkie, coraz bardziej żwawe strumyki. Zelzały bezlitosne mrozy. Jedynie w nocy dają jeszcze znać o sobie. Watahy wilków cofnęły się w głąb tajgi, rzadziej pokazują się ludziom. Złodowaciała skorupa śniegu ułatwia im polowanie na jelenie, stają się syte i leniwe. Zające bielaki zaczynają zmieniać sierść - szarzeją. Dzieńcioły z większą gorliwością opukują chore drzewa. Odleciały na południe kolorowe gile. Pojawiły się pierwsze szpaki, niechybne zwiastuny nadchodzącej wiosny. Z zimowych dziupli wyskoczyły burunduki, prązkowane, podobne do wiewiórek zwierzątka. Na przybrzeżnych wierzbach nieśmiało pączkują delikatne bazie. Białoskóre, strojne brzozy, poranione zaciosami siekier, tryskają słodkawym sokiem. Przedwiośnie!

Kaluczoje wraz ze wschodem słońca - pustoszeje. Brygady jak co dzień wyszły na porębę. W barakach pozostali starcy, dzieci i obłożnie chorzy. Tych ostatnich niepokojąco przybywa z każdym dniem. Gwałtowna zmiana klimatu, zimowe przemarznięcia i odmrożenia, praca ponad siły, niedojadanie wałą z nóg najmocniejszych. Komendant Sawin, a nawet wiecznie podejrzliwy Barabanów od pewnego

czasu przestali straszyć felczera Tartakowskiego katorgą za sabotaż i podejrzewać go, że z litości nad Polakami daje im za dużo zwolnień z roboty w tajdze. Sami mieli oczy, widzieli. Na „dochodiagach” z obozowego doświadczenia też się znali. „Dochodiagi” najpierw obrastali wodnistą opuchlizną, by po jakimś czasie gwałtownie schudnąć, sparszywieć śmierdzącymi, ropiejącymi strupami, i tracili siły fizyczne do tego stopnia, że nie mogli się unieść z posłania, przejść parę kroków, poruszyć ręką. „Dochodiaga” dobiegający swoich dni, istny kościotrup, tracił chęć do życia i resztki woli, nie reagował na otoczenie, obojętny na wszystko z wyjątkiem głodu. A kiedy szkorbut, „cynga”, jak tu mówiono, najpierw skrwawiła mu dżiasta, a potem je do reszty zgnoiła i wypłuł wszystkie zęby, tak że niczego nie mógł przeżuć - nic już nie było w stanie go uratować. Umierał...

Komendant Kaluczego lepiej od innych zdawał sobie sprawę jeszcze z jednego nadciągającego na „spiecposiołek” niebezpieczeństwa. Wiedział, że wraz z wiosną, kiedy zaczną gwałtownie topnieć śniegi i ruszy lód na Pojmie, Kaluczoje na parę miesięcy zostanie odcięte od całego świata. Tymczasem zapasy żywności topniały, a nowe dostawy napływały skąpo i nieregularnie. Na ponagląjące depesze centrala NKWD z Tajszetu odpowiadała niechętnie, by w końcu przywołać komendanta do porządku: ma pilnować w Kaluczem dyscypliny pracy, wykonywania normy „lesozagatowki”, czuwać, żeby wśród Polaków nie pojawiały się więcej objawy kontrrewolucyjnej działalności i antyradzieckiej propagandy, jak to zdarzyło się za sprawą Korczyńskiego i jego pomocników.

Kaluczoje nie przestawało się interesować losem aresztowanych. Najróżniejsze wieści i domysły krążyły wśród zesłańców. Ludzie, a zwłaszcza ci z Czerwonego Jaru, chcieli wiedzieć, co się z nimi stało.

Komendant Sawin z Barabanowem na spotkaniach z brygadami, w czasie bytności w barakach przedstawiali ludziom swoją wersję wydarzeń, informowali, jak to sprawnie wykryli wśród zesłańców wrogów radzieckiego państwa robotników i chłopów. Oni też ogłosili wyroki, jakie wymierzono Korczyńskiemu, Lutowskiemu i Bialerównie.

- Weźcie to pod uwagę, obywatele: dla wrogów władza radziecka jest bezlitosna! Nie dawajcie im posłuchu, trzeba z nimi walczyć jak ze wściekłymi psami. Przed władzą radziecką żaden wróg się nie ukryje.

-Jezus Maria! Dwadzieścia lat w więzieniu, wyobrażasz pan sobie?

- Chcą nas zastraszyć, skurwysyny!

- I za co, za co! Za to, że nasze dzieci czytać i pisać uczyli?

- Obozem pracy tę katorgę nazywają. Takiemu dziecku dziesięć lat! Znałam przecież tę Bialerównę.

Rodzinom nie podano adresów, dokąd mogliby do skazanych napisać.

- Przyjdzie pora, sami do was napiszą.

Na pytanie, kto tę trójkę zdradził, kto na nich doniósł do komendantury, ludzie różnie sobie odpowiadali, gubili się w plotkach i domysłach. Mieszkańcy pierwszego baraku od początku podejrzewali Irenę Pucową. Jeszcze z transportu zapamiętali ją jako latawicę, kiedy to jawnie włóczyła się z przystojnym komendantem.

W Kaluczem Irena swojej opinii kobiety łatwej nie poprawiła. Tylko przez parę pierwszych dni chodziła razem ze wszystkimi do roboty w tajdze, by ni stąd, ni zowąd znaleźć się w stołówce jako pomocnica kucharza. Wiadomo było, że takiej roboty bez protekcji komendantury się nie dostaje, nie mówiąc o tym, że Irena nawet ziemniaka obrać nie umiała. Nagabywana przez baby, jak się tam dostała, Irena wzruszała ramionami:

- Miałam trochę szczęścia i tyle.

Nie potrwało długo, jak prawie całe Kaluczoje wiedziało, że Irena Puc jest kochanką zastępcy komendanta, Barabanowa. W Kaluczem nic nie dało się ukryć. Obydwie strony obserwowały się bacznie, chciały wszystko o sobie wiedzieć. Każdy ruch enkawudzistów był przez zesłańców zauważony i komentowany. Nie dało się też ukryć intymnych związków Ireny Puc z Barabanowem. Wyśledziły ich miłosne schadzki sprzątaczkę z komendantury, a jedna podobno widziała nawet Irenę w łóżku z pijanym Barabanowem. A do baraku pierwszego tę wiadomość przyniósł Bialer, którego komendantura od czasu

do czasu zatrudniała na swoim obiekcie. Było to na długo przed aresztowaniami. Tak jakoś zgadali się z Daniłowiczem, więc opowiedział mu o tym Barabanowie i Irenie, jak to przypadkowo udało mu się ich razem podpatrzeć.

- Może jakąś sprawę miała? Różnie przecież bywa - bagatelizował plotkowanie Daniłowicz.

- A czy ja ci mówię, że nie miała? Tylko ty mi, Daniłowicz, powiedz: co to może być za sprawa, kiedy baba rano skrada się jak złodziej do mieszkania chłopca, kiedy potem jest tam długo, długo, kiedy chyłkiem stamtąd się wymyka, czerwona jak burak, rozczochrana i włosy jak kura po kogucie poprawia, a za chwilę on za nią wychodzi, na rozporek się przypatruje, czy go zapiąć nie zapomniał, i oczy ma takie maślane? Bo jak ja się znam na tym interesie, to już wiem, jaką to sprawę miała nasza pani Irena z tym rudym Barabanowem. No powiedz mi, Jurek, taka piękna kobieta i taki pokraka? No powiedz? A zresztą, mówię ci o tym, bo się zgadało, ale co mnie to obchodzi?

Aresztowaniami Irena została zaskoczona na równi ze wszystkimi. Jeszcze siedzieli w Kaluczem, kiedy Barabanów wywołał ją na schadzke. Śpieszyło mu się, nalał do szklanek wódki, wypił i pociągnął ją na niedźwiedzią skórę. Wyrwała się, odepchnęła.

- Poczekaj, tobie tylko to w głowie! Ty mi najpierw powiedz, za co tych ludzi z mojego baraku aresztowałeś?

- Do służby mi się nie wtrącaj! A co ciebie oni obchodzą? Rodzina może?

- Rodzina, nie rodzina, znam ich, w jednym baraku mieszkamy. Korczyński moje dzieci uczył.

- No właśnie. Uczył, ale czego? Ja ci radzę, ty się lepiej, Irena, tą sprawą nie interesuj. No chodź, rozbieraj się...

- Odwal się, czekaj. A co oni takiego zrobili? To porządni ludzie. Nie bandyci, nie złodzieje, nikogo nie zabili, nie okradli.

- Nie złodzieje, nie bandyci! Co ty tam wiesz. Bywają gorsze rzeczy: kontrrewolucja! - Barabanów przysiadł na krawędzi leżanki,

przechylił szklanę z resztą wódki, chuchnął i kalecząc polski, piskliwie zanucił: „Dzesaty lutyj bendzem pamiatali"... Znasz to? Irena powoli zaczynała wszystko rozumieć.

- Znam. No i co z tego? W Kaluczem wszyscy tę piosenkę znają.

- To może jeszcze mi powiesz, kto ją napisał. Kto te antyradzieckie słowa ułożył? Bo oni się nie przyznali, kontry przekłete.

Irena straciła panowanie nad sobą.

- Ach żesz ty, wredna świni! Nie dość, żeś materac ze mnie zrobił, to jeszcze do szpiclowania mnie namawiasz? O niedoczekanie twoje, ty skurwysynu! Ruda, garbata małpo!

Trzasnęła drzwiami i tyle ją Barabanów widział. Biegła przez zaśnieżoną ciemność, splakana, upodlona, nie wiedząc, co ze sobą począć, czy rąk na siebie nie nałożyć. I kto wie, czyby tego nie zrobiła, gdyby nie dzieci. Parę dni potem, wyrzucona z pracy w stołowce, wróciła do leśnej brygady. Opinia ludzka jest bezlitosna i mściwa. W brygadzie, w baraku, w całym Kaluczem nie zdejmowano z Ireny piętna ladacznicy i donosicielki. Tylko jej małe dzieci, opanowanie Daniłowicza, Doliny i paru innych uratowały ją przed fizyczną rozprawą.

Barabanów nie ustawał w próbach odnalezienia autora „10 lutego". W tym celu imał się różnych sposobów z repertuaru NKWD - od przekupstwa i szantażu, do gróźb i prowokacji. Bez rezultatu. Nikt w Kaluczem nie wiedział, kto był autorem zesłańczej ballady. Jedni opowiadali, że śpiewano ją już w kolejowym transporcie. Inni, że w Kaluczem układali ją wszyscy po trochu, jak to z balladami bywa...

Nagle polecenie NKWD nakazało komendantowi pilnie wyselekcjonować spośród zesłańców wszystkich Żydów i jeszcze przed roztopami odesłać ich do Tajszetu. Instruowano krótko, że dla Żydów przewidziano stałe osiedlenie „w innym rejonie ZSRR".

- Może do Birobidżanu ich posłać? - próbował głośno domyślać się Sawin. Barabanów, którzy z zasady Żydów nie tolerował, wyraźnie się na taką myśl skrzywił.

- Przecież to sama „kontra" ci polscyjewreje!? Skoro nasi tam, na zachodniej Ukrainie, potraktowali ich jako specpieresieleńców, to

widocznie mieli powody. Sami burzuje, choćby taki Rozenbaum albo ten Kapłon, adwokat. Albo taki antyradziecki element jak ta Bialer. Nibyjewreje, a burżuazyjną Polską przesiąknęci do reszty... Ja bym ich wszystkich nie do Birobidżanu, tylko jako wrogi element na Kołymę!

- Gdyby od ciebie, Baraban, zależało, to Kolyma musiałaby być większa od całego Związku Radzieckiego. No dobra, gdzie ci Żydzi pojedą, to pojedą, nie nam z tobą decydować. My musimy wykonać polecenie i odstawić ich do Tajszetu. Cholera, że też od razu nie mogli ich oddzielić. Dużo mamy tych Żydów?

- Paru się nazbiera...

Jak obliczył Bialer, Pascha wypadła w tym roku w połowie kwietnia. Pascha, największe ze wszystkich żydowskich świąt, święto macy. I przyszło jemu, staremu ojcu, obchodzić to święto bez dobrej żony Racheli, bez ukochanej córki Cyni, z którą nawet pożegnać mu się nie dano. Całe szczęście, że jest przy nim syn, jest mały Herszele, który cichutkim głosem, nieśmiało ojca cztery razy zapytał: „Tato, czym ta noc różni się od wszystkich innych nocy?” A on synowi, jak tradycja przodków każe, opowie o egipskiej niewoli. Opowie mu o tym, że Pascha to święto nadziei w tej ich żydowskiej wędrówce po świecie. Ajak nadzieja, to i stąd, z tego straszego głodnego Sybiru, Najwyższy ich też kiedyś wyprowadzi. „Szem Israel, Adonaj Elohem Adonaj”...

Posiedzą sobie cichutko na pryczy, powspominają mamę Rachele i Cynię, i Czerwony Jar, i bożnicę w Tłustem. Powspominają, jak im wtedy razem było dobrze, jak smakowały świąteczne potrawy, jak wspólnym śpiewem dzięki czynili Najwyższemu.

Rano wezwano Bialera do komendantury. Byli tam inni Żydzi. Sawin ogłosił, że mają się wszyscy zbierać, bo jutro rano będą przesiedleni do innej miejscowości.

Odezwał się Kapłon, adwokat:

- Czy można zapytać, obywatelu komendancie?

- Pytajcie.

- A czy można wiedzieć dlaczego? Czy można wiedzieć dokąd?

- Dlaczego? Chcą widać, żeby Jewreje byli razem. Zawsze to lepiej między swoimi. U nas w Związku Radzieckim jest nawet autonomiczna republika jedyńska: Birobidżan się nazywa. Nie wiem, może tam was skierują?

Żydzi już o nic więcej nie pytali, rozchodzili się do baraków. Bialer odważył się zaczepić komendanta.

- No, czego chcecie, Bialer?

- Czyja mógłbym nigdzie stąd nie jechać, panie komendancie?

- A to niby dlaczego? Co, tak ci tu dobrze?

- Panie komendancie, niech pan zrozumie, tutaj jest grób mojej żony. A co z moją córką? Pan mnie rozumie? Jak ja stąd wyjadę, to gdzie ona mnie znajdzie? Ajakją znajdzie? Już lepiej, żebym ja stąd nigdzie nie jechał, panie komendancie. A czyja bym się tutaj panu nie przydał? Pan komendant przecież wie, że ja potrafię wszystko naprawić.

- Rzemieślnik z ciebie, Bialer, dobry, to fakt. I nawet byś mi się tutaj przydał. Ale rozkaz jest rozkaz: wszyscy Żydzi mają być odtransportowani. Wszyscy, rozumiesz? Rozkaz jest rozkaz.

- Ale żona, panie komendancie, ale moje dziecko?

- Żony, Bialer, nie wskrzesisz... A córka jak będzie chciała, to cię znajdzie. U nas w Związku Radzieckim nawet szpilka nie zaginie, a co dopiero człowiek.

Pakować! Co tu było do pakowania. Bialer wziął syna za rękę i poszli pożegnać się z grobem Racheli. Od czasu jej pogrzebu cmentarz się rozrósł. Przystanęli nad grobem.

- „Słuchaj, Izraelu, Pan jest naszym Bogiem, Pan jest jeden”... Patrz i zapamiętaj to wszystko, synu.

- Zapamiętam, ojcze, zapamiętam.

Wieczorem ludzie z Czerwonego Jaru rozsiedli się dookoła piecyka. Chłopi kurzyli mech zmieszany z machorką. Pogadywali, milkli w zamyśleniu, znowu pogadywali. Odprowadzali w nieznane Bialera. Czerwony Jar wspominali. „A pamiętasz, a pamiętasz, a pamiętasz...” Kobiety tymczasem pozbierały im do węzła coś do zjedzenia na drogę. Niebogato tego było, ale od serca.



Bialer czuł, że powinien swoim sąsiadom na to pożegnanie coś powiedzieć. Bóg jeden wie, czy się jeszcze kiedyś zobaczą? Wstał więc i powiedział:

- Na pożegnanie pobożny Żyd powinien dobrym sąsiadom tak powiedzieć: „Panie Boże, bądź wola twoja, abyś przeprowadził nas wszystkich z tej strasznej ciemności do światła”.

- Amen! - głośno odpowiedziała mu na to babka Szajnina.

- ... I jeszcze to, że nigdzie mnie i całej mojej rodzinie nie było tak po ludzku jak w naszym Czerwonym Jarze. I żebyśmy z woli Najwyższego jeszcze się tam kiedyś spotkali.

- Daj Boże, daj Boże!

Życie nie znosi pustki, w każdych warunkach przypomina o swoich prawach: Ludzie się rodzą, umierają.

Marysia Nalepianka i Bolek Drabik postanowili się pobrać, zostać mężem i żoną. To nic, że Kaluczoje, tajga i zawszone baraki. Życie jest życiem i nie ma co czekać. Zwłaszcza że Marysia jest już wyraźnie przy nadziei. Obydwoje pochodzą z Czerwonego Jaru. Chłopskie dzieci. Drabik - kmieć całą gębą. Nalepa biedniejszy, ale też nie kozi bobek. Gdyby przyszło im żenić dzieci w normalnych czasach, na pewno swatowie o każdy zagon na wiano by się wyklócali. Bo to i wedle zwyczaju, i wedle potrzeby. A weselisko, jak to zawsze wśród Podolaków w Czerwonym Jarze, sprawiliby huczne, na całą okolicę. W kilkanaście zaprzęgów ze śpiewem, strzelaniem z batów galopowaliby na ślub do kościoła w Tłustem! Ksiądz Bochenek ręce by młodym stułą związał, organista zagrał na chórze „Veni creator”! A tu, w Kaluczem? Jakie tu wesele urządzać? Kto młodych jako męża i żonę zapisze? W grzechu, na kocią łapę będą żyli? Ksiądz nie ma, to co mają zrobić. Maryśka przy nadziei.

- Życie sobie po Bożemu, a prawdziwe weselisko sprawimy, jak do Czerwonego Jaru wrócimy.

Doświadczony Danilowicz doradził, żeby jednak małżeństwo w komendanturze zarejestrowali.

- Kościołów nie mają, księży i popów nie uznają, małżeństwa tu tylko w urzędach rejestrują.

Pogadali z brygadziwą Siedychem. Ten pokiwał głową i bez zbędnych słów wybrał się razem z nimi do Sawina. Komendant ku ich zdziwieniu prawie się ucieszył.

- Ot, młodycy! Prawilno reszyli. Trzeba się żenić, rodzić dzieci, urządzać się normalnie. Na życie nie ma się co obrażać.

I zaraz na poczekaniu, wzięwszy na świadka brygadiera, zapisał ich w komendanckich rejestrach jako męża i żonę. A ponieważ byli pierwszym małżeństwem, jakie w Kaluczem zarejestrował, Sawin z własnej woli wypisał im kwitek na dwie butelki wódki, dwa bochenki chleba, dwa kilogramy kaszy i dwa kilogramy mięsa z łosia.

- To na wesele ! I jeszcze z tej okazji daję wam dzień wolnego. Należy wam się według radzieckiego prawa. Jak się dziecko urodzi, też wolne się należy. Miejsce na pryczy po Żydach zajmiecie. A na wiosnę, jak zaczniemy budować nowe baraki z osobnymi pomieszczeniami, to będę o was pamiętał w pierwszej kolejności. Działkę na ogródek wam wyznaczę i pożyczycie sobie jak dwa gołąbki. Wolne im daję na wesele, słyszałeś, Siedych?

Jakie tam w baraku wesele. Ale w sobotni wieczór usiedli społem przy stole. Bolek wódkę postawił. Marysia zupy na łosinie ugotowała.

- No to zdrowie młodych! Zdrowie!

- Niech wam się darzy!

- Da Bóg, poprawiny już w Czerwonym Jarze sprawimy!

- Po naszymu, po podolsku!

- Zdrowie młodych!

- „Zamiast śmieci kopa dzieci!”

- Gorzko, gorzko!

Zesłańcy czekali wiosny jak zbawienia. Nareszcie! Nareszcie choć trochę odżyją po tych koszmarnych syberyjskich mrozach. Komendant Sawin i jego pomocnicy, którzy nie pierwszy już rok w Kalu-

czem wiosnę witali, wiedzieli doskonale, czego się można po niej spodziewać. Wiedzieli, że w najlepszym razie, jeśli wiosna przyjdzie pogodna i sucha, niemal przez dwa najbliższe miesiące żaden żywy duch, z wyjątkiem ptaka, do Kaluczego nie dotrze ani się z niego nie wydostanie. A co tu dopiero myśleć o podwodach czy dowozie żywności. Zapasy, jakie w zimie zdołano zgromadzić, muszą ludziom w Kaluczem na ten cały czas wystarczyć. Ze wszystkim, cokolwiek się w tym czasie w Kaluczem wydarzy, ludzie osaczeni przez wiosenne roztopy muszą radzić sobie sami.

Komendant zdecydował oszczędzać od zaraz. Zaczął od zmniejszenia codziennego przydziału chleba.

- Wszystkim zabieramy po sto gramów. Staruchy i dzieci nic nie robią, to sił nie tracą. Nie muszą się obżerać. Wiosna idzie, słońeczko świeci, niech się pod ścianami grzeją, brzozy sok popijają... Na stołówce też oszczędzać można. Dodatkowe wiadro gotowanej wody w kotle jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Brygadzysta Siedych nie zmieniał swego postępowania. Do zesłańców odnosił się po ludzku, do roboty przesadnie nie gonił, gdzie mógł doradził i pomógł. A ku zdziwieniu niektórych nawet parę zdań po polsku się nauczył. Lubił na przykład krzyknąć na fajrant swoim tubalnym basem, aż echo się po tajdze rozlegało:

- Koniec roboty!

W zimie nauczył „swoich” Polaków pić wywar zaparzony z malinowych łodyg i brusznic, teraz, na przedwiośniu, pierwszy zaciosał białoskórą brzozę, natoczył słodkiego soku do kociołka i dał go ludziom spróbować.

- Nada ten sok pić... Smaczny, dzieciom cukier przypomni i zdrowy.

A kiedy topniały śniegi i na leśnych polanach zaczęła kiełkować delikatna zieleń, Siedych nauczył ich zbierać „czeremszą”, roślinę o smaku czosnku, i wygrzebywać spod mchu, zleżącego sosnowego igliwia, korzenne kłącza „saranki”.

- Smaczne! Witamina. Głodu nie oszuka, ale zawsze...

Zbierali tę zieleninę, jedli, znosili do baraków, żeby nakarmić swoich. „Czeremsza” miała liście podobne do konwalii i smakowała jak czosnek. „Saranka” była bulwą syberyjskiej dzikiej lili, dzieliła się na ząbki jak główka czosnku, ale w odróżnieniu od „czeremszy” miała smak oleisty i prząsny.

Pojmą wciąż jeszcze stała pod lodem. Wszystko jednak wskazywało, że lada chwila ruszy. Wiosenne słońce przygrzewało coraz mocniej, topiło zasy śnieżne na terenie obozu. Dookoła baraków zrobiło się mokro, błotnie i smrodliwie. A jeszcze do tego nie było skąd czerpać zdatnej do picia wody.

- Ludzie - zdenerwował się któregoś niedzieli Daniłowicz - jak tych gównien dookoła baraków nie posprzątam, nie zbudujemy wychodka i nie nauczymy się do niego chodzić, to tylko czekać, jak nas jaka zaraza wydusi!

Posłuchali go, nie tylko dlatego, że po aresztowaniu Korczyńskiego był starostą baraku, ale mądrze mówił. W zimowe mrozy każdy latał za barak, byle szybciej. Przez całą niedzielę sprząтали, dłubali w zmarzlinie dół, zbijali z desek wychodek.

Spodobało się to wiosenne porządkowanie felczerowi Tartakow-skiemu, poszedł do komendanta, żeby Polakom dla dezynfekcji trochę niegaszonego wapna wydzielili.

- Słuchaj, Tartakowski, to że Polaki własne gówna wapnem chcą przesypywać, to ciebie obchodzi, ale to, że zwolnień od roboty wypisujesz im coraz więcej, to już mnie obchodzi. Rozumiemy się?

- Czemu mamy się nie rozumieć, Iwanie Iwanowiczu? Ale ja tak sobie jeszcze myślę, że to przysypywanie wapnem was też powinno obchodzić. Epidemii się boję. Na dzisiaj mam na izbie chorych cztery takie przypadki, nie mówiąc już o tych, którzy po barakach leżą, że aż się boję myśleć, co to jest...

- A co to jest?

- Na oko wygląda mi to na zwyczajną czerwonkę, dezynterię, ale może to być...

- No, nie jękać się, Tartakowski, tylko mów!

- Boję się, że to może być tyfus!
- Tyfus mówisz? Tartakowski, ty mnie tu nie strasz jakimiś tytusami. Masz tu leczyć, a nie straszyć. Bierz to cholerne wapno, rób, co chcesz, lecz ludzi, jak potrafisz, i żeby mi tu żadnego tyfusu nie było!
- Tylko, żebym jeszcze miał czym leczyć.
- Czym masz, tym i lecz. Ty jesteś tu felczerem, nie ja.

Staszek Dolina przebudził się w środku nocy niespokojny, z uczuciem narastającej trwogi. Nie pamiętał, żeby mu się coś straszego śniło. W ciężkim barakowym zaduchu słyhać było pochrapywania, senne majaczenia, pokasływania, gdzieś tam popłakiwało dziecko, ktoś z beczki wodę czerpał i głośno siorbał przy picciu, ktoś skrzypnął wyjściowymi drzwiami. Ojciec spał obok, oddychał miarowo i spokojnie. Z drugiej strony Staszka spał mały Tadek, a dalej od samej ściany, mama. Staszek powoli otworzył oczy. Matka nie spała. Siedziała na pryczy z wysoko podciągniętymi kolanami, ścisnęła głowę w dłoniach i kiwała się rytmicznie. Chyba pojękiwała a może popłakiwała cichutko. Wsłuchał się uważniej i usłyszał, że mama nie tylko popłakuje, ale na przemian podśpiewuje, to znów z czegoś się śmieje. Przestraszył się. Zrozumiał, że z mamą dzieje się coś niezwykłego. Zdecydował się, przysiadł i zapytał szeptem:

- Mamo! mamusiu, co ci jest?

Matka nie reagowała, kiwała się w niezmienionej pozycji, zajęta sobą. Słyszał pojedyncze słowa, wypowiedane bez ładu i składu- Strug wylał! Woda, woda... Bolać cię, Tadziu, nóżki, bolać Jakaś ty, Gizela! Do Borku. Nie, nie chcę! Nigdzie nie pójdziemy. Tyle ludzi na odpuszcie!... „Wyganiała Kasia wołki, raz, dwa, trzy...” Staszek dotknął matczyne ramienia.

- Mamusiu, co ci jest?

Głos mu drżał i chciało mu się płakać. Tym razem jakby ocknęła się, zareagowała. Przestała się kiwać, opuściła ręce i powoli obróciła głowę w jego stronę. Popatrzyła szeroko rozwartymi oczami.

- Mamusiu, to ja Staszek!

Poznała go. Wyciągnęła do niego drżącą rękę.

- Aaa! Tak, tak..., syneczku!... Śpij, Stasiu, śpij... Nic, nic mi nie jest. Tak... - Matczyzna dłoń była gorąca, spocona. Nagle wyszarpnęła ją, znowu ścisnęła skronie i zajęczała.

Staszek obudził ojca.

Nad ranem mama uspokoiła się, usnęła. Oddychała szybko, jak ryba łąwiła powietrze otwartymi ustami. Ojciec nie kładł się spać, do świtu było niedaleko. Denerwował się, bo musiał iść do roboty. Staszek wdział porcięta, wciągnął przez głowę podarty sweter, z którego już wyrastał, i zsunął się z pryczy.

- Na dwór skoczę - opowiedział się ojcu. Drzwi były na drugim końcu baraku. Ludzie wstawali do roboty. Tłoczno było przy beczce z wodą, przy dymiących piecykach. Przystanął na środku baraku, bo zauważył, jak ludzie owijali kogoś w prześcieradło.

- Ząbkowa dzisiejszej nocy umarła.

- Kąkolowi też niewiele brakowało.

- Nie płacz się pod nogami! - ofuknął go Ziemniak. Staszek wyskoczył przed barak. Wschodziło czerwone słońce, srebrzysty szron parzył stopy chłodem. Wracając, musiał poczekać przed progiem, bo właśnie Ząbkową wynoszono. Ojciec był już przygotowany do wyjścia.

- Coś tam tak długo robił? Do roboty muszę...

- Ząbkowa umarła, tato!

- Ząbkowa? Co ty wygadujesz? Jeszcze wczoraj...

- Ziemniak z Jaśkiem Szajną wynosili ją do kostnicy.

Widziałem...

Ojciec nachylił się nad mamą. Dotknął jej czoła.

- Mama śpi. Niech śpi, to jej dobrze zrobi. Gorączka spadnie. Pewnie się przeziębila. Pilnuj tu, Stasiu, wszystkiego. Tadzka ubierz. A jak się mama przebudzi, daj jej się napić. Tu, w garnuszku, malinówkę zagotowałem. A tu masz kawałek chleba. Mamie do wody pokruszysz. Niech koniecznie coś zje. No i dla was po odrobinie... Wieczorem zupy ze stołówki przyniosę, to się wszyscy najemy. Śpi mama, śpi. To dobrze, dobrze... Pilnuj tu, Stasiu, wszystkiego. A jak

by coś, to babcia Szajnina albo Ziemniaczka ci pomoże. Albo pani Korczyńska...

Ludzie wyszli do roboty. Po baraku leniwie snuły się staruchy, hałasowały dzieciaki. Na pryczach leżeli chorzy. Coraz więcej ludzi chorowało. I coraz więcej umierało. Staszek przypomniał sobie ludzi z pierwszego baraku. Dzisiaj panią Ząbkową wynieśli. Wczoraj aż dwie osoby z ich baraku umarły: najpierw Niski, a zaraz po nim Gibałowa. A jeszcze parę dni temu Dąbrówka i ta dziewczyna, co Józka jej było. Jak się ona nazywała? No Wróblewska przecież! Chorują ludzie w Kaluczem, umierają. Mówią, że to tyfus albo inna jakaś zaraza.

Naśladowując ojca, Staszek ostrożnie dotknął matczynego czoła. Było suche i gorące. Otulił matkę kocem. Tadek zwinięty w kłębek jeszcze spał. Staszek sięgnął po garnuszek. Był to półlitrowy biało emaliowany garnuszek z niebieskimi fiołkami. Staszek pamiętał, jak z tym garnuszkiem, jeszcze w Kalinowej, biegał do stajni na ranne dojenie krów. Do tego garnuszka mama nalewała mu świeżo wydo-jonego, mleka. Zdmuchiwał z mleka pianę i wypijał je jednym duszkiem. Mam uśmiechała się i przygadywała:

- Ale z ciebie cielątko!

Ten garnuszek z fiołkami pojechał z nimi z Kalinowej do Worwo-liniec, potem do Czerwonego Jaru, a teraz znalazł się w Kaluczem, na Sybirze. Staszek sięgnął po niego ostrożnie, żeby nie rozlać napoju, jaki ojciec przygotował dla mamy z malinowych łądyg. Siorbnął pół łyku. Malinówka była jeszcze ciepła, gorzkawo-cierpka. Mama się przebudzi, to da się jej napić. Szkoda tylko, że nie mają ani kostki cukru. A potem jak się już mamusia napije herbaty, to w tym samym garnuszku zagotuje wody, posoli do smaku, bo soli to jeszcze trochę mają, i nakruszy jej tam chleba. Dobra będzie z tego zupa, kwaskowa taka. Mama poje, pokrzepi się dla zdrowia. Staszek przełknął ślinę. Zawsze był głodny. W Kaluczem nigdy nie najadł się do syta. Sięgnął na półeczkę, gdzie ojciec zostawił chleb. Ostrożnie odwinął szmatkę. Cwiartka czarnego chleba pachniała zakwaską. Staszek przysunął



chleb do nosa i długo, z lubością wdychał jego zapach. Ujął go w dłoń i oglądał ze wszystkich stron. Z trudem zwalczył pokusę, owinał chleb i położył na miejsce. Powąchał i starczy. Tadekowi odłamał kawałeczek, ale mamie najwięcej, żeby szybciej wyzdrowiała. Swoją porcję też może jej dać. Na pewno jej da. A on, co tam, poczeka sobie do wieczora. Przyjdzie tatuś z wyrębu, zupy ze stołówki przyniesie, to wtedy wszyscy razem sobie pojedzą. A mamusi znowu damy najwięcej, żeby szybko wyzdrowiała.

- Mamo! Mamusiu!

- Cicho! Nie drzyj się, nie widzisz, że mamusia jeszcze śpi! - skarcił braciszka, który dopiero co się przebudził i tarł piąstkami zaspane oczy. Tadek, jak na jego cztery latka przystało, z tego, co się dookoła niego działo, rozumiał niewiele. Choć trzeba przyznać, że się starał. I Staszka słuchał. Rodzice skoro świt wychodzili do pracy, wracali wieczorem, a przez ten czas chłopcy musieli radzić sobie sami.

- Chodź tu, ubierzesz się.

Uwinęli się z tym szybko. Tadek spał w tym samym niebieskim sweterku, w którym chodził na co dzień.

- Kupę!

- Ten nic, tylko jeść i kupę! - Staszek naciągał braciszce na bosc nogi przyciasne śniegowce.

- Czemu mamusia śpi?

- Bo jest chora. Musimy być cicho. No, lecimy.

W drzwiach baraku rozminęli się z mężczyzną w białym chałacie. Staszek wiedział, że jest to tutejszy pan doktor, nazywa się Tartakowski, daje zwolnienia od pracy i urzęduje w szpitalnym baraku. Razem z doktorem była na biało ubrana pani, o której Staszek wiedział, że jest Polką, pomaga doktorowi i mieszka w piątym baraku. Jak wrócimy, to może ją poproszę, żeby mamusi jakieś lekarstwo dała?

W Kaluczem wybuchła epidemia tyfusu. Felczer Tartakowski miał na tyle obozowej praktyki, żeby już po kilkunastu przypadkach nie mieć co do tego żadnych wątpliwości. Objawy wskazywały na dur brzuszny. Najgorsze, że nie miał go czym leczyć. Aspiryna i trochę

chininy, to było wszystko, czym w swojej apteczce dysponował. Tym też leczył. Aspiryną zbijał wysoką gorączkę. Chinina w małych dawkach też nie mogła zaszkodzić. Czy pomagała? Ważne, że działała przeciwgorączkowo i przeciwbólowo. Nie miał surowicy do zastrzyków, nie mógł tyfusowi zapobiegać. Do tego te straszne warunki barakowe, brak higieny, wszawica. Wiedział, że chorym, a zwłaszcza ozdrowieńcom, potrzebna jest zasobna w witaminy, wysokokaloryczna dieta. Tymczasem w Kaluczem nawet zdrowi umierali z głodu. Na jakąkolwiek pomoc z zewnątrz, zwłaszcza na szczepionkę, musiał czekać, aż drogi staną się przejezdne.

Na alarmujące meldunki Sawina tajszecka centrala NKWD odpowiadała tym samym zwięzłym tekstem: „Stosować profilaktykę i czekać na dostarczenie szczepionki. Chorych izolować w osobnym baraku. Dostarczać zdrową, gotowaną wodę, zwalczać brud i insekty”.

Na takie rady Tartakowski nie wiedział: śmiać się czy płakać. Tyfus, choroba zaraźliwa. Komendant Sawin przeraził się nie na żarty, kiedy na tyfus zmarło dwóch żołnierzy i jego zastępca, znienawidzony przez zesłańców Barabanów.

- Nareszcie Pan Bóg go pokarał - cieszyli się co bardziej mściwi. Staszek wrócił z Tadkiem do baraku i już od wejścia dojrzał, że

przy ich pryczy stał Tartakowski otoczony gromadką kobiet. „Co oni tam robią?” Mama leżała z zamkniętymi powiekami, a nachylony nad nią Tartakowski obsłuchiwał ją drewnianą, podobną do trąbki lekarską słuchawką.

Felczer schował słuchawkę do kieszeni fartucha, coś podumał, jeszcze raz dotknął dłonią czoła chorej, odwinął jedną powiekę.

- Do izolatki? - radził się pielęgniarce, pani Sadkowskiej.

Ta skinęła potwierdzająco głową, odwróciła się do kobiet i spytała: - Jest tu kto z rodziny? Kobiety pokazały na Staszka.

- Tata w robocie!?! Zabieramy twoją mamę do szpitala. Zaraz przyślemy tu sanitariuszy z noszami, to pomożecie im chorą zabrać. - Z tym zwróciła się do kobiet.

Staszek złapał pielęgniarkę za rękaw. Głos mu drżał, chciało mu się płakać.

-Ale, proszę pani, tatuś, tatuś mi powiedział, że jak się mamusia wyśpi, to wszystko będzie dobrze.

- Będzie dobrze, na pewno będzie dobrze.

- Niech pani mamusi nie zabiera! Tatuś herbaty jej naszykował, chleba zostawił.

Sadkowska pogłaskała go po głowie. -Jak ci, chłopcze, na imię?

- Staszek, a jemu Tadek.

- Braciszek? Posłuchaj mnie, Stasiu, uważnie. Jesteś już duży chłopiec. Widzisz sam, ilu ludzi w barakach choruje. Twoja mamusia też zachorowała. Doktor ją zbadał i mówi, że trzeba ją wziąć do szpitala. Wiesz przecież, że w szpitalu leczy się ludzi. Tam mamie będzie lepiej, rozumiesz?

- Rozumiem, proszę pani. A mamusia wyzdrowieje?

- Wyzdrowieje, nie bój się, na pewno wyzdrowieje...

Przyszli sanitariusze z drewnianymi noszami. Kobiety wciąż nieprzytomną Dolinową owinęły w koc. Sanitariusze ułożyli ją na noszach i ponieśli

Chłopcy kręcili się w pobliżu szpitalnego baraku prawie do wieczora.

Tadek taplał się w błocie, puszczał patyki i gonił za nimi wzdłuż strumyka, gapił się na przelatujące po wiosennym niebie klucze gęgającego ptactwa, objadał z sosny żywicę. Staszek schował szmatkę z resztą chleba za pazuchę, żeby mu jej chłopaki z innych baraków nie odebrali, popatrywał za młodszym bratem, ale główną uwagę koncentrował na szpitalu.

Szpitalny barak niczym na zewnątrz się nie wyróżniał od pozostałych. Drewniany, parterowy, z niewielkimi oknami. Staszek podkrał się pod ścianę i chciał zajrzeć do środka, ale okna były przysłonięte szpitalną gazą, więc nie dojrzał niczego. Nieco zawiedziony wycofał się na powaloną sosnę. Ruch koło szpitala nie ustawał. Ci sami sanita-

riusze, którzy zabrali mamę, znosili chorych z innych baraków. Dwa razy ze szpitala wynosili zmarłych do kostnicy.

Blisko kostnicy tracze piłowali deski na trumny. Stolarzom zabrakło gwoździ, więc wiązali trumny wrębami, takimi jak węzły w starych, drewnianych chałupach. Jakaś rodzina z trzeciego baraku załadowała trumnę z nieboszczykiem na sanki i po błocie wlokła ją na cmentarz. Dzieciaki zbierały trociny i wióry spod tracza, podsycali nimi ognisko. Jakieś kobiety w białe fartuchy odziane, pewnie też sanitariuszki, wchodziły i wychodziły ze szpitala, ale Staszek nie śmiał do nich podejść. Tylko pani Sadkowskiej nie mógł się doczekać.

Ludzie już dawno wrócili z roboty, a ojca wciąż nie było. Dopiero sąsiadka z pryczy, Julia Ziemniakowa, powiedziała im, że ojciec prosto z roboty pobiegł do mamy, do szpitala. Wracając ojciec wstąpił jeszcze do stołówki i przyniósł w kociołku porcję zupy. Jedli w milczeniu. Staszek skręcał się z ciekawości, żeby usłyszeć, jak tam mama, ale nie śmiał ojca zapytać. Zupa z trudem przechodziła mu przez gardło. Naraz przypomniał sobie o reszcie chleba. Sięgnął za pazuchę i oddał ojcu zawiniątko.

- Tylko tyle zostało, tatusiu. Tadziu płakał, to mu dałem. A wiesz, sanitariusze to nie chcieli tego chleba dla mamusi wziąć. Mówili, że tam, w szpitalu, to im dają jeść. Nawet chleb tam...

- Dobrze, Stasiu, dobrze...

Ojciec mówił niewzruszenie cicho, łagodnie, trzęsła mu się ręka z zawiniątkiem i przez jakąś chwilę nie patrzył na Staszka, tylko wodził wzrokiem po ścianach.

- Zaraz was tym chlebem podzielę. Do zupy sobie pokruszycie. A spóźniłem się, bo byłem w szpitalu mamusię odwiedzić.

- Obudziła się już? - Staszek nie wytrzymał.

- Obudziła? A..., tak, tak! Obudziła się, przytomna już jest. Pytała się o was. Gorączka mniejsza. Lekarstwo jej dali.

- A kiedy mamusia wróci? - Staszek się zdziwił, że zamiast niego zapytał o mamę Tadek. Ojciec dolał mu zupy ze swojego kociołka.

- Wróci nasza mama, wróci! Niech tylko trochę wyzdrowieje, to do nas wróci.

Dolina nie powiedział dzieciom prawdy. Stan zdrowia ich matki był ciężki, prawie beznadziejny. Kiedy przybiegł na izolatkę, Tosia spała. Stał przy niej, patrzył i nie budził. Podeszła Sadkowska, odeszli na bok. Nie musiał o nic pytać:

- Niestety, tyfus. Tak jak ci wszyscy w tej sali.

- Wyjdzie z tego?

- W Bogu nadzieja! Gorączka strasznie wysoka. W południe na chwilę odzyskała przytomność.

- Może coś przynieść, o coś się postarać?

- Lekarstw nie mamy, szczepionki. Ale przecież o to pan się tu nie postara. Wszystko zależy od siły organizmu.

- Może coś do zjedzenia?

- Panie Dolina, niech pan będzie poważny! Co, może rosółu z kury pan ugotuje? Byle tylko kryzys minął, to i na tej kaszy, co tu mamy, jakoś wyżyjemy.

- Niech pani żonie powie, że tu byłem, tylko nie chciałem jej budzić. I że jutro też wpadnę.

- Powiem, powiem...

Nazajutrz była niedziela. Jeszcze przed świtem Dolina obudził Staszka i powiedział mu, żeby wszystkiego pilnował, bo on teraz pójdzie w tajgę nazbierać czeremszy i saranki. Lekarz powiedział, że to będzie dobre dla mamy. Być może wróci późno, nawet wieczorem, to żeby się nie denerwowali. Teraz też nie mówił dzieciom prawdy. W czasie bezsennej nocy postanowił, że mimo roztopów spróbuje przedostać się do Usolia i wymienić coś u znajomego Buriata. A może właśnie dostanie tę kurę na rosół, o którym wspominała Sadkowska. A może jakieś lekarstwo od Buriatów przyniesie?

Podobnie jak w zimie, Dolina trzymał się Pójmy, pokonując jej brzegiem bezdrożne wzgórza i doliny. Wiosna zaczynała wstępować w swoje prawa. W zimie jakoś nie zapamiętał, że Pójmą kręci się tyłoma ostrymi zakolami. Do tego nie przewidział najgorszego: szero-

kości i głębokości jej wiosennych dopływów. W jednym z takich potokówomal się nie utopił. Bystry dopływ Pójmy, który przegrodził mu drogę, był za szeroki, żeby go przeskoczyć. Za bystry, za zimny i za głęboki, żeby sforsować go w bród. Zauważył wiatrołom starej sosny, zwalony z jednego brzegu na drugi. Poprawił siekierę za pasem, owinął na ręce worek z ubraniami do wymiany, i balansując dla równowagi, wolno, stopa za stopą, sunął ku drugiemu brzegowi. Nagle pośliznął się, stracił równowagę, gałąź, za którą złapał instynktownie, trzasnęła i mocny lodowaty nurt strumienia powlókł go jak piórko do głównego nurtu Pójmy. Ratował się, jak umiał. Nie miał się za co zaczepić, krztusił się wodą, słabł coraz bardziej. Ratować się, ratować! Taka głupia śmierć. Tosia! Dzieciaki! Jakiś korzeń. Teraz! Mocne, bolesne uderzenie bokiem o zatopioną kłodę. Na niej się zatrzymał.

Do Kaluczego dowlókł się Dolina resztkami sił, bez worka z odzieżą, bez siekiery. Do Usolia nie dotarł, musiał wrócić... Mijały dni, matka ze szpitala nie wracała. Staszek całymi dniami kręcił się w pobliżu szpitalnego baraku, a stara powalona sosna stała się jego stałym obserwacyjnym punktem. Kilka razy nawet odważył się zaczepić panią Sadkowską. Głaskała go po głowie, pocieszała i mówiła to samo co ojciec. Na Staszkowe odwiedziny w szpitalu nie chciała się zgodzić.

Niepocieszony wrócił na starą sosnę, ofuknął brata, żeby ten nie zalepiał sobie ust żywicą, bo i tak się tym nie naje, i zdecydował, że... napisze do mamy list! Zeskoczył z sosny, złapał Tadka za rękę i pobiegł do baraku. Z czasów, kiedy jeszcze pan Korczyński ich uczył, Staszek zachował pod pryczą stary zeszyt i ogryzek chemicznego ołówka. Poślinił ołówek i zaczął pisać:

„Kochana mamusiu! Czy już jesteś zdrowa?”... Zaraz jednak zaczął od nowa, bo mu się przypomniało, że wszystkie listy, jakie pisała mama albo czasami od kogoś otrzymywała i czytała na głos, to te wszystkie listy zaczynały się tak: „W pierwszych słowach mojego listu niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Więc i on tak zaczął: „Ko-

chana mamusiu, czy już jesteś zdrowa? Bo my dzięki Bogu jesteśmy wszyscy zdrowi. A Tadziu jest grzeczny. Tylko czasem płacze, bo chce mu się jeść i żebyś ty była już razem z nami. A ja ciebie, mamusiu, odwiedzę, jak mi pani Sadkowską pozwoli. Bo ona jest dobra. I na tym już kończę, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, amen. Staszek. A te bazgrały to porobił Tadziu, bo chciał też do ciebie napisać, ale jeszcze nie umie".

Staszek wyrwał kartkę, zeszyt i ołówek schował pod prycę i pobiegł śpiesznie na swoją sosnę wypatrywać pani Sadkowskiej. Tym razem miał szczęście. Pani Sadkowską ze szpitala wyszła, wzięła karteczkę bez słowa, schowała ją do kieszeni fartucha i tylko mu palcem pogroziła.

Wieczorem jak zwykle siorbali z ojcem zupę. Tadek wylizywał miseczkę. Ojciec pogłaskał go po białej czuprynie, spojrzał na Staszka i uśmiechnął się.

- No, Stasiu, jutro rano weźmiesz Tadzia i pójdziecie do szpitala mamusię odwiedzić. Pani Sadkowską wie, to was do mamy zaprowadzi.

- Dobrze, tatusiu!

.- „Dobrze, dobrze!" Ale z ciebie, synu, to też lepszy gagatek, zęby mi nic o liście do mamy nie powiedzieć.

- Boja, boja myślałem, tatusiu...

Staszek chyba całą noc nie spał. Czatował, żeby wstać zaraz, jak tylko ojciec pójdzie do roboty. Spod koca widział, jak ojciec przyrządził w garnuszku wywar z malinowych łądyg i nawet wrzucił tam kawałeczek cukru. Skąd go miał, pewnie od kogoś specjalnie dla mamusi pożyczył?

Szli do szpitala wolniutko, bo Staszek uważał, żeby mu się z garnuszka malinówka nie wypłuskała. Tadek dreptał, ubrany w niebieski płaszczyk z połączanymi guzikami, wyszorowany, aż mu uszy od tego mycia poczerwieniały. Staszek przywdział na tę okazję granatowe ubranko, jakie kupiła mu mama w Tłustem, na rozpoczęcie nowego roku szkolnego. Przyszli za wcześnie, bo pani Sadkowskiej nie

było widać. Stali przy drzwiach. Staszek chronił garnuszek połą marynarki, żeby malinówka nie wyziębła. Czekali. Wreszcie wyszła pani Sadkowska.

- Chyba przez całą noc nie spaliście? No, dobrze, chodźcie, zaprowadzę was do waszej mamy. Ale tylko na chwileczkę! I żadnego mi tam płaczu!

- Dobrze, proszę pani.

- Co tam masz w tym garnuszku?

- Malinowej herbaty tatuś zrobił. Słodzona!

- Ho, ho, słodzona, mówisz? No dobrze, idziemy.

W szpitalnym baraku panował półmrok, piekl w oczy karbol, ciężkie powietrze śmierdziało zgnilizną i ludzkimi odchodami. Wzdłuż ścian ciasno, jedna przy drugiej, stały pojedyncze drewniane prycze. Wszystkie zatłoczone chorymi. Staszek wypatrywał mamy. Niecierpliwie prześlizgiwał się wzrokiem po pryczach. Potknął się przy tym, z garnuszka trochę się wylało.

Na końcu długiej sali pani Sadkowska stanęła obok pryczy, na której siedziała mama i wyciągała do nich rękę. Staszek popchnął ku niej Tadek, przełknął ślinę i całą siłą chłopięcej woli wstrzymywał łzy pod powiekami.

Tadek był mały, prycza za wysoka, mama za słaba, żeby się ku niemu pochylić, więc tylko głaskała go po włosach, dotykała policzków. Czarnosrebrzyste mamine włosy jeszcze bardziej uwypuklały kredową biel jej twarzy, ściągnięte do kości policzki, zaostrowany nos, podkrążone, głęboko wpadnięte oczy i spękane wargi spalone gorączką. Jej chude jak szkielet ciało odziane było w szarobiałą, zgrzebną koszulę.

- Stasiu, synku!

Głos miała cichy. Jej ogromne, tak charakterystycznie wyraziste migdałowe oczy patrzyły na syna w miłością. Czuł na skroniach dotyk matczynych, drżących dłoni. Trzymał garnuszek, było mu niezręcznie i zamiast w rękę pocałował mamę w rękaw szpitalnej koszuli.

- Mamusiu, tatuś malinowej herbaty ci zrobił. Słodka!



- Dziękuję, dziękuję. Po co ten kłopot. No i jak wy tam beze mnie, złotka moje?

Pani Sadkowską poprawiła nabity trawą zagłówek, pomogła mamie unieść się nieco wyżej.

- Niech się pani napije, pani Tosiu. - Pani Sadkowską podała chorej garnuszek. Staszek patrzył, jak matka trzymała ten garnuszek oburącz, jak jej chude białoskóre dłonie, z wyraźnymi liniami niebieskich żył, trzęsły się i nieporadnie drżały. Patrzył, jak matka niezdarnie przytyka naczynie do splekanych fioletowych warg, głośno siorbie i jak jej zęby szczękają po obitej emalii.

To ci dopiero był radosny dzień! Staszka jakby ktoś na sto koni wsadził. Po wyjściu ze szpitala w te pędy pogonili do baraku, by się swoją radością z sąsiadami podzielić, że mama ma się dobrze i że tylko patrzeć, jak wróci ze szpitala.

- Daj Boże, daj Boże! - kiwała na to głową babka Szajnina. Wieczorem ojciec zaniósł mamie grzebień, spinki do włosów, półbuty i sukienkę. Tę sukienkę, którą mama najbardziej lubiła, materiał kupiła w Tyczynie, szyła w Kalinowej u Gizeli, a w którą pierwszy raz się ubrała na Zielną, do borkowskiego klasztoru na odpust. Suknia była ze złocistobrazowego jedwabiu, rozrysowanego fioleto-wobordowymi makami. Mama gustowała w takich kontrastowych, barwnych cygańskich kolorach. Staszek też lubił, kiedy mama w tej sukience chodziła. Wszyscy się wtedy za nią oglądali, a kalinowskie baby zazdrośnie poszeptywały: „Patrzcie, jaką to znów Tosia piękną sukienkę sobie sprawiła”. Ojcu też się pewnie podobała, bo kiedy, już tu w Kaluczem, wybierali odzież na wymianę u Buriatów i mama chciała oddać swoją sukienkę, tata odłożył ją z powrotem.

- Tato, to kiedy mamusia wyjdzie? - Niecierpliwił się Staszek.

- Jak wszystko będzie dobrze, to może już nawet jutro. Nie martw się, synu, dadzą nam znać.

Staszek bał się, że mogą się z mamą rozminąć. Od samego rana przysiadł z Tadkiem na swojej przyszpitalnej sośnie. Dzień dłużył mu się okropnie, miało się pod wieczór, a mama wciąż ze szpitala nie wy-

chodziła. Więc kiedy dojrzał panią Sadkowską, pośpiesznie stanął na jej drodze. Nawet o nic nie pytał. Pani Sadkowską przystanąła, przycupnęła przed Tadkiem, wyjęła chusteczkę i wytarła mu nos. Wstając, jakby się upewniła.

- Ty masz na imię Staszek?

- Tak, proszę pani.

Położyła dłoń na jego ramieniu i patrząc mu uważnie w oczy, powiedziała:

- Słuchaj, Stasiu, jesteś już dużym i rozumnym chłopcem. Przykro mi, ale wasza mamusia jeszcze dzisiaj ze szpitala nie wyjdzie. Wczoraj było prawie dobrze, a dzisiaj znowu mamie się pogorszyło. Musimy poczekać. Weź małego, zimno się już robi i wracajcie do baraku.

Ojciec poszedł do szpitala na noc.

- Posiedzę trochę przy mamie... Kładźcie się spać, na mnie nie czekajcie. Tadziewi nogi umyj i przypilnuj, żeby zmówił paciorek.

Tadek miał nogi jak rzepa, spękane od taplania się w wodzie, obtarte przy kostkach, myć się nie chciał, popłakiwał. A potem zaraz wzięło go na sen, ziewał i Staszewi z trudem udało go się namówić, żeby się przeżegnał. „Aniele Boży, stróżu mój”, powtarzał za Staszkiem półsennie, kwękał i gubił słowa. Nie męczył go więcej modlitwami, otulił braciszka kocem.

Staszek ułożył się na pryczy, naciągnął koc na głowę, żeby nie słyszeć, co się dzieje w baraku. Ale sen nie przychodził. Męczył się, przewracał z boku na bok. I o czymkolwiek próbował pomyśleć, wszystko po chwili dokądś uciekało, rozplýwało się we mgle, a przed jego oczy wracała mama leżąca na szpitalnej pryczy. I ten jej cichy głos: „Stasiu, synku!”... Nie, nie, nie! Mamusia wyzdrowieje! Na pewno wyzdrowieje. Moja mama nie umrze. Nie może umrzeć! Ksiądz Niemczycki uczył go na religii, że jak się bardzo, bardzo wierzy, to Pan Bóg zawsze człowieka wysłucha. Staszek wstał, ukląkł. „Wierzę w ciebie, Boże żywy”...

Nie pamiętał, jak zasnął. Jedyne, co mu się przypomniało, to, że modlił się i prosił o zdrowie dla mamy. Ojca jeszcze nie było, widocz-

nie ze szpitala nie wrócił. Tadek spał. Spali ludzie w baraku. Tymczasem wiosenne słońce już wstało i jego ukośne promyki sączyły się przez małe barakowe okno. Staszek zsunął się z pryczy i podszedł do okna. Widział stąd Pojmę, zieloną ścianę tajgi na drugim brzegu, komendanturę w oddali, a nieco bliżej ścieżkę do szpitalnego baraku. Nagle drgnął, niemal przylepił się do szyby i przysłonił ręką słońce, żeby lepiej widzieć. Od strony szpitala wolnym krokiem w stronę kostnicy szli sanitariusze z noszami. Za noszami szedł ojciec. A na noszach, a na tych noszach leżała mama! Staszek poznał złocistą, ulubioną maminą sukienkę. - Mamusiu! Maamooo!...

Wszystko przemija na tym bożym świecie. Tak i czas śmiertelności tyfusowego pomoru zbliżał się w Kaluczem ku końcowi. Czerwiec był bezdeszczowy, upalny. Spłynęły wody, przesychały błota. Z każdym dniem było coraz mniej pogrzebów. Ludzie przytomniej rozglądali się dookoła. Dopiero teraz przychodził czas liczenia ofiar epidemii. Wystarczyło pójść nad Pojmę, aby zobaczyć, ile przybyło na cmentarzu świeżych mogił i brzoźowych krzyży.

Skutki epidemii tyfusu były przerażające. W Kaluczem nie było rodziny, która nie pochowałaby nad Pojmą kogoś ze swoich. W wielu rodzinach zmarło po kilka osób. A były i takie, po których ślad zagażał na zawsze i ostatniemu nie miał już kto rodowego miana na krzyżu wypalić.

Dopiero w czerwcu przez bagienne roztopy przedarły się do Ka-luczego konne zaprzęgi ekspedycji sanitarnej. Przyjechał lekarz z prawdziwego zdarzenia, przywieziono szczepionkę, lekarstwa i nieco żywności.

Zdezorganizowane obozowe życie wracało do regulaminowej normy gułagu. Komendantura znowu goniła ludzi do roboty, domagała się wykonywania planów na wyrębie. Wiosna w pełni, zbliżał się czas spławiania rzeką przygotowanego w zimie drzewa.

Wraz z przybyciem ekspedycji komendant Sawin odzyskał dawny wigor. Bo był to czas, zwłaszcza po śmierci Barabanowa, że w obawie przed zarazą komendant prawie nie wychodził poza obręb komendantury. Z ekspedycją przybył na miejsce Barabanowa nowy zastępca. Nazywał się Sawczuk, był Ukraińcem, pochodził z okolic Kamieńca Podolskiego i niezłe mówił po polsku. Sawczuk zaczął

urzędowanie od uporządkowania papierów Barabanowa, spisu tajnych donosicieli, przeglądu teczek osób, które tamten podejrzewał. Nie śpieszył się z wnioskami, poznawał polskie środowisko. Od pierwszego dnia przybrał postawę człowieka dostępnego, wiele rozumiejącego, chcącego ludziom ułatwić życie i gdzie można, pomóc. Troszczył się o chorych, trzymał się blisko lekarza, doktora piłatowa, starszego, chudego jak tyka milczka, który zaczął zwalczanie epidemii tyfusu od powszechnych szczepień. Sawczuk ze swoimi pomocnikami pilnował, żeby wszyscy dostali zastrzyki, a przy okazji robił swoje, przypatrywał się ludziom.

Epidemia zdeorganizowała, zdziesiątkowała brygady. Nie tylko choroby wyniszczyły ludzi, nad Kaluczem zawisło widmo głodu. Zabrakło mąki na wypiek chleba. Z magazynku wymiatano resztki kaszy jęczmiennej. Nawet soli brakowało. Tajszet zapowiedział transport produktów, zwłaszcza mąki. Ale żeby podwozy mogły dotrzeć do Kaluczego, należało kilkanaście kilometrów od posesiłka na burzliwym dopływie Pójmy zbudować most. Sawin wyznaczył do tego brygadę Siedycha. Kilka dni męczyli się z tą przeprawą. Nie wracali na noc do baraków, nad brzegiem rzeczki nocowali, tutaj oszukiwali głodne żołądki czeremszą i gotowanymi pokrzywami. Ale przeprawę zbudowali. Doczekali się transportu z mąką.

Sawin kazał piec chleb na dwie zmiany. A na drugi dzień rano zwołał przed swoje oblicze komendantów baraków. Stał przed nimi z Sawczukiem, lekarzem i brygadzystami. Widać było, że znów poczuł się pewnie.

-No, jak widzicie, obywatele spieczpieresieleńcy, najgorsze mamy za sobą. Władza radziecka nie pozostawiła was w nieszczęściu. Przesłała wam lekarza, lekarstwa. Epidemii mamy opanowaną, co, doktorze?

Lekarz skinął głową. Sawin kontynuował.

- No, widzicie. I chleb znowu mamy! Powiedzcie swoim ludziom, że wszyscy otrzymają aż po pięćset gramów na głowę! Wszyscy! Musimy oszczędzać, bo to pierwszy transport. Ale nie martwcie się, na-

stepne transporty mąki, kaszy i innych produktów już są w drodze. Dostaniemy też ziemniaków i innych nasion! Zwróćcie na to uwagę: nasion! A co ja wam mówiłem jeszcze w zimie? Mówiłem, że jak tylko przyjdzie wiosna, to co będziemy robić? Urządzać się będziemy, obywatele przesiedleńcy! Urządzać tu, w Kaluczem, na stałe! Tajgę dookoła wykarczujemy, ziemniaki sobie posadzimy, cebulę, rzepę, marchewkę. Karczować ziemię będziemy wszyscy. Do budowy nowych, porządnych baraków specjalną brygadę cieśli wydzielimy. Żeby wygodniej ludziom się tutaj mieszkało. Świdnicę sobie zbudujemy, żeby było kulturalnie. Filmy pokazywać będziemy. No i szkołę postawimy, bo dzieciaki muszą się uczyć. Fakt! Władza radziecka dba o oświatę. Nauka u nas bezpłatna! Będzie szkoła, to i nauczyciela nam przyślą. Tak to wygląda. Wiosna, obywatele przesiedleńcy, głowa do góry, najgorsze mamy za sobą. A teraz do roboty, na wyrąb, na spław, do karczowania. Czy są pytania?

Pytań nie było... Chleb! Chleb! Zaraz, za chwilę, ludzie znowu spróbują chleba. Już od świtu dzieciaki i dochodiagi krążą w pobliżu piekarni, wdychają z głodną rozkoszą zapach pieczonego chleba. To było teraz najważniejsze: chleb! Dopiero wieczorem we wszystkich barakach ludzie zaczęli pogadywać, kłócić się, rozmyślać o tych „wiosennych” pomysłach komendanta Sawina.

- To co on sobie myśli, że my tu już na stałe zostaniemy, na tym Sybirze?

- Tak powiedział, że powinniśmy się tu na stałe urządzić, tajgę karczować, ziemię uprawiać.

- Nie pierwszy raz to mówił.

- A niech mnie on, wiecie gdzie, pocałuje?

- Mówił, że nowe baraki będziemy budować, klub jakiś, żeby kino nam dawali.

- Szkołę dla dzieci, że niby uczyć je trzeba.

- A jak Korczyński chciał uczyć, to co z nim zrobili?

- Babcia Korczyńska tyfus przetrzymała, a od syna ani slychu, ani dychu. A Bialerówna, a Lutkowski?

- A swoją drogą, chłopcy, tak sobie z czystej ciekawości myślę: co tu w tajdze może wyrosnąć?

- No właśnie?! Kopiesz byle jaki dół, a po metrze już się lód zaczyna.

- Ziemniaki podobno się udają, a z jarych to nawet pszenica!

- Cholera, chłopcy, a może tak spróbować? A co to nam szkodzi? Choć odrobinę się podkarmimy.

- Tyś, Malinowski, chyba zwariował? Czy ty nie rozumiesz, co to znaczy, jak my się tu zaczniemy na dobre zagospodarowywać?

- No, niby co?

- A to, że wtedy na Podole, do Polski, nigdy już nie wrócimy. Amen!

- „Polska”, „wrócimy”... Czekał tatka latka! Jak z tyfusu prawie nie wymarliśmy, to czy się nami choć pies z kulawą nogą zainteresował? A jak Polska będzie, to będzie.

Kłócili się, spierali, mało się nie pobili, ale do zgody nie doszli.

Bolek Drabik, młody żonkoś i przyszły tata, bo Marysin brzuch pęczniał coraz wyraźniej - do kłótni się nie wtrącał, ale swoje planował. Już na pryczy myślał głośno:

- Bo ty tylko sobie, Maryś, pomyśl. Podobno w tych nowych barakach to już będą nawet osobne izby! Gdybyśmy taką izbę tylko dla siebie dostali. Wyobrażasz sobie, jak by to było fajnie?

- Oj, Boleś, Boleś, pewnie. Chyba lada dzień będę rodziła. Babka Szajnina mówili...

Rano Drabik, nie radząc się nikogo, zgłosił się do brygady, która miała budować w Kaluczem nowe baraki. A w najbliższą wolną niedzielę do karczowania przyleśnych chaszczki zgłosiło się tylu chętnych, że w magazynku kilofów i szpadli zabrakło. Z Czerwonego Jaru stawili się wszyscy. Nawet opornego Manterysa przekonali. Stęsknili się chłopcy za ziemią! Wraz z nastaniem wiosny coraz częściej śniła im się orka, siew zboża, zapach podolskiego czarnoziemiu. Nic więc dziwnego, że kiedy nadarzyła się pierwsza okazja, choćby tylko na małym zagonie w ziemi pogrzebać - przełamali w sobie wszelkie wątpliwości i zajęli się jej uprawą.

- Ziemia jak ziemia! Tłusta, korzenna próchnica, powinna rodzić!  
- U nas to była ziemia! W marcu zielono, wszystko rosło, że ho, ho! A my tu w czerwcu dopiero tajgę karczujemy.

- Ziemia jak to ziemia, wszędzie jednakowo pachnie. Ale takiej jak u nas na Podolu chyba nigdzie nie znajdziesz.

Jana Doliny z nimi nie było. Stawiał żonie krzyż na mogile. Wcześniej nie mógł tego zrobić, bo i on nie obronił się przed chorobą. Tyfus dopadł Dolinę zaraz po śmierci żony. Zdażył jeszcze razem z sąsiadami wykopać grób, zbić trumnę, zanieść na cmentarz i pochować. Ale krzyża na mogile postawić nie dał rady. Nie miał siły. Ledwo dowlókł się do baraku, runął na pryczę i stracił przytomność. Kiedy z tego po paru tygodniach wyszedł, wyglądał jak własna śmierć i lada podmuch wiatru go przewracał. Jednemu tylko nadziwić się nie mógł, jak przez ten czas przetrwały jego dzieci.

Krzyż ciosał na cmentarzu. Najpierw wybrał drzewo. Pomyślał, że modrzew będzie najlepszy, bo najtrwalszy. Najdłużej postoi i latami będzie świadczył, kto w tej mogile spoczywa. Razem ze Staszkiem spiłował strojnego modrzewia. Z trudem przywlekli go na cmentarz. Ociosali z kory. Wrębem umocowali poprzeczne ramię. Wyskrobali do gładkości brzozową deszczułkę. Rozniecili ogień i gwoździem rozżarzoną do białości Dolina wypalił na tabliczce:

Śp. ANTONINA DOLINA 1904-1940 Prosi o modlitwę.

Krzyż był gotowy. Długo i mozolnie kopali dół, żeby go ustawić. Ziemia była zmarznięta, twarda. Krzyż był wysoki, z surowego modrzewia, ciężki. Na różne sposoby próbowali, ale nie mogli unieść go do góry.

- Trudno, Stasiu, sami nie damy rady. Poprosimy kogoś w baraku, żeby nam pomógł. Wrócimy tu wieczorem.

Tadek, który cały czas pałętał się im pod nogami, wydał nagle głośny, wystraszony okrzyk:



- Ooo! Idzie!... - i pokazywał ręką w stronę tajgi.

A stamtąd, od porośłego tajgą piaszczystego wzgórza, szedł człowiek. Zbliżał się do nich. Był to bardzo wysoki mężczyzna; mimo ciepłego dnia, w czapce uszance na głowie, w brezentowej obszernej kurtce przepasanej postronkiem, za którym tutejszym zwyczajem tkwiła siekiera. Na nogach miał łapcie wyplecione z łyka, na plecach myśliwską torbę i strzelbę na ramieniu. Kroczył wolno, dostojnie. Z bliska wyróżniała się jego charakterystyczna twarz obrośnięta białą brodą. Spod uszanki wystawały długie włosy. Też białe. Jasne oczy patrzyły przenikliwie.

- Zdrawstwujcie, ludzie dobrzy. - Widzę, nie dajecie rady.

- Ano nie dajemy. Krzyż ciężki...

- Nie ma lekkiego krzyża... Dawaj, pomagu.

Razem z ojcem ustawili krzyż bez trudu. Starzec utrzymywał go w pionie, Dolina zgarniał i udeptywał ziemię.

- Gatowo. Długo postoi - ocenił przybysz i trzykrotnie przeżegnał pierś prawosławnym znakiem. Ojciec też się przeżegnał. Staszek ukląkł i pociągnął za sobą brata. Nieznajomy pokazał na nich ręką.

- Mama? - Dolina skinął głową. - Daa... - Brodacz westchnął, przesunął myśliwską torbę do przodu, pogrzebał i wyjął zawiniątko w brzożowej korze, które wyciągnął do Tadka. Malec, onieśmielony, a może wystraszony, skrył się za brata. Starzec uśmiechnął się wyrozumiale i podał zawiniątko Staszкови.

- Gościniec dla was. - Przesunął torbę za plecy i zabierał się do odejścia.

- Spasiba za pomoc - dziękował Dolina.

- Bóg z wami, dobrzy ludzie.

Patrzyli, dopóki nie skrył się w leśnej gęstwinie.

- Tatusiu, kto to mógł być? Ojciec wzruszył ramionami.

- Boja wiem? Różni po tajdze chodzą. Wyglądał mi na myśliwego. W każdym razie dobry to był człowiek.

A w brzozową korę był zawinięty spory kawałek pszczelego plastra, obficie nasyconego miodem.

Z nastaniem lata w Kaluczem zaczął się spław. Pojmą to nieodrodna rzeka wschodniosyberyjskiej tajgi. Wypływa u podnóża gór Sajanów i zakolami wije się przez tajgę na północny wschód aż do Birusy, rzeki znacznie potężniejszej. Pojmą, choć bystra i pełnowodna, jest zbyt wąska i kręta, zavalona wiatrołomami, a przez to nieżeglowna. Nie można było spławiać tratw. Zgromadzone w czasie zimowych wyrębów na brzegach sosnowe bale strącano luzem do wody, żeby niesione nurtem spływały aż do ujścia. Dopiero na Birusie drewno zatrzymywano na specjalnych przegrodach ze stalowych lin, porządkowano i łączono w tratwy. Tratwy Birusą spływały do Tasiejewki, Tasiejewką do Angary, Angarą do potężnego Jenisieju, Jenisiejem, już na oceanicznych statkach, aż do północnego, morskiego portu Igarki.

Przed wyruszeniem nad Pojmę Siedych zebrał swoją brygadę przed magazynkiem.

- Na spław idziemy. Był ktoś z was kiedyś na spławie?

- Gdzie tam!

- A niby skąd?

- Polska to nie tajga, brygadierze!

- Pojęcia nie mamy, czym się to je.

- Tak sobie i myślałem. Pobierzemy zaraz potrzebne narzędzia, a nad rzeką wszystkiego was nauczę. Z góry uprzedzam, że robota to ciężka i niebezpieczna. Tajga i rzeka na żartach się nie znają. No i musicie się zabezpieczyć, żeby komary i muszka was nie pożarły. Zwłaszcza baby im smakują. A to gadaństwo wszędzie się wciśnie. Czy ma ktoś z was siatkę?

- Jaka siatkę? Na co?

- Przed komarami chroni, a zwłaszcza przed muszką.

- Chcecie spróbować?

Próbowali. Dziwili się, żartowali. Siatek nie mieli, bo i skąd.

- Trudno. Nie macie siatek, dziegciem będziemy się ratować. Tu jest pełna beczka. Wiaderko na początek wystarczy.

W beczce pobłyskiwała maź czarna jak smoła.

- Śmierdzi to jak piekło! Smoła!

- Nie smoła, tylko dziegieć. Z kory brzoźowej go się wytapia. A że śmierdzi, to dlatego muszki i komary go nie lubią. Co będziemy z nimi robić? Gęby, ręce, nogi, wszystko, co na widoku, będziemy dziegciem smarować...

Pojmą, zbełtana brudnym namulem, rwała bystro, kręciła licznymi wirami. Na jej wysokim brzegu, na otwartych ku rzece polanach, czekały zgromadzone w zimie wielkie ilości drewna. Ułożone sagami, to znów byle jak rozrzucone, skrzyżowane jeden na drugim, potężne bale należało wyłuskać z tej gmatwaniny i z wysokiego brzegu zepchnąć, zwalić do rzeki.

Ranek był rzeński, pogodny. Siedych zatrzymał brygadę przed pierwszym zwałowiskiem. Przywołał czterech mocnych chłopów, a reszcie kazał patrzeć, jak się do roboty przy spławie zabrać. Uzbrojeni w bosaki, w „bagry”, długie tyki okute z jednego końca żelaznym hakiem, wyłuskali spośród bali te najdłuższe i układali z nich równoległe tory, po których drzewo miało się turlać do wody. Torowisko gotowe. Cielsko olbrzymiej sosny na nim ułożone.

- Dawaj, kati! - komenderuje Siedych.

Podważone, popychane bosakami drzewo ruszyło! Turla się, kręci, grubszy odziemny koniec zostaje w tyle, lada moment spadnie, zsunie się z torowiska, a wtedy nowe dźwiganie, nowa męka.

- Uważać, uważać, żeby nam nie spadło. Równo, równo. Paszoł! Ogromna, pchnięta bosakami kłoda zerwała się ze stromeego

urwiska, przez ułamek sekundy leciała w powietrzu, by z hukiem uderzyć o wodę. W spienionej fontannie zatonała na moment, ale rzeka wyrzuciła ją na powierzchnię, zakręciła spienionym wirem, wyrównała i porwała z prądem.

- Popłynęło! Popłynęło! Siedych otarł pot z czoła.

- Ot, tak to ma wyglądać. Jasne? - Potakiwali głowami. - Nu i charaszko. Po czterech chłopów się dobierzcie. A baby do pomocy, gdzie

będzie trzeba. A wy we dwie - tu jakby mimochodem wskazał na stojące obok siebie Sylwię Krakowską i Honorkę Unicką - będziecie gałęzie znosić i ogień podsycać.

Z każdym dniem lepiej sobie z tym spławem radzili. Nie radzili sobie natomiast z plagą krwiożerczej muszki i komarami. Im wyżej wznosiło się słońce, im mocniej przygrzewało, tym coraz natrętniej, coraz większymi siłami atakowała ich ta plaga. Zaczęły komary, do których ludzie jako tako byli przyzwyczajeni, bo wraz z wiosną bzykały natrętnie i cięły boleśnie do krwi. Wieczorami pchały się do baraków i nie dawały spać. Jedynym ratunkiem przed nimi był dym. Przed barakami rozpalano wieczorem ogniska. W barakach tliły się smolaki i gałęzie. W tajdze, nad rzeką, wyczuwszy zapach ludzi, komary zlatywały się ze wszystkich stron i atakowały w niewyobrażalnej ilości, zwielokrotnioną siłą. W ślad za komarami zaatakowała muszka. „Maszka, maskara prokliataja!” - jak tę plagę syberyjskiej tajgi, od Uralu po Ocean Spokojny, nazywają miejscowi. Syberyjska muszka potrafi zabić żrebaka, cielątko. Nie daj Boże, kiedy swoim nalotem zaskoczyła pozostawionego bez opieki niemowlaka! Muszka przedostawała się wszędzie. Drobniejsza od maku zasypywała oczy, zatykała uszy, z każdym haustem wciągane powietrza zatykała nozdrza, dostawała się do ust, dławiała, krztusiła w przełyku. Muszka topiła się w każdym łyku wody, w każdej łyżce zupy. Jeśli ktoś w tajdze nie miał siatki, nie posmarował twarzy, rąk, nóg dziegciem, nie okadził się dymem, cierpiał. Muszka i komary swoim jadem powodowały liszaje ran, długo niegojącą się opuchliznę, przenosiły wszelką zarazę, a zwłaszcza malarię.

Dopiero teraz docenili rady swojego brygadzysty. Wszyscy smarowali śmierdzącym dziegciem twarze, szyje i ręce. Czarni, podobni do Murzynów, łyskali białkami oczu, pluli wstrętną muszką, przesuwali ogniska, żeby chronić się dymem.

Przez cały miesiąc brygada Siedycha pracowała przy spławie. Sągi bali znikwały z brzegu i spływały ku ujściu Pójmy. Ale kiedy ostatni kloc stoczył się do wody, spław na tym się nie zakończył. Teraz do obowiąz-

ków brygady należało podążać brzegami w dół Pójmy, spychać na główny nurt te kloce, które zatrzymały się, utknęły na mieliznach. Była to robota trudna, czasami niebezpieczna. Do tego z każdym dniem oddalali się od Kaluczego o parę kilometrów, nie mogło być mowy o powrotach na noc do baraków. Siedych odesłał do Kaluczego kobiety i słabszych. Zostawił mężczyzn najsilniejszych, najbardziej doświadczonych. Wyfasowali tygodniowe racje chleba, kaszy, zabrali kociołki, żeby było w czym coś ugotować. Ciągnęli za sobą płaskodenną łódź, na której umieścili bagaże i która im służyła do przeprawy z jednego brzegu na drugi. Z brygadą zabrał się także nowy zastępca komendanta, Sawczuk.

Danilowicz z Bolkiem Dereniem wiedzieli, że w dalszym biegu Pójmy leży buriacka wieś - Usolie. Doliny w brygadzie nie było, słaby po tyfusie, został w Kaluczem. Teraz pogadali sobie na boku.

- Ciekawe, czy do Usolia dojdziemy?

- Na pewno! W zimie starczyło nam doby.

- Dla mnie od razu było jasne, po co ten enkawudowiec z nami się wlecze. Będzie pilnował, żeby się z Buriatami nie spotkać.

Robota była żmudna. Atakowani przez chmury owadów, wytapiani w błocie, posuwali się w dół rzeki bardzo wolno. Sawczuk przydawał się o tyle, że wolniutko spławiał się w łodzi, a kiedy było trzeba, podpływał, żeby ludzie mogli się przeprawić z brzegu na brzeg albo pokonać nazbyt szeroki, wpadający do Pójmy, dopływ. Przez te dopływy trzeba było się przeprawiać, w wirach zderzających się wodnych nurtów tkwiło najwięcej zaczepów.

Wieczorem, wybrawszy miejsce na nocleg, rozpalali ognisko i gotowali kaszę. Prawie codziennie z kaczką, upolowaną przez Sawczu-ka. Czasami w kotle pojawiły się ryby, których w Pojmie nie brakowało. Siedych był specjalistą od ich wyławiania z przybrzeżnych jam i spod kamieni. On też gotował z nich „uchę”, zawieszistą rybą zupę. Sawczuk i Siedych żywili się z tego samego koda i do wieczornego posiłku zasiadali z całą brygadą. A kiedy już nałykali się zupy, zagęszczonej dodatkowo muszką z komarami, kadzili się dy-

mem, siorbali malinowy czaj, kurzyli machorkę. Sawczuk, pod pretekstem ćwiczenia się w polskim, zaczynał politykować, próbował pociągnąć Polaków za język. Sposobów miał się różnych, czasami skutecznych.

Tak było z czytaniem gazety. Sawczuk sięgnął do swojej raportówki, wyjął zmiętą gazetę, starannie rozprostował i wykorzystując blask płomienia wczytywał się w nią po cichu. Polacy gazety nie widzieli od dawna, wieści ze świata do nich nie dochodziły. Sawczuk wyczekał jeszcze chwilę, opuścił gazetową płachtę.

- Może ktoś chce sobie poczytać? Dobra gazeta. „Prawda” się nazywa, zawsze tylko prawdę pisze. Jeszcze towarzysz Lenin ją założył. No, proszę, kto chce?

- Chętnie, obywatelu komisarzu, tylko że czytać po rosyjsku nie umiemy.

- Nikt z was po rosyjsku nie czyta?

- Mówić trochę, to się mówi, ale z czytaniem gorzej.

- To tak jak ja, niby trochę po polsku mówię, ale czytać ani w ząb.

- A co tam ciekawego piszą, panie komisarzu?

- Gazeta już stara, z początku lipca. A co w niej ciekawego? Gratulacje towarzysza Stalina dla stachanowców. Meldunki kolchoźników Ukrainy, którzy w tym roku spodziewają się wyjątkowo obfitych plonów. Listy do towarzysza Stalina z zachodniej Ukrainy i Białorusi. Przyznanie tytułów bohaterów Związku Radzieckiego za zwycięską wojnę z Białofinami. I tak dalej, i tak dalej. Jest o czym poczytać. Nasz Związek Radziecki pod wodzą towarzysza Stalina rozwija się jak nigdy dotąd.

Daniłowicza zżerała ciekawość.

- A co tam na świecie nowego, panie komisarzu? Sawczuk rzucił na niego bystre spojrzenie, zaszeleścił gazetą.

- A na świecie, panie Daniłowicz, też ciekawe rzeczy się dzieją. Ot, na ten przykład, zaraz, zaraz, o, tu: „Paryż zdobyty. Francja podpisała akt kapitulacji”. - Polacy zamarli. W ciszy bzykały komary, trzaskały gałązki ogniska, bulgotała w kotle woda. Sawczuk nacieszył

się wywołanym wrażeniem, złożył gazetę i jakby mimochodem, spytał: - Ciekawe, co, panie Daniłowicz?

- To prawda, że ciekawe. A można wiedzieć, kiedy Francja skapitulowała?

- Można, można. Z tego, co pamiętam, to gdzieś przy końcu czerwca. Ale zaraz znajdziemy to i przeczytamy: „Dnia 22 czerwca 1940 roku marszałek Petain podpisał akt bezwarunkowej kapitulacji Francji. Tak upadła jeszcze jedna potęga reakcyjnej Europy”... Tak tu piszą. No i co pan na to, panie Daniłowicz? Bo widzę, że zna się pan na polityce.

- Z ciekawości spytałem i tyle.

-Ale przyzna pan, że sojusznika mamy potężnego. Niemcy robią z zachodem, co chcą.

- To prawda. Ale pan też wie, panie komisarzu, z historii, że Niemcy zawsze wojny zaczynali, ale też zawsze je przegrywali.

- Nie te czasy, nie te Niemcy! A wy, Polacy, nie bardzo lubicie Niemców, co?

- Nie mamy, za co... Zawsze na Polskę napadali, zawsze na wschód ciągnęli.

- Ale teraz Niemcy ciągną na zachód. A wojska mają dobre. Wojował pan z nimi, to pan wie najlepiej, panie Daniłowicz.

Daniłowicza sparzyło: „Skąd Sawczuk wie o mojej wojaczce?” Ale spokojnie odpowiedział:

- Polska była samotna, panie komisarzu.

- Wasza burżuazja do tego doprowadziła. Chciała armia radziecka przyjść wam z pomocą? Chciała. Ale ten wasz Beck, czy jak mu tam, się nie zgodził. Towarzysz Stalin genialnie to wszystko przewidział! Zachodnia Ukraina i Białoruś wyzwolone, burżuazyjna Polska nie istnieje, sojusznika mamy potężnego i pokój jest na świecie. A wcześniej czy później i tak światowy proletariat zwycięży.

Długo w tę noc Daniłowicz nie mógł usnąć. Leżał na posłaniu ze świerkowych gałęzi, patrzył w rozgwieżdżone niebo. Dookoła przygasającego ogniska spała brygada. Nad głowami szumiała tajga, po-

hukiwały sowy, jakieś nocne ptaki popiskiwały nad rzeką. Zniknęła na noc muszka, uspokoiły się komary. Dwie sprawy kołatały mu się w myślach i zasnąć mu nie pozwalały. Skąd Sawczuk wie o jego wojowaniu? I ta czarna z najczarniejszych wieści: Francja skapitulowała? A wszyscy Polacy tak na nią liczyli. Liczyli na ten potężny zachód, że nie pozwoli zginąć Polsce, upomni się o Polaków. O nich, o syberyjskich zesłańców, wcześniej czy później się upomni. Francja skapitulowała! Skąd tu teraz czerpać choć krztynę nadziei? Noc, beznadziejna ciemna noc...

Do Usolia brygada nie dotarła. Na zakolu Pójmy widać już było wiejskie zabudowania i właśnie wtedy Sawczuk kazał Siedychowi zawrócić brygadę.

- Koniec naszego odcinka! Zrobiliśmy swoje, wracamy - ogłosił brygadier.



Nie wiodło się ostatnio Jerzemu Daniłowiczowi. Ze wszystkich plag i nieszczęść dotykających zesłańców jemu i jego rodzinie los nie oszczędził żadnego. Epidemia tyfusu zabrała mu matkę i siostrę. Krysia ledwie kilkanaście lat pożyła na tym świecie. Matka zmarła dwa tygodnie później, kiedy epidemia tyfusu już prawie wygasła. I jakby tych wszystkich nieszczęść było mało, ciężko zachorowała Natałka. Biła na nią wysoka gorączka na przemian z dojmującą zimnicą, której ataku nie mogły ukoić żadne okrycia ani gorące okłady. Po epidemii duru brzuszego roje komarów zawlokły do Kaluczego malarię. Natałka była jedną z pierwszych jej ofiar. Felczer Tartakowski aplikował chininę, ale choroba wlokła się długo. Natałka traciła siły i męczyła się dodatkowo troską o dziecko. Gorączka odebrała jej pokarm. Mały gniewnie tarł się, przygryzał zwiotczałe sutki. Dziecko płakało z głodu, matka z bezsilności i żalu. W Kaluczem nie było mleka. Felczerowi już dawno zabrakło mleka w proszku, nawet na lekarstwo. Jerzy miotał się w bezsilnej niemocy. Wracił z roboty, krzątał się koło chorej żony, próbował, czym mógł, karmić małego.

Tylko on sam wie, jak się cieszył z narodzin syna. Jaki był dumny, że mu Natałka następcę ofiarowała. Kolejne podolskie pokolenie Daniłowiczów! Dziecko było zdrowe, mocne, żywe. A teraz? Andrzejkowi szedł ósmy miesiąc i mały gasł w oczach. Głęboko wpadnięte oczy, nienaturalnie wielka głowa, a rączki i nóżki jak patyczki, wzdęty brzusek. Reagujący radośnie na widok ojca, wyciągający do niego rączki, teraz leżał, popłakując, lub patrzył obojętnie w sufit. Siorbał żarłocznie, co mu podawano, to znowu wypluwał wszystko

z płaczem. Daniłowicza nękały wyrzuty sumienia. Czemu nie przewidział w tamtą lutową noc, kiedy ich z Czerwonego Jaru wyganiano, co się dalej dzieć może? Sybiru trudno się było spodziewać, ale przecież wyraźnie mówili, że wywożą ich „w druguju obłast”. Po co się upierał, po co włókł ze sobą Natałkę, po co synka dopiero narodzonego pozwolił wlec na tułaczkę? Po jakiego czorta skomlił, mało za kolana tego Leonowa nie obejmował, żeby Natałce pozwolił razem z nim wyjechać. Gdyby została na Podolu, byłaby zdrowa. Zdrowy byłby ich synek. A teraz?

Podczas takich męczących rozmyślań Daniłowiczowi przyszedł do głowy pewien pomysł. Gdyby się powiódł, Natałka i synek mogliby się wyrwać z syberyjskiego zesłania! Postanowił, nie zwlekając, wtajemniczyć w to wszystko żonę.

- Kiedy Sawczuk przeczytał nam o kapitulacji Francji, uświadomiłem sobie jedno: jeśli na świecie nie wydarzy się coś nadzwyczajnego, no nie wiem, jakaś nowa wojna światowa, cud jakiś, to z nami koniec! Nie mamy żadnych nadziei na rychły powrót do Polski. A jeśli nawet kiedyś, to lata, dziesiątki lat mogą minąć. A może na zawsze tu zostaniemy i nasze kości pobieleją na Sybirze. - Natałka słuchała go uważnie, czasami tylko ciężko wzdychała. Poglaskał, pocałował jej włosy. - I wiesz, pomyślałem sobie, żeby nie wiem co, musimy próbować stąd się wydostać, musimy stąd uciec!

Zaskoczona uniosła się, oparła na łokciu.

- Uciec? Jak? Przecież to niemożliwe!

- Prawie niemożliwe. Ale jest też pewna szansa. I my musimy ją wykorzystać. Choćby ze względu na Andrzejka. Posłuchaj mnie uważnie, a potem razem zdecydujemy.

Kilka dni później Natałka Daniłowiczowa zgłosiła się na posłuchanie do komendanta Sawina, gdzie złożyła donos na siebie samą i na swojego męża. Przesłuchana następnie przez Sawczuka zeznała do protokołu, że z Jerzym Daniłowiczem żyje bez legalnego ślubu, nazywa się Wieliczko, jest Ukrainką i żadnej deportacji z Podola nie powinna podlegać. W transporcie i w Kaluczem znalazła się

przypadkowym zbiegiem okoliczności. Jako pełnoprawna obywatelka ZSRR, domaga się prawa powrotu na zachodnią Ukrainę, gdzie się urodziła i gdzie po dziś dzień mieszka jej najbliższa rodzina, której władza radziecka nie ruszała i nigdzie nie przesiedlała. Tu podała Sawczukowi szczegółowe personalia rodziny i jej dokładny adres.

Sawczuk protokołował po rosyjsku, ale w rozmowie z Natałką przechodził na ukraiński. Chciał się upewnić, czy przesłuchiwana władza ukraińskim. Skończył protokół, kazał się jej podpisać.

- Musimy to wszystko sprawdzić. Ale nie szkoda pani tego Daniłowicza? Żyjecie wspólnie, dziecko macie. Chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, że gdyby nawet zezwolono pani wrócić na Ukrainę, to jego stąd nie wypuszczą. Polak, spicpieresieleniec, oficer...

- Oficer? Mój mąż, to znaczy Daniłowicz, nigdy oficerem nie był.

- Mąż nie był oficerem? Broni go pani. A my i tak swoje wiemy. Rozumiem, to ojciec pani dziecka. A będzie musiał tu zostać. Może nawet na zawsze...

- Panie komisarzu, niech mnie pan nie męczy. Co mnie łączy z Daniłowiczem, to moja osobista sprawa. A prawda jest taka, że zdecydowałem się walczyć o powrót, bo mi tu dziecko ginie! Nawet kropli mleka nie mogę dla małego dostać. Niech mi pan pomoże stąd wyjechać? Błagam! A Daniłowicz jest ojcem dziecka, musi to zrozumieć. Wszyscy nam mówią, że władza radziecka jest sprawiedliwa, no to ja wierzę w jej sprawiedliwość. Niech mi pan pomoże, błagam.

- Niech pani nie płacze. Jak Rosjanie mówią: „Moskwa ślezać nie wierit"... Sprawdzimy, zobaczymy. Prawo jest prawem. To dobrze, że ma pani zaufanie do radzieckiej władzy. Niech pani spokojnie czeka. Taka decyzja nie zależy ani ode mnie, ani od komendanta Sawina. A na razie niech pani nikomu o swoich staraniach nie opowiada.

Natałka w komendanturze trzymała się wersji uzgodnionej z mężem. Plan Daniłowicza polegał z grubsza na tym, że jeśli udałoby się zwolnić Natałkę z dzieckiem z zesłania, jako bezprawnie wywiezioną, wtedy on kiedyś tam podejmie starania o powrót, a w najgorszym ra-

zie stąd ucieknie. Natałka długo nie chciała się na to zgodzić. Nie wierzyła, że się uda. Ale troska o życie jedyne dziecko zdecydowała, że zaryzykowali...

Z centrali NKWD w Tajszezie przyszedł radiogram. Jeden z jego akapitów stwierdzał krótko: „Sprawę N.W. sprawdzimy. Odpowiedź odwlekać, wykorzystać N.W. operacyjnie”. Sawin wezwał Sawczuka i pokazał mu depeszę.

-Jasne?

-Jasne, towarzyszu komendancie! Popracujemy.

- A ty myślisz, że ta Wieliczko sama ma ten pomysł wpadła?

- Wątpię, tak jak wy. Przypatruję się temu Daniłowiczowi. Gadałem z nim. Na wojnie był. Mówi, że tylko z Niemcami. A czort wie, czy nie z naszymi? Ma mir nie tylko w swoim baraku. Na polityce się zna. Do żony i dziecka jest przywiązany. Inteligentnie to wymyślił. Bo tak formalnie rzecz biorąc, to ta Wieliczko jest tu trzymana bezprawnie.

- Młody jesteś, Sawczuk. A ty wyobraź sobie na chwilę, że myją stąd wypuścimy i zjawi się ona tam, na tej zachodniej Ukrainie. No? To jak myślisz, o czym ona tam będzie ludziom opowiadała? O twoich pięknych oczach, o dobrym sercu i sprawiedliwości radzieckiej władzy? Od pierwszego zdania zacznij władzy radzieckiej na tamtym terenie szkodzić, opowiadać o tyfusie, o wszach, głodzie. Prawnie, bezprawnie... Ty lepiej, Sawczuk, jeszcze raz depeszę z centrali sobie przeczytaj i przestań mi tu pieprzyć o jakimś tam bezprawiu.

Syberyjskie lato zaskoczyło zesłańców. Nie tylko tym, że było suche, ciepłe i słoneczne. Ale przede wszystkim obfitością różnorodnych darów przyrody, które oferowała im tajga i rybne rzeki. Kiedy to wszystko wyrosło, kiedy w tak krótkim czasie dojrzeć potrafiło? Poziomki i „klubnika” przypominająca truskawki. Na trawiastych nasłonecznionych polanach dojrzewały całymi stajaniem. Na brzegach Pójmy i jej dopływów krzewiły się zarośla dzikiej porzeczki, czerwonej i czarnej. Czarną tutejsi nazywali „smorodina”. Nie brakowało malin. Ro-

sła w tajdze czarna jagoda albo jak ludzie z Czerwonego Jaru woleli ją nazywać - borówka. No i grzyby! Ludzie zbierali te dary natury, jedli gromadzili zapasy, suszyli, kisili. Zwłaszcza grzyby. Jako pierwsze pojawiły się smardze, osadzone na spróchniałych pniach brązowymi brodawkami, zaraz po nich kozaki czarniawe, białawe i te w czerwonych kapeluszach, najlepiej czujące się w podmokłych osrczynach i brzeźniakach. Następne były maślaki na porębach i w młodych so-senkach, podgrzybki „siniakami” zwane i grzyb grzybów - prawdziwek! Takich dorodnych prawdziwków jak nad Pojmą nigdy me widzieli. No i rydze.

W letniej tajdze nie brakowało innego pożywienia. Mogło go dostarczyć dzikie ptactwo, zwłaszcza nadrzeczne, i liczna zwierzyna. Od burego samotnika niedźwiedzia, wielkiego jak koń łosia „socha-teeo” jelenia po sarnę, wiewiórkę - burunduka i zająca. Były tu m-dykowate, w czas godów zapominające o Bożym świecie cietrzewie, bażanty, jarzabki, kuropatwy, dzikie gęsi i kaczki. Na wszystko wolno było polować. Nikt tu w tajdze nie znał pojęcia czasu ochronnego. Myśliwymi byli tutejsi, oni mieli broń. Co miał robić bezbronny zesłaniec, niekiedy ledwo żywy z głodu, nie mając dostępu do brom. Zesłańcy próbowali łownych sposobów dzikiego człowieka: wnyki, przygięte konary, wilcze doły nabite szpikulcami, celny rzut maczugą albo kołkiem. Szukali ptasich gniazd, podbierając z mch jajka fgołobrzuche pisklęta. Na różne sposoby próbowali łowić ryby. Pojmą była rybna nad podziw. Nie mieli sieci, niewodów, węcierzy. Wyplatali więc podrywki ze sznurków, z brzozowego i wiklinowego łyka. Pledi specjalne kosze, które przypominały ogromne gruszki i były tak chytrze skonstruowane, że ryba, która do ich wnętrza wpłynęła, wydostać się stamtąd nie mogła. Wyszukiwano odpowiednie miejsce, wbijano kołek w dno rzeki, do którego przywiązywano kosz, i zostawiano go na noc.

Lato, dary przyrody, ciepło i słońce odżywiło ludzi. Nawet dochodiagi jeśli przetrwali zimę, nabierali sił. Wietrzyły się zatechłe, zapluskwione baraki. Mimo dokuczliwej plagi komarów i muszek,

ludzie rozłazili się po okolicznej tajdze w poszukiwaniu leśnego runa i zwierzyny.

Komendantura nie mogła wiele na to poradzić. Ograniczała się do tego, że przy każdej okazji uprzedzano zesłańców o karach, jakie im grożą w razie próby ucieczki bądź wypraw do okolicznych osad. Ucieczki z Kaluczego jeszcze nie było. Ale kontaktów z miejscowymi nie brakowało. Głównie wymiennie-handlowych. Co odważniejsi zesłańcy, zwłaszcza młodzi, coraz częściej docierali do wiosek, gdzie wymieniali odzież na żywność. W lecie również miejscowi podchodzili do Kaluczego, najczęściej myśliwi. Ale nie tylko. Zdarzyło się kilka razy, że zesłańcy spotykali w tajdze skazańców z okolicznych obozów karnych, których w dorzeczu Pójmy i Birusy nie brakowało. Ci niczego do wymiany nie oferowali. Byli to groźni, zdesperowani kryminaliści w trakcie ucieczki albo wychodzący na łów, rabunek i kobiety. Krążyli wokół Kaluczego, czatowali, węszyli okazję.

Któregoś dnia z roboty w tajdze nie wróciła Sroczyńska z trzeciego baraku. Brygada dawno się rozeszła, ściemniło się, a jej wciąż nie było. Kobieta w średnim wieku, matka dzieciom, nie jakaś tam latawica. Mąż chodził po ludziach z brygady, rozpytywał. Wszyscy dziwili się, że jej jeszcze nie ma. W ciągu dnia wszystko było normalnie, zwyczajnie. Po robocie Sroczyńska wracała razem ze wszystkimi. I jak wszyscy po drodze przez tajgę do baraków, podbierała do zapaski, co się trafiło: grzyba z mchu wyłuskała, garść borówek omsknę-la... Jedynie wówczas mogła się oddalić albo pozostać na chwilę z tyłu. Nikt nie pamiętał, czy razem z brygadą na osiedle wróciła. Może zabłądziła? Tajga przecież! Noc minęła na trwodze. Rano o zaginięciu Sroczyńskiej brygadzista zawiadomił komendanturę.

Sawczuk dosiadł konia, pojechał na miejsce, gdzie wczoraj brygada pracowała, zebrał ludzi w tyralierę i krok po kroku przeszukiwali miejsca, gdzie Sroczyńska mogła się zagubić.

Znaleźli ją po paru godzinach poszukiwania, niedaleko od ścieżki, którą wczoraj brygada wracała. Na ślad naprowadziły ludzi rozsypane grzyby, podeptane czarne jagody i maliny. Na krzaku zacementowana chu-

stka, kilkanaście kroków dalej zdeptany półbut, a jeszcze parę metrów dalej, w głębokim parowie, leżała zamordowana Sroczyńska. Była obnażona i zgwałcona. Broniła się widać rozpaczliwie, wszystko dookoła było zdeptane, a nieboszczka trzymała w garści kępkę włosów. Sawczuk obejrzał wszystko dokładnie, kazał przykryć ciało; zabrać je do komendantury. Z paroma ludźmi poszedł po śladach. Prowadziły parowem ku brzegom Pójmy i tam, wyraźne na piasku, urywały się w wodzie. Wyglądało na to, że bandyci przeprawili się na drugi brzeg albo czymś popłynęli w dół rzeki. Ślady wskazywały, że było ich co najmniej dwóch. Już wracając do miejsca zdarzenia, znaleźli na sęku kawałek szarej płóciennej kapoty.

Komendant Sawin wysłuchał Sawczuka uważnie, obejrzał skrawek znalezionej kapoty.

- Taki materiał to tylko z ubrania więźnia. Zaraz połączcie się z Tajszetem, oni będą wiedzieli, czy ktoś nie uciekł i nie błąka się po okolicy. Ruszamy w pościg, Sawczuk!

- Tak jest, komendancie!

- Ale sam nic nie zrobisz, nie znasz terenu, w bagnach utoniesz. Odszukaj natychmiast Siedycha, niech on przyprowadzi do mnie dziadka Fiedosieja z psami.

- A kto to ten Fiedosiej?

- Siedych ci powie, a teraz każdej chwili szkoda, ruszaj!...

Prawie w każdą niedzielę Paszka Siedych wstawał trochę później, brał strzelbę i wyruszał w tajgę. Nie miał co robić w Kaluczem. Nie chciało mu się bez przerwy grać w karty, pić wódkę, gzić się z łatwymi babami, drzeć gardło i tupać w prysiadach pod harmonię, jak to robiła w wolnym czasie większość funkcyjnych. Brodził sobie Paszka po tajdze, żeby trochę polować, bo instynkt łowny człowieka tajgi nigdy go nie opuszczał, no i żeby sam na sam pobyć z przyrodą. Innego świata poza tajgą nie znał. Dopiero od niedawna, kiedy los zetknął go z Polakami, Pasza Siedych poznawał innych ludzi, przybyłych z innego, nieznanego mu świata. Słuchając ich opowieści,

zaczął się nad tym innym światem, gdzieś tam hen daleko istniejącym, zastanawiać. I dziwić. A tych Polaków, choć ich nie bardzo rozumiał, było mu żal. Żal, bo w tym jego syberyjskim świecie, takim zwyczajnym i pięknym, Polacy czuli się od początku zagubieni i bezradni. Bali się zimy, tajgi, wszystkiego. Dziwił się temu. Starał się ich zrozumieć. Uczył tutejszego życia, gdzie mógł, pomagał. Jednego tylko nikt nie umiał mu wydumaczyć: kto, dlaczego i po co tych Polaków wyrwał z ich ziemi? To, co na temat Polaków komendant Sawin na odprawach opowiadał, że to burżuje, kułacy i kontra, Siedycha nie przekonało. No bo niby co wspólnego z kontrą mają te biedne dzieciaki? Albo te stare babki, dziadkowie, kobiety? Choćby taka Sylwia Krakowska. Paszka coraz częściej myślał o tej dziewczynie. Podobała mu się ta drobna, nieśmiała Polka. Nie brakowało w Kaluczem ładnych dziewcząt, i śmielszych, i weselszych, skorych do żartów i umizgów. Ale jemu podobała się ona i tylko ona! Lubił na nią patrzeć, podglądać w pracy, jak w czasie przerwy odpoczywa, jak interesuje ją każdy nieznany kwiatek, stukający w drzewo dzięcioł, przeskakujący z konara na konar pęgowaty burunduk, kryjąca się w wysokiej trawie, wypłoszona walącym się drzewem sarenka. Sylwia! Co to za imię? Nie nasze. Ale ładne.

„Co za dureń z siebie, Pasza, z takimi myślami się płaczesz: Sylwia, Sylwia, a ty jeszcze sam na sam z Sylwią nie pogadałeś, ręki jej nie dotknąłeś. Skąd wiesz, czy chciałaby z tobą gadać. Polka ona, pani. A ty kto taki? Boi się pewnie siebie, brygadiera, niedźwiedzia syberyjskiego. I nawet nie domyśla się, co ty do niej czujesz, co sobie o niej w głowie pleciesz”.

Zasłuchany we własne myśli, Siedych zorientował się nagle, że od Kaluczego oddalił się sporo. Stał na skłonie wysokiego wzniesienia porośniętego sosnowym borem. Zorientował się, że niedaleko mu stąd do sadyby dziadka Fiedosieja. „Chyba zajrzę do starego po drodze”.

Fiedosiej, o nazwisko Paszka nigdy się go nie dopytywał, był myśliwym. Żył z tego, co upolował i sprzedał w Szytkino albo w Kańsku. Polował na kuny, drogie sobole, rzadziej na wiewiórki i burunduki.



Wyprawiał skórki, mięso rzucał psom. W lecie polował rzadko, byle wyżywić siebie i sforę łajek, psów łowczych i dzielnych. Mieszkał w wiekowej izbuszce, ukrytej w gąszczu tajgi. W lecie dziadek Fiedosiej zbierał lecznicze zioła i zajmował się pszczelarstwem. Paszka nie tylko nie znał nazwiska myśliwego, ale nie wiedział, skąd pochodzi i dlaczego zaszył się na tym odludziu. A siwowłósy, o patriarchalnym wyglądzie dziadek nie śpieszył się o sobie opowiadać. Unikał ludzi, ile mógł. Siedych znał zwyczaje tajgi na tyle, że Fiedosieja nigdy o nic nie pytał. Żyje sobie w tajdze człowiek, niech sobie żyje. Władze o Fiedosieju wiedziały, ale też go nie ruszały.

Siedych natknął się na Fiedosieja w trakcie łazęgi po tajdze. Było to zeszłej wiosny, kiedy podchodził tokujące cietrzewie. Wściekł się Paszka, bo spłoszył mu je ujadający gwałtownie pies. Skąd tu pies? Paszka przysłonił się ze strzelbą za drzewem nie w obawie przed łajką, lecz przed jej właścicielem, którego spodziewał się lada moment zobaczyć. Kiedy ujrzał siwego starca, od razu wiedział, że to nie żaden brodiaga, tylko myśliwy. Paszka wyszedł zza drzewa ze strzelbą przewieszoną przez ramię. Myśliwy zrobił to samo i przywołał psa do nogi. To był właśnie Fiedosiej.

- Od Kaluczego lizę i nic! - Pokazał Paszka pusty pas, bez zdobyczy. - A cietrzew w tym roku tokuje, że hej! - Stary zwinął skręta, odstraszył dymem muszkę i milczał. „Niemowa czy jaka cholera?” Paszka nie rezygnował z nawiązania rozmowy:

- U nas, nad Bajkałem, wiosna trochę później przychodzi, to i cietrzew trochę później zaczyna zaloty. Jak to jest? Niby taki chytry ptak i mądry, a jak gody zaczyna, to całkiem głupiej?

Dziadek spojrział na Paskę uważniej, uśmiechnął się, zaciągnął dymem, niedopałek dokładnie roztarł na dłoni, zdmuchnął popiół, wstał i bez słowa odszedł. A Siedych chwilę jeszcze stał w miejscu i prawdę mówiąc, czuł się po prostu głupio. Parę razy jeszcze Paszka spotykał w tajdze Fiedosieja, nim ten odezwał się do niego. A jeszcze dłużej trwało, nim zaprosił go do swojej samotni i brażką z miodu poczęstował.

Pod koniec zimy przywieziono do Kaluczego Polaków. Dziwił się tym ludziom Paszka, kiedy staremu o Polakach opowiadał. A Fiedosiej się nie dziwił. Zawarł całą swoją sentencję w paru słowach:

- Każdy człowiek - stwór boży! Polaki, Polaki, Polaki! - Położył na stole plastry z miodem i głośno przeżegnał się przed malutkim świętym obrazkiem: - Gospodi Boże, błogosławi raba Bożia Pawła i mienia gresznego raba twoja Fiedosieja. Amen.

Paszkę ani święty obrazek, ani dziadkowa modlitwa nie dziwiły, bo dobrze pamiętał, jak modliła się jego babka. Odłamał kawałek plastra.

- Polacy też się modlą. Ale żegnają się inaczej, nie po naszymu.

- Bóg, Pasza, jest jeden!

- A skąd niby wiadomo, że on jest, ten Bóg? Polacy na ten przykład modlą się i modlą, a umierają jak muchy. Gdyby ten Bóg był...

Stary się rozgniewał.

- Nie bluźnij, Paszka! Boga nie gniewaj. Przyjdzie czas, sam wszystko zrozumiesz. Nim od Boga zaczniesz wymagać, od ludzi zacznij, sobie samemu się przypatrz.

Tropicieli było pięciu: Sawczuk, Siedych, dwóch młodych żołnierzy, z których jeden prowadził dwa juczne konie, oraz dziadek Fiedosiej. Były też dwie dziadkowe łajki, które, raz złapawszy ślad, już go nie puszczały.

- Na dzikiego zwierza poluję, a nie na człowieka! - zdenerwował się stary, kiedy Siedych w imieniu komendanta przyszedł prosić go o pomoc w tropieniu zbiegów.

- Gorszi są od dzikiego zwierza! Matkę dzieciom z zimną krwią zamordowali. Trójka sierot została.

- Na litość mnie nie bierz? A skąd taka pewność, że to oni? Ten twój komendant różnych ludzi po tajdze ściga.

- Taki on mój, jak i wasz. Ale tym razem ściga tych, co trzeba. Ja bym ich sam, o tymi rękami!

- Opamiętaj się, Paszka. Nigdy nie wyręczaj Pana Boga.

Depesza z Tajszetu informowała, że z karnego obozu w Solance uciekło dwóch groźnych recydywistów, karanych za grabieże i morderstwa: Nosów i Głybin. Zabili strażnika, zabrali mu karabin. Zdecydowani na wszystko, pochodzą z centralnej Rosji i będą chcieli dostać się do linii kolejowej. Podawano też ich rysopisy.

Fiedosiej zaczął tropienie od brzegu Pójmy. Tam były ślady najwyraźniejsze. I to nie tylko ludzkich stóp, lecz także nadłamanych krzaków i gałęzi. Przywołał psy i dał im do powąchania kawałek kapoty znaleziony na miejscu morderstwa. Wąchały zawzięcie, odpychały się wzajemnie, poszczekiwały, snuły nosami po śladach, popatrywały na swego pana, sygnalizując mu swoją gotowość.

- Szukać, Kroszka, szukać! Poszli, miłyje!

Psy ruszyły! Kroszka, czarno-biała suczka, tropiła pierwsza i pewnie prowadziła po śladach. Asekurował ją brudnoszary Pik, omiatający zygzakami wszelkie odskoki. Ludzie z trudem za nimi podążali. Ślady prowadziły w górę rzeki, w niewielkiej odległości od brzegu. Zbiegowie widocznie bali się zabłądzić w tajdze, woleli trzymać się rzeki, która mogła ich zaprowadzić aż do Tajszetu. Psy tropiły wytrwale i zatrzymały się dopiero na brzegu dopływu wpadającego do Pójmy. Była to sporej szerokości rzeczka, głęboka, z mętными wirami. Nie było sposobu przepłynąć się przez nią z marszu, trzeba było robić tratwę albo iść w górę z nadzieją znalezienia brodu. Siady wskazywały, że tropieni zdecydowali się na to ostatnie i poszli w górę rzeczki. Rzeczka zwała się Błotna. Po obydwu jej brzegach kilometrami ciągnęły się porośnięte chaszczami błotne topiele. Psy ziajały ze zmęczenia, ślepiły od muszki wyżerającej im oczy, ale posłuszne łownemu instynktowi - wciąż szły po śladach. Zbliżało się południe, na błotach było parno i upalnie. Fiedosiej uznał, że trzeba dać psom odpocząć, a przy okazji się naradzić. Zatrzymał psy, powycierał im zakrwawione, oblepione muszką ślepią, rzucił po kawałku suszonego łośniego mięsa. Juczne konie oganiały się ogonami, tarły łby o drzewa, ciągnęły do wody. Ludzie przysiedli w cieniu. Milczeli. Czekali, co powie Fiedosiej. Odezwał się po dłuższej chwili.

- Późno to wszystko. Trzeci dzień idzie. Coś mi się zdaje, że oni tych miejsc nie znają. Nie powinni tędy iść. Nie ma tu żadnej drogi. Idą w górę Błotnej, a tam nieprzebyte moczary, przez które tylko ptak przeleci. A oni idą. No to my za nimi. Ale konie musimy tu zostawić, dalej nie da rady.

Szli w górę Błotnej ostrożniej, z bronią gotową do strzału. Z każdym kilometrem zagłębiali się w coraz bardziej ponurą, porośłą cherlawymi krzewami błotnistą równinę. Mimo słonecznego dnia robiło się mroczno od gęstych chmur atakujących ich muszek. A Błotna wciąż nie miała miejsca zdatnego do przeprawy. Trafiali na ślady, gdzie zbiegowie odpoczywali lub usiłowali szukać brodu. Psy prowadziły w górę rzeki. Tak było aż do miejsca, gdzie zaczęła się grząska topiel, a przeprawy na drugi brzeg nadal nie było. Tutaj psy zaczęły gubić trop, nerwowo popiskiwały i niepewne swego biegały do brzegu, dopadały wody, to znowu rwały się w stronę bagien. Fiedosiej długo i starannie wypatrywał śladów. Niepewny rozłożył ręce.

- Albo się tu przeprawili, albo w bagna poleźli. Ślady są tu i tu. Dlatego psy nie są pewne swego. Trzeba na tamtym brzegu sprawdzić.

Siedych zrzucił ubranie i popłynął. Kroszka na rozkaz Fiedosieja popłynęła za nim. Przy wyjściu z wody była dostatecznie szeroka warstwa namułu, żeby ludzkie ślady wyraźnie się odbiły. Śladów nie było. Pies też niczego nie zwęszył. Wniosek mógł być jeden: złoczyńcy wybrali drogę przez bagna. Ściemniało się. Tropiciele zatrzymali się na noc.

Skoro świt weszli na bagna we trójkę: Fiedosiej, Sawczuk i Siedych. Skakali z chwiejącej się kępy na kępę, przedzierali przez omszałe krzaki. Psy z coraz większym trudem odnajdywały ślad, taplały się w wysokiej podmokłej trawie, uginały na zielonym, pokrywającym bezdenną topiel korzennym pokryciu. Łatwo było poznać, że zbiegowie niepewni drogi kluczyli, macali topiel tyczką. Nad czarnym oczkiem jednej z takich topieli Fiedosiej przystanął.

- Dotąd szli we dwójkę, dalej poszedł tylko jeden. Drugi...

- Utonął?

Fiedosiej tknął długą tyką w brunatnozieloną topiel. Tyczka wchodziła w bezdno, topiel złowieszczo bulgotała, wydmuchiwała wielkie powietrzne bańki. Czarne błoto śmierdziało stęchlizną.

- Obsunął się z tej kępy. Musiało go wessać. - Psy zawzięcie ujadają nad topielą. Fiedosiej z trudem je uspokoił. - One to czują... Ale ten drugi poszedł dalej, ku własnej śmierci zmierza.

- No i krzyż mu na drogę! - Siedych splunął muszką i wytarł spoconą twarz.

Sawczuk, nie wiedząc, co postanowić, głośno rozmyślał:

- A jeśli nie utonął? A jeśli to on ma karabin, przedrze się do ludzi i takiego może jeszcze narobić bigosu, że hej!

- Ale z ciebie człowiek! - Siedych splunął jeszcze raz w topiel, podparł się tyczką i przeskoczył na koczke z wyraźnymi śladami. Sawczuk skoczył za nim. A potem Fiedosiej z psami.

Nie uszli daleko. Zaszczekały psy. Przystanęli. Sawczuk odbezpieczył karabin. Na kilkadziesiąt kroków przed nimi widniała topiel pokryta zielonym trawiastym kobiercem. Kto nie znalazł tych miejsc, mógł ją pomylić z łąką. Nad tą zielenią kłębiły się gęste roje muszek. Zbliżywszy się po koczках, zobaczyli na środku łączki człowieka. Z karabinem przewieszonym przez plecy, wciągnięty w topiel po pachy, wisiał wsparty ramionami na długiej, w poprzek rzuconej tyczce. To ona utrzymała go na powierzchni bezdennej topieli. Człowiek nie żył. Muszki czyściły mu kości. Wystrzyżona do skóry głowa straszyla pustymi oczodołami. Trupi odór mieszał się z bagiennym smrodem topieli.

Komendant Sawin zwołał ludzi przed komendanturę. Trzymał w ręku oblepiony suchym błotem karabin. Obok niego stali Sawczuk, Siedych i Fiedosiej ze swoimi psami. Nie zdążyli odpocząć ani nawet oczyścić się z zeschniętego błota. Staszek Dolina szarpnął ojca za rękaw.

- Tato, to ten siwy dziadek z brodą, co nam wtedy na cmentarzu przy krzyżu pomagał!

Sawin uniósł karabin do góry. Ludzie przycichli.

- Widzicie ten karabin? Widzicie... No to chcę wam powiedzieć, że ci, którzy zamordowali obywatelkę Sroczyńską, byli w ten karabin uzbrojeni. To jest ich karabin. Karabin jest, a morderców już nie ma. Nie żyją! Ci ludzie, którzy stoją tu obok mnie, ich wytropili. I ten karabin przynieśli. A mordercy jak podle żyli, tak podle skończyli. Dwóch ich było. Skazani za morderstwa, uciekli z obozu, zabili strażnika. A tu u nas zamordowali Sroczyńską. Myśleli, że im się to wszystko uda, że uciekną, bo tajga bezkresna, że minie ich zasłużona kara radzieckiej sprawiedliwości. Tajga, nie tajga! Każdego zbrodniarza, każdego przestępcę, każdego uciekiniera spod ziemi wygrzebiemy. Przed władzą radziecką i przed jej karzącą ręką - nie ma ucieczki!... To właśnie chciałam wam ogłosić. I jeszcze jedno, grażdanie Polaki. Mówiłem wam, że po tajdze różni chodzą. Nie miejcie do nikogo zaufania, bo mogą być takie same nieszczęścia jak ze Sroczyńską. I natychmiast meldujcie do komendantury. Do władzy radzieckiej trzeba mieć zaufanie. A teraz do roboty. No i o normie pamiętajcie, bo coś ostatnio u nas z tym nie za bardzo...

Sylwia była na placu przed komendanturą, wszystko widziała i słyszała. A potem szła z brygadą do roboty i słuchała, co ludzie mówili. I nie wiedzieć czemu nie chciało jej się wierzyć, wyobrazić sobie nie mogła, żeby Paszka, żeby ich brygadier mógł zabić człowieka.

Sylwia żyła w swoim świecie. Zagubiona, przerażona tym, co się z nią działo. Utrata rodzinnego domu, Sybir. Słaba fizycznie, drobna, nie radziła sobie w tajdze. Na tyfus zmarł ojciec i starszy brat. Sama cudem z choroby ocalała. Została tylko z matką. Od wyjazdu z Czerwonego Jaru śniła jakiś koszmarny sen. A jeszcze tak niedawno wszystko było inaczej. Uczyła się w Tłustem u pani Serafiriskiej na krawczynię. Julek, brat, miał zostać na gospodarce. Oprócz niej były w terminie jeszcze trzy dziewczyny. Plotkowały, chichotały, opowiadały o swoich przygodach z chłopakami. Sylwia nagabywana rumieniała się, spuszczała powieki. Nie miała o czym opowiadać, przecież ona nawet z chłopakiem jeszcze się nie pocałowała! Nawet

nie zatańczyła. Nie zdążyła Sylwia poznać swego dziewczęcego ciała, nie zaznała prawdziwej miłości. Gdzie w tym strasznym świecie czas i okazja na dziewczęce marzenia, na czystą i prawdziwą miłość?

Honorka Unicka pierwsza zwróciła uwagę Sylwii na Paskę Siedy-cha. Któregoś wieczoru wróciła Honorka z pracy, przysiadła się do chorej Sylwii i położyła obok połówkę chleba i trochę cukru.

- Dzieciom zostaw, Honorciu, coś ty!

- Dla dzieci też mam. A to specjalnie dla ciebie, prezent. I tylko sobie nie myśl, że to ode mnie.

- A od kogo niby?

- Nie zgadniesz... Od naszego brygadiera, od Paski Siedycha!

- Od brygadiera?! A z jakiej to okazji?

- Oj głupiaś ty, głupia! Podobasz mu się, dziewczyno, to ci przysłał. Nie wiesz, jak to jest z chłopami? Pytał o zdrowie, pozdrowienia przekazywał.

Kiedy po chorobie poszła z brygadą do pracy, nie wiedziała, jak się zachować. Na widok Paski spuszczała wzrok, speszona czuła rumieńce na twarzy. I nawet mu, jak wypadało, nie podziękowała. Brygadzista się nie narzucał, choć wiedziała, że nie jest mu obojętna, ogląda się za nią i pomaga, gdzie może. Od tamtej pory zaczęło się z Sylwią dzieć coś dziwnego: coraz częściej Paska Siedych gościł w jej myślach. Nie jako brygadzista, tylko jako mężczyzna: blondowłosy, zielonooki, wysoki, trochę misiowaty, ale zgrabny i silny. Taki spokojny. Dobry.

Którejś niedzieli wybrali się na grzyby. Było parę osób z baraku. Grzybów nazbierali sporo. Usiedli na polanie odpocząć. Zauważyli wychodzącego z tajgi Siedycha.

- Do nas, do nas, panie brygadzisto! To widzę, że i pan grzyby zbiera? - Przywołała go, żartując, Honorka.

Siedych podszedł, odpiął jarzabki od pasa i rzucił je obok ogniska.

- Polowałem trochę.

- Biedne ptaszki! - Sylwia pogłaskała szaropióre skrzydełko.

- Riabczyki. Dużo ich tu - usprawiedliwiał się Paska.

- Takie jak nasze kuropatwy - ktoś mędrkował.

- Głupiś! Riabczyki to po naszymu będą jarzabki. A ty - kuropatwy! Mężczyźni zaczęli się sprzeczać. Honorka Unicka przesunęła się nieco i wskazała miejsce między sobą i Sylwią.

- Jarzabki czy kuropatwy? Wsio rawno! Niech pan tu przysiądzie z nami, brygadzisto, odpocznie. - I wyraźnie mrugnęła do niego. Paszka speszył się nieco, ociągał.

- Proszę, niech pan z nami usiądzie, nie gryziemy.

Siedzieli blisko siebie. Pokazywał jej upolowane jarzabki, coś tam tłumaczył. Był taki przy niej ogromny. Pachniał żywicą i wiatrem. Sylwii było z nim dobrze. Piekli maślaki i czerwone rydze. Paszka pobiegł nad Pojmę, skąd wrócił z wypatroszonymi, podzielonymi na porcje ptasimi tuszkami. Piekł je w popiele, częstował wszystkich po kolei.

- Proszu, pani... - Starał się to powiedzieć po polsku, podając Sylwii pachnące ptasie udko.

Siedych, tak jak wszyscy funkcyjni ludzie komendanta w Kalu-czem, miał srogi zakaz wszelkich pozasłużbowych kontaktów z zesłańcami. Życie sprawiło inaczej, a z biegiem czasu mało kto tego zakazu przestrzegał. Baczone tylko, żeby nie rzucało się to w oczy. Ale oficjalnie takiego zakazu nie cofnięto. Komendant za takie prywatne poufałości z polskimi zesłańcami co jakiś czas karnie swoich ludzi z Kaluczego odsyłał. A jeden z nich, niejaki Karawajew, magazynier, trafił nawet pod sąd i do łagru. Miał kochankę z piątego baraku, podkradał żywność i wymieniał z Polakami na zegarki.

Również ludzie z baraków podejrzliwie przyglądali się swoim ziomkom, którzy częściej, niż wynikało to ze służbowych zależności, kontaktowali się z komendanturą i nadzorem. Przymykano oko na wzajemny handel, zdobywanie żywności. Podejrzliwość wzrastała, jeśli ktoś za często kręcił się w okolicach komendantury, dostawał dodatkowe upoważnienie na zakupy w sklepiku czy dodatkową porcję zupy w stołówce. Ludzie nie mieli wątpliwości, że to donosiciel, a w każdym razie lizus, komendancki przydupas. Na kogo padło ta-



kie posądzenie, ten nie miał łatwego życia. A kobiety romansujące z nadzorującymi delikatniejszego określenia niż „kurwa” nie mogły oczekiwać. W rzeczywiste motywy takich romansów nie wniano. Jak to się zaczęło od potępionego przez wszystkich związku Ireny Puc z Barabanowem, tak już zostało.

Sylwia miała tego pełną świadomość. Wiedząc o tym wszystkim, w naiwności swojej sądziła świat według siebie i była przekonana, że liczy się tylko jej uczciwość i czyste uczucie.

Okazje sprzyjają zakochanym pod warunkiem, że ci ich szukają. Niedzielnym przedpołudniem wybrała się Sylwia nad Pojmę nabierać szczawiu. Mniej więcej w tym samym czasie Paszka skoczył do łodzi, dał się nieść prądowi i podbierakiem próbował łowić ryby. Sylwia z daleka dostrzegła łódkę, poznała Paskę i podeszła bliżej wody. Paszka wytrząsnął z podbieraka rybią drobnicę, skierował łódź do brzegu i spytał:

- Pani Sylwio, nie boi się pani sama tak daleko odchodzić?

-Jakie tam znów daleko! A zresztą, przecież pan tu jest...

Dzień był ciepły. Wietrzyk ciągnący od rzeki odganiał natrętne owady. To była okazja, jaką sobie oboje wymarzyli, na którą czekali. To nic, że często jeszcze słów im brakowało. Podczas tego pierwszego sam na sam Sylwia z Paską powiedzieli sobie wiele. Na tym spotkaniu stało się tak, że to właśnie Sylwia odważyła się nieśmiałym pocałunkiem musnąć jego policzek, po czym jak spłoszona sarna uciekła do baraku.

Synek Daniłowiczów marniał w oczach. Nadzieje na to, że władze pozwolą Natałce z dzieckiem wrócić na Podole, okazywały się coraz bardziej złudne. Jerzy Danilowicz dawno to zrozumiał i przeklinał swój niefortunny pomysł. Po zgłoszeniu się Natałki do komendantury, zamiast nadziei i pomocy, spotykały ich same kłopoty i przykrości. Na własne życzenie wpadli w łapy NKWD. Nie było tygodnia, żeby Natałki albo Jerzego nie wzywano do komendantury. Przed ludźmi tego ukryć się nie dało. Zaczęły się plotki, szept, krzywe uśmiechy, głupie pytania i uszczypliwe przymówki. Daniłowicz stał

się kłębkami poszarpanych nerwów. Natałka cierpiała w dwójnasób, bo jej synek był coraz słabszy. Felczer Tartakowski prawie nie dawał nadziei.

- To dziecko trzeba karmić, a nie leczyć.

Daniłowicz nie wytrzymał. Sobotnim wieczorem wymknął się z baraku i poszedł do Usolia. Zabrał na wymianę, co się dało, chciał dla małego coś zdobyć do jedzenia.

- Gdyby co, powiedz, że na ryby poszedłem. Najpóźniej w poniedziałek rano wrócę - uspokajał żonę.

Natałka wróciła do małego. Andrzejek leżał cichutko, nawet nie popłakiwał. Całowała jego pergaminowożółtawą buzię, paluszki łamliwe jak słomka. „Boże, Boże, czego ja bym dla ciebie, ptaszeczka ty moja, jagódka kochana, synku mij rodnyj, ne zrobiła, szczob ty meni zdrowyj buw!” Kiedy rozmawiała tylko ze sobą, głośno myślała, plątały jej się słowa ukraińskie z polskimi.

"Tonący brzytwy się chwyta". Raz posiana wątpliwość, rozbudzona iskierka nadziei nie dają człowiekowi spokoju. Z początku za nic nie mogła się pogodzić z pomysłem Jerzego, żeby podjąć starania o powrót na Podole. Obruszyła się, kiedy przypomniał jej ukraińskość. Tłumaczył jak dziecku: Polaków wywieziono na Syberię, bo byli Polakami. Ukraińców nie wywożono. Więc chyba rzeczywiście jako Ukrainka ma prawo wrócić! Wrócić razem z małym! Potem, da Bóg, Jurek też znajdzie na to jakiś sposób. Boże! Co by to było, gdyby tak znaleźć się nagle w Kasperowcach! Wrzesień! Melony, kawony, winogrona, morele, brzoskwinie, gruszki, jabłka! Odżył, wyzdrowiałby mój Andrijko... Mama, kochana mama, ta dopiero wnukiem by się ucieszyła. Ojciec? No właśnie, co z ojcem? Przecież przeklął ją, wyrzekł się wyrodnej, która z domu uciekła, Lachowi dziecko urodziła. Nawet na jej list nie raczyli odpowiedzieć.

Nie przyznała się mężowi, że jeszcze na wiosnę wysłała do rodziców list z Kaluczego. Bała się, że dumny Jerzy, odrzucony przez jej ojca, nie będzie z tego zadowolony. A namówił ją do wysłania listu Bukowski, w którego brygadzie pracowała. Bukowski był Ukrairicem

spod Żytomierza. Na Syberię trafił, przesiedlony w trzydziestym siódmym roku.

Natałka obciosywała sosnowy kłoc i pod nosem nuciała po ukraińsku, co jej akurat ślina na język przyniosła: „Oj na stawi, na stawku dwi wutki w riadoczku”... Bukowski podszedł niezauważony, dośpiewał: „To se mad doczekała, szczo doczka w winoczku”..., i spytał:

- Ukrainka?

- A czy to takie ważne?

- Ważne, nieważne, ale wstydzic się też nie ma czego. Na przykład ja się nie wstydzę, że jestem Ukraińcem.

- Nie powiedziałam, że się wstydzę.

Nie było pośpiechu, nikt im akurat nie przeszkadzał i tak od słowa do słowa pogadali sobie o życiu. I chyba czort ją jakiś podkusił, że mu o swojej rodzinie opowiedziała i o tym jak ona, Ukrainka, znalazła się razem z Polakami na Syberii. Bukowski niczemu specjalnie się nie dziwił. Od tamtego dnia, jeśli tylko nadarzyła się okazja, Bukowski na osobności zagadywał do Natałki po ukraińsku. Rychło też zrozumiała, że nie o rozmowę mu chodzi. Bukowski coraz natrętniej zaczął się do niej zalecać. Któregoś dnia wykorzystał okazję, dopadł ją na uboczu, przycisnął do drzewa i usiłował pocałować. Wyrwała się i bez słowa strzeliła go w twarz. Nie pogniewał się. Obrócił wszystko w żart. Ale od tamtej pory dał jej spokój. Kiedyś znowu zaczepił Natałkę. Nastroszyła się, przygotowana do obrony.

- Ot, Kozaczka! Nawet do niej nie podchodź, bo nie spyta po co, tylko najpierw ślepia ci wydrapie!

- A żeby pan wiedział.

- Szkoda, wielka szkoda, bo para mogłaby z nas być, że ho, ho! Ale żarty na bok, Kozaczka, jutro do żony, do Tajsztetu jadę.

- Dobrze, że sobie pan o żonie przypomniał.

- Nie bądź złośliwa, boja taki nie jestem. Urazy żadnej nie chowam. Lepiej napisz dwa słowa do matki, niech wie, że żyjesz. Wezmę list do Tajsztetu i do skrzynki wrzucę. To ci chciałem powiedzieć.

- Nie wolno nam pisać.

- Chyba nikomu się nie wygadasz?
- A jak nas złapią?
- Nie bój się, już moja w tym głowa.

Dała się skusić tej niespodziewanej okazji. W tajemnicy przed mężem skreśliła parę zdań do matki, zaadresowała i oddała list Bukowskiemu. Po powrocie z Tajsztetu potwierdził, że list do skrzynki wrzucił. Więcej do tej sprawy nie wracali. Mijał czas, odpowiedzi na list nie było. Może komendantura ją zatrzymała? A może nie chcieli odpisać?

Jeszcze jedną sprawę Natałka przed mężem zataiła. Znacznie od tej z listem poważniejszą. Niedawną, która dręczyła jej sumienie, nie dawała ani chwili spokoju. Co gorsza, nie wiedziała, jak się z niej wywikłać.

Zastępca komendanta wzywał Natałkę często i każdą rozmowę zaczynał od tego, że co prawda zezwolenia na jej powrót na Podole jeszcze nie ma, ale trzeba mieć nadzieję i cierpliwie czekać. Właśnie z tą sprawą ma jeszcze do wyjaśnienia z Natałką to i owo. Rychło się zorientowała, że Sawczuka najbardziej interesuje wojenna przeszłość męża. Przepytywał ją też dokładnie o ludzi z baraku. Interesowało go, co ludzie mówią, jak się na swoją przyszłość zapatrują, co sądzą o ZSRR i radzieckiej władzy. Zaczął ją też wypytywać o sprawę Korczyńskiego.

- Ten Korczyński i tych dwoje, no ta Żydówka i ten student, którzy dzieci uczyli i antyradziecką działalność uprawiali, w pani baraku mieszkali?

Natałka uniosła głowę, jakby zbudziła się z chwilowego odrętwienia.

- Teraz dopiero zrozumiałam, do czego pan zmierza! To co? Donosicielkę, szpicla chce pan sobie ze mnie zrobić?

Sawczuk uśmiechnął się krzywo i sięgnął po papierosa, zapalił, wypuścił dym pod sufit.

- Pani Natałko! Czemu tak ostro? Czemu od razu tak nieładnie pani o mnie i o sobie myśli? Zaraz jakiś tam donosiciel, szpicel?

A może to się po prostu nazywa lojalność radzieckiego obywatela wobec swojej radzieckiej władzy? Rozumie mnie pani? No to odpowiedzmy sobie na parę podstawowych pytań: jest pani obywatelką radziecką?

- Niby jestem, ale...

- Chwileczkę. Chce pani wrócić z synkiem na wyzwoloną spod pańskiego, polskiego ucisku, radziecką Ukrainę?

- No tak. Oczywiście, że chcę.

- No, widzi pani. Jest pani radziecką obywatelką narodowości ukraińskiej, chce pani wracać na radziecką Ukrainę, tak?

-Tak.

- A skoro tak, to niech się pani nie dziwi władzy radzieckiej, że chce mieć pewność, iż Ukrainka, obywatelka Natalia Mykołowna Wieliczko, jest tej władzy wierna, że ją popiera i że w razie potrzeby będzie zwalczała jej wrogów! Myślę, że jasno to pani wyłożyłem? A pani mi tu o jakichś szpiclach, donosicielach zaczyna...

Podczas tego przesłuchania Natałka podpisała papier, który Sawczuk zatytułował: „Akt lojalności”, a z którego treści wynikało, że Natalia Wieliczko, starając się o powrót wraz ze swoim nieletnim synkiem Andrzejem na zachodnią Ukrainę, deklaruje swoją całkowitą lojalność wobec władzy radzieckiej i dobrowolnie zobowiązuje się meldować „odpowiednim organom o wszystkich kontrrewolucyjnych knowaniach przeciwko tej władzy”. Końcowe zdanie uprzedzało ją jeszcze o surowej sądowej karze w razie ujawnienia faktu podpisania tego „Aktu lojalności” komukolwiek.

Jesień w tajdze. Dni stają się krótsze, wieczory chłodniejsze, ranki bieleją delikatnym szronem, niebo i rzeczne wody robią się przejrzyste jak szkło. Tajga z dnia na dzień nabiera koloru miedzianej cygańskiej patelni. Brązowieje wiecznie wystraszona osika, żółcieją brzoźki, szarzeją igiełki modrzewi, gałęzie cedrów uginają się pod ciężarem granatowych ziarnistych szyszek, czerwienieje jarzębina i głogi, a wśród mchów i okwitłych wrzosów karminowymi kiściami chowa się brusznica. Ostatnie kielichy białych rydźów, ostatnie odporne na przymrozki brązowe podgrzybki. Wiewiórki i burunduki pracowicie zbierają i chowają, gdzie się da, zimowe zapasy. Ptactwo odlatuje do ciepłych krajów. Lisy pogłębiają nory. Wilki ciągną za sobą jednoroczny przychówek i maskują barłogi. Bure niedźwiedzie, które w lecie nagromadziły pod skórą spore zapasy duszczu, włóczą się po tajdze senne i rozdrażnione w poszukiwaniu bezpiecznej i ciepłej zimowej gawry. Jak ręką uciął, znikają komary i koszmarna muszka.

Ludzie tajgi nie gorzej od wszelkiego żywiołu czują zbliżającą się zimę i krzątają się przed jej nadejściem, aby się do niej należycie przygotować. Kto żyw i jak potrafi, gromadzi zimowe zapasy. Do ostatniej bulwy, do ostatniego ziarenka zbierają ludzie to, co sami na wiosnę zasiali, zwłaszcza kapustę i ziemniaki. Sybiracy kapustę kwaszą w drewnianych beczkach, ziemniaki chowają w chałupach, w piwnicach zmyślnie ukrytych pod podłogą. Zamarznięte na kość ziemniaki też się nie zmarnują, tyle, że ugotowane czernieją i prząśno-słodko smakują. Do beczek, do zmyślnie zmajstrowanych „tujasków” z brzożowej kory, zbierają brusznicę, błotną kwaśnicę, solą białe rydze.

Gromadzą zioła, trawy wszelakie na lekarstwo. Suszą grzyby i sarankę. Kiszą czeremchę o czosnkowym smaku i zapachu. Kwaszą jarzębinę. Suszą czarne jagody czeremchy, które zmielone w żarnach, uduczone w stępie, zmieszane z mąką przydadzą się na podpłomyki. No i cedrowe orzechy strząsają z drzew, obijają, łuskają z szyszek i suszą. Cedrowy orzech syberyjski smakuje słodko, jest oleisty, bogaty w witaminy i odżywczy. A kto się uprze i zna sposoby, może z cedrowych orzechów jadalnego oleju wytłoczyć. Korzystając z tego, że jesienne rzeki stają się leniwe, mniej pełnowodne, a niosą wody tak przejrzyste, że widać przez nie do dna, ludzie dobywają ryby na zimę. Na płaskodennych łódkach, na dłubankach, ze smolną żagwią ustawioną na dziobie, spływają nocami z prądem i z ościeniem polują na drzemiące wielkie ryby.

Sybiracy z dziada-pradziada o tym wszystkim wiedzieli, wszystko to umieli. Polacy, ludzie nietutejsi, jeśli chcieli zimę przeżyć, musieli się dopiero tego wszystkiego nauczyć, do tego przyzwycząić. „Pry-wykniesz, prywykniesz” - często mawiał do Polaków komendant Sawin i z ironicznym uśmiechem dodawał: „A nie prywykniesz, zdochniesz”...

Zesłańcy z Kaluczego wykorzystywali jesień, szykowali się do zimy. Dobrze wiedzieli, co ich tu w zimie czeka, zdążyli jej doświadczyć. Szła zima, a oni nie mieli watowanych spodni, kurtek-kufajek, czap z nausznikami, rękawic, nie mówiąc już o niezbędnych tutaj walonkach, cholewiakach specjalnie tłoczonych z owczej wełny. Odzienie, w jakim tu przyjechali, niedostosowane do klimatu zniszczyło się, potargało. W co się ubrać, co obuć, zwłaszcza że nie ma za co i gdzie tej odzieży kupić. Nadal gnieździli się w zatłoczonych, zapluskwionych, źle ogrzewanych i nieprzystosowanych do zimy barakach. Wyżywienie wciąż skąpe, zależało od przydziału chleba i stołówkowej zupy. Obozowy sklepik świecił pustkami. Więc jak potrafili, do tej kolejnej zesłańczej zimy się szykowali. Zwłaszcza ci, którzy brali się z losem za bary, brutalną rzeczywistość traktowali realnie, nie ulegali złudnym pogłoskom i pragnieniom.

Marzenia. Nadzieje. „Zobaczycie, że jeszcze na to Boże Narodzenie będziemy w Polsce!” - „Świat o nas nie zapomni, nie pozwoli!” - „Słyszeliście, ludzie, że jednej pani z szóstego baraku Matka Boska Częstochowska się objawiła? Cała taka żałobna, na czarno odziana, z Jezusem maleńkim na ręku. Objawiła się jej koło cmentarza, nad Pojmą. Ta pani z szóstego baraku klęczała, zamodlona, nad grobem synka swojego, co jej na tyfus w maju umarł. Naraz patrzy, a od tajgi Matka Boska się na takim białym obłoczku unosi. Kobięcina się przestraszyła, przeżegnała i pomyślała, że pewnie jej się to wszystko zdaje. A Matka Boska takim smutnym głosem w te słowa się odezwała: Nie bój się mnie, dobra kobieto. Czy mnie poznajesz? Poznają cię, Najjaśniejsza Panienko, tyjesteś nasza Królowa Polski, Matka Boska Częstochowska! Tak, to ja jestem, wasza królowa i orędowniczka. Wielkie nieszczęście spadło na Polskę i na Polaków. Płacę nad wami, żałobę po was noszę, na czarno się odziewam. Ale jestem teraz z wami. Wszędzie! I jak widzisz, nawet tu na Sybirze. I razem z wami modłę się do Boga Ojca i Syna, i Ducha Świętego, żeby ta wasza straszna gehenna się niedługo skończyła! Może nawet na Boże Narodzenie... Może by jeszcze więcej powiedziała, ale ta pani z szóstego baraku nie wytrzymała, tylko z płaczem zerwała się z kolan, żeby Matce Boskiej ręce ucałować, a ta zniknęła, nad tajgą w niebieskim obłoku się rozplęnęła”... - „Cud! Cud! Cud!” „E tam, akurat cud! Jakaś dewotka głupoty zmyśla, Boga gniewa!” - „Do zimy się lepiej przygotujmy, bo bez cudów zamarzniemy albo z głodu wyzdychamy”. - „Zrozumcie, ludzie - Francji nie ma, Belgii nie ma, Holandii, Norwegii nie ma! Czort wie, czy Anglii nie połknęli, a my tu, jak te durnie, na pomoc świata liczymy! Ludzie, wybijcie sobie z głowy, że ktoś na świecie nami się przejmuje, że o nas pamięta!” - „Ma świętą rację!” - „No to co mamy robić?” - „Co kto może: odzieży szukać, żarcie na zimę gromadzić, baraki ocieplać, opał szykować, żeby potem w śniegu nie tonąć, w sople lodu nie zamarzać”. - „Dwa nowe baraki kończą, niektórych będą tam osiedlać”. - „Do nowych baraków? Nigdy! Oni tylko na to czekają, żebyśmy się tu na stałe urządzali. Wolę, żeby mnie pluskwy zeżarły, a do



nowego baraku się nie przeprowadzę". - „Opamiętajcie się, ludzie, tyle nieszczęścia, tyle kłopotów dookoła, nie kłóćmy się”.

Jerzy Daniłowicz, chcąc ratować umierającego synka, zdecydował się na krok desperacki. W sobotę wieczorem kazał Natałce wziąć małego na ręce, odpiął łódkę z komendanckiej przystani i popłynęli do Usolia. Wiedział, czym ryzykuje, oddalając się bez zezwolenia komendanta, nie mówiąc o zabraniu łodzi. Dziecko, dziecko było najważniejsze! Płynął z nadzieją, bo podczas ostatniej bytności w Usoliu dowiedział się o buriackim szamanie — uzdrowicielu.

- Ziołami leczy. Każdą chorobę zamawia i z człowieka wygania. Przywieź synka, wyleczymy - doradzał mu Onoj.

Teraz płynął do Buriatów po pomoc. Natałka siedziała w płaskodennej łodzi, mały otulony w chustę spał na jej kolanach. Jerzy stał na rufie i długim wiosłem sterował, ponaglał jej bieg. Nurt był bystry, przedwieczerek cichy, chłodny. Milczeli. Natałka nie spuszczała oka z małego. W Jerzego jakby nowa nadzieja wstąpiła, uśmiechał się i pytał:

- No jak on tam?

Natałka odpowiadała albo dawała mu znak, że mały śpi. Płynęli, dopóki zapadające nad rzeką ciemności bezpiecznie trzymać się nurtu pozwoliły. Potem Jerzy przybił do brzegu. Tu przenocują. Byli mniej więcej w połowie drogi do Usolia. Wciągnął łódź na brzeg. Wyszukał suche miejsce pod niską, rozczapierzoną wiatrami sosną. Zebrał suszu na ognisko. Zaczepnął do kociołka wody Gotowali polewkę z okruszyn chleba. Natałka krzątała się przy małym, otulała go, czym mogła, bo noc zapowiadała się chłodna. I ciemna jak sadza. Dmuchała na łyżkę, próbowała karmić synka polewką. Cichutko pojękiwał, krzywił się, nie chciał. Ale zaraz usnął.

- No i jak?

- Nie chce jeść. Nic, tylko śpi i śpi. Pewnie rzeka go tak ubajukała.

- Niech śpi, biedaczyna, na zdrowie. - Przysunął parujący kociołek bliżej żony. - Spróbuj choć łyżkę ciepłego. I nie rozpaczaj tak, Natuś. Coś mi mówi, że znajdziemy tam dla małego ratunek.

- Dałby Bóg! Niechby wreszcie nad naszym dzieckiem się zlitował. Co ono komu winne? Nie mam już więcej sił, nie mam...

- Nie płacz, kochana, proszę.

Siedział oparty o sosnę, podtrzymywał ogień. Żona, chroniąc synka przed chłodem, skuliła się obok. Cieszył się, że choć na chwilę przysnęła. Głowa nabita kłębiącymi się myślami, serce przepełnione miłością do Natałki, troska o dziecko... Bez jego woli jawa zmieniła się w sen. Myśli poplątały się z sennymi majakami. Skądś spadał. Dokądś biegł, zziębnięty i niemocny, przed czymś koszmarnym uciekał. Zbudził go nagły, niepojęty strach. Otworzył oczy. Był już ranek, nad rzeką wschodziło słońce. Natałka klęczała u wygasłego ogniska. Trzymała dziecko na rękach i kołysała monotonicznie, skłaniając się ku ziemi i z powrotem. Nie krzyczała. Nie płakała. Kiwając się rytmicznie, była nienaturalnie i dziko jak wilczyca. Jej wzrok był pusty. Jerzy zrozumiał, że stało się najgorsze.

Wracali. Zwłoki synka owinięte w chustę leżały na dnie łódki. Natałka, jakby wciąż nie wierzyła w to, co się stało, ciągle coś tam przy nich poprawiała, dbała o ich wygodę. Nie płakała. Tylko jej wargi poruszały się w bezgłośnym szepcie. Wracali pod prąd. Łódź sunęła opornie i wolno. Stojący na rufie Jerzy z coraz większym trudem zmagał się z prądem. Na kamienistych, spienionych wirami wodospadach musieli podziurawioną łódź porzucić. Szli brzegiem Pójmy. Od czasu jak wysiedli z łódki, Natałka wzięła dziecko na ręce i niosła je bez ustanku. Jerzy co jakiś czas próbował wziąć od niej synka, żeby choć odrobinę odpoczęła. Nie dawała. Gniewnie uchylała się od pomocy i wlokła się dalej. Strach i żal było na nią patrzeć. Rozzochrana, spocona z wysiłku, parla uparcie do przodu, potykając się o korzenie i wiatrołomy.

Do Kaluczego dowlekli się późną nocą. Sąsiadki zakrzętały się przy Natałce. Odebrały zwłoki dziecka, wymyły, przebrały i świeczkę zapaliły. Natałka obojętna, z obłędem w oczach, milczała. I ku zgorzzeniu niektórych bab, nie płakała. Daniłowicz doczekał świtu i razem z Doliną poszedł do stolarni sklecić trumienkę. Dolina śpieszył się do roboty. Daniłowiczowi było wszystko jedno.

- Małego pochowam. Żony samej nie zostawię.

- Szukali cię wczoraj przez cały dzień. Łódka z przystani zniknęła. Podejrzewali cię, żeś uciekł z całą rodziną. Sawczuk w baraku wypytywał. Będą kłopoty...

- W razie czego Natałką się zaopiekujcie, pomóżcie.

Pochowali małego w sąsiedztwie babci Daniłowiczowej. Niedaleko były groby brata i siostry Jerzego. „Cała moja rodzina”... Dzień był roboczy, żałobników niewielu; starzy ludzie, dzieciaki i kto mógł z Czerwonego Jaru. Odmówili „Wieczne odpoczywanie” i odeszli. Natałka rozszlochała się, kiedy na trumienkę spadły pierwsze grudy ziemi. Potem długo klęczała przy mogile w milczącym otepieniu.

Daniłowicza zatrzymano zaraz po pogrzebie. Przesłuchiwał go Sawczuk.

- Nieszczęście was spotkało, Daniłowicz, dziecko. Współczuję. Ale prawo musi być prawem, panie Daniłowicz. Przykro mi. Sądzę, że domyśla się pan, co mamy panu do zarzucenia?

Daniłowicz obojętnie wzruszył ramionami. Milczał.

- Nic pan nie mówi? Jak pan sobie życzy. A przyjdzie panu odpowiadać co najmniej za dwa przestępstwa. I z góry uprzedzam, za bardzo poważne, surowo karane przestępstwa! Pierwsze to próba ucieczki z miejsca specjalnego przesiedlenia. Drugie to kradzież łodzi, czyli mienia państwowego. Przyznaje się pan?

- Mogę prosić o papierosa?

- Proszę.

Sawczuk podsunął paczkę „Kazbeka” i zapalki. Jerzy zapalił.

- Do żadnego przestępstwa się nie przyznaję. Nie miałem zamiaru uciekać. Jak, dokąd, z umierającym dzieckiem? Łodzi też nie ukradłem. Wziąłem ją samowolnie, to prawda, ale zamierzałem na niej wrócić. Oddaliłem się bez zezwolenia komendantury, to wszystko. Chciałem dziecko ratować.

Sawczuk wygładził kartkę protokołu, sprawdził stalówkę i zamoczył pióro w kałamarzu.

- No dobrze, panie Daniłowicz, niech pan mi to wszystko opowie do protokołu. Tylko uprzedzam, dla pańskiego dobra - ma to być prawda. I tylko prawda! Ze szczegółami...

Noc spędził Daniłowicz w areszcie komendantury. Ledwie zamknięto drzwi celi, padł na pryczę i zapadł w ciężki chorobliwy sen.

Rano zbudziło go jakieś szarpanie. Półprzytomny rozpoznał stojącego nad nim Sawczuka. Jerzy przysiadł na pryczy. W celi był także komendant Sawin. On też zakomunikował mu ponuro:

- Wot tak, Daniłowicz: dzisiaj w nocy umarła twoja żona.

Od śmierci synka Natałki w realnym świecie nie było. Żyła tylko swoimi myślami. Z nikim, nawet z mężem, nie chciało jej się gadać. W nieskończoność wracała do tych samych wspomnień, myśli i wyobrażeń. A w centrum wszystkich jej myśli był synek. Poruszała się jak lunatyczka. Odruchowo robiła, co robić należało, ale jakby jej tu nie było. Nic ją nie obchodziło. Mądra babka Szajnina widać rozumiała, co się w duszy Natałki dzieje, bo starała się być blisko niej, ochraniać ją przed wścibstwem plotkarek, wciągnąć do codziennych zajęć. To babka Szajnina wyciągnęła Natałkę po pogrzebie nad Pojmę pranie robić.

Już po śmierci Natałki Szajnina opowiadała: „Pierze zawzięcie, wali tą kijanką, wali. Nagle przestała, chustkę na głowie poprawiła, oczy ręką przysłoniła i gapi się na niebo, gapi. Co ona tam widzi, myślę sobie. Popatrzyłam i ja. A po niebie akurat klucz żurawi do ciepłych krajów leciał. Żurawie, mówię do niej, do ciepłych krajów lecą. Może nawet do nas, nad Dniestr, na Podole. A ona za tymi żurawiami patrzy, wzrokiem je odprowadza i moje słowa powtarza: Na Podole, nad Dniestr, nad Seret. - I znowu wzięła się za kijankę i wali w te łachy, aż bryzgi lecą. Dziw mnie bral, skąd tyle siły miała? Znów przestała. Klęczy na tych kamieniach, w wodę się zapatrzyła. Nic nie mówi. Długo nic nie mówi. Nie pierze, tylko w tę wodę patrzy i patrzy. Ciekawe, co ona tam w niej widziała? A ja nie bardzo wiem, jak ją tu zagadać. Naraz sama do mnie zagadała. Najpierw popatrzyła na mnie jak zbity pies i pyta cichutko, że ledwie dosłyszała: Babciu, py-

ta, czy mój synek jest już w niebie? - Trochę jakbym zgłupiała na chwilę, ale zaraz się połapałam i mówię jej: A pewnie, córuś, że jest, pewnie. - Nawet się trochę uśmiechnęła albo mi się tak wydawało. A ja mówię dalej: Takie maleństwa grzechu żadnego nie mają, to nawet do czyścica nie idą, tylko Pan Bóg je od razu do nieba powołuje. Świętemu Piotrowi bez pytania do bram niebieskich wpuszczać je każe i na aniołków je sobie bierze. Nie martw się, córuś, twój synek w niebie koło samego Pana Boga aniołeczkiem sobie fruwa. Dobrze mu tam. Pewnie, że jest już w niebie. Ajakżeby inaczej? - Tak jakby ją to ucieszyło, uspokoiło. Skończyłyśmy pranie, wróciłyśmy do baraku. A wtedy ta boleśnica dowiedziała się, że ci z komendantury aresztowali Daniłowicza. Nic nie mówiła. Ale jak patrzyła, jak patrzyła! Szarpnęła z głowy chusteczkę i tak jak stała, z rozpuszczonymi włosami, wyleciała z baraku. Krzyczałam za nią, prosiłam, chciałam ją zatrzymać, ale gdzie tam! Takam stara i takam głupia! Gdybym to ja była wiedziała, co tej bieduli do głowy wpadnie".

Natałka pobiegła prosto do komendantury. Biegła ratować męża. Biegając, widziała na przemian ich twarze: synka i męża, męża i synka. Zawzięcie kołatała pięściami do furtki. Wartownik zerknął przez wizjer.

- Co się dzieje? Do kogo?

Krzyczała, dławiła się łzami, tłumaczyła nieskładnie, chaotycznie płacząc słowa i języki. Wartownik nie mógł jej zrozumieć, z trudem dopytał się o nazwisko. Kazał poczekać, zatrzasnął wizjer. Długo, długo czekała przed bramą, z tym nieustającym, narastającym chaosem w obolałej głowie. Wartownik wrócił, uchylił furtki.

-Jest taki u nas. Ale to przecież nie pani mąż.

-Jak to nie mój mąż? Jerzy Daniłowicz, o niego mi chodzi? Może nazwisko pan pomylił?

- Daniłowicz, zgadza się. Niczego nie pomyliłem. My się tu nie mylimy. Daniłowicz, ale to nie wasz mąż.

- Niech pan mnie wpuści do komisarza Sawczuka, on mnie zna, on wszystko wie.

- Tak i jest. Właśnie z nim rozmawiałem, z komisarzem Sawczukiem. Powiedział, że Daniłowicz nie jest pani mężem, żeby pani sobie stąd poszła i głowy mu nie zawracała.

- Sawczuk? Niech mnie pan do niego wpuści, muszę z nim porozmawiać. Niech mnie pan wpuści!

-Już pani mówiłem: nie ma rozkazu. Zresztą, co tam ja wiem: nie ma pozwolenia, to nie ma!

- Niech mnie pan wpuści, błagam!

Furtka głucho trzasnęła. Natałka rzuciła się na nią z pięściami, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. Wstrząsnął ją zimny dreszcz. Ściemniało się. Była tylko w satynowej bluzce, w trzewikach na bosą nogę, z gołą głową. Postąpiła jeszcze chwilę przy bramie i pobiegła brzegiem Pójmy w kierunku cmentarza.

Natalia Daniłowiczowa powiesiła się na brzozie ocieniającej grób jej synka. Nie zostawiła żadnej wiadomości. Nazajutrz rano znaleźli ją idący do pracy ludzie i zawiadomili komendanturę. Jerzego Daniłowicza wypuszczono pod konwojem z aresztu i pozwolono mu pogrzebać żonę. Krzyża na mogile nie zdążył nawet postawić, bo aresztowano go ponownie. Odwieziony po paru dniach do Tajsztetu, wyrokiem NKWD skazany został na dziesięć lat ciężkiego obozu pracy za „próbę ucieczki i kradzież państwowego mienia”. Brzozowy krzyż na mogile Natałki postawili ludzie z Czerwonego Jaru...

Syberyjska zima zjawia się już w październiku, od razu śnieżna i mroźna. W ciągu jednej nocy potrafi ściąć lodem rzeki, tajgę puszystym śniegiem po pas zasypać. Na początku zimy co jakiś czas zrywają się wichury wirujące śniegiem, niby w diabelskim młynie. Taka mroźna syberyjska wichura - „purgą” przez tutejszych zwana -nanosi ogromne zasy, zasypuje ludzkie osady po same dachy, tumani śmiertelnie wędrowcami, strąca z drzew ptaki, mrozi w sopel lodu słabszego zwierza. W końcu listopada zima stabilizuje się, uspokaja. Śnieżyce ustają, gruba śnieżna pokrywa utrzasa się, twardnieje. Całymi tygodniami bywa cicho, bezwietrznie. Niebo nad tajgą błękitnawosrebrzyste, słoneczne w dzień, gwiaździste w nocy. Mróz trzyma krzepko i równo, najczęściej poniżej trzydziestu stopni w dzień. W nocy tężeje i z armatnim hukiem lupie w tajdze wiekowe drzewa.

Zimowe dni w Kaluczem były do siebie bliźniaczo podobne. Od świtu do nocy takie same. Skoro świt, niezależnie od pogody i pory roku, brygady wyruszały na wyrąb tajgi. Podobnie jak minionej zimy piłowano masztowe sosny, ściągano na brzeg Pójmy, układano w sągi i przygotowywano do wiosennego spławu. Zesłańcy nabyli doświadczenia, łatwiej sobie w tajdze radzili. Byli też nieco lepiej odziani. U progu zimy wyfasowali watowaną odzież, a niektórzy nawet wymarzone walonki. Przyzwyczajali się powoli do syberyjskiego klimatu i nieco lepiej znosili surową zimę. Nawet karmiono ich tej zimy lepiej. Zwiększono o dziesięć deka porcję chleba, stołówka wydawała obfitsze posiłki, czasami nawet z kawałkiem mięsa. W sklepiku, oprócz komendanckich przydziałów, od czasu do czasu można było kupić soli, herbaty, konserwę rybną i machorkę. A z uroczystych oka-

zji odrobinę cukru, cukierków i flaszkę wódki! Kupić mieli za co, bo, poczynając od jesieni, tajszecki leśpromchoz płacił zesłańcom za pozyskany leśny urobek. Nie były to wielkie pieniądze, ale zawsze mieli pod ręką swoich parę rubli. Normy w pracy obowiązywały wysokie. Nie wszyscy byli w stanie im sprostać. Tacy, przez dozór uznawani za „łodyrów” - obiboków, pozbawieni byli zarobków i dodatkowych przydziałów żywności. „Łodyr” nie wyrabiający normy był tropiony i napiętnowany bezlitośnie. Nie tylko zresztą ze względu na obowiązującą w radzieckim państwie zasadę: „Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet”. Oto pod koniec czterdziestego roku ukazał się rządowy dekret o „wzmoczeniu radzieckiej dyscypliny pracy”. Komendant Sawin, który osobiście zesłańcom ten dekret ogłosił, nie omieszkał im pogrozić:

- ... I tak, grażdanie specpieresieleńcy, od dzisiaj żarty się skończyły! Za każde naruszenie dyscypliny pracy pod sąd! Żadnego najmniejszego nawet sabotażu i obiboków nie zamierzam tolerować. Brygadzystów surowo uprzedziłem, żeby nadzorowali waszą robotę bez żadnego pობлаżania. I żeby mi codziennie o takich sabotażystach meldowali. A tych, którzy wyróżniają się w pracy, przekraczają normy - będziemy nagradzać. Dla takich będzie u nas wszystko: i honor, i przydział w sklepiku. A dla stachanowców kwatery w nowych barakach!

Dwa nowe mieszkalne baraki zbudowano rękami zesłańców minionego lata. Trzeci, przeznaczony na klub i szkołę, spieszenie wykańczono przed zimą. Na de starych baraków, szarych i przegniłych, nowe wyróżniały się bielą świeżo ociosanej sosny, mocnym zapachem żywicy. W nowych barakach nie było już wspólnych pryczy. Z długiego korytarza wchodziło się do osobnych przegródek przeznaczonych tylko dla jednej rodziny. Dla kogo te nowe baraki? Komu taki samodzielny pokój przydzielą?

- Pamiętajcie, co nam na wiosnę komendant mówił? Stachanowcy tam zamieszkają. Najmniej dwieście procent normy trzeba wyrobić, żeby tam się przenieść.



- A ja słyszałem, że mają nowych zesłańców do Kaluczego przy-transportować: Litwinów czy Estończyków jakichś?

- Niby skąd oni tutaj?

- Co, nie słyszałeś, że Litwa, Łotwa i Estonia „dobrowolnie” do Związku Radzieckiego przystąpiły?

- Słyszałem, słyszałem! Rumunii też Mołdawię „dobrowolnie” zabrali. Tylko ta nasza głupia Polska zawsze się Ruskim stawia.

- A ja wam mówię, że komendant tam swoich przydupasów osiedli. Szpiclów i zdrajców, którzy o Polsce zapomnieli. Mówię wam, chłopcy, że to ich chytra polityka: omamić, otumanić, zostawić nas tu na zawsze. O, nie! Wolę, żeby mnie w starych barakach pluskwy zechłały.

- Pieprzysz, Manterys. Na wiosnę, przy zagonach, też ludziom w głowie mąciłeś. Gdybym ciebie, głupi, wtedy nie posłuchał, miałbym teraz parę wiader ziemniaków na zimę. Gdyby tak mnie do nowego baraku przydzielili, to ani chwili bym się nie zastanawiał. Pomyśl tylko, nareszcie człowiek miałby swój kąt. A tak, to nawet z własną babą nie ma się jak przespać.

Sprawa zasiedlenia nowych baraków wyjaśniła się na początku listopada, w samo święto bolszewickiej rewolucji. Ale najpierw była uroczysta wieczornica z tej właśnie okazji. W nowym baraku przeznaczonym na klub zebrano ludzi ze wszystkich brygad. Na ścianie wielki portret Stalina. Gipsowy Lenin na etażerce. Na scenie, za stołem pokrytym czerwonym płótnem, usiadł Sawin ze swoimi pomocnikami. Nad prezydium transparent: „Niech żyje XXIII rocznica zwycięskiej Rewolucji Październikowej”. Drugi transparent na bocznej ścianie: „Niech żyje wódz światowego proletariatu J. W. Stalin!” Ludzie siedzieli sdoczeni na niskich, długich ławach. Nie bardzo wiedzieli, co tu się będzie działo i jak się zachować. Komendant wstał.

- Obywatele spiepiesienci. Pozwólcie, że pozdrowię was z okazji wielkiego święta światowego proletariatu - dwudziestej trzeciej rocznicy wielkiej socjalistycznej rewolucji październikowej!

I tu, ku zaskoczeniu zesłańców, komendant gromko krzyknął: „Hurra!” Na co zerwało się całe prezydium jego pomocników i też

trzykrotnie krzyknęli: „Hurra!” Potem chwilę klaskali i ponownie usiedli. Podobnie jak prezydium zachowywali się siedzący w pierwszych rzędach Rosjanie, obozowi funkcyjni. Zesłańcy siedzieli nieporuszeni. Komendant był z tego wyraźnie niezadowolony, czego nie omieszkał natychmiast wyrazić:

- Grażdanie spiepiesieleńcy! Myślę, że wy, Polaki, jako naród kulturalny, powinniście na takich uroczystościach umieć się zachować. U nas, ludzi radzieckich, zwyczaj jest taki, że na ten przykład, kiedy pada na takiej akademii imię towarzysza Stalina, to wszyscy zebrani wstają i biją brawo. W ten sposób ludzie radzieccy oddają hołd genialnemu wodzowi proletariatu, organizatorowi wszystkich naszych sukcesów i zwycięstw, przywódcy naszej pardi i państwa, towarzyszowi Józefowi Wissarionowiczowi Stalinowi! A wy mi tu co? Żeby mi się tu więcej coś takiego nie powtórzyło. Jasne? No, to teraz wygłoszę uroczysty referat, a wy, obywatele przesiedleńcy, zachowujcie się tak, jak na kulturalnych ludzi przystało.

Komendant przemawiał długo, Stalina przywoływał co chwila. Co chwila wstawało prezydium, krzyczało: „Hurra!” I klaskało. Sala odtąd też, rada nierada, wstawała, klepała w zgrabiałe dłonie i siadała. Tylko „hurra!” nie krzyczała. Co prawda raz się ktoś z tym „hurra” wyrwał, ale szarpnięty przez sąsiada za kapotę, już więcej tego bojowego ruskiego zawołania nie powtórzył. Komendant zakończył efektownie:

- Dowodem, jak władza radziecka troszczy się o człowieka pracy, niech będą nasze nowe baraki w Kaluczem, ten nasz klub, w którym będziecie czas kulturalnie spędzać, w którym niedługo zaczną się uczyć wasze dzieci. A w nowych barakach już od jutra będą mogli zamieszkać ci z was, którzy wyróżnili się pracą i okazali się prawdziwymi radzieckimi stachanowcami. Zaraz zostanie odczytana lista z ich nazwiskami.

Spośród ludzi z Czerwonego Jaru na liście znaleźli się: Bolek Drabik, stary Malinowski z synem i, ku zaskoczeniu wszystkich, Florek Unicki.

- A to ci kurdupel! Patrzcie, patrzcie, taka mizerota i stachanowiec!

A potem potem pokazano film „Świat się śmieje”. Głośno warczało wytwarzające prąd dynamo, kręczone na zmianę przez dwóch chłopów. Mechanik zmieniał w przerwach taśmy filmowe, nawinięte na wielkie szpule, a na białym prześcieradle ekranu blondwłosa Lubow Orłowa wyśpiewywała wesoło i tańczyła dziką czeczotkę.

Tego właśnie wieczoru coś niezwykle ważnego wydarzyło się pomiędzy Sylwią i Paską: wyznali sobie miłość i pierwszy raz zostali ze sobą na całą noc. A parę dni później brygadier Paska Siedych poprosił komendanta Sawina o posłuchanie i zgłosił mu, że zamierza się z Sylwią Krakowską ożenić.

Komendant spojrział na brygadiera jak na osobę niespełna rozumu:

- Coś ty, Paska? Czy nie zwariowałaś? A może jeszcze po święcie nie wytrzeźwiałaś? Może klina ci potrzeba?

- Nie mam po czym trzeźwieć. I zdaje mi się, że rozum też mam w porządku. Po prostu żenię się i tyle.

- Czyś ty się, chłopie, zastanowił? Z kim, z Polką chcesz się żenić?

- A jaka to różnica: Polka, Rosjanka czy Buriatka? Jest u nas internacjonalizm czy go nie ma?

- Polityk, widzę, z ciebie, Siedych, nawet nie wiedziałem... No, powiedzmy, że czort z tym, że to Polka. Ale, zrozum, chłopie, to przecież spiecpieresielenka! Politycznie niepewna!

- Jaka ona tam polityczna! - Siedych wzruszył ramionami. - Dziewczyna robotna, starą matką się opiekuje. To co, towarzyszu naczelniku, kiedy nas zarejestrujecie?

- Aż tak ci się śpieszy? Może ten tego już?...

Sawin mrugnął porozumiewawczo i klepnął się w brzuch. Siedych spojrział na niego ponuro, wstał z krzesła, oparł się o stół i jego potężna figura złowrogo nachyliła się nad komendantem.

- A wy tak sobie ze mną, Iwanie Iwanowiczu, nie żartujcie. Dacie nam ślub czy nie dacie?

Sawin spoważniał, wstał z za stołu.

- Nie dam! Wybij to sobie z głowy. I jeszcze komsomolec z niego. A w ogóle, Siedych, od dziś przestań się wiązać z tym elementem. Jesteś brygadziwą? Jesteś! To twoje komsomolskie zadanie produkcję dawać, normy wypełniać. A on mi tu... Przypomnę ci jeszcze, że ta twoja Polka poza Kaluczoje nie ma prawa nosa wysunąć. Wszyscy Polacy, jako spiecziesieleńcy, jako element niepewny politycznie, nie mogą stąd na krok się oddalać pod karą sądową. A on mi tu o żeniaczce będzie gadał... Uprzedzam cię, Paszka, skończ z tym szybko, żebyś biedy sobie nie napytał. A nie posłuchasz, miej pretensje tylko do siebie.

Siedych, ponury i rozżalony, bez słowa strzelił drzwiami. Sawin postąpił chwilę, porozmyślał, pokręcił głową i pilnie wezwał do siebie Sawczuka.

Do nowego baraku pierwsza przesiedliła się Honorka Unicka. Zwinęła z pryczy manatki, zwała Florkowi na plecy. Zrobiła znak krzyża i na wszystkie cztery strony baraku nisko kłaniała się sąsiadom z Czerwonego Jaru.

- Dziękuję wam, kumy, za wszystko. I co złe, to nie ja. Gdyby nie te moje małe sieroty, to nigdy bym was nie opuściła.

Honorka głośno się tym nie chwaliła, ale w duchu dumna była z tego swojego matkowania. „Nawet mi dzieciaki nie chorowały! Mamusiu, mamusiu, na mnie wołają, jakbym rodzoną im była. Biedne, małe sierotki. Ale widocznie Bóg tak chciał, zlitował się nade mną, choć w ten sposób macierzyństwem obdarzył”.

Co tam o Honorce ludzie z Czerwonego Jaru po cichu mówili, to mówili, ale jako o opiekunce sierot po Jaworskiej marnego słowa nikt nie powiedział. Honorka niebo i ziemię by poruszyła, żeby tylko zdrowe były i miały co do gęby włożyć. Sama się nie oszczędzała i Florkowi odetchnąć nie dała. A Florek jak to Florek, cichy, niewadzący nikomu. Żył w swoim świecie, nigdy na nic się nie żalił. Ale Florek wiedział swoje. Swoje wiedział i po swojemu to wszystko znosił. Nawet to, co jego Honorkę z Szuszkiewiczem od lat łączyło. Ten Bro-

nek był, bo był. I tyle. Ale to nie do niego mała Marysia wyciągała rączki, nie na Bronka Adaś wołał „tata”, tylko do niego, do Florka.

Na święta Bożego Narodzenia brygadier Paszka Siedych i Sylwia Krakowska mieli się pobrać. Dużo wokół tego było gadaniny w całym Kaluczem. Jak to? To ona za Ruskiego wychodzi? Za bolszewika bezbożnego? Irena Pucowa to co innego. Ta się z musu kurwiła, żeby jej dzieci z głodu nie wyzdychały, a ta? Słuchane to! Taka to już nigdy do Polski nie wróci, zdrajczyni jedna. Ludzie zdychają, a tej żeniaczki z Sowietem się zachciewa. Boga się nie boi, ludzi się nie wstydzi. Co ta jej matka robi”.

Wcześniej niż matka o tym, że Paszka Siedych chce się z Sylwią ożenić, dowiedziała się Honorka.

- Poradź mi, Honorciu, co mam z tym wszystkim zrobić.

- Oj, ty głuptasie, głuptasie! Też radczynię sobie znalazłaś. Sama sobie w tych sprawach nie umiem poradzić. Płacze mi się w małżeństwie od dawna, a szczęścia nijakiego... Ale jedno wiem na pewno, i to ci, dziewczyno, doradzę: nigdy, przenigdy nie wiąż się z chłopem bez miłości! Serca swojego się poradź i tylko jego słuchaj. Nie tak jak ja, głupia...

- Kiedy ludzie dookoła takie rzeczy o mnie wygadują, nawet nasi, z Czerwonego Jaru.

- Na ludzkie gadanie spluń. Nie ich sprawa. Lepiej niech własne smrody wywietrzą.

- Do Polski, mówią, mnie nie wpuszczą, bom zdrajczyni przez to...

- Akurat Polska ich spyta, kogo do niej wpuścić! Nie martw się, byle ta nasza Polska znowu była, to i tobie macochą się nie stanie.

- Nieważny, mówią, ślub będzie, bo bez księdza, bez Boga.

- A skąd ci tu księdza wezmą? Bóg jest wszędzie i bez ludzkiego gadania lepiej wie, co jest dobre, a co grzech. A Bolek Drabik z Marysią to gdzie się pożenili? Komendant ich zapisał i tyle. Wtedy tak nie pyskowali. Najważniejsze, czy się kochacie. Czy wam razem dobrze. Sylwuś, a przyznaj mi się ty ino, przespałaś ty się już z nim, spróbowałaś tego małżeńskiego miodu?

— Honorka! Przestań, ja poważnie, a ty zaczynasz!

— A zaczynam, zaczynam... Myślisz, że tak sobie z babskiej ciekawości? Jeśli tak myślisz, to grubo się mylisz. Z chłopem musi być babie dobrze. I to od pierwszego razu, bo potem to już wszystko na nic. Tylko męczarnia, wstyd i obrzydzenie.

Paszka i Sylwia planowali, że razem zamieszkają po oficjalnej rejestracji małżeństwa. Tymczasem Sawin nie ustępował i rejestrować małżeństwa nie myślał.

— Nad komendantem jest jeszcze wyższa władza. Pojadę do Szczytkino, do rejonowej rady i tam wszystko załatwię. W końcu nie pracuję u Sawina, tylko w lespromchozie. A przy okazji do matki list wyślę, o naszym weselu ją powiadomię. I fotografię twoją, jeszcze z Polski, tę wjasnej sukience jej pošlę, niech zobaczy, jaką piękną synową jej kiedyś przywiozę.

— Zmartwi się pewnie, popłacze tak jak moja. Co z nas za para, Pasza? Ja Polka, ty Rosjanin.

— Wszystkie matki jednakowe. Jednak płaczą, jednak kochają. Nie martw się, z kim, jak z kim, ale ze swoimi matkami na pewno się dogadamy. Wesela hucznego nie będzie, ale skromne przyjęcie musi być.

Paszka zaczął przygotowania; polował na jarząbki, u dziadka Fiedosjeja tujasek miodu wyprosił, parę flaszek wódki od sklepikarza wycygał.

Przed wyprawą jeszcze raz poszedł do komendanta.

— To jak ostatecznie z tą moją rejestracją, Iwanie Iwanowiczu? Zapiszesz to moje małżeństwo czy nie zapiszesz?

— Ostatecznie, Siedych? Proszę bardzo, ostatecznie mówię ci, dziesiąty raz już chyba - nie zarejestruję twojego małżeństwa z tą Polką!

— Nie zarejestrujecie?

— Nie zarejestruję!

— Trudno, jakoś sobie i bez was poradzę. Do rejonu pojadę i załatwię.

- Nie załatwisz, ja ci to mówię.

- Załatwię.

- Ot, Sybirak z dziada, pradziada, uparty „Czaldon”. Dobrze ci, Paszka, radzę, nie przeciągaj struny! Zrezygnuj, człowieku. Mało to tego babskiego dobra na tym świecie? Szkoda mi cię. Ty nawet nie wiesz, jakiej biedy sobie napytasz. Uprzedzam cię, Paszka, choć właściwie nie powinienem.

- Za dobre słowo dziękuję. Ale wy wiecie swoje, a ja swoje...

Na drugi dzień brygadier Siedych przyniósł komendantowi kartkę z wypisaną na niej prośbą o tydzień urlopu i zgodę na wyjazd do Szytkino „celem załatwienia pilnych spraw osobistych”. Słowo: „Zgoda”, Sawin napisał ze złością, mało kartki nie podziurawił!

NKWD aresztowało Pawła Siedycha, brygadiera z Kaluczego, w budynku szytkińskiej rejonowej rady. Kiedy tam przyszedł, sekretarka grzecznie spytała go o nazwisko, zapisała na karteczce, zaniósła ją do gabinetu obok, wróciła i kazała mu spokojnie czekać. Nie czekał długo. Przyszedł milicjant z cywilem i zabrali go do miejscowego NKWD.

W oparciu o doniesienia Sawczuka zarzucono Paszce, że w „zmowie z polskimi spiecpieresieleńcami uprawiał on kontrrewolucyjny sabotaż, tolerując to, że brygada Polaków, którą kierował, systematycznie nie wykonywała normy, zdobywała niepełnowartościowy materiał drzewny. Nadto, nadużywając uprawnień, zwalniał Polaków z pracy, dopisywał im nienależne stawki pieniężne i wypisywał talony żywnościowe - czym działał na szkodę armii radzieckiej”.

Kiedy minął tydzień i Paszka nie wracał, Sylwia zaczęła się niepokoić. A może mu się w drodze coś złego przytrafiło? Tajga, zima, mrozy i purga. Ale to najgorsze nawet przez myśl jej nie przeszło.

Wracały z Honorką z roboty. Niedaleko cmentarza wyszedł zza drzewa dziadek Fiedosiej. Znały go obydwie, a Sylwia z Paszką była nawet raz w dziadkowej samotni na miodnej gościnie. Dziadek Fiedosiej traktował życie surowo, wołał brutalną prawdę od gładkich słów.

- Dziewczyno, Paszkę aresztowali... „Gdyby coś, to daj jej adres mojej matki i tych parę groszy, co tu zaoszczędziłem”. Tak mi przed wyruszeniem do rejonu powiedział.

Boże Narodzenie! Pierwsza syberyjska zesańcza Wigilia. Nie ziściły się marzenia zesańców o rychłym powrocie do Polski, przysły nadzieje na cud. Trwała brutalna rzeczywistość Kaluczego, śmierdzących, zapluskwionych baraków, niedoli.

Ludzie z Czerwonego Jaru postanowili wieczerzać przy wspólnym stole. I wspólnymi siłami wigilijny stół zastawić. Przed świętami od ust głodowe racje sobie odejmowali, gromadzili, co się dało, na świąteczny stół.

Wigilijny dzień. Mróz siarczysty, czterdziestostopniowy. W tajdze codzienna norma wyrębu. Co bardziej gorliwy brygadzysta nie daje żadnej ulgi: pilnuje normy, sągi mierzy dokładnie, czasu pracy nie skróci nawet o minutę. Wszyscy brygadziści dobrze wiedzą, za co Paszka Siedych, który kumał się z Polakami, dostał te swoje dziesięć lat katorgi. Koniec roboty. Nareszcie! Jak żadnego innego dnia ludzie śpieszą się do baraków. Niektórzy dźwigają wybraną za dnia choinkę. Nawet stołówkę dzisiaj omijają, bo wszystko z niej już wcześniej pobrały rodziny. Żółtawym odbłaskiem mrugają rozpisane mrozem barakowe okienka. Dym z barakowych kominów wspina się do rozgwieżdżonego nieba. Która z tego gwiazdowego roju jest tą pierwszą, wigilijną gwiazdą?

Gdyby ktoś w ten wigilijny wieczór po dłuższej nieobecności wszedł do pierwszego baraku, gdzie zgromadzili się swojacy z Czerwonego Jaru, ten już w progu przystanąłby w zdumieniu! Wnętrze starego baraku tchnęło świątecznym nastrojem. Było ciepło. Czysto. Pachniało jedliną, kapustą z grzybami. Wyszorowany do białości stół, długi przez cały barak, przystrojony jedliną i siankiem. Naczynia na nim ubogie, każda miska i garnuszek z innego kredensu, od innej gospodyni, ale tego wieczoru - wszystkie pełne! Były na stole ryby z Pójmy. Był owsiany kwaśny żur z grzybami. Grzybowa zupa. Solone rydze, białe i czer-



wone. Kasza na gęsto ze stołówki, po domowemu doprawiona. Dla każdego po dwa ziemniaki w łupinach. I po kromce chleba dla każdego. Brusznica na surowo, mrożona. Do woli kompotu z suszujagód w tajdze latem zebranych. Dla dzieciaków po cukierku i twardym pierniczku ze sklepiku. No i cedrowe orzechy dla wszystkich, bo sporo ich jesienią w tajdze natręśli. Prawie nie do wiary, ale podolska kutia leż była! Tyle tylko, że nie z podolskiej niepowtarzalnej w smaku psze-niczki, ale z ubogiego utłuczonego w stepie syberyjskiego owsa. Zamiast włoskich były w niej wyłuskane orzechy cedrowe. Jedynie maku i miodu w kutii brakowało. Tylko zamiast poświęconego opłatka, skórki chleba do dzielenia się musiały im wystarczyć.

Choinka stała u szczytowej ściany baraku. Ustrojona do podziwu! Czego tylko dzieciaki na niej nie powiesiły! Na czubku gwiazda z białej brzozonej kory wypleciona. Słomiane łańcuchy i fikuśne pająki. Anioły wielkoskrzydłe, czym się dało, pomalowane. I jeszcze wielkie cedrowe szyszki, aż się gałęzie pod nimi uginały.

No i ludzie, ludzie z Czerwonego Jaru, ci sami przecież, a tego świątecznego wieczoru odmienieni, uroczyści i dostojni.

Stół nakryty. Zastawiony. Ludzie czysto odziani. Siedzą na swoich pryczach, poszeptują, czekają. Z nowego baraku przyszli ze swoimi Unicy, Malinowscy i Drabikowie.

Najstarszym wśród ludzi z Czerwonego Jaru był Jan Malinowski. Według zwyczaju jemu przypadło rozpocząć wieczerzę, pierwsze słowo powiedzieć. Malinowski wziął do ręki kawałek chleba i głośno zaczął się żegnać:

- W imię Ojca... i Syna... i Ducha Świętego... Amen... Ludzie dobrzy, sąsiady! Chrystus nam się narodził! A nas, a nas, Panie Święty, na te jego narodziny coraz mniej i coraz mniej! Ale, tak jak kiedyś u nas... w Czerwonym Jarze, jak jedna rodzina podzielmy się tym chlebusem czarnym, niby opłatkiem białym, żebyśmy już następne święta w Czerwonym Jarze, w Czerwonym...

Nie dokończył, rozplakał się stary Malinowski. Wszyscy płakali, wspominali swoich, widzieli ich twarze: tyle ich na cmentarzu nad

Pojmą, tyłu ich gdzieś daleko, w Polsce, w niemieckiej i rosyjskiej niewoli.

Łamali się skórką chleba wszyscy ze wszystkimi. Chodzili jeden do drugiego, obcałowywali się, wzajemne obrazy i krzywdy zapominali. Wieczorzali.

***Jezus malusieńki leży nagusieńki,***

***Plącze z zimna, nie dała mu matula sukienki...***

Wyśpiewali wszystkie zapamiętane kolędy. I prawie wszyscy w tę świętą noc żyli nadzieją, że są to ich pierwsze i ostatnie święta Bożego Narodzenia na zesłaniu. Wierzyli, choć wszystko wskazywało raczej na to, że cały świat dawno już o nich zapomniał. Polska rozerwana na strzępy, okupowana. Cała Europa pokonana przez Hidera. Stalin, oprócz połowy Polski, dołączył do Związku Radzieckiego Litwę, Łotwę, Estonię i Mołdawię.

Mężczyźni politykowali.

- Koniec z nami, chłopie! Na samego Hidera nie ma na świecie siły. A do tego jeszcze Stalin.

- Dwa psy z jednego podwórka też mogą się pogryźć. Jeden drugiemu zacznie kość odbierać i awantura gotowa. Mówię wam, chłopcy, że na następną Wigilię i Polska będzie, i my będziemy w domu!

- Gadasz bajki, Manterys, jak ten brodaty przepowiadacz Werny-hora czy jak mu tam, co go Sienkiewicz opisywał.

- Wernyhora, nie Wernyhora, ale coś wam, chłopcy, przeczytam. Tylko tajemnica, kurczę, żebyś czasem za ten papier w turmie nie wylądował jak nasz Karol Korczyński, wspomóż go tam, Panie!

Manterys poszedł na swoją pryczę i po chwili wrócił ze stronicą starej, pożółkłej gazety. Ostrożnie rozłożył ją na stole. Chłopi otoczyli go gęstym wianuszkiem.

- „Ilustrowany Kurier Codzienny”, prenumerowałem tę gazetę. Listonosz z Tłustego do domu mi ją przynosił. A wiecie, z którego roku ta gazeta? Dokładnie to z dnia 27 marca 1939 roku!

A dlaczego ją tak trzymam? Bo w niej jest zapisana dawna przepowiednia, co się z naszą Polską stanie! Tak, tak, panowie. Posłuchajcie. Nazywa się to tak: „Przepowiednia z Tegoborzy”.

*W dwa lat dziesiątki nastaną te pory,  
Gdy z nieba ogień wytryśnie,  
Spełnią się wtedy pieśni Wernyhory,  
Świat cały krwią się zachłyśnie.  
Polska powstanie ze świata pożogi,  
Dwa orły padną rozbite,  
Lecz długo jeszcze los jej złowrogi,  
Marzenia ciągle niezbyte...  
Lecz czarny orzeł wejdzie na rozstaje,  
Gdy oczy na wschód obróci,  
Krzyżackie szerząc swoje obyczaje,  
Z złamanym skrzydłem powróci.  
Krzyż splugawiony razem z młotem padnie,  
Zaborcom nic nie zostanie,  
Mazurska ziemia znów Polsce przypadnie,  
A w Gdańsku port nasz powstanie...*

Manterys uniósł głowę. Wokół niego zrobiło się jeszcze doczniej. Ludzie z Czerwonego Jaru słuchali przepowiedni w nabożnej ciszy. Manterys czytał dalej:

Powstanie Polska od morza do morza, Czekaście na to pół wieku, Chronić nas będzie zawsze łaska Boża, Więc cierp i módl się, człowieku...

Skończył. Starannie złożył poźółkłą gazetę i schował za pazuchę. Oszołomieni przepowiednią ludzie rozchodzili się w milczeniu po baraku.

Jan Dolina wyszedł odetchnąć świeżym powietrzem. Nadranny mróz szczypał w nozdrza, zapierał dech w piersiach.

Odwieczna tajga szumiała tajemniczo. Trzaskały zmrożone drzewa. Obcy, złowrogi świat dookoła. A jeszcze tak niedawno była Polska, była Tosia, dzieci cieszyły się z prezentów pod choinką, był swój ciepły i przytulny dom. Kaluczoje jeszcze nie spało. Z baraków, nieco przydumione, dochodziły odgłosy kolęd:

***Podnieś rękę, Boże Dziecię, Błogosław Ojczyznę miłą...***

Dolina mimowolnie spojrział ku niebu. Na wschodzie budziła się nieśmiała zorza przedświtu. Na zachodzie ciemność nieprzenikniona. To tam gdzieś, o tysiące kilometrów od Kaluczego, jest Polska. „Powstanie Polska od morza do morza, czekajcie na to pół wieku...” Sen mara, Bóg wiara, przepowiednie, wróżby... Ale te słowa: „pół wieku, pół wieku, pół wieku”, uwierały go boleśnie i beznadzieją kołatały się po głowie.

Część druga  
LUDZIE Z TAJGI

Pewnej majowej i wyjątkowo ciemnej nocy ludzie z Kaluczego wypatrzyli na przeciwległym, nizinnym brzegu Pójmy daleką łunę. Luna jaśniała nisko na nieboskłonie i wciąż rosła, poszerzała się w oczach, zmieniając barwy niby tęcza, od jasnej żółci po buraczkową czerwień, co chwila tryskała świetlistymi fontannami, kłębiła się, falowała niby sztormowe morze. Niektórzy nawet pomyśleli, że pojawiła się zorza polarna, zjawisko w tych zimnych krajach i okolicach widywane. Większość jednak, a ludzi na wysokim brzegu Pójmy zbierało się coraz więcej, nie miała wątpliwości, że tam, hen daleko, coś się pali.

- Tajga płonie! - Rozwiął wszelkie wątpliwości brygadier, tutejszy Sybirak, i z wyraźną trwogą w głosie dodał: - Pożar w tajdze gorszy od wszelkiej zarazy. A niech jeszcze, nie daj Boże, wiatr w naszą stronę zawieje...

Tajga! To nie jest zwyczajny las, do jakiego od dzieciństwa Polak jest przyzwyczajony, do którego łązi się na niedzielne wycieczki, w którym zbiera się kwiatki, jagody i grzyby. Las, w którym zbłądziwszy, w którąkolwiek stronę zdecydujesz się pójść, najpóźniej po godzinie, po paru kilometrach wyjdiesz na ubitą drogę, dotrzesz do najbliższej osady. Tajga to ciągnąca się setkami, tysiącami kilometrów odwieczna, mroczna debrza, gdzie omszałe, uschnięte drzewa, dożywszy swego wieku, padają na ziemię i tworzą pogmatwane, trudne do przebycia zwały. Na próchnicy poległych drzew wyrastają gęste, chaotyczne młodniki sosen, świerków, modrzewi i cedrów. Tajga wspina się na wysokie wzgórza, opada w doliny pełnowodnych rzek, do których śpieszą liczne dopływy rzeczek i strumieni. W tajdze nie-

rzadko trafiają się miejsca, zwłaszcza w dawnych rzecznych rozlewiskach, gdzie kilometrami ciągną się ponure, porośnięte omszałym karłowatym kosodrzewiem i kopcami splątanych korzeni „koczek”, zdradliwie błotne topiele. Nie daj Boże, kiedy w tajdze wybuchnie pożar.

Na wiatr się raczej nie zanosilo. Noc była ciepła, cicha i nawet jeden listek na płochliwych przybrzeżnych osikach nie zaszeleścił. Nikt z Polaków nie miał pojęcia, jak się pali tajga. Nikt tedy się trwożnym głosem brygadiera nie przejął. Tajgi dookoła więcej niż morza, niewielka strata jak odrobina zgorzeje. A może ogień i dym trochę tych cholernych komarów i muszek wydusi? Ludzie chwilę postali, pogapili się na lunę daleką, pogwarzyli o pożarach i rozeszli się do baraków. Legli spać nieświadomi niebezpieczeństwa, jakie zbliżało się do Kaluczego z szybkością pośpiesznego pociągu.

Już w nocy do baraków w Kaluczem zaczął wpełzać dym. Ludzie niespokojnie budzili się, gryzący swąd spalenizny drażnił nozdrza, łzawił oczy i zmuszał do suchego kaszlu. Z początku myśleli, że to wina barakowych żeliwnych piecyków, które często dymiły i podtruwały czadem. Dopiero ci, którzy za poranną potrzebą na dwór wybiegli, zorientowali się, że nie tylko ich barak, ale całe Kaluczoje zawleczone jest gęstym, podobnym do mgły, dymem.

- Tajga się gdzieś pali, to pewnie od tego.

Podobnie jak miniona noc, ranek był bezwietrzny, pogodny i ciepły. Zanosilo się na kolejny słoneczny, prawie upalny dzień. Bywają tu takie dni w końcu maja. I cicho było wyjątkowo. Słyszeli, jak w dole szemrała Pojma, kręciła wirami i obijała się o kamienie. Na drugim brzegu rzeki zielona ściana tajgi stoi, jak stała. Nie widać tam ani śladu płomyka. Widocznie ten dym przez noc przywlokł się skądś z daleka. Dziwiło ich tylko, że z tamtego brzegu nad ich zadartymi głowami nadlatywało nad Kaluczoje coraz więcej krzykliwego ptactwa. Różnego, od kaczek i jarząbków poczynając, a skończywszy na dzieciolach, rozkrzyczanych srokach i charkliwych czarnych krukach. Mimo narastającego dnia, nawet nocne sowy dokądś śpiesznie

nad nimi przefruwały. „Chyba od tego dymu na czyste powietrze uciekają. A to ci dopiero mądrale!”

Tymczasem, jak codziennie, przy komendanturze walono już w gong, wzywający ludzi do roboty. Ale tego dnia brygad na porębę nie wyprowadzano. Komendantura już wiedziała, że wielki pożar tajgi, który jeszcze w nocy wydawał się takim dalekim, obejmował coraz większe obszary i z nieprawdopodobną szybkością zbliżał się do Kaluczego. Komendant Sawin kazał zwołać ludzi na plac przed komendanturą.

- Tajga płonie, grażdanie spieczieresielenicy. Sami czujecie, jak nas dym gryzie. A to znaczy, że wiatr, choć jeszcze u nas nie wieje, goni ten pożar w naszą stronę. Widzicie, jak ptaki lecą? Niedługo z tamtej strony zwierzyna zacznie uciekać. A gdyby tajga dookoła Kaluczego się zapaliła, my z wami uciec na pewno nie zdążymy. Przed pożarem tajgi się nie ucieknie. Ogień galopuje szybciej od konia. Może być u nas lada chwila. Musimy się przed tym obronić, bo inaczej będzie z nami źle! A na deszcz się nie zanoszą. Nasze szczęście w nieszczęściu, że pożar idzie z tamtej strony rzeki. Może Pojma go do nas nie przepuści. Ale gdyby tak, bo to się już zdarzało, albo gdyby zerwał się wiatr... Musimy przygotować się na najgorsze. Bierzemy się za topory, łopaty i do roboty. Brygadziści pokażą wam, co robić. Wszyscy wychodzimy, nawet dzieciaki i stare baby.

Tu, gdzie stało Kaluczoje, brzeg Pójmy był dość wysoki. Pożar rozgorzał na przeciwnym, niższym brzegu. W niewielkiej odległości od osady z obydwu stron wpadały do Pójmy dopływy. Niezbyt szerokie, ale pełnowodne i bystre. Wiosna wszystko w tajdze zazieleniła, jednak dla pożaru nie stanowiło to żadnej przeszkody. Iglasty młodnik, stare, wysokie zeszłoroczne trawy, latami nagromadzone wiatrołomy i susz - paliły się niby naftą spryskane. Od strony tajgi wokół baraków czyszczono do gołej ziemi szeroki pas ochronny, wycinano młodniki, żeby ogień nie miał się czym pożywić.

Tymczasem gryzący dym gęstniał. Mimo że słońce wspięło się już wysoko, prawie nie było go widać. Tylko od czasu do czasu, między



kłębiącymi się nisko chmurami, pojawiała się jego czerwona tarcza. Zdarzały się chwile, że na krok nic nie było widać. Dym dusił, utrudniał oddychanie i tumał czadem. W tym ponurym, pełnym grozy mroku pojawił się w Kaluczem, ratujący się przed ogniem, dziki zwierz. Wpław przez Pójnę przeprowiały się potężne łosie, jelenie i sarny, kuny i zające. W paru miejscach, groźnie pomrukując i wypluwając wodę, forsowały rzekę brunatne niedźwiedzie. Płynęły wilki, uciekały lisy. Zwierzęta wydostawały się na zbawczy wysoki brzeg, strząsały wodę i nie zwracając uwagi na osłupiałych ludzi, znikwały w tajdze.

Dopiero teraz do ludzi z Kaluczego, którzy w dotychczasowym swoim życiu o takim żywiole nawet nie słyszeli, zaczęła docierać groza sytuacji. W barakach narastała panika. Ludzie gromadzili się z tobołkami na obszernym placu przed barakiem komendantury, nagim i wydeptanym do gołej ziemi. Tutaj ogień dopełznąć nie mógł. A wielki ogień zbliżał się w stronę Kaluczego coraz szybciej. Najpierw go usłyszeli. Dotychczasową niezwykłą ciszę, którą zakłócały tylko głosy wystraszonych ptaków i uciekających zwierząt, przerwało przybliżające się głucho dudnienie. Przypominało dalekie grzmoty albo pędzący ciężki pociąg. Chmury dymu nad Kaluczem zaczęły się kłębić. Nie było wątpliwości, że gdzieś tam miotają nimi powietrzne wiry. A przez Pójnę nadal uciekało wszystko, co po tamtej stronie jeszcze żyło. W całkowitej symbiozie płynęły obok siebie wilki z zającami, niedźwiedzie, jelenie i sarny, pasiaste burunduki, lisy, płochliwe sobole, jeże, a nawet ślepe, niezdarne krety. Zręcznymi zygzakami pokonywały bystry nurt rzeki nieszkodliwe zaskrorice i jadowite żmije, których w tajdze nie brakowało.

Wkrótce głucho dudnienie jeszcze się nasiliło, a wiatr dmuchnął na Kaluczoje gorącym niby z pieca. Na drugim brzegu Pójmy pojawił się ogień. Szedł górą, skakał, ślizgał się wierzchołkami drzew. Rwał do przodu, rozszerzał się błyskawicznie. Iglaste korony sosen, świerków i modrzewi zapalały się, buchały pochodniami. Gdzie okiem sięgnąć, widać było płomienie. Pożar zbliżał się do Pójmy

z szerokością kilkudziesięciu kilometrów. Ale kiedy ogień dotarł do rzeki, naprzeciwko Kaluczego, ta go zatrzymała. Na jak długo? Rozszalałe płomienie, które nagle koryto rzeki oddzieliło od żeru, nie zamierzały się poddawać. Ludzie patrzyli ze strachem, jak płomień, zwęgliwszy wierzchołki, splewał gałęziami drzew ku dołowi, jak wzmacniał się licznym tu suchodrzewiem, rzucał się żarłocznie na gęsty młodnik, na splecione z krzakami i korzeniami zeszłoroczne trawy. Aż do samej wody płomień pożerał wszystko na swojej drodze, pozostawiając po sobie pogorzelsko, czarny popiół i duszący dym. Już, już zdawało się ludziom, że zbawcza rzeka ten straszliwy żywioł zatrzyma. Ale ogień nie dawał za wygraną. Zaczął z powrotem wspinać się na wysokie niedopalone drzewa. Palił je od dołu i jak zdesperowany drwal walił z hukiem na ziemię. Gorący wiatr zmieniał się w huragan, kręcił trąby powietrzne, rozrzucał daleko, strzelał płonącymi żagwiami na drugi, zdawało się, niedostępny brzeg. Ludzie biegli nad Pójmę, gasili dące się odpryski konarów, damsili, czym się dało, nowe zarodki pożaru już tutaj, na ich brzegu. Tu zagasili, a o krok dalej zapalało się nowe ognisko i pełzło przed siebie. I tak bezustannie trwało to przez cały dzień. I całą następną noc. Dopiero drugiego dnia nad ranem na to rozpalone czerwono-czarne dymiące piekło płonącej tajgi spadła niespodziewana ulewa. Ulewa wiosenna, gęsta i miotająca strugami wody. Na drugim brzegu Pójmy zagotowało się, zabulgotało, na ogromnym pogorzelsku buchnęły pod niebo kłęby pary. Ludzie z Kaluczego, śmiertelnie zmęczeni, pijani czadem, wracali do swoich baraków. I, o dziwo, wracali prawie szczęśliwi, jak to się zwykle wraca do ocalonego przed żywiołem domu. A niektórzy, babki Szajniny nie wyłączając, za cudowne ocalenie przed tym piekłem Bogu dziękowali.

Z pogorzelska na drugim brzegu Pójmy długo jeszcze splewał na Kaluczoje mgławicowy, wyjątkowo nasycony czadem i duszący dym. Wciąż tliły się tam torfowiska i zależę powalonych z korzeniami drzew. Jak okiem sięgnąć, czerniała wypalona, spopielona ziemia. Po przejściu ogromnego pożaru nic, co żywe, na tamtym brzegu się nie

ostało. Do korzeni spłonęły krzewy i trawy. Wyginęło łub uciekło stamtąd wszystko, co się ruszało. Nawet żmije odpełzły. Muszki i komary też na jakiś czas zniknęły. Nieliczne ptaki krążyły nad pogorzelskiem wysoko, przylatywały z dalekiej zielonej tajgi na zwiady, ale zaraz, nigdzie nie przysiadając - wracały. Niekiedy tylko odważny kruk przycupnął na kikucie osmolonego pniaka, zatrzepotała skrzydłami ciekawa wszystkiego, głośno skrzecząca sroka, ale i one odlatywały. Z grubszego zwierza, jako pierwsze wyprawiały się na pogorzelsko wilki i niedźwiedzie. Niedźwiedzie w poszukiwaniu zasiedziały gawr, z których wypłoszył je pożar. Wilki wracały na swoje ulubione łowiska i też szukały swoich letnich barłogów. Ale przede wszystkim ciągnęły na żer. Pożar zabił, choć nie zawsze do końca spalił, wiele płowej zwierzyny: zwłaszcza łosi, jeleni i saren. Smakosze padliny wyczuli z daleka łatwy łup. Razem z drapieżnikami myskowali na pogorzelsku w poszukiwaniu jądła, niemniej od nich wygłodniiali, ludzie z Kaluczego. Wystarczyło, że paru odważniejszych przeprawiło się przez Pojmę i przywlokło z pogorzelska nadpaloną tuszę sarny, a już na drugi dzień buszowało tam prawie całe Kaluczoje. Ostrzeżenia felczera Tartakowskiego, że jedzenie padliny może ściągnąć różne choroby, wygłodzonych ludzi nie odstraszały.

- Co on nam tu będzie opowiadał! Świeże, dobrutkie mięso, nawet wcale go nie czuć.

Ludzie obżerali się padłą w czasie pożaru dziczyzną. Kobiety wyklócały się o miejsce na piecykach. Co niecierpliwi rozpalali przed barakami ogniska, wieszali nad nimi baniaki i wiadra. Wszyscy gotowali i jedli dzikie mięso. I od niepamiętnych czasów tu w Kaluczem mogli się wreszcie do syta najeść. Wyniszczony długotrwałym głodem człowiek nie zna żadnej miary. Organizm już fizycznie nie może przyjmować pokarmu, ale rozpalone żądzą oczy głodomora nie dają mu spokoju, płaczą głodem. I wygłodniiali ludzie jedzą, jedzą, jedzą... Na opłakane rezultaty tych uczt nie trzeba było długo czekać. Potworne kolki i śmiertelne skręty kiszek. Ataki krwawej, wyniszczającej biegunki. Nie odstraszało to ludzi. Głód był silniejszy od rozumu.

Ludzie wciąż przeszukiwali pogorzelisko, zwłaszcza że zdarzało się, iż natrafiali na zwierzętajeszcze żywe, poranione, które nie mogły uciekać. Nie wiadomo, jak długo to by jeszcze trwało i czym by się skończyło, gdyby nie spotkanie z niedźwiedziem, które przydarzyło się dwóm poszukiwaczom padliny.

W zacisznej kodince opadającej ku strumyczkowi mężczyźni zauważyli wydeptane popielisko i coś jakby specjalnie przykrytego stertą osmolonych gałęzi, przywalonych na dodatek solidnym sosnowym odziomkiem. Podeszli, rozgrzebali gałęzie. Leżała tam spora sarna, ale już śmierząca. Nawet zdania wymienić nie zdążyli, kiedy ze skarpy z wściekłym rykiem stoczył się ku nim olbrzymi niedźwiedź. Szybki jak błyskawica, jednym uderzeniem łapy zabił najbliższego, drugiego odrzucił pod najbliższe drzewo z taką siłą, że tamten od razu stracił przytomność. I to go pewnie uratowało. Doszedłszy do siebie, mężczyzna zorientował się, że jest już noc, a on leży przykryty gałęziami obok nieżywego kolegi i śmierzącej sarny. To zapobiegliwy niedźwiedź całą swoją zdobycz przykrył naręczami konarów i przywalił ciężką kłodą. Niech sobie to jedzenie dojrzewa na potem! Człowiek miał jeszcze tyle sił i rozsądku, że jak mógł najostrożniej i najszybciej, spod tego zwału się wyśliznął i śmiertelnie wystraszony dotarł do Kaluczego.

Olbrzymiego niedźwiedzia „szatuna” - włóczęgę - zastrzelił następnego ranka dziadek Fiedosiej. Nie musiał go nawet specjalnie długo tropić. Doświadczony myśliwy wiedział, że niedźwiedź swojej zdobyczy przemyślnie ukrytej pilnuje i przyjdzie ją zeżreć albo sprawdzić, czy mu jej ktoś nie ukradł.

- Na niedźwiedzia, który raz na człowieka łapę podniesie, nie ma żadnej rady, ludobójca się z niego zrobi. Zabić go trzeba, bo albo on, albo człowiek...

Tej wiosny ludzie z Kaluczego uniknęli epidemii tyfusu, natomiast masowo zaatakowała ich malaria. Już zeszłego lata niektórzy na tę chorobę zapadali, ale były to pojedyncze przypadki. Teraz zanosilo się na epidemię. Przenoszona przez insekty, a zwłaszcza komary,

malaria trawiła chorych wysoką gorączką, na przemian z przejmującą do szczyku zębów zimnicą. Leczeni chininą, a tylko tym lekiem felczer Tartakowski dysponował, malarcy nabierali żółtego koloru i upodabniali się do cytrynowej skórki. Ataki malarii zdarzały się ludziom, gdzie popadnie, o każdej porze dnia i nocy. I znowu ludzie umierali, znowu zesłańczy cmentarz nad Pojmą powiększał się nowymi mogiłami, choć nie tak często jak tej zeszłej tyfusowej wiosny.

Czerwiec. Pełnia bujnej, syberyjskiej wiosny. Drugiej wiosny zesłania. To, co z tego, że w przyrodzie wszystko z wiosną rozwija się, kwitnie i rwie się do życia. W zesłańczej polskiej duszy w taką wiosenną bujną porę robi się jeszcze bardziej tęskno, ponuro i beznadziejnie. Wspomnienia spać nie dają. Ale jak długo można żyć wspomnieniami? W głuchej tajdze nie docierają do nich żadne sprawdzalne wiadomości, co się tam w Polsce, w dalekim świecie dzieje. Powoli wszystko, co było, staje się jakby nierealnym snem.

Któregoś czerwcowego ranka wszystkie brygady idące na porębę zawrócono z drogi i pilnie skierowano na plac zbiórek przed komendanturę. Nawet rosyjscy brygadziści nie znali przyczyny: rozkaz komendanta, i tyle.

Zesłańcy gubili się w domysłach:

- Może uciekł ktoś z naszych?

- Coś ważnego musi być, skoro tyle luda od roboty oderwali.

- Cicho tam, komendant idzie, zaraz się dowiemy. Tymczasem Sawin wyszedł do nich w otoczeniu całej swojej świty, co

mu się dotąd zdarzało tylko z okazji uroczystych akademii. Wszyscy byli w mundurach, z pistoletami u pasa. Weszli na podwyższenie z desek. Dwaj żołnierze, niby na warcie honorowej, stanęli po bokach, z karabinami u nogi. Zdziwieni ludzie zamilkli, przygotowali się do słuchania. Komendant wysunął się o krok do przodu, chrząknął głośno i raczej wykrzyczał, niż wypowiedział tylko dwa słowa: -Wojna, obywatele!

Zaskoczenie było całkowite. W dumie zesłańców zawrzało. Wojna! Jaka wojna? Kto z kim wojuje?, Gdzie, co? Rozgorączkowana wyobraźnia błyskawicznie podpowiadała rozmaite rozwiązania: Ameryka o nas się upomniała? A może Japonia na Rosję napadła? Nie pierwszy raz przecież, no i stąd, z Sybiru, wcale tak znów do tej Japonii niedaleko! A może... „Cicho, cicho!” Ludzie czekali na szczegóły. Przerwa trwała tyle, by Sawin zdążył rozprostować na raportówce pomietą kartkę.

-Wojna, obywatele! - Powtórzył, tym razem spokojniej, bez krzyku. Potem przeczytał z kartki:

**„Wczoraj, to jest 22 czerwca 1941 roku, dokładnie o godzinie czwartej nad ranem według czasu moskiewskiego, faszystowskie Niemcy wiarołomnie napadły na Związek Radziecki!”**

- Niemcy! Niemcy! - zaszepetano w dumie.

Dalej mówił własnymi słowami, podniecał się i krzyczał coraz głośniej:

- Faszyści napadli na naszą radziecką ojczyznę tchórzliwie, po bandycku, bez wypowiedzenia wojny. Bombardują nasze spokojne wioski i miasta. Nasza bohaterska Czerwona Armia stawia wrogom zacięty opór i już od pierwszych godzin spowodowała faszystowskim psom ogromne straty. Zniszczono setki niemieckich czołgów i samolotów, zabito i wzięto do niewoli wiele tysięcy hiderowskich bandytów. Nie ma takiej siły na świecie, która by nas pokonała! Towarzysz Stalin osobiście kieruje wszystkimi wojennymi działaniami. Pod jego genialnym przywództwem na pewno zwyciężymy! Śmierć hitlerowskim faszystom! Niech żyje towarzysz Stalin! Ura!

- Ura, ура, ура! - odkrzyknęli ludzie komendanta, wszyscy funkcyjni i brygadziści. Zaskoczony tłum zesłańców milczał.

Potem komendant, punkt po punkcie, omówił nowe zarządzenia, jakie od tej chwili, w związku z wybuchem wojny, w Kaluczem obowiązują. Roboczy czas wydłuża się o dwie godziny. Nie ma dni wolnych od pracy. Obowiązujące dotychczas normy pracy zostaną odpowiednio powiększone. Wojennym przymusem pracy zostają objęci wszyscy, poczynając od lat czternastu. Każde niewypelnienie normy, uchylanie się od pracy, samowolne przerwy w robocie będą surowo karane, do postawienia przed sądem włącznie. Za świadomy sabotaż, w myśl prawa wojennego grozi kara śmierci. Taka sama bezlitosna kara spotka wszystkich defetystów i wrogów radzieckiej władzy, którzy odważyliby się na działalność kontrrewolucyjną albo na rozsiewanie wrogiej propagandy. O sto gramów będą od dzisiaj obniżone codzienne racje chleba.

- Wojna ma swoje żelazne, surowe prawa, obywatele przesiadłeńcy. Myślę, że się dobrze rozumiemy... Cały radziecki naród w tej hi-

storycznej chwili stoi murem za swoją bolszewicką partią. I wszystkie swoje siły poświęci dla zwycięstwa nad niemieckimi faszystami. Wierzę, że swoją stachanowską pracą i wy się do tego rychłego zwycięstwa przyczynicie. Tu, na dalekim frontowym zapleczu, macie okazję się zrehabilitować. Od dziś, tak jak w całym kraju, i u nas w Kaluczem obowiązuje hasło: „Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa!”

Brygady wyruszyły do tajgi spóźnione, wlokły się powoli, rozgadane jak nigdy. A jedynym tematem była niemiecko-rosyjska wojna. Na porębie robota się nie kleiła. Nawet najbardziej srodzy brygadziści zbierali wokół siebie grupki ludzi, woreczek z machorką z rąk do rąk puszczali i wdawali się w pogwarki o wojnie. Wiedzieli przecież, że Polacy wojnę z Niemcami przeżyli na własnym losie. Dla Rosjan zaś wiadomość o niemieckiej napaści, o wiarołomstwie ich dotychczasowego sojusznika, razem z którym we wrześniu 1939 roku najechali Polskę i którego błyskawicznymi zwycięstwami prawie nad całą Europą tak się w tutejszej propagandzie cieszą, była prawdziwym szokiem. A do tego każda wojna jest wojną i czego, jeśli nie nieszczęść wszelakich można się po niej spodziewać? Nawet jeśli dla Związku Radzieckiego ma to być wojna zwycięska! Mobilizacja, rozłąka z rodziną, groźba śmierci i kalectwa. Z czego tu się cieszyć?

Tego wieczoru, po robocie, zwłaszcza w baraku, gdzie zwartą grupą mieszkali ludzie z podolskiego Czerwonego Jaru, o niczym innym jak o wojnie niemiecko-rosyjskiej nie rozmawiano. Tutaj wszyscy mieli do siebie zaufanie, więc nikt nie krył swoich myśli. Chłopi obsiedli długi stół, dymili machorkowymi skrętami i politykowali. Z rzadka wtrącały się do nich co odważniejsze baby. Z rozdziawionymi z ciekawości ustami przysłuchiwała się dorosłym co bystrzejsza dzieciarnia, a zwłaszcza dorastające chłopaki.

- Pamiętajcie, ludzie, że tam, gdzie się dwóch bije, to trzeci korzysta! Wspomnicie moje słowa. - Walnął pięścią w stół Manterys, wyraźnie ożywiony i jakby weselszy niż na co dzień.

- Zaraz, zaraz, to znaczy ty, Ludwik, uważasz, że my Polacy coś niby na tej wojnie skorzystamy?



- Tak mi wychodzi. Polska skorzysta, a jak Polska, to i my.

- Człowieku, jak to sobie wymyśliłeś? Obojętnie, kto w tej wojnie wygra, Niemiec czy Ruski, to i tak dla nas nic z tego. Jak niewola była, tak i będzie. Żaden z nich Polsce nie popuści.

- A my też tu, tak czy tak, na tym cholernym Sybirze żywota dokonamy.

- Tyle tylko, że przez tę wojnę to tak nam tu śruby przycisną, że wyzdychamy wcześniej niż później... O, już od dzisiaj i norma większa, i chleba mniej o całe sto gramów.

- Uspokójcie się, chłopcy! Spokojnie! - tonował Manterys. - Sami teraz widzicie, jaka zawierucha na świecie przez tę wojnę się zrobiła. Jeśli my tutaj tak się o nią spieramy, to co dopiero dzieje się między politykami? A ja wam jeszcze raz powtarzam, że my akurat na tej wojnie nie mamy nic do przegrania. I obojętne, jakby się ona skończyła. Tak czy tak świat już nie będzie taki sam jak teraz. Ajak świat taki sam nie będzie, to i nasz los musi się odmienić.

- Byle nie na gorsze, byle nie na gorsze.

Po paru dniach przyszły do Kaluczego pierwsze mobilizacyjne wezwania. Zabierano na wojnę kilkunastu rosyjskich pracowników lespromchozu, w tym dwóch brygadzystów. Powołani „gulali” na zabój i prawie nie trzeźwili. Z administracyjnego baraku do późna w nocy słyhać było harmonie i śpiewy. Razem z przyszłymi „bejcami” gziły się sprzedajne kobiety. A wśród nich Irena Pucowa. Tej nie szczęściło się jakoś z ruskimi kochankami, bo co z którym się na dłużej związała, po jakimś czasie zniknął. Młody komendant transportu został w Karisku, garbaty oper Barabanów umarł w Kaluczem na tyfus, a teraz brygadzysta Bukowski szedł na wojnę. Irena postanowiła sobie, że robi to dla dzieci, nie da im umrzeć z głodu. A z ludzką opinią już dawno przestała się liczyć. Bukowski był dobrym i szczodrym kochankiem. Opiekował się Ireną w pracy, gdzie się dało, normy przypisywał i dzieciakom produktów nie żałował. Więc kiedy teraz żegnał się z nią, odchodząc na front, Irena zalewała się rzewnymi łzami. I nad nim, i nad sobą. Bukowskiego w ostatniej chwili

sumienie widać ruszyło, a może już niczego się nie obawiał, bo przekazał Irenie ważną wiadomość dla Sylwii Krakowskiej.

- Powiedz jej, że Paszkę Siedycha okazji nie widziałem. Pamiętasz, kiedy w Tajszecie byłem? No, to wtedy go spotkałem. Pod konwojem przy układaniu pokładów kolejowych pracuje. Zdrowy jest. O nią pytał. Interesował się, czy już dziecko urodziła. Urodziła czy nie? Nawet nie wiem?

-Już niedługo chyba. Grubaśna chodzi.

- Żalił się, mówił, że listy do niej pisze, ale nie ma odpowiedzi. No i tyle, bo konwój nas rozdzielił. Dureń z tego Paszki, jakby nie wiedział, że komendantura żadnego listu nikomu z was nie doręczy. Całe ich sterty w szafie u Sawczuka leżą. Ty też na moje nie czekaj, bo ci nie doręczą. Gdybym nawet napisał z wojny...

Jeszcze tego samego dnia Irena pośpieszyła z tą wieścią do Sylwii. Lubiła tę dziewczynę, a nawet porównywała się do niej ze swoim losem, bo Sylwię także uważano w Kaluczem za ruskiego wycirucha. Sylwia siedziała na pryczy i coś tam cerowała. Krucha jak słomka, wapienno blada na twarzy, spojrzała na Irenę zdziwionymi, granatowo podkrążonymi oczami. Wielki bębnowaty brzuch opadał na jej chude, rozkraczone uda. Irena przysiadła na pryczy i podała jej kawałek cukru.

- Coś ty, Irena! Dzieciakom swoim zostaw.

- Bierz, bierz! Dzieciaków nie skrzywdzę. Od Bukowskiego dostałam. Na wojnę dzisiaj poszedł. Do roboty już nie chodzisz?

- Widzisz przecież. Felczer mnie zwolnił.

- To kiedy się spodziewasz?

- Skąd ja mogę wiedzieć? Babka Szajnina mówią, że to już lada dzień.

- W krzyżu cię boli?

-Już drugi dzień, co jakiś czas tak, że ruszać się nie mogę.

- To już rzeczywiście niedługo. Ajak skurcze się zaczną i śluzem zaczniesz spływać, to wołaj pomocy. A ma ci to kto pomóc?

- Mama jest... Babka Szajnina obiecała pomóc. Boję się...

- A to niby czego? Rodzić rzecz babska. Trochę poboli, to prawda. Ale nie taki diabeł straszny. Wiem coś o tym, dwójkę urodziłam. Urodzić łatwiej, gorzej potem wychować. Zwłaszcza samej... Masz od tego swojego Paszki jakieś wiadomości?

- Nie wspominaj lepiej... Skąd niby?

- Z chłopami to tak zawsze, dziewczyno. Najlepiej to im idzie rozpinanie rozporka. Swoje zrobią, dupę w troki, a ty, głupia babo, radź sobie potem, jak chcesz.

-Aresztowali go przecież. Nie jego wina.

- Tak sobie, Sylwus, w ogóle mówię. Gorzko mi, czasem żyć mi się już odechciewa. Gdyby nie te moje dzieciaki... A przysłałam ja do ciebie, dziewczyno, z dobrą wiadomością! Żyje ten twój Paszka! Pozdrowienia ci przesyła. Czy już urodziłaś, pytał.

- Boże! Irena! Co ty mówisz? Skąd wiesz? Widziałaś go? Może tu jest?

- Uspokój się, wariatko, bo mnie zadusisz. I zaszkodzić ci to może. Siadaj wygodnie, zaraz ci wszystko po kolei opowiem...

Poród rozpoczął się w nocy. A wraz ze słońcem noworodek Sylwii wydał głos.

- Ze wschodem słońca się urodził! To dobry znak. - Sprorokowała babka Szajnina, która poród odbierała. - Syna urodziłaś! I to jakiego! Waży jak dobry wieprzek. Chyba z pięć kilo tego chłopca będzie. No nie drzyj się tak, nie drzyj.

Babka Szajnina jeśli już się za coś brała, doprowadzała sprawę do końca. Jeszcze tego samego dnia zarządziła chrzciny.

- To co, że nie ma księdza i święconej wody? Poganina chcecie chować? Sama go ochrzczę. Ajak wrócimy do Polski, to najwyższej ksiądz poprawi. Stasiu, dobrze, dziecko, że jesteś pod ręką, weź tę flaszkę i nabierz z Pójmy wody Duchem, na jednej nodze.

Jako chrześni wystąpili Honorka Unicka i sąsiad z pryczy, Jan Dolina.

- Wybrałaś mu jakieś imię?

- Chciałabym żeby..., może Paweł? Pawełek.

- Paweł! Czemu nie. Razem ze świętym Piotrem będzie imieniny obchodził - zaaprobowwała babka, ale jej przez myśl nie przeszło, że było to imię nieobecnego na tej ceremonii ojca dziecka, Paszki Siedycha. - Honorka, weź małego na ręce. Ostrożnie, ostrożnie, nie dumok przecież. Staszku, dawaj flaszkę. Z Pójmy?

- Z Pójmy, babciu.

- Nie cyganisz czasem? Świętego Jana też wodą z rzeki Jordanu chrzcili. Czysta? Czysta, no to zaczynamy, w imię Boże! Przeżegnajmy się wszyscy. Tak. Bliżej, Honorka, bliżej, odsłoń mu trochę więcej tej łepety. A teraz ja ciebie chrzczę - tu babka chlapnęła wodą na małego - w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego - polala wodą jeszcze raz, aż mały zmarszczył nos i zaskrzeczał z przestachu - i nadaje ci imię Paweł. Amen!

Komendant Sawin prawie nie odchodził od radiostacji, rzucał się na nadchodzące z centrali informacje, w strzępy zaczytywał przywożone z Kańska i Tajsztetu gazety. Wszystkie dochodzące do Kaluczego wieści o wojnie, a zwłaszcza te gazetowe, były znacznie opóźnione. I prawie wszystkie ponure, wręcz tragiczne.

Nie minął jeszcze pierwszy miesiąc wojny, a Niemcy już zajęli Litwę, Łotwę, Białoruś, Mołdawię i prawie całą Ukrainę! Ich pancerne zagony zbliżały się do Leningradu i Smoleńska. Do Smoleńska! A przecież od tego miasta tylko krok do Moskwy! Armia radziecka cofała się na całym froncie, doznając klęski za klęską. Staremu cze-kiście nie mogło się to wszystko pomieścić w głowie. Nie umiał znaleźć innych przyczyn tych klęsk poza jedną: kontrrewolucyjny sabotaż i zdrada! Upijał się, zgrzytał zębami z wściekłości, że NKWD za mało wytlukło tej oficerskiej bandy Tuchaczewskiego, tych polskich i niemieckich szpiegów i burżuazyjnych sługusów. Co, czy nie wykazały tego przedwojenne procesy i prokuratorskie mowy towarzysza Wszyńskiego? Podnieciwszy się tym sposobem, prawie zawsze, mimo że następnego ranka skacowany łeb pękał mu od bólu, wlewał w siebie szklanekę gorzały, wzywał swojego zastępcę i nieodmiennie zaczynał:

- Naradzić się musimy, Sawczuk.
- Tak jest, towarzyszu komendancie!
- Tak jest, tak jest! A odpowiedzi na twój raport jeszcze nie ma. Widocznie takich bohaterów jak ty mają na froncie pod dostatkiem. Spieprzają jak zające, jebana ich mać! Ty sobie to, Sawczuk, wyobrażasz!? Całą twoją Ukrainę zajęli. A ci wciąż uciekają. Zdrajcy, tchórze, kontra niedobita! Napijesz się kielicha?
- Kiedy ja właśnie, towarzyszu komendancie...
- Pij, Sawczuk, panienki mi tu nie zgrywaj. Na front się rwiesz, a szklanki wódki jak prawdziwy chłop wypić nie potrafisz. Pij! No teraz melduj, co tam u tych twoich „jasnych panów” słychać. Co ci tam twoi „stukacze” nadonosili? Co o wojnie Polacy gadają? Kontry nam jakiejś nie szykują?
- Kontry jak kontry, ale o wojnie dyskutują cały czas.
- No i co mówią?
- Różnie. Ale ogólnie to się tą wojną specjalnie nie martwią. A niektórzy to nawet z niej się cieszą.
- A to pańska kontra! Brać takich, Sawczuk, na co ty jeszcze czekasz? Pod ścianę z takimi! Jak wojna, to wojna... A swoją drogą ciekawe, z czego ci Polacy tak się cieszą? Chcą, żeby Niemcy wygrały czy co?
- Tacy też by się znaleźli. Ale większość z nich sądzi, że wybuch wojny coś w ich losie na świecie odmieni. Może znowu Polska powstanie, a oni wrócą do swoich domów. Liczą na Anglię, na Amerykę...
- Na Anglię, na Amerykę... I wciąż tylko ta ich Polska! Za wielka to dla mnie z tobą, Sawczuk, polityka. Nalej jeszcze po jednym...
- Ale, towarzyszu komendancie, są i tacy, którzy pytają, czy Polaków będziemy na front mobilizować. Niektórzy nawet na ochotnika chętnie by się zgłosili.
- Mówisz? No, ja już ich widzę na froncie! Przy pierwszej lepszej okazji połowa z nich do Niemców by uciekła. Nie wierzę im, Sawczuk, ani za grosz nie wierzę. Im, bracie, chodzi tylko o jedno, żeby się stąd wyrwać! Obojętne pod jakim pretekstem. Tym „ochotnikom” to ty się szczególnie przypatruj. I opisz mi to wszystko w raporcie.

Sawczuk wyszedł „po odprawie” od komendanta lekko zamroczony wypitym prawie na czczo alkoholem, lecz nie na tyle, żeby się nad tym, co usłyszał od Sawina, nie zastanowić. I nie wyczuć grożącego mu od tego starego wygi niebezpieczeństwa. „W razie czego Sawin wszystko zwali na mnie. I tak mnie urządzi, że zamiast na froncie, zdegradowany na Kolymie wyląduję. Wojna przecież. Prawo wojenne obowiązuje, a my się tu z tymi Polakami, tak prawdę mówiąc, za bardzo cackamy. Z nastaniem wojny politykują, w robocie się obijają. A może nawet sabotują? Przecież ja od czasów tego Daniłowicza żadnej nowej politycznej sprawy w Kaluczem nie wykryłem! Dużo brakuje, żeby taki Sawin, pijaczyna ubogi, ubzdurał sobie, zaczął podejrzewać, że i ja tym polskim panom sprzyjam.”

Jeszcze tej nocy oper Sawczuk zatrzymał w „katałażce” Manterysa za „kontrrewolucyjną propagandę”. Nazajutrz aresztował Derenia, który podawał się za polskiego komunistę i zgłosił się na ochotnika do Armii Czerwonej. Postawił mu zarzut, że chce pod tym pretekstem dostać się na front, a stamtąd przedostać się do Niemców.

Trwało krótkie syberyjskie lato. Tego roku wyjątkowo suche i upalne. W Kaluczem nawet muszek i komarów jakby nieco mniej było. Może ogromny wiosenny pożar tajgi to sprawił? A może Polacy do tej syberyjskiej plagi pomału się przyzwyczaili? „Prywykniesz, przywyk-niesz, a nie przywykniesz - zdochniesz!”...

Wraz z wybuchem wojny radziecko-niemieckiej dla polskich zesłańców nastały jeszcze cięższe czasy. Wszystkie dotychczasowe bytowe niewygody i dolegliwości znacznie się zaostrzyły. Zmniejszono żywnościowe racje. Zwiększono normy pracy i zrygoryzowano jej dyscyplinę. Komendantura NKWD stała się jeszcze bardziej podejrzliwa i represyjna. W Kaluczem nie było dnia, żeby komendant Sawin i jego ludzie nie przeszukiwali baraków, nie wyłapywali „nierobów i symulantów”. Do roboty przy wyrębie tajgi goniono „żywego, krzywego”. W barakach zostawali tylko trzęsący się starcy, małe dzieci i bezsilni obłożnie chorzy. Rozwścieczony komendant wzywał do siebie felczera Tartakowskiego, beształ go za udzielanie lekarskich zwolnień i groził oddaniem pod sąd. Zaprzesztano budowy nowych baraków. Komendant dawno zapomniał o obiecywanej szkole dla dzieci i karczowaniu tajgi na ogródki. „Wsio dla fronta, wsio dla pobiedy!” Ścinać tajgę, ściągać sągi masztowych sosen nad Pojmę, niech podeschną do przyszłorocznego spławu.

Mobilizacja zabrała prawie wszystkich Rosjan, stałych pracowników lespromchozu: brygadzistów, leśniczych, majstrów. Nie było rady, musieli ich zastąpić polscy zesłańcy. Komendant kazał Sawczukowi wytypować odpowiednich ludzi.

- Paru takich speców potrzebujemy. Tylko, uważaj mi, Sawczuk, jakby jakiś sabotaż czy coś podobnego, głową za nich odpowiadasz.

- Nie ma obawy, towarzyszu komendancie! Już ja ich przypilnuję. W każdej brygadzie mam swoich ludzi.

Dąbrowski pochodził spod Borszczowa, gdzie był gajowym w dobrach księżnej Lubomirskiej. W Kaluczem niczym specjalnie się nie wyróżniał. Chyba tylko los sprzyjał mu bardziej niż innym, bo jego rodzina, a miał żonę i dwoje dzieci, dotąd uchowała się w całości. Zdarzyło się, że komisarz Sawczuk, zresztą przypadkowo, przyłapał Dąbrowskiego, kiedy ten z workiem żywności wracał z Usolia. Było to już po aresztowaniu i skazaniu za takie samo przewinienie Daniłowicza. I wtedy to, zastraszonego czekającymi go konsekwencjami, Dąbrowski zgodził się na współpracę z NKWD i podpisał stosowne zobowiązanie. Odtąd tajnie spotykał się z Sawczukiem i donosił. To na podstawie jego donosu Sawczuk aresztował Manterysa.

Komisarz Sawczuk od razu odkrył karty i już na pierwszym przesłuchaniu zarzucił Manterysowi uprawianie „antyradzieckiej propagandy i sianie defetyzmu na zapleczu frontu”. Jeśli coś w tym wszystkim Manterysa zaskoczyło, to zachowanie komisarza, bo nie tak sobie oficera NKWD w akcji wyobrażał. Sawczuk traktował Manterysa poprawnie, nie bił, nie krzyczał i nawet specjalnie mu nie groził. Na przesłuchaniach pozwalał Manterysowi siedzieć i wdawał się z nim w długie dyskusje. Protokoły spisywał krótkie i rzetelne. No i wiedział o nim prawie wszystko. Wiedział o przepowiedni, którą Manterys czytał ludziom w baraku pamiętnej wigilijnej nocy. Wiedział, i to w najdrobniejszych szczegółach, o barakowej dyskusji na wieść o wybuchu radziecko-niemieckiej wojny. Na tej podstawie Manterys nabrał pewności, że Sawczukowi doniósł na niego któryś z barakowych sąsiadów. Ale kto? Zarzutem Sawczuka specjalnie nie zaprzeczał, tyle, że tłumaczył mu je po swojemu. Ale gazety z przepowiednią nie wydał. Upierał się, że gazetowy papier od stałego noszenia w kieszeni zniszczył się już dawno temu.

- Łżesz, Manterys, po oczach widzę. Wydasz mi ją, wcześniej czy później. Czasu mamy dużo... A teraz powiedz mi do protokołu, co ta przepowiednia głosiła?



- Przecież pan wie? Donosiciel ją panu streścił. A może nawet zapisał?

- A może nawet zapisał... Aleja od ciebie chcę to usłyszeć.

- Szkoda czasu, panie komisarzu. Niech mi pan ten donos pokaże, to szczerze powiem, czy ten pański kapuś prawdę napisał.

- Wstydzilibyś się, Manterys. Co ty, za głupka mnie masz? Kto tu prowadzi śledztwo? Był donos czy nie było, co ja wiem, to wiem, a ty masz zeznawać do protokołu. No, co tam w tej przepowiedni było? Było, na ten przykład, że ta wasza Polska znowu powstanie?

- Było.

- „Od morza do morza”?

- Było.

- I ty w to wierzysz?

- Bardziej niż w siebie samego.

- I czytałeś tę przepowiednię ludziom w baraku?

- Czytałem.

- Czytałeś ludziom, że Polska będzie od morza do morza? Czytałeś. To co? Granice Związku Radzieckiego chcesz zmieniać?

- Polska była zawsze. Nie ja tę przepowiednię napisałem. A jeśli chodzi o granice, co ja mogę, panie komisarzu?

- A z wybuchu wojny to się może nie cieszyłeś? -Jakby to panu wytłumaczyć?

- Co tu jeszcze tłumaczyć, tu fakty się liczą. Faszyści zbrodniczo napadają na miłujący pokój Kraj Rad, bombardują jego spokojne miasta i wioski, mordują starców i dzieci, a ten się z tego cieszy! A do tego jeszcze siałeś wśród ludzi niewiarę w nasze zwycięstwo. Faszyzm pochwalaleś, Hitlera ci się zachciało? O nie, Manterys, na sucho to ci nie ujdzie! Wojenne prawa mamy surowe, Manterys. Bardzo surowe.

Trzymano Manterysa w komendanckiej „katałażce”. W sąsiedniej klitce siedział Antoni Dereń. Z Manterysem znali się jeszcze z Polski, bo Dereń pochodził z Tłustego, gdzie pracował w cegielni. Miał opinię porządnego chłopca, choć posądzano go o komunizm. A po-

wiatowa policja co jakiś czas nękała go przesłuchiwaniami i przytrzymywała na posterunku. Podobno ledwie przed Berezą się wybronił. Coś z tym komunizowaniem musiało być na rzeczy, bo kiedy we wrześniu wkroczyli Rosjanie, to Antoni Dereń, razem z paroma miejscowymi Żydami i Ukraińcami, zasiadł do nowych rządów w czerwonym gminnym sowiecie. Ale wkrótce go stamtąd wyrzucono, a 10 lutego wywieziono na Sybir. Co złośliwi, w tym i Manterys, nieraz ten komunizm Dereniowi wytykali i dowcipkowali, że wyszedł na nim jak Zabłocki na mydle. Dereń, chłop miłkiwy, swoje wiedział, zamknął się w sobie, na docinki nie reagował. A kiedy epidemia tyfusu zabrała mu żonę z dwojgiem dzieci, został samotny jak palec. To prawda, że kiedy wybuchła radziecko-niemiecka wojna, postanowił zgłosić się na ochotnika na front. Nie on jedyny. W Kaluczem zgłosiło się kilkunastu Polaków z prośbą o wzięcie ich na wojnę. Byli to przeważnie kawalerowie, zdecydowani na każde ryzyko, byle tylko z tutejszej katorgi się do świata wyrwać.

Spośród takich ochotników Dereń był wiekiem najstarszy, a do tego przedwojenny polski komunista. Komendant Sawin, nie miał cienia wątpliwości.

- Ani chybi, Sawczuk, ten Dereń to niemiecki szpion! No, coś tak gębę rozdziawił?

- Szpieg? Niemiecki? Towarzyszu komendancie, ja mam sprawdzone dane, bo tu ludzie go znają, że Dereń to naprawdę przedwojenny polski komunista! Polska policja go ściagała.

- O to właśnie chodzi! Oj, Sawczuk, Sawczuk. Gdzieś ty się, chłopie, uchowal? Co, może cię nie uczono w „czeka”, za co Komintern Komunistyczną Partię Polski rozwiązał? Przecież tam agent na agencie i szpieg na szpiegu siedział! Szwedzki, niemiecki, jakich chcesz, na kopy tam było. Nic dziwnego, że towarzysz Stalin kazał to całe prowokacyjne towarzystwo rozpedzić. A ile to procesów polskich u nas było? Patrzcie go, jak się taka swołocz u nas przytała. Jaką przykrywkę sobie wynalazł. A teraz znalazł okazję i myślał, że nas przechytry. Bierzemy, Sawczuk, gada! Jeszcze tej nocy!

Od pierwszej chwili potraktowali Derenia bardzo surowo. Sawin osobiście włączył się do uciążliwych, długotrwałych przesłuchań. W nocy zrywali go ze snu, trzymali w stójce, podle karmili i często posyłali do karceru. Dereń, zaskoczony aresztowaniem i absurdalnymi zarzutami, nie miał do czego się przyznawać. Z początku dumaczył się, jak umiał, próbował wyprowadzić ich z błędu, ale zorientowawszy się, że to nic nie daje - zamilkł, odmawiając wszelkich zeznań. Sawin wściekał się, nie mogąc w żaden sposób przełamać jego oporu, tym bardziej że sprawą Derenia wyraźnie zainteresowała się centrala NKWD w Kańsku.

Ludzie w Kaluczem gonili resztkami sił. „Wsio dla fronta, wsio dla победы!” Ale coraz mniej o tej dalekiej wojnie wiedzieli. Komendantura wieści z frontu skąpiła, a własnych źródeł wiadomości zesłańcy nie mieli. Zresztą nie była to ich wojna i obchodziła ich o tyle, o ile na swojej skórze odczuwali jej skutki. Początkowe ożywienie, ta iskierka nadziei, że może wraz z jej wybuchem w ich zesłańczym losie coś się zmieni na lepsze, powoli przygasało. Katorżnicza praca, głodowanie, ciągle straszenie przez komendanturę surowym prawem stanu wojennego. I nie tylko straszenie, bo przecież aresztowano Derenia i Manterysa.

Komendant Sawin odwlekał, jak mógł, odesłanie konwoju z aresztowanymi do Kańska. Głównym powodem była sprawa Derenia. Wraz z Sawczukiem naciskali go do ostatniej chwili, licząc na to, że wymuszają na nim jakieś przyznanie się. Ale Dereń cierpiał i nadal odmawiał jakichkolwiek zeznań. Sawin głowił się teraz, jak w pisemnym raporcie wydumaczyć się Centrali z tej sprawy. Nie bał się zarzutu o bezpodstawne aresztowanie Derenia. Bał się zarzutu, że on, stary i doświadczony czekista, nie umiał sobie z tym krnąbrnym Polakiem poradzić.

Przy tej robocie zaskoczyła go nowa, pilna depesza z Centrali. Absolutnie nie umiał sobie jej treści wydumaczyć: „Wstrzymać odprawę konwoju - stop - pilnie jedzie do was Dawydow - stop - ma wszelkie pełnomocnictwa i dyrektywy - stop - Rytwin - stop!” Wezwał zastępcę.

- No i co ty na to, Sawczuk?

- Nie bardzo rozumiem, towarzyszu komendancie. Chyba jakaś inspekcja? No bo co innego może być?

- Inspekcja, mówisz? Tak nagle? A wydumacz ty mi, Sawczuk, co mają znaczyć te słowa: „ma wszelkie pełnomocnictwa i dyrektywy”... A wiesz, kto to jest Dawydow? Prawa ręka szefa! A zauważyłeś, kto depezę podpisał? Rytwin! Sam szef, osobiście! Oj, Sawczuk, czuje moja głowa, że dobrze na tym wszystkim nie wyjdziemy. Ale jak inspekcja, to inspekcja! My się też potrafimy do niej przygotować. Zwłaszcza temu Dereniowi masz nie popuścić. Musimy go jeszcze przed przyjazdem Dawydowa złamać, żeby nie wiem co. No i przepatrz wszystko dookoła, a ja wokół siebie. Z brygadierami trzeba pogadać, baraki zwizytować. Robota, porządek w Kaluczem ma być jak w zegarku.

Sierpień, wciąż suchy i upalny, zbliżał się ku końcowi. A wraz z nim powoli uciekało krótkie syberyjskie lato. Na białokorych brzózkach żółkły już pierwsze listki. Nastała pora jagód, grzybów i cedrowych orzechów. Długotrwała susza sprawiła, że tego roku było ich mniej niż zazwyczaj, a do tego ludzie, pędzeni do roboty od świtu do zmroku, bez wolnych niedziel, nie mieli czasu, żeby ich nazbierać, poczynić zimowe zapasy.

Toteż któreś soboty radośnie zaskoczyła ich ogłoszona przez brygadzystów decyzja komendantury, że jutrzejsza niedziela jest wolna od pracy. Był to ich pierwszy wolny dzień od wybuchu wojny. Nie bacząc na zmęczenie, chęć wypoczynku i tyle innych spraw do załatwienia, większość ludzi umawiała się jutrzejszego ranka na jagody i grzyby. Brygady wracały do baraków ożywione, rozgadane. Co to za przyjemne uczucie, kiedy jutro cały Boży dzień jest do twojej wyłącznej dyspozycji i możesz z nim robić, co ci się tylko podoba. Wszyscy tedy chcieli jak najprędzej znaleźć się w swoich barakach i już od zaraz zająć się tylko swoimi sprawami. Tymczasem u wrót osady czekał jeden z pomocników komendanta i zdecydowanie kierował wszystkie brygady na plac zbiórek. Nie pozwolono ludziom rozchodzić się po barakach. Tak jak w dniu, kiedy niemiecko-radziecka wojna wybuchła. Co się znowu takiego nadzwyczajnego stało.

Razem z komendantem Sawinem na podwyższenie weszło dwóch obcych, których ludzie nigdy przedtem w Kaluczem nie widzieli. Jeden był po cywilnemu, w okularach i z parcianą teczką pod pachą. Drugi był oficerem NKWD. W dopasowanym mundurze, wyglanco-wanych butach z cholewami, wysoki, na de niechlujnego, zapuchniętego opoja Sawina nowo przybyły prezentował się znakomicie. Po tym jak Sawin mu nadskakiwał, łatwo się domyślili, że to musi być jakiś wysoki naczelnik i że on jest tu teraz najważniejszy. Nowo przybyły odczekał, aż się ludzie zbiorą, a może dla lepszego efektu, i zaczął:

- Grażdanie Polaki!

Wypowiedział te słowa głośno, tonem spokojnym, łagodnym. Ale ludzi nie tyle ten głos zelektryzował. „Jak on powiedział: Obywatele Polacy!?” Przecież do nich inaczej niż „spiecpieresieleńcy” dotychczas się nie zwracano.

- Grażdanie Polaki! - powtórzył oficer, na de lekkiego dumnego pogwaru. - Nazywam się Dawydow i przyjechałem tu do was na specjalne polecenie radzieckiego rządu. Dlatego proszę, żebyście mnie najpierw uważnie wysłuchali, a kiedy skończę, odpowiem na wszystkie wasze pytania i wątpliwości. Zgoda?

- Zgoda! Zgoda! - Wyrwały się z tłumu pojedyncze głosy.

- A przysłano mnie tu specjalnie do was, grażdanie Polaki... I to ze specjalną, niezwykle ważną misją i wydarzeniem. Jest to wiadomość bardzo istotna dla was, Polaków, ale także i dla nas, dla wszystkich radzieckich ludzi. Jak wiecie, trwa wielka wojna ojczyźniana, w której bohaterska Armia Czerwona, cały naród radziecki pod wodzą towarzysza Stalina walczy z hiderowskimi hordami, chcącymi ujarzmić i podbić wszystkie wolne narody. Nic więc dziwnego, że cały postępowy świat nie tylko popiera bohaterską walkę Związku Radzieckiego z Niemcami, ale łączy się z nim w wojenne sojusze, by wspólnym wysiłkiem pokonać Hidera, tego zajadłego wroga całej ludzkości. Razem z nami jest już Anglia. I Ameryka nam pomaga. A od niedawna, grażdanie Polaki - co właśnie chcę wam zakomunikować - w sojuszu ze Związkiem Radzieckim, w jednym z nami szeregu przeciwko Niem-

com jest także... wasza Polska, grażdanie Polaki! - Tłum na krótko oniemiał, potem gwałtownie zafalował, rozgwarzył się, ale prawie natychmiast wyciszył się, zamilkł. - Tak, nie przestyszeliście się! Jesteśmy teraz sojusznikami! Polski rząd w Londynie, rząd waszego generała Sikorskiego, podpisał niedawno z rządem radzieckim umowę sojuszniczą!... To jest ta ważna misja, grażdanie Polaki, z którą mnie tu do was przysłano. Wiadomość, która i nas, ludzi radzieckich, cieszy, tak samo jak was, Polaków. Witajcie, sojuszniki! Gratuluję wam serdecznie i cieszę się razem z wami, grażdanie Polaki!

Ludzie nie wierzyli własnym oczom i uszom. Niektórzy płakali. Dawydow dawał znak ręką, żeby się uspokoił, bo chce jeszcze mówić.

- To jeszcze nie wszystko, co mam wam do zakomunikowania. Na terytorium Związku Radzieckiego organizuje się wojsko polskie! Wojsko polskie, które ramię w ramię z bohaterską Armią Czerwoną bić się będzie z Niemcami! Do tego polskiego wojska będziecie mogli wstępować. I to jeszcze nie wszystko, grażdanie Polaki! Prezydium Rady Najwyższej ZSRR dekretem z dnia 12 sierpnia 1941 roku udzieliło wam wszystkim amnestii, co niniejszym publicznie ogłaszam! Oznacza to, że od dzisiaj wszyscy, jak tu stoicie, wszyscy Polacy na całym terytorium ZSRR, czy to skazani przez sądy, czy tak jak wy, spieczpiesienci - jesteście ludźmi wolnymi. Wszyscy od dzisiaj macie takie same prawa jak ludzie radzieccy. Od dzisiaj wy na swobodzie, grażdanie Polaki! Od dzisiaj macie prawo swobodnego poruszania się po terytorium całego ZSRR, z wyjątkiem strefy przyfrontowej, co jest zrozumiałe. Wy tiepier, grażdanie Polaki, towarzysze Polaki, nasi soju-źniki i bojowyje druzja! Wy teraz ludzie wolni...

Nie pozwolono mu dokończyć. Mężczyźni stojący blisko podwyższenia, ku przerażeniu Sawina, wdarli się na nie i zaczęli podrzucać zaskoczonego Dawydowa do góry. Ludzie wiwatowali. „Sto lat! Sto lat!” A kiedy się wreszcie uciszyli, w dumie dał się słyszeć najpierw nieśmiały, potem coraz głośniejszy zaśpiew: „Jeszcze Polska nie zginęła...”

Takiego potężnego śpiewu, przejmującego do łez każdego Polaka, syberyjska tajga nad Pojmą nigdy przedtem ani potem nie słyszała...

Zesłańcom wciąż jeszcze wierzyć się nie chciało, że to wszystko, co usłyszeli, może być prawdą. Gdzieś tam, w dalekim Londynie, działa polski rząd. W Rosji powstaje wojsko polskie. A w Kaluczem -amnestia.

Minionej nocy wypuszczono z „katałażki” Manterysa i Derenia. A więc z tą amnestią to prawda! Ale gdzie jest to wojsko polskie, jakieś polskie przedstawicielstwo, ambasada? Jak się do nich dostać, dokąd się zgłaszać? Toteż mimo wolnej niedzieli, zamiast na grzyby i jagody, od samego rana ludzie wyroili się z baraków, ciągnęli pod komendanturę, głośno dopominali się spotkania z komendantem.

Oczekując z niepokojem na przyjazd komisarza Dawydowa, komendant Sawin spodziewał się najgorszego, nawet tego, że mogą go karnie odwołać, a nawet posłać na front. Ale to, z czym Dawydow rzeczywiście przyjechał, a zwłaszcza to, co ogłosił Polakom, Sawinowi po prostu w głowie się nie mieściło. Amnestia dla wszystkich Polaków? Jakiś tam polski rząd, jakieś polskie wojsko? Wczorajsi wrogowie ludu, polscy nacjonałiści, kułacy i burżuje mają od dziś być naszymi radzieckimi sojusznikami? Co to wszystko ma znaczyć? Dawydow nie był skory do wdawania się z podwładnym w dyskusje. Pokazał Sawinowi tekst dekretu o amnestii i wydał polecenie, jak ma być wykonany w Kaluczem.

- Mamy w areszcie dwóch podejrzanych Polaków. Jeden za antypaństwową propagandę, a drugi za szpiegostwo - zameldował Sawin.

- Za szpiegostwo? A co on ci tu szpiegował?

- No, tutaj to pewnie jeszcze nie. Ale był w KPP i zgłosił się na ochotnika do Czerwonej Armii, niby na front...

- Głupiś, Sawin! Zapomniałeś, że to już nie trzydziesty siódmy rok. Zwolnić!

- Obydwu?

- Obydwu. I to jeszcze dzisiaj.

- To znaczy, mam rozumieć, że na podstawie tej amnestii zostaną też zwolnieni wszyscy ci Polacy, którzy wcześniej byli skazani i teraz kary w obozach odbywają?

- A miałeś tu takich?

- Było paru...

- Wszyscy Polacy zostaną zwolnieni. Nie nasza głowa, towarzysze Beria i Stalin wiedzą, co robią. Nasze z tobą zadanie ściśle wykonać ich rozkazy, a szczegóły zaraz omówimy.

Komisarz NKWD Dawydow przekazał Sawinowi i Sawczukowi dodatkowe, poufne instrukcje: amnestię wykonywać i Polakom specjalnie niczego nie utrudniać. Ale z pola widzenia organów NKWD ich nie wypuszczać. Trwa wojna i nie wolno mimo amnestii dopuścić do tego, żeby Polacy, w sposób żywiołowy, jednego dnia porzucili dotychczasowe miejsce pobytu, na przykład Kaluczoje, i rozpełzli się po całym ZSRR. Polaków, nawet po amnestii, tak jak wszystkich obowiązuje dekret o dyscyplinie pracy i wynikające z niego konsekwencje. Kto z Polaków będzie chciał z Kaluczego wyjechać, musi otrzymać od komendanta zaświadczenie o amnestii, rozliczyć się z pracą, wytłumaczyć, dokąd i po co się wybiera. Polska ambasada znajduje się w Kujbyszewie, mogą tam pisać, ale wszystkie listy dyskretnie kontrolować. Tych, którzy będą pytać o wojsko polskie, odsyłać po informacje do wojenkomatów, niech tam się szczegółów dowiadują. W żadnym razie nie wolno zaniedbywać pracy operacyjnej wśród Polaków. Tu Dawydow spojrział na Sawczuka.

- Pilnie przejrzyj swoje agenturalne rejestry. Z każdym agentem osobno porozmawiaj, weź na piśmie dodatkowe zobowiązania. Twoja w tym głowa, żeby żadnego z sieci nie wypuścić. Wcześniej czy później się do nich odezwiemy... A tobie, Sawczuk, podobno na front śpieszno?



- Złożyłem raport, towarzyszu komisarzu.
- Chwalebne! Ale na wojnę jeszcze zdążysz.

W poniedziałek rano, wraz ze wschodem słońca, jak dotychczas ponaglone waleniem młotka o kawałek szyny, brygady wyruszały do pracy przy wyrębie tajgi. Na pierwszy rzut oka nic się w codziennym trybie życia Kaluczego nie zmieniło: „Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet...” Polityka polityką, Polska Polską, a przecież to dzisiaj trzeba coś zjeść.

-Jeśli ma być Polska, to i tak będzie. Nie nam o tym decydować. Świat i wielka polityka jest od tego. A kiedy Polska będzie nas potrzebowała, to sama nas znajdzie.

- To co, Polska ma ciebie po tajdze szukać, tak? Bo ja ani chwili dłużej nie zamierzam tu czekać! Jest amnesda? Jest! Zbieram się i idę szukać naszej ambasady i polskiego wojska.

-Ja tam w Kaluczem poczekam, baba słabuje, dzieciaki małe. Bierzmy się, chłopcy, do roboty, bo teraz to, co zarobimy, to w rublach się liczy.

- Widzę, Dąbrowski, że przypadło ci do gustu komenderowanie? Ciekawe, skąd ty masz u tych bolszewików takie zaufanie?

-Wiesz co, Manterys? Odpieprz się ty ode mnie! Zazdrościsz mi? Znam się na lesie, to mnie wzięli. Trzeba było w Polsce za leśniczego się uczyć... A jak ci się w mojej brygadzie nie podoba, to się możesz z niej wynieść!

Nie tylko Manterys, ale spora grupa Polaków z Kaluczego, zwłaszcza tych młodszych, nie zmierzała biernie czekać. Jeśli się taka okazja jak amnestia nadarzyła, to należy się wyrwać z tego przekłętogo miejsca, uciekać z tajgi, byle tylko bliżej świata i ludzi. Zgłaszali się więc do komendanta po zaświadczenia o amnestii, żeby wyruszyć na poszukiwanie ambasady i polskiego wojska.

Sawin, jak tylko mógł, utrudniał im te zamiary. Obawiał się owczego pędu i masowego porzucania przez Polaków pracy.

- Zastanówcie się, ludzie, dokąd się tak śpieszycie? Jak będzie potrzeba, to was i tu znajdą. Czy wy zdajecie sobie sprawę, gdzie jest ta wasza ambasada? Aż w Kujbyszewic. Za Uralem, nad Wołgą. A od

nas tylko do samej kolei dobre dwa tygodnie drogi. A tu zimy tylko patrzeć. Napiszcie listy do ambasady i spokojnie czekajcie.

-Jak długo mamy czekać? Przecież my chcemy do polskiego wojska, na front! Przecież pan sam cały czas dumaczył, że „wszystko dla frontu, dla победы!”

-Właśnie! Przecież sam przyjezdny pan komisarz nas do tego zachęcał, sojusznikami nazwał. No to jak to jest, panie komendancie?

- A czyja mówię, że wy nie nasi sojusznicy? Wszyscy na front! Na front! Ale dla frontu i tutaj można popracować. Co z was za ludzie, grażdanie Polaki! Nie znam nawet miejsca stacjonowania tego waszego wojska, to niby dokąd mam was skierować! Kraj nasz ogromny! Co, po całym Związku Radzieckim będziecie się włóczyć, tego waszego wojska szukać?

- Trudno, jak trzeba, będziemy. Pan nie wie, ale może wasze wojskowe władze wiedzą? Przecież mobilizują ludzi na wojnę?

- Co za uparty naród! No, dobrze, najbliższy rejonowy komisariat wojskowy, któremu podlegamy, znajduje się w Szytkino. Wybierzcie delegację, dwóch, trzech ludzi, dam im przepustkę, niech idą do wojenkomatu, niech tego waszego wojska szukają.

Do Szytkino wybrali się we trójkę: Janek Majka, Bolek Wrzosek i Józek Szajna. Wszyscy kawalerowie, wolne ptaki. Tylko najstarszy z nich, Wrzosek, służył w polskim wojsku i miał stopień kaprała. Drogi do Szytkino nie znali. Wędruje się tutaj najczęściej wzdłuż rzek, a jeśli przez tajgę, to niemal zwierzęcymi tropami.

Stary Fiedosiej poradził im tak:

- Do Szytkina, które aż nad rzeką Birusą leży, trzeba iść najpierw przez Usolie, potem przez Szyrban, Kajen i Burunduki. A tam zaraz i Szytkino. Z Kaluczego do Usolia brzeg Pójmy was doprowadzi. A w Usoliu do Szytkina drogę wam pokażą. Buriaty, ale można się z nimi dogadać.

- A daleko będzie do tego Szytkina?

- Na piechotę? Zależy dla kogo i jak się idzie. Dla jednego tydzień, dla drugiego i dwa nie wystarczy. Tajga przecież...

W buriackim Usoliu łatwo odnaleźli dom Onoja, z którym Polacy od dawna byli zaprzyjaźnieni. To u niego potajemnie bywali Da-niłowicz i Dolina. Niestety, Onoj, tak jak prawie wszyscy młodzi mężczyźni z wioski, był już na wojnie.

Jego stary ojciec przyjął ich gościnnie, częstował nagotowanym przez kobiety mięsiwem, pykał dymem z fajki i wolno, z trudem cedził ruskie słowa:

- Wojna, ne charoszo... Onoj, syn, wojna... Tanma, córka, drogę wam pokaże...

Wyruszyli, skoro świt. Tanma odziana była w wyprawione jelenie skóry. Zgrabna kurtka, spodnie wpuszczone w lekkie mokasyny, uszyte ze skórek burunduka. Na kruczoczarnych, połyskujących du-szczem włosach sobolowa czapka. Lekko skośne, czarne oczy dziewczyny patrzyły na nich nieufnie, choć przy lada okazji błyskały diablikowatymi, wesołymi iskierkami. Przez ramię miała przewieszoną starą strzelbę i myśliwski nóż przy pasie. W słowa skąpa - ale po rosyjsku mówiła nieźle. Poprzedzana przez dwie płowe łajki prowadziła szybko. Po drodze, jakby mimochodem, dziewczyna upolowała kilka jarząbków. Pod wieczór zarządziła:

- Tu będziemy nocować! - I zręcznie upiekła upolowane ptaki w ogniskowym popiele.

- Daleko jeszcze do Szyrbanu?

-Jutro dojdziemy. Trzymajcie przez noc ogień i tu śpijcie. Rano ruszamy dalej.

To powiedziawszy, dziewczyna gwizdnęła na psy ogryzające kości i jak zjawą zniknęła w nocnej tajdze. Myśleli, że oddaliła się na chwilę. Łamali świerkowe gałęzie, rąbali susz dla podtrzymania ognia. Ale dziewczyna nie wracała. Zaczęło ich to niepokoić.

- Chłopcy, a jak ta czarna diablica nas tu zostawiła, a sama wzięła nogi za pas?

- Wcale bym się jej nie dziwił. Zaczepiasz, gapisz się na nią jak kot na szpyrkę. Z takim jak ty dziewczynie w lesie samej nocować... to ja dziękuję...

Tanma jakby nigdy nic wróciła świtem i ugotowała w kociołku wody na herbatę z brusznicy.

- Gdzieś ty się przez całą noc podziewała?

- Pilnowałam, żeby was nie okradli, bo chrapaliście tak, że nawet najgłodniejszy niedźwiedź „szatun” by się wystraszył! - I roześmiała się głośno.

Do Szyrbanu, leśnej buriackiej osady, dotarli pod wieczór. Już z daleka witały ich tu ujadające psy i hurma bosonogich dzieciaków. Tanma doprowadziła ich przed oblicze starca o siwej, koziej bródce i coś mu po buriacku dumaczyła. Starzec, zmrużonymi oczkami przypatrywał się przybyszom, głaskał brodę i słuchał dziewczyny. O nic nie pytał, nic nie mówił, potem przymknął powieki, rozłożył szeroko ręce, by złożyć je dłońmi do siebie i przycisnąć do piersi. Po czym, skłoniwszy się przed przybyszami, mówił dość długo. Skłonił się jeszcze raz i odszedł. Niczego nie rozumiejąc, patrzyli na Tanmę.

- Stary Damba was powitał, w gościnę do swojej wsi zaprosił. Jutro rano ktoś z tutejszych wam dalszą drogę pokaże.

- A ty, Tanma?

- Wracam do domu.

- Jak ci mamy dziękować, dziewczyno?

- Nie trzeba. Wracajcie szczęśliwi, z dobrymi wieściami. Gwizdnęła na psy, poprawiła strzelbę na ramieniu. Wtedy, jak trzeba, znalazł się Janek Majka. Wygrzebał z podróżnego worka czerwoną chustkę w kwiaty, którą niósł na wymianę.

- Weź, Tanma, proszę. To od nas podarek...

Tanma zarumieniła się, przyjęła chustkę i owinęła nią szyję niby szalem.

- Spasiba!

Uśmiechnęła się na pożegnanie i ruszyła w powrotną drogę. A buriackie kobiety z Szyrbanu długo jeszcze głośno cmokały, zachwycając się chustą, i jedna przez drugą ciągnęły wędrowców, ofiarowując im nocleg w swoim domu.

Do Kajenu, rozległej rosyjskiej wsi nad rzeką Birusą, w ciągu następnych dwóch dni doprowadziło ich dwóch zmyślnych buriackich wyrostków. A już od Kajenu, przez Burunduki aż do Szytkino, radzili sobie sami. Spodziewali się rejonowego miasta, na swoje wyobrażenie podobnego do znanych im z Polski powiatowych Zaleszczyk, Borszczowa czy choćby tylko nawet Tłustego, z rynkiem, ratuszem, sklepami i restauracjami. Tymczasem Szytkino niewiele różniło się od wielkiej wioski. Parterowe, drewniane, kryte gontami domy, z ozdobnymi rzeźbionymi okiennicami, kryły się za wysokimi płotami z desek. Kilka wąskich uliczek, z drewnianymi chodnikami po obydwu stronach. Na wysokim brzegu Birusy stała okazała niegdyś biała cerkiew, teraz wpółrozwalona. Sklepów było tu niewiele, nazywały się „magazynami”. Zamiast restauracji była „stolowaja”, a zamiast hotelu „Dom Kołchoźnika”, mieszczący się w niepokąźnym baraku. Dzień był wietrzny, ponury, chmury płynęły nisko, co chwila zacinało ni to deszczem, ni to śniegiem. Przechodniów na szytkiriskich uliczkach było niewiele, najczęściej omotane grubymi chustami kobiety i dzieci. I taki właśnie rezolutny uliczny chłopaczek podprowadził ich pod budynek wojenkomatu.

Przyjął ich starszy wiekiem, pomarszczony jak uleganka wojskowy, z dwoma prostokątami na czarnych wyłogach kołnierza. Wrzosek nie znalazł się na radzieckich stopniach, nie wiedział, jak go tytułować. Ale wojskowy pokazał im na krzesła, usiadł za stołem poplamionym atramentem i sam się przedstawił.

- Jestem naczelnikiem tutejszego wojenkomatu. A wy, z tego, co mi dyżurny zameldował, zrozumiałem, że jesteście Polakami?

- Tak jest, obywatelu naczelniku, jesteśmy Polakami. I przyszedliśmy tutaj, żeby się coś dowiedzieć...

- ... o tym waszym wojsku polskim?

- Tak jest, obywatelu naczelniku! Przywędrowaliśmy tu aż z Kaluczego. Dużo tam jest Polaków. Młodych, na front zdatnych. Nas wysłali, żeby się czegoś dowiedzieć. Więc prosimy, żeby obywatel naczelnik poinformował nas, gdzie to nasze wojsko polskie się for-

muje. A najlepiej, gdyby obywatel naczelnik nas tam od razu skierował, może zaraz na front.

- Skończyłeś?

- Tak jest, obywatelu naczelniku!

- Odpowiadasz jak stary żołnierz. Podoba mi się. Służyłeś może w wojsku? Stopień?

- Kapral wojska polskiego, łącznościowiec.

- A ja artylerzysta... Słuchaj mnie, żołnierzu, uważnie. Wiem o amnesdi dla Polaków. Wiem też o sojuszniczej umowie z rządem waszego generała Sikorskiego. I o tym, że na naszym terytorium będzie formowane, a może nawet już się organizuje wojsko polskie. Wiem. Ale to jest wszystko. Na dzień dzisiejszy nie mam w tej sprawie żadnych konkretnych zarządzeń, żadnych rozkazów wykonawczych. A sam, kapralu, wiesz, że w wojsku bez rozkazów ani rusz... Przykro mi, gospoda Polaki, że na dzisiaj w niczym nie mogę wam pomóc. Nie wiem, gdzie tego waszego wojska szukać, więc nie mogę was do niego powołać. Jasne?

- To, co mamy teraz robić?

- Czekać! Przyjdzie rozkaz, to was powołamy. Nie martwcie się, zwlekać z tym nie będziemy. Adres i nazwiska zostawcie u mojej sekretarki.

W Szytkino nie zabawili długo. Wiedzieli, jak niecierpliwie, z jaką nadzieją czekają na nich w Kaluczem. Było im przykro, że niczego konkretnego nie załatwili, niczego nowego się nie dowiedzieli. Mała pociecha, że w takiej samej sytuacji jak oni znajdowali się wszyscy polscy zesłańcy z okolicznych rejonów. W Szytkino spotkali paru takich samych oberwańców jak oni, którzy w tej samej sprawie do rejonu przywędrowali. Nikt z Polaków nie wiedział, co po amnestii robić, dokąd się zwrócić i gdzie tego polskiego wojska szukać. Wracali do Kaluczego tą samą drogą, mijali te same wioski i leśne osady.

Przypadek sprawił, że w Kajenie musieli zatrzymać się na dłużej. Zerwał się prom na Birusie i tutejsze kobiety nie mogły sobie z jego uruchomieniem poradzić. A mężczyźni nawet na lekarstwo,

wszyscy na wojnie. Szarpali się z tym promem długo, kłopotali z przeciąganiem stalowej ciężkiej liny na drugi brzeg, nim go naprawili. Wdzięczne za pomoc baby kwaterowały ich w swoich chałupach, czym miały, karmiły, poiły, parzyły w łaźni, siekły po gołym ciele brzoźowymi miotłkami. Żegnały ich z żalem, obdarowały na drogę, czym mogły. A przewodniczący sielsowietu, inwalida ślepy najedno oko, nic, tylko namawiał ich, żeby przenieśli się z Kaluczego do Kajenu.

- Trochę u nas kołchozu, trochę lespromchozu. Płacimy nieźle. Życ można. Zabierajcie swoich i przyjeżdżajcie do Kajenu. A i do świata od nas jakby bliżej...

W Usoliu znów nocowali w domu starego Onoja Jegorowa Tanma, wyraźnie z ich powrotu ucieszona, wyciągnęła ze skrzyni Jankową kwiecistą chustę i nie zdejmowała jej z ramion. Stary pykał fajkę, narzekał na wojnę, żalił się, że żadne wiadomości od syna z frontu nie przychodzą.

- Zima idzie, ne charaszo... Syn net, sobola net, miasa net... Wojna ne charaszo... Baba młoda sama, ne charaszo...

Ponarzekał, ale ugościł Polaków kolacją, nie pogardził postawioną przez nich flaszką wódki.

W nocy, kiedy w smrodliwym czadzie chrapała cała izba, pod niedźwiedzią skórę do Janka Majki wsunęła się Tanma. Była naga, spragniona i zwinna jak młoda tygrysica. Odprowadziła ich nazajutrz prawie pod samo Kalucze. Zatrzymała się na zakolu Pójmy. Podeszła do Janka i wcisnęła mu do ręki małą figurkę wyrzeźbioną z rogowej kości.

- Szaman amulet... Na szczęście!

Jak kozica skoczyła między drzewa, zniknęła w tajdze, nawet nie zdążył jej podziękować.

Pod ich nieobecność wiele się w Kaluczem zmieniło. Ogłoszona amnestia podziałała na Polaków oszalamiająco. Ludzie z Kaluczego rozłazili się po bliższej i dalszej okolicy. Sawczuka, zastępcę komendanta, odwołano do Kańska. Osamotniony komendant Sawin jak-

by machnął na wszystko ręką i czekając na rychłe odwołanie, rozpił się na dobre.

Pierwszy barak w Kaluczem nadal zamieszkiwali ludzie z podolskiego Czerwonego Jaru. Ci zawsze trzymali się razem. Nic tedy dziwnego, że po powrocie Majki i Szajny prawie wszyscy zdecydowali się na wyjazd do Kajenu. Prawie wszyscy, bo w Kaluczem chciały pozostać pani Korczyńska i Sylwia Krakowska z nowo narodzonym, zaledwie paromiesięcznym synkiem. Pani Korczyńska postanowiła tu czekać na swojego syna, Karola, który z gułagu nie wracał.

- W Bogu nadzieja, że gdzieś tam jeszcze żyje. A jeśli żyje i wyszedł z amnestii, to matki będzie szukał. Gdzie mnie na tym Sybirze znajdzie, jeśli ja stąd wyjadę? Dziękuję wam, kochani sąsiedzi, zostanę, poczekam tu na mojego syna. Nie martwcie się w razie czego o mnie, stara już jestem. Jak Bóg da, tak i będzie.

Natomiast Sylwia Krakowska chciała się dostać do Tajszetu, bo tam odbywał karę ojciec jej dziecka, Paszka Siedych. Zwłaszcza że dziadek Fiedosiej obiecał jej w tym pomóc...



Świtało. Z nocy trzymał przymrozek, gęsty szron srebrzył poźółkłą, jesienną tajgę. Nad cieplejszymi wodami Pójmy parowała mgła. Przed barakiem stało kilka konnych zaprzęgów, gotowych do drogi. Kuce koniki, ogoniaste i długogrzywe, wydawały się jeszcze drzemać. Wokół wozów krzatali się ludzie, upychając swoje niebogate bagaże.

Czas ruszać! Tymczasem babka Szajnina coś tam przed drogą jeszcze czarowała. Żegnała się i spluwała po kolei na wszystkie cztery strony świata:

- Spraw, dobry Boże, żeby w tym przeklętym miejscu już nigdy więcej nasza ani żadna polska stopa nie powstała. Ruszamy, w imię Boże! Tylko jak ruszymy, żeby mi się nikt do tyłu nie oglądał, żeby nie zauroczyć, bo lichy nie śpi.

Ruszyli. Zaskrzypiały rozeschnięte koła. Staszek Dolina szedł, trzymając się wozu. I tak jak babka nakazała, do tyłu na Kalucze się nie oglądał. Wytrzymał tak aż do cmentarza. Wczoraj wieczorem byli z ojcem i Tadekiem na grobie mamy, żeby się z nią pożegnać. Może na zawsze? Ojciec długo się modlił. Tadek biegał po cmentarzu, gonił za burundukiem. Staszek zgarniał z grobu żółte brzoźowe liście, a mama stała przed jego oczami jak żywa, w tej swojej ulubionej, złocistokwiatnej sukience. Nie mógł sobie wyobrazić, że mama tu sama zostaje. Odprowadzał wzrokiem matczyny grób, dopóki mu go tajga nie zasłoniła. Nie płakał.

Zesłańcy z trudem uświadamiali sobie, że po raz piemy od wywózki z Polski poruszają się sami, bez enkawudowskiego konwoju. Nie ma pokrzykiwań, komend, karabinów i bagnatów. Gdzie chcą,

tam mogą się zatrzymać, odpocząć. Dwie noce nocowali w tajdze. Palili wielkie ogniska i rozkładali się wokół nich obozem. Noce były już zimne, a ostatniej przysypał ich pierwszy śnieg. A kiedy po długiej wędrówce stanęli na brzegu Birusy, po rzece gęstą zawiesiną płynął lodowy śryż. W porównaniu z Pojma, Birusa była rzeką szeroką i pełnowodną. Na jej drugim, wysokim brzegu widać było wieś, do której zmierzali: Kajen. Rzeką miotła promem niby łupiną, lodowy śryż groźnie syczał, ocierając się o burtę. Ludzie społem ciągnęli promową linę, byle prędzej dotrzeć do brzegu. Na dziobie promu stał miejscowy przewoźnik i długim bosakiem nie pozwalał zbaczać mu z toru. Było ciemno, nieprzyjemnie. Staszek trzymał brata za rękę i bał się, że mogą utonąć. Dopiero kiedy szczęśliwie dobiegli do przystani, zorientował się, że przewoźnikiem na promie była kobieta.

Slepooki przewodniczący zawiózł ich do stołówki, gdzie kucharka nakarmiła ich do syta zawieszistą kartoflanką. Pierwszą noc w Rajenie spędzili w kołchozowym klubie. Rano okazało się, że we wsi może pozostać tylko parę polskich rodzin. Przewodniczący wybrał sobie potrzebnych fachowców i te rodziny, w których przeważali sprawni do pracy dorośli.

- Nie martwcie się - pocieszał przewodniczący - dla wszystkich robota w Kajenie się znajdzie, tyle że parę kilometrów stąd, w lespromchozie.

Jeszcze tego samego dnia wieziono ich brzegiem Birusy, w dół jej biegu. Z trudem przebyli porosłe kępami błotne topiele i zatrzymali się przed dwoma starymi barakami. Baraki stały na wysokim, prawym brzegu Birusy, półkolem otoczone tajgą.

- I tak, dobrzy ludzie, wszystko wygląda mi na to, że spadliśmy z deszczu pod rynnę - orzekła babka Szajnina, przeżegnała się, bo babka żegnała się, trzeba czy nie trzeba, jednak tym razem splunęła tylko raz, ale gęsto i ze złości. Oprócz dwóch starych baraków w przysiółku nie było więcej niczego. Nie było łaźni, stołówki, sklepiku. Tylko jeden z baraków był już częściowo zasiedlony. Też przez Polaków pracujących w lespromchozie.

Ludzie z Czerwonego Jaru zajęli spodem pustą barak. We wnętrzu było ponuro, śmierdziało karbolem i zastarzałą stęchlizną. Tak jak w Kaluczem drewniane prycze ciągnęły się wzdłuż ścian. Nie było stołów ani ław. Szyby w małych oknach powybijane, były jak przytkane deskami. Ciemno, zimno. Nawet piecyka nie było, żeby napalić, ogrzać się odrobinę, wody na herbatę zagotować.

Tej nocy ludzie prawie oka nie zmrużyli. Nie dość, że było głodno i zimno, to jeszcze rzuciły się na nich całe chmury wygłodniałych pluskiew. Nie brakowało takich, którzy żalowali, że się z zasiedziało Kaluczego ruszyli.

Rano na gniadym „mongole” przytruchtał do baraków lesprom-chozu brygadzysta. Był to wysoki, brodaty chłop i nazywał się Mitro-fanow. Jeszcze nie zdążył dobrze przytroczyć konia do brzoźki, jak ludzie otoczyli go z pretensjami. Mikrofanow kręcił machorkę w gazetę, zakurzył i słuchał wszystkiego ze stoickim spokojem, a potem podyktował Polakom swoje warunki.

-Jest u nas, jak jest. Cudów wam nie stworzę. Robota u nas przez całą zimę leśna. A na wiosnę, kiedy lody z Birusy spłyną, wyruszamy stąd tratwami na spław. Jutro dostarczę wam topory i piły, wyznaczę dziesiętników, normę, pokażę, gdzie i co macie robić. Zarobek wypłacamy dwa razy w miesiącu. Co zarobicie, to wasze. Z tego sami musicie się utrzymać. Baraki od lespromchozu macie bezpłatne. Tu, w tej torbie, mam pieniądze i zaraz jak was zapiszę do roboty, wypłacę robotnikom po 10 rubli zaliczki. Kartki na chleb i inne produkty wydadzą wam w naszej kancelarii w Kajenie. Ile chleba u nas dają? Normalnie: pół kilo dla pracującego, ćwiarteczka dla tych, co pracować nie mogą. Po chleb, po wszystko trzeba chodzić do wsi. Tutaj nie ma nic. To były baraki dla katorżnych i sezonowych robotników. Nie ma pieca? Co za sprawa, sami go sobie postawicie: kamienia i gliny w okolicy nie brakuje. W Kajenie jest wszystko, co trzeba: nasza kancelaria, władza radziecka w sielsowiecie, felczer i milicja. No to podchodźcie teraz do mnie po kolei, będę was zapisywał do roboty. I od razu zaliczkę mi pokwitujecie. Jeszcze dzisiaj możecie

iść do Kajenu po zaopatrzenie. A jutro do roboty. I o najważniejszym bym zapomniał: wojna jest, to i żartów nie ma. Chyba wiecie? Dyscyplina pracy obowiązuje u nas żelazna, za byle co można teraz do durmy trafić.

Nie wszyscy stanęli do zapisu. Pierwszy zbuntował się porywczy Janek Majka.

- Chromolę taką zabawę! To już w Kaluczem było lepiej. Lepsze baraki, stołówka, łaźnia. I Polaków więcej w razie czego. A tu co? Dwa stare zapluskwione baraki i naszych ludzi co kot napłakał. Wracam do Kaluczego!

A zaraz po nim jeszcze trzech: Władek Żurek, Bolek Wrzosek i jeden z Byrskich, Józek. Ci, nie bacząc na zbliżającą się zimę, postanowili wędrować aż do Tajszetu, do kolei, i na własną rękę szukać wojska polskiego, polskich przedstawicielstw, jakie podobno generał Sikorski w porozumieniu ze Stalinem w Rosji ustanowił.

Byli kawalerami, więc mogli sobie na ryzyko takiej wędrówki pozwolić. Większość, obciążona rodzinami, takich szans nie miała. Ci, zgrzytając zębami z zawodu i złości, podpisywali listę brygadiera Mi-trofanowa i zostawali w Kajenie. Ale wszyscy zarzekali się, że zostają tutaj tylko na tę jedną zimę, która już dawała o sobie znać. Nie było wyjścia, trzeba było urządzać sobie życie na nowym miejscu.

Codziennie, wraz ze świtaniem, dorośli wyruszali do pracy w tajdze. Nikogo nie trzeba było do niej naganiać, bo każdy chciał zarobić, a zwłaszcza otrzymać kartki żywnościowe. Znaczyło to wiele, bo na skutek tej niefortunnej przeprowadzki nie mieli na tę zimę ryb, grzybów i suszonych jagód. A do tego kompletnie się już ze wszystkiego, co mieli z Polski - wyprzedali. Tej zimy zesłańcy zostali już tylko w tym, co mieli na sobie. Odziewali się w stare walonki, fasowane, wyszmelcowane watowane spodnie i kufajki. Dorośli wychodzili do pracy, a kilkunastoletnie dzieciaki wyruszały do Kajenu po zaopatrzenie. I prawie codziennie przemierzały te dziesięć kilometrów tam i z powrotem. Kiedy stanęła Birusa, droga po lodzie nieco się skróciła, ale i tak dzieciaki wracały do baraków dopiero pod wieczór.

Tak w nędzy i beznadziei doczekali kolejnych świąt Bożego Narodzenia. W kołowrocie jednostajnych dni i nocy, wśród śniegu, mrozu, niedojadania, przeziębień i nędzy, ledwie te święta zauważyli.

Nie dziwota, że ten święty wigilijny wieczór mieli wyjątkowo smutny i głodny. Dzień był jak co dzień: starsi poszli do roboty, a dzieciaki do Kajenu po chleb. Mróz aż trząsał. Staszкови Dolinie było zimno. Marzły mu ręce, które nieustannie zabijał, chuchał w dłonie i chował je w rękawy starej fufajki. Do tego zimno ścinało uda, bo porcięta miał cienkie, połatane i przetarte. Co chwila to podskakiwał, to znów podbiegał parę kroków, przystawał, przecierał uda i jak strach na wróble rozkładał ręce i mocno kołatał się po bokach. Wszystkie dzieciaki zachowywały się podobnie i ratowały się przed lutym mrozem, jak umiały.

- Trzyj, trzyj nos, bo ci bieleje!

A jeśli nieszczęśnik, któremu właśnie nos bieleł i zamarzał, nie czuł tego albo nie miał już sił i woli, żeby się nim zająć, pozostałe dzieciaki nie ceregieliły się z nim wiele, tylko mimo jego oporu nacierały go śniegiem do czerwoności. Gorzej było, kiedy marzły nogi. Tego nie było widać. A obuwie całe to bractwo miało liche: najczęściej stare walonki, łykowe łapcie albo skórzane, jeszcze polskie zniszczone trzewiki, poowijane szmatami, sznurkami obwiązane.

W Kajenie, nie odpowiadając na zaczepki miejscowych chłopaków i psów włóczykijów, mali Polacy maszerowali prosto do sklepu. Dopiero tam mogli się odrobinę zagrzać i kupić na kartki codzienną porcję chleba. Sprzedawczyni, wesoła i dobrego serca ciocia Wiera, bo „ciocią” rosyjskim zwyczajem mianowano tutaj każdą kobietę, witała ich niezmiennie:

- Priwalili Polacziszki - wołczyszki! No jak, nie zamarzło mi tam które? - I zaraz, nadając głosowi groźne brzmienie, co udawało jej się z trudem, krzyczała: - A zamykajcie szybciej dźwierze, bo mi tu biegun północny zrobicie. I śnieg, śnieg z nóg poobijajcie!

- Zdrawstwujcie, pani Wiera! - Dzieciaki skandowały chórem.

- Zdrawstwujcie, zdrawstwujcie, rebiata.

Ciocia Wiera lubiła, kiedy Polacy obdarzali ją dziwnym tytułem „pani”, a płonęła jak piwonia, kiedy któryś galantniejszy cmoknął ją w pulchną, fioletową od zimna rękę.

- Czo wy, czo wy - broniła się wtedy, ale widać, że było jej bardzo przyjemnie. Jeśli w sklepie było akurat parę miejscowych kobiet, ciocia Wiera zaraz im takie niezwykle powitanie tłumaczyła:

- „Pani”, wiecie, baby, to po ichniemu, znaczy tyle co u nas: „ciocia albo towarzyszc”. No to dzieciaki mnie tak po polsku witają. Grzeczne dzieciaki, słowa złego nie powiesz. Codziennie z baraków w taki ziąb wędrują.

Baby kiwały ze zrozumieniem głowami, użalały się nad polskimi dzieciakami, klęły na lespromchozowe naczalstwo, które samo to wozi te swoje tłuste dupska na koniach, a Polakom do baraków produktów nie dostarczy. I prawie zawsze puszczały dzieciaki bez kolejki. A w ogóle to przyjemnie było postać w sklepie. Ciepło. Pachnie czymś cynamonowym, śledziami, naftą. Na półkach towaru nie za bogato, ale zawsze jest na co popatrzeć: kolorowe puszki po herbacie, po cukierkach, trochę konserw rybnych, świece, worki z kaszą, makaronem, na pniaku pod ścianą porąbane kawałki mięsa. No i te półki z chlebem! Chleb czarny, podobny kształtem do cegły, w brytfannach wypiekany. Albo biały, taki jeden bochenek dwa kilo waży. Staszek dobrze pamięta, ale dla pewności wysupłuje z kieszeni kartkę i sprawdza: tak, dzisiaj dostanie cały bochenek! Bo za dwa dni będzie brał. Cały bochenek! To dobrze i niedobrze. Dobrze, bo w baraku tatuś go podzieli i każdemu więcej wypadnie. Gorzej dla Staszka teraz, bo jak cały bochenek, to ciocia Wiera nawet ważyć go nie musi, no i nie będzie nawet kawałeczka dokrojonego. A taki kawałeczek to Staszek mógłby sobie od razu tutaj albo najlepiej po drodze zjeść. Wszystkie dzieci z baraków tylko o tym marzyły, żeby trafiła im się taka gratka.

- Nie śpij, pareri, dawaj kartki, zaraz zobaczymy, co ci się tu dzisiaj należy. Dwa kilogramy chleba, kilo kaszy jęczmiennej i kilo makaronu.

Wyszli ze sklepu. Słońce wysoko. Mróz trochę zelżał. Zdziśka Ziemiakówna ulitowała się nad Staszkiem i podzieliła się z nim swoim dodatkowym kawałeczkiem chleba. Lubił Zdziśkę, choć nikomu się do tego nie przyznawał. Co za niebiańska rozkosz poczuć w ustach smak chleba! Lekko przymarznięty, taje na języku powoli i smakowity miąższ razem ze śliną spływa małmazją do żołądka! Staszek chleba nie gryzie, przedłuża smakowanie... Droga przez Kajen pusta, przechodzą obok szkoły.

- Phi, taka zwykła chałupa! U nas w Tłustem to była szkoła: murowana, klas chyba z dziesięć. A jakie tam mieliśmy boisko!

- Pewnie. Na wielkiej przerwie leciało się do Żyda na lody. Malinowe najlepiej mi smakowały.

- Ciekawe, jak tam w środku, czego się tu uczą?

- Piszą, czytają. Rachunków pewnie... Staszek, ile jest dziewięć razy dziewięć?

Od czasu kiedy w Kaluczem próbował ich uczyć pan Korczyński, Staszek nie myślał o szkole. Czasem tylko, żeby nie zapomnieć liter polskich, kartkował maminią książkę kucharską. Ale szybko ją odkładał: nazbyt przypominała mu mamę, a wtedy robiło mu się smutno. A do tego jak można spokojnie czytać o sznyclu cielęcym albo o rosole z kury, kiedy nie masz co do gęby włożyć i najwyżej możesz wbić zęby w starą pryczę. Dopiero kiedy „Potop” pana Sienkiewicza odnalazł się u kogoś, zaczęło się ciekawe czytanie! „Potop” czytano razem, na głos, dla całego baraku. Na czas czytania obsiadano piec dookoła i było cicho, jak makiem posiał.

Czasami, kiedy dawano na kartki śledzie, ciocia Wiera zawijała je w stare gazety. Mężczyźni z baraków używali gazetowego papieru, mimo że śmierdział, do kręcenia machorkowych skrętów. A Staszek na tych gazetach próbował sylabizować po rosyjsku. Choć po rosyjsku mówił już całkiem nieźle, nic mu się w tym czytaniu nie zgadzało. Litery rosyjskiego alfabetu, choć często identyczne z polskim, znaczyły co innego. Nie mógł się w tym wszystkim połapać.

Tuż za szkołą ścieżka, którą rano przetarli, zbiegała ze stromego brzegu na Birusę. Tamtędy po zamarznętej rzece wracali do baraków. Kiedy świeciło słońce, a dzień był bezwietrzny, cichy, szło się weselej, lżej i śpieszniej. Gorzej, kiedy sypanął gęsty śnieg, wtedy gubili ścieżkę, zawieja spychała ich w głębokie zasy. A jeszcze kiedy przy takiej pogodzie zaczynało się ściemniać... Wlekli się wężykiem i trzymali się jedno drugiego. Bywało, kiedy zapadał zmrok, a dzieci spóźniały się, ktoś z baraków wychodził im naprzeciw.

W Wigilię obyło się bez przeszkód. Słońce czerwono zachodziło, kiedy dzieciaki dotarły do baraków. W tym samym czasie dorośli wracali z tajgi po robocie. Zdziwiły się dzieciaki, bo któryś z chłopów dźwigał do baraku dorodnego świerczka.

- No coście tak dzioby porozdziawiali? Drzewka nie widzieliście? Przecież dzisiaj Wigilia! Co, zapomnieliście? A to bezbożniki jedne! Jazda do baraków i brać mi się zaraz za strojenie choinki. Ma wyglądać tak jak zeszłego roku w Kaluczem. Pamiętacie?

Pamiętali. Ale w Kajenie nie było w co ubrać zielonego świerczka. Nie mieli też czego zebrać na wspólną, wigilijną wieczerzę. Dopiero kiedy babka Szajnina zaczęła chodzić od jednego do drugiego i dzielić się skórką chleba niby opłatkiem, barak jakby odtajał.

***Jezus malusieńki, leży nagusieńki, Plącze z zimna, nie dala mu Matula sukienki. Bo ubogą była...***

Zima dłużyła się nieskończenie. Nie tylko ze względu na siarczyste mrozy, do których zdążyli się już przyzwyczaić. Tak zresztą jak do kopnych śniegów, po których w tajdze na wyrębie trzeba było brodzić po pas. Dłużyła się ta zima, bo ruszyć się z Kajenu w tych warunkach nie było można. Ludzie znów poczuli się zapomniani w tej dziurze przez Boga i ludzi. No bo jak to? Ogłoszono dla nich amnestię, Sikorski ze Stalinem się porozumieli, podobno polskie wojsko



gdzieś tam w Rosji powstaje, a nimi, z wyjątkiem wilków wyjących po nocach, nikt się nie interesuje.

Byli zdziwieni, kiedy tuż przed Nowym Rokiem odwiedziło baraki aż trzech przedstawicieli miejscowych władz: dyrektor lesprom-chozu, przewodniczący rady i komisarz NKWD, Saburow. Była to już druga wizytacja. Pierwsza odbyła się z okazji 7 listopada, święta rewolucji. Ludzie z baraków otrzymali wtedy świąteczny przydział mięsa i po flaszcze wódki. A wszyscy trzej opowiadali Polakom, jak to w Moskwie, na placu Czerwonym, towarzysz Stalin przyjął potężną wojskową defiladę! „I na naszej ulicy będzie święto!” - zapowiedział.

Obiecali też, że jak tylko o polskim wojsku będą poinformowani, to o Polakach nie zapomną i zaraz ich o tym zawiadomią.

Noworoczna wizytacja przebiegała podobnie. I znowu był dodatkowy przydział mięsa z łosia, trochę śledzi i tradycyjna flaszka wódki.

- Żebyście mieli, towarzysze Polacy, czym noworoczny toast za wspólne zwycięstwo wypić.

Milczący zazwyczaj komisarz Saburow tym razem się rozgadał na temat niedawnego zwycięstwa radzieckich wojsk w bitwie o Moskwę.

- Tak jak zapowiedział towarzysz Stalin, i na naszej ulicy zaczyna się święto! Wielkie zwycięstwo bohaterskiej Czerwonej Armii pod Moskwą jest tego najlepszym dowodem. I jeszcze o jednym, towarzysze Polacy, chcę was poinformować. A jestem pewien, że i tę wiadomość z radością powitacie... — Tu komisarz na dłuższą chwilę zawiesił głos. - Otóż, na początku grudnia wasz generał Sikorski złożył wizytę w Moskwie i został przyjęty przez samego towarzysza Stalina! Z tej okazji wydano wspólną deklarację, że razem, ramię w ramię, walczyć będziemy z Niemcami aż do ostatecznego zwycięstwa. Generał Sikorski wygłosił przemówienie radiowe. Nie macie tu radia, trudno, takie warunki. Ale pamiętałem o was i przywiozłem wam gazetę, „Prawdę”, która to wszystko, o czym teraz mówię, opisuje. I to jak pisze, posłuchajcie tylko fragmentu: „My znamy polskiego żołnierza i będziemy szczęśliwi, mogąc zawrzeć z nim braterstwo broni - na pohybel znieprawionego wroga!”

Którejś wolnej niedzieli z drugiego brzegu Birusy przyszło do baraków kilka młodych kobiet. Przywiozły mięso i zamrożone mleko - produkty na wymianę. Okazało się, że na drugim brzegu Birusy, prawie naprzeciw Kajenu, osadziła się niewielka wieś Czuwaszów. Zwiedziawszy się o Polakach, kobiety zdobyły się na odwagę i wybrały się do baraków na wymianę. Za mięso, mrożone bryły mleka, ryby i miód dzikich pszczół chciały dostać trochę odzieży. Dogadywali się po rosyjsku, którym to językiem Czuwasze, podobnie jak Buriaci, posługiwali się słabo. Czuwaszki były wesołe, niepazerne, handel się udał i obydwie strony były z niego zadowolone. Odtąd dopóki lody na Birusie nie ruszyły, z baraków do Koczek, bo tak się leśna osada Czuwaszów nazywała, ścieżka deptana była w obydwie strony.

Pod koniec marca pojawiły się pierwsze oznaki przedwiośnia. Dni były dłuższe, słońce przygrzewało, przytapiało śnieg na południowych skłonach wzgórz i leśnych polanach. Szeroka dolina Birusy, zwłaszcza w południe, razila oczy srebrzystą, zlodowaciałą skorupą śniegu.

Ale nim jeszcze ruszyła Birusa i wiosna na dobre wstąpiła w swoje prawa, w Kajenie wydarzyło się coś, co spośród tutejszych Sybiraków tylko najstarsi pamiętali. Ludzie z Czerwonego Jaru nie zetknęli się z czymś takim nigdy w życiu, nawet o czymś takim nie słyszeli.

A zdarzyło się to wszystko w cichy, pogodny przedwieczerz, kiedy słońce co dopiero zaszło, ale zmrok jeszcze nie zapadł. Nagle na wschodnim, czystym dotąd i bezchmurnym nieboskłonie zaczęło się dziać coś dziwnego, wręcz niesamowitego. Tym, którzy zauważyli to zjawisko jako pierwsi, zdawało się, że hen, w oddali, ogromnym pożarem zapłonęła tajga. Ale pożar tajgi w zimie? Nie był to jednak pożar, bo to wszystko, co na własne oczy obserwowali, rozgrywało się wysoko na niebie. I z każdą minutą coraz wyżej. Ludziom się wydawało, że całe niebo płonęło, i to od horyzontu po horyzont! Dotąd czyste i bezchmurne, zawlokło się nagle kodującym, podobnym do ognistych płomieni brudnożółtym kolorem. Kolory gwałtownie się zmieniały.

A z tych wielkich, kotłujących się płomieni zaczęły strzelać w niebo świetliste race, które zmieniały się gwałtownie w różnokolorowe szerokie pasy, co sprawiało wrażenie, że ktoś tam na niebie prostował tęczę, to znowu stawiał ją na sztorc. Potem znów wszystko zawirowało, jakby ktoś kręcił ogromne wzory na niebie, a od tych kolorów kompletnie oniemiałym ze zdziwienia ludziom kręciło się w głowie.

Kto żyw, wyległ z baraków. Ludzie w trwożnej ciszy gapili się w niebo. Dziwy nad dziwami!

- Ani chybi, koniec świata! - zawyrokowała bezapelacyjnie babka Szajnina i tam, gdzie stała, runęła na kolana. - Módlmy się, ludzie, bo oto nadchodzi kres naszej ziemskiej wędrówki. „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko...”

Co starsze baby pośpiesznie czyniły znak krzyża i przyłączały się do Szajniny. Mężczyźni nie bardzo wiedzieli, na co się zdecydować. Przerwano jednak ciszę, zaczął się ogólny gwar i zamęt. W tym zamieszaniu mało kto słuchał pana Brzozowskiego, emerytowanego nauczyciela gimnazjalnego z Czortkowa, który dumaczył:

- Jaki koniec świata? Cóż to za wierutna bzdura. Ludzie, przecież to zorza polarna! Zjawisko przyrodnicze prawie w Polsce nieznane, a co dopiero u nas na Podolu, ale tutaj na Sybirze co jakiś czas zorza polarna się pojawia. Pojawia się, znika i niczym nam ani światu nie grozi. Nie ma się czego bać. A swoją drogą, co za piękność! Jaka niezwykła siła w tej przyrodzie. Jaka energia przyszłości. Koniec świata, jaki tam koniec świata! Toż to tylko zwyczajna polarna zorza...

Babka Szajnina niechętnie wstała z kolan, ale nie wyglądała na przekonaną.

- Zorza, zorza, akurat. Mówię wam, ludzie, że to jakiś znak dawany nam przez Boga!

- Coś w tym może być. Starzy ludzie opowiadali, że w dawnych czasach, kiedy na niebie takie dziwne znaki się ukazywały, to albo wojna zaraz potem była, albo pomór i zaraza wielka szła przez świat.

- A ja wam, chłopcy, mówię, że babka ma rację, to były na pewno jakieś znaki, tylko odczytać ich nie potrafimy.

- Opowiadasz głupoty! A niby kto miałby nam te znaki dawać?
- Zaraz ci powiem. Na wschodzie się zaczęło?
- No, na wschodzie.
- Ajak na wschodzie, to nikt inny, tylko Japońce nam te znaki dają. Ot co!
- A odpieprze się, człowieku, z tymi twoimi Japończykami.
- A ja wam mówię, że Japońce! Pismo inakże też mają, to ich nie rozumiemy. A widzisz, jakie łamańce na niebie malują?
- Ty się śmiejesz, a babka mówią, że na tym niebie wyraźnie figurkę Matki Boskiej widziała. Królową Polski w koronie...
- Babka Szajnina zawsze coś tam widzi, ale żeby mi ten Japońcami dupę zawracał...

Lody na Birusie ruszyły w nocy. Ludzi z baraków obudziły głuchoe odgłosy, podobne do dalekich armatnich wystrzałów. A kiedy, co ciekawsi, zerwali się z pryczy i wybiegli przed próg, od strony rzeki usłyszeli dudnienie, podobne do biegu ciężkiego pociągu. Słysząc było trzaski, zgrzyty, jakby gdzieś tam w oddali łamały się potężne stare drzewa, albo ze skał osypywała się kamienna lawina.

- Ludzie, Birusa ruszyła!

- Lody idą!

Długo trwało, nim lody Birusą spłynęły, opadła wielka woda i rzeka wróciła do swojego stałego koryta. Wodę wciąż niosła wysoką, mętną, pełną szuwarów i sosnowej kory. A w starorzeczu, dokąd dotarła wiosenna powódź, długo jeszcze spod namulu wylaniały się wyrwane z korzeniami drzewa, łachy piasku, na łąkach wysychające powodziowe jeziora, w których taplały się odcięte od głównego nurtu ryby, leżyły gęste zawiesiny żabiego skrzeku.

Dzieciaki całą hurmą wyprawiały się na ryby, zbierały szczaw na łąkach. Kiedyś natknęły się na niewielkie, porośnięte młodym sitowiem jezioro. Na gładkiej wodnej toni, nad którą unosiły się chmary muszek i komarów, co chwila ukazywał się czarny rybi pyszczek. Ryby polowały na owady albo łapczywie czerpały powietrze. Jezioro okazało się płytkie i błotniste, a w nim aż roiło się od brunatnozłocistych karasi! Radości z obfitego połowu dzieciaki miały sporo, pożytku mniej, bo biedne karasie były tak chude, że zostały na nich same tylko złote łuski i ości. Szczapowate, złociste karasie śmierdziały do tego błotem, ale posolone, potarte czeremszą i upieczone w popiele dały się schrupać razem z ościami. I ze smakiem...

Kiedy Dolina wracał z roboty, synowie już czekali na niego w baraku.

- No, jak tam dziś było?

- Normalnie, tato - odpowiadał Staszek, a mały Tadek gorliwie mu potakiwał.

- No, to może byśmy tak coś zjedli? Mamy tam co, Stasiu?

Na ten sygnał Staszek wyjmował zawiniątko z codzienną porcją chleba i podawał ojcu. Od śmierci mamy ojciec zawsze dzielił chleb jednakowo, tyle samo dla siebie, co i dla synów.

Ojciec dzielił chleb, a Staszek biegł do pieca po kociołek z zupą, którą sam upichcił. A w tych Staszkowych „zupach” można było znaleźć wszystko, co akurat chłopakowi udało się zdobyć. Dobrze było, jeśli do kociołka mógł wsypać garść kaszy czy przydziałowego makaronu. A jeśli tego brakowało, to w kociołku najczęściej bulgotała ryba z cybuchami błotnej cebuli, grzyby, młoda pokrzywa, lebioda lub szczaw. Taka gorąca, posolona bryja dawała się zjeść, a z pokruszonym do niej chlebem smakowała, że hej! A kiedy trafiał się kawałek mięsa, to już była uczta prawdziwa. Staszek przynosił okopcony, parujący kociołek i stawiał przed ojcem. Ten nabierał pierwszą łyżkę, dmuchał, siorbał i kiwał z aprobatą głową.

- Dobra! No, chłopaki, to do roboty!

Nie trzeba ich było dwa razy namawiać. Zjadali wszystko, a Tadek długo jeszcze skrobał w pustym kociołku i do sucha wylizywał swoją łyżkę.

- Słuchaj, Stasiu, na spław muszę płynąć, w przyszłym tygodniu tratwy będą przyszykowane. Nie chcą mnie z tego zwolnić. Będziecie tu musieli na jakiś czas zostać sami, beze mnie.

O tratwach i ich spławianiu po Birusie w barakach mówiło się już w zimie. A na wiosnę, ledwie zeszły lody, zaczęły się przygotowania do spławu. W odległości paru kilometrów od baraków niewielki dopływ Birusy tworzył naturalną zatoczkę, z trzech stron osłoniętą wysokimi, skalnymi brzegami. Na tych skalnych uskokach przez całą zimę gromadzono okorowane, gotowe do spławu, masztowe sosny.

Kloce ustawione wielkimi piramidami czekały na zrzucenie ich do zatoczki i połączenie w tratwy.

Przychodził czas i ze stromego brzegu leciały kloce do rzeki. Burzyły wodę, stawały sztorcem, nurkowały w głębinę, by po chwili wypłynąć. Gorzej, jeśli naraz zerwało się kilkadziesiąt kłoców. A i tak się zdarzało. Wówczas powstawała na wodzie istna plątanina spiętrzonych bali, z którą ludzie długo nie mogli sobie poradzić. I o nieszczęście wtedy było nietrudno. Pływające po zatoczce kloce ściągano bosakami, segregowano, dopasowywano i łączono krzepkimi witkami z rozparzonych, skręconych niby powróż, młodych brzózek. Tratwę trzeba było jeszcze wyciągnąć na Birusę, żeby porwał ją główny nurt i poniósł do celu. Ręcznie to robili, niby galernicy ciągnęli holownicze liny. Portem przeznaczenia tratw był daleki Jenisiejsk, gdzie budulec ładowano na dalekomorskie statki.

- Długo trwa taka droga? - dopytywali się Polacy.

- To zależy - filozoficznie odpowiadali miejscowi - zależy, jak nam pójdzie. Szczęśliwie nie utkniemy na mieliźnie, na Czarnym Kamieniu się nie rozbijemy, to za miesiąc, półtora najpóźniej, powinniśmy być z powrotem w domu.

- W tamtą stronę wiadomo: płyniemy z prądem. A jak stamtąd wracamy?

- A to już jak Bóg zdarzy: okazją albo piechotą, bracie, piechotą przez naszą tajgę matuszkę.

Wyruszającym na spław wydawano prowiant na cały miesiąc.

- Miesiąc, półtora? Za długo dla nas - próbowali buntować się Polacy. - A jak przyjdzie wezwanie do polskiego wojska? Na front?

- Nie martwcie się na zapas. Bądźcie pewni, że za ten czas, kiedy będziecie na spławie, wojna na pewno się nie skończy. Zdażycie jeszcze powojować, zdażycie...

Tratwa Doliny odpływała rankiem. Dzień zapowiadał się pogodny, słoneczny. Staszek z Tadkiem pożegnali się z ojcem jeszcze w baraku, a teraz siedzieli na wysokim brzegu Birusy i smętnie patrzyli, jak ojcowska tratwa odpływa. Pierwszy raz na tak długo zostawali sami. Sta-

szek, już pierwszego dnia nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić. Wraz z wyjazdem ojca, oprócz opieki nad młodszym bratem, nie miał żadnych obowiązków. Nawet codziennej zupy nie musiał gotować. Wrócili do baraku, a ponieważ ojciec zostawił im część swojego podróznego prowiantu, zabrali się do jedzenia. Mimo że Staszek sam siebie nawoływał do rozsądku, pokusa, a zwłaszcza głód okazały się silniejsze i po paru dniach z ojcowskich zapasów nie zostało śladu. Rad nierad, musiał więc Staszek wrócić do codziennego zdobywania żywności i gotowania tych swoich zupek. Tylko po chleb wybierał się do Kajenu dwa razy w tygodniu.

Tadek nie odstępował starszego brata ani na krok. A któregoś dnia uparł się, że pójdzie z nim do Kajenu.

- Ty wiesz, jak to daleko? Przez koczki trzeba skakać, komary cię pogryzą. Nie dasz rady. - Mały się rozplakał. - No już dobrze, dobrze, idziemy. Ale spróbuj mi potem narzekać.

We wsi malec był po raz pierwszy i zachowywał się tam jak dzikus: bał się wszystkiego i wszystkich. Do tego w sklepie ciocia Wiera i zgromadzone tam kobiety głośno i żałośnie płakały. Okazało się, że wczoraj ciocia Wiera otrzymała „pochoronkę”, urzędowe zawiadomienie o tym, że jej mąż i ojciec trojga dzieci „poległ na froncie śmiercią walecznych”. Wiera, spuchnięta od płaczu, czochrała skołtunione włosy i głośno zawodziła:

- Oj, Waniusza, Waniusza, czemuś ty się nad nami nie ulitował, czemuś nas osierocił?

Dzieciaki z baraków cichutko stały w kąciuku. Wiera przerwała zawodzenie, siorbnęła nosem i otarła łzy podółkiem fartucha.

- Dajcie kartki, wydam wam, co się tam należy. - I jakby usprawiedliwiając się przed babami, pokazała na dzieci: - Codziennie zima, lato po tę odrobinę chleba przychodzą. Muszę ich obsłużyć, żeby przed wieczorem wróciły. Co one biedne winne, że mnie akurat takie straszne nieszczęście spotkało.

Jeszcze dzieci nie zdążyły dobrze zamknąć za sobą drzwi, jak głośne zawodzenie zaczęło się od nowa.



-Jak to dobrze - powiedziała Zdzińska - że mój i twój tata nie są na tym całym froncie. Na tej wojnie nic, tylko się ludzie zabijają i zabijają.

- Głupia! Na to jest front, żeby się ludzie zabijali. Z wrogiem walczą. A nasi nie są na froncie, bo jeszcze naszego polskiego wojska nie znaleźli. Ja bym też na wojnę poszedł...

- To ty sam jesteś głupi, żeby na jakąś wojnę się wybierać! Przsiedli niedaleko promowej przeprawy przez Birusę, żeby chwilkę odpocząć. Pogryzali skórki chleba i patrzyli, jak prom przybija do przystani.

- O! - zdziwiła się Zdzińska. - Popatrz, baba tym promem kieruje!

- Wiem. Sdesza na nią wołają. A raz nawet, jak byłem z Edkiem, to nas na tym promie przewiozła. Dobra jest... Jej męża też na wojnie zabili.

- Za skarby świata bym nie chciała, żeby mojego tatę na tę wojnę wzięli.

- A ja bym chciał, żeby mój poszedł.

- Głupiś i już!

- Głupi? To ty chyba nie słuchasz, co ludzie w baraku mówią. Albo może ty do Polski nie chcesz wrócić?

- Kto by nie chciał? A niby co takiego mówią?

- No to sobie wiedz, że póki nasi tego polskiego wojska nie znajdą i nie pójda na front, to my z tego Sybiru już nigdy do Polski nie wrócimy...

Zdzińska, taka trochę niebieskooka chłopczyca, z włosami złotymi niby dojrzały kłos podolskiej pszenicy. Z taką tylko konie kraść. Staszek ją lubił, choć z nią najczęściej sprzeczał się i droczył. A teraz, kiedy ojciec był na spławie, Zdzińska na ochotnika pomagała mu opiekować się Tadkiem. No i jej mama, zapobiegliwa i dobra, pani Julia Ziemiakowa.

Na ryby chadzał Staszek w gromadzie z chłopakami, ale najczęściej z Edkiem, Zdziński bratem. Czasami lubił wybrać się samotnie na wcześniej upatrzone łowisko. Tak było zwłaszcza od czasu, kiedy

wygrzebał z przybrzeżnego namułu małą łódkę dłubankę, przywleczoną skądś przez wiosenną powódź. Znalezisko trzymał w wielkiej tajemnicy przed chłopakami, wyczyścił łódkę z mułu, wysuszył na słońcu i ukrywał w gęstych szuwarach.

Tego ranka Staszek postanowił łódkę zwodować. Wyskakując z baraku, wpadł na Zdziśkę.

- Uważaj, wariacie! Dokąd tak pędzisz?

Nie udało mu się od jej wścibstwa wykręcić. A może nawet nie bardzo się starał, bo chciał się wreszcie przed kimś swoją łódką pochwalić. Wymógł tylko na Zdziśkę przyrzeczenie, że nikomu tajemnicy nie zdradzi, nawet Edkowi, i pobiegli nad Birusę.

Próbowali łódkę w małej, spokojnej zatoczce, osłoniętej od głównego nurtu wielkiej rzeki półwyspem, gęsto porośłym zaroślami wierzbowej łoży.

- Dopłyniemy tam! - zażyczyła sobie i pokazała ręką na piaszczysty cypel półwyspu.

- Jak chcesz, to możemy nawet na drugi brzeg, do Czuwaszów przepłynąć. Fajna łódka, co?

- Fajna. Ojej! Nie kiwaj tak...

Za późno, bo już byli w wodzie, a dłubanka pływała do góry dnem! Na szczęście woda była tu płytka i do brzegu blisko. Mokrzy, wytapiani w mule, wyglądali jak nieboskie stworzenia.

Zdziśka wściekała się nie na żarty.

- Boże, jak ja teraz wrócę do baraku? Jak ja wyglądam!

Nie było rady. Trzeba było wszystko, co mieli na sobie, prać i suszyć. Nie dość, że wstydzili się jedno drugiego, to na dobitkę atakowały ich całe chmary muszek i komarów. Zdziśka wymyśliła, że zrobią tak:

- Pójdiesz, o, za tamte krzaki i zamkniesz oczy. A ja ściągnę z siebie lachy, upiorę i powieszę na słońcu do suszenia. A potem o tam, gdzie ten piasek, wejdę do wody. Aż po szyję! Wtedy wyjdiesz. Ale dopiero, jak cię zawołam. Tylko, żebyś mnie nie podglądał!

- Akurat, podglądał! Nie mam nic lepszego do roboty. No, dobrze. Ty schowasz się do wody po szyję, a co ze mną?

- Odwróć się, głupi. Nie bój się, ja też nie będę na ciebie patrzyła.

Jak postanowili, tak zrobili. I choć woda w zatoczce nasłoneczniona była i ustana, już po chwili zanurzeni w niej po szyje zsinieli i z zimna szczękali zębami. Kiedy wracali do baraków, Zdziśka zagroziła:

- Zapamiętaj sobie, że gdybyś czasem chłopakom wypaplał, żeś mnie gołą widział, to ja im powiem, gdzie ta twoja łódka jest schowana.

- Akurat, już lecę opowiadać... Ale przecież sama to wymyśliłaś.

- Niby co?

- No to, żeby się rozebrać na nagusa.

- Świnia!

- A ty mnie niby gołego nie widziałaś?

-Ja ciebie? Ani mi się śniło!... Phi, też bym miała na co patrzeć.

A pechową dłubanką długo się Staszek nie nacieszył. Nawet wiosło, które sobie z dranicy wystrugał, na niewiele się przydało. Dłubanka była chybodiwa i wywrotna. Kiedyś przyznał się do niej Edkowi Ziemiałkowi, jako że był to jego kolega nieodstępny. Coś ich pod-kusilo, zabrali do łódki małego Tacka i wypłynęli na Birusę. I mało się tam na wirach nie utopili. Z wielkim mozołem i strachem dobili do brzegu, zagapili się, tymczasem łódkę porwał bystry nurt i tyle ją widzieli.

Któregoś dnia pod wieczór, kiedy ludzie wrócili z roboty, dzieciaki wpadły z krzykiem, że pod baraki ktoś podjeżdża. Paru ciekawych wyszło przed próg. Pod stromą górką od strony kajeriskich błot malutki gniady „mongoł” z trudem ciągnął powózkę.

Nagle ktoś wrzasnął na cały głos:

- Toż to przecież Janek Majka!

A jeszcze bardziej się zdziwili, kiedy z furmanki, ciężko utykając kulawą nogą, zaczął złazić... pan Korczyński! Ten sam Karol Korczyński, którego za to, że uczył w Kaluczem polskie dzieci, NKWD aresztowało i skazało na ćwierć wieku ciężkiej katorgi. Przyjechała też pani Korczyńska, jego matka, oraz czarnowłosa, skośnooka młoda Buriatka. Tej ludzie nie znali, ale była to Tanma z Usolia, która

zeszłego roku po amnestii służyła Polakom z Kaluczego jako przewodniczka po tajdze.

Babka Szajnina przeżegnała się, jakby ducha zobaczyła, i z płaczem rzuciła się pani Korczyńskiej na szyję. Achy, ochy, zdziwienia, radości i babski płacz. Korczyński, skóra tylko i kości, przygarbiony, pomarszczony na twarzy, uśmiechał się bezzębnie, smutno. I cały czas milczał. Majkowa płakała, tuląc się do dawno nie widzianego syna. Buriatka otoczona ciekawskimi dzieciakami ocierała konikowi oczy, wyżarte do krwi przez gzy i muszkę.

To nie był już ten dawny, pełen życia i chętny ludziom Korczyński. Opowiadał swoje losy skąpo. W kańskim więzieniu oddzielono od nich Cynię Bialerównę. Co się z nią teraz dzieje, nie wie. A Karol Lutkowski, niestety, nie wytrzymał, umarł w boguczańskim gu-lagu. Amnestia zastała Korczyńskiego w tychże Boguczanych, nad rzeką Angarą. Potem przez parę tygodni wraz z innymi Polakami wlekli się bezdrożami do Kańska. Tutaj na stacji kolejowej się rozproszyli. Większość Polaków rzuciła się do pierwszego lepszego pociągu, byle na zachód. Jedni chcieli jak najdalej uciec z Sybiru. Drudzy, zwłaszcza młodzi, postanowili szukać polskiego wojska. Korczyński był kaleką, do wojska się nie nadawał, postanowił więc wrócić do Kaluczego, gdzie spodziewał się zastać matkę. Nie pomylił się, stara matka czekała. Ale Kalucze opustoszało prawie całkowicie. Komendanturę NKWD odwołano. Lespromchoz, kiedy zabrakło niewolnej siły roboczej, stracił tą osadą zainteresowanie. Kto żyw z Polaków uciekał z tego przekłętego miejsca nad Pojimą, dokąd oczy poniosą. Sylwii Krakowskiej dziadek Fiedoszej pomógł wyjechać do Tajszetu, gdzie jej mąż siedział w obozie. W Kaluczem po amnestii zostawali tylko ci, którzy nie mieli szans, żeby o własnych siłach stamtąd się wydostać. Były to bezradne wdowy z małymi dziećmi, samotni starcy, inwalidzi i ciężko chorzy. Nikt się nimi nie interesował. Nie mieli chleba. Nawet soli im brakowało. Wszelką żywność musieli zdobywać sobie sami. Tylko tajga i Pojimą ich żywiły.

- Myślałem, że wszyscy wymrzemy Lam w Kaluczem z głodu. Ale Bóg litościwy. Dziadek Fiedosiej, daj mu Boże zdrowie, upolował wielkiego łosia i przywłókł go nam pod barak. To nas minionej zimy uratowało - opowiadała pani Korczyńska. - Niektórzy chodzili po żywność do Usolia.

A tam, w Usoliu, niepodzielnie królował Janek Majka! Oczywiście nie sam, ale razem ze swoją czarnooką, bystrą i zwinną niby wiewiórka Buriatką Tanmą, córką starego Jegorowa. Stary Buriat zaakceptował Polaka bez większych oporów, oddał mu córkę, a za zwyczajowy wśród Buriatów „kałym”, czyli okup za narzeczoną, wystarczyła mu kostka sprasowanej machorki. Rozochocony teść chciał nawetjanko-wi dodać drugą córkę, Onojkę, ale zięć zdołał się z tej niezwykłej ofertyjakoś wyplątać. Mieszkali z Tanmą tylko we dwoje, w specjalnie wydzielonej dla nich chacie - jurcie. Tanma zajmowała się polowaniem na sobole. Ale, gdy było trzeba, dostarczała dla całego rodu Onojów wszelkiej dziczyzny. Janek, jedyny w wyludnionej przez wojnę osadzie sprawny i dorosły mężczyzna, robił wszystko, co wymagało męskiej ręki. Tanmę lubił. Żyło mu się w Usoliu jak u Boga za piecem, choć bywały chwile, kiedy chwytiała go dzika tęsknica za wszystkim, co polskie. Na przedwiośniu dowiedział się Janek o powrocie Korczyńskiego. Nie zwlekał z odwiedzinami. A kiedy tajga po wiosennych roztopach trochę przeschła i można było z Kaluczego się wydostać, przywiózł Korczyńskich do Kajenu, a sam odwiedził rodziców.

W Rajenie Tanma, która po polsku nie rozumiała, nie odstępowała Janka. Słuchała niezrozumiałej mowy, patrzyła na gwałtowne ruchy i gesty Polaków, jakich u współplemieńców nie spotkała, rozglądała się po baraku niby dzikie, spłoszone zwierzątko. Janek co jakiś czas tulił ją do siebie i pieszczodiwym ruchem dłoni gładził jej lśniące, czarne włosy. Jej luźna, długa tunika, uszyta z pstrokatych skórek burunduka, nie była w stanie ukryć, zwłaszcza przed wścibskim babskim wzrokiem, jej wysklepionego ciężą brzucha.

- Ciekawe, do kogo to nowo narodzone będzie podobne? Majkowa, a ta wasza niewiastka, to chrzczona ona czy nie? Bo podobno te tutaj-

sze ludzie z krzywymi oczami, Buriaty czy jak im tam, to całkiem poganiny są jeszcze? - martwiła się babka Szajnina.

Tanma nie chciała nocować w baraku. Spali razem z Jankiem na wozie, okryci derką z jelenich skór. Pobyli tylko dwa dni i odjechali z powrotem do Usolia. Stara Majkowa popłakiwała.

- Nie płaczcie, mamó, nie zginę. Sami widzicie, że nie mogę jej samej w takim stanie zostawić. Moja krew przecież... I niech mi ktoś da znać, kiedy naszych do polskiego wojska będą brali.

Tanma szczęśliwa, że wraca do rodzinnego Usolia i zabiera Janka ze sobą, w milczeniu ukloniła się Majkowej w pas.

Minał obiecany miesiąc, a Dolina ze spławu nie wracał. Wróciły już nawet załogi, które później z Kajenu wypłynęły, a Jana Doliny wciąż nie było widać.

- Nie martw się, wróci. Nie on jeden jeszcze nie wrócił. Może na mieliźnie siedzieli? Rzeka wielka, brzegów prawie nie widać, to jak tam kogo spotkasz. Albo po drodze gdzieś się zatrzymał...

Pocieszali chłopaka ci, co byli na spławie. I zaczęli spław wspominać, opowiadać o nim niesamowitości. O tym, jaka ta rzeka Biru-sa zdradliwa, pełna wirów, niespodzianych mieliżni i kamienistych groźnych wodospadów, na których mniej doświadczeni flisacy mogli nawet tratwy potopić. No a potem ten powrót ze spławu przeważnie pieszo, brzegiem rzeki albo bezdrożami tajgi.

Staszek zaczął się martwić, czy ojcu coś złego się nie przytrafiło. A do tego od paru dni nie mieli z Tadkiem w ustach ani kawałeczka chleba. Skończył się bowiem kalendarzowy miesiąc, skończyły się im kartki na chleb. W lespromchozie kartek Staszкови nie wydali.

- Nie mam was na liście. Jest Jan Dolina plus dwie osoby na jego wyżywieniu. A skąd ja wiem, że to jesteście wy?

- Ludzie w baraku wiedzą, mogą poświadczyć...

- Ludzie, ludzie! Ludzie wszystko mogą poświadczyć! Kartki należą się tylko żywicielowi, a wy jesteście „iździwieńcy”. Wróci ojciec, to chleb wybieriecie, nie przepadnie.

Ze swoich kłopotów Staszek nie zwierzał się nikomu. Nawet Zdziśce. A zebrać u kogoś pomocy nie chciał i nie potrafił. Miał jeszcze parę garści kaszy i nią krasił rzadkie zupy, gotowane z lebiody i pokrzyw. Ajak złapał rybę, to już była prawdziwa uczta. Co tam nagotował, zjadali z Tadkiem rano, a potem wychodzili z baraku i przez cały dzień włóczyli się nad Birusą, po okolicznej tajdze. Co przy tej okazji znaleźli, zjedli: szczaw, sarankę, czeremszą czy inną dziką zieleninę. Do baraku wracali o zmierzchu i zaraz kładli się spać, bo we śnie łatwiej głód oszukać.

Na domiar złego od paru dni się rozpadało. Zrobiło się chłodniej, siąpił drobny, dokuczliwy deszcz. Gęsta mgła zaciągnęła rzekę, wpelzała do tajgi. Chłopcy głodni, przemoczeni i zziębnięci włóczyli się po nadbrzeżnych łąkach, gdzie najłatwiej można było znaleźć kępki kwaskowatego szczawiu. Tadek bosy i lichy odziany szczekał zębami z zimna, popłakiwał i już drugi dzień żalił się, że boli go brzuch. Pod wieczór wrócili do baraku. Staszek ułożył małego na pryczy i poszedł coś gorącego ugotować. Miał tylko lebiodę. Nawet sól się skończyła. Nie chciał niczego pożyczać od sąsiadek, bał się, że zaczną go wypytywać, co gotuje. Zielona bryja z lebiody była mdła, nie smakowała. Tadek parzył wargi i nie przełknął ani łyka. Staszek chciał mu dać dobry przykład, wmusił w siebie ze dwie łyżki, ale mimo głodu tego świństwa bez soli jeść się nie dało. Ułożył się obok brata i popłakującego utulił do snu. Rano Tadek obudził się rozpalony gorączką, płakał i wołał ojca. Majaczył. Staszek zagotował wrzątku i próbował go tym poić. Mały krztusił się, pluł, nie pił. „Może gdyby tak troszkę tę wodę posolić?” - pomyślał Staszek i tym razem zdecydował się pójść do pani Korczyńskiej i pożyczyć łyżeczkę soli.

Coś go musiało przed nią zdradzić: może rozbiegane, czerwone z niewyspania oczy, a może drżący głos, dość, że pani Korczyńska za chwilę zjawiała się przy ich pryczy. Jeden rzut oka na rozpalonego gorączką dzieciaka wystarczył, żeby zorientowała się w sytuacji. Mały, napojony malinową herbatą, nakarmiony miską pożywnej zupy,

przez panią Ziemiakową przyniesionej, już pod wieczór poczuł się lepiej. A na drugi dzień ojciec wrócił ze spławu!

Dolina wrócił wyraźnie odmieniony. Co prawda trochę schudł, szerniał osmagany wiatrami, wodną bryzą i słońcem, ale wydał się Staszce bardziej krzepkim i jakby młodszym. Stał się łagodniejszym w obejściu, uśmiechał się częściej, a nawet czasami żartował. I dbał o siebie bardziej. Codziennie drapał brodę starą brzytwą, zaczesywał włosy, łątał smoloną dratwą znoszone buty i częściej prał koszule. Od śmierci mamy ojciec był raczej odludkiem, unikał ludzi. Teraz szukał ich towarzystwa. Uradował się zwłaszcza powrotem Korczyńskiego, nie stronił od politykowania, a w ciepłe wieczory wychodził ze wszystkimi przed barak. Często na brzegu Birusy rozpalano wielkie ognisko, wokół którego zbierała się młodzież, przychodzili starsi. Ktoś rozciągał starą harmonię, inny brzdąkał na bałajce, zaczynały się żarty, opowieści, wspólne śpiewanie, a nawet tańce. Widać taka chwila odprężenia przydawała się ludziom. Ojciec wracał do baraku późno, długo nie mógł zasnąć, wzdychał i kręcił się na pryczy. Tę odmianę u ojca Staszek dostrzegł już w czasie powitania.

- Staszek, twój ojciec ze spławu wraca! - wrzasnął na cały barak Józek Rzepka, chłopak nieco starszy od Staszka, którego ojciec był też na spławie. Oprócz Rzepki i rosyjskiego sternika, były tam też dwie dziewczyny: Rzucidłowa Staszka i Bronia Barska.

Ojciec, szeroko uśmiechnięty, rzucił podróżny worek, złapał Tadka, uniósł wysoko w górę, przytulił, ucałował. Przytulił też Staszka, poklepał po chudych plecach i zarekomendował go stojącej obok Broni.

- To jest właśnie mój starszy, Stasiu. Razem sobie gospodarzymy. No, a to jest młodszy, Tadziu. Mówiłem ci już o nich.

- Aleja ich przecież znam, znam ich obydwóch. A ze Stasiem to nawet kiedyś do Kajenu szliśmy razem po chleb.

- Tatusiu! - wpadł jej w słowo Tadek. - A nam to chleba w Kajenie nie dali i ja byłem głodny, nawet chory! Pani Ziemiakową zupy nam dała. I pani Korczyńska...



- Zaraz będzie chleb, tatuś ci przywiózł.

Ojciec rozwiązał worek z chlebem. Bronia tymczasem wyciągnęła rękę i chciała pogłaskać Staszka po czuprynie. Ten, niezwyczajny takich gestów, uchylił głowę i dłoń dziewczyny zawisła w powietrzu.

Bronia rzeczywiście szła kiedyś z dziećmi do Kajenu i przez całą drogę streszczała im „Ogniem i mieczem”. Z całej Trylogii mieli w barakach tylko „Potop”. Obiecała nawet, że przy okazji opowie im jeszcze „Pana Wołodyjowskiego”, a może i „Krzyżaków”. Ale taka okazja jakoś się dotąd nie nadarzyła. Staszek nawet po swojemu tę Bronię lubił, ale to jeszcze nie powód, myślał rozdrażniony, żeby robić mu taki wstyd, traktować go jak małe dziecko i przy wszystkich po główce głaskać. Ale nawet przez myśl mu nie przeszło, że niedługo potem przez tę właśnie Bronię pobije się do krwi z Kazkiem Grubą.

A było tak. Szli z chłopakami na ryby, minęli Bronię, wracającą od rzeki z naręczem prania.

- Dzień dobry! - Ukłonił się grzecznie Staszek, bo jeszcze mama go nauczyła, że każdemu znajomemu należy się takie powitanie.

- Dzień dobry, Stasiu, dzień dobry - odpowiedziała uśmiechnięta Bronia i poszła swoją drogą.

- Hi, hi, hi, jaki mi to greczny chłopczyk! „Dzień dobry pani!”-przedrzeźniał Kazek. - Ale masz rację, podlizuj się jej zawczasu, przyda ci się, jak znalazł.

- O co ci chodzi?

- Nie udawaj głupiego, że niby nic nie wiesz.

- A co takiego mam wiedzieć?

- Dalej głupiego strugasz?... A o to chodzi, że ta cała Bronia już niedługo będzie twoją macochą. Ot co!

-Jak to, moją macochą? Co ty za głupoty wygadujesz?

-Ja wygaduję? Cały barak o tym wie, że ta twoja Bronia i twój stary od dawna się migdała, jeszcze na sławie...

Nie dokończył, bo Staszek skoczył do niego pięściami, i dopiero idący razem z nimi Edek z trudem ich w zażartej bójce rozdzielił.

Korczyński umierał. Odchodził z tego świata świadomie, choć w niewyobrażalnym żalu. Właśnie żalu. Bo fizycznie co miał wycierpieć, to już chyba wszystko na tym świecie wycierpiał. Leżał nieruchomo, z przymkniętymi powiekami na barakowej pryczy, wychudły jak szkielet i tak osłabły, że nie mógł unieść ręki, żeby wytrzeć czoło z zalewającego go potu czy odpędzić natrętną muchę. Nic go nie bolało. Nie chciało mu się jeść. Czasami tylko odczuwał pragnienie i z trudem oblizywał zaschnięte, siniejące wargi. A wtedy czuwająca matka wlewała mu do ust łyżeczkę malinowego wywaru i ocierała skronie. Już od tygodnia trwał w takiej malignie, niewiele różniącej się od niebytu, choć mózg nadal pracował sprawnie. Tylko, że już nawet iskiereki woli nie mógł z siebie wykrzesać. A kiedy człowiekowi zabraknie woli, to już nic i nikt nie jest w stanie mu pomóc. I o tym też Korczyński wiedział, choćby z własnych katorżniczych doświadczeń. Ale teraz sam się poddał i uznał, że zbliża się jego kres. Nękały go wspomnienia z łagru. Miał wyrzuty sumienia, że to on był sprawcą nieszczęść, jakie dotknęły młodzieńką Cynię Bialerównę i niewiele od niej starszego Władka Lutkowskiego. Gdyby wtedy w Kaluczem nie namówił ich do uczenia dzieci? Lutkowski po strasznych męczarniach zginął w gulagu. A jaki los spotkał Bialerównę? Tego umierający Korczyński nie wiedział...

Korczyńskiego z Lutkowskim, po zaocznym skazaniu przez NKWD na 20 lat łagru, na początku kwietnia 1940 roku przetransportowano z Kańska do tajszeckiego gulagu. Wytrzymać tu ćwierć wieku? Tajszeckie gulagi miały złą sławę. Opowiadano o nich w Karisku, które to więzienie pełniło funkcję przesyłowo-rozdzielczą. To z Kańska wiodły

liczne katorżnicze szlaki po całym Krasnojarskim Kraju, do Irkucka, Tajszetu, do północnego kraju Ewenków i Jakutów, na Tajmyr i Kołymę. „Kołyma, Kołyma, wiesiołaja płanieta dwienadcat miesiacow zima, ostalnoje leto...” Siedzieli sdoczeni w kilkudziesięcioosobowej celi. Przemieszanie ludzkich typów, narodowości z całego Związku Radzieckiego, więźniów politycznych z pospolitymi bandziorami, często wielokrotnymi recydywistami. Królują, rządzą w celi „błatnyje”, którzy na skinienie swego „pachana”, bezwzględnego przywódcy, gotowi są na wszystko. Ludzie odbywający karę pierwszy raz, i to za byle co, polityczni, czują się wśród nich jak owieczki w stadzie wilków. Są zwyczajnymi „frajerami”. „Ludźmi” natomiast są oni, recydywiści - „błatnyje”. To oni przy cichej aprobacie obozowej administracji ustanawiają w więzieniach i łagrach obowiązujące wilcze prawa.

Korczyński i Lutkowski, wzięci prosto z tajgi, nie mieli przy sobie niczego wartościowego. Ale i tak wełniany szalik Lutkowskiego stał się łupem błatnych zaraz po wepchnięciu nowo przybyłych do celi.

Już w Kańsku Korczyński dowiedział się, co to takiego te tajszec-kie gułagi. Więźniowie zajmowali się w nich głównie produkcją drewnianych podkładów kolejowych. Tam też wykonywano impregnację tych podkładów. Z grubsza polegało to na tym, że podkłady wychodzące z tartaku, dla wzmocnienia ich wytrzymałości na wilgoć i próchnicę, przesycono specjalną mieszaniną kreozolitu, dziegciu i ropy. Na dłuższą metę była to mieszanka zabójcza dla najzdrowszego nawet ludzkiego organizmu, a co dopiero dla wygłodniałych więźniów, pracujących bez jakiegokolwiek profilaktycznej ochrony. Trujące opary niszczyły drogi oddechowe, dostawały się do płuc, oczu, barwiły skórę i nasycaly nie tylko odzież, ale ludzkie ciało, niby gąbkę, trwałym nie do zniesienia odorem. Z Kańska wzięto ich na etap. Dokąd? Tego nigdy więźniowi nie mówiono. Ale kiedy kazano im wychodzić z wagonu, po tym charakterystycznym smrodzie zrozumieli, że są w Tajszecie.

Parę miesięcy pracowali z Lutkowskim przy nasycaniu kolejowych podkładów trującym, parującym mazidłem. Tyle wystarczyło, żeby

przesiąknęli tym smrodem na całe życie. A Lutkowskiego przyprawiło to o galopujące suchoty. Chłopak umierał w męczarniach. Pluł krwią, gnił za życia, jako zżarty skorbutem „dochodiaga”.

Kiedy Korczyński po amnestii dotarł do Kaluczego, już nie zastał nikogo z Władkowej rodziny. Wszyscy Lutkowsy wymarli na tyfus... Nie zastał też Bialerów. Bialerowa nie żyła, a starego, wraz ze wszystkimi polskimi Żydami, dokądś z Kaluczego wywieziono. Zresztą Bialerowi nie miałyby za wiele o jego córce Cyni do opowiadania, bo rozdzielono ich już w kańskim więzieniu. Co z nią teraz? Była rzadkiej urody i inteligencji dziewczyną. „Moja wina, moja wina, że tych dwoje dzieciaków na taką gehennę naraziłem!” Męczył się Korczyński wyrzutami sumienia. Co z Cynią? Oby tylko nie spotkał jej los Władka Lutkowskiego...

Szpital więzienny w Kańsku nie miał najgorszej opinii. Więzień, jeśli poszczęściło mu się tutaj trafić, mógł liczyć nawet na osobne łóżko, czystą pościel i lepsze wyżywienie. Opieka lekarska też była nie najgorsza, jako że etapami do Kańska trafiali skazani lekarze różnych specjalności.

Cynia - Celina Bialer, trafiła do kańskiego szpitala prosto z etapowych sań, z rozpoznaniem ciężkiego zapalenia płuc. Miała ataki wysokiej gorączki, traciła przytomność, rzucała się w malignie, wykrzykiwała. Odzyskawszy przytomność, ujrzała nachyloną nad sobą twarz starszego siwego pana, z grubymi szkłami okularów na nosie. Po białym fartuchu i słuchawce stetoskopu domyśliła się lekarza. Nie myliła się. Był to lekarz. A jak się później dowiedziała, nazywał się Izaak Lewin, profesor internista, skazany w akcji stalinowskich represji w Leningradzie, po zabójstwie Kirowa.

- Nie śpimy już? Charaszo, charaszo... No to policzymy puls, płuca opukamy, posłuchamy, co serce ma nam do powiedzenia. Tak... Charaszo, charaszo... No, chyba najgorsze mamy już za sobą. Proszę teraz dużo spać, odpoczywać. Wszystko będzie dobrze.

Doktor Lewin pojawiał się przy jej łóżku codziennie. Przy porannym obchodzie asystowała mu oddziałowa, wolnonajemna baba

harpagon, mrukliwa i ordynarna. Sanitariuszki pomocnicze i salowe były więźniarkami. Celina czuła, że lekarz odnosi się do niej troskliwie. Wracała do zdrowia. Próbowwała nawet wstawać z łóżka.

- Leży, durna! - skarciła ją leżąca obok więźniarka. Była po operacji żołądka, miała chyba raka, bo cierpiała bardzo i całymi nocami zwijała się z bólu. - Leż, głupia, dopóki sami cię z łóżka nie zgonią. Co ci tu źle? Widać, że jesteś jeszcze „frajterka”. Oj, Boże, Boże! Ja już dłużej tego bólu nie wytrzymam, a ta bładź oddziałowa odrobiny morfiny człowiekowi przed śmiercią żałuje.

Na szczegółowe badania Lewin wzywał ozdrowieńców do swojego lekarskiego gabinetu. Celinę wezwał nagle. Tego dnia był w stosunku do niej wyjątkowo oschły, nawet surowy. Badał ją długo, dokładnie. Coś tam mrucał pod nosem. Przerwał badanie i wysłał sanitariuszkę po coś tam, aż na drugi oddział. Kiedy zostali sami, doktor Lewin, sprawdzwszy, czy ktoś nie podsłuchuje, wygłosił zaskakujący monolog:

- Wiem, że pani jest polską Żydówką. Pani o mnie nie wie nic, aleja też jestem Żydem. Tyle, że rosyjskim. Pragnę pani pomóc. Ale nie tylko dlatego, że jest pani Żydówką, jest pani jeszcze bardzo słaba, a ja trzymać pani dłużej w szpitalu nie mogę. Jeśli obecnie trafi pani do gułagu, nie ma pani żadnych szans na przeżycie. Pomyślałem, że teraz jest szansa, żeby pani została w szpitalu jako laborantka. Chemii się pani uczyła?

- W polskim gimnazjum... Łaciny też." Na kursach Czerwonego Krzyża przed wojną nas przeszkolono...

- Doskonale! Wystarczy. Widzę, że się rozumiemy. Musimy zaryzykować. Jutro przy obchodzie zgłosi mi pani, że jest sanitariuszką-labo-rantką, i spyta, czy nie mogłaby pani u nas pracować. Każę oddziałowej skierować panią z raportem do komendanta szpitala. Reszta to już moja w tym głowa.

Plan starego profesora wydał się Celinie nierealnym, ale zrobiła, jak kazał. I o dziwo, udało się. Profesor Lewin miał niekwestionowany autorytet u komendanta. Jako sanitariuszka-laborantka Celina

całe dni spędzała w szpitalu, zaś na noc zamykano ją w specjalnej celi przeznaczonej dla więźniarek pracujących w więziennym szpitalu. Jej obowiązki nie były skomplikowane, więc jakoś sobie radziła. Kiedyś wykorzyststała stosowny moment, zdobyła się na odwagę i zadała Lewinowi intrygujące ją pytanie:

- Panie profesorze, przepraszam bardzo, a po czym pan poznał, że jestem Żydówką?

Lewin uśmiechnął się smutno, przetarł okulary.

- Boisz się pewnie, że po wyglądzie? Bo po tym rzekomo nas się poznaje? Nie, dziecko. Wygląd to bzdura. Wiele nacji na tym świecie wygląda identycznie albo podobnie. Prawie dwie doby byłaś nieprzytomna. Rzuciałaś się, bredziłaś w wysokiej gorączce. Zajrzałem do ciebie w nocy. Coś mówiłaś, wykrzykiwałaś. Chyba po polsku. Ale parę słów naprowadziło mnie na ślad. Wtedy zrozumiałem, że jesteś Żydówką.

- Przepraszam, a co ja takiego mówiłam?

- „Marne”, „tate”, „warum?”... Witałaś się z kimś: „Szulem alejchem”... My, rosyjscy Żydzi ze starego pokolenia, jeszcze trochę jidisz pamiętamy. Młodzijuż niczego nie rozumieją.

- Wstyd mi, panie profesorze, ale ja też w jidisz prawie nie mówię. W Polsce się urodziłam, wychowałam, po polsku myślę, mówię. Nigdy się zresztą nad swoim żydostwem nie zastanawiałam.

- Nie martw się tym, dziecko... Być Żydem to przecież nie grzech. Choć czasami ciężko. W Związku Radzieckim czasami nawet bardzo...

Było ich w celi kilkanaście. Politycznych mało. W większości tak zwane „bytowiczki”, skazane za przestępstwa pospolite. Przeważały młode Rosjanki, lekarki, sanitariuszki. Kański szpital więzienny miał swojego „opiekuna”, „kuma”, jak w żargonie gułagu nazywano funkcjonariuszy NKWD. Był nim niejaki Krasilnikow. Miał w szpitalu specjalny pokój, do którego co jakiś czas wzywał upatrzonych skazanych. I prawie każdego starał się zwerbować do współpracy. Od jego opinii i decyzji zależało, kto z więźniów będzie pracował w szpitalu, a kto trafi etapem do gułagu.

Krasilnikow zgodził się, żeby Celina tu pracowała z dwóch powodów: prosił go o to profesor Lewin, któremu zawdzięczał życie, bo ten wyprowadził go z prawie beznadziejnego zapalenia otrzewnej. A po drugie: ostatnio do szpitala coraz częściej trafiali Polacy, więc Celina mogła mu się przydać jako dumaczka i... donosicielka.

W celi Celina zaprzyjaźniła się z Wierą. Ładna, wesoła dziewczyna, pochodziła z Penzy. Dostała wyrok pięciu lat za sfałszowanie zaświadczenia lekarskiego dla swojego chłopaka, który nie chciał iść do wojska. Wiera była „stukaczką” i do tego kochanką Krasilnikowa. Celina nie tylko o niczym nie wiedziała, ale w stosunku do Wiery nie miała nawet cienia podejrzenia. A Wierę na samą myśl, że może trafić na etap, ogarniała zgroza. Donosiła więc Krasilnikowowi gorliwie, starała mu się we wszystkim przypodobać. A do tego, jako kochanka, była o niego zazdrosna. I ta jej zazdrość objęła Celinę, kiedy ta zaczęła jej opowiadać, jak to Krasilnikow często ją wzywa i wypytuje, czy miała w Polsce swojego chłopaka, czy się z nim kochała, jak chwali Polki za ich elegancję i urodę.

- „Ty toże polskaja krasawica” - mówił. A jak na mnie patrzył! Wiera, boję się go, wiesz... Do tego na „stukaczkę” wyraźnie mnie namawia. Co mam robić?

- A to ci bladź! Ty wiesz, Celina, ile on ma tutaj w szpitalu kochanek? Chyba tylko z „harpagonem” jeszcze nie spał. Ale ona to go sama kiedyś zgwałci. Chociaż nie, bo nasza przełożona woli dziewczyny.

- Coś ty?

- To do ciebie jeszcze się nie dobierała? To stara lesbia, jakich mało! A jakby tak Krasilnikow czasem do ciebie się dobierał, to ty go w mordę i już. I od razu wrzeszcz. Oni się tego boją. A to stary cap! „Stukaczką”, polskaja krasawica... W razie czego, to ty go w mordę i już. Śpimy, sestrońka, rano mądrzejsze od wieczora.

A już następnego dnia Krasilnikow otrzymał od Wiery donos, że Celina uprawia w celi wrogą propagandę, chwala wśród więźniarek pańską Polską, a ustrój radziecki jej się nie podoba, że chorym Pola-

kom dostarcza dodatkowe leki. A do tego wszystkiego ta cała Bialer to wcale nie jest Polką, tylko Żydówką!

- Zwariowałaś, Wierka, czy co? - Zaskoczony Krasilnikow był wściekły. To wszystko nie było mu na rękę. - Potwierdzisz to jako świadek?

- A po co? Wyślij ją stąd pierwszym etapem i będziesz miał spokój. A ja ci nic nie mówiłam. Chcesz, żeby mnie w celi zadusiły? Wyślij ją stąd, Żenią, po co ci ona.

- Nie leż, Wierka, na mnie, nie teraz, nie teraz. No, no, ale z ciebie ziółko... Poczekaj, niech klucz w drzwiach przekręcę.

Z donosu zazdrosnej Wierki „kum” wykorzystał jedno: politycznie niepewna, spiecpieresielenka Polka nie może być zatrudniona dłużej w szpitalu, bo nie ma gwarancji, że jej kontakty z innymi więźniarkami polskimi nie przyniosą szkody władzy radzieckiej. Operacyjnie nie rokuje też nadziei na donosicielkę.

Więźniowi niczego się tutaj nie wyjaśnia, niczego nie tłumaczy. Któregoś ranka Celiney nie wpuszczono do szpitala, kazano jej zabrać wszystkie swoje rzeczy z celi i oddziałowy przeprowadził ją na teren ścisłego więzienia. Najbliższej nocy grupę więźniarek, a wśród nich Celinę, pod silnym konwojem odstawiono na bocznice kolejową w Kańsku, gdzie załadowano ją do „wagon-zaka”, specjalnego wagonu służącego do transportowania więźniów. „Wagon zakliuczonych” - okratowany, zaciemniony, ściśle odizolowany od świata zewnętrznego. Dwa wydzielone przedziały dla konwoju, reszta wagonu to przejrzyste na przestrzał, mocno okratowane klatki. Wzdłuż tych klatek wąskie przejścia. Dokąd podąża etap, tego nikt poza komendantem konwoju nie wie. Tym razem był to „wagon-zak” koedukacyjny. Dwie klatki dla kobiet, dwie dla mężczyzn. Tłoczno. Przewaga błatnych. Oni tu rządzą. Ledwie pociąg ruszył, konwojenci jeszcze raz przeliczyli więźniów w poszczególnych klatkach i przyćmili karbidówkę. W wagonie zawrzało jak w ulu. Kobiety i mężczyźni razem, w jednym wagonie! Co prawda oddzielają ich kraty, ale widzą się, czują, rozmawiają. Wzajemne, dumione długą więzienną izolacją pożądanie rośnie z minuty na minutę. Słowa, wulgarne gesty stają się nieskrepo-



wane. Pary dobierają się na odległość, przekrzykują się wzajemnie, podniecają, obnażają, onanizują, pożerając się wzrokiem. W powietrzu unosi się ciężki smród niemytych ciał, spermy i uryny. „Pachan” błatnych, wytatuowany nawet po twarzy, ochryple woła do kobiet:

- Baby, a czto, jeżeli nam „tramwajczyk” sobrazić? Raz się żyje, baby, a?

Odpowiada mu jedno wielkie aprobujące wycie.

- No, to w takim razie robimy ściepkę. Wszyscy!

Celina, śmiertelnie przerażona, siedzi skulona w kątku. Nie wie jeszcze, do czego to wszystko zmierza, ale czuje, że zanoszą się na coś okropnego. Nie ma jeszcze na tyle więziennego doświadczenia, żeby wiedzieć, że „tramwaj” w języku błatnych oznacza wspólne pijaństwo i seksualne orgie. Trzeba tylko ułagodzić konwój, żeby ten przymknął oczy albo, żeby sam też wszedł do takiego „tramwaju”.

„Pachan” miał mir i głowę nie od parady. Rychło dogadał się z dowódcą konwoju. Na najbliższym postoju w wagonie zjawiała się wódka. Konwój wziął swoje. Nim jednak pootwierał klatki, każdy z konwojentów wybrał coś dla siebie. Celina wpadła w oko samemu komendantowi. Wciągnął ją do swojego przedziału, przemocą wlał w nią wódkę, gwałcił i zabawiał się nią przez całą noc.

Etap pijanego „wagon-zaku” kończył się w Czeremchowie, niedaleko Irkucka. Konwój i skacowani więźniowie doprowadzili się do jakiegoś takiego porządku. Wieczór w Czeremchowie był zimny, prószył drobny śnieg. Więźniowie wytaszczyli z wagonu trupy trzech kobiet. Nie wytrzymały zbiorowego gwałtu. Śmierć wśród więźniów się nie liczyła, grunt, że rachunek się zgadzał. A umrzeć człowiek przecież zawsze może. I na byle co. Kto by w gułagu tym się specjalnie przejmował... Celina, drżąca z zimna i obolała, wychodząc z wagonu, mijała komendanta.

- Na, pani, ważmi.

I wsunął jej do ręki konserwę „swinoj tuszonki”. Wzięła!

**Korczyński** umierał. Minione galopowało w myślach... Nie miał jeszcze osiemnastu lat, a już jako ochotnik bił się o Polskę. Kijów, ciężka rana w nogę, prawie amputacja. Bohater „kuternoga”. Co mu z „Virtuti”? „Kuternoga”, „kuternoga”. Szło to za nim. Było to w nim. Może dlatego się nie ożenił? Ksenia Malinicz, czarnobrewa ślicznotka z Worwoliniec. Ukrainka. Wiedział, że go kochała. I on ją kochał. Lidka Kuśmierska, koleżanka, nauczycielka ze szkoły w Tłustem. To już było później. Mama za nią przepadała. Ale też nic z ołtarza, bo on się nie zdecydował. Obydwie potem wyszły za mąż. Uczył ich dzieciaki. „Kuternoga”, „kuternoga”...

Na stacji w Kańsku dobrała się paczka młodych, zdrowych, na ile po gułagu można być zdrowym i silnym, i nie zważając na nic, pojechali po Rosji wojska polskiego i Sikorskiego szukać. Boże, jak on im zazdrościł! A tamtym nawet do głowy nie przyszło, żeby choć, ot tak, dla przyzwoitości zaproponować: „Panie Korczyński, jedź pan z nami. To co, że noga? Dał pan sobie radę w gułagu, a na wojnie pan sobie rady nie dasz?” Dał sobie radę w gułagu? A może mu się tylko trochę poszczęściło. Albo organizm miał wytrzymalszy od innych?

- Anu dawaj, dawaj, jobanyj kaleka! Nie myśl, że przez ciebie cała brygada będzie cierpiała. Nie wyrobisz normy, jak psa tą pałą cię zatłukę. Polskij pan, kontra...

I bił go tą pałą, przy lada okazji. I bez okazji. Było to już w Boguczanych, przy wyrębie tajgi. Przygotowywali bale na podkłady kolejowe. Brygadzystą był Olejników, kryminalista z Kazania: pół Tatar, pół Rosjanina. Bił nie tylko Korczyńskiego. Ale nad nim znęcał się szczególnie.

- Bystrej, bystrej, jobanyj kaleka!

Bił za to, że kulawy Korczyński włókł się wolniej od innych po głębokim śniegu. Bił, kiedy ten przysiadł na chwilę odsapnąć. Bił, kiedy zdarzyło mu się stanąć pierwszemu po miskę zupy. To Olejników odbił Korczyńskiemu nerki. Podobnie, jak dobił swojego ziomka, kazańskiego Tatar - Osmanowa.

- Nie myśl, sukinsynu, żeś z Kazania, to możesz się obijać...

Wśród więźniów obowiązują ściśle przestrzegane zasady: nikogo o nic nie pytać, dopóki sam ci nie powie. No i ta, że wszyscy są niewinni. Od najokrutniejszych morderców, „warów w zakonie”, do politycznych. Brygadzysta Olejników instynktownie rozpoznawał inteligentów i znęcał się nad nimi szczególnie. Iliński, Rosjanin, pochodził z Omska i podobnie jak Korczyński był nauczycielem. Aresztowano Ilińskiego na podstawie donosu, że czyta i upowszechnia antyradziecką literaturę. A poszło o wyklętego przez władzę radziecką Iwana Bunina. Jedna brygada, jedna prycza, jedna pałka brygadiera, ten sam głód, ta sama „cynga”. Zgadali się z Unickim o ... Mickiewiczu. Schematycznie, jak to u Polaka i Rosjanina, kiedy zaczynają rozmowę o literaturze, o poezji, zaczęli właśnie od Mickiewicza i Puszkina. I oczywiście szukali zbieżności: ten największy dla Polaków, ten największy dla Rosjan! Zgoda: Geniusze! Nikt im już później nie dorównał.

- Puszkina, Mickiewicza... A propos, czy pan wie, że Iwan Bunin też dumaczył Mickiewicza? Genialnie. Niech pan posłucha:

***Wychodim na prostor stepnego okeana, woz toniet w zeleni, kak czeln w równinie wod...***

- „Stepy akermańskie”?

- Niech pan słucha dalej:

***... To ucho zwuka żdiot, czto można by rozstyszyt!***

***i zow Litwy... No w put, nikto nie pozowiot.***

Iliński w zamyśleniu powtórzył kilka razy: „Nikt nie woła, nikt nie woła” ... Tego właśnie Ilińskiego zastał Olejników zaczytanego w książce i bez dania racji zakatrupił na śmierć...

Dopiero w Kaluczem Korczyński dowiedział się o aresztowaniu, o tragedii całej rodziny Daniłowiczów. Co teraz z Daniłowiczem?...

Pierwszym etapem aresztowanych Polaków z Kaluczego był zawsze Kańsk i jego osławiona „pieresyłoczna tiuma”. Tam też trafił Jerzy Daniłowicz. Po śmierci synka i ukochanej Natałki zawałił mu się dotychczasowy świat, a to, co go jeszcze mogło spotkać, było mu absolutnie obojętne. Pozostawał w stanie tak doskonałej prostracji, że nawet o samobójstwie myśleć mu się nie chciało. Psychiczenie obolały, był kłębkim nerwów, nienawiści i agresji.

Pierwsza awantura wybuchła, kiedy strażnik trzasnął zasuwą i wepchnął go do wieloosobowej celi. Miejscowy „pachan”, zwyczajem błatnych, chciał wejść od razu w swoje prawa i zaczął zadawać nowo przybyłym pytania. Daniłowicz, nie odpowiadając, wyszukał wzrokiem skrawek wolnego miejsca na pryczy i przysiadł. Zdumienie „pachana” i jego przybocznych było takie, że na chwilę przycichli. Ale tylko na chwilę, bo zaraz rozwścieczony „pachan” kazał swoim pomocnikom odebrać nowemu węzełek „do przegładu”. Pierwszy, który po niego sięgnął, kopnięty przez Daniłowicza w podbrzusze, odleciał pod ścianę. Następny siknął krwią z rozkwaszonego nosa. Ale za chwilę w celi kotłowanina ciał trwała dopóty, dopóki do celi nie wkroczył zaalarmowany strażnik. Pobitego, skopanego Daniłowicza wtrącono na pięć dni do karceru. Mokro, zimno, nawet szczury nie wytrzymały. Raz dziennie miska pomyjowatej zupy. Trzy kroki tam, trzy z powrotem. Po karcerze wezwał go miejscowy „kum”.

- Zgodzisz się, Daniłowicz, na współpracę, damy cię do innej celi, lepszy etap ci wybierzemy, w gułagu będziemy się tobą opiekować.

Oprócz złości na wszystko i wszystkich, Daniłowicz zaciął się w milczeniu. Jeśli odpowiadał, to tylko na obowiązkowe pytania o imię, nazwisko, artykuł, z którego został skazany. Gardził wszystkimi, którzy go wzięli, może bardziej niż tym prymitywnym „pachanem”. Na pytania i propozycje „kuma” też nie chciało mu się odpowiadać.

- Milczysz? No, charaszo. My też pomilczymy, a twój upór weźmiemy pod uwagę. Jeszcze pięć dni karceru, a potem marsz do tej samej celi...

W każdym więzieniu, w każdym gułagu bezbłędnie działa telegraf bez drutu. Tu z reguły wszyscy o wszystkich wiedzą. Kiedy ponownie Jerzy zjawił się w celi po odbyciu podwójnej kary karceru, ten sam „pachan” na jego widok spędził z dolnej pryczy jednego ze swoich i wyznaczył to miejsce Daniłowiczowi. W celi też milczał. I to jego milczenie szanowano. Ale ze słuchów krążących w Kańsku wynikało, że szykuje się liczny etap na Kołymę. Słyszał też, co o Kołymie opowiadano. Był pewien, że jego ta Kołyma nie ominie.

Nadeszła zima. Nawet jak na syberyjskie warunki wyjątkowo sroga. Pewnie dlatego kołomyski etap odłożono do wiosny. Ale nie ma co trzymać w więzieniu do wiosny tylu darmozjadów, marnować tyle siły roboczej. W okolicy Kańska też gułagów nie brakowało. Zaczęły się etapy. Daniłowicz trafił do Tajożnego nad Kanem. Była to rzeka wpadająca do Jenisieju, wielkością przypominająca Pojmę. Z Kańska pędzono ich pieszą kolumną, strzeżoną przez wartowników z psami. „Szag w prawo, krok w lewo i strzelam bez ostrzeżenia”. I zdarzyło się, że konwojenci strzelali. Ot, tak, dla profilaktyki. Albo nawet dla zabawy. Na przykład do cierpiącego na biegunkę docho-diagi, któremu jeden strażnik wielkodusznie pozwolił zejść na pobocze, a drugi idący z tyłu konwoju go zastrzelił. Trupa wrzucono na jadące z tyłu kolumny sanie, bo konwojentom rachunek musiał się zgadzać.

Gułag w Tajożnym był raczej niewielkim, sezonowym podobozem. Trzy nędzne baraki z piętrowymi pryczami. Stołówka. Magazyn na narzędzia. Nawet łaźni tu nie było. Felczer dojeżdżał z pobliskiego posiołka. Tylko domek komendantury był solidny, modrzewiowy, ciepły. Cała więzienna zona ogrodzona płotem z drutem kolczastym. Cztery wieże strażnicze. Psy. Robota przy wyrębie tajgi. Dojście na porębę z każdym dniem coraz dalsze. Wyżywienie podłe z najpodlejszych. Załoga, błatnyje - okradali więźniów, z czego się dało. Komendant, beczkowaty komisarz NKWD Sidoryn, mieszkał w posiołku, a gułag interesował go o tyle, że dostarczał jego rodzinie kradzionych produktów, a jak trzeba, to i darmowych robotników. No

i pilnował, żeby norma była wykonana, bo inaczej naczelstwo w Kańsku nie będzie z niego zadowolone.

Gułagiem na co dzień rządził „kum”. A był nim komisarz NKWD Łopuchin, przystojny trzydziestolatek, o nienaganej sylwetce zawodowego wojskowego. Przynajmniej stwarzał takie pozory. Podoficerowie i strażnicy unikali go, jak mogli, bo nie bacząc na obecność więźniów, Łopuchin wymagał od nich stawania na baczność, salutowania i tego typu bawienia się w wojsko. Ale działało się tak wtedy, kiedy Łopuchin był trzeźwy. A bywało to rzadko. Zdarzały mu się nawet, typowe dla nałogowych alkoholików, parodniowe zapoje. Ale i wtedy nie opuszczał go duch enkawudzisty, tropiciela. Obozowa fama głosiła, że Łopuchin, doskonale zapowiadający się enkawudzista, został za jakieś tam przewiny ukarany przeniesieniem do Tajożnego. I jeszcze dotarło do Daniłowicza, że Łopuchin z jakichś tam względów szczególnie odgrywa się na więźniach Polakach. A że nie były to tylko pogłoski, Daniłowicz przekonał się wkrótce.

Każdego z nowo przybyłych „kum” wzywał na rozmowę. Przeglądał papiery więźnia, przyglądał mu się i wstępnie klasyfikował, do czego ten mógłby mu się tutaj przydać. Podczas pierwszej rozmowy z Daniłowiczem komisarz Łopuchin był skacowany i rozdrażniony. Daniłowicz wszedł, zatrzymał się przy progu. Komisarz zerknął nań spode łba i dalej kartkował papiery. Po chwili odsunął, a właściwie odrzucił je z wyraźną złością.

- Polak!?

- Polak.

- Nu, nu... - Patrzył na Daniłowicza ponuro i groźnie. - Czy ty wiesz, co mi tu o tobie piszą? - wskazał na papiery.

Daniłowicz wzruszył ramionami.

- Piszą o tobie: „Daniłowicz, wozmożno polskij oficer”... Jesteś oficerem?

- Nie jestem oficerem.

- Nie jesteś, mówisz? A to się jeszcze okaże... Wsio! - Ze złym grymasem pokazał Daniłowiczowi drzwi. I na odchodne dorzucił:

- Uważaj, pan Polak, że mną to ty sobie krakowiaka nie potańczysz.

Jak we wszystkich gulagach, tak i w Tajożnym spotkać można było przedstawicieli wszystkich narodowości i plemion Związku Radzieckiego. Polaków było kilkunastu, a rekrutowali się przeważnie z takich jak Daniłowicz „spiecpieresielańców”. Było wśród nich dwóch jeńców wojennych z walk wrześniowych, którzy dodatkowo skazani, trafili do syberyjskich gułagów. Takiego głodu, jaki panował w Tajożnym, Daniłowicz dotąd nie przeżył. Przy katorżniczej robocie wyniszczeni głodem ludzie padali jak muchy. Rano miska wodnistej zupy. O tej misce trzeba było wytrzymać do wieczora. Wieczorem znowu szczerupa zupy, a czasami śledź, którego chrupało się od razu, z ogonem, łbem i ościami. Codzienna, zaledwie dwustugramowa porcja chleba, ciemnego, kwaśnego gniotu. Chleb jadło się osobno, żeby tylko przedłużyć smakowanie. A co silniejszy i odważniejszy więzień krył go starannie za pazuchę, żeby potem w samotności i ukryciu wessać go w baraku. Głód, i tylko głód, jest tym nadludzkim panem, któremu oprzeć się niepodobna. Człowiek, wyniszczony głodem, z czasem przestaje być podobnym do człowieka. Nie ma w sobie dla nikogo ani krzty żalości, serca, litości. Byle tylko zaspokoić głód. Swoją głód. Głód, głód, głód...

Sobotni wieczór. Nazajutrz wolna niedziela. Trafiła się im taka czasami. Daniłowicz leżał na pryczy i popatrywał na migocący w piecyku ogień. Jeśli nawet o czymś w tej chwili myślał, to chyba o tym, że jutro nie musi iść do roboty i przez większość dnia może na tej pryczy przeleżeć. Wyspać się do woli. Może Natałka mu się przyśni? Choć ostatnio, coraz częściej i natrętniej, śniły mu się tylko ogromne kołaczki, jakie mama co tydzień piekła w Czerwonym Jarze.

Do pryczy podszedł goniec i szarpnął zamysłonego za ramię.

- Ty jesteś Daniłowicz?

- A o co chodzi?

- Masz się zgłosić do „kuma”. Ale już, biegiem, bo nie lubi czekać.

Wzywa, to wzywa. Obojętnie po co. Od tamtej pierwszej rozmowy Daniłowicz spotykał komisarza Łopuchina rzadko. Ten nie wzywał go też więcej. Ale widać dobrze go zapamiętał, bo przy byle spotkaniu zadawał mu z ironicznym uśmiechem zawsze to samo pytanie:

- No jak tam, pan oficer? - Ostatnie dwa słowa przeciągał i przesadnie akcentował. I odchodził, nie czekając odpowiedzi.

Pewnie dlatego wśród błatnych Jerzy miał ksywę „Oficer”. Trzęsąc się z zimna, włókł się wąską ścieżką pomiędzy zaspami. Mróz pod wieczór siarczysty. Światelko w pokoju „kuma”. Zapukał.

- Wchadi!

Już na pierwszy rzut oka było widać, że Łopuchin jest podpity. Na stole stała napoczęta flaszka wódki, otwarta puszka „swinoj tuszonki”, kawałki chleba na gazecie, cebula. W izbie było ciepło, prawie gorąco. Chyba to ciepło, a może zapach jadła zakręciły Jerzemu w głowie. Zdjął czapkę i otarł szron z twarzy.

- Melduję się na rozkaz, panie komisarzu.

- To jest meldunek! Od razu widać, że to przyszedł polski oficer. Gdyby tak jeszcze dać ci szewrowe buty z cholewkami, portki rajtki... Siadaj, pan Daniłowicz. - Pokazał taboret. - Tu bliżej się do stołu przysuń.

Łopuchin wstał, sięgnął do szafki po drugą szklanekę, napenił i postawił przed Daniłowiczem.

- No, wypijmy, panie oficerze, na rozgrzewkę. Mróz pewnie na dworze jak cholera?

- Mróz. Ale oficerem nie jestem.

- No to do dna.

Łopuchin pił wódkę, smakując, drobnymi łyčzkami. Mózg Daniłowicza pracował na pełnych obrotach. Czego on chce? Co knuje? A czort z nim! Wziął szklanekę, ręka mu drżała, tak dawno nie pił wódki. Przystawił szklanekę do ust i wychylił ją kilkoma haustami.

- Zakusywaj - pokazał komisarz na stół, a sam sięgnął po cebulę i gryzł ją jak jabłko. Daniłowicz zrobił to samo, ale z dziąseł przeżar-



tych szkorbutem zaczęła sączyć się krew. Zlizywał ją i połykał razem z piekącym smakiem cebuli.

- To mówisz, Daniłowicz, że oficerem nie jesteś?

- Nie jestem, panie komisarzu. Jestem tylko podoficerem, kapralem.

- Kapralem... W trzydziestym dziewiątym na wojnie byłeś?

- Byłem.

- Z nami wojowałeś?

- Nie. Niemcy wzięli mnie do niewoli, a potem puścili do domu, wróciłem na Podole.

- Powiedzmy, że to prawda... A ty jedz, jedz, nie wstydź się, dzisiaj gościem moim jesteś.

Łopuchin grubo nasmarował kromkę chleba konserwą i podał Jerzemu. Wziął prawie automatycznie. Zwierzęcy głód dopominał się jedzenia. A chleb był już w jego ręce. Jadł. Byłby tę kromkę pożarł w mgnieniu oka, ale ostatkiem woli gryzł wolno, po małym kęsku. Łopuchin robił się coraz bardziej pijany, widocznie wcześniej dość sporo wypił. Znowu nalał do szklanek.

- A ty wiesz, Daniłowicz, że ja w trzydziestym dziewiątym wyzwalałem zachodnią Ukrainę? Skąd ty pochodzisz?

- Z Podola, Zaleszczyki...

- A miasto Lwów znasz?

- Nigdy tam nie byłem. - Na wszelki wypadek skłamał.

- Żałuj. Piękne miasto. A jakie dziewczyny!... „Proszu panenki, całuje raczki"... A ty wiesz, że na tę wojnę z Polakami zgłosiłem się na ochotnika? Nie wiesz, bo i skąd... Nienawidzę was, Polaków! Rozumiesz ty mnie? Nienawidzę!... Gównu rozumiesz. Boisz się mnie teraz, i tyle... Nie bój się, Łopuchin nie taki, swój honor ma. Pij, jedz, dzisiaj ty mój gość... Pij, pij!... A wiesz, dlaczego was nienawidzę? Zabiliście mi ojca!... Szedł razem z Budionnym w dwudziestym roku. To wasi ułani zadźgali mojego ojca lancami... Zostaliśmy z matką sierotami. Miałem wtedy dziesięć lat. Najstarszy byłem. Bieda, głód... Przez was, przez Polaków! Głupio gadam? Nie byłeś sie-

rotą, to nie wiesz: głód, smród i ubóstwo... - Łopuchin przetarł oczy rękawem. Przy nalewaniu chlapał wódką po stole. Pił sam, nie oglądając się na Daniłowicza. I monologował: - Zemstę wam, biało-Po-lakom, do końca życia, zaprzysiągłem za ojca, za moją wszawą dolę sierocą... Ty wiesz, Daniłowicz, ilu ja waszych... o tymi rękami!... Byłeś we Lwowie? Nie byłeś. No i chuj z tobą. A ja byłem! I tych waszych eleganckich oficerków całymi kolumnami jak bydlę pędziliśmy pod sztykami... A ja tylko ich pytałem, który z nami w dwudziestym roku wojował... O tymi rękami takich skurwysynów niby wszy dusiłem... Jesteś oficerem czy nie? No, gadaj! Gadaj, Daniłowicz, bo ci zaraz kulę w łeb wpakuję...

Łopuchin zaczął macać, szukając pistoletu, ale nie miał go przy pasie. Wstał, żeby sięgnąć do szafy, ale, pijany, osunął się na krzesło. Daniłowicz nie wiedział, co robić. Łopuchin oparł głowę na rękach i wydawał się drzemać. Nagle popatrzył przeraźliwie trzeźwo i spokojnym, cichym głosem powiedział:

- Idź już stąd, Daniłowicz. I niczego sobie po dzisiejszym wieczorze nie obiecuj. Zachciało mi się z Polakiem pogadać, ot i wszystko. Na razie nie mogę cię na niczym złapać, potrafisz milczeć. Ale ja cię jeszcze kiedyś dopadnę. A wtedy, Daniłowicz, miej pretensje tylko do siebie. No idź już, idź!

Tymczasem minęła zima. Daniłowiczowi nie chciało się wierzyć, że udało mu się ją przeżyć. Z licznego kańskiego transportu, z którym przyszedł do Tajożnego, zostało kilkanaście osób. Nastąpiła syberyjska wiosna z roztopami, komarami i muszką. Robota, robota, robota... Wieści z zewnętrznego świata do Tajożnego nie docierały. Ale czy to takie ważne dla umierającego z głodu człowieka, co się tam gdzieś na świecie dzieje? Nagle gruchnęła wieść o wybuchu radziecko-niemieckiej wojny. To do Daniłowicza dotarło. Ale co z tego wynikało? Obojętnie, która ze stron zwycięży, dla Polski i tak źle, i tak niedobrze. Na jednej z porannych zbiórek opuchnięty od przepicia Łopuchin mówił do więźniów krótko, ale zrozumiale i dosadnie:

- Od tej chwili obowiązuje tu jedno prawo, prawo wojny. „Wsio dla fronta, wsio dla победы!” Nie będziemy tu tolerować najmniejszego naruszenia dyscypliny pracy. Kto nie wyrabia normy, ten jest sabotażystą. A za sabotaż - rozstrzelanie! Każde samowolne oddalenie się z miejsca pracy, nawet żeby się w krzakach wysrać, to ucieczka, dezercja. A za dezercję - kula w łeb! I zapewniam was, że ja osobiście tego dopilnuję.

Być może wtedy w rozmiękczonego alkoholem mózgu komisarza zrodził się szatański plan: Łopuchin kazał wszystkim Polaków zebrać w jedną brygadę przeznaczoną do wyřębu tajgi. Normy nałożono na nich najwyższe z możliwych. A na brygadzystę wyznaczył Daniłowicza. O zgodę go nie pytał. Przed wyruszeniem brygady na wyznaczony odcinek Łopuchin podszedł do Daniłowicza.

- No, co, pan oficer, słyszałeś, co wczoraj mówiłem?

- Słyszałem. Ale oficerem nie jestem.

- Nieważne! Ale teraz, panowie Polacy, pokażcie, co potraficie. A ty, Daniłowicz, jako brygadzysta, pierwszy za wszystkich i za wszystko odpowiadasz głową.

Nazbierało się w tym czasie dwudziestu paru Polaków. Bractwo od starego do młodego. Najmłodszy, Janek Zawrotny, skończył dopiero piętnaście lat. Najstarszy, Roman Rapała z Czortkowa, dobijał siedemdziesiątki. Wyniszczeni głodem, szkorbutem, dyzenterią. Chodzące ludzkie wraki, z trudem utrzymujący w rękę siekię i piłę. Daniłowicz czarno widział to całe przedsięwzięcie. Przypomniała mu się nocna rozmowa z pijanym Łopuchinem: „o, tymi rękami, skurwysynów”... Widział też, jakich wyznaczył Polakom konwojentów: półmózgich służbistów, chętnych do kopniaków, szczucia psami i polowania na więźniów z prowokacją.

- Panowie - mówił Daniłowicz do swoich - skoro jestem już tym brygadystą, to powiem wam, co myślę. Albo wyznaczone normy wyrobimy, albo z nami koniec. Nie mamy wyjścia. A jeszcze przypatrzcie się konwojowi i przypomnijcie sobie, co mówił na placu komisarz Łopuchin. Kto chce tu przeżyć, nie może dać się spro-

wokować. No i jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Może nam się uda.

Jakim cudem wyrabiali te normy? Ale wyrabiali. Nie mogło być zaczepki, że Polacy pracę sabotują. Ale i tak dwóch Polaków konwojenci zabili. Dereckiego, który zaatakowany gwałtownym napadem rozwolnienia, rzucił siekierę i pobiegł w krzaki. I Kluskę, naiwnego jak małe dziecko, który wrócił się z maszerującej do baraków kolumny po zapomnianą siekierę. Sił ubywało z każdym dniem.

I wtedy chyba zdarzył się cud. Bo tego, co się z dnia na dzień z Polakami stało, żaden z nich nie mógł sobie nawet wyśnić. Ten cud, który ich ocalił, to sojusz Sikorskiego ze Stalinem. Amnesda!

Łopuchin stał przy bramie, kiedy Daniłowicz wychodził na wolność.

- Gratuluję, udało ci się, Daniłowicz. Podobno teraz jesteście sojusznikami. Tylko mi tam dobrze wojuj, panie oficerze.

- Nie jestem oficerem.

- Jak sobie chcesz. Teraz już mnie to głównie obchodzi. Ale i tak wam Polakom za grosz nie wierzę. I gdyby ode mnie zależało...

Daniłowicz dobrnął do Kańska, a tam pierwszym pociągiem, do jakiego udało mu się dostać, wyruszył polskiego wojska szukać. Do Kaluczego nie miał już po co wracać.

Pochowali Korczyńskiego na wysokim brzegu Birusy. „Wieczne odpoczywanie” mu odśpiewali, brzozowy krzyż na mogile postawili. Z wysokiego brzegu Birusy widać było daleko. Gdzieś tam nad tajgą zachodziło słońce. Mężczyźni usiedli pod sosnami, zakurzyli machorki. Dym odganiał komary. Słuchali szmeru potężnej rzeki. Milczeli ponuro, jak to po pogrzebie. Tylu swoich już na tym Sybirze pochowali, tyle śmierci widzieli, ale jednak każdy po swojemu o niej myślał. Zastanawiał się nad własnym losem. Milczenie przerwał Manterys.

- Panowie, wy róbcie, jak chcecie, ale ja rzucam tu wszystko w pierony i uciekam stąd czym prędzej.

Chłopi spoglądali jeden na drugiego, to znów na Manterysa.

- No, na co, na co niby mamy tutaj czekać? Aż wszyscy tu wyzdychamy i wszy nas w tych zasranych barakach zjedzą? Na świecie tyle się dzieje, a my tu siedzimy jak te dupki na zapiecku i czekamy, co nam los przyniesie... Nie, chłopcy, ja jutro zaczynam zwijać manatki i już mnie tu nie ma!

Znali Manterysa, wiedzieli, że jest w gorącej wodzie kąpany, ale w tym, o czym teraz mówił, był sens.

- Tylko czy nas stąd wypuszczą?

- Z Kaluczego wypuścili, to i stąd wypuszczą. A zresztą jest amnestia, do „sojuźników” się liczymy

- Muszą wypuścić, przecież my naszego wojska chcemy szukać.

- Pamiętacie, jak zaraz po tej amnestii tyle było gadania o Sikorskim, Stalinie, o polskim wojsku? A teraz rok minął, a tu ani słychu, ani dychu. Manterys ma rację, nie ma tu na co czekać!

Pora na wędrowkę była sposobna. Lipiec. W tajdze sucho, rzeki opadły, jagody, grzyby po drodze. No i przenocować przy ognisku można. A do tego mieli przy sobie trochę rubli zarobionych na splawie.

Aby ruszyć w drogę, musieli mieć pozwolenie NKWD, „sprawkę” od komisarza Saburowa.

Dolinę z Szajną wydelegowali do komisarza. Zastali go, jak po porannym polowaniu na jarzabki czyścił dubeltówkę.

- Z czym przychodzicie, gospoda Polaki?

Przedstawili mu swoją sprawę. Nie wydawał się ich prośbą zaskoczony.

- Myślicie, że gdzie indziej będzie wam lepiej? Wojna, wszędzie to samo...

- Nie lepszego życia chcemy szukać, panie komisarzu. Do kolei chcemy, może tam to nasze wojsko gdzieś znajdziemy. Sam nam pan gazety czytał.

- Czytałem, czytałem. No cóż, macie rację, czas leci. Chcecie szczęścia szukać, szukajcie. Ale przepustki dostaniecie tylko do Szytkina. Tam jest nasz rejon, tam jest wojenkomat, dalej nie mogę.

Przez ten rok w Kajenie Staszek Dolina zmężniał, wydorósł. Innymi oczami patrzył na ten świat. Beztróskie chłopackie dzieciństwo pozostało tam, w Polsce. A po śmierci matki już prawie całkiem o nim zapomniał.

Wybrali się z ojcem na noc, ryby łowić. Umocowali kosz na by-strzyźnie. Zarzucili ropuchę w leniwej zatoczce, może nad ranem sum się na nią skusi, nazbierali suszu, rozpalili ognisko. Tadek wkrótce zwinął się w kłębek i usnął. Ojciec troskliwie okrył go watówką.

- A ty, Stasiu, nie legniesz? Noc długa, prześpij się chwilkę.

- Nie chce mi się spać, z tobą posiedzę.

Rzeka groźnie bulgocze wirami. Szumi tajga. Ojciec dorzucił do ognia, podgarnął węgielki patykiem, gęsty snop iskier buchnął wysoko.

- Noc ciemna jak sadza, parno, może się coś złapie. Jutro niedziela, w Polsce poszłoby się do kościoła... Ciekawe, co tam teraz

u dziadków w Kalinowej, co z naszym domem w Worwolińcach? Ale ten czas leci! Już trzeci rok się tułamy. Dwa lata, jak mama nam umarła. Myślisz, Stasiu, że nie widzę, jak się bez mamy męczycie? Tadziu mały, potrzebuje opieki.

Sięgnął po patyk, znowu pogrzebał w ognisku i nowy snop iskier wystrzelił w ciemność. Długo milczał, jeszcze raz poprawił ognisko i chrypliwym głosem zapytał:

- A co ty, synu, na to, gdybym się tak ożenił?

Staszek nie miał na to odpowiedzi, bez słowa zerwał się i skoczył w tajgę. Ślepy ciemnością obijał się o drzewa, drapał boleśnie krzakami. Czuł w ustach słony smak łez i gorzki smak igliwia. Ojciec nie gonił go, nie przywoływał. Ale kiedy wypłakawszy się, chłopak wrócił nieśmiało, czekający u przygasającego ogniska ojciec przygarnął go w ramiona.

- Oj synu, ty mój synu...

Ojciec już do tematu żeniaczki nie wracał. Ale to wcale nie znaczyło, że przestał interesować się Bronią. A Staszek z każdym dniem nabierał pewności, że jeśli ojciec myślał o ponownym ożenku, to tylko z nią. Bronia też coraz częściej, choć najdelikatniej, jak umiała, wtrącała się do spraw ich rodziny. Staszek nastroszony, zbuntowany wewnętrznie, nie poddawał się jej cichej dobroci. Tadzka natomiast kupiła sobie bez reszty: prowadziła małego za rękę, czym mogła, dokarmiała, łąsiła ku sobie. A wkrótce stało się już zwyczajem, że ich opierała, łątała im znoszone portki i koszuliny. Staszek nie musiał nawet specjalnie czaić się i podsłuchiwać po kątach, by usłyszeć plotkowanie bab, jaka ta Bronia dobra, jaka gospodarna, jak to opiekuje się „tymi Dolinowymi sierotami niby matka rodzona"! A jeszcze, że taka młoda, a tak się do wdowca i jego sierot dopasowała.

**Birusa** dymiła nadranną mgłą. Wyjeżdżali z Kajenu i Stiesza przewoziła ich promem na drugi brzeg rzeki. Prom przycumował. Stiesza zręcznie umocowała cumowniczą linę na nadbrzeżnym pachołku.

- No, wyładowujcie się z Bogiem! Droga przed wami daleka. Ludzie z Czerwonego Jaru, którzy wciąż jeszcze trzymali się razem, z Kajenu wyruszyli w nieznane. Babka Szajnina podkasała spódnicę, zamoczyła dwa palce w Birusie, przeżegnała się, głośno pomodliła:

- „Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko”. -I skomentowała: - Z Bogiem, ludzie, ruszamy!

Staszek cały czas stał obok Stieszy. I cały czas głowił się nad tym, jakby to się z nią pożegnać. Lubił Stieszę. Nigdy go z promu nie wygoniła i pozwalała przeprowiać się przez Birusę. Po otrzymaniu „pochoronki” Stiesza wyraźnie posmutniała. Swoich dzieci nie miała. Roboty na przeprawie sporo, ale kiedy trafiła się wolna chwila i zostawali sami, Stiesza prosiła polskie dzieciaki, żeby opowiadały jej o... Polsce. Wszystko ją interesowało. Często czemuś tam się dziwiła i dopytywała o szczegóły. Dopiero po śmierci męża na wojnie Stiesza jakby mimochodem zwierzyła się Staszekowi.

- Pytam się was o tę waszą Polskę daleką, bo mój mąż z dawnych polskich zesłańców pochodził. Jeszcze za cara jego rodziców tu do nas, na Sybir zesłano. Z Warszawy pochodzili. Wielkie to jakieś polskie miasto.

- Warszawa u nas to tak jak u was Moskwa, stolica nasza.

- Nie byłeś czasem w tej Warszawie?

- Nie zdarzyło się, za mały byłem.

- A ja nigdy w życiu żadnego miasta nie widziałam, koleją nie jechałam. Od urodzenia tylko Kajen, Birusa i tajga... Ostrowski Władysław Kazimierowicz, mój małżonek się nazywał Kazimierowicz to po ojcu, Polak...

Wozy z Polakami oddalały się od Birusy. Stiesza, niby posąg, stała na promie oparta na wiośle i przysłaniając oczy, patrzyła za nimi w ślad. W tej odjazdowej krzątaninie chyba nawet Staszka nie zauważyła. Drgnęła, kiedy chłopiec odważył się wreszcie i ujął jej rękę, pocałował.

- Stasik! Synok!. Coś ty, nie trzeba, coś ty, synok... - Pochyliła się, ujęła jego policzki w chropowate, spracowane ręce i całowała go



w czoło, po oczach. - Praszczaj, synok, żegnaj, żegnaj, Staś! A teraz biegnij, biegnij, synku, bo już daleko cię odjechali. I z Bogiem, Staś, z Bogiem! A nie zapomnij tam w Polsce Warszawy odwiedzić! I Birusy, Sdeszy z Kajenu nie zapomnij!

- Nie zapomnę, ciociu Stiesza, nie zapomnę!

Do Szytkino wlekli się długo. Droga przez tajgę trudna. Wieś od wioski o wiele wiorst. Najczęściej nocowali nad brzegami rzeki, pod gołym niebem. Nie padał deszcz, noce były ciepłe. Majstrowali szalasy z gałęzi świerczyny, rozpalali ogniska, warzyli wieczorem gorącą strawę, najczęściej grzyby nazbierane po drodze. Dojadali jagodami. A jeśli do tego udało się czasem złowić rybę, gotowali pachnącą dziką cebulą „uchę”.

W Szytkino nieco się pogubili. Nawet takie niepozorne syberyjskie miasteczko ich, ludzi wiejskich, swoją innością odstraszało i wyraźnie peszyło. Gdzie i czego w nim szukać? A tu kilkudziesięciu Polaków potrzebuje kwatery, zjeść czegoś ciepłego, choć na tych pierwszych parę dni jakoś się urządzić. Woźnice wyładowali ich przed „Domem Kołchoźnika” i odjechali. Co tu robić? Rada w radę postanowili, że pierwsze kroki skierują do wojenkomatu. A jeśli tam o wojsku polskim coś wiedzą, to wtedy się zdecydują, czy zostać w Szytkino i tutaj szukać roboty, czy powędrować dalej.

Do wojenkomatu poszedł Szajna z Doliną. Komisarz był wciąż ten sam, kontuzjowany frontowiec spod Chan-Chin-Goł. Pamięć miał dobrą, bo Szajnę pamiętał. Ale w odróżnieniu od pierwszego spotkania, tym razem był do Polaków usposobiony ponuro. Nawet ich usiąść nie poprosił. Stali więc przy drzwiach, z czapkami w ręku. A wojskowy komisarz, nie wypuszczając z dłoni słuchawki telefonicznej, jakby miał właśnie gdzieś pilnie telefonować, ostro i krótko ich poinformował:

- Spóźniliście się. Nie bierzemy już do tego waszego wojska. Kazano pobór Polaków wstrzymać. Dlaczego? Rozkaz jest rozkaz. Nie jestem ministrem, żeby wszystko wiedzieć. Gazety czytajcie - tam się dowiecie. To wszystko! - Komisarz zajął się telefonem, kołatał widełkami, głośno wołał: „halo, halo”.

Dolina zdobył się na odwagę:

- Obywatelu komisarzu, prosto z tajgi idziemy. Gdzie tam jakie gazety... To co się z tym naszym wojskiem stało? Gdzie go teraz szukać?

Komisarz odłożył słuchawkę. Widocznie żal mu się ich zrobiło, bo i głos mu nieco złagodniał.

- Gdzie tego waszego wojska szukać, pytacie? A żebym to ja wiedział, gdzie ono teraz jest to całe wasze wojsko. Formowali się w Buzułuku, za Uralem. A teraz podobno wzięli dupę w troki i jakiś wasz pan generał aż do Iranu ich wyprowadził. Anders czy jak mu tam? Słyszeliście takie nazwisko? Nie? No i nie macie czego żałować... Tu Niemiec na Kaukaz nam się pcha, Stalingrad szturmuje, a ten zabiera wojsko i do Iranu! Sojusznik, jobjewo mat!

Wyszli z wojenkomatu z beznadziejnym chaosem w głowach. To jest to nasze wojsko polskie w Rosji czy go nie ma? Najgorsze, że znowu tracili nadzieję na wyrwanie się z syberyjskiej matni. Co robić, co robić? Zostać w Szytkino czy wędrować i szukać szczęścia dalej?

Zainteresował się Polakami miejscowy milicjant:

- Kto wy jesteście? Skąd, dokąd, po co? Przepustki macie? -Obejrzał papiery i zdecydował: -Wynika z tego, że jako spiecpiere-sieleńcy i Polaki podlegacie NKWD i tam powinniście się zgłosić. Albo dadzą wam pozwolenie na pobyt i zameldowanie w Szytkino, albo musicie wracać do Kajenu.

I zabrał wszystkich mężczyzn do NKWD. Milicjant wszedł do budynku, a im kazał czekać. Nie trwało to długo. Ale można sobie wyobrazić ich zdumienie, kiedy otworzyły się drzwi, wyszedł milicjant, a tuż za nim... Sawin, komendant z Kaluczego, we własnej osobie! Niektórym włos się zjeżył, jakby złego ducha zobaczyli. Sawin uśmiechnął się szeroko:

- A, starzy znajomi! Zdrawstwujić, zdrawstwujić. Jak to po polsku mówią: „góra z górą”? Widzę, że wciąż na jednym miejscu usiedzieć nie możecie? Nosi was po świecie, szczęścia szukacie, jak Cyganie wędrujecie? A można wiedzieć, dokąd droga prowadzi?

Kiedy otrząsnęli się z zaskoczenia, jakkolwiek to dziwnie zabrzmiało, ucieszyli się nawet, że to Sawin, zawsze to znajomy! Jeden przez drugiego zaczęli mu dumaczyć. Dał im się wygadać, by oznajmić:

- Tak prawdę mówiąc, to wy już NKWD nie interesujecie. Była dla Polaków amnestia, macie teraz takie same prawa jak wszyscy radzieccy obywatele. A prawo wojenne mówi, że każdy obywatel musi być gdzieś zameldowany, a każdy zdolny do pracy - pracować. Z waszych papierów wynika, że jesteście zameldowani w rejonie Szytkino, więc tylko po naszym rejonie wolno wam się poruszać.

- Rozumiemy, panie komendancie, ale co my teraz w nieznanym mieście mamy robić? Ani mieszkania, ani pracy. Niech nam pan po starej znajomości pomoże, coś nam poradzi.

- Nie było to jak w Kaluczem, co? - Sawin nie odmówił sobie drobnej złośliwości. - Ale tak po starej znajomości, jak mówicie, to macie dwa wyjścia: poszukać sobie roboty tutaj, w Szytkino, to i kwatera jakaś się znajdzie. Albo wracać do Kajenu. Radzę wam zostać w mieście. Milicjant zaprowadzi was teraz do miejskiej rady, a ja „po starej znajomości” zatelefonuję do przewodniczącego, może się tu coś dla was znajdzie.

Przewodniczącym szytkińskiej rady okazała się kobieta, która wyraźnie się ich przyjściem ucieszyła:

- Choć od dzisiaj możecie przystępować do pracy. Ludzi do roboty brakuje, zwłaszcza mężczyzn. Mamy tu tartak, rzeźnię, młyn, piekarnie, różne warsztaty rzemieślnicze, służby miejskie.

Zostali więc w Szytkino. Mimo szoku, jakiego doznali od złych wieści, że tak wymarzone przez nich polskie wojsko, a wraz z nim Polska znowu się od nich oddaliły, trzeba było jakoś żyć. Zwłaszcza że kończyło się lato, szła zima.

Dolinie poszczęściło się wyjątkowo, bo zatrudniono go w piekarni. Piekarnia! Codzienny zapach świeżego chleba! Dodatkowy przydział. No i nie bez okazji, żeby w pracy nie przełknąć choćby kawałeczka. Gorzej było z kwaterą, bo piekarnia mieszkaniami nie

dysponowała. Wszyscy już się polokowali, a Dolina wciąż nie mógł znaleźć kwatery. W „Domu Kołchoźnika” załatwiła mu piekarnia tymczasową klitkę na poddaszu.

Od rana nosił worki z mąką, wysypywał ich zawartość na wielkie sito. Baby upudrowane mąką wyglądały jak białe zjawy. Pracowały przy sicie na wesoło, z żartami, docinkami. W przerwie zrobiły herbaty, rozłamały bochenek gorącego chleba. Dolina do rozmów się nie wtrącał, bo z rosyjskim wciąż nie radził sobie za dobrze. Ale kobiety nie dały mu spokoju, zaczepiały, wypytywały. Gadu, gadu i zwierzył się im ze swojego wdowieństwa, z kłopotów ze znalezieniem mieszkania.

Po pracy dogoniła go jedna z nich. Ledwie ją poznał: wymyta, przebrana, czarnowłosa, z długim warkoczem. Zgrabna, niebrzydka i z całej czwórki chyba najpoważniejsza, nawet jakby nieco smutna.

- W którą stronę idziesz? - spytała.

- Do „Domu Kołchoźnika”, dzieci czekają...

- Po drodze mi, na Nabiereżnej mieszkam, z moich okien Birusę widać. Mieszkam z matką i synem. Trzydzieści lat ma, wisus...

- Tak jak mój starszy, Staszek.

- Mój Wieńka ma na imię. Sierota... Ojca mu pod Moskwą zabili. W zeszłym roku „pochoronkę” dostałam.

Chwilę szli w milczeniu. Odezwała się pierwsza: -Jak chcesz, mogę z matką pogadać, jak się zgodzi, to mogłybyśmy przyjąć was na kwaterę. Matki dom, sam rozumiesz.

- Nie chciałbym nikomu sprawiać kłopotu.

-Jaki tam kłopot! Dom mamy duży, ścieśnimy się trochę i osobny pokój dla was wygospodarujemy.

- Bardzo byłbym ci wdzięczny, ale...

-Jakie tam ale. Pogadam z matką i jutro dam ci odpowiedź.

- Zapłacę, ile powiecie, koło domu coś pomogę...

- Dobra, dobra, jutro się dogadamy, byle moja starucha się zgodziła. No to do jutra.

Wyciągnęła rękę na pożegnanie. Dolina machinalnie pocałował ją w rękę. Spłonęła rumieńcem.

- Coś ty, coś, nie trzeba! U nas dawniej tylko popów po rękach całowali...

- A u nas, w Polsce, kobiety w rękę całujemy...

- A jak ty właściwie się nazywasz? Ja jestem po mężu Burmakina, Nina Pietrowna. Ale mów mi Nina.

- Dobrze, Nina... Nazywam się Dolina, a na imię mi Jan. -Jan? A po ojcu?

- Też Jan.

- To znaczy Jan Janowicz Dolina. Zapamiętam. No to do jutra, Jan.

- Do jutra, Nino! I jeszcze raz ci dziękuję...

Następnego dnia Dolina zamieszkał na kwaterze u Niny, a właściwie u jej matki, Wasilisy Dołgich. Babka Wasilisa zgodziła się wynająć Dolinie osobny pokój za niewielką opłatą, ale życzyła sobie dodatkowo, żeby lokator rąbał drzewo na opał, rozwalający się płot sztachetami zabudował, banię ocieplił na zimę i drzwi w przybudówce na zawiasach osadził.

Po barakowej wegetacji, w ciasnocie na wspólnej pryczy, wszach, pluskwach, brudzie i śmierdzącej głodnej nędzy, znaleźli się nagle w innym świecie. Zamieszkali w normalnym domu, gdzie każdy kąt dla jego mieszkańców był od urodzenia oswojony, gdzie na podwórku grzebały kury, poszczekiwał pies, a w izbie na ciepłym przypiecku pomrukiwał kot, gdzie wszystko od pokoleń miało swoje miejsce, czas i przeznaczenie.

Rodzina Dołgich, rdzennie syberyjska, na co już samo nazwisko kończące się na „ich” wskazywało, w Szytkino zamieszkiwała od zawsze, jak opowiadała Wasilisa. Dom był solidny, modrzewiowy, na odrzwiach i okiennicach bogato rzeźbiony, ogrodzenie od ulicy wysokie i szczelne, podwórko zabudowane, czym potrzeba: przybudówka na świnkę i kury, komora i nawet swoja bania, łaźnia, bez której rdzenni Sybiracy nigdy się nie obchodzą.

Od tej właśnie bani zaczęli u Wasilisy swój kwaterunek. Wasilisa, z gatunku „baba-chłop”, swoje o życiu wiedziała i niezbędnych słów w bukiety nie stroiła.

- Bez bani do domu was nie wpuszczę. Nie wasza wina tułaczka i bieda, a wiadomo, że biednego i brodiagi każde gadaństwo najchętniej się trzyma. Wy do bani, a wasze łachy do wrzątku!

Staszek w prawdziwie zasiedzonym rosyjskim domu był po raz pierwszy. Wszystkiemu się przyglądał, wiele go tu dziwiło, bo było inne, nie takie jak w Polsce, w jego rodzinnym domu. Pierwszej nocy długo nie mógł zasnąć, leżał wykąpany na czystym zgrzebnym prześcieradle i od niepamiętnych czasów najedzony prawie do syta.

Rano jako pierwsza zaczynała się krzątać babka Wasilisa. Spała sama w największej kuchennej izbie, na wielkim ruskim piecu. Były jeszcze dwa niewielkie pokoiki. W jednym spała Nina z synem, w drugim zamieszkali Dolinowie. Ojciec też budził się wcześniej, przemykał chyłkiem do sionki, żeby się umyć. Wracając, przynosił dzbanek wrzątku i śpiesząc się do roboty, pogryzał kawałek chleba. Wychodził z domu razem z Niną.

Zgodnie z nakazem ojca Staszek zachowywał się w tym domu jak trusia, pilnował małego Tadka, żeby w niczym gospodarzom, a zwłaszcza babce nie przeszkadzać. Zjadali, co im ojciec zostawił, wynosili się na podwórko, biegli nad Birusę ryby łowić, czasami włączyli się po miasteczku. Do obiadowego spotkania z ojcem czas im się dłużył. Szytkino to nie Kaluczoje, Kajen czy baraki, gdzie wszyscy Polacy byli razem. Tutaj dookoła Rosjanie, Buriaci, a swoi ludzie z Kajenu mieszkają porozrzucani po całym miasteczku, nawet nie wiadomo gdzie.

Wieńka Burmakin, rówieśnik Staszka, chodził do szóstej klasy. Był od Staszka nieco niższy, krępy i dobrze odżywiony. Pierwszego wieczora nawet słowa ze sobą nie zamienili. Dopiero następnego ranka, kiedy Staszek z Tadkiem na podwórku głaskali łaszącego się do nich psa, Wieńka wyszedł z domu. Chwilę im się spode łba przypatrywał, potem zagwizdał na psa. Pies posłusznie podbiegł na wezwanie. Wieńka wziął patyk i odrzucił aż pod komórkę.

- Żuczka, aport!

Pies z ochotą przyniósł mu patyk do samych stóp.

- Żuczka, łapę! Żuczka, skok! Żuczka, głos!

Psina wesoło merdała ogonem i chętnie spełniała wszystkie rozkazy. Wieńka zerkał, czy ci nowi przypatrują się temu z należytych podziwem.

- Uczona! - pochwalił psa. - Kiedy jeszcze z tatą chodziliśmy na polowania, to Żuczka dwie kaczki naraz potrafiła z jeziora na brzeg przyholować.

- My też w Polsce mieliśmy takiego psa, który krowy umiał paść, nawet do domu je przyganiał.

- Jak masz na imię? Boja - Wieńka.

- Staszek, a mój brat - Tadek.

- Jakoś nie po naszemu... Do szkoły chodzisz?

- Teraz nie. Ale w Polsce chodziłem...

- Do której klasy?

- Przeszedłem do czwartej.

- E, ja już do szóstej chodzę. A gdzie się tak po rosyjsku nauczyłeś?

- Tak jakoś sam... Ale czytać jeszcze nie bardzo potrafię.

- Chcesz, to ci pomogę? A ty mi polskie litery pokażesz. Zgoda?

- Zgoda.

Staszekowi brakowało ludzi z Czerwonego Jaru. A szczególnie Zdziński i Edka Ziemiaków, bo ich starzy nie ruszyli się z Kajenu. No i w ogóle po polsku chciało mu się pogadać, bo z małym braciszkiem jaka może być rozmowa. Hełę Grubównę z paroma dziewczynami spotkał gapiącą się na kinowy afisz. A któregoś dnia na miejscowym bazarze natknęli się na Bronię Barską.

- A co wy tutaj robicie? - Wyraźnie się ucieszyła.

- Byliśmy u taty na obiedzie, no i tak sobie chodzimy...

- A ja z roboty wracam. Na trzy zmiany razem z Unicką i Baliko-wą w miejskiej pralni pracujemy. O, popatrz, jakie od tego prania mam ręce? - Dłonie miała fioletowe i pomarszczone. Pogrzebała w parcianej torbie, wyjęła placek, pewnie co dopiero na bazarze kupiony, przełamała go i częstowała. Tadek rzucił się na swój kawałek, jakby ze dwa dni nic nie jadł. Staszek nie chciał wziąć.

- Dziękuję. Na obiedzie byłem. Tatuś w piekarni pracuje, codziennie nam chleb przynosi.

- Wiem, wiem, sam mi to mówił. Chwała Bogu, że mu się, że wam się tak poszczęściło. Ale weź, Stasiu, proszę!. Spróbuj, jak ta bazarowa lepieszka smakuje. Nie bój się, dla mnie też wystarczy, kupiłam tego sporo.

Odprowadziła ich pod samą bramę. Wydumaczyła, gdzie razem z Balikami mieszkają i gdzie jest ta pralnia, w której pracuje. Na pożegnanie Tadka wycalowała. A Staszek na wszelki wypadek wolał się trzymać na uboczu.

- To teraz już wiesz, Stasiu, gdzie mnie szukać. Przychodźcie w odwiedziny, zapraszam. A jakby wam trzeba było coś wyprać, nie wstydz się, zwiąż w węzełek, przynieś. Przecież w pralni pracuję!

- Dziękuję. Ale nie trzeba, bo ta ciocia Nina, u której mieszkamy i która razem z tatusiem w piekarni pracuje, sama wszystko nam pierze. A nawet prasuje. I blinami nas poczęstowała. Banię też tu mamy, kąpiemy się. A ciocia Nina dobra jest! Tatuś też ją chwali i mówi, że opiekuje się nami niby, niby... matka rodzona.

- Tak mówi? Ta ciocia Nina wami się opiekuje, pierze. Tatuś ją chwali... To dobrze, Stasiu, dobrze... No, ale gdybyście mimo to czegoś potrzebowali, to wiecie, gdzie mnie szukać.

Jeszcze raz wyściskala Tadka i odeszła poważna, wyraźnie posmutniała. A Staszek, który przed chwilą łgał jak najęty o tej „cioci Ninie, niby matce rodzonej”, dopiero teraz speszył się nieco i zrobiło mu się głupio. Bo tak prawdę powiedziawszy, Bronia była zawsze dla nich dobra i niczym mu nie zawiniła. Tyle tylko, że od taty odczepić się nie może.

Dolina spotykał się z Bronią na mieście. W ich wzajemnych stosunkach nic się nie zmieniło. Ale do swojej nowej kwatery nie śmiał jej zaprosić. I chyba tylko ze względu na Ninę. Nie byłby mężczyzną, gdyby od pierwszej chwili się nie zorientował, że Nina darzy go wyraźną sympatią. Z każdym dniem zresztą coraz wyraźniej daje mu to odczuć. W domu, czym może, dogadza jego dzieciakom. Kiedy mo-



że, stara się nie odstępować go ani na krok. Czeka na niego często do późna, zaprasza posiedzieć na ławce przed gankiem, kiedy dzieci śpią, stawia samowar i częstuje herbatą z malinowymi konfiturami. Również koleżanki z pracy zauważyły zmiany w jej wyglądzie: poweselała, zaczęła dbać o siebie, nawet bordową wstążkę do grubego warkocza wploda. Dolina traktował Bronię poważnie, nie chciał więc krzywdzić Niny złudnymi nadziejami. Wszystko to razem skazywało go na utrapienie: był mężczyzną, a stale obecna przy nim Nina była naprawdę ładną i grzechu wartą kobietą.

W sobotni wieczór umówili się na ryby: Dolina, Manterys, Czulak i Szajna. Dolina, który ich tu wszystkich zwołał, zdecydowanie wypowiadał się za dalszą wędrówką do kolei.

- Chłopy, mówię wam, że nie ma co tu dłużej siedzieć. Szajna był kawalerem i było mu wszystko jedno.

- Jan ma rację! Zimę przeczekać przeczekamy, ale czego tu się doczekamy? Do kolei! A może akurat nam się uda?

Czulak był zdecydowanie przeciw ruszaniu się z miejsca.

- Co innego było Kaluczoje, nawet Kajen co innego: tam było zadupie, gdzie diabeł dobranoc powiedział. Ale tu? Rejon, miasteczko, jest poczta, telefon, radio, gazeta, wojenkomat. Nie bójcie się, tu się nie zgubimy. Jak Polska będzie chciała, to nas znajdzie. A czego niby mamy szukać? Wojska naszego? A poszło sobie to nasze wojsko gdzieś w pierony, o nas nie pomyślało. Ambasada? Gdzie ją znajdziecie? Jak tam dojedziesz z rodziną, z małymi dzieciakami? A do tego zimy tylko patrzeć. Nie, chłopy, ja się z tego wypisuję. Jak chcecie, jedźcie, ale nie gniewajcie się i na mnie nie liczcie!

Manterys mało nie rzucił się na Czulaka z pięściami.

- A siedź sobie tutaj do zasranej śmierci. Patrzcie go, jaki to ważny się znalazł: „jak Polska będzie chciała, to go znajdzie”. Przez takich właśnie jak ty, co wszystko w dupie mają, tak się w Polsce przed wojną potoczyło. Panowie, Dolina ma rację, trzeba stąd wrywać, dostać się do kolei, szukać polskiej ambasady. A czort wie, jak naprawdę jest z tym naszym wojskiem? Co taki tutejszy komendant wojenkoma-

tu może wiedzieć? To jest polityka, panowie! A może wojenkomat specjalnie nas w błąd wprowadza? A czemu niby nie? Nie wierzyłem i nie wierzę tym wszystkim Sowietom za grosz. Dali nam trochę swobody, uchylili w klatce furteczkę, to fruważmy stąd, panowie, możliwie jak najprędzej, żeby nam jej znowu przed dziobem nie zatrzasnęli!

Stanęło na tym, że wyjeżdżają z Szytkina byle prędzej, przed zimą. Powędrują do Tajszetu, do kolei.

Znad rzeki Dolina wrócił późno. W domu było ciemno, pewnie wszyscy już spali, tylko u Niny migotał płomyk przykrytej lampy. Nie zdążył dotknąć skobla przy drzwiach, jak mu otworzyła.

- Przepraszam, że tak późno przeszkadzam.

- Nie szkodzi, Jan. I tak nie spałam.

- Zasiedzieliśmy się na rybach. Drobiazg taki się złapał. Może na uchę się przyda.

-Jutro o tym pomyślimy... Wstąpisz do mnie na chwilę, herbaty się napijemy?

- Późno już, nie chcę ci przeszkadzać, Wieńka pewnie śpi, babka...

- Pojechali do rodziny ziemniaki kopać. Nie mówiłam ci. Dopiero w poniedziałek wróca. A twoje już dawno chrapią, sprawdzałam. Wejdz, proszę.

Wyszła do sieni. Siedział przy stole i rozglądał się po izbie.

Był tutaj pierwszy raz. Dwa posłania, dla niej i dla syna. Szafa. Komoda ze szkłem i zastawą stołową. Jakieś bibeloty na komodzie. Budzik przy tapczanie. Na ścianie dywan. Strzelba z patronaszem. Oprawiona w ramki fotografia młodego mężczyzny, przepasana w rogu czarną krepą. Weszła cicho. Widocznie złapała jego spojrzenie.

- Miał dopiero trzydzieści cztery lata, jak zginął... Rozdmuchała węgliki w samowarze. Postawiła filiżanki. Salaterkę

konfitur. Wyjęła z kredensu karafkę kolorowej nalewki i spytała niepewnie:

- Napijesz się ze mną, Jan? Jakaś chandra się we mnie dzisiaj telepie...

- Napiję!

Nim usiadła, próbowała nalać do kieliszków.

- Pozwól, u nas ta czynność wyjątkowo do mężczyzny należy.

- Przepraszam... obabiałam w tej samotności zupełnie. Nalał po odrobinie i chciał odstawić karafkę.

- O, nie! - zaprotestowała. - Może i obabiałam, ale u nas, Sybiraków, pierwszy toast pije się z pełnej czarki. I do dna! Twoje zdrowie, Jan.

- Twoje!

Siedzieli długo. Karafka powoli wysychała. Opowiadała Nina. Opowiadał Jan. O wszystkim. O swoim życiu, losach, wdowieństwie.

- Pójdę już, Nina, niedługo świtać zacznie. Wstał. Uniosła się niechętnie.

- Pozwól, Jan, że strzemiennego ja rozleję.

Podeszła do niego z kieliszkiem w ręku. Stuknęła szkłem o szkło. Biło od niej gorąco, podchmielona, mówiła wolno, chrapliwie.

- Za twoje szczęście, Jan!

- Za twoje, Nina!

- Pocałuj mnie, Jan, pocałuj!

Usta miała wilgotne, gorące. Jej kruczoczarne włosy pachniały brzozą. Dolinie zakręciło się w głowie...

W poniedziałek jak zwykle szli razem do roboty. Gadali sobie o byle czym, do wydarzeń sobotniej nocy nie wracali. Tuż przed piekarnią Nina zatrzymała go na chwilę. Patrzyła mu prosto w oczy.

- Jan, chcę, żebyś o mnie źle nie myślał. Nie jestem taka... Dziękuję, żeś dostrzegł we mnie kobietę. Normalną, spragnioną chłopca babę. Gdyby ten świat nie wariował, chciałabym, żebyś ze mną został, aleja wszystko wiem, rozumiem.

-Ja ci też dziękuję. Jesteś wspaniałą kobietą, Nino.

Pocałował ją w rękę. Tym razem nie wyrwała mu jej tak jak za pierwszym razem.

Dwa tygodnie później Dolina i niektórzy ludzie z Czerwonego Jaru opuszczali Szytkino. Wędrowali z nadzieją, że muszą w końcu

gdzieś znaleźć jakiś dający im nadzieję polski ślad. Ciągnęli do Tajszetu, do kolei. Zezwolenie na wyjazd do innego rejonu za solidną alkoholową łapówkę załatwił im „po starej znajomości” Sawin, były komendant Kaluczego. Z transportem tym razem nie mieli większych kłopotów: z Szytkino do Tajszetu co jakiś czas jeździły podwozy po zaopatrzenie.

Wobec starej Wasilisy Dolina wywiązał się ze wszystkich zobowiązań: narąbał drzewa na całą zimę, ocieplił banię, sztachety wstawił do płotu, drzwi na zawiasach osadził. A jeszcze dodatkowo, bo sam tego nie potrafił, poprosił Florka Unickiego, żeby im w domu zmurszały piec podmurował i gliną wylepił.

Wieńka podarował Staszкови nabój z patrontaszu ojca. Stara Wasilisa nagotowała im na drogę „tujasek” syberyjskich pielmieni. Nina nie mówiła nic, płakała.

Z wyjazdu, niemal w ostatniej chwili, zrezygnował Czulak i jeszcze kilka rodzin z Czerwonego Jaru, z którymi razem z Kajenu wyruszyli. Martwiło to wszystkich, i tych, którzy wędrowali dalej w nieznane, i tych, którzy pozostawali.

Tak to, wolą zesłańczego losu, ludzie z Czerwonego Jaru, zżyci z sobą od zawsze, często spokrewnieni i solidarni jak rzadko, zaczęli się w tej niezmierzonej syberyjskiej krainie rozpraszać i gubić. A co najgorsze, żadnej pewności mieć nie mogli, że się jeszcze kiedyś ich ziemskie drogi skrzyżują...

Tajszet. Niewielkie miasto na szlaku transsyberyjskiej kolei, leżące pomiędzy Krasnojarskiem od zachodu a Irkuckiem od wschodu. Nasi wędrowcy wiedzieli o Tajszecie tyle tylko, że jest to od Szytkino najbliższa stacja kolejowa. Mało kto z nich zapamiętał skąpą opowieść Korczyńskiego o Tajszecie jako o centrum wielkiego, o ponurej sławie gułagu, produkującego rękami więźniów nasycone trującym kreozolem kolejowe podkłady. Nikogo w Tajszecie nie znali, nie mieli żadnych adresów i kontaktów. Wędrowali na ślepo i specjalnie się tym nie przejmowali: dotrą do kolei, a tam się zobaczy. Nikt z tych Polaków, którzy zdecydowali się opuścić Szytkino, nie miał zamiaru zatrzymać się w Tajszecie na dłużej. Celem wszystkich było dostać się do pociągu zmierzającego na zachód i jechać dalej, dokąd się tylko uda. A przy okazji szukać po drodze jakiegoś polskiego przedstawicielstwa. Gdyby to się nie udało, starać się dotrzeć aż do Kujbyszewa, do ambasady pana generała Sikorskiego. W Sikorskiego wszyscy wierzyli jak w objawienie, to dzięki niemu była amnestia, dzięki niemu zaświtała im nadzieja powrotu do Polski.

- Po to jest polska ambasada, po to generał Sikorski dogadał się ze Stalinem, żeby nam pomóc. Mówię wam, ludzie, nie trzeba patrzeć na nic, tylko za wszelką cenę trzeba pchać się do naszych przedstawicieli! - Manterys nieustannie dodawał wędrującym otuchy.

Szytkińscy woźnice wysadzili ich niedaleko stacji. Ludzie bezradnie rozejrzeli się dookoła, pozbiali swoje mizerne tobołki i całą gromadą powlekli się przez tory kolejowe do stacyjnego budynku.

Dzień był chłodny, pochmurny i słotny. Wilgotne tajszeckie powietrze śmierdziało parowozowym dymem i mazutem. Ludzie szli

w milczeniu. Lekko przyrdzewiałe na boczniczy szyny plątały się torami w nieskończoność. Wszędzie stojące długie składy wagonów towarowych. Tak dawno nie widzieli pociągów! Jakże miły ich uszom był teraz charakterystyczny ryk rosyjskich parowozów.

Po sąsiednim torze pędził pociąg towarowy. Lokomotywa groźnie ryczała, buchała obłokami pary i dymu. Wicher rozpędu mało ludzi nie powywracał.

- Pociąg! Pociąg! Uwaga, ludzie, pociąg! - Wszyscy naraz krzyczeli i radowali się na ten widok, niby małe dzieci. Choć akurat małe dzieci, które takiego stwora jak lokomotywa widziały po raz pierwszy albo z trudem go sobie przypominały, były naprawdę ciężko wystraszone. Tadek kurczowo ścisnął Staszka za rękę.

- Nie bój się, głupi, to jest lokomotywa, pociąg! Do Polski takim pojedziemy.

Budynek dworca kolejowego w Tajszezie ciągnął się wzdłuż peronu parterową brudnoszarą bryłą. Miał dwie poczekalnie, z których jedna w czasie wojny dostępna była tylko dla wojskowych. Obydwie zatłoczone, zwłaszcza ta dla cywilów tygodniami oczekujących na możliwość dostania się do pociągu.

W tym chaosie koczującego na stacji różnorakiego tłumu podróżnych Polacy przycupnęli na peronie, pod stacyjną ścianą. Po wielodniowej wędrówce przez tajgę dobre i to. Niedaleko od nich w stacyjnym budynku było pomieszczenie, w którym przez okrągłą dobę można było zaczerpnąć gotowanej wody, kipiateru. Popijali więc ten kipiater, zagryzali resztkami sucharów, przemywali oczy, masowali obolałe nogi i głośno radzili, co dalej? Najpierw trzeba się zorientować, czy w Tajszezie nie ma jakiegoś polskiego przedstawicielstwa. Potem czy można kupić bilety i jak dostać się do pociągu jadącego na zachód. A w ogóle to trzeba połaźić po mieście, rozejrzeć się, może co się da na jakimś bazarze wymienić, sprzedać, by zdobyć coś do zjedzenia. Z chwilą opuszczenia Szytkino nie mieli przecież kartek żywnościowych, a bez nich o legalnym kupnie chleba czy jakiegokolwiek żywności nie mogło być mowy.

Honorka Unicka z Bronią wędrowały po mieście. Szukały bazaru. Na sprzedaż lub ewentualną wymianę miały niewiele: kwiecistą cygańską Honorczyną chustę, którą tak lubiła, bo czuła się w niej ładna i młoda, oraz lniany, w prześliczne maki haftowany obrus. Tajszet okazał się miastem drewnianym, przeważnie parterowym. Niebrukowane ulice, pełne dziur i błota. Chodniki z desek. Zaprzęgi konne, czasami jakaś ciężarówka. Przechodnie szarzy, biednie odziani, kuląc się od przenikliwej jesiennej mżawki, objiali się o siebie na wąskich chodnikach. Długie kolejki po chleb. Całe miasto śmierdziało smołą i charakterystycznym odorem kolejowych podkładów.

- To pewnie śmierdzi ten obóz NKWD, w którym nasz Lutkowski umarł. - Bronia przypomniła sobie opowieść Korczyńskiego.

Honorka obojętnie wzruszyła ramionami. Było jej zimno, martwiła się, że musi sprzedać ulubioną chustkę. A do tego była głodna i głodne dzieci na stacji czekały.

- Tu wszystko śmierdzi. - Machnęła ręką.

Przechodziły obok budynku jakiejś restauracji czy stołówki. Zbliżała się pora obiadowa, zapach gotowanego kapuśniaku wkręcał się w nozdrza. Honorka przystanęła.

- Wstąpimy?

- Przecież kartek nie mamy.

- A czort tam z kartkami! Najwyżej nas wygonią. Wchodzimy!

Weszły. I pierwszą osobą, którą w restauracji zauważyły, była... Irena Puc! Tak, ta sama Irena Puc, o której całe Kaluczoje wiedziało, że była kochanicą oficera NKWD. Widocznie pracowała tutaj jako sprzątaczką, a może nawet kelnerką, bo chodziła po sali ze ścierką i zbierała ze stołów naczynia.

-Ona? -Ona!

Kobiety wymieniły zdziwione uwagi i upewniły się nawzajem.

- A to kurwa! - syknęła Honorka. - Taka to zawsze potrafi się urządzać. Wychodzimy, Bronia, nic tu po nas.

Zawróciły do drzwi za późno. Irena była przy nich.

-Jezus, Maria, baby, kogo ja widzę!? Jakim cudem?

Była wyraźnie nimi uradowana i tylko niechętna mina Honorki powstrzymała ją w ostatniej chwili od rzucenia się im na szyję.

Irena niewiele straciła ze swojej aniołkowej urody, może tylko nieco przytyła i twarz jej zrobiła się nalana od nadużywania alkoholu. Zaciągnęła je do służbowego stolika i przyniosła po misce gorącej zupy. Krztusiły się trochę ze wstydu, trochę, bo zupa była wrząca, ale głód był silniejszy.

Okazało się, że Irena Puc była tutaj nie byle kim, bo pomocnicą kucharki. Wciąż dziwiła się zbiegowi okoliczności, wypytywała o ich losy, opowiadała o sobie. Z Kaluczego wyjechała prawie ostatnia. Rosjanin, z którym się tam związała, okazał się człowiekiem porządnym, zabrał ją razem z dziećmi do Tajszetu, pomógł znaleźć mieszkanie i pracę. Na wiosnę wzięli go na front, no i teraz sama nie wie, jak to dalej z nią będzie.

- Znajdzie sobie pani innego. Nie pierwszozna - odpaliła Honorka. Bronia omal się zupą nie zakrztusiła.

Irenie inteligencji nie można było odmówić. Spoważniała, chwilę milczała, ale wzroku nie spuściła.

- A może mimo wszystko nieco za surowo mnie oceniacie? Jeszcze w transporcie na Sybir przysięgłam sobie, żeby nie wiem co, to moje dzieci z głodu tu nie umrą. I żeby nie wiem co, to do Polski wrócę. A że niczego innego nie mam, handluję tym, co się jeszcze niektórym we mnie podoba. Zresztą nie ja jedna... Ja przynajmniej za Ruskiego nie wyszłam, jak nie przymierzając, ta pani przyjaciółka.

- O Sylwii pani mówi?

- O niej. Zresztą, więcej tu jest takich. A ta pani Sylwia to już nawet wdową po tym swoim Moskalu zdążyła zostać.

- To Sylwia jest tutaj, w Tajszecie? A nie wie pani, gdzie mieszka? Irena wiedziała tylko, gdzie Sylwia pracuje, obiecała ją odszukać i zawiadomić, że ludzie z Czerwonego Jaru koczują na tajszeckim dworcu. Obiecała też znaleźć im dobrego kupca na chustkę i obrus,



a na odchodne wyszukała gdzieś sporą bańkę i naląła im do pełna gęstego kapuśniaku.

- Dla dzieci! A wieczorem wpadnę do was na chwilkę. Jakby tam było, ciągnie człowieka do swoich...

Wracały w stronę dworca. Honorka wyraźnie się rozchmurzyła.

- Wiesz, Broniu, tak sobie myślę, że chyba niesprawiedliwa byłam dla tej Ireny. No bo popatrz, mąż od września w niewoli, dzieci malutkie, ona sama miastowa, zawsze wychuchana, wypielegnowana, do żadnej ciężkiej roboty nie przyzwyczajona, to niby jak tu miała sobie radzić?

- Ale szpiclować swoich nie musiała! — Tym razem Bronia była bardziej zasadnicza.

- Pewnie, że nie musiała. Ale kto tam wie, moja droga, jak z tym jej donoszeniem było? Nie znasz naszych ludzi? Plotą czasem, co im ślina najęzor przyniesie. A może ta Irena chceć ma? Są przecież takie baby, co im bez chłopa ani rusz.

Mężczyźni wrócili z niewesołymi minami. O polskim przedstawicielstwie nikt w Tajszecie nie słyszał. A w wojenkomacie, kiedy dowiedziano się, że są Polakami i w jakiej zgłosili się sprawie, komisarz w ogóle nie chciał z nimi rozmawiać. Tylko dyżurny oficer, ni to ich informując, ni to w formie wymówki, powiedział:

- Drzwi na darmo nie obijajcie, butów szkoda. Od czasu jak to całe wasze polskie wojsko zdezerterowało do Iranu, przestaliśmy się Polakami interesować. I bez was sobie poradzimy, zdrajców nie potrzebujemy.

A im jakby w pysk strzelił. W jednym wszakże się upewnili:

- W Szytkinie i tutaj wojenkomaty mówią to samo: nie ma już w Rosji naszego wojska, wyprowadzono je do jakiegoś Iranu.

- Ale nasza ambasada chyba gdzieś jest? Tam musimy jechać. Na wszelki wypadek wstąpili jeszcze do wojskowego komendanta

stacji: ci wszystko wiedzą najlepiej, tyle wojska, transportów i żołnierzy przez stację się przewija. W dworcowej komendanturze tłok. Komendanci wojskowych transportów wyklócają się o kolejność od-

jazdu, inni żądają zaopatrzenia, delegowani służbowo i ranni urlopowicze stemplują tu swoje dokumenty, załatwiają bilety. Tutaj krążące po stacji uzbrojone wojskowe patrole doprowadzają podejrzanych, sprawdzają dokumenty i rozkazy wyjazdu.

Dolina z Szajną byli jedynymi cywilami w tym wojskowym, krzykliwym doku, może dlatego zwrócili na siebie uwagę starszego stopniem i wiekiem wojskowego. Wojskowy wymachiwał jakimiś papierami i klął po „matuszce” drepczącego w jego ślady młodego oficera z ręką na temblaku.

- Dyżurny, co tu za pieprzone cywile mi się pętają? A wy kto tacy?

- Polacy. Chcieliśmy o polskie wojsko zapytać.

- A won mi stąd! I to zaraz, bo każę was na milicję zaprowadzić. Dość już mam zawracania głowy Polakami! W Iranie swojego wojska szukajcie!

Kiedy wyszli z komendantury, dogonił ich starszy wiekiem żołnierz, zabandażowany, w gipsowym kołnierzu.

- Poczekajcie chwilę. Widziałem was w komendanturze, słyszałem, jak komendant na was wrzeszczał. Nie macie czasem zapalić?

Szajna podał mu woreczek z machorką. Żołnierz skręcił cygarke, chciwie wciągnął dym.

- Dziękuję, bracie, bez machorki gorzej niż bez baby... A ja widziałem to wasze polskie wojsko. Nie wiem, czy ono tam jeszcze jest, ale na wiosnę pełno go było w Taszkencie. Daleko stąd, aż w Uzbekistanie. Mundury mieli dziwne, nie nasze; na czapkach zamiast gwiazdki ptaka jakiegoś nosili...

- Orła!

- Może i orła - chętnie zgodził się żołnierz. - W szpitalu z waszymi żołnierzami leżałem. Oni tam zostali, a mnie przewieźli do Krasnojarska. Teraz urlop mi dali, niby na ozdrowienie. Do domu jadę, do Angarska.

Irena Puc dotrzymała słowa i wieczorem przyprowadziła na stację Sylwię.

- Wyjechaliście z Kaluczego, a ja siedziałam tam i nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Wciąż czekałam, że może Paszka da jakiś znak życia. No i doczekałam się. Któregoś dnia przyszedł dziadek Fiedosiej i mówi, że Paszka prosił mi przekazać, żebym jechała do Tajszetu. „To co, Paskę wypuścili z więzienia?” Ale dziadek wiedział tylko tyle, że ma mnie z dzieckiem przez zaufanego woźnicę odesłać do Tajszetu, a tam się ktoś mną zajmie. I tak też było. Okazało się, że tu w Tajszecie Paszka ma starą ciotkę. U niej się na początku zatrzymałam. Jego ciotka wiedziała o Paszce trochę więcej, że siedział w tajszeckim gułagu i że mam się tam z dzieckiem zgłosić na widzenie. Dała mi karteczkę, z wypisanym adresem i nazwiskiem, na które mam się powołać. Tak zobaczyłam wreszcie moją Paskę, a on pierwszy raz ujrzał swego synka. Co to było za widzenie: strażnik, kraty, ja wciąż beczałam, a Paszka mnie pocieszał. Prosił, żebym jeszcze trochę wytrzymała, bo on ma nadzieję, że niedługo wyjdzie. Nie minęło tygodnia, drzwi się otwierają, wchodzi Paszka! „Amnestia, mówi, wypuścili mnie warunkowo. Na was Polaków też patrzą teraz trochę inaczej, jesteśmy sojusznikami, no to możemy się oficjalnie pobrać”. I pyta, czy nie zmieniłam zdania. „Przecież to twój syn, powinien mieć nazwisko ojca czy nie?” No i zapisaliśmy nasze małżeństwo w urzędzie. Długo nie minęło, a Paszka dostał powołanie na front! Tyle było tego mojego z nim małżeństwa. No a na wiosnę przyszła „pochoronka”... Zabili, zabili moją Paskę na tej wojnie. Mama była ze mną. Wciąż miała do mnie żal, że przeze mnie z ludźmi z Czerwonego Jaru się pogubiła. A w parę miesięcy potem umarła. Nawet nie miał mi tu kto pomóc ją pochować. I gdyby nie Irena Puc, to nie wiem, jakbym sobie sama z tym wszystkim poradziła. Na domiar złego ciotka Paszki z mieszkania mnie wyrzuciła. Dopiero Irena mi pomogła. Ludzie, błagam, nie zostawiajcie mnie tu samej. Dokąd wy, to i ja z wami. Jak zostanę tu sama, to już do Polski chyba nigdy nie trafię!

Mijały dni, a gromada Polaków wciąż koczowała na tajszeckim dworcu. Trwali w zamiarze, żeby jechać do Kujbyszewa, szukać pol-

skiej ambasady, ale nie mogli kupić biletów. Aby kupić bilety i wsiąść do pociągu zmierzającego na zachód, należało mieć delegację służbową albo specjalne pozwolenie NKWD. Ludzie z Czerwonego Jaru nie dysponowali takimi dokumentami. I praktycznie nie mieli żadnych szans na ich zdobycie. Byli zmęczeni, głodni, zrobili się kłótniwi i niecierpliwi. Niektórzy żałowali, że pochopnie opuścili Szytkino, inni zaczęli się rozglądać po Tajszezie za jakąś robotą i kwaterą. Dzieci zdane były na los i decyzje dorosłych. Nawykłe do tułaczki i biedy, jak umiały, radziły sobie na tajszeckim dworcu. Niektórym nawet bardzo się tutaj podobało.

Dolina wciąż gdzieś przepadał, chodził po mieście, starał się zdobyć coś do jedzenia. Staszek miał obowiązek trzymać się stacji, pilnować węzełków i młodszego brata. Już na drugi dzień tajszecki dworzec i jego okolice znał ze wszystkimi zakamarkami. A było i na co popatrzeć, i co usłyszeć. Tutaj prawie naocznie można było się przekonać, że gdzieś tam daleko na zachodzie toczy się krwawa wojna. Na umorusanych ścianach stacyjnego budynku wielkie czerwone transparenty: „Wsio dla fronta - wsio dla pobiedy?” Liczne portrety Stalina. Karykatury ociekającego krwią Hitlera. Plakaty wzywające ochotników na front. Stacyjne głośniki nie milkły przez okrągłą dobę. Komunikaty z frontu. Patriotyczne i wojskowe pieśni:

***Wstawaj strana ogromnaja, wstawaj na smiertnyj boj...***

***Na pozycyju diewuszka proważata bojca... ?***

***Tiomnaja nocz, tylko puli świstiat"...***

***„Artileristy, Stalin dal prikaz ?***

Na zachód jednym ciągiem zmierzały pociągi towarowe: przykryte brezentem czołgi, armaty, polowe kuchnie, kadłuby samolotów. I „ciepłuszki” z żołnierzami. Kiedy taki transport z żołnierzami na

bocznicy przystanął, natychmiast oblepiała go chmara tajszeckich dzieciaków, oberwańców i głodomorów: - Diadia, rzućcie kawałek chleba!

I żołnierze rzucali kawałki chleba, twarde jak kamień wojskowe suchary, a zdarzało się, że i konserwę wojskową „swinoj tuszonki”. Taką konserwę udało się raz Staszкови złapać w locie i tylko własnym nogom mógł zawdzięczać, że uszedł cało pościgowi stacyjnych chłopaków.

Natomiast na wschód zmierzały transporty ewakuujące w głąb Rosji całe fabryki i pociągi sanitarne z rannymi. Jeden z takich transportów rozładowywano w Tajszecie. Staszek widział, jak z wagonów wynoszono rannych bez rąk i nóg, ludzkie kadłuby owinięte w przekrwione bandaże, ślepców bezradnie wyciągających ręce przed siebie. Jęki cierpiących, gęste przekleństwa. I ten ostry zapach lekarstw, gnijącego ciała...

Najciekawiej działo się na dworcu wieczorami. O tej porze odchodziła z Tajszetu większość pociągów osobowych. Na tę okazję ściągały na stację wszelkie miejskie męty i złodziejaszki. Pod wieczór złazili się na dworzec ci, którzy na nim z przymusu koczowali, pasażerowie w oczekiwaniu na swój pociąg. Ludzie starali się zdobyć miejsce w ciepłej poczekalni, szykowali sobie coś do zjedzenia. Żołnierze z rozkazami wyjazdu, lżej ranni, ozdrowieńcy, jedni z frontu, drudzy na front, nie chcieli zmarnować żadnej okazji, żeby napić się wódki, pobyć z kobietą. Tu wokół amatora harmonisty, a takich nie brakowało, gromadził się dumek chętnych do pośpiewania „czastuszek” i do potańczenia. Tu zdyszany milicjant gonił nurkującego w dumie złodzieja. W innym miejscu patrol wojskowy szarpał się z delirycznie pijanym żołnierzem, klnącym matkę, Boga, cały świat i wszystkich po kolei. A w ciemnych zakamarkach, niezbyt krepując się gapiów czy przypadkowych świadków, przygodne pary uprawiały szybką miłość.

Dzień był wyjątkowo ponury. Zacinał przenikliwy wiatr, prószył drobny śnieg. Miało się pod obiad i ojciec posłał Staszka, żeby przyniósł kipiatoku, może sobie coś ciepłego na obiad przygotują. Tadek

przywłókł się za nim. Do kurka z kipiakiem kolejka: zimno, łyk wrzółku i człowiekowi robi się trochę cieplej. Staszek stanął w długim ogonku. Rozglądał się za bratem, który się gdzieś zapodział. Mały znalazł się sam, wyciągnął do Staszka okopconą żołnierską menażkę. -Jeden pan prosił, żeby mu kipiaku nabrać.

- Gdzie się włóczysz, gówniarzu! Ile razy mam ci mówić, żebyś z obcymi nie zaczynał i nic od nich nie brał. Który to pan?

- O ten, tam pod ścianą siedzi. Kulawy. Bez nogi jednej. Po polsku mówi.

- Po polsku? A co ci powiedział?

- Powiedział najpierw po rusku, a potem dopiero po polsku: „Hej, kawalerze, przynieś mi trochę wody, bo jestem kulawy”. No to ja...

- Dobrze, już dobrze, dawaj tę menażkę.

Nabrał wrzółku i podszedł do tego człowieka. I dopiero zobaczył, że ten mężczyzna ma na sobie dziwny wojskowy płaszcz oliwkowego koloru. A na czapce polskiego orla!

- Proszę. - Staszek podał mężczyźnie menażkę.

- Dziękuję, kawalerze, bo trudno mi wstać. Noga... - Pokazał na szczudła, a potem na nogę. Była podgięta w kolanie.

- To pan jest Polakiem?

- Polakiem, Polakiem... A wy co tutaj robicie?

- Z tatą jesteśmy. Więcej tu Polaków. Na wyjazd czekamy, naszego wojska, polskiej ambasady szukamy. Przepraszam, to wojskowy mundur? Orzełka pan ma na czapce.

- Orzełka polskiego... - Mężczyzna ciężko westchnął, zdjął przepoconą czapkę uszanke i jakby tego orzełka widział po raz pierwszy, przez dłuższą chwilę mu się przypatrywał. Odpiął go i podał Staszкови.

- Masz, chłopcze, weź go sobie na pamiątkę.

Mężczyzna nazywał się Adam Broda, pochodził spod Trembowli. Na Sybir trafił w lutym czterdziestego roku. Teraz siedział na tajszeckim dworcu wśród ludzi z Czerwonego Jaru i opowiadał im o swoim życiu:

- Zawieźli nas do głuchej tajgi w Kujtunie, tak się rejon nazywa, od Tajszetu jeszcze jedzie się w stronę Irkucka. Mrozy, tajga, głód, to wszystko znacie. Ludzie padali jak muchy. Naraz wojna. I ta amnestia niby cud. Stalin z Sikorskim się dogadał, nasze wojsko powstaje. Byłem kawalerem, starą matkę w Kujtunie na pastwę losu zostawiłem i wio, tego naszego wojska szukać. Paru takich jak ja ryzykantów się zebrało i jedziemy na zachód. Ruskie się cieszą, po plecach nas poklepują, „sojuźniki, sojuźniki” mówią, będziemy razem bić Ger-mańca. Żarciem wspomagają, wódką częstują. Rok temu będzie, jak wreszcie znaleźliśmy to nasze wojsko ukochane aż w Buzuluku, za Uralem. Tajgi tam nie ma, jak okiem sięgnąć równina, stepy. Ale zima i mrozy są tam jeszcze gorsze niż tu na Sybirze, bo bezustannie wiatr po tej równinie hula. Polska nasza chorągiew biało-czerwona... Ksiądz nabożeństwo odprawia. A jak wojskowa orkiestra Jeszcze Polska nie zginęła” zagrała, no to, co ja wam będę tutaj więcej opowiadał. Generała Sikorskiego na własne oczy widziałem. Andersa też. Całkiem z bliska, na defiladzie. Generał Sikorski wtedy do Stalina przyjechał. W grudniu to było. Sikorski idzie przed naszymi oddziałami, w oczy żołnierzom patrzy, Anders z wąsikiem takim o krok za nim. Wojska dużo, idą długo, bałem się, że mi karabin z tego zimna z łap wypadnie... Potem Sikorski przemowę wygłosił, aż się słuchać chciało. Obiecywał, że jak tylko razem z Sowietami zwyciężymy Niemca, to wszystkich nas, z rodzinami, co na Sybirze zostały, do Polski zabierze. A my wiwatujemy, wrzeszczymy na całe gardło: „Niech żyje, niech żyje! Sikorski, prowadź nas do Polski!” Sikorski razem z Andersem odjechał. A my ćwiczymy. A naszego luda zjeżdża coraz więcej. Niektórzy z całymi rodzinami, o tak jak wy tu teraz. Kwaterować nie ma gdzie: jedzenia, mundurów, koców - wszystkiego brakuje. To, co mam teraz na sobie, to wszystko angielskie, dopiero na wiosnę myśmy wyfasowali. Opału też brakuje, step przecież dookoła... Nie wiem, jak tam było, dość, że niespodziewanie gruchnęła wiadomość, że nasze wojsko przenosi się z Buzuluku do Uzbekistanu. Tam, mówią nam, jest lepszy klimat, cały rok lato, tam

szybko się podszkolimy i na front. Mnie przez ten czas wyszkolili na szofera, na ciężarówce jeździłem. Przyszedł rozkaz, zwijamy manatki w tym Buzułuku. Ładujemy się na wagony, jedziemy do tego Uzbekistanu. A tam moja jednostka kwaterowała w miejscowości Guzar, niedaleko Taszkientu. Uzbeki naród skośnooki, co do ciebie mówią, nie rozumiesz, bo nie po rosyjsku gadają. I jedno się sprawdziło, że tam cały rok lato! Gorąco, parno, koszula dzień i noc lepi się do ciała. Polskie rodziny, choć nie wszystkie, też za wojskiem ściągnęły. I znowu nie mają się gdzie podziać. Jednego tam nie brakowało: owoców! Takich winogron, kawonów i melonów to nawet u nas na Podolu nie widziałem. Jak się to nasze wygłodniałe bractwo na to wszystko rzuciło, no to zaraz czerwotka, sraczka za przeproszeniem, tyfus, malaria. Ludzie marli, aż strach mówić. Ajak kto ma mieć w życiu pecha, to go ma. Mnie właśnie tak się przytrafiło, choć żadna czerwotka mnie się nie imała. Gruchnęła po wojsku wiadomość, że generał Anders wrócił niedawno z Anglii, a my już nie idziemy, tak jak Sikorski mówił, razem z Rosjanami na front, tylko Anders zabiera nas do Iranu, bo niby tam jesteśmy Anglikom bardziej potrzebni. Żołnierz to żołnierz, jego sprawa dbać o karabin, a nie politykować. Cieszymy się, że jedziemy, bo w tym Uzbekistanie niedługo wszyscy wyzdychamy bez żadnego pożytku. Tylko z drugiej strony zamiast do Polski bliżej, to my od niej coraz dalej. Wozilem na stację różne wojskowe oporządzenie. Gorąc gorącem, ale jak rano zacznie lać! Błoto, drogi rozjeżdżone. Całą noc jeździłem. Zmęczony pewnie byłem, a może przysnąłem i wpakowałem się do potoku. Ciężarówka wykopyrtnęła się na bok, przywaliła mnie, no i noga trach... Wojsko nasze poszło do tego Iranu, a ja zostałem w szpitalu. W mieście Taszkientie leżałem, mało mi tam nogi całkiem nie ucięli. Ruskie i tamtejsze Uzbeki mnie leczyli. Nie powiem, starali się... A może szkoda, że mi jej nie ucięli? Co mi z tego, że niby mam nogę, kiedy nawet stanąć na niej nie dam rady. Całe życie muszę o kulach... No to poszło to nasze wojsko z panem generałem Andersem do Iranu, a nas takich jak ja, nikomu już niepotrzeb-



nych, zostawili. A ile polskich rodzin, co szły za wojskiem, tam zostało! Jeden wielki płacz i zgrzytanie zębów... Ja to nawet takiego pana generała rozumiem. Dla panów generałów pojedynczy człowiek na wojnie się nie liczy. Liczy się wojsko i tyle. A co z takiego kaleki za żołnierz? Podleczyli mnie, ze szpitala wypisali, no to co miałem w tym Taszkencie robić? Postanowiłem, że wracam, aż mi się samemu śmiać chciało, znowu na Sybir! I to dobrowolnie! Jadę właśnie do matki, do tego cholernego Kujtunu. A jak jej tam nie zastanę? Może tak jak wy po Sybirze wędruje...

Żołnierz skończył. Wszyscy milczeli. Ludzie czuli się speszeni, a nawet mieli cichy żal do żołnierza-kaleki, że ten swoją boleściwą opowieścią odzierał ich z nadziei o polskim wojsku, o rychlejszej drodze do Polski. A Manterysowi, który był najbardziej w stosunku do niego nieufny, pokazał swoją żołnierską legitymację, w której po polsku i po rosyjsku było napisane, że kapral Stefan Broda pełnił służbę w Armii Polskiej w ZSRR, w 6 dywizji. Pieczętka okrągła i podpis generała Michała Tokarzewskiego. Wszystko było, jak trzeba. Miał nawet zaświadczenie ze szpitala w Taszkencie, że ranny wojenny inwalida Stefan Broda, „bojec Polskiej Armii w ZSRR”, udaje się do swego miejsca zamieszkania: „lespromchoz Kiedrowyj, rejon Kujtun, irkuckoj obłaści”.

Co dalej robić? A decydować trzeba było już. W dworcowej poczekalni syberyjskiej zimy przeżyć się nie da. Biletów nie mogą kupić. Pieniądze się kończą. Dzieciaki zaczynają chorować.

- Ludzie, nie ma się co łudzić, że gdzieś tam wojsko polskie, ambasada. Słyszeliście, co człowiek mówi? Był tam. Widział... Takimi jak my nikt tam sobie głowy nie zawraca. Ja mam już dość tego wycierania betonu na stacji. Jutro rano idę na Tajszet jakiejś roboty szukać. Zima idzie...

Wtrącił się niepewnie żołnierz:

- Ambasada nasza podobno jeszcze w Kujbyszewie jest. I jakieś polskie przedstawicielstwa, niby konsulaty W Krasnojarsku byłem nawet w takim, puszkę kawy mi dali... Ale Krasnojarsk na zachodzie.

W Tułunie też podobno jest. To w tym kierunku, dokąd jadę, niedaleko Irkucka.

- Panie, to my pchaliśmy się na zachód, byle bliżej Polski, a teraz mamy się znowu cofać? I to aż gdzieś pod Irkuck, na koniec Sybiru?

- Daj spokój, człowieku, co w naszej sytuacji trochę kilometrów w tę czy w tamtą. To mówi pan, że w tym Tułunie jest polskie przedstawicielstwo?

- Tak mi w Krasnojarsku powiedzieli. „W razie czego uda się tam pan po radę i pomoc”.

- Jedziemy do tego Tulunu! A co niby mamy do stracenia? A jeśli jest tam polskie przedstawicielstwo, to nie ma się nawet co zastanawiać.

Z trudem wstawali się do nocnego pociągu Krasnojarsk-Irkuck. W ostatniej chwili dołączyła do nich Sylwia Krakowska z dzieckiem. Wagony zatłoczone ponad możliwości, bez przedziałów, z piętrowymi półkami, na których przemieszani z tiumokami gnieździli się pasażerowie. Ciemno. Tłok. Nie wiadomo, gdzie czyjś tobołek, gdzie głowa, gdzie noga. Charakterystyczny smród włóczęgi, niemytych ciał i biedy. Ale za to ciepło! Ci, którzy jadą dłużej i już się jakoś ulokowali, klną, bronią swoich miejsc przed przybyszami. Ale wystarczyło, żeby pociąg ruszył, jak pomału wszystko się utrzęzło, uspokoiło.

- Razgon, Ałzamaj, Uk, Niżnieudinsk, Budagowo, a następna stacja to już ten wasz Tułun. A ja jeszcze trochę dalej, do Czeremchowa - tłumaczył Polakom wracający z frontu, ślepy na jedno oko inwalida. - A ty - pytał Brody - wysiadasz z nimi czy w Kujtunie?

- Chyba jednak wysiadę w Tułunie. Może czegoś się w tym naszym przedstawicielstwie dowiem? Może mi coś pomogą. Bo z Kujtunu wracać nie będzie mi się chciało.

- Akurat ci pomogą. Nogi ci nie zreperują, tak jak i mnie tego oka. Nic włócz się, żołnierzu, na darmo, lepiej wal prosto do domu.

- No tak, ty to masz swój dom, a mój gdzie? W tajdze? Do matki jadę.

Frontowiec ze zrozumieniem głową kiwał, a na pożegnalny poczęstunek wygrzebał z podróżnego worka suchary, otworzył konserwę „tuszonki”.

-Jedźcie, ludzie dobrzy, bo czort wie, co was o tym Tułunie czeka. A jak co, to wsiadajcie w pociąg i do Czeremchowa. Miasto u nas robotnicze, węgiel kopiemy, roboty nie zabraknie. A mnie znajdziecie łatwo, naprzeciw dworca mieszkam, taki piętrowy drewniany barak, na zielono malowany. Wystarczy tylko zapytać o Iwana Dronowa. A jeszcze jak dodacie: tego, co dopiero z frontu wrócił, ślepego, to pewnie każdy wam pokaże. O ślepego się nie obrażę. Ot szkoda, że szklaneczki na pożegnanie zabraknie.

- Nie zabraknie, nie zabraknie. Na taką okazję odrobiny nie pożałuję. Od swata wracam, z wesela.

Omotana chustami baba pogrzebała w tobołku i wyciągnęła pękata flaszkę. Wyrwała mocnymi zębami szmaciany korek.

- Brażka własnej roboty, wzmocniona! - pochwaliła się i roześmiała głośno. Mocny odór samogonu buchnął ludziom w nozdrza.

- O, dobra kobieto, niech ci Bozia w dzieciach wynagrodzi! Ślepy żołnierz podstawił okopcony kociołek. Baba chlupnęła samogonu, nie żałowała. Żołnierz łyknął uczciwy haust.

- No jak? - kobieta dopominała się oceny, a najpewniej pochwały. Żołnierz z trudem łapał powietrze.

- To nie brażka, to nie spirit, to niebo w pysku!

Popijali po łyczku. Gadali. A cały czas i na różne sposoby tylko o tym samym: wojna, wojna, wojna!

Tułun. Wyładowali się z pociągu wczesnym wrześnieowym rankiem. Żołnierz Broda razem z nimi. Świat przyprószony pierwszym śniegiem. Słoneczko i lekki mróz. Ruch tu mniejszy niż w Tajsze. Peron i dworzec mniej gościnne. Poczekalnia mniejsza, wyziębiona, choć też zatłoczona. Na szczęście kapiatoku i tutaj dostać było można do woli. Po ciepłym, zasiedziałym wagonie rozespiane, głodne dzieci drżały z zimna. Zgromadzili się w kącie poczekalni. Przynieśli kapiatoku, wygrzebali z tobołków resztki chleba i lepioszek kupio-

nych na tajszeckim bazarze, popijali wrzątkiem. Mówili niewiele. No bo o czym? Znowu siedzą w brudnej dworcowej poczekalni i nikt nie wie, co ich w Tułunie czeka.

Podszedł milicjant. Przypatrywał im się chwilę. Jedli w milczeniu. Milicjantowi wpadł w oko Broda, pewnie dlatego, że ubrany był w angielski mundur, jakiego milicjant jeszcze w życiu nie widział.

- Dokumenty, obywatelu.

Broda odstawił menażkę z kipiakiem, sięgnął za pazuchę i podał szpitalne zaświadczenie. Milicjant długo dumał nad papierem.

- Ale tutaj Tułun, nie Kujtun. Nie za wcześnie wysiadłeś, żołnierzu?

- Wysiadłem w sam raz. Do polskiego przedstawicielstwa muszę wstąpić tu, w Tułunie. Nie wie pan, gdzie to jest?

Milicjant oddał zaświadczenie.

- Wy wszyscy Polacy?

- Wszyscy.

Na szczęście mrukliwy milicjant wiedział, gdzie w Tułunie szukać tego przedstawicielstwa. Pozwolił też całej gromadzie pozostać w poczekalni.

Manterys triumfował:

- A nie mówiłem! Jak jest tu nasze polskie przedstawicielstwo, to bądźcie pewni, zginąć nam nie dadzą.

Do miasta szukać przedstawicielstwa wybrali się wszyscy mężczyźni. Nawet kaleki żołnierz Broda. I jeszcze Honorka Unicka, która uznała, że w razie czego więcej tam załatwić potrafi niż ten jej fajdapa, Florek.

Od stacji kolejowej do miasta dość daleko. Samo miasto, drewniane i parterowe, leżało w rozległej kotlinie, nad brzegiem okazałej rzeki. Rzeka nazywała się Ija i gdzieś tam daleko na północy wpadała do Angary. Tułun niewiele różnił się od Tajszetu: podobne domy, ulice, w centrum drewniane chodniki. Tylko powietrze było tu zupełnie inne, czystsze, nie czuło się potwornego tajszeckiego smrodu.

Wskazówki milicjanta były ściśle i do polskiego przedstawicielstwa trafili od razu. Mieściło się przy głównej ulicy, w osobnym budynku ogrodzonym płotem pomalowanym na zielono. A przed tym budynek na niewysokim maszcie zwisała na bezwietrze już nieco spłowiała, ale nasza, nasza polska biało-czerwona chorągiew! Stanęli w milczeniu przy furtce i długo, nabożnie na tę chorągiew patrzyli. Honorka przeżegnała się i coś tam sobie szeptała. Manterys tarł powieki. Dolina nie mógł przełknąć śliny. Oparty na kulach żołnierz Broda zdjął czapkę. Za jego przykładem drugi, trzeci...

Na drzwiach budynku wisiała heblowana deseczka z grubo wypalonym napisem: „Delegatura Ambasady RP”. A niżej po rosyjsku: „Polskoje predstaviteľstwo”. W budynek było cicho, niewielkie okna od ulicy przysłonięte firankami. Manterys zapukał i nacisnął klamkę. Korytarz, jedne drzwi na prawo, drugie na lewo. Zapukał. Nie było odzewu.

- Nie ma tutaj nikogo czy co? - uchylił drzwi.

W nozdrza uderzył mocny aromat kawy. Ciepło dobrze napalonego pieca. Przez uchylone drzwi do drugiego pokoju zobaczyli dwie panie i mężczyznę siedzących przy stoliku z filiżankami kawy. Zwrócona ku nim twarzą, starszawa już, mocno wypomadowana blondyna, gustownie odziana w buraczkowy wełniany blezer, niechętnie uniosła się w krześle. Stała w progu, przymknęła za sobą drzwi.

- Słucham państwa?

Głosem i wyniosłą postawą dawała im do zrozumienia, że sprawę należy wyłożyć krótko, bo jej się śpieszy. Speszony Manterys zacukał się:

- Bo my, proszę pani, właśnie, bo my... chcieliśmy się zobaczyć z panem przedstawicielem...

- Z panem delegatem rządu! - wyniośle poprawiła go blondyna. - Niestety pan delegat jest bardzo zajęty. O co państwu chodzi?

- Z daleka przyjechaliśmy, z tajgi. Szukaliśmy polskiego wojska. Do ambasady chcieliśmy... A jak dowiedzieliśmy się o naszym przedstawicielstwie w Tułunie...

- O delegaturze rządu RP!

- ... o delegaturze rządu RP, to właśnie przyjechaliśmy, jesteśmy...

- Ale konkretnie. Czego państwo od nas oczekujecie? Konkretnie, bo my tu...

Dolina zdenerwował się nie na żarty. Odepchnął Manterysa. Stał oko w oko z blondyną, od której niosło dusznym zapachem perfum, i warknął głosem nie znoszącym sprzeciwu:

- Albo pani dopuści nas do tego delegata, albo sami do tamtego pokoju wejdziemy. To my tyle kilometrów o głodzie i chłodzie, a pani nas tu przed drzwiami trzyma!?

- Ależ proszę pana, co pan sobie wyobraża, że tylko wy...

- Nic sobie nie wyobrażam, niech się pani odsunie!

Blondyna odskoczyła na bok. Dolina otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju. Widocznie słyszano tam podniesione głosy, bo kiedy całą hurmą wtargnęli, delegat stał za biurkiem, a ta druga pani, młodsza, ładna szatynka, gorączkowo zgarniała serwis kawowy ze stolika. Blondyna pośpieszyła z oburzonym wyjaśnieniem.

- Ten pan - wskazała na Dolinę - zaczął się awanturować. Przepraszam, panie konsulu, to coś niesłychanego, żeby tak...

- Dobrze, już dobrze, pani Steniu. A państwo niech się uspokoją. Czym mogę wam służyć. Słucham uważnie.

Za plecami delegata wisiał orzeł i portret generała Sikorskiego.

- Panie konsulu!

- Nie jestem konsulem. Jestem tutaj delegatem naszego rządu. To tak dla porządku. Przepraszam, słucham pana.

- Moje nazwisko Dolina. Panie delegacie, przybywamy tu do pana z tajgi dalekiej. Jak zobaczyliśmy tu naszą chorągiew, to... Czego chcemy? A czego my możemy chcieć od przedstawiciela Polski? Sam pan wie najlepiej. Nie my pierwsi tu chyba... Jakiejś rady, pomocy, choćby nadziei odrobinę.

Delegat poprosił, żeby usiedli. Był to starszy, dobrze ułożony, nieźle utrzymany pan. Słuchał ich uważnie, nie przerywał. Mówili wszyscy. Kiedy skończyli, zainteresował się Brodą. Nie bez ciekawo-

ści oglądał jego żołnierską legitymację. A potem długo i zawile dumaczył:

- Nie jest tu teraz z nami Polakami dobrze. Klimat wokół Polski i Polaków się pogorszył. Wojsko nasze pod wodzą generała Andersa zostało wyprowadzone do Iranu, bo taka była polityczna i strategiczna konieczność. Za Polskę można bić się wszędzie. Musimy zaufać naszemu rządowi. Zresztą o naszym wojsku pan Broda wie chyba więcej ode mnie, bo tam był. Współczuję panu, że tak się nieszczęśliwie złożyło. Nie wiem nawet, jak długo jeszcze nasza delegatura w Tułunie się utrzyma. Gospodarzom to wszystko nie bardzo się podoba. Rozumiecie mnie, panowie? Kontakty z naszą ambasadą w Kujbysze-wie prawie żadne. Pomocy materialnej już dawno nie otrzymujemy, resztki z magazynku wymiatamy, bo jak pewnie się domyślacie, nie wy tu pierwsi... Pani Steniu, niech pani łaskawie zajrzy do magazynku, może coś tam jeszcze pani dla naszych gości znajdzie... O radę prosicie? Boję się, że moje rady na niewiele się państwu przydadzą. Nie mam tu żadnych możliwości. Zwłaszcza że ostatnio miejscowe władze wyraźnie mnie unikają, żeby nie powiedzieć gorzej. Przykro mi bardzo, naprawdę.

Delegat uniósł się zza biurka. Zrozumieli, że rozmowa skończona. Honorka nie wytrzymała:

- Panie, to co my mamy teraz ze sobą zrobić? Przecież tam na tułuńskim dworcu czekają nasze rodziny, głodne dzieciaki walają się na posadzce!?

Delegat bezradnie rozłożył ręce.

- Przykro mi... Pewnie powinniście się udać do miejskiej rady, do tutejszego urzędu pracy. Niedaleko stąd, pani Stenia drogę wydumaczy. W Tułunie z tego, co wiem, pracy nie brakuje. A jak nie, to trzeba będzie jej w okolicznych sowchozach i lespromchozach szukać. Doprawdy bardzo mi przykro, ale musicie sami jakoś sobie radzić...

- Proszę do mnie! - nawołując z drugiego pokoju, ratowała delegata niezawodna pani Stenia.

Trzymała kartonowe pudełko i wręczała każdemu jakąś puszkę. Wyciągali ręce jak po jałmużnę. Oszołomieni tym, co w delegaturze usłyszeli, nawet nie zorientowali się, że znowu stoją na ulicy. Dopiero histeryczny śmiech przywrócił ich rzeczywistości. To kulawy żołnierz Broda nienaturalnie głośno śmiał się, a może płakał, rąbnawszy uprzednio o drewniany chodnik puszką amerykańskiej kawy.



Kaleki żołnierz, Adam Broda, już więcej do tajgi nie wrócił. Na stacji w Tułunie rzucił się pod rozpędzony pociąg. Samobójstwem żołnierza byli wszyscy zaszokowani. Kobiety nie dopuszczały dzieci w pobliże, żeby na tę skrwawioną ludzką miazgę nie patrzyły. Jedno szczudło Brody leżało na peronie, drugie tkwiło na sztorc w międzytorzu.

- O Jezusie, o Jezusie! Co mu też do głowy strzeliło, przecież do matki miał jechać - rozpaczały kobiety.

- Przynajmniej już się nie męczy na tym cholernym świecie. Niedługo i nam chyba przyjdzie przeżegnać się, zamknąć oczy i skoczyć pod najbliższy pociąg...

Po nieudanej wyprawie do delegatury znaleźli się w sytuacji bez wyjścia: zima na dworze, a tu ani dachu nad głową, ani pracy, ani co do gęby włożyć. Wytrzęśli z kieszeni i tobołków najdrobniejsze okruszyny, wygrzebali ostatnie ruble, na bazar nie mieli co wynieść. Dzieciaki przeziębione, chorują. Dorośli z głodu ledwie nogami powłóczą. A do tego kolejny raz na zesłaniu pozbyli się nadziei. A tak się łudzili, że kiedy wreszcie dotrą do przedstawicielstwa polskich władz, to niebo stanie przed nimi otworem. A teraz? Jak żyć, co tu robić?

- Co za ludzie te Polaki! Same tylko kłopoty z wami. Przez was to jeszcze mnie się dostanie. Koczują na dworcu niby Cygany jakieś! A ten mi jeszcze w nocy pod pociąg skoczył - narzekał wezwany do wypadku dworcowy milicjant, starszyna Klimów.

Mężczyźni razem z milicjantem pozbierali z torów śmiertelne szczątki żołnierza, w szmaty starego brezentu je zawinęli.

- Pochować by go trzeba po ludzku, ale nie wiemy jak i gdzie.
- Macie tu „sprawkę” do zarządcy cmentarza, bez tego na pochówek nie pozwoli. Porządek u nas...
- Daleko ten cmentarz? Trumny nie ma...
- Same kłopoty tylko z wami! -Milicjant podumał, podumał i wysłał ich do władz komunalnych miasta. - Towarzysz Rudych jest tam naczelnikiem, może przydzielili wam parę desek na trumnę.

Szukać tego towarzysza Rudycha poszedł Dolina z Józkiem Szajną.

Poszli i nie pożałowali. Rudych okazał się dobrym człowiekiem. Nie tylko że dostali od niego podwodę i gotową trumnę dla pochówku Brody, ale od ręki zaproponował im pracę. Obiecał też, że wszystkim koczującym na dworcu Polakom pomoże się w Tułunie urządzić. Zima przecież idzie...

A zima przełomu roku czterdziestego drugiego na trzeci była niezwykle surowa. I to na całym ogromnym euroazjatyckim kontynencie. Na wschodniej Syberii srożyła się wyjątkowo. Tutejsi od lat nie pamiętali takiego obfitego śnieżnego nasypu i takich srogich mrozów.

Dom w Tułunie, w którym Jan Dolina z synami dostał przydział na jedną izbę, był wielki. Przed rewolucją musiał tu mieszkać ktoś bogaty, bo dom był nie tylko wielki, solidnie zbudowany, ale i jego zewnętrzny wystrój na to wskazywał. Wszystkie okna, odrzwia, nawisy poddasza, okiennice miał pięknie w drzewie rzeźbione. Obejście szczelnie ogrodzone palisadą z modrzewia, z szeroką bramą wjazdową i osobną furtką dla pieszych. W zagrodzie spichlerze, a może kupieckie składy, stodoła, stajnia i bania: ta ostatnia zresztą na poły rozwalona. Do domu wchodziło się po wysokich drewnianych schodach, przez obudowany deskami ganek.

Kiedy z nakazu Rudycha wprowadzili się do tego domu Dolina i liczna rodzina Szajnów, zastali tam innych lokatorów: nauczyciela Siomkina, ślepowego gruźlika z hurmą dzieciaków, oraz samotnego kawalera, Żyda z Polski. Był to pochodzący z Grodna pan Mieczysław Szachnicki. Pana Szachnickiego, prawnika z wykształcenia i adwokata

z zawodu, tenże sam Rudych zatrudnił jako radcę prawnego. Szach-nicki znalazł się w ZSRR, uciekając z Grodna po napaści Hidera na Związek Radziecki.

Dolina dostał pracę wozaka u Rudycha. Koń, którym miał odtąd powozić, miał swoją stajnię na miejscu, przy domu.

Zmarznięci, zgłodniałi, rzucili tobołki w kącie wielkiej izby, z dwoma niezbyt szczelnymi oknami. Pusto. Piec zimny.

- No, chłopaki, tu teraz będziemy mieszkać! - oznajmił ojciec. - Rozglądajcie się tu pomału, a ja pójdę, konia wyprzęgnę i jakiegoś drzewa na podpałkę poszukam, to sobie coś ciepłego ugotujemy. „Konia wyprzęgnąć”! Dla Staszka zabrzmiało to w ustach ojca jak niegdyś w domu, kiedy ojciec wracał końmi z pola i wołał do przyglądającej się mamy: „Chwileczkę, Tosiu, tylko konie wyprzęgnę”.

- A gdzie on ma stajnię?

- Tu, na naszym podwórku, jutro wam wszystko pokażę. Ojciec wyszedł. A mały Tadek skakał z radości po pustej izbie i wykrzykiwał:

- Konia mamy, konia mamy, konia!

Koń był młody. Nie taki malutki skudłaczony syberyjski „mongol”, tylko ładny wysokonogi kary, z białą gwiazdką na czole i tegoż koloru skarpetką na prawej pęcynie. Staszek biegał do Karego codziennie i nie mógł się nim nacieszyć. W mroźnej, oszronionej stajni przytulał się do konia tak jak niegdyś w Worwolińcach do gniadej Zuli, na której grzbiecie galopował podolskimi jarami. Kary, początkowo nieufny, już na drugi dzień poznawał chłopaka i rozdymając różowe chrapy, zlizywał z jego dłoni słony smak okruszyn chleba, które Staszek od ust sobie odejmował. Skoro koń był kary, więc tak na niego wołali, bo nikt nie umiał im powiedzieć, jak dotąd go wabiono. Dotychczasowy koniuch i woziwoda poszedł na front. Nim przejął go Dolina, Kary woził wodę zaprzęgany przez przypadkowych woźniców, najczęściej kobiety. Nic dziwnego, że koń był zaniedbany: miał szyję otartą chomątem i grzbiet odbity chropowatym siodełkiem podtrzymującym dyszle.

Dolina lubił konie. Już po kilku dniach pod jego okiem Kary wyraźnie odżył. Podkarmiony, wyczesany zgrzebłem, koń połyskiwał smolistą sierścią. Na widok Staszka głośno rżał, grzebał przednim kopytem i wyciągał szyję.

Ojciec zrywał się na długo przed świtem, bo zimowy dzień krótki. Ubierał się po ciemku, nic prawie nie jadł, śpieszył do stajni i zaprzęgał Karego do sań, na których umocowana była kilkuseditrowa, oblodzona beczka na wodę. Z tą beczką ojciec jechał do rzeki. Tam z wielkiej przerębli, którą razem z takimi jak on woziwodami musiał każdego ranka na siarczystym mrozie na nowo przebijać, czerpakiem napełniał beczkę wodą i rozwoził ją po mieście, dokąd Rudych mu kazał. I tak przez cały Boży dzień.

Chłopcy wstawali późno, najpóźniej, jak się dało: nie mieli dokąd i po co się śpieszyć. Izba przez noc wyziębła tak, że woda w wiaderku zamarzała. Do jedzenia też nie było za wiele. Na cały dzień zostawiał im ojciec po kawałku chleba, czasami trochę zupy w garnku, która jakimś cudem została z wczorajszego wieczora. W domu było spokojnie, tylko z samego rana żona nauczyciela Siomkina wrzeszczała na męża i niesforne dzieciaki. Od Szajnow wszyscy, z wyjątkiem babki, szli do roboty. Uliczka, przy której stał dom, też była cicha. Miasta nie było tu słyhać. W izbie było prawie pusto. Z mebli mieli tylko kulawy stół, stary taboret i wieszak na stojaku. Nie było łóżka. Żeby nie spać na podłodze, od której ciągnęło mrozem, ojciec zmajstrował pryczę z desek, a z worków nabitych sianem siennik. Z dawnych domowych pieleszy została im już tylko poduszka, bo nawet pierzynę musieli sprzedać w Tajszecie, żeby kupić coś do jedzenia. Przykrywali się, czym się dało. I tak samo się ubierali. Najgorzej miał mały Tadek, bo już ze wszystkiego, w czym przyjechał z Polski, wyrósł. Mamy zabrakło, nie miał mu kto czegoś nowego uszyć, dopasować. Nosił więc to, z czego Staszek wyrastał i czego nie potargał na strzepy. Wszystko na tym dzieciaku było za duże, niedopasowane. Staszekowi z ubraniem było łatwiej, ponieważ rósł szybko i co się dało, odziewał po dorosłych: od starych walonek, watowanych portek do fufajki. To

nic, że za obszerna, można było owinać się nią i przewiązać sznurkiem. A że rękawy za długie? To bardzo dobrze: było przynajmniej w co zmarznięte pięści schować. No i czapa uszanka wielgachna, spadająca na oczy, ale ciepła, bo z zajęczych skórek, podarunek od ciotki Burmakiny z Szytkina.

Na miasto chłopcy wychodzili bez określonego celu, ot tak, byle połączyć, żeby się dzień tak nie dłużył. A przy okazji poznać Tułun, coś zobaczyć, powłóczyć się wśród ludzi, a zwłaszcza po bazarze. Bazar szczególnie sobie upodobali. Przez cały dzień kłębił się po targowisku dum miejscowych przekupniów, przyjezdnych z pobliskiej okolicy kołchoźników i myśliwych. Tutaj można było wszystko sprzedać, wszystko kupić i wymienić. I ukraść. Bo jak na każdym szanującym się bazarze, nie brakowało tu złodziei z prawdziwego zdarzenia, nie mówiąc już o gromadach głodnych, bezdomnych obdartusów, którzy korzystali z każdej okazji, byle zdobyć cokolwiek do zjedzenia. W tułuńskich sklepach nie było prawie niczego do kupienia prócz tego, co na kartki. Natomiast na bazarze było prawie wszystko: od mięsa, połci słoniny, dziczyzny, ptactwa i ryb, także mleko, masło, sery i śmietana, beki kiszonej kapusty i kiszonych ogórków, grzybów i brusznic. A do tego pełne stolnice placków „lepioszek”, bułek z jagodami, pierogów nadziewanych mięsem i rybą. To nic, że to wszystko, wystawione na czterdziestostopniowy mróz, zmarznięte było na kość! Zresztą to tu, to tam kopciły zmyślne, z beczek skonstruowane piecyki. Na nich to baby gotowały smacznie pachnące na kilometr syberyjskie pierożki - pielmienie albo kapuściane „szczy”. A kto chciał, nie miał trudności, żeby kupić na bazarze wzmocnionej brażki albo śmierzącego na odległość samogonu.

Chłopcy nie mieli grosza, ale tułuński bazar przyciągał ich jak magnes. Jedzenie, jedzenie, jedzenie! Choćby tylko na nie popatrzeć, powąchać. Podobni do nich tutejsi mali oberwańcy często zebrali:

- Ciocienka, zlituj się, daj choć okruszynę. Dwa dni nic nie jadłem.

-Won mi stąd, złodzieju jeden, bo zaraz milicjanta zawołam!

I gruba rozeźlona przekupka groźnie wymachiwała na głodomora zawczasu przygotowanym kijem. Ale bywało, że inna litowała się nad biedakiem i coś mu tam na odczepnego kapnęła.

Staszek nie zebrał. Kiedy był świadkiem takiej zebraczej sceny, czym prędzej odciągał brata i odchodził. I nie kradł. Choć nie był całkiem bez grzechu. Bywało, że wataha zdesperowanych małych głodomorów, wywoławszy najpierw sztuczny tłok wokół upatrzonej przekupki, rzucała się na jej stoisko, wywracała je, a wszystko, co na nim było, rozlatywało się w promieniu paru metrów. Przekupka gwałtowała, a malcy zbierali, co w locie zdążyli, i jeszcze szybciej znikali, rozpryskiwali się w bazarowym dumie. Staszek już wiedział, że przy takim zdarzeniu trzeba było brać nogi za pas, bo dzieciak złapany przez rozeźlone baby, choćby w tym udziału nie brał, nie miał szans, żeby się im wytłumaczyć. No i zdarzało się, że przy takich okazjach Staszek zdążył coś tam do zjedzenia poderwać ze śniegu. Raz był to pieróg z rybą, raz kilka surowych pielmieni, a kiedyś znów garść przemieszanej z brudnym śniegiem kiszonej kapusty.

Tylko raz uświadomił sobie, że pomagał w kradzieży, ale było to już po fakcie. Szli z Tadkiem na bazar. Z górki wąską uliczką zjeżdżało szybkim kłusem kilka sań. To na bazar jechali opatuleni kozuchami kołchoźnicy. Chłopcy usunęli się na pobocze, gdy nagle pod nogi zaczęły im się turlać krążki zamrożonego na lód mleka.

- Łap, bladź, i zmykaj za róg! - wrzeszczał do Staszka jakiś łach-myta, który to mleko z sań kołchoźnicy wyrzucał. Staszek zadziałał jak automat: złapał parę krążków mleka i w nogi. Tadek za nim. Za rogiem uliczki przystanęli. Nie potrwało długo, jak zza narożnego budynku wybiegło trzech chłopaków, ciągnąc za sobą pękaty worek. Ten, który krzyczał do Staszka, nakazał:

- Zwiewamy dalej!

Pobiegli wszyscy razem i przystanęli dopiero za wysokim płotem osłaniającym ich od ulicy. Chłopak zarządził:

- Wywalaj, co tam który ma.

Staszek rzucił krążki mleka na śnieg. Pozostali też coś tam mieli przy sobie. Chłopak zajrzał do worka.

- Ot, bladź, kapusta! Pieprzone kmiotki, też mieli co do miasta przywozić.

I dopiero teraz uważnie obejrzał sobie braci od stóp do głów.

- A wy, co za jedni? Nie widziałem was w mieście.

- Bo my tu niedawno. Polacy...

- A! Polaki. Słyszałem o takich, ale na oczy nie widziałem. Sańka jestem, ten Borys, a tamten Wańka. A ty?

- Staszek. A to mój brat, młodszy.

- Przecież widzę, że nie twój dziadek. Gdzie mieszkacie?

- Na Podgórnjej. Ojciec po mieście wodę wozi. A mama nam umarła...

- Tak. Jasna sprawa. Bierzcie dwa krążki mleka i dwie główki kapusty. A jak zakapujesz, to... - Chłopak wyciągnął zza cholewy walonki długi fiński nóż.

Wieczory zimowe były długie. W ciemnej izbie migotał płomień z pieca albo z karbidówki. Polacy odwiedzali się rzadko. Czasami przychodził Manterys, a po sąsiedzku wpadał Józek Szajna i Szachnicki. Grzali się przy piecu, kurzyli machorkę, siorbali gorzki malinowy wrzątek i politykowali, politykowali. Tadek zasypiał na barłogu, a Staszek się przysłuchiwał. Trudno im się politykowało, zwłaszcza o sprawach Polski. Nawet Manterys, dotychczas niepoprawny optymista, po ostatnich doświadczeniach z tulariską delegaturą polskiego rządu zwiesił nos na kwintę. Wsłuchiwali się uważnie w wywody mecenasa Szachnickiego, bo on jedyny całymi dniami obracał się wśród radzieckich prawników, miał dostęp do radia i do prasy.

- Panowie, w tej sytuacji, jaka się teraz wytworzyła, kiedy nasze wojsko z jakichś tam politycznych względów wycofano do Iranu, pozostaje nam cierpliwie czekać na zakończenie wojny. Zawsze po wszystkich wojnach świat od nowa porządkował swoje sprawy. Miejmy nadzieję, że tym razem o Polsce nie zapomni.

- Tylko czy się doczekamy? Zresztą czort wie, kiedy się ta wojna skończy.

-1 pytanie, kto tę wojnę wygra? - Dolina wpadł w słowa Manterysa. - Niemiec na Kaukazie, Stalingrad lada dzień padnie... wytrzyma Sowieci tę wojnę czy nie wytrzyma?

Szachnicki machnął rękami, jakby tego nie chciał słuchać i diabła z rogami odpędzał.

- Pan chyba sobie nie wyobraża, co by nas czekało, gdyby Hider zwyciężył! Wiem coś na ten temat, wiem... Bóg się zmiłował, że zdażyłem przed nim uciec. Nawet na Sybir. A cała moja rodzina? Dla Hidera Żyd to nie człowiek. A czy pan wiesz, co się w naszej Polsce pod hiderowską okupacją dzieje z Polakami? Wywózki, szubienice, obozy koncentracyjne. A z Sowiecami świat się po wojnie dogada. Już teraz masz pan sojusz Sowieców z Anglią, Francją. Nawet z samą Ameryką. No i z naszym rządem, z generałem Sikorskim. To, że wojsko nasze wyszło z Rosji akurat teraz, niedobrze, bardzo nawet źle. Ale na tym świat nie kończy. Sprzymierzeni muszą pokonać tego antychrysta Hidera. W tym cała nasza nadzieja, panie Manterys. Cała nasza nadzieja. A kiedy ta wojna się skończy!?

Panu Szachnickiemu powodziło się nieźle. Może nawet lepiej niż rosyjskiemu nauczycielowi Siomkinowi z jego wielodzietną rodziną. Szachnickiemu nie brakowało klientów, którzy płacili za usługi żywnością. Nie było dnia, żeby mecenas nie przyniósł do swojej małej kłitki torby produktów. Zimno było u niego jak w psiej budzie, bo Szachnicki rzadko palił w piecu. Produktami gospodarzyła babka Szajnina, która mu coś tam gotowała. Dolinie z dziećmiakami też czasami podrzucił kawałek słoniny, trochę cukru lub makaronu.

Towarzystwo mecenasa Szachnickiego szczególnie upodobał sobie nauczyciel Siomkin. Miał dwie wyraźnie widoczne namiętności: politykę i grę w szachy. Siomkin, jedyny w domu, miał przewodowy radiowy głośnik, zwany tutaj „kołchoźnikiem”. Pan Szachnicki, jak przystało na jego nazwisko, grał w szachy wystarczająco dobrze, żeby nękanymi częstymi matami nauczyciel Siomkin nie szukał okazji do



rewanżu. Często grywali w izbie Doliny, bo tu wieczorami było trochę ciepła, a zwłaszcza spokoju. A grając politykowali. Aktualnym tematem był Stalingrad, którego wojenne losy ważyły się dosłownie z dnia na dzień.

Któregoś ciemnego lutowego ranka „kołchoźnik” w mieszkaniu nauczyciela Siomkina zaryczał całą mocą. Siomkin zaś, oszalały z radości i dumy, biegał od drzwi do drzwi, budził swoich sąsiadów Polaków i wołał:

- Towariszczu Poliaki, wstawajcie, słuszajcie! My pobiedili w Stalingradzie! Ura! Ura! Ura!

Dolina ubierał się do roboty. Siomkin wpadł, rzucił mu się na szyję, zaczął go ścisnąć i całować.

- Ura, Jan! Zwycięstwo! Zwycięstwo! Słuchaj, Moskwa co dopiero podała, że w Stalingradzie setki tysięcy fryców do niewoli wzięto, na czele z samym feldmarszałkiem Paulusem! Jan! Ty rozumiesz, co się stało? Co to znaczy?

Ze swej izby wyjrzał zaspany Szachnicki. Siomkin i jemu rzucił się na szyję:

- Mat, mat Hitlerowi pod Stalingradem, towariszczu jurist! „I na naszej ulicy będzie święto”, powiedział towarzysz Stalin! I jest! Ura, ura, ura!

Spiker moskiewskiego radia, Lewitan, swoim charakterystycznym głosem czytał komunikat TASS o totalnej klęsce Niemców pod Stalingradem.

Stalingrad! Stalingrad! Stalingrad! Owej surowej zimy nazwa tego miasta nad Wołgą była na ustach całego świata. „I na naszej ulicy będzie święto!” Te słowa Stalina krzyczały z czerwonych płacht transparentów, wplecione w wojskowe marsze płynęły z ulicznych głośników. Fakt, że od czasu pogromu Niemców pod Stalingradem Rosjanie byli niemal pewni, że tej wojny przegrać nie mogą.

Tymczasem codzienne trudy wojny na dalekim syberyjskim zapleczu były bardziej niż ciężkie: głód, praca ponad siły kobiet, starców i dzieci. Do tego coraz młodsze roczniki nieustannie powoływano

pod broń. Z frontu masowo napływały „pochoronki”. Z wojny zaczęli wracać ciężko poranieni, okaleczeni żołnierze. „Wsio dla fronta, wsio dla pobiedy!”

Na tym de obecność na zapleczu wojny Polaków, zdrowych młodych mężczyzn, szczególnie rzucała się w oczy. Zwłaszcza rosyjskie kobiety, wdowy i samotne żołnierki nie kryły zdziwienia i oburzenia.

- A wy czemu nie na froncie?

- Tam nasi krew przelewają, giną, a ci tu, chłopcy jak byki, na zapleczu się obijają!

- Wstydu jeden z drugim nie ma, Boga się nie boi! Rozżalone, nie rozumiały, nie przyjmowały do wiadomości du-

maczeń: „My Polaki, nas na front nie biorą, nie nasza wina!”

- Niech to szlag najjaśniejszy trafi! Wczoraj w bani mało mnie te wiedźmy miodami nie zadukły! Gdzie tam im coś wytłumaczysz...

W Tułunie miejska łaźnia była wspólna: kąpali się tam wszyscy razem, bez różnicy płci i wieku. Dolina bał się wszawicy i raz w tygodniu całą trójką szli do bani. Rozbierali się w poczekalni, lachy zdawali do parówki - odwyszalni, brali cebrzyki i brzożowe „wieniki” - miotełki - i wkraczali do tonącej w kłębach pary sali, gdzie zażywali kąpieli.

Staszek podobną miejską łaźnię pamiętał jeszcze z transportu, kiedy konwojenci zgonili tam wszystkich razem - od małego do starego. Wstydził się wtedy, oczu nie śmiał podnieść, bo dookoła wszyscy znajomi z wagonu, z Czerwonego Jaru. Wszyscy nadzy: śliczna, posągowa Cynia Bialerówna i zgarbiona starością, z opuchniętymi niby bale nogami, z piersiami obwisłymi - babcia Szajnina. Myli się wtedy ogarnięci milczeniem, upokorzeni wstydem. W tułuńskiej łaźni wszyscy byli sobie obcy. A wśród obcych i wstyd bywa inny. Zresztą mało tu się ktoś kim specjalnie interesował. Ludzie przyszli się wykapać, wyparzyć w gorącu zmarznięte kości. A jeśli w tłumie nagusów zaplątał się zboczeniec, świr jakowyś czy podpity świntuch, nie mogący zdzierżyć swojej chuci - wtedy mu biada: kobiety, bo one tu wszechobecnie przeważały, podnosiły wrzask, rzucały się na takiego

z pięściami, zlewały cebrzykami lodowatej wody, do krwi chłostały brzożowymi miodami. Nie licząc takich incydentów, w syberyjskiej bani panowała pełna uprzejmości ogólna symbioza.

- Wymyj mi, goląbeczku, plecy, bo nijak tam dostać nie mogę.

- Chlupnij, proszę, gorącej wody z cebrzyczka tak, żeby na całe ciało poszła.

- Mydełka odrobinę pożyczysz?

- Mocniej, mocniej wal, pleców i miotełki nie żałuj. Wytrzymam! O, kobietki, kak charaszo!

- Pary, pary! Zróbcie tam więcej pary, nie żałujcie!

- Pary, pary! Nie ma lepszego lekarstwa niż gorąca para.

W łaźni biła w nozdrza, dusiła w gardle kakofonia smrodu i zapachów: szarego mydła, ludzkiego ciała, odchodów, zgniłego drzewa, rozpalonych do czerwoności kamieni pękających i syczących kłębami gorącej pary, kiedy chlustano na nie lodowatą wodą. W łaźni było rozleniwiające ciepło, a kiedy pomyślało się, że tam na dworze mróz dochodzi do czterdziestu stopni, nie chciało się z niej wychodzić...

Dolinie tej zimy dokuczała powracająca kurza ślepotą. Męczyła go zwłaszcza wieczorem, kiedy trzeba było jeszcze dowieźć parę ostatnich beczek wody. Nie było rady: zostawiali małego Tadka samego w izbie, a Staszek jechał ojcu do pomocy. Chlupiąca z beczki woda natychmiast zamarzała, oblepiała sanie, konewkę i odzienie skorupą lodu. Ojciec, niedowidząc, pozwalał Staszкови powozić Karym. Koń po pierwszych próbach, kiedy to niezbyt ufnie łypał w kierunku małego woźnicy, z czasem podporządkował się mu całkowicie. Owies dla Karego fasował ojciec ze składów zbożowych. A co jakiś czas w niedzielę, kiedy nie rozwoził wody, jechał do kołchozu po siano.

- Trudno, Stasiu, musisz ze mną jutro pojechać po siano. Wracać trzeba wieczorem, a ja coraz mniej przez tę kurzą ślepotę widzę. A Tadzia Bronia przypilnuje...

Było jeszcze ciemno, kiedy wyjechali z miasta.

Mimo pośpiechu rychła zimowa noc złapała ich w powrotnej drodze. A do Tułunu było jeszcze daleko. Koń buchał parą i bezsilny co chwila przystawał, zwłaszcza że droga przez tajgę coraz częściej wspinała się pod górę. Wraz z ciemnością ojciec oślepnął zupełnie i oddał lejce Staszкови. Nie chciał siadać na sianie, żeby konia nie męczyć. Zresztą na tężejącym mrozie lichy odziany człowiek, siedzący bez ruchu, rychło zamarłby na kość, więc Dolina włókł z tyłu za saniami. A ponieważ nie widział nic, żeby się nie zgubić, przywiązał się sznurkiem do pawęzu.

- Dasz sobie rady, Stasiu?

- Nie martw się, tatusiu, Kary mnie słucha!

- No właśnie... Na szczęście droga nie zawiana, do miasta zaprowadzi.

Do Tułunu dowlekli się późno w nocy. Bronia czekała. Otworzyła bramę, pomogła Staszкови wyprząc Karego. W izbie było ciepło. Tadek już spał. Bronia postawiła przed nimi miskę smakowicie pachnącej kartoflanki. „Z czego ona to ugotowała?” - zdziwił się nie bez łakomej radości Staszek.

- Już się martwiłam, tak długo was nie było...

- Ślepy jestem jak kret... Gdyby nie Stasiu, to nie wiem, jak byśmy sobie poradzili.

Bronia przygarnęła Staszkową głowę do swojej piersi. Była ciepła, swojsko pachniała domem. Tym razem Staszek nie szarpnął się od niej, tak jak to było kiedyś w Kajenie, ale nawet pomyślał sobie: „Jak to dobrze, że Bronia jest razem z nami: Tadzia przypilnowała, zupy ugotowała, w piecu napaliła...”

Dopiero w połowie kwietnia zima *zelała*. W słoneczne dłuższe dni tułuńskimi uliczkami spływała pośniegowa woda. Sanie żłobiły głębokie koleiny w topniejącym brudnym śniegu, odsłaniając ślady końskiego nawozu i resztek rozwleczonego po ulicach siana. Ale pod wieczór wracał jeszcze solidny mróz i ścinał wszystko lodowatą powłoką. A kiedy do tego poproszył śnieg, wtedy po mieście ani przejść, ani przejechać.

W takie ciepłe dni z nową nadzieją czeka się na wiosnę i nawet głód znosi się łatwiej. Staszek z bratem wydeptali tułuńskie ścieżki. Codziennie prawie te same: dom, bazar, okolice kina, tartak po drugiej stronie Iji, bo tam mieszkało wielu znajomych Polaków, stacja kolejowa, gdzie pogapić się można na pociągi, chodnik przed domem polskiej delegatury, żeby choć polską chorągwią oko nacieszyć.

Łazisz tak, łazisz, niby nic, ale zawsze coś się dookoła ciebie dzieje: coś tam zobaczysz, coś usłyszysz, kogoś nowego poznasz.

Tego dnia bracia wracali z okolic dworca kolejowego. Staszekowi było jakoś markotno, bo i pociągi pędzące na zachód, w stronę Polski, wciąż były nie dla niego, a do tego przypomniał mu się poszatowany na torach trup kalekiego żołnierza Brody. Tadek, wyraźnie podziębnięty, nie nadażał za bratem, marudził i pokasływał. Tak dowlekli się w okolice budynku polskiej delegatury. Zamyślony Staszek pewnie przeszedłby tym razem bez zatrzymania, gdyby nie okrzyk idącego za nim malca.

- O! Nie ma?

— Czego nie ma?

- Tego, o tam...

Tadek, który coraz częściej niemiłosiernie plątał polskie słowa z rosyjskimi, zapomniał jak to „o” nazwać, więc pokazywał w tym kierunku palcem. Staszkiowi wystarczył rzut oka, żeby zorientować się, o co małemu chodzi: na budynku delegatury brakowało polskiej chorągwi! Brakowało też tabliczki informacyjnej przy furcie, zamkniętej na masywną kłódkę.

W budynku delegatury Staszek nigdy nie był, choć strasznie go tam ciągnęło. Nie wiedzieć czemu wyobrażał sobie, że za tym zielonym płotem z desek, w budynku, na którym wisi polska biało-czerwona chorągiew, musi być... Polska! Nie wchodził za to ogrodzenie, bo ludzie z Czerwonego Jaru opowiadali i wciąż nie mogli zapomnieć, jak źle ich tutaj przyjęto. Nie tak przecież wyobrażali sobie Polskę i jej przedstawicieli. Ale zawsze ilekroć chłopak tamtędy przechodził, zwalniał kroku, przystawał, żeby choć przez moment popatrzeć na tę polską biało-czerwoną... Widział przy takich okazjach, jak do budynku delegatury wchodził Polacy tacy jak on, zgłodniały obszarpańcy. Widział, jak stamtąd po chwili wychodzili speszeni i jakby jeszcze bardziej bezradni, długo stali u furki, nie bardzo wiedząc, co ze sobą w nieznanym mieście robić.

A dzisiaj na delegaturze nie było już polskiego sztandaru! Tadek gapił się na Staszka, oczekując chyba jakiegoś wyjaśnienia.

- Chorągwi naszej nie ma, co? - upewnił się Staszek, czy mały to miał właśnie na myśli.

- Nu - powiedział Tadek i dodatkowo pokiwał głową. - Flaga nie tu.

- Nie „flaga”, tylko chorągwi, naszego polskiego sztandaru nie ma. Tak się po polsku mówi. Sztandar! Flaga to po rusku. Ile razy mam cię, gówniarzu, uczyć, żebyś ze mną po polsku gadał.

Tym wielosłowem i pokrzykiwaniem na brata głużył swój niepokój i niewiedzę.

- No, nie ma polskiego sztandaru. No i co? Może akurat do prania go zdjęli? Widziałeś przecież, jaki już był brudny. Kolory trudno

było odróżnić. Chodź, idziemy, bo już późno. Jutro znowu tu przyjdziemy, to się zobaczy...

Wracali do domu. malec, widać urażony reprimendą, że źle mówi po polsku, zaczął deklamować pod nosem, ale na tyle głośno, żeby go starszy brat słyszał:

- „Kto ty takij, Polak mały, Kajok znak twój? Orzeł białyj...” Staszek ze śmiechem potargał brata po czuprynie.

- Oj ty, kacapie jeden! Powtarzaj za mną. Tylko dokładnie, słowo po słowie: „Kto ty jesteś? Polak mały...” Jak cię tata uczył?

Na drugi dzień poszli specjalnie sprawdzić, co z tym polskim sztandarem. Sztandaru nie było. A pusty budynek delegatury zamknięty był na głucho.

Któregoś wieczoru mecenas Szachnicki czekał na nauczyciela Siomkina, żeby pograć w szachy, i o czymś tam sobie z Doliną pogadywali. Spóźniony Siomkin wpadł do izby, wymachując gazetą, i od samego progu wykrzykiwał:

- No, gospoda Polaki, tego się po was nie spodziewałem! Żeby tak iść na lep hitlerowskiej prowokacji. I to teraz po naszym stalingradzkim zwycięstwie trzymać z faszystami!? Nie, tego się po was nie spodziewałem...

Nauczyciel biegał nerwowo po izbie. Szachnicki starał się go uspokoić.

- Ale co się takiego stało, towarzyszu Siomkin? Nie rozumiem, o co panu chodzi ?

- O co mi chodzi? O co chodzi? To wy jeszcze nic nie wiecie? O, proszę! - Siomkin podszedł ku świadu kaganka i rozłożył gazetę. -No to proszę, posłuchajcie „Prawdy”, gospoda Polaki! Hm, hm... Zaraz wam ten kawałek przeczytam: „Oszczercy goebbelsowscy od pewnego czasu rozpowszechniają podle oszczercze łgarstwa, jakoby wiosną 1940 roku w rejonie Smoleńska władze radzieckie masowo rozstrzeliwały polskich oficerów. Niemieccy łotrzy faszystowscy nie cofnęli się przed najbardziej podłym kłamstwem. Powszechnie wiadomo, że polscy jeńcy latem 1941 roku wpadli w ręce niemiecko-faszy-

stowskich katów i zostali przez nich bestialsko wymordowani. Tymczasem rząd polski w Londynie natychmiast podjął hiderowskie oszczerstwa. Działaniem takim rząd polski ujawnia istnienie pewnego porozumienia między rządami polskim i niemiecko-faszystowskim. Rząd polski zszedł tym samym na drogę porozumienia z Hiderem. Tu tkwią korzenie wrogiej kampanii przeciwko Związkowi Radzieckiemu, rozpętanej równocześnie przez rząd polski i Hidera..."

Wzburzony Siomkin przerwał czytanie. Machnął ręką i ciężko usiadł przy stole. Szachnicki sięgnął po gazetę i wodząc palcem linia po linii, czytał, bezgłośnie poruszając wargami.

- Nie wierzę! Po prostu nie wierzę i już! - Szachnicki odsunął gazetę od siebie.

- Jak to? W co, czemu pan nie wierzy? Przecież to „Prawda” pisze! Co, może „Prawdzie” pan nie wierzy? Leninowskiej „Prawdzie”?

- Panie Siomkin, nie chodzi mi o gazetę... O sam fakt mi chodzi.

- Niby o jaki fakt? Jakie pan ma tu wątpliwości?

- A choćby takie, panie Siomkin, że nie wierzę, aby nasz polski rząd postępował tak nierozważnie, jak tu opisane. A już na pewno nigdy nie uwierzę w żadne jakieś tam porozumienie polskiego rządu z Hitlerem. Co, nie wie pan, a może pan zapomniał, panie Siomkin, że Polska już w 1939 roku jako pierwsza stanęła przeciwko Hitlerowi? A tragedia jest faktem, masowe rozstrzeliwania polskich oficerów. To mi do Hitlera pasuje...

Tego wieczoru szachistom gra się nie kleiła. Szachnicki przestawiał figury nieuważnie i szybko dostał mata. Siomkin tym razem nie zaproponował rewanżu, sucho pożegnał się i wyszedł. „Prawdę” zostawił na stole. Po jego wyjściu Szachnicki z Doliną długo milczeli. Mecenas parę razy zaglądał do gazety, jakby wciąż jeszcze nie dowierzał własnym oczom. Wstał od stołu.

- Późno już, panie Janie, pora spać... Trzymając rękę na kłamce, odwrócił się jeszcze:

- Tak czy tak, panie Janku, ta wiadomość to dla nas tutaj prawdziwa tragedia. I to z każdego punktu widzenia. Oj, wydłuża się ta



nasza powrotna droga do Polski, wydłuża. Najpierw Anders z tym swoim Iranem, teraz Katyń... Dobranoc.

Ojciec ciężko westchnął i już miał zdmuchnąć kaganek, kiedy zauważył, że Staszek jeszcze nie śpi.

- Gaszę, synku, jutro raniutko do roboty...

- Tatusiu, to niedobrze dla nas, o czym Siomkin opowiadał? Ojciec przysiadł na skraju posłania. Chwilę milczał.

-Jakby ci to wydumaczyć... Ludzie, którzy rządzą Polską, nasz rząd gdzieś tam w Anglii, pokłócił się z Rosją. Nasz rząd mówi, że podobno Rosjanie zabili naszych polskich oficerów, których w trzydziestym dziewiątym do niewoli wzięli. Pamiętasz, jak naszych żołnierzy w Worwolińcach Sowietci do niewoli brali? Z tego akacyjowego lasku obokjakubówki za szosą ich wyprowadzili? Jak mamusia broniła mnie przed rozstrzelaniem?

- Pamiętam. Potem uciekaliśmy z mamusią wózkiem do Czerwonego Jaru, a oni za nami strzelali.

- No, ta kłótnia między Rosją a Polską to coś takiego właśnie... A to dla nas niedobrze. Słyszałeś, jak się Siomkin z Szachnickim kłócili. Takie to sprawy, synku. A dla nas to niedobrze, bo znowu krzywym okiem na nas będą tu patrzeć. I znowu ta nasza Polska przed nosa nam ucieka.

Ojciec zdmuchnął kaganek. Ostry smród karbidu rozszedł się po izbie.

- Tatusiu.

- No, co tam jeszcze?

- A wiesz, że na tej naszej delegaturze to już nie ma polskiego sztandaru? Tabliczki też nie ma. A brama, ta od ulicy, na kłódkę zamknięta.

- Nie włączcie się aż tak daleko. Zamknięta, mówisz? Chorągwi nie ma? To też dla nas niedobrze. No, ale już śpijmy, synku: „Sen mara, Bóg wiara”...

Na drugi dzień Dolina wybrał się wieczorem do tartaku, gdzie w polskim baraku mieszkała większość ludzi z Czerwonego Jaru. Ze-

brali się w ciasnej izdebce Manterysa. Każdy już coś tam słyszał, co w ostatnich dniach mówiło o Polsce i Polakach moskiewskie radio i pisały gazety. A mówiono i pisano źle. O rządzie generała Sikorskiego nie inaczej jak o „faszystowskim”, podejrzewano go o zмовę z Hiderem, o prowokację w posadzaniu Związku Radzieckiego o wymordowanie pod Smoleńskiem polskich oficerów wziętych w 1939 roku do niewoli. Na tym de wypominano Polakom wyprowadzenie armii Andersa na Bliski Wschód, i to w czasie, kiedy ważyły się losy Stalingradu.

- A najgorsze, panowie, że Rosja zerwała z rządem Sikorskiego stosunki dyplomatyczne. W dzisiejszej „Prawdzie” o tym napisali. Źle to dla nas, bardzo źle!

- Niby czemu? Jak to?

- A tak to, chłopie - cierpliwie dumaczył nieświadomym Manterys - że gdyby Sikorski ze Stalinem w czterdziestym pierwszym się nie porozumiał, to byśmy po dziś dzień w Kaluczem siedzieli.

- Albo tam już dawno wyzdychali.

- A tak - ciągnął Manterys - że się porozumieli, nawiązali stosunki dyplomatyczne, to była dla nas amnestia, było w Rosji nasze wojsko, polska ambasada w Kujbyszewie. A teraz? Zerwanie stosunków dyplomatycznych oznacza, chłopie, że znowu zostaliśmy na tym Sybirze na łasce i niełasce Sowietów. I co z nami teraz będzie, to tylko jeden Pan Bóg wie. Czarno widzę, panowie, czarno.

**Trzeci** dzień mijał, jak mecenas Szachnicki nie wracał do domu. Babka Szajnina, która od czasu do czasu w komnatce mecenasa sprzątała, wyprała mu koszulę albo coś tam ugotowała, pierwsza narobiła alarmu.

- Lobości! Taki porządny człowiek, może mu się coś złego stało? Nie siedźcie tak, chłopcy, tylko trzeba gdzieś iść i człowieka szukać!

Racja. Tylko gdzie go szukać, skoro nie bardzo nawet wiedzieli, gdzie Szachnicki pracował. Nigdy o tym szczegółowo nie mówił, zbywał ich opowieściami o swoim prawniczym, wolnym zawodzie. Może

nauczyciela Siomkina się poradzić? Ale Siomkin wyraźnie Polaków unikał, choć jeszcze niedawno nie było wieczoru, żeby nie narzucał się Szachnickiemu z partyjką szachów. Teraz nawet o Szachnickiego nie zapytał. Przypilnowali Siomkina, kiedy ten wracał ze szkoły. Siomkin udawał zdziwionego.

- Gdzie pana Szachnickiego szukać? A skąd niby ja mam to wiedzieć? Wasz on, Polak, chociaż właściwie to Jewrej, ale polski, więc wy powinniście wiedzieć, gdzie się taki człowiek może obracać. Aja? Co ja, kilka razy w szachy z nim zagrałem. Nie znam człowieka. Na milicji trzeba zgłosić i tyle...

Nie spodobał się Dolinie ten Siomkin, przypomniła mu się jego ostatnia kłótnia z Szachnickim. Trzeba będzie uważać, w politykę się z nim nie wdawać, pomyślał.

Na milicję nie poszli. Dolina udał się do dyrektora Rudycha, bo przypomniał sobie, że Szachnicki jako prawnik coś tam Rudychowi doradzał. Dyrektor nic o Szachnickim nie wiedział, ale obiecał, że spróbuje o niego popytać. Nie trwało to długo, bo już na drugi dzień, kiedy Dolina zajechał pod budynek administracji z beczkowitzem, wyszedł do niego Rudych. Przystanął obok Doliny niby mimochodem.

- A z tym waszym Szachnickim źle, NKWD nim się zainteresowało. A jak NKWD kimś się interesuje... Niedobrze... A do mnie już więcej z tą sprawą nie przychodźcie.

Wieczorem przyszedł do Doliny dzielnicowy milicjant i nakazał, by następnego dnia zgłosił się do NKWD.

Ten sam milicjant był też u Szajnow z poleceniem, żeby od nich zgłosili się do NKWD wszyscy dorośli, z babcią Szajną włącznie. Im też nie powiedział, o co chodzi.

- Pewnie w sprawie Szachnickiego chcą nas przesłuchać. Chłopy, w razie czego nic nie wiemy i już! - zarządziła babka na wszelki wypadek.

- Nie wiemy, nie wiemy! Ale coś mi się zdaje, że tu nie o Szachnickiego chodzi: Siomkina przecież nie wzywają, tylko nas, Polaków.

- A niby po co tego szpicla mają wzywać? Już wcześniej im wszystko o Szachnickim wyśpiewał. A może to on i na nas coś nagadał? NKWD to nie żarty!

Wieczorem wpadła w odwiedziny wystraszona Bronia. Ona i wszyscy dorośli Polacy z tartaczego baraku też dostali wezwania do NKWD. A więc nie o sprawę Szachnickiego tu chodziło. A w takim razie o co?

W codziennym rozwożeniu wody nie miał kto Doliny zastąpić. Staszek wiedział, dokąd ojciec wozi wodę. Karym umiał powozić. Z zaprzęgnięciem konia też sobie radził.

- Dasz sobie radę, Stasiu? Choćby tylko ze dwie beczki do południa koniecznie trzeba dowieźć. Resztę rozwiozę, jak wrócę. Chyba długo nas tam trzymać nie będą? Poproszę ich, powiem, że do roboty mi się śpieszy. Tylko czy ty dasz sobie radę?

- Tato!? Zobaczysz, że sobie poradzę, Kary mnie słucha.

- No dobrze. Tylko uważaj szczególnie koło przerebli: za blisko nie podjeżdżaj, bo strasznie tam ślisko. I przy czerpaniu wody się pilnuj. Nabieraj po odrobinie, tyle, ile udźwigniesz. A Tadziu niech na ten czas w domu siedzi.

- Nie bój się, tatusiu, dam sobie radę.

- No to chodź, zaprzęgniemy Karego.

Budynek tułuńskiej milicji okalał wysoki plot z desek. Na szczycie płotu kolczasty drut. Solidna, obita blachą brama i furtka z uchylającym się wziernikiem dla wartownika.

Dolina spóźnił się trochę i kiedy wartownik bez większych ceregieli otworzył przed nim furtkę, aż przystanął ze zdziwienia: przed wejściem do budynku kłębił się spory dumek kobiet i mężczyzn. „Aż tylu Polaków jest w Tulunie?” Ludzie szukali znajomych, skupiali się w grupki i podekscytowanym półgłosem dzielili się przypuszczeniami, po co ich tu zwołano.

Dolina poszukał wzrokiem ludzi z Czerwonego Jaru. Stanęli nieco na uboczu, otaczali kogoś szczelnym kołem, głowa przy głowie. Nim się zorientował, co ich tak zainteresowało, dosłyszał podniecony głos babki Szajniny:

- Jezusie ty mój święty! Patrzcie ino, ludzie, kto by się tego spodziewał! Kto by się spodziewał: „Góra z górą, góra z górą”.

Przecisnął się bliżej i zobaczył, jak babka Szajnina tuli do piersi popłakującą... Cynię Bialerównę! Tak, tę samą Cynię, córkę Joska Bialera z Czerwonego Jaru, na którą wszyscy wołali: Celina, i którą razem z Korczyńskim i Władkiem Lutkowskim aresztowało NKWD jeszcze w Kaluczem za to, że polskie dzieci w baraku uczyła.

- Jasek też tu jest?

Balik odwrócił się, wzruszył ramionami.

- Nie wiem, człowieku. Któraś z naszych bab Celinę tu wypatrzyła, no i zaczęło się! Nic, tylko płaczą... Cholera, Janie, jak myślisz, po co oni nas tutaj wezwali? Tyle luda? Mówią, że niby Anglia się o nas upomniała. Jak ten generał Anders z naszą armią poszedł za granicę, no to niby Anglicy powiedzieli do Ruskich, żeby i nas tam odtransportowali. Inni znowu mówią, że po tym Andersie Ruscy tak się wściekli, że wezmą nas teraz za dupę i wio, z powrotem do tajgi. Jak myślisz, o co tu chodzi?

- Cholera ich wie! Wszystkiego się po nich można spodziewać. Dolina nie zdążył docisnąć się do Celiny, żeby się z nią przywitać, kiedy na ganek wyszedł oficer NKWD.

- Uwaga, obywatele! Zapraszam was do środka i tam się wszystkiego dowiecie.

Ludzie rozsiedli się po sali. Ci z Czerwonego Jaru jak zawsze trzymali się razem. Za prezydialnym stołem usiadło trzech: milicjant, siwy cywil i znany im już oficer NKWD. On też zaczął:

- Grażdanie Polaki! Poprosiliśmy was tutaj, żeby zgodnie z najnowszym rozporządzeniem rządu radzieckiego dopełnić niezbędnych formalności, które pozwolą wam stać się odtąd pełnoprawnymi obywatelami Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Jeszcze dzisiaj zostaną wam wydane stosowne zaświadczenia, a w najbliższym czasie radzieckie paszporty.

Tak jak na początku panowała na sali pełna ciekawości cisza, tak po ostatnich słowach oficera głośno, niespokojnie zawrzało.

- Proszę o ciszę, obywatele. Proszę o ciszę! Teraz zabierze głos komendant rejonowej milicji, który objaśni wam szczegóły. A jeśli coś będzie niejasne, proszę bardzo, pytajcie.

- Mam pytanie! Można już teraz, od razu? - wyrwał się z sali Manterys. Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. Oficer chwilę się wahał.

- Nu, charaszo, pytajcie.

Manterys pośpiesznie, nerwowo szukał czegoś po kieszeniach, wreszcie wydobył jakiś zmięty papier i uniósł go do góry.

- O, tutaj mam zaświadczenie wystawione przez NKWD, w którym jest wyraźnie napisane, że jestem obywatelem polskim. Więc proszę mi wyjaśnić, po co mi w takim razie radziecki paszport?

Manterysa poparły liczne głosy:

- Wszyscy mamy takie zaświadczenia!

-NKWD nam wydało, zaraz po amnestii. -Jesteśmy polskimi obywatelami.

- Spokój! Spokój, obywatele. Nie będziemy tutaj wiecować. Ale skoro tak zaczynacie, to muszę i ja wam parę słów prawdy powiedzieć, żebyście nie mieli żadnych wątpliwości. I żadnych złudzeń. Tak, owszem, rząd radziecki zawierzył burżuazyjnemu rządowi Sikorskiego, chciał z nim sojuszu, dał wam amnestię, pozwolił i pomógł utworzyć na naszym terytorium polską armię. No i czym ten tak zwany „polski rząd” nam się odpłacił? Czarną niewdzięcznością, zdradą i prowokacją! To wasze wojsko zamiast na front, pod Stalingrad, uciekło do Iranu, do Anglików. Ostatnio ujawniła się współpraca polskiego rządu z Hiderem, rzucanie oszczerstw na Związek Radziecki o jakiejś tam rzekomej zbrodni na polskich oficerach. Albo te imperialistyczne roszczenia terytorialne do naszej Białorusi i zachodniej Ukrainy, które po wiekach pańsko-polskiej niewoli raz na zawsze powróciły do radzieckiej macierzy. Organa NKWD wykryły, że Polacy szpiegostwem się zajmowali. My tu, w Tulunie, też coś na ten temat wiemy. Nie tajemnica, czym ta wasza delegatura się u nas zajmowała. Wystarczy? No to teraz się nie dziwcie, że rząd ZSRR zerwał wszelkie

stosunki dyplomatyczne z burżuazyjno-faszystowskim rządem Sikorskiego. To nie Związkowi Radzieckiemu, ale temu rządowi Sikorskiego zawdzięczacie swoją sytuację. Jednak władza radziecka kolejny raz okazuje wam, Polakom, swoją wielkoduszość: dajemy wam nasze radzieckie obywatelstwo. To powinno być zaszczytem dla każdego, a wy mi tu jakieś protesty wnosicie. Zresztą wszyscy pochodzicie z zachodniej Ukrainy lub Białorusi i faktycznie jesteście obywatelami radzieckimi od września 1939 roku. Tak że pobranie teraz paszportów to po prostu zwykła formalność. No to proszę, żeby teraz komendant milicji wyjaśnił wam dodatkowe szczegóły.

Komendant mówił krótko, ograniczył się do formalności i objaśnienia obowiązującego prawa. Zapowiedział, że od dzisiaj ich stare zaświadczenia nie stanowią dokumentu tożsamości, a bez ważnych dokumentów obejść się nie można. Kto ważnego dokumentu tożsamości nie posiada, podlega surowej karze, nawet więzienia. Należy stare zaświadczenia oddać, wypełnić ankietę paszportową i otrzymać nowe dokumenty.

- Paszporty będą wydawane o tam, w tamtym pomieszczeniu. Nie pchajcie się, obywatele, dla wszystkich starczy - żartował oficer NKWD, wychodząc z salki.

Wskazane przez niego drzwi otworzyły się, stanął w nich milicjant i zachęcał:

- Nu zachoditie, graždanie, dopóki nie ma kolejki. Proszę bardzo, kto pierwszy?

Ludzie siedzieli na swoich miejscach, ale do otwartych drzwi nikt nie podchodził. Wielu oglądało się na Manterysa. Widocznie nie wytrzymał ich pytających spojrzeń, bo nagle zerwał się z krzesła.

- No, co tak się na mnie gapicie? Każdy z was ma swój rozum... Aja, aja mogę wam tylko za siebie powiedzieć, że niech się, co chce, dzieje - sowieckiego paszportu nie przyjmę i już! - Usiadł poblady i tylko ręce mu drżały, kiedy chował do kieszeni dotychczasowe zaświadczenie tożsamości. Na sali znowu zawrzało. Ludzie zbierali się grupami, dyskutowali, naradzali się.

Dolina nie miał pojęcia, jak ma w tej sytuacji postąpić. Wszystko znówu stawało się ponure, wręcz beznadziejne. A do tego niepokoił się o Staszka, którego zostawił z koniem i beczkowitzem. Podeszedł do drzwi wyjściowych.

- Kuda grażdanin? A nu nazad!

Za drzwiami stało dwóch żołnierzy NKWD z karabinami. -Ja do pracy, dzieci same zostały...

- Z powrotem, z powrotem, obywatelu. Wyjście tylko przez tamto pomieszczenie, gdzie paszporty wydają. Tam swoje sprawy tłumaczcie...

Podwożąc ojca na milicję. Staszek nie mógł się doczekać, kiedy ten odda mu lejce i on sam nie tylko będzie mógł Karym powozić, ale pojedzie na Iję po wodę.

Koń posłusznie ciągnął sanie. Dzień był słoneczny, ciepły. Poranny przymrozek powoli ustępował, koleiny robiły się miękkie, sanie ślizgały się na zakolach.

Nad rzekę zjeżdżało się stromą, wąską uliczką. Przy samym brzegu Iji następował ostry skręt i zimowa droga prowadziła po lodzie prawie na środek szerokiej rzeki. Tam było kilka wielkich przerębli, z których czerpano wodę do beczek.

Kiedy Staszek podjechał, wszystkie przeręble były już zastawione beczkowitzami. Przystanął z boku, czekał na swoją kolejkę. Woziwodami były same baby. Niedźwiedziowate, nieruchawe, w watowanych spodniach i fufajkach. Czerpiąc wodę z przerębli, przerzucały się głośnymi rozmowami, kłóciły, sypały pieprznymi żartami.

- Patrzcie, patrzcie, baby, jakiś nowy woziwoda nam się tu pojawił!

- Koń tego Polaka z zarządu miasta, od Rudycha.

- Polak może jesteś?

- A gdzie twój ojciec?

- Polak. A ojca... no, ojca na milicję wezwali.

- A co on tam takiego przeszkrobał, że go na milicję? Ukradł może coś albo kogoś zabił?



- Przestań, durna, czepiać się małego. Milicja, milicja! Mało to kogo dziś milicja wzywa? Lepiej pomóżmy dzieciakowi wody nabrać. Ano podjeżdżaj tu, mały, na moje miejsce.

Pierwszą beczkę wody zawiózł Staszek do przedszkola. Kucharka nakrzyczała na niego, że się spóźnił.

- Też mi woziwoda! Nie dość, że się spóźnia, to jeszcze wiadra nie potrafi udźwignąć. A co z ojcem?

Kucharka na Staszka warczała, ale pogoniła swoje kuchenne pomocnice wodę nosić. Kiedy skończył, zawołała go do środka i chlupnęła do miski chochlę gorącej kaszy, pokrasowała olejem i kazała mu jeść. Staszekowi kręciło się w głowie od smakowitych kuchennych zapachów. Kaszę wychłęptał łapczywie i żałował, że mały Tadek nie może do takiego przedszkola chodzić, a teraz siedzi sam, głodny, w zimnej chałupie.

Drugą beczkę zawiózł Staszek pod jakiś urząd. Tutaj już było gorzej, bo nikt się nim nawet nie zainteresował. Tylko stary odźwierny, nie ruszając się z nagrzonej stróżówki, wydumaczył mu, gdzie stoi beczka, do której powinien wodę przelać. Długo dźwigał korytarzem wiaderko po wiaderku. Wokół niego przechodzili zajęci swoimi sprawami, obojętni na jego mozoły, urzędnicy i jacyś interesanci.

Ale zadowolony wracał do domu, zrobił wszystko, co mu ojciec kazał. Wjechał do bramy. Tadek wybiegł mu na spotkanie. Ojca jeszcze nie było. Nie było też nikogo od Szajnow. Zdjął uprzęż z Karego i długo wycierał go do sucha. Koń poddawał się tym zabiegom cierpliwie, choć co jakiś czas cicho rżał i łypał ślepiami w kierunku resztek siana. Owsa już dawno nie było. Owsianka, którą od czasu do czasu gotował, pochodziła z obroku podkradanego Karemu. To nic, że wysuszony owies był tylko jako tako w dłoniach ojcowskich wykruszony, że przy jedzeniu pluło się i dławiło łuskami: owsianka była smaczna i choć trochę zaspokajała głód.

W izbie było zimno. Napalił w piecu. Zagotował wody, nalał do garnuszków, posolił. Sięgnął na półkę, gdzie ojciec zostawił im co-

dzienną porcję chleba. Przełamał kromkę równo, ale przypomniał sobie, że jadł w przedszkolu kaszę, więc oddał chleb Tadekowi.

Dopiero późnym wieczorem wróciła z milicji babka Szajnina. Sama.

- Trzymają naszych na milicji. Z całego Tułunu Polaków zgonili. Tylko takie staruchy jak ja zgodzili się na noc wypuścić. Tfu! Niech ich piekło pochłonie, tak mi Panie dopomóż! Jakies rosyjskie papiery mają Polakom wydawać, a te nasze głupie chłopcy uparły się i nie chcą ich brać. Boją się, że jak te ruskie papiery wezmą, to już nigdy stąd do Polski nie wrócimy. Tak jakby papier miał coś znaczyć. Można sobie nim najwyżej dupsko podetrzeć. Oj, dziecko, dziecko, co się z nami, nieborakami, na tym świecie wyrabia, to tylko jeden Pan Bóg może zrozumieć i zlitować się nad nami grzesznymi... A jedliście co oba? Dałeś sobie rady z tą wodą, bo ojciec się tam denerwował. Nie martw się, Stasiu, przecież tyle luda naraz do kryminału nie zamkną: potrzymany naszych, potrzymany i wypuszczą.

Tułuńskie NKWD trzymało Polaków w salce. Nikomu nie pozwolono opuścić gmachu. Nie uwzględniano żadnych prośb ani tłumaczeń. Nawet za swoją potrzebą wyprowadzano ludzi pod konwojem. Nie podawano wody, nie mówiąc już o pożywieniu. Co jakiś czas otwierały się wiadome drzwi i milicjant ponawiał zaproszenie po odbiór paszportów. Nikt tam nie wchodził. Pod wieczór ponownie pojawił się na sali ten sam oficer NKWD w czapce z granatowym otokiem, komendant milicji i jakiś starszy siwawy cywil. Tego oficer NKWD przedstawił jako rejonowego prokuratora.

- Mnie możecie nie wierzyć, milicji możecie nie wierzyć, ale prokurator na prawie się zna. Posłuchajcie, co przedstawiciel radzieckiej prokuratury wam powie.

Prokurator otworzył kodeks i długo, zawile dumaczył zebranim, jakie to kary grożą im za brak sowieckich paszportów, a nadto za nieposłuszeństwo i opór władzy. Mówił o karze więzienia, obozach pracy i... zesłaniu. Milczeli. O nic go nie pytali. Oficer NKWD dał zebranim dwie godziny do ostatecznego namysłu.

Kiedy po upływie wyznaczonego czasu nadal nikt po paszporty się nie zgłaszał, dwóch żołnierzy NKWD demonstracyjnie wyciągnęło z sali Manterysa. I chociaż ten wcale się nie opierał, ciągnęli go pod ręce, brutalnie popychali kolbami. A jeszcze po chwili oddzielono kobiety od mężczyzn: tylko kilkanaście starszerek zwolniono „na noc, do domu”. Zatrzymanych zagoniono do piwnicznego aresztu.

Cynia Bialerówna trafiła do celi razem z Honorką Unicką i płaczącą nieustannie za swoim synkiem Sylwią Krakowską.

- Nie bez tak, Sylwia, przecież pani Korczyńska nie da dzieciakowi krzywdy zrobić.

- Wiem przecież, wiem. Ale, nie daj Boże, jak nas znowu gdzieś do tajgi wywozą albo do więzienia zamkną, to co z nim będzie, sierotą...

- Straszą tylko, żebyśmy się na te ich paszporty zdecydowali. Zobaczycie, że jutro, a najpóźniej za parę dni nas stąd wypuszczą. Tylu ludzi naraz się nie zamyka. Uwierzcie mi, znam się trochę na ich sposobach, swoje w tutejszych kryminałach odsiedziałam! - pocieszała je Cynia. - Ale o Manterysa to ja się naprawdę boję. Nie darują mu...

Cynia Bialerówna doczekała się amnestii Sikorskiego, bo tak ją między sobą polscy zesłańcy nazywali, w czeremchowskim więzieniu. Warunki były tam wyjątkowo ciężkie, bo więźniów zatrudniano w miejscowych kopalniach węgla. Więźniarki pracowały na równi z mężczyznami, na dole. Ciemność, wąskie, ociekające wodą chodniki, niskie, osypujące się wyrobiska. Trafiła do brygady recydywistek, zajmującej się wywożeniem węgla bezpośrednio z urobisk. Praca mordercza, wyżywienie podłe, higieny żadnej. Tylko raz w tygodniu prowadzono kobiety do łaźni. Na barakowych pryczach ciasno, brudno, wszy. Cynia u nikogo nie szukała oparcia, nikogo o nic nie prosiła, prawie do nikogo się nie odzywała. Administracji i nadzorowi odpowiadała na pytania, kiedy musiała. A do tego przez pierwsze miesiące nie mogła wyrzucić z pamięci i wyobraźni obsesyjnych doznań, kiedy ten pijany żołdat gwałcił ją wielokrotnie i bru-

talnie. Brzydziła się samej siebie. Nie tylko ciała, ale nawet swojej wyobraźni i duszy. Nie chciało jej się żyć. W takich chwilach, zwłaszcza kiedy w nocy budził ją ten koszmarny powtarzający się sen, przemyślała o samobójstwie. Tylko jak to zrobić, żeby to było skutecznie. Bała się, bezradnie płakała, nurzając głowę w brudnych szmatach twardego wyrka. Zadręczyłaby się chyba na śmierć albo padła od pracy ponad siły, gdyby nie przypadek, a ściślej: wypadek.

Nastąpił w kopalni zawał. Podziemne tapnięcie było tak silne, że dwa wyrobiska z pracującymi tam więźniami zmiażdżyło całkowicie, a na tym, gdzie akurat pracowała Cynia, wielu pozabijało i pokaleczyło. Kiedy gromowy huk ustał, uspokoiło się usuwające się zwałowisko, osiadł dławiący węglowy pył, jeden przejmujący ludzki jęk i wołanie o pomoc rozlegały się dokoła. Cynia, choć ogłuszona, była cała. Pobliski filar cudem ochronił dziewczynę przed zgnieceniem. Pomoc z powierzchni nie nadchodziła. Trwało dwie długie doby, nim się wreszcie do nich ratownicy dokopali. Cynia, stara re-cydywistka „pachanka” Niurka i sztygar wolnościowy Paniuchin pomogli rannym, jak umieli i mogli. Dopiero w tym zbiorowym nieszczęściu coś się w Cyni na powrót dobrego odezwało. To sztygarowi Paniuchinowi zawdzięczała, że komendantura przeniosła ją do pracy w więziennym szpitalu. Tam, w zupełnie innych warunkach, Cynia pomalutku odżywała.

Ordynatorem oddziału, na którym pracowała, był wolnościowy lekarz, doktor Pankratow. To on pierwszy przyniósł jej wiadomość o generale Sikorskim i o powszechnej amnestii dla Polaków. Ze szczęścia nie chciała wierzyć własnym uszom.

Parę dni później wezwał ją szpitalny „oper” NKWD, kapitan Samsonow.

- Mam dla ciebie dobrą wiadomość, Bialer!

- Tak jest, obywatelu kapitanie - odpowiedziała regulaminowo.

- Nasz rząd i towarzysz Stalin amnestię dla Polaków ogłosił! Co ty na to?

Nie chciała się zdradzić, że już o tym wie, zrobiła zdziwioną minę.

- Niemożliwe!

- Możliwe, możliwe. Sojusznikami teraz jesteśmy, razem Niemca bić będziemy. Słyszałaś o takim polskim generale Sikorskim?

- Szczerze mówiąc, to nie... Nigdy się wojskiem nie interesowałam. Tylko Piłsudski...

- Nie szkodzi. A Piłsudskiego raczej sobie daruj. Tak, jest dla Polaków amnestia, Bialer. Ale mam tu pewną, że tak powiem, maleńką wątpliwość. - Umilkł na dłuższą chwilę, wertował jakieś papiery. Cynia domyśliła się, że to jej więzienna dokumentacja. Wreszcie uniósł głowę i wlepił w nią wzrok. - Powiedz ty mi, Bialer, kim ty tak naprawdę jesteś: Polką czy Żydówką?

Nie była zbytnio zaskoczona takim pytaniem. Wzruszyła ramionami.

- A mogę być polską Żydówką?

Samsonow był w dobrym humorze. Uśmiechnął się.

- Ot, chitraja ty, chitraja.

- Ale na pewno z Polski pochodzę i jestem polską obywatelką.

- Co prawda, to prawda. W amnestii pisze wyraźnie, że obejmuje ona „obywateli polskich z Ukrainy zachodniej i Białorusi”... Szczęściara z ciebie, Bialer! No to cóż, szykuj się na wolność. Jutro stąd wychodzisz.

A do Tułunu Cynia trafiła przypadkowo. Wychodząc z czeremchowskiego gułagu, nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić, dokąd się udać. Może do Kaluczego wracać, ojca i brata szukać? Tuż przed wyjściem ubłagała ją Tania, więźniarka, dziewczyna z Tułunu, żeby wstąpiła do jej matki z wiadomościami o niej.

- Celina, wstap do mojej staruszki, pociesz ją, opowiedz o mnie. Tułun ci po drodze, błagam!

Wstąpiła. I tak już została w Tułunie. Matka Tani mieszkała sama i przyjęła Cynię jak kogoś bliskiego. A do Kaluczego Cynia nie jechała, bo od napotkanych Polaków wiedziała, że po amnestii ludzie z tajgi, z leśnych posiołków natychmiast rozjeżdżali się po Syberii, gdzie kto mógł. Nie miała pojęcia, gdzie ma teraz szukać ojca i bra-

ta. A że pracę dostała w miejskiej poliklinice, siedziała w Tułunie i jak wszyscy polscy zesłańcy czekała na to, co jej los przyniesie.

Kiedy nagle wezwano ją do NKWD, przeraziła się i pomyślała, że pewnie znowu dla niej jakaś aresztancka gehenna się zaczyna. Toteż można sobie wyobrazić jej zdumioną radość, kiedy za milicyjnym ogrodzeniem wśród gromady rozgadanych Polaków spotkała swojaków, sąsiadów z jej rodzinnego, wytęsknionego Czerwonego Jaru! Radość, a zaraz potem smutek: od nich też dowiedziała się o losach ojca i brata, o śmierci pana Korczyńskiego i Władka Latkowskiego.

Nastał ranek, a ojciec wciąż nie wracał. Staszek poszedł do stajni zadać Karemu siana. Nie bardzo wiedział, co ma dalej robić: rozwozić dzisiaj wodę czy nie?

Babka Szajnina wybrała się na milicję, boją przecież tylko na noc zwolnili. Jeść nie mieli co. Nawet owsa, który Karemu podkradali, zabrakło. Trudno, pogłoduja, nie pierwszozna. Zbliżało się południe, kiedy na podwórku zjawił się dyrektor Rudych.

- Co się tutaj u was dzieje? Gdzie ojciec, czemu wody nie rozwozi? Przedszkole żyć mi nie daje, od rana wody nie mają.

- Ojca milicja wczoraj zatrzymała.

- Co? Milicja, ojca? Za co? Staszek tłumaczył, jak umiał.

- A tej wody do przedszkola to ja mogę zaraz przywieźć.

- Co ty mi, chłopcze, jakieś bajki opowiadasz, przecież sobie z tym nie poradzisz!

- Poradzę! Wczoraj nawet dwie beczki przywiozłem: jedną do przedszkola a drugą do tego biura blisko kina. Ojciec mi kazał.

Rudych niedowierzająco pokręcił głową. Ale ostatecznie z rezygnacją machnął ręką i się zgodził. Stał tylko jeszcze chwilę, pewnie, żeby zobaczyć, jak chłopak radzi sobie z koniem. A na odchodnym jeszcze raz się upewnił:

- To mówisz, że wszyscy Polacy są na milicji?

- Z naszego domu wszyscy i z miasta też.

- No zobaczymy, zobaczymy... A ty, mały, zawieź jedną beczkę wody do przedszkola i wracaj do domu. Tylko się pośpiesz, bo mi kierowniczką głowę urwie.

Polaków sdoczono w kilku celach, bez jakiejkolwiek selekcji. Ludzie z Czerwonego Jaru znaleźli się razem. Tylko Manterysa z nimi nie było. Przez całą noc prawie oka nie zmrużyli, głowiąc się nad wyjściem z sytuacji, w jakiej się znaleźli. Widziały im się dwa wyjścia, ale obydwa niedobre: wezmą sowieckie paszporty, żegnaj wtedy, nadziejo, na powrót do Polski. Nie wezmą, najpewniej trafią wtedy za karę do gulagu albo znowu zagonią ich gdzieś do głuchej tajgi. A do tego każdy miał swoje osobiste sprawy i kłopoty: rodziny, małe dzieci. Co robić, co robić?

- Cholera jasna, i tak źle, i tak niedobrze! Panie Majka, najstarszy z nas pan tu jest, co pan o tym wszystkim myśli?

Stary Majka siedział w kącie celi z przymkniętymi powiekami, milczał. Skupili się wokół niego.

- Ciekawi was, co sobie myślę? Nie wiecie, na co się zdecydować? Ja też nie wiem. Obydwa wyjścia psu na budę mogą się przydać. Ale jedno wiem na pewno: trudno przewidzieć, co się człowiekowi za chwilę stanie, a co dopiero kiedyś tam, po wojnie. Różnie jeszcze na tym świecie może być. Z nami też. I to z tymi ruskimi paszportami czy bez nich...

- To co niby radzicie?

- A nic. Czekać. Oni też tam pewnie się naradzają, kłopotczą się, co z nami zrobić. A może tylko na przetrzymki nas biorą?

- A jak nam nie ustąpią?

- Mówi się trudno! Tylko bezrozumna ćma sama w płomień leci. Tym razem Staszek zdecydował zabrać ze sobą Tadka, nie miał go przy kim zostawić, no i po cichu liczył na to, że kiedy zawiezie wodę do przedszkola, to może dostaną tam coś do zjedzenia. Ustawił małego na płozach sań z tyłu beczki i kazał mu się mocno trzymać. Sam, powożąc Karym, usadowił się na przedzie. Przy pomocy znajomych bab nabrał wody z przerębli. Słońce mocno przygrzewało od

paru dni. Na obrzeżach przerębli lód powoli zaczynał się kruszyć. Woda zbierała się w głębokich koleinach, rozlewała po lodzie wielkimi kałużami. Baby przestrzegały Staszka na wypródki:

- Uważaj, synku, za blisko do przerębli nie podchodź, broń Boże, nie podjeżdżaj. Widzisz, jaki lód kruchy się zrobił?

Na przedszkolance się nie zawiódł. Nie tylko nakarmiła ich gęstym krupnikiem, ale na dodatek po kromce chleba dała. Była wyraźnie w lepszym humorze niż wczoraj, bo przysiadła się do nich, kiedy jedli, i wypytywała o wszystko. Już odjeżdżał z pustą beczką, kiedy kierowniczką wybiegła na ganek.

- Wiesz co, chłopcze, a może byś tak dzisiaj przywiózł mi jeszcze jedną beczkę, żebym jutro rano nie miała z wodą kłopotu? Możesz?

- Dobrze, proszę pani, przywiozę.

- No to bardzo dobrze. A ojcu powiedz, że twojego brata mogę do przedszkola przyjąć. Szkoda, że wcześniej mi wszystkiego nie powiedziałaś.

- Dobrze, proszę pani, powiem. A wody zaraz przywiozę. Wio, Kary, wio!..

Słońce skłaniało się ku zachodowi. Jak zwykle pod wieczór chwytał nagły, ostry przymrozek. Chrzęściły lodowaciejące koleiny, wodne kałuże ścinał mróz. Ślisko. Staszek był rozradowany, że tak mu się dzisiaj wszystko udało: Tadek najedzony i może nawet do tego przedszkola będzie chodził. A kiedy tę dodatkową beczkę wody przywiezie, to może kierowniczką jeszcze coś im da? Dyrektor Rudych będzie zadowolony. Tatuś też. A to się dopiero zdziwi, że on ze wszystkim sobie poradził. I nawet Tadekowi przedszkole załatwił.

-Wio, Kary, wio!

Karego nie trzeba było poganiać. Z pustą beczką drogą z górki biegło mu się lekko. Tyle, że było za ślisko, zwłaszcza, że już dawno pogubił podkowy, a nikt na czas nie zaprowadził go do kowala. Do tego saniami brzydtko zarzucało na wyślizganych koleinach, szarpało chomaćem, tłukło postronkami po bokach. Stromy zjazd do rzeki obok kina. Chyba Sańka ze swoją bandą tam stoi. Sańka! Na



pewno Sańka. Patrzy, widzi i pewnie Staszкови zazdrości, jak ten koniem sprawnie powozi.

Ostry zakręt do rzeki. Beczka niebezpiecznie chybnęła się na wyślizganym zakolu.

- Trzymaj się, Tadziu, mocno, trzymaj!

Przestraszony Staszek ile sił ściągnął lejce. Ale Kary już zerwał się do galopu.

- Tprry, Kary, tprry. Stój, Kary!

Koń galopował. Wyraźnie wystraszony chrapał, rżał. Kopyta tylnych nóg wyciągnięte w galopie rytmicznie waliły w przód beczki. W mgnieniu oka zobaczył jeszcze Staszek otwartą przestrzeń oblodzonej rzeki, kilka beczkowozów i otchłanie przerębli w oddali. Mocne uderzenie beczki o wysoką skarpe, chłopak wyleciał z sań niby z procy i runął twarzą na zlodowaciałe koleiny. Zabolało, zaćmiło w głowie, gwiazdy w oczach. „Tadziu, Tadziu, Tadziu!” Próbował unieść się. Coś ciepłego zalewało mu oczy, w ustach poczuł słony smak krwi! Kary! Kary! Staszek gramolił się na czworakach, wślepiał w stronę wielkiej przerębli. Przez łzy i krew, z szumem w obolałej głowie zdążył jeszcze dojrzeć, jak tonie w rzece oblodzona beczka, jak wciąga za sobą dziko rżącego, rozpaczliwie bijącego kopytami o krawędź przerębli Karego. A potem już tylko ciemność...

Dopiero następnego dnia pod wieczór tułuriskie NKWD zwolniło z aresztu wszystkich Polaków. Nie pomogły groźby i namowy. Polacy wytrwali w solidarnym postanowieniu i sowieckich paszportów nie przyjęli. Każdemu zwalnianemu zamiast paszportu wręczano „sprawkę” - zaświadczenie o tym, że taki to a taki „obywatel ZSRR” zameldowany jest tu a tu. I tyle. Albo aż tyle.

- Nie chcecie paszportów, wasza strata. Ale bez takiej sprawki u nas żyć nie lizia: ani roboty, ani chleba nie dostaniesz, nie mówiąc już o zameldowaniu.

- Racja, że to nie paszport - zgodził się dziadek Majka. - Co tam taki świstek. Brać, ludzie.

Zdarzyło się jednak coś, co wstrząsnęło zatrzymanymi, a szczególnie ludźmi z Czerwonego Jaru.

Pierwsze zdarzenie, które rozegrało się na ich oczach, dotyczyło Stanisława Manterysa. To on jako pierwszy publicznie i głośno odważył się rzucić w twarz NKWD, że jest Polakiem, obywatelem polskim i sowieckiego obywatelstwa nie przyjmie. Widzieli ludzie, jak NKWD wywlokło Manterysa z sali, czuli wyrzuty sumienia, bo patrzyli na to bezwolni i niemocni. Dopiero na drugi dzień szef NKWD krótko zakomunikował:

- Ten obywatel - tu oficer zerknął na świstek papieru - ten obywatel o nazwisku Manterys, który w waszej obecności nie tylko że sprzeciwił się decyzjom władzy radzieckiej o paszportach, ale uprawiał publicznie wrogą propagandę i stawiał podczas zatrzymania fizyczny opór milicjantom, został aresztowany i skazany doraźnie na dziesięć lat ciężkiego obozu pracy.

Drugie zdarzenie odnosiło się do Władysława Dąbrowskiego. Dąbrowski nie wdawał się w dyskusje i spory - brać paszporty czy nie. Przechadzał się po sali, przysłuchiwał się, co ludzie mówią. Sam nic nie mówił, czasami tylko kiwał głową, ni to tak, ni to siak, co różnie można było rozumieć. Na drugi dzień, już po aresztowaniu Manterysa, wywołano Dąbrowskiego z celi, do której nie wrócił. Siedzący z nim na próżno zachodzili w głowę, co to może znaczyć. Nie musieli długo czekać. Dowiedzieli się wieczorem od szefa NKWD, kiedy ten ogłaszał ludziom ponurą wieść o skazaniu Manterysa na katorgę.

- Mam wam do przekazania jeszcze jedną ważną wiadomość. Nie brakuje też wśród was ludzi rozsądnych, szanujących prawo i mających zaufanie do władzy radzieckiej. Otóż chcę wam zakomunikować, że na pobranie paszportów zdecydowało się już trzech waszych ziomków. - Tutaj znów zerknął do kartki. - Są to obywatele: Łapot, Sztern i Dąbrowski. Znacie ich pewnie? No, widzicie. Chciałbym tym obywatelom pogratulować zaszczytu otrzymania radzieckich paszportów, a was wszystkich zachęcić do pójścia w ich ślady. Więcej rozsądku, obywatele, więcej rozsądku. No, a teraz proszę po paszporty. Aha! Byłbym zapomniał. Oczywiście wszyscy trzej obywatele, którzy wzięli paszporty, zostali natychmiast zwolnieni do domu...

Manterys, Manterys, Manterys, to nazwisko było na ustach wszystkich. I Dąbrowski, bo Łapota i Szterna ludzie z Czerwonego Jaru nie znali.

- Ale z tego Dąbrowskiego to dopiero kawał skurwysyna! Chłopie, kto by się po nim takiego świństwa spodziewał.

- Kto? A przypomnij sobie, o co jeszcze w Kaluczem Staszek Manterys go podejrzewał!?

- Myślisz, że jest kapusiem?

- Nie myślę, tylko po tym, co teraz zrobił, jestem tego pewien...

Kiedy oszalały ze strachu, galopujący koń wpadł do przerębli i ciężkie sanie z oblodzoną beczką w jednej chwili wdoczyły go pod

lód, baby zdrętwiały ze zgrozy. Pamiętały, że od dwóch dni tym koniem powoził mały chłopiec, Polak.

- Baby, w imię o Ojca i Syna, zdaje mi się, widziałam, jak mignął razem z tą beczką pod lodem!

- Ot, wojna przekłeta, żeby dzieci do takiej roboty gonić.

- Przestańcie biadolić, lepiej rozglądnijmy się dookoła. Ja tam chłopaka nie widziałam. W takim galopie łatwo z sań wypaść.

Baby rozbiegły się w poszukiwaniu małego woźnicy.

Tadkowi się poszczęściło. Stał na płozach z tyłu beczkowitzu. Kiedy Kary poniósł i beczką na ostrym zakręcie gwałtownie zarzuciło, malca odrzuciło daleko, w głęboką śnieżną zaspę. Nim się z niej wygramolił, zdążył jeszcze dojrzeć, jak koń razem z saniami znikają w przerębli. Nie widział brata. Rozglądał się bezradnie, pochlipywał i pełen strachu biegł zakolami w kierunku przerębli.

- Stasiu! Stasiu!

Tak biegnąc, natknął się na brata. Staszek leżał w bruzdach lodowatych kolein, cały pokrwawiony, nieprzytomny. Malec zaniósł się głośnym płaczem. Zapadał zmrok. Ten płacz usłyszała jedna z bab, a w jej ślady przybiegły pozostałe. Nieprzytomnego Staszka zawiozły w te pędy do miejskiego szpitala.

Dolinę wypuścili z tułuńskiego aresztu późno wieczorem. Szajno-wie poszli wprost do domu. Dolina, żeby potem już nie wychodzić na ziąb, postanowił wstąpić jeszcze do stajni i sprawić Karego na noc. Niepokoiło go, jak Staszek dał sobie radę z koniem i wożeniem wody. „Cholera, niepotrzebnie się na to zgodziłem. Też mnie jakiś diabeł podkusił”. Złe przeczucie tknęło go jeszcze bardziej, bo na podwórku nie było beczkowitzu. Szarpnął przemarznięte drzwi. Stajnia była pusta. Nie było Karego! Dolina zamarł: noc przecież, co się z nimi stało? Wpadł w te pędy do domu. Izba ciemna, nienagrzana, pusta. Dzieciaków nie było. Pobiegł do Szajnow. Babka Szajnina też nic nie wiedziała.

- Ze dwie godziny przed tobą wróciłam, jak mnie tylko te antybrysty wypuścili, dzieciaków nie było. Myślałam, że może są u na-

uczyciela, ale tam też ich nie ma. A przecież jeszcze dzisiaj rano z nimi gadałam.

- Konia, sań nie ma. Może wodę wozi? - Bił się z domysłami Dolina.

- E, gdzie tam! Wodę woził wczoraj, nawet mi się chwalił, że mu tam gdzieś kawałek chleba za to dali, ale dzisiaj od rana siedział w domu. Co temu chłopakowi do łba strzeliło!

Dolina pobiegł przez ciemne miasto, utartym szlakiem nad rzekę. Nie ubiegł daleko. Obok kina, gdzie ulica skręcała ku rzece, napotkał idącą mu naprzeciw Celinę Bialerównę, prowadzącą za rękę małego Tacka.

Od chwili spotkania ziomków z Czerwonego Jaru Cynia Biale-równa odżyła. Poczwała się niemal szczęśliwa. No bo jakżeby inaczej: znajome od dzieciństwa twarze sąsiadów z rodzinnej wioski, wspomnienia, wspólne tematy, kiedy wystarczy jedno słowo, gest, spojrzenie, a już rozumiesz i siebie rozumieją. I pośmiać się, i popłakać można razem. I rodzinny Czerwony Jar, i Polska razem z nimi jakby się znowu do niej przybliżyły. Jedynym cieniem, jaki kładł się na to spotkanie, to brak wieści o ojcu i bracie. Gdzie oni teraz, co z nimi, czy jeszcze żyją, gdzie ich szukać i czy jeszcze kiedykolwiek ich zobaczy.

Po zwolnieniu z NKWD Cynia poszła prosto do szpitala, bo tego wieczoru na nią wypadł nocny dyżur. „Zajrzę, może akurat na mnie czekają. A jeśli nie, to jeszcze lepiej, zgłoszę im, że jestem, i pobiegnę do Marii Iwanowny, bo staruszka na pewno tam się o mnie zamartwia”. Szpitalne baraki były słabo oświetlone. Szła długim korytarzem w stronę swojego oddziału. Mijała izbę przyjęć, przed którą zawsze kłębiło się sporo ludzi z miasta, jako że szpital spełniał jednocześnie funkcje pogotowia ratunkowego. Drzwi do jasno oświetlonej sali opatrunkowej były uchylone, kątem oka dostrzegła, jak lekarz z pielęgniarką krzątają się przy stole opatrunkowym. Pod drzwiami stała gromadka grubo odzianych bab, żywo nad czymś dyskutujących. Celina pewnie przeszłaby mimo, gdyby nagle nie posłyszwała dziecięce-

go pochlipywania. Zajrzała kobietom przez ramię. I ku swemu zdumieniu w malcu opatulonym w potargany waciak, trącym niemiłosiernie nos rękawem, poznała Tadzia Dolinę. Energicznie rozepchnęła baby, przyklękła przed chłopcem i położyła mu ręce na ramiona.

- Tadziu, to ty! Co tu robisz, dzieciaku? Poznajesz mnie? To ja, Celina!

Mały przestał chlipać, oderwał rękaw sprzed nosa i spojrzał na nią spode łba.

- Poznajesz? To ja, Celina. Z Kaluczego. A Heńka naszego pamiętasz?

- Uhu, tak... - Celina przycisnęła go do piersi. Baby-woziwody, bo to one były, na wypródki zaczęły jej o wszystkim opowiadać...

Staszek odzyskał przytomność na szpitalnym łóżku. Kiedy pierwszy raz uniósł powieki, dojrzał twarz pochylonego nad nim ojca.

-Ja nie chciałem, tatusiu, ja naprawdę nie chciałem...

Ojciec pocałował go w policzek. Podbródek miał kłujący, nieogolony i wilgotny...

Nieszczęścia waliły się na Dolinę jedno za drugim. Rano poszedł do dyrektora Rudycha. Nieszczęście z koniem wydarzyło się wczoraj wieczorem i dyrektor jeszcze o niczym nie wiedział. W miarę jak Dolina swoją nieporadną ruszyczyną opowiadał mu, co się stało, Rudych bladł, przysiadł na krzesło i nerwowo zaczął przypalać papierosa. Potem milczeli obydwaj dłuższą chwilę. Dolina czekał na jakąś decyzję. Rudych nie bardzo wiedział, co tu powiedzieć, tym bardziej że w głębi sumienia czuł się winnym, bo to on przecież posłał dzieciaka po tę nieszczęsną wodę. Zgniód niedopałek.

- No, Dolina, to teraz koniec z nami... Chyba sobie, człowieku, zdajesz sprawę, co to znaczy w czasie wojny utopienie państwowego konia, a do tego z całym zaprzęgiem? Według prawa wojennego to czysty sabotaż, szkodnictwo albo jeszcze gorzej. Za byle duperele, za opuszczenie roboty na chwilę ludzie teraz po dziesiątce dostają, a tu koń, zaprzęg! Proś Boga, żeby to na szubienicy się nie skończyło. Że też akurat nam się to musiało przydarzyć... Co z chłopakiem?

- Właśnie idę prosto ze szpitala. Wyjdzie z tego.  
- Szczęście w nieszczęściu... Nie orientujesz się czasem, czy milicja już wie?

- Prosto do pana dyrektora przyszedłem. Nie miałem do tego głowy. Ale w szpitalu jeszcze milicji nie było.

- To lada moment będzie. Przed nimi nic się teraz nie ukryje. Zresztą ja sam muszę ich oficjalnie zawiadomić, bo państwowy koń to nie igła. Siadaj, Dolina, musimy pomyśleć...

Jak nie radzili, a właściwie jak dyrektor Rudych głośno nad tą sprawą nie myślał, zawsze wychodziło mu na jedno, że najlepiej będzie, jak Dolina natychmiast wyniesie się z Tulunu. I możliwie najdalej stąd. Po prostu stąd... ucieknie.

- Trzeba sprawę przeczekać. Już ja ich znam. Nie będzie ciebie pod ręką, to i sprawa z czasem się rozplynie, przyschnie. A jak cię teraz złapią, to już nie wypuszczą. Na nic się nie zdadzą wszelkie tłumaczenia. Byle był człowiek, to paragraf się znajdzie. Nie ma człowieka, nie ma sprawy. Nim zbiorą te swoje papierki, powyjaśniąją...

Jeszcze tego dopołudnia Dolina spakował tobołek, wziął Tadka za rękę i ukrył się w tartaku, po drugiej stronie rzeki. Staszkiem, który wciąż jeszcze leżał w szpitalu, opiekowała się Celina i ona też pośredniczyła pomiędzy nim a jego ojcem. A w najbliższą niedzielę, kiedy to na bazar do Tułunu zjeżdżali ludzie nawet z dalekiej okolicy, pod baraki w tartaku podjechały podwójne sanie, na które zapakował się Dolina z chłopcami. Razem z nimi jechali Unicy, nieodłączny z tą rodziną Bronek Szuszkiewicz i jeden z braci Szajnów.

Jechali do dalekiego sowchozu, na południe od Tułunu. Naraił Dolinie to miejsce dyrektor Rudych, bo tam właśnie rządził jego dobry znajomek.

- Sowchoz w środku tajgi, to prawda, ale nikt cię tam szukać nie będzie. Ziemia, zboże, ziemniaki, przeżyjesz tam z dziećmiakami lepiej niż w mieście. A do tego żaden czort cię tam nie znajdzie.

- Dziękuję za wszystko, panie dyrektorze. Gdyby nie pan...

- Daj spokój, Dolina... Nieszczęścia nie chodzą po tajdze, tylko po ludziach...

Sowchozowymi saniami powoziła młoda kobieta; w białym wełnianym szalu na głowie, w krótkim baranym podkożuszku, w białych walonkach wyglądała prawie elegancko. Na imię miała Daria. Za miastem, kiedy wjechali w mroczną i cichą tajgę, Daria się rozgadała. Ciekawa była Polaków, bo nigdy dotąd z taką nacją się nie zetknęła.

- A to dopiero w Buluszkino ludzie się zdziwią, kiedy im Polaków przywieziemy. Bo nasza wieś Buluszkino się nazywa. Tajga dookoła, rzeka. Ale urodzajnych pól i łąk nam też w okolicy nie brakuje. Przed wojną dostawialiśmy zboża, że ho, ho! Do elewatora w Tułu-nie ze dwadzieścia wozów jechało. A teraz? Wojna, lepiej nie mówić. Same u nas dziady, baby i dzieciaki. Ale jakoś jeszcze dychamy. Przydacie się nam, przydacie. Zwłaszcza chłopcy. Bo u nas baby to już zapomniały, jak prawdziwy chłop wygląda. I do czego oprócz roboty służy!

Daria wyszczerzyła w głośnym śmiechu swoje białe zębiska i z krótkiego bicia strzeliła po zadzie drepczącego pod górkę „mongoła”. Mąż Darii był na wojnie od samego początku. Czasami pisał. Dzieci nie mieli.

- To może całe nasze szczęście, bo ile sierot już przez tę wojnę zostało. Ot choćby ten tu Pawlik. „Pochoronka” niedawno do nich przyszła. A oprócz niego jeszcze czwórka w chacie, i to jeden od drugiego mniejszy.

Daria spoważniała. Chłopak, o którym opowiadała, powoził drugimi saniami.

- A wy nie gniewajcie się, że zapytam: chłopcy jak byki, czemu to nie na wojnie?

Tłumaczyli jej, jak umieli. Słuchała, kiwała głową niby ze zrozumieniem, ale było widać, że to dla niej za skomplikowane.

-Ja tam na polityce się nie wyznaję. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: u nas przynajmniej przy życiu wojnę przeczeka-



cie. Urządźcie się jakoś, źle wam nie będzie. O, wiosnę już czuć w powietrzu, niedługo w pole trzeba wychodzić, orać, siał, bydło wyganiać. A to się baby ucieszą, kiedy im takich robotniczków bożych przywieżę. A do tego Polaki! Będzie tak, jakby do wsi Cyganie przyjechali. Albo jeszcze dziwniej, bo Polaków to dotąd u nas nie było. A już niedaleko, konie stajnie czują. Wio, kobyłko, wio!

Buluszkińskie miało wszystkiego ze trzydzieści dymów, nie licząc zabudowań gospodarczych sowchozu. Wieś usadowiła się w dolinie niewielkiej rzeki Zolotuszki, otoczona z trzech stron wysokimi, porośniętymi tajgą wzgórzami. Tylko w jedną, południową stronę otwierały się rozległe sowchozowe pola.

Było już ciemno, kiedy wjechali do wsi, a mimo to na głośnie ujadanie psów przed dom zarządcy sowchozu, gdzie Daria zatrzymała sianę, zleciała się gromadka ciekawskich. Zarządca, wysoki brodaty chłop, wyraźnie kulał, pewnie dlatego nie wzięto go na wojnę.

- Abramów jestem, Mikołaj Kuźmicz, zarządca. Witajcie w Buluszkińskie, dobrzy ludzie, witajcie! - Do sprawy podszedł rzeczowo, widać było, że ma tutaj posłuch i autorytet. - Z drogi najważniejsze - odpocząć. Ilu was jest? Dwie rodziny z dziećmi i dwóch chłopów osobno. Tak, gdzie tu was na dzisiejszą noc rozmieścić? Nie spodziewałem się was aż tylu, choć przydałoby się więcej. Jutro rano damy sobie ze wszystkim radę. Ej, baby, nie przyjmie która gości na tę jedną noc?

- Baby, nie skąpcie im, bierzcie ludzi do siebie, nie trzymajcie dzieci na mrozie! Ja biorę tę trójkę z moich sań. Może ty, Pietrowna, chałupę masz wielką jak carskie komnaty! - Daria wzięła inicjatywę w swoje ręce.

- A czyja mówię, że nie!? - zachnęła się Pietrowna i zabrała do siebie Unickich.

- A tych dwóch eleganckich kawalerów nikt nie chce? No, baby, decydujcie się, bo za chwilę będzie za późno. Sama bym ich pod pierzyną ogrzała, gdyby moja ukochana teściowa z kociubą na mnie nie czekała.

- Oj, Daria, Daria, kosmaty twój język, ty jak już coś powiesz, to...

- A co, Niurka, może masz na chłopów uczulenie? Od kiedy to?

- Dobra, dobra, baby, tu nie bazar i nie śmiech. Tych dwóch to ja do siebie na tę noc biorę, a jutro urządzimy wszystko, jak należy.

- To jest zarządca! No i macie, baby, spóźniłyście się i chłopska szpyrka przeszła wam koło nosa. Wio, kobyłko, wio, jeszcze tylko parę kroków do domu...

Na drugi dzień rano w sowchozowej kancelarii Abramów wypytał, co który potrafi, i nie zwlekając, przydzielił im kwatery i robotę.

- Każda męska ręka nam się przyda. Sami widzicie, tylko staruchy, baby i dzieci zostały. Na przedwiośniu trzeba pilnie budulca na wiosenne remonty przygotować, desek na traczu przetrzeć. Tym na początek się zajmiecie. A przyjdzie wiosna - w pole wyjdziemy. Chłopi, rolnicy jesteście, na ziemi się znacie. A praca na roli wszędzie jednakowa. Zarobki, przydziały żywności, kartki na chleb będziecie mieli takie jak wszyscy. Myślałem, gdzie wam mieszkania przydzielić, może naszych ludzi pościeśniać, po chałupach we wsi poupychać. Ale doszedłem do wniosku, że lepiej, jak każdy z was miałby jakąś swoją chałupinę. Zawsze to człowiekowi swobodniej. Jest tu u nas niedaleko od wsi chutor. Stoi tam parę pustych chałup, gdzie letnie brygady się zatrzymują. Jedziemy, zobaczymy, jeśli się wam spodoba, tam zamieszkacie.

Do chutoru było z pięć kilometrów. Od wsi oddzielał go szmat pól uprawnych, topliwe błota i tajga. Chutor nazywał się Wołczyj. Stało tam kilka starych chałupiek. Aktualnie jedna była zamieszкана. W każdej tylko jedna izba, której znaczną część zajmował wielki ruski piec.

- Spać na nim można - zachwalał Abramów. - Zobaczymy, czy dobrze ciągnie, nie dymi...

Piec nie dymił. Płomień wesoło migotał, trzaskały iskrami smolne szczapy, mile ciepłko grzało zgrabiałe dłonie przyszłych lokatorów.

- Ja tu zostaję - zdecydował się Dolina. Abramów się ucieszył.

- Dobra jest. No to chodźcie, zobaczymy, jak pozostałe chałupy wyglądają.

Honorcka Unicka zdecydowała się na sąsiednią. Szajna kuł żelazo, póki gorące.

- Towarzyszu zarządco, co wy na to, jakbym tak przywiózł tu swoją rodzinę?

- Rodzinę? Duża? Roboczych rąk tu potrzebujemy...

- Razem nas, oprócz matki, jeszcze czwórka do roboty!

- Chłopie, o co pytasz! Choćby dzisiaj wracaj do Tułunu i przywoź tych swoich Polaków, ilu możesz. A teraz wracamy do wsi, dam wam zaliczkę, pobierzecie kartki, zaopatrzyście się w produkty. Macie dzień na zagospodarowanie się, a potem - do roboty.

Staszek, za wcześnie zabrany ze szpitala, powoli wracał do zdrowia. Miewał zawroty głowy, zwichnięta ręka z trudem odzyskiwała dawną sprawność, wolno goiła się poraniona twarz. Do tego nie mógł się otrząsnąć z poczucia winy, a tonący w przerębli Kary ciągle stał mu przed oczami. Ojciec do tej sprawy nie wracał. Wieczorami zmieniał synowi bandażę, przemywał rany wywarem z jakiejś kory.

- Ładnie się goją. Niedługo wszystko będzie w porządku, choć szramy pewnie ci zostaną. A ręką cały czas ruszaj, palcami przebieraj. Wiem, że boli. Musi boleć...

Ruski piec w ich chałupince nagrzewał się szybko, w izbie było ciepło. Staszek z Tadkiem spali na piecu. Ojciec zmajstrował sobie pryczę, którą wymościł sianem. Zbił stół z nieheblowanych desek, do tego dostawił długą ławę. Mieli tylko jeden garnek do gotowania wszystkiego, co się dało, i stary, okopcony myśliwski kociołek. W Bu-luszkino byli syci jak rzadko. Zarządca wydzielił im pół worka ziemniaków, parę kilo jęczmiennej kaszy i mąki. Do tego ojciec, wracając z roboty, przynosił codzienną porcję chleba. A czasami nawet trochę cukru i kawałek mięsa. Po ostatnich przejściach Dolina się uspokoił. Na razie nikt go tu nie szukał. I chyba nie znajdzie.

W Buluszkino nie było radia, a o telefonie to już lepiej nie wspo-

minać. Listy i gazety przywożono do wsi raz w miesiącu albo przy jakiejś okazji. Milicjant z rejonu zjawiał się tutaj rzadko.

Dolina leżał na wznak, z rękami pod głową, wpatrzony w ciemną powalę.

- Tatusiu, śpisz?

- Nie śpię jeszcze, synu. A co, znowu boli?

- Nie, tato. Chciałem się tylko spytać... -Pytaj.

- Nie gniewaj się, tatusiu, aleja tak sobie czasami myślę, że my to już chyba nigdy do tej naszej Polski nie wrócimy.

Staszek słyszał, jak się ojciec poruszył, może odwracał się w jego stronę. Nim się odezwał, odchrząknął, zakasłał, jakby mu nagle w gardle zaschło.

- Co ci też dziś do głowy przyszło! Nie myśl tak, synku. Nigdy takiej myśli nawet do siebie nie dopuszczaj. Wrócimy do Polski, na pewno wrócimy! Żeby nie wiem co, wrócimy. Ale musimy końca tej wojny doczekać. To przez wojnę te wszystkie nasze nieszczęścia. A jak się wojna skończy, nastanie na świecie spokój, wtedy do Polski wrócimy Stasiu, słyszysz?

- Tak, tatusiu, słyszę.

- Przyrzeknij mi jedno, bo jesteś już duży i sam rozumiesz, w życiu może być jeszcze różnie. Przyrzeknij mi, synu, że gdyby tak, nie daj Boże, ze mną się coś stało, to ty nigdy, przenigdy o Polsce nie zapomnisz! Wrócisz do Polski i Tadzia do niej zabierzesz. Rozumiesz mnie, synu? Ten mój nakaz lepiej niż dziesięć przykazań sobie zapamiętaj!

Za tydzień zjechało do Buluszkino kilka rodzin z Tułunu, a wśród nich Grubowie, Barscy i Balikowie. Wszyscy osiedlili się na Wołczym chutorze. Tylko Bronek Szuszkiewicz przeniósł się do wioski, gdzie znalazł kąt, wikt i opierunek, a chyba i coś więcej u młodej żołnierskiej wdowy, Murki. Po powrocie z Tułunu Szajna odwołał Dolinę na bok.

- Mam dla ciebie dwie wiadomości. Przychła ta twoja sprawa z koniem. Mama mówi, że nawet milicjanta w stajni nie było. Nikt się o ciebie nie dopytywał.

- No i chwała Bogu. A druga wiadomość?
- Tu się dopiero zdziwisz! Dąbrowski podał się za Ukraińca!
- Co? Dąbrowski, państwowy leśniczy?
- No widzisz, jaki to był ciul? Tak, chłopie. Może przez to chciał jakoś usprawiedliwić przyjęcie sowieckiego paszportu? Ale wyszedł na tym jak Zabłocki na mydle. Ledwie podał się za Ukraińca, a oni cap go za dupę i do Krasnej Armii, na front!
- Co ty mówisz! A co Dąbrowska, dzieci?
- Co ona biedna winna. Zwariował chyba chłop, i tyle. Tak, że nasz „siczewyj stryleć” Dubrowskij gdzieś tam teraz w okopach łeb pod niemieckie kule nadstawia.
- Manterys, biedak, miał rację: zawsze Dąbrowskiego o podły charakter podejrzewał. A o Staszku Manterysie nic tam nie słyszałeś?
- Co tam u kogo usłyszysz. Pogonili chłopca na katorgę i kamień w wodę...
- A o naszych polskich sprawach nic tam nowego nie słyhać?
- Nic, chłopie, martwa cisza.

Kiedy ludzie z Tułunu zjechali na Wołczy chutor, a z nimi Bronia Barska, Dolina zdecydował, że nie ma się co dalej w chowanego bawić. Tadek był jeszcze za mały, żeby coś z tego wszystkiego zrozumieć, mówił więc głównie do Staszka.

- Chciałem ci, synu, powiedzieć, że jutro po robocie przyjdzie do nas pani Bronia, no, wiesz, Bronia. I jak by ci tu powiedzieć, będzie tu razem z nami mieszkała. To będzie znaczyło tak, jakbym się z nią ożenił... Księża tu nie ma, żeby brać ślub, wesele jakieś robić czy coś tam takiego... To ci, Stasiu, chciałem powiedzieć; trzeba, żebyś to wiedział. Rozumiesz mnie, synu?

- Rozumiem, co mam nie rozumieć.

- To dobrze. - Ojciec klepnął Staszka w ramię, dając tym znać, że rozmowa skończona. Chłopak, lekko oszołomiony nagłą wieścią, zsunął się z pryczy i nie wiedząc czemu zaczął chciwie pić wodę. Ojciec coś jeszcze sobie przypomniał. - I Tadziowi też to jakoś wydumacz, powiedz, żeby był greczny, no, żeby Broni słuchał, sam wiesz...

- Dobrze, tatusiu. Ale jak mamy na tę Bronię, na panią Barską wołać?

Zaskoczony ojciec chwilę milczał, chrząknął i niezbyt pewnie zaproponował:

- Jak macie na nią wołać? No jakoś trzeba, rzeczywiście... Jak tam wam wypadnie, tak wołajcie. Ale grzecznie trzeba, bo to nie wasza koleżanka, no i nieobca osoba... Jak wołać? Pani może być... A może być nawet mama! A bo co? Bronia będzie z nami pewnie na zawsze. Tak czy inaczej, trzeba grzecznie. Mamy rodzonej wam nie zastąpi, ale to dobra kobieta, nie będzie was krzywdziła.

Staszek cały dzień krzątał się po obejściu. Narąbał drzewa na zapas. Wyzamiatał, przetaił ścierką podłogę i nawet okopcony kociołek wyszorował. Tadka odział w czystą koszulę i sam, jak mógł, też się ochędożył. Jak tu przyjdzie, to niech nie myśli, że my sobie bez niej nie radzimy. Mama! Nigdy w życiu!" Wieczorem ojciec przyprowadził Bronię. Tadek był wyraźnie ucieszony. Staszek grzał plecy przy piecu. Wypuściła Tadka z ramion, podeszła do niego.

-Witaj, Stasiu! No co, przyjmiesz mnie na swoje gospodarstwo?

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć, spuścił oczy i wzruszył ramionami.

- No, chłopaki, skoro mamy takiego drogiego gościa, to siadajmy do stołu. Stasiu, masz tam trochę gotowanej wody na herbatę?

- O nie! Siadaj, Stasiu, przy stole, od dzisiaj ja się będę w tym domu garnkami zajmowała.

Staszek dochodził do zdrowia. Zwichnięta ręka nabierała dawnej sprawności. Znikały zawroty głowy. Zagoiły się rany na twarzy, zeszyły przyschnięte strupy. Tylko niebieskawe szramy swędziały czasami, a kiedy marzły od wiatru, przypominały o sobie piekącym bólem. Dni były słoneczne, a słońeczko robiło Staszekowi dobrze. Wstawał rano, brał Tadka i całymi dniami włóczyli się po okolicznej tajdze. Tutejsza wydawała się Staszekowi mniej groźna niż ta z okolic Kaluczego. Wyprawiali się też nad płynącą w pobliżu Zołotuszkę i z niecierpliwością czekali chwili, kiedy wreszcie spłynie powodziowa fala i można będzie łowić ryby. Obserwowali leśne ptactwo i wszelką zwierzynę, której i tutaj nie brakowało. A przy okazji nakopali bulw słodkiej saranki, naszczypali czosnkowej czeremszy, popili słodkiego brzożowego soku. I tak im zlatywał dzień po dniu.

Tego ranka Staszek wziął siekiere i wyprawił się do tajgi po drzewo na opał. Już wcześniej na pobliskich błotach wypatrzył sobie suchą sosenkę. Tadek nieodstępnie podreptał za nim. Chłopak uznał, że błoto jeszcze się po zimie nie ożywiło, przebrnął do sosny i zaczął ją podcinać. Szło mu niesporo, bo od uderzeń i drgań siekiery bolała chora ręka. Susz, padając, roztrzaskał się na parę kawałków.

Zaczął wynosić obłomki na brzeg. Nagle, wlokąc pniaczek między koczками, zapadł się najpierw po pas, a zaraz potem gwałtownie zatopił się w bagnie po same ramiona. Zrozumiał, co się dzieje: żywa topiel bagniska wsysała go w głębinę. Ratował go niesiony kawałek ściętej sosny, mógł na nim zawisnąć ramionami. Nie mógł się jednak z topieli wydostać. Stojący na obrzeżu bagna wystraszony malec niewiele mógł mu pomóc.

- Tadzium, leć na chutor, zawołaj kogoś, żeby mi pomogli. Błoto głucho bulgotało w głębinie, śmierdziało zgniłymi jajami.

W gałązkach szerniałego, oszronionego mchami świerka skrzeczała ciekawa wszystkiego sroka. Przebudzona wielka sowa gapiała się na niego ogromnymi ślepiami. Czas dłużył się straszliwie. Sił chłopakowi ubywało, od nóg do pasa nie czuł już własnego ciała.

Na pomoc nadbiegł dziadek Mitricz, szedł właśnie do tajgi cietrzewie toki posprawdzać, kiedy napotkał biegnącego z płaczem dzieciaka. Umocnił gałęziami grunt pod nogami, zarzucił Staszcewki postronek pod ramiona i z mozołem wydobył go z topieli.

-Jakoś wcześniej tej wiosny topiel się przebudziła. Miałaś, chłopcze, szczęście. Zeszłego roku w tym miejscu dwa losie utonęły.

Na Wołczym chutorze dziadek Mitricz był jedynym mieszkającym tutaj Rosjaninem. Napotykanym, mrukliwie odpowiadał na pozdrowienie, nie zatrzymywał się i szedł w swoją stronę. Wyraźnie unikał ludzi. Żaden z Polaków o nim niczego nie wiedział. Wypatrzone tylko po sąsiedzku, że kiedy słońce przygrzeje, koło dziadkowej zagrody krząta się jakaś starucha, pewnie jego żona.

- Chodź do chałupy, a to zimnica cię zatłucze - skomenderował dziadek i zaprowadził chłopców do swojego domu.

W izbie było jasno i ciepło. W nozdrza uderzał zapach gotowanej kapusty. Siwowłosa staruszka, która tyczkowatemu mężowi sięgała ledwie do pasa, załamała rękę.

- O Boże ty mój! A co to takiego się stało?

- W Czarce topieli się wykapał. Trzeba chłopaka oporządzić, bo zsiniał i nogi mu odjęło.



Babka naląła gorącej wody do cebrzyka. Przyniosła z komory jakieś ubranie, nawet walonki mu pożyczyła, bo swoje w bagnie utopił. Naląła miskę kapuśniaku i posadziła ich przy stole. Dziadek milczał, siedział przy piecu i kurzył machorkowego skręta. Babka natomiast była Polaków ciekawa, wypytywała ich o wszystko.

- Ot biednieńkije wy, Polaki, biednyje. Tak daleko od rodzinnego domu was zagonili, piekielnicy! To tak jak nasz Pietienka, też tam gdzieś na tej wojnie przekłętej, daleko od domu, nie wiedzieć gdzie nawet. Zima minęła, wiosna idzie, a my wieści od niego czekamy i doczekać się nie możemy.

Babka końcem fartucha sięgnęła oczu. Dziadek mruknął niezadowolony.

- Daj spokój, Nikołajewna. Nie zwracaj dzieciakom głowy naszymi biedami, swoich Polakom nie brakuje...

Kiedy na drugi dzień Staszek odniósł wypożyczone odzienie, babka zostawiła mu walonki.

- Noś sobie, synku, te walonki na zdrowie. Przecież swoje utopiłeś? A jak mój Pie denka z wojny wróci, to już całkiem nowe na niego czekają. Walonki tylko u mojego Mitricza zamawiać, prawdziwy z niego majster. A czarciego biota z daleka unikaj! - Babka przeżegnała się z nabożnym strachem.

Z czym jak z czym, ale z rolą Polacy obchodzić się potrafili. Ludzie z Czerwonego Jaru chodzili jak pijani. Od paru lat znowu stanęli na świeżej ornej ziemi, poczuli jej odwieczny zapach. Ale żadnemu przy tej okazji bolesnych wspomnień nie udało się ominąć: Co tam się dzieje z moim domem? Z moim polem? Jak ozimina, jak tam mój sad? Ule? Konie, krowy, dobytek? Kto teraz ich panem? Co tam teraz, tej wiosny, w Czerwonym Jarze?

Zarządca Abramów nie mógł się Polaków nachwalić. To dzięki nim sowchoz, po raz pierwszy od wybuchu wojny, przyzwoicie i na czas uporał się z wiosennym siewem. Nic dziwnego, że na święto 1 maja wykosztował się dla nich dodatkowym przydziałem produktów i flaszką wódki. Ale to było raz i od święta. Na co dzień przed-

nówek w sowchozie coraz bardziej dawał się wszystkim we znaki. Nawet niebogate porcje chleba trzeba było zmniejszyć. Dzieciaki biegały po tajdze szukać saranki i dzikiej cebuli, łowiły w Zołotuszce ryby.

Któregoś wieczoru do Dolinów ktoś zapukał, uchylił drzwi i spytał rosyjskim zwyczajem:

- Można?

Ku zdziwieniu wszystkich był to dziadek Mitricz. Staszek błyskawicznie przeliczył wszystkie ewentualne chłopackie grzechy, ale niczego nie mógł sobie przypomnieć. Dziadek zdjął czapkę, przygładził białe włosy, stał przy progu i mimo zaproszenia nie usiadł.

- Nie kłopotcie się mną, dobrzy ludzie, ja tylko na minutkę... Może nie wiecie, aleja tu od lat jestem w Bułuszkino sowchozowym pastuchem. Pasę krowy od wiosny do jesieni. Właśnie nadeszła pora wygonu, trawka w sam raz podrosła. Pasę zawsze z pomocnikiem. No i tak sobie pomyślałem, że wasz chłopak by mi się do tego nadawał. Co wy na to? Zawsze to parę groszy zarobi, sam mleka do syta się napije i jeszcze czasami wam do domu odrobinę przyniesie. Co wy na to?

Zaskoczony propozycją ojciec miał wątpliwości.

- Nie wiem, czy da sobie radę? Nigdy jeszcze nie pracował. Za mały chyba...

- Tato! Przecież ja już mam prawie czternaście lat!

- To co, chcesz iść na tego pastucha?

- Chcę, tatusiu. Nie bój się, dam sobie radę. I mleko będę wam przynosił.

- Mleko, mleko... Taka robota, synu, to nie żarty: od świtu do nocy, słońce, ziąb czy spiekota.

- Tato, proszę!

Rozmawiali po polsku. Kiedy zamilkli, dziadek spytał:

- No to jak? Naradziliście się?

- Chłopak chce, aleja mam wątpliwości, czy sobie poradzi.

-Jak chce, to znaczy, że sobie poradzi. No, to od jutra zaczynamy.  
A jak na ciebie wołają?

- Stanisław, Staszek.

- Stanisław, znaczy się Stasik po naszymu. No to, Stasik, przygotuj się. Jutro przed świtem zapukam po ciebie do okna, bo wraz ze wschodem słońca musimy być w Buluszkino i stado wyganiać. Taki u nas obyczaj: pierwszy raz wygania się stado równiutko ze wschodem słońca.

Kiedy drogi po wiosennych roztopach nieco przyschły, zarządca Abramów zaprzągnął najlepszego konia do dwukołowej lekkiej powózki, drugiego przyprzągnął luzem i wybrał się w urzędowych sprawach do dalekiego Tułunu. Na jego powrót czekano niecierpliwie. Wiadomo było, że przy okazji przywiezie z rejonu gazety i listy. Gazety gazetami, ale na listy z frontu cała wieś czekała jak na zbawienie. Bo też nie znalazłbyś w Buluszkino domu, z którego ktoś nie był na wojnie. Ale z frontu przychodziły nie tylko listy. Przychodziły oficjalne, urzędowe zawiadomienia o śmierci żołnierza. Nic dziwnego, że na pocztę czekano z nadzieją i trudną do wypowiedzenia trwogą. Niestety, i tym razem oprócz radosnych listów przywiózł Abramów dwie „pochoronki”. Rwała włosy matka trójki dzieciaków, chorowita Aleftina. Zacięła się w rozpaczliwym milczeniu, prawie zmysły postradała młodziutka, ledwie osiemnastoletnia Aniuta. Polacy listów się nie spodziewali, pytali zarządcę, co tam na wojnie, może w gazetach o Polsce piszą.

- Jakie tam mogą być wiadomości! Wojnie końca nie widać. Strach myśleć, ale pewnie jeszcze niejedną pochoronkę dostaniemy... O gazety pytacie? Ot, cholera, o gazetach na śmierć zapomniałem, na poczcie zostały. Głowy do gazet po tych pochoronkach nie miałem.

Tego dnia siali za wsią owies. Miało się pod południe. Ludzie niecierpliwie wypatrywali kucharki, która przywoziła im w pole po misce zupy. Dzisiaj wyraźnie się spóźniała. Kiedy wreszcie się zjawiała i zaczęła nalewać wystygły kapuśniak, baby rzuciły się na nią z wymówkami:

- Nie dość, że się spóźniasz, to jeszcze nas jakimiś zimnymi pomyjami karmisz.

- Tylko nie pomyjami, tylko nie pomyjami! Caryca mi się znalazła. Spóźniłam się, to i wystygło trochę. Już na wóz siadałam, żeby do was jechać, kiedy Abramów mnie zawrócił, żebym w te pędy milicjantowi coś do żarcia przygotowała.

- A czego milicjant w Buluszkino szuka? Chwała Bogu nikt tu nikogo nie zabił ani nie obrabował...

Na wieść, że do Buluszkino przyjechał milicjant, Dolina czujnie nadstawiał uszu. Przejął go strach, że sprawa z utopieniem konia się wydała i milicjant jego poszukuje.

- A skąd ja mogę wiedzieć, czego on tu szuka? Może jak zwykle wódki popije, z Pogrebichą się pogzi, worek żarciem nabije. A może co innego go obchodzi, czort ich tam wie. Chcesz dolewki?

-Jeśli można.

Kucharka wlała Dolinie dodatkową chochlę zupy.

- A może coś do was, do Polaków ma? Słyszałam, jak pytał Abramowa, ilu Polaków jest u nas w Buluszkino. Nie wiem, co dalej, bo do kancelarii poszli. Milicję różne sprawy interesują, wiadomo.

Dolina przysiadł w samotności na podnóżku siewnika i czuł się jak struty. Tego byjeszcze mu brakowało, żeby teraz, kiedy zszedł się z Bronią, kiedy jako tako życie zaczęło mu się układać, zakuli go w kajdany i wrzucili do kazamatów. Różne myśli zaczęły chodzić mu po głowie. Może uciekać? Dokąd? Nie miał przecież żadnych szans. Zostawić dzieci? Trudno, co los przyniesie, to i będzie.

Wracali po pracy do wsi, by konie zagnać do stajni. Dolina rozglądał się dookoła jak złodziej. Ale nic się nie działo. Ludzie milicjantem się nie interesowali. Inne sprawy mieli na głowie. Ściemniało się. Z chałupy stojącej na uboczu dochodziły jakieś śpiewy i dźwięki harmonii. Baby idące razem z Doliną skomentowały:

- Maruśka Pogrebichą hula z tym swoim milicjantem.

- Niech no Sańka z frontu wróci, to już on jej pohula! .

- Wróci, nie wróci, a co sobie baba użyje, to jej!

Sprawa przyjazdu milicjanta wyjaśniła się nazajutrz. Po robocie Abramów wezwał wszystkich Polaków do swojej kancelarii. Mdlawe świadło lampy naftowej ledwie rozjaśniało mrok. Za stołem siedział milicjant. Starszawy, niewysokiego wzrostu, o szerokiej, mongolskiej twarzy. Małe oczka błyszcząły spod podpuchniętych od wczorajszego pijaństwa powiek. Wszyscy? Milicjant chrząknął, popił wody z karafki.

- Charaszo! jak nie patrzeć, to drużyna prawie. No to jak, Abramów, ty pierwszy im rzecz obwieścisz czyja?

- Co tam ja. To już wy, towarzyszu komisarzu, powiedzcie, z jakimi wieściami do obywateli Polaków przyjechaliście.

- Nu charaszo, powiem. - Milicjant wstał, poprawił pistolet na pasie i jeszcze raz popił wody. - Obywatele Polacy! W imieniu władzy radzieckiej przynoszę wam ważną wiadomość. Otóż i na was, grażdanie Polaki, przyszła pora spełnienia zaszczytnego obowiązku, pora pójścia na front!

Milicjant łyknął wody. Do Doliny nachylił się Gruba.

- Cholera, znowu zaczynają, to sowieckie paszporty, a teraz znowu Krasnaja Armia!

Ale tu milicjant zupełnie Polaków zaskoczył.

- Polskie wojsko, to znaczy polskaja armija powstaje, grażdanie Polaki! Ot, jak ważną wiadomość ja wam przywiózł!

Żachnęli się, nieufni. Jakie tam znowu wojsko polskie? Czyżby Sikorski ze Stalinem się po raz drugi dogadali? Chryste Panie! Serca zesłańców kołatały rozbudzoną nową nadzieją.

- Kierowniku, dawaj tu gazetę, przeczytaj ludziom, niech sobie posłuchają.

Abramów wziął do ręki pomiętą płachtę gazety, założył druciane okulary, zbliżył się do lampy.

- Gazeta nazywa się „Izwestia”, z 9 maja 1943 roku, to tak dla jasności. A piszą w niej tak: „Rząd radziecki postanowił uczynić zadość prośbie Związku Patriotów Polskich w ZSRR w sprawie utworzenia na terytorium ZSRR polskiej dywizji imienia Tadeusza Kościuszki,

w celu wspólnej z Armią Czerwoną walki przeciwko najeźdźcom niemieckim. Formowanie polskiej dywizji już się rozpoczęło" ... - Abramów z ponurą miną zwinął gazetę i rzucił ją na stół.

- Formowanie dywizji się zaczęło! Słyszycie! Chłopy, to co my jeszcze tutaj robimy? Jak się nie pośpieszymy, to znowu zostaniemy na lodzie, jak z tym Sikorskim i Andersem.

- Spokojnie! Spokojnie, obywatele Polacy. Zaraz sobie wszystko po kolei wyjaśnimy...

Chałupa Szajnów była największa, tam się wieczorem zebrali. Wszyscy. Nawet dzieciaków nikt nie odganiał. Długo milczeli. Nikt nie miał odwagi zacząć. A wszyscy razem najbardziej bali się jednego, żeby te na nowo rozbudzone nadzieje o wojsku polskim znowu nie okazały się płonne. Kiedy się wreszcie rozgadali, same wątpliwości i pytania ich nurtowały: co to za wojsko? Co to za Związek Patriotów je organizuje? A niektórzy nawet o Kościuszcze z historii zapomnieli. Ale znowu wszyscy w to wojsko uwierzyli. No bo jakże inaczej? Czy jest jakaś inna droga do Polski?

Przez ostatnie kilka dni przed odejściem mężczyzn na wojnę mała polska kolonia z Wołczego chutoru jakby przycichła. Każdy trzymał się rodzinnego kręgu. Dopiero teraz, kiedy nadszedł czas pożegnania, zesłańcy zaczęli sobie zdawać sprawę z tego, że jak im było, tak było, ale rodziny zawsze trzymały się razem. Chyba, że śmierć kogoś wyrwała. A teraz? Mężczyźni idą na front, na wojnę. Nikomu nie brakowało wyobraźni, żeby wiedzieć, czego po wojnie można się spodziewać. A kobiety i dzieci zostaną tutaj, na Sybirze. Wojna, front, wiadomo, co tam się może zdarzyć. Mało to „pocho-ronek” do Buluszkina przychodzi? Trudno, co ma być, to będzie. Losu nie odmienisz. Dla sybirskich Polaków, od małego do starego, innej drogi do Polski niż razem z polskim wojskiem nie było...

Buluszkino żegnało Polaków odchodzących na front jak w tutejszym zwyczaju bywało. Zarządca Abramów wykosztował się porcją dodatkowych produktów z sowchozowej spiżarni. Kucharki nasmażyły blinów, nagotowały dustego kapuśniaku. Baby żołnierki też

coś tam do zjedzenia ze sobą przyniosły. Polacy zrobili składkę na wódkę.

Pierwszą szklanekę wódki uniósł w pożegnalnym toaście Abramów.

- Nie nagościliście się u nas długo, towarzysze Polaki. A ja, głupi, tak się cieszyłem, że nasz sowchoz przy was odżyje. Patrzcie, baby, jak nam w tym roku siewy się udały! To Polaków zasługa. Kiedy w lecie będziemy żniwować, na pewno dobrym słowem was wspomnimy. Prawda, baby?

-A jakże inaczej?!

- Porządne chłopcy z nich były

- Żeby im szczęście na tej wojnie dopisywało.

- Toast, Abramów, toast, bo ci ręka zdrętwieje, wódka się zagrzeje! Na zdrowie frontowców!

- Chwileczka, Daria, chwileczka. Nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana. Jeszcze tylko dwa słowa muszę powiedzieć... Pierwsze słowo to takie, że wojujcie na froncie szczęśliwie, o swoje rodziny się nie martwcie, jakoś tu sobie razem poradzimy. A drugie i ostatnie moje słowo do Polaków będzie takie: żebyście wszyscy z tej wojny zdrowo i szczęśliwie powrócili.

Staszek Dolina pasł z dziadkiem Mitriczem wielkie stado bydła. Codziennie zaczynali od tego, że idąc przez wieś, zganiali wypuszczone z zagród krowy i dołączali je do sowchozowego stada. Stado pasło się najczęściej na przybrzeżnych łąkach - polanach Zołotuszki, na obrzeżach tajgi, rzadziej blisko wsi, w osikowo-brzozowych przylaskach. Staszek wyfasował brezentowy płaszcz, który miał go chronić przed deszczem, a od dziadka Mitricza - długi bicz spleciony z końskiego włosa.

Pierwsze dni chłopak chodził niedospany. Wstawał długo przed świtem i biegł z Wołczego do Buluszkina. Przez cały dzień wólczega za stadem, a wieczorem powrotna droga do Wołczego.

Na wiadomość, że ojciec idzie do polskiego wojska, Staszek zareagował szczenięcą radością! Nareszcie! W jego chłopackiej świadomości

mości wojsko polskie kojarzyło się nieodłącznie z Polską. Mało to się przez ten zesłańczy czas nasłuchał? Nie wszystko jeszcze rozumiał, ale od pewnego czasu jedno wiedział na pewno: skoro jest polskie wojsko, to i Polska być musi. To wojsko polskie ich z Sybiru zabierze. Tylko ono o nich nie zapomni.

- Tato, tatusiu, jak ja się cieszę! - rzucił się ojcu na szyję. Ojciec był poważny, zatroskany.

- To jest wojna, synu... Różnie tam może być.

Dopiero teraz chłopak sobie uświadomił, co się też na tej wojnie ojcu może przydarzyć. Widział przecież przychodzące z frontu „po-choronki”, przypomniał sobie kalekiego żołnierza Brodę, który w Tułunie rzucił się pod pociąg. Wracali ze wsi na chutor.

- Rozumiem, Stasiu, dlaczego tak się ucieszyłeś. Myślisz, że ja to nie? Przecież tylko w ten sposób Polska się do nas przybliży. Pamiętasz, co ci zawsze mówiłem: będzie nasza Polska! Żeby nie wiem co! I będzie, synu, będzie. Trzeba dla niej iść na tę wojnę. Tylko jak wy tu sobie beze mnie poradzicie? To mnie najbardziej gryzie. Gdyby tak wasza mama żyła... Tadiusz jeszcze taki mały...

- Tatusiu, nie martw się, damy sobie radę. Zobaczysz. Ja już pracuję, zarabiam, mleko codziennie będę mu przynosił.

- Oj, synu, synu, dobry z ciebie chłopak. Pamiętasz, Stasiu, co ci niedawno w nocy o Polsce mówiłem?

- Pamiętam, tatusiu.

Ojciec przystanął, wypatrzył wiatrołom obok ścieżki.

- Przysiadźmy na chwilę, bo nie wiem, czy potem będziemy mieli okazję tak sobie tylko we dwójkę pogadać. Idę, synu, na tę wojnę, bo tak trzeba. Jeśli da Bóg i przeżyję, to zabiorę was do Polski i znowu będziemy razem. Wszędzie was znajdę. A gdyby, nie daj Boże, coś się tam ze mną stało, to tylko na ciebie, synu, liczę: masz mi do Polski wrócić i swojego brata ze sobą przyprowadzić. Tylko tam jest wasze miejsce, wasz dom. Na Podole nie jedź. Nie mamy tam nikogo. Jeśli się do Polski dostaniesz, jedź prosto do dziadków, do Kalinowej. Trafisz tam, synu?



- Trafie, tatusiu. Przecież wszystko pamiętam. I dziadków. I Kalinową. Wszystko... Ale ty wrócisz do nas z tej wojny, na pewno wrócisz!

- W Bogu nadzieja! I jeszcze jedno, Stasiu... Trzymaj się Broni. To dobra, rozumna kobieta. A razem zawsze różnie. Wiem, że mamy wam nie zastąpi. Jej też nie będzie z wami łatwo. Ślubu z nią nie brałem. Na słowo honoru mi zaufała. Staraj się ją zrozumieć, pomóż, kiedy trzeba. Będę do was listy pisał, pamiętaj... No to co, synu, zrozumieliśmy się?

- Tak, tato.

- No dawaj rękę.

Ojciec po raz pierwszy ścisnął Staszкови dłoń, niby dorosłemu mężczyźnie...

Ostatniej nocy na Wołczym chutorze nikt nie zmrużył oka. Staszek przysnął nad ranem, toteż obudził się spłoszony, że spóźni się na wygon. Ubierał się w pośpiechu. Ojciec też już nie spał, stał i patrzył w okno. Bronia krzątała się przy piecu. Tylko mały Tadek smacznie chrapał. Staszкови zbierało się na płacz, bo były to jego ostatnie chwile razem z ojcem. Pogonią stado na dalekie pastwisko i już ojca nie zobaczy. Wstydział się swoich łez i chciał jak najprędzej wybiec z chałupy. Złapał jeszcze w pośpiechu butelkę na mleko.

- To ja już lecę, tatusiu...

- Leć, synu! I pamiętaj, co ci wczoraj mówiłem.

Ojciec odwrócił się od okna, głos jego brzmiał chrapliwie, nienaturalnie. W półmroku nie widać było jego twarzy. Staszek wybiegł i trzasnął za sobą drzwiami. Przez szybę jeszcze raz mignęła mu sylwetka ojca... Biegając w stronę wioski, dopiero teraz Staszek się rozplakał. A że nikogo oprócz szumiącej tajgi w pobliżu nie było, nie wstydział się łez. Kiedy nieco spóźniony przybiegł do zagrody, baby kończyły dojenie. Dziadek Mitricz odganiał ogromnego byka, wabionego nie wiedzieć czemu Jaskółeczką, który napierał rogami na wrota.

- Widzisz ty go, jak mu się śpieszy, nachalnikowi. Otwieraj bramę, Stasik, wyganiamy.

- Dziadku, a dokąd dzisiaj pędzimy?

- Mgła nisko siada, gorąc zwiastuje... Myślę, że aż na Trzy Polany trzeba gnać, żeby nam się z pierwszym słońcem, kiedy giez zacznie ciąć, krowy nie zegzily.

- Dziadku, a może by tak dzisiaj popaść koło drogi?

- A w deszcz gdzie będziesz paść? Zresztą koło drogi trawka nie podrosła.

- Dziadku, proszę cię, popaśmy dzisiaj przy drodze.

- Coś ty się tak dzisiaj na tę drogę uparł? Gonimy na Trzy Polany i już.

Na ten moment podeszła Daria z pełnym wiaderkiem świeżo nadojonego mleka.

- A czego tu nie rozumieć, dziadku? Co, zapomniałeś, że Polaki dzisiaj na wojnę idą? Tępa z ciebie mózgownica, Mitricz, ot co. Dawaj, Stasik, flaszkę.

Staszek odkorkował butelkę. Daria uniosła wiaderko, zdmuchnęła pianę, ciepłe mleko napełniało zielonkawę szklę.

- Dziękuję, Daria.

- Pij na zdrowie.

Mitricz podsunął Darii kociołek.

- To i mnie przy okazji pluśnij ociupinkę.

- A wody się, dziadu, napij! Korzeń nieużyty. Nawet w taki dzień chłopaka nie pożałuje. Jego ojciec na front idzie, a ten dziadyga...

Mitricz szarpnął kociołek, nie bacząc na to, że Daria już mu mleko nalewać zaczęła.

- Tfu, zaraza! Że też ten ozór ci kołkiem kiedy nie stanie. A udław się tym swoim mlekiem. Gonimy, Stasik! Otwieraj szeroko wrota. Otwieraj!

W rozwarte na oścież wrota runęło tłoczące się, porykujące stado. Mitricz śmignął biczem Jaskółeczkę i byk posłusznie poprowadził stado na lewo. Staszek już wiedział, że tego ranka będą paśli obok drogi.

Stado pasło się wyjątkowo spokojnie. Mgła dymiała w dolinie Zołotuszki, kłębiła się i osiadała w tajdze. Czerwone słońce wytoczyło

się z za wierzchołków sosen. Staszek stał oparty o pień starego modrzewia i patrzył na drogę. Wozy z odjeżdżającymi na wojnę Polakami wyłoniły się niespodziewanie.

Zauważywszy stado krów, Dolina domyślił się, że jego syn musi gdzieś tu być. Zeskoczył z wozu, stał i rozglądał się za nim dookoła. Staszek od dawna ojca zauważył i obserwował go, chowając się za modrzewiem. Wciąż mimo chęci nie starczało mu odwagi, żeby do niego podbiec. Wstydził się, że przy ojcu się rozryczy. Bał się, że jak dopadnie do ojca, to wczepi się w niego i nigdzie, nigdzie go od siebie nie puści... Tymczasem ojciec wciąż stał, a wozy oddalały się coraz bardziej. Staszek patrzył z ukrycia, jak ojciec zdejmuje czapkę, wyciera czoło i przygarbiony rusza powoli ich śladem. Wtedy nie wytrzymał.

- Tatusiu! Tatusiu! Tu jestem, poczekaj na mnie, poczekaj! Ojciec przystanął. Odwrócił się. Staszek dobiegł, zatrzymał się przed nim w pół kroku, wyszarpnął z brezentowej torby butelkę mleka.

- Weź, tatusiu, może po drodze pić ci się będzie chciało. Ojciec zagryzł wargi. Butelka z mlekiem trzęsła się w jego ręce.

Chciał pewnie coś powiedzieć, ale Staszek już na nic nie czekał.

- O! Znowu mi do tajgi uciekają, zarazy. Dokąd, Bielanka, nawróć się, dokąd!

Biegł, nie oglądając się, najszybciej, jak potrafił, by ukryć się w gąszczu spłoszonego stada.

Poczynając od wiosny czterdziestego trzeciego roku prawie wszyscy polscy zesłańcy, zwłaszcza mężczyźni zdolni do noszenia broni, poszli na wojnę. Jedni już wcześniej zdążyli zabrać się do Iranu z wojskiem Sikorskiego i Andersa, drudzy na wiosnę tegoż roku wcieleni zostali do armii Wasilewskiej i Berlinga. Choć tak między Bogiem i prawdą, co tam wtedy dla tych znękanych w tajdze i łagrach katorżników znaczyli Sikorski, Anders, Berling czy Wasilewska! Liczyło się, że idą do wojska polskiego i wraz z nim wyzwalają się z tego piekła. Przez wojsko i front świtała jedyna realna nadzieja na powrót do Polski. Nawet za cenę żołnierskiej śmierci i wszystkich spodziewanych wojennych nieszczęść. „Zginę na froncie ja, ale moja rodzina wróci...” Innej drogi do Polski nie było. I wszyscy polscy zesłańcy doskonale o tym wiedzieli.

Na Sybirze pozostawały tysiączne rzesze obarczonych rodziną kobiet, starców i dzieci. A także ci spośród Polaków, którzy zapomniani przez Boga i ludzi, nie wiedząc, co się na świecie dzieje, pozbawieni samowolą NKWD amnestii, cierpieli nadal w ciężkich gułagach.

A gdzie ta wojna teraz była? Mieszkańcy syberyjskiej tajgi nie bardzo o tym wiedzieli. Radia w leśnych osadach nie było. Z trudem uświadczyło się opóźnioną gazetę, na którą zresztą zawzięcie polowali palacze, żeby było w czym machorkę zakręcić. Mało kto wiedział, że front, wolno, bo wolno, ale wciąż parł na zachód. Przerwano blokadę Leningradu. Odwojowano od Niemców szmat terenu, w tym miasto Charków. Czerwona Armia zbliżała się do Dniepru, a tam już niedaleko była Polska.

Staszekowi Dolinie brakowało ojca. Kiedy tylko zostawał sam na sam z myślami, zaraz widział ojcowską zgarbioną sylwetkę oddalającą się za wozami z butelką mleka w ręku. Na tym zapamiętanym obraz ojca znikał. Staszka to męczyło, bo za nic nie umiał sobie wyobrazić, gdzie teraz ojciec jest i co tam na wojnie porabia.

Każdy dzień zaczynał się chłopakowi na długo przed świtem. Zrywał się z pieca, bo tam razem z bratem miał wymoszczone legowisko, i śpieszył do dalekiej zagrody w tajdze, żeby wraz ze wschodem słońca zdążyć na wygon krów. Dobrze, jak była pogoda. Gorzej, kiedy niebo zaciągnęły niskie chmury, rozchlapał się deszcz. Mokro, zimno. A do tego błotniste koczki między Wołczym chutorem a Buluszki-nem stawały się trudne do przebycia.

Wypasali stado przez cały dzień. Na południowy udój baby podjeżdżały z bańkami w umówione miejsce, najczęściej na jedną z łąkowych polan na brzegach Zołotuszki. Już prawie po ciemku, z jedną butelką mleka dla Tadka, drugą dla dziadkowej staruchy, Staszek biegł na chutor. Truchtał przez całą drogę, bo to i czas, i szumiąca dookoła tajga go poganiały. Nieprzyjemnie tak samemu w tajdze, do tego po ciemku. Na chutorze wstępował najpierw do Nikołajewny. Babka przelewała mleko do glinianego dzbanka, żeby Staszek rano nie musiał wstępować po flaszkę. Czasami pytała go o Mitricza, czy na sobotni wieczór ma staremu banię przyszykować. Ale nie było dnia, żeby nie zapytała, czy Staszek nie przyniósł jej listu od syna z frontu. I za każdym razem widział smutek na jej starej, pomarszczonej twarzy.

- To nie było listu od mojego Pietieńki, mówisz? Poczta z Tułunu nie przychodziła? Może jutro będzie, jak myślisz? A twój ojciec pisze?

- Nie pisze, babciu.

- Napiszą do nas, napiszą... Tylko ty się, synku, codziennie o te nasze listy w kancelarii dopytuj. Codziennie!

Od babki Staszek spieszył do domu. Bronia zawsze na niego czekała z czymś ciepłym do zjedzenia.

Któregoś dnia Bronia zapytała Staszka, czy może do ich chałupiny sprowadzić swoją rodzinę.

- Gniotą się tam razem z Grubami, a tu bylibyśmy wszyscy razem. No i kiedy my chodzimy do roboty, to babcia by się Tadziem zaopiekowała. Pomieścimy się jakoś. Co ty, Stasiu, na tor- A co tam mnie? Niech się wprowadzają... - To ci dziękuję, Stasiu, bo zawsze to wasz dom. Staszek wzruszył ramionami i choć nie miał takiej potrzeby, wybiegł przed dom. „Tylko ojca zabrakło, a już zaczyna się szarogęsić. Rodzinę sobie sprowadza. A sprowadzaj sobie, kogo chcesz, co mnie to obchodzi. W barakach po sto ludzi razem mieszkało i też dało radę. Pyta, niby się mnie radzi, a sama robi, co chce. Ze swoim stosunkiem do Broni Staszek wciąż jeszcze nie umiał się uporać. A już kategorycznie nie umiał jej przyznać prawa, żeby u boku ojca, w ich małej rodzinie, Bronia miała zająć miejsce kiedyś przynależne jego mamie. Mama to była mama: jedyna, niezastąpiona i niepowtarzalna A Bronia? Znajoma dziewczyna z baraków, kobieta jakich dookoła wiele. Był wściekły na siebie, bo nawet nazywać, wołać na nią nie umiał. Mama? Nigdy w życiu! Pani? Jaka tam z niej pani, tak na co dzień, w jednym domu? Bronia? No, koleżanką jego to ona nie jest, choć tylko o parę lat od niego starsza. Unikał więc zwracania się do niej bezpośrednio, nijak jej głośno nie nazywał, bełkotał coś tam ogólnie i bezosobowo. Bronia takich problemów widać nie miała, bo od zawsze zwracała się do niego po imieniu, zawsze zdrobniale i łagodnie: „Stasiu”. Natomiast Tadek, jak tylko Bronia się do nich sprowadziła, zaczął wołać na nią „mama”. Kiedy Staszek usłyszał to po raz pierwszy, chciał sprać brata na kwaśne jabłko. Ale pomyślał chwilę i dał spokój. „Za głupi jeszcze, mały, plecie jak papuga. A może tatuś mu tak kazał? Podrośnie gówniarz, sam wszystko zrozumie. Mama, mama, a niech mu tam. Ode mnie tego na pewno się nie doczeka”. W myślach nazywał ją Bronią.

Babka Barska, wysoka i chuda, była z natury małomówna i kostyczna. Janek, młodszy brat Broni, poszedł tej wiosny razem ze wszystkimi na wojnę. Starszy, Józek, jeszcze z Kajenu powędrował polskiego wojska szukać i słuch po nim zaginał. Były jeszcze młod-

sze siostry: Stefa i Hela. Obydwie pracowały w sowchozie. W chałupie zrobiło się ciasno, ale Staszka mało to obchodziło, jako że całymi dniami przebywał ze stadem, a bywało, że i na noc nie wracał. A mały Tadek miał stałą opiekę...

Dziadek Mitricz... Dziwny to był człowiek. Milkliwy. Tajemniczy. Bywały takie dni, że słowem do nikogo się nie odezwał. Nawet do Staszka. Na pytania wtedy nie odpowiadał, niby głuchy i niemy. Staszkiem komenderował gestami, a na dogadanie się ze stadem miał długi, wlokący się za nim bicz. To znów stawał się nad miarę łagodny i łatwo dostępny. W takim nastroju odpowiadał na Staszkowe pytania, przywoływał go, objaśniał tajgę, napotkanego zwierza, nieznanego ptaka, trawę, grzyby. Uczył orientacji w okolicy, tajemnicy leśnych śladów. A czasami zadawał chłopakowi zaskakujące, często dziwne pytania. O sobie i swojej rodzinie nie opowiadał. Czasami tylko, kiedy długo nie był na Wołczym chutorze, krotko pytał:

- A jak tam moja starucha?

- Pytała, czy na sobotę łaźnię wam przygotować. No i o listy z frontu stale pyta.

- Łaźnię niech przygotuje. W tę sobotę sam na bazie ze stadem zostaniesz. Listy, listy, gdzie tam na froncie do listów głowa...

W środku lata kolejny raz trzeba było zmienić letnią bazę. Wyremontowali starą zagrodę, żeby krowy się nie rozłaziły. Dojarki odświeżyły leśną izbuszkę, w której zostawały nocować, a na wieś wracały dopiero z porannym udojem. Do Buluszkina było stąd daleko, a co dopiero do Wołczego chutoru.

Staszek nie mógł, jak jeszcze niedawno, biegać codziennie z mlekiem na chutor. Razem z Mitriczem i dojarkami nocował na bazie. Na chutor biegał rzadko, a wtedy, żeby zdążyć z powrotem, całą noc miał z głowy.

Mijały miesiące, a Polacy z frontu nie pisali. Kilkunastu ich poszło z Buluszkino i od żadnego ani słyhu, ani dychu. Polki z Wołczego, podobnie jak Rosjanki, czekały teraz na pocztę z niecierpliwością i drzeniem serca.

Staszek, zahaczając o kancelarię, bał się wprost o listy od ojca pytać. Pytał więc dla niepoznaki o listy od Piętki Pankratowa, syna Mi-tricza. Listów od Polaków wciąż nie było. Tymczasem do Buluszkina nadeszły następne „pochoronki”. Jedna do Marfy Załyginej, druga do Nataszki, młodej bezdzietnej dojarki. Marfa zawodziła głośno, wyrywała włosy, ramiona do nieba wznosiła:

- Sierotki wy moje, sierotki, czemu los was tak skrzywdził okrutnie? Czemu tatusieńka waszego zabrał? Wasieńka, Wasieńka, czemuś mnie samiuteńką na tym świecie zostawił. Co ja bez ciebie teraz pocznę.

Nataszka, otrzymawszy „pochoronkę”, oniemiała. Stała niby słup soli przed kancelarią. Daria próbowała przytulić ją do siebie. Nataszka wypuściła z dłoni złowieszczy papier, odepchnęła Darię, zerwała chustę z głowy i z przeraźliwym krzykiem pobiegła do pobliskiej

Z niebogatej chałupy stojącej tuż nad brzegiem Zołotuszki przyganiała krowę do stada wciąż ta sama dziewczyna. Miała myszko-watego koloru krótkie włosy z grzywką opadającą na oczy, grube wargi i białe zęby. Kiedyś Staszka zaczepiła:

- To ty jesteś ten Polak z Wołczego? -Ja, a bo co?
  - Nic takiego. Chciałam usłyszeć, czy mówisz po rosyjsku.
  - Staram się.
  - A jak masz na imię? Boja Łubka.
  - Staszek... Stanisław.
  - Staszek, Stasik? Może być. Przez całe lato będziesz krowy paść?
- Jak mnie Mitricz nie wygoni.
- Może i wygoni. Z tym dziadygą nigdy nic nie wiadomo... A ja na razie nie pracuję. Do szkoły też nie chodzę: ojca w domu nie ma, brat na wojnie, mama chora.

Na parę dni zaciągnęło się niebo słotną mżawką, więc paśli stado w przyłasku. Mgła wisiała nad Zołotuszką. Dzień dłużyl się niemiło-



siernie. Mitricz rozdmuchiwał gasnący ogień, dym snuł się nisko i łzawił oczy. Staszek zbierał smolisty susz, a przy okazji żółte, kleiste maślaki. Mitricz zebrał parę, nabijał je na kij i przypiekał na ogniu.

- Tfu! - Splunął. - Bez soli nijak nie smakuje.

- To może skoczę na wieś i pożyczę? - ofiarował się Staszek.

- A to może i skocz. Do Bielkowiczów najbliżej.

Nie zdążył zapukać do drzwi, kiedy w chałupie zajazgotał pies.

- Cicho tam, psie. A kogo to w taką pluchę niesie? - Łubka stanęła w progu. Sprzątała, a może zmywała, bo miała na sobie fartuch w kwiatki, podwinięte rękawy. Zdziwiona zdmuchnęła nieposłuszną grzywkę znad oczu.

- Soli przyszedłem pożyczyc. Grzyby z dziadkiem pieczemy, a bez soli...

- Dobra, dobra, wchodź do izby.

- Cały mokry jestem. Tu poczekam.

- Właż, mówię ci!

Zaczął strzepywać wilgoć, wycierać trawę i błoto z bosych stóp. Dwie małe izdebki. Białe ściany. Czyściutko. Ciepło. Ogień buchał w piecu. Cebrzyk z namoczonym praniem. Łubka sięgnęła po solniczkę, przyciszyła głos.

- Widziałam, że tu dzisiaj pasiecie. Miałam nawet przyjść do ciebie, ale mama coś się gorzej poczuła. - Łubka pokazała głową na izdebkę.

A tam ktoś sucho zakaszał.

- Kto tam u nas, córeczko?

Łubka ściszym głosem do Staszka:

- To mama! - I zaraz głośno: - To ten Polak, mamó, Stasik, co z Mitriczem krowy pasie, mówiłam ci o nim. Soli przyszedł pożyczyc, grzyby sobie pieką.

- Polak, mówisz? A pokaż mi go tu na minutkę.

- Słyszysz? No idź tam, idź. Przecież cię nie ugryzie.

Na wysokich poduszkach pod głową leżała starsza kobieta. Siwe włosy, twarz jak wapnem pobielona, chude dłonie nerwowo przebie-

rały palcami po kołdrze. Wielkie bladoniebieskie oczy. Staszek ukłonił się i powiedział:

- Zdrawstwujcie.

Chora próbowała się uśmiechnąć. Głos miała łagodny.

- To ty jesteś ten Polak? Luba mi opowiadała. Jak ci tu?

- Przyzwyczailem się już.

Chorą opanował atak kaszlu. Machnęła ręką. Łubka pociągnęła Staszka do kuchni. Złapał sól zawiniętą w szmatkę i pobiegł do Mi-tricza. A biegnąc, wciąż słyszał cichy głos chorej i głowę dałby sobie uciąć, że matka Łubki słowo „Polak” wymówiła nie tak, jak to mówią Rosjanie: „Poliak”, tylko normalnie: „Polak”!

Łubka podkarmiała go od czasu do czasu. Najczęściej przynosiła smażone placki. Drwiła ze Staszkowych wymówek, że wcale nie jest głodny.

- Mów sobie zdrów! A zresztą mama mi kazała, masz to zjeść już!

- To może z Mitriczem się podzielę?

- A co tu dzielić? Jedz, jedz, o niego się nie martw, on tutejszy, zawsze sobie poradzi...

Jadł. Łubka siadała obok. Jeśli nie spieszyła się do domu, coś mu tam opowiadała. Najczęściej jednak wypytywała go o Polskę. Wszystko ją interesowało, wszystko dziwiło niepomernie.

- Po rusku gadasz jak Ruski, a czytać po naszymu potrafisz?

- Sylabizuję trochę... Nie chodziłem do waszej szkoły.

- Chcesz, książkę ci przyniosę?

- Nie dam rady, książki...

- Dasz radę, dasz! A w razie czego, to ci podpowiem.

A że z natury Łubka była w gorącej wodzie kąpana, już na drugi dzień przyniosła mu swoją szkolną czytanekę i radziła żeby najpierw poznał alfabet. Sama pytała o słowa polskie, dziwiąc się ich podobnemu brzmieniu.

-Jak twoja mama miała na imię?

- Antonina...

- A wiesz, jak moja? Albina!
- Albina?
- Dziwisz się? I masz rację. Albina to nie jest rosyjskie imię. A wiesz, jak się mama z domu nazywała? Wróblewskaja!
- Wróblewska?
- Coś ci jeszcze powiem, tylko daj pionierskie słowo, że mnie nie zdradzisz? Dajesz?
- Słowo mogę dać, ale pionierem to ja nigdy nie byłem.
- Nieważne. Byłeś tylko komuś nie wypapłał. Pamiętasz, kiedy po sól do nas przyszedłeś? No, to wieczorem przysiadłam się do mamy przed snem, a ta najpierw ciebie wspominała, żeś niby taki biedny, bo sierota. No i że jesteś tu wśród obcych, daleko od Polski... Tak się nad tobą rozculiła, aż się popłakała. A potem nagle zwierzyła mi się w wielkiej tajemnicy, tak jak ja teraz tobie, że jej rodzice też byli Polakami! Ty sobie wyobrażasz? No i wobec tego ona też jest Polką: Albina Wróblewskaja! To pewnie i we mnie odrobina polskiej krwi płynie. Nigdy przedtem mi o tym nie wspominała. Nigdy... Chyba tylko mój ojciec o tym wiedział. A moich dziadków, tych Wróblewskich, to jeszcze za cara na Sybir z tej twojej Polski wywieźli. Martwi się, że już po polsku mówić nie umie. Tylko parę słów jej się w pamięci kołacze. I do modlitwy żegna się jakoś inaczej, ot tak, jeden krzyżyk na piersi robi. Nawet nie potrafię ci tego dobrze pokazać.
- Chyba tak. - Staszek wolno się przeżegnał.
- O tak, właśnie tak! A ty się modlisz?
- Czasem...
- Boja to nie. W szkole nas uczyli, że Boga wcale nie ma. Staś, proszę cię, musisz kiedyś znowu do nas wpaść, z mamą pogadać. Może akurat sobie coś po polsku przypomni. To jak po polsku będzie szkoła?
- Szkoła.
- Tajga?
- Tajga? Nie ma w Polsce tajgi, ale nazywa się tak samo, bo tajga to tajga.

- O rety! Muszę już lecieć. Ale ci dzisiaj nagadałam. Staś, jakbyś się przed kimś wygadał, to nie wiem, co ci wtedy zrobię.

- Nie bój się, kamień w wodę!

Kiedy przenieśli się wraz ze stadem na tę odległą bazę, prawie się z Łubką nie widywali. Czytanekę, którą mu podarowała, nosił w torbie i w wolnej chwili coś tam sobie sylabizował.

Późne lato było suche, gorące. Nawet noce nie dawały chłodu. Dopiero rano rzeźwił tajgę, ludzi i bydło. Tego wieczoru dojarek wyjątkowo długo nie było widać. Krowy z pełnymi wymionami smętnie porykiwały, oczekując dojenia. Staszek też się denerwował, bo właśnie dzisiaj chciał pobiec z butelką mleka do Wołczego. Tylko Mitricz spokojnie gotował, mieszał w kociołku grzybową zupę. Już całkiem ściemniało, kiedy Staszek wyłowił z oddali turkot wozu i pobrzękiwanie pustych baniek na mleko.

- Mitricz! Baby jadą! - krzyknął i pobiegł im na spotkanie. Wpadło mu do głowy, że je przestraszy. Zaczaił się za drzewem, a kiedy nadjechały, wyskoczył nagle. Koń się spłoszył i baby mało z wozu nie pospadały.

- Ot, dumny czort, aleś nas wystraszył! Myślałam, że to „miszka”, mało mi serce nie wyskoczy! - narzekała Daria.

- A ze mną się nie przywitasz?

Łubka! Teraz Staszek był zaskoczony. W ciemności dziewczyny nie zauważył.

- A co ty tutaj robisz?

- W odwiedziny do ciebie przyjechałam. A co, nie można?

- Nie żartuj.

- Wystraszyłeś się takiego gościa, co?... Mamie się poprawiło, Natasz-ka za to zachorowała, no to dojarki mnie wzięły, może im się przydam.

- Przydasz się, przydasz! - Daria wpadła jej w słowo. - Bierz się zaraz za szmatę, wiaderko wody i przecieraj bańki, żeby na udój czyściutki były.

Tego wieczoru Staszek nie pobiegł na chutor. Bez przekonania tłumaczył się przed sobą, że bardzo późno, już prawie noc. Tak na-

prawdę o Łubkę mu chodziło. W blasku ogniska popatrywał na nią z ciekawością, wydawało mu się, że jakby przez ten czas zmężniała, wyładniała. Ciekawe, gdzie będzie spała!? Pewnie, tak jak wszystkie baby, na wspólnej pryczy w izdebce. Na tej samej pryczy Mitricz ze Staszkiem mieli swoje legowisko. „Jak to dobrze - myślał Staszek - że wpadło mi do głowy świeżej choiny i paproci na pryczę pościelić”.

Skończone dojenie. Uspokojone krowy pokładły się w zagrodzie pokotem, drzemią, przeżuwiają. Dojarki rozsiadły się dookoła ogniska, siorbią grzybową zupę okraszoną mlekiem, chwalą dziadkowe kucharzenie. Noc tak ciemna, że nie ma ciemniejszej. Choć jest bezwietrznie, tajga i tak szumi, gada coś po swojemu. W głębokim skalnym kanionie Zolotuszka bulgocze, syczy pianą, objaja się wirami o kamienie. Pohukują puszczyki i sowy zaniepokojone, że blask ogniska zakłóca im nocne życie. Baby długo nie kładą się spać. Gadają, żartują, płaczą. Czy wiele trzeba w takich czasach, żeby przy babskich wspomnieniach i żalach krzyżował się śmiech z płaczem?

- Oj wy, baby, moje baby! Może starczy na dziś tego ślimaczenia? Przecierajcie nosy, zaśpiewamy coś lepiej. Daria, zaczynaj!

Gdy rzecz szła o taniec i śpiew, Daria nie dawała się dwa razy prosić. A głos miała czysty i dźwięczny jak struna.

***Na pozycyju diwuszka Proważaia bojca, Tiomnaj nocziu prostilisia Na stupieńkach krylca...***

Dołączyły głosy pozostałych bab, ładnie dostroiły się do Darii.

Głuche echo nocnej tajgi nie nadażalo za ich śpiewem się odzywać. Smutne, tęskne pieśni przeplatały się z wesołymi, sprośnymi czastuszkami. Zgorzony dziadek Mitricz splunął i poszedł spać.

- Stary cap! - skwitowała Daria. - Ech, baby! Dawaj, stancujem! A co nam teraz lepszego pozostało?

### ***Ja i toszad, Ja i byk, Ja i baba, I muzyk!***

Plasnęła w dłonie. Tupnęła nogą. Wyrzuciła ręce wysoko w górę, zaplotła je na karku i zaczęła wybijać w przyogniskowym popiele siarczystą czeczotkę. Niedługo trwało, a wokół przygasającego ogniska tańczyły wszystkie. Nie bacząc jedna na drugą, podśpiewywały sobie pod nosem. Śpiew przerodził się w kakafonię słów i melodii. Nogi wybijały opętańczy rytm. Baby wirowały. Łubka i Staszek siedzieli pod starą sosną i w milczeniu gapili się na to nocne widowisko.

Niepodsycany ogień przygasał. Jedna po drugiej, wyczerpane do cna, półprzytomne kobiety wyłączały się z tanecznego kręgu. Niektóre padały jak nieżywe na ziemię. Inne w ciemności obijały się o pobliskie drzewa. Tylko niezmordowana Daria wciąż jeszcze tańczyła, tańczyła, tańczyła...

**Zbliżała** się jesień. Przyschła, pożółkła trawa. Opadały liście. Nastaly chłody. Było pochmurno i wietrznie. Rankami szron okrywał ziemię, a leciutka szadź osiadała na drzewach. Mitricz popatrywał na chmury goniące po niebie i coraz częściej zapowiadał, że niedługo przyjdzie pora zagonić stado do stajni.

Dla Staszka była to najgorsza pora. Marzył. Nie bardzo miał się w co odziać, bo to, co wkładał na siebie, potargało się przez lato. Bronia zdobyła gdzieś worek, uszyła mu spodnie i ufarbowała je na brązowo w cebulowych łupinach. „Nie wstyd wyglądać jak pajac, ważne, żeby gołą dupą nie świecić”, pocieszała go babka Szajnina. Łapcie też podarły mu się w strzępy. Choć w lecie po tajdze stopy się kaleczyły, ale od biedy można było biegać boso. Ale teraz? Owijał nogi szmatami, mocował, żeby mu nie spadały, wierzbowym łykiem. Kiedy tak wczesnym rankiem włókł się za stadem oszronionymi wertepami, stopy traciły czucie i drętwiały z zimna. Nie było rady, wy-

patrywał parującego krowiego łajna, stawał w nim, dopóki grzało przyjemnym ciepłkiem.

Dopiero z pierwszym śniegiem zagonili stado do zimowych stoisk. Dla dziadka Mitricza skończył się pastuszy sezon, wrócił na Wołczy chutor. Staszek nie bardzo wiedział, gdzie się teraz w sowchozie zaczepić i co dalej robić.

- Pogadam z Abramowem, żeby cię u nas w stajni zostawił. Przezimujesz jakoś, byle do wiosny... - zdecydowała za niego wszędobylska Daria.

Abramów zarejestrował go w sowchozowej kancelarii jako robotnika i Staszek po raz pierwszy dostał normalne kartki na chleb. A w stajni, jak to w stajni, co było trzeba, Staszek robił. Mleka do domu już nie nosił. Czasami tylko któraś z dojarek dała mu po kryjomu łyknąć pół garnuszka. Oborami rządziła Zinka Studzilina, baba władcza i zła. To ona w lecie doniosła Abramowowi, że Lenka Karpowa zabrała do domu podolek owsa, żeby w stepie dzieciakom kaszy uduc. A że Zinka publicznie, na zebraniu, ten donos złożyła, Abramów nie miał innego wyjścia, tylko musiał zawiadomić milicję. Milicjant przyjechał, popił jak zwykle z Abramowem, przespał się z Pogrebichą, a nieszczęsną Lenkę zabrał pod konwojem do Tułunu.

- Dekret wojenny mówi, że każdego złodzieja państwowego mienia należy karać jak wojennego sabotażystę. A obywatelka Karpowa państwowy owies ukradła? Ukradła! No to sprawa jasna, nie ma o czym gadać!

I za tę marną garść sowchozowego owsa dostała Lenka dwa lata obozu pracy.

Przez tę Studzilinę Staszek też najadł się strachu. Wracał po robocie zmęczony i głodny. Przechodził właśnie obok wielkich piwnic, gdzie na zimę składowano sowchozowe warzywa. Stołówka gotowała z nich obiady. A od wielkiego dzwonu zarządca Abramów wypisywał komuś w nagrodę parę kilo ziemniaków, główkę kapusty czy kilka marchewek. Ziemniaki i warzywa gniły, więc co jakiś czas baby je przebierały. Niurka spostrzegła przechodzącego obok piwnicy chło-

paka i przywołała go do siebie. Podszedł. Złapała go za ramię i bez słowa zaciągnęła do piwnicy. Walnęło w nos stęchlizną, wilgotnym ciepłem. W ciemności migotał dychawiczny płomyczek karbidówki.

- Popatrzcie, kogo wam tu przyprowadziłam! Pomyślałam, dopóki Zinki nie ma, niech nam chłopak trochę „pomoże”. Co, baby!?

- Pogryź, Stasik, marchewki, tylko szybko, bo jak cię ta zołza tu zastanie, to się wszyscy razem nie pozbieramy.

Staszek poznał po głosie Darię. Niurka syknęła mu do ucha:

- Upchaj ziemniaki, gdzie się tylko da, i zmykaj! Tylko śpiesz się, Stasik, śpiesz.

Nie trzeba mu było dwa razy powtarzać. Już nawet nie pamiętał, kiedy Bronia gotowała im w domu ziemniaki. Tyle ich smaku mieli, co w stołówkowej wodnistej kartoflance. Pośpiesznie ładował ziemniaki, najpierw do kieszeni fufajki, potem za pazuchę, a na koniec, kiedy już nie miał gdzie, do tych swoich workowych portek, w nogawice. Nagle drzwi skrzypnęły, do piwnicy wdarł się chłód, a wraz z nim nikłe świadło przedwieczera. Wystraszony chłopak sturlał się za wysoką ziemniaczaną przyzmę.

- Co to, lato? Zamykaj szybciej, nie widzisz, jakie zimno wali?

- Nie drzyj się, Daria, zamykam, zamykam... No to kończcie na dzisiaj, baby, piwnice zamykać przysłałam.

Baby jednogłośnie zaprotestowały: -Jak to zamykać? Za wcześnie przecież.

- A coście takie robotne się zrobiły?

-Jeszcze z pół godziny trzeba, kosze nie dobrane do pełna.

- I słomy ze dwie wiązki ze stajni trzeba przynieść, bo tam z tyłu dziura, aż niebo widać. Mrozy idą...

- No to chodź, Niurka, po tę słomę. Zamykam dzisiaj wcześniej, bo Abramów zebranie partyjne zwołał.

Niurka ze Studziliną wyszły. Staszek z trudem wygramolił się z przyzmy.

- Ale nam strachu napędziła. Ledwie udało się ją oszukać. A to zaraza, partyjna jeszcze do tego, patrzcie ją! A kiedy to ona do par-



tii zdążyła się zapisać? Zobaczycie, baby, że Zinka jeszcze tego kuternogę Abramowa wygryzie i zarządcą w sowchozie zostanie, suka jedna...

- Nie gadaj tyle, Daria, tylko szybko wyjrzyj, czyjej tam gdzie nie widać. Chłopaka trzeba cichcem wypuścić.

- Nie bój się, już ją tam Niurka przypilnuje. No, turlaj się, Stasik, tylko uważaj, żeby ci ziemniaki jajek nie pogniotły. Szkoda by było, bo na plemiennego chłopca musisz wyrosnąć!

- Przestań, Daria, mleć jęzorem. Uciekaj, chłopcze, uciekaj i kancelarię z daleka omijaj.

Listy z frontu! Nareszcie do Buluszkino dotarły pierwsze listy od Polaków. I to do wszystkich rodzin naraz, jakby się zmówili. Tylko Broniek Szuszkiewicz do nikogo nie napisał. Nie mógł, nie chciał, nie miał do kogo? A kto go tam wie. Honorka Unicka, choć dostała list od ślubnego Florka, była brakiem wieści od Bronka wyraźnie zawiedziona. „A może zamiast do mnie do tej ruskiej Niurki napisał?” Kochała go Honorka od zawsze, mimo wszelkich Bronkowych zdrad i sprzeniewierzeń.

W Staszku kodowała się radość pomieszana ze złością i żalem. List od ojca! A więc żyje! To najważniejsze. No i to, że nareszcie jest z nim kontakt, można będzie do niego napisać. Nie zgubi się, Staszka z Tadkiem też nie zgubi, a kiedy wojna się skończy, przyjedzie tu po nich i zabierze do Polski. Staszek był zły, bo list z kancelarii zabrała Bronia. Ona pierwsza, rozradowana i szczęśliwa, obwieściła o tym Staszкови, kiedy późnym wieczorem wrócił z roboty. Miał żal, że ojciec nie napisał do niego, tylko do niej, do Broni. To do niej list był zaadresowany.

- Stasiu, tatuś do nas napisał! Nareszcie, nareszcie, bo ja już... O, masz, zobacz...

Staszek z nabożeństwem trzymał w ręku trójkąt frontowego listu. Z jak daleka przyszedł? Poznał niewprawne pismo ojca. „Grażdanka Bronisława Barska"... Spojrzał na odwrotną stronę: Jan Dolina -Poczta Polowa 63-409". I tyle? Gdzie to jest, co znaczy liczba:

63-409"? Jaka okolica, jakie miasto za nią się kryje? „Bronisława"... Do niej list zaadresował. Nie do mnie.

- Czytaj, Stasiu, czytaj - zachęcała Bronia. Staszek rozłożył trójkąt. „Kochana Broniu! W pierwszych słowach mojego listu donoszę ci..." Staszek oddał list Broni.

- Nie doczytasz? Czemu?

Bez słowa trzasnął drzwiami, wybiegł za róg chałupy i przytulił głowę do ściany.

Jeszcze tego samego wieczoru zebrali się wszyscy u babki Szajni-ny i do późnej nocy przepowiadali sobie frontowe listy.

- Żeby tylko znowu ich za jakieś dalekie granice nie wywieźli, tak jak z tamtym naszym wojskiem zrobili. Nas na Sybirze zostawiło, a samo do jakiegoś Iranu czy gdzieś tam jeszcze poszło, za jakimś generałem poszło.

- Boże, broń, Boże, broń, tego to już bym chyba nie przeżyła.

- Żeby tylko, biedaki, nam na tej wojnie przeżyli. Widać na wielką bitwę ich szykują, tylko że napisać im o tym nie wolno. Cenzura!

- Mojemu to aż prawie pół listu wymazali!

- Dużo naszych z Czerwonego Jaru tam spotkali. Janek pisze, że spotkał tam Ziemiaka, Malinowskich, obydwu Kurylaków, Sta-niszów, Czulaków, Dudę, a z dziewcząt, to Wandzię Malinowską, Zontkównę, Helę Szajnową, Celinę Bialerównę. No i, nie uwierzycie kogo? Daniłowicza!

- Jezus, Maria! To mówisz, że się nawet Daniłowicz odnalazł!? Prawdziwe to szczęście.

- A nasz Staszek pisze, że razem z Jankiem Majką służy!

- Z Jankiem Majką? To z tego wynika, że on tę swoją Buriatkę gdzieś tam pod Kaluczem w tajdze zostawił.

- Zostawił, zostawił! A nas to nie zostawili? Mało to bab i dzieciaków dookoła? Wojna to wojna.

- Żeby tylko Pan Bóg ich tam, nieboraków, miał pod swoją opieką.

- Daj Boże, daj Boże. No i żeby do tej naszej Polski jak najprędzej doszli i nas z tego domu niewoli zabrali.

Kiedy w chałupie byli tylko we dwoje, Bronia wyjęła list z kieszeni i położyła na stole.

- Nie bądź, Stasiu, dzikusem! To jest list z wojny od twojego ojca, więc masz go i przeczytaj... Masz żal, że do mnie napisał? Ja naprawdę uważam cię za dorosłego chłopca. I narzucać ci się, matkować bez twojej woli nie myślę. Zostawiam ci list na stole i jeśli chcesz, czytaj. Zresztą nie tylko do mnie twój ojciec tam pisze. Do ciebie z Tadziem też.

Tym razem, Bronia to gwałtownie wyszła z chaty, choć drzwiami nie trzasnęła. Staszek poczuł się nieswojo. Stał dłuższą chwilę na środku izby, potem podszedł do stołu i sięgnął po list...

Wieści ze świata o tym, co się na froncie dzieje, docierały do Buluszkina opóźnione. Przed samą Wigilią 1943 roku, kiedy Staszek wszedł do kancelarii zapytać o listy, zarządca Abramów pokazał mu gazetę.

- Przyjemnie czytać, chłopcze. Mołodcy Polaki! Gazeta „Prawda” o waszych pisze. I to jak! Weź ją sobie na chutor, przeczytaj tam swoim. A listów, niestety, nie ma.

Staszek sięgnął po gazetę, ale nie zdążył na nią rzucić okiem, bo do kancelarii weszło kilka kobiet, wśród nich Daria. Wniosły ze sobą gwar, wionęły mrozem, głośno otupywały z walonek resztki śniegu.

- No jak tam, Kuźmicz, listy są? Która z nas dzisiaj potaricuje?

- Zamykajcie szybciej, mrozu mi tu nie wpuszczajcie. Akurat po-tańcujecie... Nie ma dzisiaj listów!

- Ale gazety przyszły. A co ty, Stasik, tam studiujesz?

- Studiuję, bo akurat ma co: na froncie Polaki z Hiderem bój stoczyli! To i studiuję - wyręczył chłopaka Abramów.

- A nu pokaż, Stasik, gdzie to piszą. Zaraz, zaraz, o, jest! „Na za-padnom froncie, w bojach pod Lenino niedaleko Smoleńska, I ja Polska Piechotnaja Diwizja im. Tadeusza Kościuszko prowieła krowo-prolitnyj pobiednyj boj z giderowskimi zachwaczykami”... - Daria przerwała czytanie i bez większego entuzjazmu oddała gazetę chłopakowi. - Krew, śmierć, kalectwo, z czego tu się cieszyć? To mówisz, Kuźmicz, że listów dzisiaj nie ma?

- Nie ma, baby. Listów nie ma. Ale nieszczęście i tym razem nas nie ominęło.

- Kogo?

- Na Mitricza Pankratowa tym razem wypadło...

- To znaczy, ichnyj Piętka zginął!

- Boże ty mój! Jednego tylko syneczka stara Anfisa miała, wyskrobka spod serca, jedyną nadzieję na stare lata...

Staszek wpychał gazetę za pazuchę fufajki. Żał mu było dziadka Mitricza, do którego przez to lato przywiązał się jak do kogoś bliskiego.

- Wie już? - spytała Daria.

- A niby skąd? Poczta co dopiero okazją przyszła, a teraz pod wieczór kto się na Wołczy powlecze? Jutro rano trzeba się będzie z tym nieszczęściem jakoś uporać. Chyba żeby... No tak, przecież ty, Sta-siek, na chutorze mieszkasz! Zanieś Pankratowom „pochoronkę”.

Abramów jakby się tą okazją uradował i wyciągnął rękę z „pocho-ronką” do Staszka. Daria ze złością wyszarpnęła kopertę.

- Zwariowałeś, Abramów? Sumienia chyba nie masz, żeby chłopaka takim nieszczęściem obarczać. To twój urzędowy obowiązek. Zaprzęgaj konia do sań i jedź. A jak ci się nie chce dupy na mróz ruszyć, sama Mitriczowi „pochoronkę” zaniosę. A co się stało, to się już nie odstanie. Wojna przeklęta...

Niewesoła była tegoroczna polska Wigilia na chutorze. Gazeta przyniesiona przez Staszka też nikogo specjalnie nie ucieszyła. Kto umiał myśleć, ten wiedział, że po takiej krwawej bitwie, w której Polacy gdzieś tam po Lenino wzięli udział, niejednego zabrakło. „Nie daj Boże mojego!” - myślały sobie kobiety w skrytości ducha. Ale głośno pocieszały się nawzajem, jak mogły.

- Ho, ho, kiedy tam ta bitwa była! Gazeta przecież stara, sprzed paru miesięcy. Gdyby tak, nie daj Boże, z naszymi jakieś nieszczęście, to przecież zawiadomienie by przyszło.

Kiedyś, wracając z roboty, Staszek zdobył się na odwagę i wstąpił do dziadka Mitricza.

- Pomyślałem, dziadku, że może ci trzeba w czymś pomóc? Zimno, może drzewa...

- Dziękuję, synku, radzę sobie jakoś. Tylko starucha mi po tym nieszczęściu zaniemogła, nie wstaje. Dam ci kartki na chleb, to byś nam czasem po drodze przyniósł.

W zimie roboty w sowchozie było mniej. Może dlatego niektóre niedziele były wolne. W takie dni Staszek ze swoim kolegą Kazikiem Grubą wybierali się do okolicznej tajgi poszukiwać zajęczych tropów i zakładać na nie wnyki. Pętłe robili z porzewiałego drutu albo pleci je z końskiego włosia. Zajęcy-bielaków tu nie brakowało. I być może chłopcy częściej wydobywaliby je z sideł, gdyby nie lisy i wilki. Zwłaszcza te ostatnie żadnego respektu dla młodych myśliwych nie miały. Sztuka polegała na tym, żeby po nocy zdążyć po zdobycz przed dzikim zwierzem. Tej zimy już parę razy zdarzyło się, że zamiast sztywnej od mrozu zajęczej tuszki znajdowali przy pętli ślady krwi i strzępy sierści. Rychło też nauczyli się rozpoznawać, kto im tej szkody narobił.

Przez noc poproszył świeży śnieżek. To było zawsze dobre dla zajęczych łowów. Kiedy skoro świt przybiegli przeglądać wnyki, dwie zajęcze tuszki stały się ich zdobyczą.

-Jasny gwint! - cieszył się Kazek. - A co będzie, jak resztę sprawdzimy. Grunt, że wilki nie zdążyły.

Słońce wstało. Zaśnieżona niewielka polana iskrzyła srebrnymi kryształkami. Chłopcy nurkowali wzdłuż zajęczej ścieżki biegnącej młodym sośniakiem. Strzępywany z gałązek śnieg obsypywał im twarze, wpadał za kołnierze. Już mieli wynurzyć się na leśną polanę, gdy nagle... Na polanie, wokół starej samotnej sosny hulało kilka wilków i coś tam szarpało na strzępy. Pewnie zajaca wyjęły z pędi. A może sarnę dopadły? To coś musiało być świeże, bo wśród wściekłego charkotu wilków krwawe plamy rozpryskiwały się na śnieżnej bieli. Najostrożniej, jak umieli, wycofali się w głąb młodnika. A wydostawszy się stamtąd, co sił w nogach uciekali w kierunku chutoru. W tym strachu musieli popełnić jakiś błąd, bo wydostawszy się na pola ciągnące się aż pod chutor, spostrzegli, że wilki się nimi zainteresowały. Wilcza sfora wyłoniła się z młodnika i wolno sunęła po ich śladach.

Śnieg był sypki, chłopcy zapadali się głęboko. Sfora przyśpieszała. Do chutoru było jeszcze daleko. Chłopcy wyraźnie opadli z sił. Coraz częściej oglądali się na wilki.

- Rzucę im zająca... - zdecydował Staszek. Kazek swojego bielaka dźwigał dalej. Basior na czele sfory zainteresował się porzuconym zającem. Przystanął. Pogrzebał łapą. Podrzucił zębiskami tuszkę do góry i kilkoma kłapnięciami pyska rozszarpał ją w strzępy. Wilki na chwilę przystanęły. Ale tylko na chwilę. Staszekowego zająca starczyło im na jeden kiel. Kazek bez słowa zostawił im swojego.

- Skręcamy do tajgi! Na drzewo wleziemy...

Od skraju tajgi dzieliło ich niewiele. Tymczasem wilki sprzątnęły po drodze Kazkowego zająca i wyraźnie zmieniły taktykę. Podczas kiedy sfora zachodziła uciekających półkolem, żeby odciąć ich od lasu, potężny basior samotnie pędził wprost za nimi. Staszek przystanął bez siły. Skuty strachem, patrzył, jak potężny zwierz sady przez zasypany długimi susami, zieje rozdziawioną paszczą. „Koniec z nami”... Wtedy padł strzał. Basiora wyrzuciło do góry, zważyło w śnieg. Drugi strzał. Sfora po stracie przewodnika zrobiła nagły zwrot i uciekała w kierunku młodnika.

Chłopcy stali z dziadkiem Mitriczem nad powalonym wilkiem. Zwierzę było potężne. Czerwone ślepia. Ostre wielkie zębiska.

- Stara znajoma! — Mitricz przewrócił wilka na drugi bok i wśród gęstej sierści wyszukał głęboką szramę. — Przeszłej zimy do niej z breneki strzelałem. Myślałem, głupi, że już tu nie wróci. Zapomniałem, że tutejsze błota to jej rodzinne strony.

- To wilczyca, dziadku?

- A co, nie widać? Zawsze najsilniejsza samica wilczemu stadu przewodzi. Ona najlepiej wie, jak pożywienie zdobywać. A tak prawdę mówiąc, to na jarzabki się wybrałem, dla chorej staruchy na pożywny posiłek. Kule w ostatniej chwili zdążyłem przeładować.

Ciężka to była zima. Głodna. A do tego trwożna. Bronia pracowała w tajdze. Staszek jeździł na dalekie polany po siano. A jak było trzeba, do tajgi po drzewo. Wieczorem po robocie Staszek z Kaz-

kiem mieli jeszcze przed sobą powrót na chutor. Ale przed tym wstępowali do stołówki. Należała im się tam miska gorącej zupy. Wygłodniałym na mrozie ani przez myśl nie przeszło, żeby z niej zrezygnować. Przez cały dzień marzyli o tej chwili, kiedy w ciepłe stołówki poczujesz gorącą miskę w zgrabiących od mrozu paluchach, będziesz wchłaniać rozdętymi nozdrzami buchającą z niej smakowitą parę, drewnianą łyżką wlewać zupę do przyschniętego z głodu żołądka, wolno smakować i żałować, że jej tak szybko zabrakło. Potem wstępowali po chleb do sklepiku. I dopiero wtedy maszerowali na chutor.

W zimie Staszek wciąż się z Łubką rozmijał. Którejś wolnej niedzieli wypadło mu od rana dyżurować przy koniach. W niedzielę Abramów dawał babom pozwolenie, żeby sowchozowym koniem przywiozły sobie trochę drzewa na opał. Łubka przyszła po podwodę. Ubrana w zgrabny podkożuszek, owinięta białym wełnianym szalem wyglądała ładnie. Chyba nawet podrosła. Udawała obrażoną.

- Ty żyjesz? Ładny z ciebie gagatek, nie odwiedzisz, nie pogadasz...

- No wiesz, Łubka, tak jakoś...

- „Tak jakoś, tak jakoś”... Daj mi lepiej silnego konia, po drzewo do tajgi pojedę.

- Sierka ci zaprzęgę: spokojny i najsilniejszy. Ajak chcesz, to mogę z tobą po to drzewo pojechać... - zaproponował nieśmiało.

- A stajnię z kim zostawisz?

- Szurka Kulik na zmianę zaraz przyjdzie i mogę jechać. Suszu w tajdze nie brakowało. Nazbierali smolistych sosnowych

konarów i wrócili do wsi na długo przed końcem krótkiego zimowego dnia.

- Może jeszcze raz obrócimy? - zaproponował Staszek. Matka Łubki stanowczo temu się sprzeciwiła.

- Nie zdążycie przed nocą. Starczy nam tego drzewa na długo. Chodźcie, dzieci, do domu, gorących szczy zjecie, zmarzliście pewnie.

- Dziękuję pani... Konia muszę odprowadzić, no i...



-Widzisz, mamó, jaki ten twój Polak? „Nie, dziękuję...”  
Wstydlivy jak panienka... Zagoń konia do stajni i zaraz wracaj.

Przesiedział u nich do późnego wieczora. Matka Łubki czuła się lepiej, nie kasłała. Wypytywała go o Polskę, prosiła żeby mówił po polsku, powtarzała za nim niektóre słowa i martwiła się szczerze, że sama po polsku już prawie wszystko zapomniała.

- Ojciec twój często pisze? - zainteresowała się pani Albina.

- Raz tylko napisał. Dawno temu, jeszcze przed Nowym Rokiem.

- Nasz Wania też już dawnieńko wieści o sobie nie daje... A jej ojciec to już... - Pani Albina machnęła ręką.

- Czemu, mamó, zamilkłaś? Powiedz mu, mamó, niech wie, co to znaczy: „bierz prawa pierepiski”... Za co mnie z pionierów wyrzucili, czemu do Komsomołu nie przyjmują niby zapowietrzonej. Powiedz, niech wie...

Dowiedział się wtedy Staszek, że ojca Łubki aresztowano tuż przed samą wojną za to, że jako sowchozowy zootechnik dopuścił do masowego pomoru cieląt. Uznano go za sabotażystę i skazano na dziesięć lat ciężkich robót, z dodatkową karą: „bez wszelkich widzeń i prawa do korespondencji”.

- Od tamtego czasu słuch po naszym karmicielu zaginął. A te biedne cielaki po prostu z głodu pozdychały. Jak ta wojna wybuchła, myślałam, że jakaś amnestia będzie. Nic. Kiedy Wanię, jej brata, na front powołali, też sobie myślałam, że się nad nami zlitują...

- Starczy już, mamó.

- Przecież sama chciałaś, żebym mu wszystko opowiedziała.

- Chciałam... Ale nie, żebyś się użalała.

Dopiero w styczniu dotarła do Buluszkino nowa przesyłka listów z frontu. I dwie urzędowe „pochoronki”. Obydwie do polskich rodzin z Wołczego chutoru. Wynikało z nich, że w bitwie pod Lenino polegli: Florian Unicki i Jan Barski.

Taka „pochoronka” to pół kartki drukowanego papieru z rubrykami do aktualnego wypełnienia odręcznym pismem. Wystar-

czyło tylko wstawić nazwisko i dane poległego. „I zwieszczenie - zawiadomienie: Jan Barski, lat 18, Polak, poległ na froncie pod m. Lenino, dnia 12. 10. 1943. Zawiadomienie jest dokumentem uprawniającym do renty i ulg dla rodziny poległego". To wszystko. W lewym górnym rogu pieczętka po polsku: „Dowództwo 1 Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki w ZSRR". I podpis dowódcy, nieczytelny zawijas kopiowym ołówkiem...

Babka Barska najpierw na długo zaniemówiła. A przez następne dni, niepomna, co się dookoła dzieje, bezustannie przebierając paciorki różańca, popłakiwała:

-Jasiczku ty mój, Jasiczku... Jasiczku ty mój...

Najmłodszy, Janek, zginął pod Lenino. Średni, Józek, poszedł z Andersem i ślad po nim zaginął. O najstarszym, Władku, który z kampanii wrześniowej nie powrócił, też biedne matczyko niczego nie wiedziało. Bronia i młodsze siostry popłakiwały.

Honorka Unicka w śmierć swojego Florka za nic nie chciała uwierzyć.

- Mój Florek zginął? On, który nigdy nikomu nie wadził? Kucharzem przecież był w tym wojsku, chochlę w rękę trzymał, a nie karabin. E, gdzieby tam akurat Florka zabili. Pomyłka jakaś musi być, i tyle...

Dolina przysłał dwa listy, w tym jeden adresowany do Staszka. „Kochany mój synu, Stasiu!

W pierwszych słowach mojego listu donoszę ci, że chwała Bogu jestem zdrowy i cały. Była tu wielka bitwa z Niemcami. Zadaliśmy wrogowi ciężkie straty. Ale jak to na wojnie, i naszych sporo zginęło za Polskę. Prawie na moich oczach zabito Ziemiaka. Służył razem ze mną w artylerii. Naszego Janka Barskiego zabito. O nim osobno do Broni piszę. Florka Unickiego i Bialera, bo się odnalazł, też zabito. I jeszcze Jaśka Kurylaka. Wielu było rannych. Mnie nic się nie stało. A tego Niemca na pewno zwyciężymy i do naszej Polski dojdziemy. Wtedy zabiorę was do siebie. Cieszę się,

Stasiu, że jesteś tam rozsądny i grzeczny. Że pomagasz Broni. Teraz ona biedna, bo jej brat Janek zginął. Jak tam Tadziu? Dbaj o niego, bo jeszcze mały. I pamiętaj zawsze, cośmy sobie obydwaj mówili. Napisz do mnie na Poczcie Polową 63-409. Ja też, jak tylko będę mógł, to do was napiszę. A teraz już ciebie i Tadzia żegnam.

Wasz ojciec, Dolina Jan".

Długo mozolił się nad odpisem. Nigdyjeszcze listu nie pisał. Bronię o pomoc wstydził się prosić. Ale jakoś parę zdań nagryzmolił i oddał list do kancelarii. A kiedy już go oddał, pomyślał, że zamiast opisać ojcu, co tu na Sybirze słyhać, zawracał mu głowę jakimiś duperelami: ilu Niemców ojciec zabił, czy mają tam polskie mundury, jakie czapki noszą, czy tylko same hełmy i czy na nich są polskie orzełki...

A życie biegło dalej. Buluskińskie baby miały nie lada plotkarską sensację. Bo oto Murka Szyszkińska, żołnierka i wojenna wdowa, powiła syna! Chłopak był na schwał, zdrowy i żarłoczny. Widać w matkę się wdał, bo Niurka już dwa dni po rodach wstała z łóżka i wyszła do roboty. Jej mąż, z którym dzieci nie miała, zginął zaraz na początku wojny, jeszcze w jesieni 41 roku. Nad czym innym głowiły się baby: kto był ojcem nowo narodzonego? Przecież w Bulu-szkino chłopca nawet ze świecą nie znajdziesz. Abramowa baby wykluczyły. Przyjezdny milicjant mógł być podejrzanym, ale tego cały czas trzymała pod spódnicą Maruśka Pogrebicha. Poza sowchoz Niurka nosa nie wysuwała, żeby jakiś samiec okazyjnie brzuch jej nadmuchał. No więc kto jest tym ojcem? Wzięły się baby w garść, podumały i łatwo na palcach policzyły, że równo dziewięć miesięcy temu Niurka przyjęła do siebie na kwaterę jednego takiego Polaka. I gruchnęło po wsi: Niurka Szyszkińska małego Polaka urodziła!

Także zarządca Abramów nie taił ciekawości i niecierpliwie czekał, kiedy wreszcie ta Niurka zgłosi się do kancelarii, żeby według prawa nowego obywatela zarejestrować. Nawet ją do spełnienia tego obowiązku okazyjnie ponaglał.

Niurka zaczepiła Staszka wracającego z roboty i wciągnęła go do swojego domu.

- Na chwileczkę, Staś, sprawę mam do ciebie. Przy okazji zobaczysz, jak mieszkam. Nie byłeś przecież u mnie.

Dom Murki był solidny, z gankiem i przybudówkami i jak wszystkie syberyjskie domy ogrodzony wysokim płotem z desek.

- Rodzinny dom, nasz. Dziadek mi tylko został. Z nim mieszkam. Stary i głuchy jak pień. Na piecu cały czas by się grzał, żarł i machorkę kurzył. A dym syneczkowi mojemu szkodzi.

Na łóżku otulony poduszkami, że ledwie głowę mu było widać, smacznie spał niemowlak. Niurka ściszyła głos do szeptu:

- Śpi moja kruszynka, śpi... Ładny, co?

Ni tak, ni siak kiwnął głową. Wciąż nie domyślał się, po co Niurka go do siebie zaciągnęła. Gospodyni posadziła go za stołem, sięgnęła do pieca po saganek, naląła mu do miski gęstego krupniku i kazała jeść. Dziadek poruszył się na piecu, więc i jemu miskę podała.

- Niby głuchy i ślepowy, ale jedzenie wyczuje od razu. A sprawę, Staś, do ciebie mam taką. - Niurka przysiadła się do stołu. - Ja będę mówiła, a ty jedz, jedz, nie przeszkadzaj sobie. A sprawę mam taką więcej osobistą... Mogłabym właściwie którąś z waszych polskich bab zapytać, ale nie znam ich za bardzo. A zresztą baby, jak to baby, zaraz by wszystko rozniosły. Już teraz na wsi wszystkie psy na mnie wieszają. Pewnie słyszałeś?

- Mnie tam nikt nic nie mówił.

- A na Wołczym polskie baby o mnie nie mówią?

- Nie. A co niby takiego mają mówić?

- Co o mnie mówią? Całe Buluszkino aż się trzęsie, że mój synek to Polak! Rozumiesz teraz?

- Nie bardzo. Jak to... Polak?

- No niby, żem go z Polakiem spółdziła! Rozumiesz? I powiem ci od razu, że to święta prawda! Czy to jaki grzech? A wiesz, kto z waszych Polaków jest jego ojcem? Jednej tylko Darii w tajemnicy powiedziałam. Nie wiesz? No to ci powiem: Brorika Szuszkiewicz!

- Broniek Szuszkiewicz!?

- Ten sam! I żadnego grzechu w tym nie było. Miłość była, ot co! Kiedy tu u mnie Bronka zamieszkał na kwaterze, od dwóch lat byłam wdową. Mojego Lonie, niby męża mojego, wojna zabrała. Dobry był mąż, świeć, Panie, nad jego duszą. Prawie dwa lata minęły. A z Bronką zeszedliśmy się jak to baba z chłopem... Potem i Bronkę wojna powołała, a mnie od niego Bóg syneczkiem pocieszył... A moja sprawa do ciebie jest taka: pragnę do Bronki na front list napisać, o narodzeniu syna go powiadomić. Muszę ten rodzicielski obowiązek spełnić, żeby potem, kiedy nasz syneczek, daj mu Boże zdrowie, dorośnie, nie miał do swojej rodzicielki pretensji, że go w niemowlęctwie przed rodzonym ojcem ukryła. Niestety, jak tu napisać, kiedy adresu Bronki na front nie znam i po polsku jednego słowa nie umiem. Bronka w rosyjskim też słaby. Napisz mi, Stasik, list do Bronki na front! Napiszemy mu w tym liście radosną wieść, że synek mu się urodził. I że jest zdrowy, i podobny do ojca jak te dwie krople wody. Że w urzędowych dokumentach każę mu zapisać ojcowskie nazwisko. Napiszemy, że imię dam małemu Bronka, po ojcu. I że on Polak, tak małemu w metryce zapiszę. No i napiszemy jeszcze w tym liście, że ja, to znaczy Niurka, niczego od niego, to znaczy od Bronki, nie chcę: żadnych tam takich alimentów czy czegoś takiego. Żeby się o to nie martwił. I jeszcze mu napiszemy, że tylko Boga o jedno razem z maleńkim synkiem prosimy, żeby na tej przekłętej wojnie kule go omijały. No i żeby, jeśli taka będzie jego wola, pamiętał, że tu, w Buluszkino na Sybirze, urodził mu się i tęskni za swoim ojczulkiem rodzonym jego malutki syneczek.

**Do** tej pory jeszcze się nie zdarzyło, żeby do Buluszkino któryś z frontowców wrócił: choćby kaleka czy wojenny inwalida, bo o urlopiach nawet pomyśleć nikt nie śmiał.

Dopiero na przedwiośni czterdziestego czwartego roku do wsi wróciło z wojny dwóch wojennych inwalidów. Jako pierwszy wrócił Iwan Astafiew, przedwojenny zarządca sowchozu. Niedługo po nim Aleksander Pogrebichin, sowchozowy mechanik - złota rączka.

Astafiew stracił na wojnie jedno oko i rękę. Pogrebichinowi nogę urwało na minie...

Na powitanie Astafiewa zleciała się cała wieś. Każdy był ciekaw wszystkiego: jak wygląda, co to za wojna taka, kiedy się wreszcie

skończy, no i czy tam przypadkiem Astafiew kogoś z buluszkinińskich swojaków nie spotkał. Astafiewa, mężczyznę postawnego i niestarego, wyraźnie krepowało jego kalectwo: Pusty rękaw zatknięty za pas wojskowej, obwieszanej medalami bluzy i czarna opaska na pustym oczodole. Dzieci, dwie córki bliźniaczki, nie dawały się od ojca odpędzić. Wiera, sowchozowa buchalterka, odmłodziła i szczęśliwa stawiała na gościnny stół, co tylko miała. Zresztą, jak w tutejszym zwyczaju, goście też naznosili, co mogli. Pili, wspominali, śpiewali, płakali...

Na powitaniu Sańki Pogrebichina też gości nie brakowało, bo Sańkę wszyscy lubili. Tylko niektóre baby dławily się złośliwą satysfakcją, jak ta wywloką Maruśka spojrzy teraz w oczy mężowi. A Maruśka, jakby nigdy nic, spełniała rolę gościnnej gospodyni, śmiała się hałaśliwie i co rusz do swojego Sańki przepijała. A żeby wszystkim pokazać, jak się z powrotu męża cieszy, pchała się do niego z przymilnym szczebiotem i pocałunkami.

- A to ci z niej Judasz, a to ci sekutnica! - syczały między sobą zgorszone baby, pomne, jak to się Maruśka pod Sańki frontową nieobecność bezwstydnie z przyjezdnym milicjantem gziła. Tymczasem Sańka, niczego jeszcze nieświadom, rozradowany i szczęśliwy z powrotu, wlewał w siebie śmierdzący samogon bez wszelakiego umiaru:

***Brodziaga Bajkał pierjechał, na wstreczu rodimaja mat!...***

Dopiero za parę dni, odesławszy dzieciarnię do swojej bratowej, Sańka zamknął się z Maruśką w chałupie i bił dokładnie i na zimno tak, że jedno szpitalne szczudło całkiem na niej połamał. Maruśka tylko ciężko stękała, ale płakać i wołać o pomoc się nie odważyła. Jedyne ich domowy pies miotał się wystraszony po sieni i nie bardzo wiedział - wyć czy szczekać...

Na przednówku na Buluszkino spadła klęska głodu. Na wszystkich. Na ludzi i na bytującą razem z nimi chudobę. Starzy wspominali, że takiego głodu nie było tutaj od lat trzydziestych, kiedy to władza radziecka, rozkułaczywszy chłopów, wymiotła z wiejskich komór zboże do jednego ziarenka.

Tym razem wojna nie tylko chłopów im zabrała, ale co tylko się zjeść dawało, ze wsi zarekwirowała. Z buluszkinińskiego sowchozu wywieziono do Tulunu prawie wszystko zboże, ziemniaki, oddawano bydło i świnie na rzeź.

Baby przeklinały, że Abramów rządzi do niczego, państwu wydaje wszystko, a w sowchozie nie zostawia nic. Piwnice i spichlerze były puste. Od jesieni konie owsa na oczy nie widziały. Przerzedzone dostawami na mięso stado krów, wypasionych przez lato, teraz na skąpych porcjach leśnego siana ledwie trzymało się na nogach. Świnie bez otrąb i ziemniaków zdychały z głodu. A co gorsza, ludziom mąki na chleb zabrakło. Dla polskich rodzin z chutoru, które żyły tylko z tego, co otrzymywały w sowchozie, była to prawdziwa klęska. A tu nawet zupy w sowchozowej stołówce nie było już z czego gotować.

Polakom przypominał się straszliwy głód z tyfusowych baraków w Kaluczem. Wróciła kurza ślepotą. Ledwie słaniający się na nogach ludzie wypluwali zęby z przeżartych szkorbutem, krwawiących dziąseł. I podobnie jak w Kaluczem głodową słabość wykorzystywała malaria. Dzieciaki całymi dniami błąkały się po okolicznej tajdze w poszukiwaniu jadalnych korzonków saranki i czeremszy. Ludzie łazili po ledwie odtajałych sowchozowych ścierniskach i każdy na poły zgniły zeszłoroczny klosek z paroma ziarenkami był dla nich

cennym znaleziskiem. Ajeszcze ktoś z głodujących wpadł na pomysł, żeby na poziomym kartoflisku szukać ziemniaków. Wygrzebane z przemarzniętego polnego błota ziemniaczki były liche, przemarznięte przez zimę i podgniłe. Nic to! Byle ich tylko było więcej. Roz-marznięta ziemniaczana bryja czerniała i zaczynała śmierdzieć.

„Nie będziemy tego wachać, tylko jeść!” - próbowała żartować Bronia. Przemycowała zgniłki do czysta, tłukła na surowo w wiadrze i piekła z nich w piecu placki. Upieczone bieleły od zawartego w nich krochmalu, w smaku były lekko słodkawe i choć śmierdziały zgnilizną, głodny żołądek zapychały.

Bronię gnębiły ataki malarii. Tadek cierpiał wiecznie głodny, z wpadniętymi wielkimi oczami, z głową obsypaną strupami. Staszek

**O** niczym innym oprócz jedzenia nie był w stanie myśleć. Sam głodny, martwił się dodatkowo, że nie może zdobyć jada, choćby tylko dla młodszego brata. W tajdze bez broni Polacy niczego upolować nie mogli. Na ryby było jeszcze za wcześnie.

Na wsi zdesperowane głodem baby wpadły któregoś dnia do kancelarii, skłęły nie trzeźwiejącego Abramowa, zabrały mu klucze

1 w poszukiwaniu żywności plądrowały wszystkie sowchozowe piwnice i spichlerze. Z wyjątkiem lichych zmiotek paru pudów zboża i kilku worków podgniłych ziemniaków nie znalazły niczego.

- Jak to? To nawet na siew niczego ten pijanica nie zostawił?

- Co będziemy siać, co sadzić?

- Dawajcie tu Zinkę! Brygadzistka przecież i partyjna do tego, razem z Abramowem sowchozem rządzi.

Ale Zinka, zwąchawszy pismo nosem, ukryła się gdzieś na swoje szczęście! Z tej wściekłości szyby Zince w chałupie powybijały.

- Niech ma ta zaraza! Do rządzenia się rwie, zołza. Za Wierkę, co przez nią gdzieś tam teraz w kryminale gnije!

Mało brakowało a splądrowałyby wiejski sklepik, gdyby nie Ninka, sprzedawczyni.

- Czyście wy, baby, oszalały? Rabować chcecie? A zresztą co ja tu takiego znowu przed wami chowam? Resztkę soli? Te parę flaszek



gorzały? Proszę, proszę, wchodźcie, rozdrapcie wszystko, bylebyście potem nie żałowały!

Baby ostygły, wyraźnie się zawstydziły. I może spokojnie rozeszły-by się po chałupach, gdyby od strony obór nie nadbiegła zdyszana Niurka.

- Baby, ratujcie! Pijany Sańka wpadł ze strzelbą do stajni i krowy zabija!

- Bożeż ty mój! Sańka krowy zabija?

- Nic, tylko chłop zwariował! Co mu krowy winne, ledwie biedu-le na nogach z głodu stoją.

- A gdzie jego Maruśka?

- Do niej, suki, niech sobie postrzela!

- Leć no która po Iwana Astafiewa, same sobie z pijanym wariatem nie poradzimy...

Nim baby dobiegły do obory, Sańka Pogrebichin zdążył zastrzelić dwie krowy. I wcale, a można powiedzieć, że wyjątkowo - nie był pijany. Baby stały jak osłupiałe. Sańka, opierając się na szczudłach, spokojnie kręcił machorkowego skręta.

- No co się tak na mnie gapiacie? Specjalnie młode jałówki wybrałem, żeby nie cielne...

Zabite jałówki leżały blisko drzwi. Choć strzelał do nich z breneki, niewiele krwi z nich spływało. W drzwiach stanął zdyszany Asta-fiew.

- Sania, coś tu najlepszego nawyprawiał?

Pogrebichin poprawił się na szczudłach, wypuł niedopałek.

- Nie po to, Wania, na froncie nasze buluskińskie chłopaki życie oddają, nie po to myśmy z tobą krew przelewali, żeby tutaj nasze dzieci z głodu zdychały. Ja w każdym razie dłużej na to patrzeć nie miałem siły...

Niedługo potem zarządca Abramów utopił się po pijanemu w wezbranych wodach Zołotuszki. Kiedy trzeźwiał, nie mógł sobie poradzić z klęską, jaka spadła na sowchoz. Zamartwiał się, że idzie wiosna, a tu nie ma zboża na siew. Umyślił więc sobie, że natych-

miast pojedzie do Tułunu, może tam go wspomogą. Tak pomyślał i nie dał się już od tego zamiaru odwieść. Któregoś słonecznego poranka łyknął szklanekę gorzałki dla kurażu, wsiadł na swoją Bułankę i na oczach prawie całej wsi chciał przebyć wiosenną, wezbraną rzekę brodem. Tuż przy drugim brzegu złapał ich potężny wir i koń razem z jeźdźcem poszedł pod wodę. Za chwilę Bułanka wynurzyła się z głębiny, ale już bez jeźdźcy, i wdrapała się na drugi brzeg. Tak utonął Abramów. A ogłupiała ze strachu Bułanka przez parę dni biegała, rżąc, po tamtym brzegu, dopóki powodziowa woda nie opadła i nie przeprowadzono jej do wsi z powrotem.

Abramowa zastąpił frontowiec, Iwan Astafiew. Kiedy bród na rzece się wreszcie ustalił, Astafiew przywiózł z Tułunu trochę zboża i ziemniaków na siew. No i mąki na chleb parę worków.

A drugiego frontowca, Sańkę Pogrebichina, za zabicie krów aresztowano. Przy uwzględnieniu jego ciężkiego inwalidztwa, frontowych zasług, no i tego, że ani kawałeczka mięsa nie wziął dla siebie, tylko wszystko poszło do stołówki na wyżywienie dla całego głodującego sowchozu, dostał za te jałówki dwa lata łagru. Do aresztu konwojowało go dwóch milicjantów, wśród nich Kowalów, ten sam, który gził się z jego Maruśką, kiedy Sańka wojował na froncie. Sańka, choć dla kurażu wypił, gadał trzeźwo, wygolił się i na wojskową bluzę przyczepił dwa frontowe medale. Swoje niezliczone dzieciaki w płowe czupryny wyczałował i bez niczyjej pomocy zręcznie wskoczył na wóz.

- No, krajanie, do zobaczenia! Nie martwcie się o mnie. Wróciliśmy z frontu, to i z katałażki też wrócimy!

Baby chlifały. Dzieciaki biegły za wozem. A Maruśka zawodziła na cały głos:

- Oj Sanieczka, ojczulku ty nasz, karmicielu jedyny, co my, sierotki, bez ciebie teraz poczniemy...

To znowu klęła, mieszała z błotem milicjantów, a już szczególnie zaciekle atakowała swojego niedawnego miłośnika. I mało Kowalowa z konia nie zdarła. Ten odganiał się nahajką, a potem dał spokój i wysforował się do przodu.

Nowy zarządca zwołał na zebranie wszystkich zdolnych do roboty. Zeszły się baby i nieletni chłopcy. Po powrocie z frontu Astafiew cały czas nosił się po wojskowemu. Teraz także stał przed zebranymi w wojskowej bluzie, w butach z cholewami. Staszкови wydał się jak drzewo ociosane z gałęzi po jednej stronie: czarna opaska na ślepy prawym oku, pusty prawy rękaw wpuszczony za pas...

- Wiedziałem, baby, że z naszym sowchozem jest źle, ale jak sobie to wszystko dokładnie obejrzałem, to dzisiaj wiem, że jest jeszcze gorzej... O traktorze możemy zapomnieć: pordzewiały, bez części. A gdyby go nawet naprawić, to ropy nie mamy. A jakie konie? Cygan lepsze sprzedaje: siły w nich żadnej, a mają pługi ciągnąć, ziemię orać... Wiosna, baby! Jeśli nawet coś zasiejemy, to czort wie, czy będzie w żniwa co zbierać, bo już ze dwa tygodnie opóźnienia mamy. A i siewnego ziarna co kot napłakał. Cztery worki ziemniaków na sadzenie. .. Co to jest? Nic, tylko sięść i płakać. Do tego ze mnie pomocy niewiele, same popatrzcie, co ze mnie po tej wojnie zostało? Nawet rozporka sam sobie zapiąć nie mogę.

- Rozporkiem się nie martw, Iwan, najważniejsze, że to, co w rozporku, ci zostało!

Śmiały się baby. Iwan krzywił w uśmiechu pokaleczoną, ściągniętą bliznami twarz.

- Ty, Iwan, tylko dobrze nami kieruj. Mów, od czego mamy zaczynać, a my już jakoś sobie poradzimy.

- Nie doceniasz nas, Iwanie Iwanowiczu. Ty chyba czastuszek naszych najnowszych nie znasz:

***Ja i loszad, Ja i byk, Ja i baba, I muzyk...***

Chłopakom Astafiew przydzielił konie. Staszкови dostał się Sierko, pracowity i spokojny deresz. Za Staszkowym pługiem chodziła Niurka. I prawie bez przerwy wypytywała go o Bronka Szuszkiewicza.

Tak jak go prosiła, napisał za nią list do Bronka na front. A że nie znał do niego adresu polowej poczty, wstawił numer taki jak do ojca. Ale cisza. Odpowiedzi od Bronka nie było.

Za ten list Honorka Unicka go atakowała:

- Prawda to, Stasiu, żeś list tej Niurce do Bronka Szuszkiewicza pisał?

- Prosiła mnie, bo po polsku chciała, no to napisałem.

- A to ci ruska bladź! Po całej wsi lata i wygaduje, że tego swojego najducha to niby ma po naszym Bronku... Co ci tam do niego kazała napisać?

- Pani Unicka! Co mi kazała napisać, to i napisałem. Prosiła, żebym nikomu nie mówił, no to jak ja teraz!

- To nawet mnie nie powiesz?

- A co ja tam mam gadać. Zresztą co mnie to wszystko obchodzi!

- Ale tylko mi powiedz: o tym dziecku mu pisała?

- Pani Unicka!... No pisała, pisała!

- A to ci zaraza jedna! Już ja jej napiszę! Patrzcie ją, dziecko od Bronka ma!... A z ciebie to też lepszy gagatek, żeby byle jakiejś tam listy pisać, Bronkowi na froncie głowę zawracać...

Nocami trzeba było paść konie. Chłopcy pasali je na zmianę. Wyganiało się konie o zmroku, a przyganiało do wsi wraz ze wschodem słońca, żeby zdążyły do roboty. Pasano konie najczęściej na zapuszczonych, porośniętych zbożowymi samosiejkami i soczystym perzem sowchozowych polach.

Spracowane za dnia, wygłodniałe konie chętnie truchtały na nocne pastwisko, niecierpliwie poszczypując po drodze okazijną trawę. Na miejscu, nim zaspokoili pierwszy głód, pasły się spokojnie. Dopiero od północy dobierały się grupami, kładły po sobie łby i najedzone drzemały. Czasami tylko, przestraszone jakimś odgłosem z pobliskiej tajgi, parskwały i ostrzegawczo rżały. Nad ranem znowu się pasły. Gorzej, kiedy noc wypadła ciemna i deszczowa. Albo mglista. Wtedy pasący się tabun jakby tracił orientację, niespokojnie wędrował tam i z powrotem, prawie nie drzemał i łatwo mógł się

w okolicy zagubić. Najgorzej, kiedy zaczynało grzmieć, błyskać i zrywał się wichur. W taką noc wystraszony tabun dziczał, a zdarzało się, że w porę nieopanowany galopował na oślep, rozpraszał się po okolicy, gubił i kaleczył po tajdze...

Ta noc była wyjątkowo ciepła i jasna. Na wielkiej tarczy księżyca Staszek z łatwością wypatrywał baśniowe kontury pana Twardowskiego. Smutnie uśmiechnął się na wspomnienie tej legendy. Siedział w zagłębieniu przyleśnego wąwozu, podsycał dące się ognisko. Konie pały się spokojnie. Tuż obok niego szczypał trawę Sierko. Staszek i jego koń tej nocy dyżurowali. W pierwszą taką samotną noc przy koniach Staszekowi było wyraźnie nieswojo: odgłosy nocnej tajgi, parskanie koni, stukot kopyt w ciemności. Ale powoli do wszystkiego można się przyzwyczaić. Tylko że snem wciąż jeszcze Staszek radzić sobie nie umiał. Co jakiś czas łapał się na tym, że właśnie przysnął. Zrywał się wystraszony, patrzył, czy tabun na miejscu się pasie, i dla strażnięcia snu nakazywał sobie małą przebieżkę.

Ta noc, jako się rzekło, była jasna i ciepła. I dopiero się zaczynała. Od niedalekiego Buluszkina niosły się znajome odgłosy wieczornej krzątaczki. Baby coś tam śpiewały. Ale powoli wszystko ucichło. Trzaskał ogień. Przy ogniu w nocy człowiekowi nieco śmieiej. I koniom też. Lubią paść się w pobliżu i blisko ogniska podrzemac. Nagle Sierko krótko zarżał, uniósł łeb i strzygł uszami w kierunku tajgi. „Coś tam, koniku, wypatrywał?” Wilki w lecie niegroźne. Niedźwiedzie co prawda po nocnej tajdze się czasami włóczą, ale w pobliżu Buluszkina już dawno ich nie widziano. „Może któryś koń odbił się od tabunu? Trzeba będzie policzyć”. Wsłuchał się w tamtą stronę. „Chyba ktoś idzie!” Zaniepokojony wstał na wszelki wypadek i w jasnej poświacie księżyca rozpoznał... Łubkę!

- Nastraszyć cię chciałam, dlatego od tajgi zachodziłam, a ten akurat musiał zarzeć! Widziałam, jak wieczorem konie przez wieś goniłeś, to pomyślałam, że dla żartu pójdę i cię postraszę. Nie przeszkadzam?

- Też się pytasz!

Staszek zrobił jej miejsce na brezentowym płaszczu. Rozsiadła się wygodnie, odruchowo wyciągnęła dłonie do ognia. Staszek dorzucił garść suszu. Mimo jasności nocy płomień błędził półcieniami po twarzy dziewczyny.

- Ale noc, widno jak w dzień. Lubisz księżyc?

- Wolę, kiedy świeci, konie się wtedy nie pogubią.

- Głupi! Nie o tym mówię, że lepiej wtedy widać, tylko o nim, o księżycu. O nim samym, o tym wielkim kole, co się teraz nad nami po niebie toczy. Boja lubię księżyc. Kiedy świeci, budzę się czasami w środku nocy, podchodzę do okna i patrzę.

- Toś ty może lunaticzka?

- A co to takiego?

- Lunatyków to podobno księżyc nawet na dach potrafi wyprowadzić. A oni sobie śpią. Chodzą sobie po tym dachu i sami o tym nie wiedzą.

- Głupiś! Lunaticzka... Może sobie myślisz, że to księżyc mnie do ciebie przyprowadził?

- Nic sobie nie myślę. Zgadało się o tym księżycu i tyle. Zresztą, jak chcesz wiedzieć, to i mnie się księżyc podoba.

- A wiesz, dlaczego tak naprawdę do ciebie przyszedłam? Nie zgadniesz. Pożegnać się przyszedłam, Staś.

- Pożegnać!?

- Wyjeżdżamy z mamą z Buluszkina. Na zawsze.. .Jeśli Astafiew da nam podwoję, to już może nawet w tę niedzielę. Wujek Kola zabiera nas do Irkucka. Jest tam dyrektorem szpitala. List napisał, żeby do niego przyjeżdżać. Dla mamy jakaś robota przy szpitalu się znajdzie. A ja, pisze wujek, uczyć się tam będę mogła. Duże miasto Irkuck, nie ten świat co tu... No i mama zdecydowała, jedziemy. Mama mówi, że robi to ze względu na mnie. A ja sobie o niej, ojej zdrowiu myślę. Tak czy tak, Staś, wyjeżdżamy. No to pomyślałam sobie, że pójdę się z tobą pożegnać, bo nie wiadomo, czy inna okazja się nadarzy. Zresztą wstydzę się tak po wsi latać i specjalnie ciebie szukać. I tak już dziewczęta się ze mnie śmieją, że ja niby za tobą się uganiam.

Gadali tej nocy o wszystkim, nagadać się nie mogli. Konie pały się spokojnie. Wielki księżyc toczył się ku zachodowi. Od wschodu niebo zmieniało barwy, zwiastowało rychły świt. Ognisko przygasło. Na trawę osiadała rześka rosa.

- Chłodno mi się zrobiło.

- Niedługo świt... Rano tak zawsze.

- A tobie niby nie zimno? Przysuń się bliżej, razem się okryjemy.

Przykryli się z głowami, zasłonili brezentowym płaszczem przed światem. Grzali się przyśpieszonymi oddechami. Nieśmiało, niby przypadkowo i niechcący, coraz bliżej tulili się do siebie. I nie wiedzieć czemu, rozmawiali urywanym szeptem.

- Staś, powiedz mi prawdę... Całowałaś się już kiedyś z jakąś dziewczyną?

- Raz... Tak jakoś ona mnie pocałowała. Koleżanka tylko. Staszce przypomniała się Zdziśka. Łubka westchnęła: - A ja się jeszcze nie całowałam. Z nikim...

Przytuliła rozpaloną twarz do jego twarzy i mimowolnie łaskocząc go włosami, niezgrabnie szukała jego ust. Odpowiedział tak samo łapczywie i niezgrabnie, zderzył się mocno z jej wargami, aż poczuł lekko słonawy smak krwi z rozbitych dziąseł. Całowali się długo, do utraty tchu. Tulili się do siebie całym ciałem. Staszek czuł, że dzieje się z nim coś dziwnego, coś nad czym zupełnie nie umiał zapanować, coś, co zdarzyło mu się z dziewczyną po raz pierwszy...

Jeszcze tego samego ranka Astafiew wyznaczył Staszka do brygady, która wyruszała na sianokosy aż na daleką Kozacką Polanę. O minionej nocy spędzonej z Łubką myślał ze wstydliwym zdziwieniem pomieszonym z radością. A więc to tak naprawdę jest między kobietą i mężczyzną.

Na Kozacką Polanę wyprawiono ich sześcioro: cztery baby, dziadek Mikiszka i Staszek z koniem. Brygadierem kosiarzy Astafiew wyznaczył mrukliwą babę Sobolicę, której Staszek prawie nie znał. Tak zresztą jak słabo znał dwie pozostałe baby: Fiokłę Muraszkinę i Katarzynę Stieblową. Znał tylko najmłodszą z nich, młodą żołnierkę-wdo-

wę, Aniutę. Pamiętał dobrze, jak Aniuta w zeszłym roku po otrzymaniu „pochoronki” omal nie zwariowała. Ale pomalutką doszła do siebie, zachowywała się normalnie, od ludzi już nie uciekała, choć nadal nosiła się całkiem na czarno, żałobnie.

Przodem szedł dziadek Mikiszka, przez tajgę drogę wytyczał. Za nim baby gęsiego, a na końcu Staszek prowadzący Sierka pod uzdę. Wszyscy, od konia poczynając, obładowani byli kosami, widłami, prowiantem, słowem tym, co im się tam do roboty i wielodniowego przeżycia mogło przydać.

Tajga omdlewała w upale. Zapachy żywicy i bujnych traw mieszały się z senną wonią rozpanoszonej nad brzegami rzeki, kwitnącej czeremchy. Im głębiej wchodził w tajgę, tym zacieklej atakowały ich nieprzebrane chmary muszek i komarów. Gęste siatki na głowach trochę ludzi przed tym żarłocznym gadarstwem broniły. Najbardziej cierpiał koń, który nie dość, że objuczony ponad miarę, oprócz ogona nie miał żadnej innej obrony. Staszek co jakiś czas przystawał, zrywał garść trawy i wycierał Sierkowi zalepione muszką, pocięte do krwi oczodoły, czyścił uszy i nozdrza.

Na Kozackiej Polanie stała stara zakopcona chałupka, w której rokrocznie w czasie sianokosów zatrzymywali się kosiarze. Baby za-krzątnęły przy jej porządkowaniu. Dziadek ze Staszkiem reperowali zagrodę z żerdzi, żeby tam konia na noc bezpiecznie ulokować.

- Bab nie chciałem straszyć, ale niedźwiedź tu bywa. A nie daj Boże niedźwiedzica z małymi. A jak jej do łba strzeli koninką się pożywić? Trzeba będzie Sierka pilnować. Załaduję strzelbę i posiedzimy chwilę... - pogadywał Mikiszka.

Pogoda kosiarzom sprzyjała. Wstawali o bladym świcie i wszyscy łapali za kosy. Po rannej rosie kosi się lżej. Pierwszy w rzędzie kosiarzy szedł dziadek Mikiszka, za nim baby, jak się która ustawiła. Staszek kosił na końcu. A że bez doświadczenia nie zawsze nadażał, baby się z niego podśmiewały. Tylko Aniuta wstawiała się za nim, co jeszcze bardziej jątrzyło jego chłopacką ambicję. Dłonie miał całe w bąblach i odciskach, pod wieczór z trudem powłóczył nogami.



A do tego musiał dbać o konia. Mikiszka był twardym, wytrzymałym staruchem. Kosili bez wytchnienia do południa. Dopiero kiedy z trawy opadła ostatnia kropla rosy, kosy do cna stępały, a kosiarze pod palącym słońcem nie mogli się opędzić przed chmurami muszki - odstawiali kosy. I dopiero wtedy był czas, żeby coś przegryźć na śniadanie, odpocząć i chwilę podrzemać w cieniu. A potem przewracali, suszyli wczorajszy pokos.

Kiedy słońce zmierzało ku zachodowi, rozpalano ognisko i baby warzyły jakąś strawę. Najczęściej była to kasza jęczmienna. Czasem gotowały uchę z rybiej drobnicy, którą wyciągali z zastawionego na noc kosza. A kiedy Mikiszce udało się upolować parę jarząbków, wtedy obgryzali ptasie kości. W ciągu dnia dożywiali się okazjnie poziomkami albo „klubniką” - dzikimi truskawkami, których w tym roku na Kozackiej Polanie nie brakowało. Nie brakowało też czosnkowej czeremszy i cybuchów dzikiej cebuli.

Wieczorami baby kąpały się w rzece, prały swoje fatałaszk. Staszek płał Sierka i sam nie przepuszczał okazji, żeby się w wodzie nie popluskać. Mimo zmęczenia, baby siedziały przy ognisku długo: plotkowały, żartowały i popłakiwały, oddając się wspomnieniom. Często śpiewały:

***Rozliłaś Wołga szeroko, Miłyj mój tiepier daloko...***

Nad Kozacką Polaną unosił się miodny zapach schnącego siana. Przyszła pora zwłóczyć je na jedno miejsce i złożyć w wielkie stogi. Rozrzucone po łące kopki siana nakładano na brzozowe włóki i Staszek zwoził je pod stertę. Siano należało ułożyć równo, udeptać mocno, żeby sterty wichry nie rozwalily, ulewne deszcze nie rozmoczyły. Mimo dobrej pogody, dziadek Mikiszka bał się nadejścia nagłej burzy i ponaglał, żeby stertę w ciągu jednego dnia ustawić.

W środku nocy ktoś Staszka przebudził.

- Słyszysz, jak koń wariuje? Mało ściany kopytami nie rozwali. Mikiszka już tam ze strzelbą poleciał.

Wybiegli wszyscy przed izdebkę. Noc była jasna, księżycowa. Ujrzawszy ludzi, Sierko powoli się uspokajał. Zza rogu wyszedł Mikiszka ze strzelbą w pogotowiu.

- No co?
- Cisza, niczego nie widać.
- To czemu koń wariował?
- Przestraszył się. Fakt. Może rosomacha go podeszła?
- A może niedźwiedź?
- Baby! A może duch jaki?
- Przestań, głupia, bez tego się boję, a ta duch!

Kiedy rano wyszli na pokos, nocna tajemnica się wyjaśniła. Siady na polanie nie budziły wątpliwości, kto konia w nocy przestraszył. Niedźwiedź! Do tego, dla zabawy czy z jakiejś złości, porozwalał im prawie wszystkie pozostałe jeszcze do złożenia kopy siana. Do tego potargał brzozową „wołokuszę”, na której Staszek siano zwlóczył, w strzępy rozszarpał fufajkę, której jedna z bab pod kopką siana zapomniała. Mikiszka pochodził za śladami i orzekł, że na Polanie grasowała niedźwiedzica z małymi.

- Czego ona tu szukała?
- Pewnie zgłodniała.
- A może złość ją wzięła, że za długo już tu siedzimy i jej przeszkadzamy. Tyle roboty nam dodała! A dzisiaj mieliśmy skończyć.

Minęły już dwa tygodnie, baby stęskniły się za domem, za dziećmiakami. Tylko na Anię nikt nie czekał. Staszekowi też już się tu dłużyło, myślał o Tadku, niepokoił się losem ojca: może list od niego czeka, a nie daj Boże... Nie! Czarne myśli odpędzał od siebie jak najdalej, choć nie zawsze mu się to udawało... Często myślał o Łubce. Nie mógł zapomnieć pożegnalnej nocy. Kiedy kąpał się w rzece, przypominała mu się Zdziśka, ich wspólna kąpiel w Birusie. Od tamtej dziwnej nocy z Łubką coraz częściej interesował się samym sobą. Raptem zdziwiony zauważył, że pod nosem i na brodzie sypie mu się delikatny puch. Jakies włosy kręcą mu się pod pachami, krzewią się w kroczu. Coraz częściej łapał się na tym, że sprawia mu dziwną

przyjemność, kiedy nachodził kąpiące się, łyskające białą golizną baby. Te zresztą traktowały rzekę jak banię i wcale się go nie krępowały. Wołały, wabiły go do wspólnej kąpieli, docinały sprośnymi żartami. Baby miały spalone słońcem twarze, czarne od dziegciu ręce. Natomiast całe ciało było bielsze od białego. Chude i przygarbione, figlowały w wodzie, a ich obwisłe piersi kołysały się śmiesznie i drażniąco. Tylko Aniuta, niewielkiego wzrostu, dziewczęca i czarnowłosa, buriacko skośnooka, piersi miała niewielkie i jędrne jak jabłuszka. Od tych wspólnych z babami kąpieli Staszek początkowo wymawiał się, jak umiał, ale parę razy udało im się ściągnąć go z konia, wrzucić do wody i tam baraszkować z nim, damsić i łaskotać. Z czasem takie wieczorne kąpiele sprawiały mu coraz większą przyjemność. Dziwił się tylko, że Aniuta niekiedy tych zabaw w rzece unikała. Wychodziła nagle na brzeg i odziewała się za krzakami.

Po śmierci męża na wojnie Aniuta miała na wsi opinię niezrównoważonej. Ale na sianokosach zachowywała się normalnie. Tyle tylko, że wciąż na czarno się ubierała, nie lubiła żartów, rzadko się uśmiechała i czasami na jakiś czas znikwała w tajdze; jak kot chodziła własnymi ścieżkami. Często też siadywała samotnie nad brzegiem Zolotuszki i zamyślona wpatrywała się w wodę. To znowu wyplatała wianki z leśnego kwiecica i wkładała je sobie na hebanowoczarne włosy. Bywało, kiedy śpiewała razem z innymi, a śpiewała Aniuta naprawdę ładnie, łzy nagle tryskały jej z oczu. Baby Aniętę lubiły i wyraźnie jej współczuły:

- Przeżywa, baba, wciąż jeszcze „pochoronkę” przeżywa!

-Jaka tam z niej baba! Dzieciak jeszcze. Ledwie szesnaście latek miała, jak ją za Wanę wydali. Jeszcze babskiego życia dobrze nie zakosztowała, a już się dla niej skończyło.

Wymęczony całodzienną harówką, Staszek kładł się spać i prawie natychmiast zapadał w kamienny sen. Noce były ciepłe. Spało się bez przykrycia, bez przebierania. Czasami tylko baby jakąś sukienczynę czy spódnice na noc zmieniały. Aniuta jedyna przebierała się na noc w długą do pięt, zgrzebną koszulę. Spać się kładła późno, kiedy Sta-

szek już dawno chrapał. A kiedy wstawał, Aniuty już nie było: biegła raniutko nad rzekę, myła się i przynosiła w wiaderku wodę na poranną herbatę. Ale zdarzało się, że Staszek budził się w nocy pod przemożnym wrażeniem, że ktoś mu się przygląda. Ostrożnie uchylał powieki i widział nad sobą nisko pochyloną Aniutę. Leżał wtedy bez drgnienia, słyszał jej oddech i bał się nie na żarty. Trwało to chwilę, Aniuta cicho wzdychała i układała się na swoim legowisku. Staszek nie spał już do świtu. Na co dzień Aniuta Staszka nie unikała ani też specjalnie go nie wyróżniała. Jak wszystkie baby, lubiła przysłuchiwać się, kiedy opowiadał przy wieczornym ognisku o Polsce. Często z nim pracowała, zwłaszcza przy zwłóczeniu siana. Któregoś wieczoru, kiedy już wypławił konia w rzecę i siedział sobie na brzegu, gapiąc się w wodę, podkraśla się do niego i zasłoniła mu rękami oczy.

- Aniuta! - Lekko przestraszony, poznał ją od razu. Uśmiechnięta, co zdarzało się u niej rzadko, nałożyła mu na głowę wianek z żółtego mlecza.

- Ładnie ci!... A jak poznałeś, że to ja?

- No... po twoich dłoniach.

Zaczęła przyglądać się swoim dłoniom, przekręcała je tak i tak.

- A co w nich takiego, w moich dłoniach?

- Małe są, inne...

- Aaa! Siedzisz tu tak sam, myślisz... O czym?

- Boja wiem? Ot tak, o wszystkim.

- Ja też tak zamyślam się czasami. A o tej swojej Polsce myślisz?

- Myślę... O Polsce najczęściej.

- I co w tych myślach widzisz?

- Co widzę? Różnie... Ale najczęściej widzę sad. W Polsce u mojego dziadka był wielki, stary sad. Wszystko tam było, czereśnie, gruszki, jabłka! A jak to wszystko na wiosnę zakwido!

- Sad mówisz, jabłka! A ja jeszcze w życiu jabłka na oczy nie widziałam. Gorąc dzisiaj straszny, komary żyć nie dają.

Zerwała się i szybko odeszła. Staszek zdjął z głowy wianek powrózył z kwiatków i rzucił go do rzeki.

Nim usunęli szkody narobione przez niedźwiedzie, zgrabili ponownie siano, ułożyli ostatni stóg, zeszło im jeszcze parę dni. Przez ostatnie noce Mikiszka na zmianę ze Staszkiem czuwali ze strzelbą na zewnątrz, żeby w razie ponownego najścia próbować zwierza odstraszyć.

- Jak raz już tu przyszedł, to i drugi raz może spróbować. A jak się wścieknie, to na konia nam się rzuci. Trzeba pilnować... A ty, chłopcze, w razie czego, jak tylko miszkę zobaczysz, nie czekaj, aż blisko podejdzie, tylko strzelaj! Na postrach, do góry. Powinien odejść. Bo gdybyś go trafił, a nie zabił, no to koniec z nami: chałupę rozwali nam jak nic!

Staszek zagrzebał się w siano i czuwał. Obok niego Sierko spokojnie przeżuwał siano. Noc była ciepła. Księżyc na nowiu, więc ciemnawo. Trochę ta ciemność Staszka peszyła, bo niedźwiedzia mógł na czas nie dostrzec. Liczył na konia, jego słuch i węch. Sto razy przemyślał, jak się zachowa, kiedy z ciemności wynurzy się zwierz. Przysuwał strzelbę bliżej, wślepiał się w ciemność. W izbuszce wszyscy już dawno posnęli. Nawet tutaj słychać było głośne chrapanie dziadka Mikiszki. Staszek zdrzemnął się chyba na sekundę, a może tylko zamyślił? Parsknął koń, zaszeleściło siano. Niby biała zjawa wyłoniła się przy nim Aniu ta.

- Ducha się przestraszyłeś? A to ja... Posuń się odrobinę.

Wsunęła się do jego ciepłego siennego legowiska. Z rozpuszczonymi na noc włosami, w długiej białej koszuli. Wpółleżeli przy sobie ciasno. Staszek powoli dochodził do siebie. „Co jej znowu do łba strzeliło, czego tu chce...”

- Spać jakoś nie mogę... Pomyślałam, pójdę do Staszka, razem tego niedźwiedzia przypilnujemy. Nie gniewasz się, że przyszłam?

- Coś ty...

Milczeli. Ułożyła się wygodniej, patrzyła w niebo, po którym przemykały lekkie chmury. Biło od niej gorąco. Czuł się dziwnie. Przysiadł, żeby tym sposobem stłumić męskość, która nagle zaczynała mu o sobie przypominać. Sięgnął po strzelbę.

- Mikiszka mówił, żeby w razie czego najpierw na postrach strzelać. Aleja bym prosto do niedźwiedzia, trach! Już go nie ma...

- Daj spokój z niedźwiedziem. Popatrz lepiej na niebo... Gwiazda akurat spadła, pewnie człowiek umiera, tak mówią... Ile tych gwiazd naspadało, a wciąż ich bez liku na tym niebie. Gwiazda spada, człowiek umiera...

Aniuta gwałtownie uniosła się, ujęła go pod brodę.

- Ile ty masz lat właściwie?

- A czy to ważne? No, no, szesnaście już skończyłem. Ja też niedługo na wojnę pójdę.

- Boże, jaki z ciebie jeszcze dzieciak! Nie waż się przy mnie więcej tak mówić: „Na wojnę pójdę!” Patrzcie go! On i na wojnę...

Objęła go i mocno przytuliła. Pachniała piolunem i świeżym mlekiem. Staszek słyszał bicie jej serca, czuł twardość piersi. Całowała go po całej twarzy. Jej niecierpliwe chropowate dłonie zsunęły mu z ramion koszulę, zsuwały spodnie. Oddychała ciężko, urywanie. Krzyżowała oderwane słowa razem ze słonymi pocałunkami. Popłakiwała.

- .. śmierć na wojnie, śmierć... kuleczka w białe czółko trafi, serduszko zabije... rączkę, nóżkę oderwie... zabiją cię na wojnie, kochaniutki... a tobie dopiero życie pisane... co mamy z tobą z tego życia, jabłuszko ty moje niespróbowane...

Zdarła z siebie koszulę. Jej gorąca dłoń dotknęła Staszkowego przyrodzenia, które od dawna było już twarde, gotowe. Początkowo biernie poddawał się jej namiętnej furii, by po chwili włączyć się do tego pośpiechu wzajemnego pożądania. Nadzy spleli się ze sobą, sturlali w sienną otulinę, a wtedy, zapomniawszy o całym świecie, Aniuta gwałtownie wprowadziła jego nabrzmiałą i pulsującą męskość pomiędzy swoje szeroko rozrzucone uda...

Obudził się półprzytomny, zagrzebany w siennym barłogu. Poraził go jasny świt.

Przetarł oczy, czuprynę, wypluwał paprochy siana. Aniuty obok nie było. Wracała świadomość. Zrobiło mu się głupio, nieprzyje-

mnie, a nawet strachliwie. „Chyba mi się to wszystko przyśniło...” Ale nie. Był nagi i dziwnie obolały. W pośpiechu, bojąc się, że lada chwila ktoś wyjdzie z izbuszki i zobaczy, w jakim jest stanie, wyszukiwał i naciągał na siebie odzienie. Jeszcze mocował się z koszulą, kiedy wyszedł dziadek Mikiszka i za węglem długo załatwiał poranną potrzebę.

- No jak noc? - spytał Mikiszka, ale nie czekał odpowiedzi, tylko przysłonił ręką oczy i patrzył na wschodzące słońce. - Czerwono wschodzi. W sam raz skończyliśmy, bo, jak nic, lada chwila lunie. Może nawet dzisiaj. Trzeba się zbierać do domu.

Z izbuszki zaczęły wylażać zaspane, rozczochrane i poziewające baby.

- Co, Aniuta wody jeszcze nie przyniosła?

- Pewnie po nią poszła. Nie ma jej w chacie...

Mikiszka krzątał się przy rozpalaniu ogniska. Staszek wyprowadził Sierka z zagrody. -Jadę konia napoić.

- To pośpiesz ją tam z tą wodą!

„Pośpiesz, pośpiesz”... Po takiej nocy Staszek nie bardzo mógł sobie wyobrazić pierwsze spotkanie z Aniutą. Noc nocą, dzień dniem: co jej powiedzieć na przywitanie, jak spojrzeć w oczy?

Rzeka dymiła poranną mgłą. To tu, to tam pluskały ryby. Na drugim, słabo widocznym brzegu popiskiwały kuliki, kwakały awanturujące się kaczory. Aniuty nad rzeką nie było. Może się minęli? Koń pił wodę długo, na kilka zachodów. Staszek zdjął koszulę i umył się do pasa. Wargi miał spuchnięte, przygryzione.

Kiedy wrócił, baby rzuciły się do niego z pretensjami, pytając o Aniutę.

- Myślałem, że inną ścieżką wróciła. Na wodopoju jej nie było. Któraś z bab zauważyła, że na pryczy leży odzienie Aniuty.

- A to wariatka! W samej koszuli pewnie po tajdze lata.

- Widać znowu wariować zaczyna.

- Żeby tylko na czas wróciła, bo niedługo do domu wyruszamy...

Czekali na Aniutę prawie do południa. Dopiero potem zaniepokojeni zaczęli jej szukać i głośno nawoływać. Dziadek Mikiszka wystrzelał na wiwat prawie wszystkie naboje. Tymczasem Aniuta zniknęła, jakby pod ziemię się zapadła.

Dwa dni i dwie następne noce jeszcze na nią na Kozackiej Polanie czekali. W nocy palili wielkie ognisko i czuwali. W dzień szukali jej po okolicy, penetrowali brzegi rzeki. Nie znaleźli ani śladu.

- No, nie ma rady, zbieramy się, baby do domu. W tajdze różnie z człowiekiem się zdarza, a jak, to nie zawsze się dowiesz. Czasami po latach dopiero. A bywa, że i nigdy... Może jeszcze żyje gdzieś tam? Może sama do wsi wróci? A jeśli nie ma jej już wśród żywych, to my jej i tak już pomóc nie zdołamy, świeć, Panie, nad jej duszą. Ruszamy, baby, ruszamy!

Półprzytomny, pełen poczucia winy, ale wciąż strzegący tajemnicy nocy, Staszek ujął objuczonego konia za uzdę i powłókł się w ślad za odchodzącymi. Wszyscy, dopóki Kozacka Polana nie zniknęła im z oczu, co krok oglądali się z cichą nadzieją, że gdzieś tam w oddali zamajaczy im czarnowłosa Aniuta...



A daleka wojna wciąż trwała i trwała. Nawet Astafiew, który front miał za sobą i był chłopem odczytanym, niegłupim, nie umiał na temat końca wojny niczego konkretnego powiedzieć.

- Niedługo już, baby, niedługo! Cierpicie już tyle, pocierpcie jeszcze trochę: skończy się ta wojna, skończy!

- Ale kiedy, Iwan, kiedy? Czy ty nie widzisz, że człowiek tak dłużej żyć nie może? Nie wytrzyma... Co my bydło jakie czy co?

- Bydło nie wytrzyma, pada, a my, baby, musimy. Musimy. Pocierpcie jeszcze trochę.

- Byłeś na froncie, znasz się na tej wojennej zarazie, to powiedz, oświeć nas, ciemnych, kiedy wreszcie to się skończy?

- Niemca, baby, trzeba dobić. Aż do ichniego Berlina trzeba fryca zagonić. Bo jak inaczej? No i gonią go nasze żołnierzyki, coraz dalej na zachód gonią. W gazecie piszą, że nasi już do Ukrainy doszli, na Białorusi wojują. Mało brakuje, a do Polski dojdą, a tam już tylko ręką sięgnąć do Berlina. Niedługo już tej wojny, baby, niedługo...

Na wspomnienie Polski Staszek nadstawił uszu. Kiedy Astafiew zbierał się do odjazdu z pola, Staszek poprosił:

- Dziadzia Wania, pożycz mi gazety.

- Masz. Pociesz się, chłopcze, wasi już do twojej Polski doszli. Pewnie twój ojciec z nimi. Listy pisze?

- Dawno już...

- Nie martw się, chłopcze, to jeszcze nic nie znaczy. Na froncie z listami różnie bywa. Ot ja sam pisałem listy z frontu prawie co tydzień, a tu wracam i dowiaduję się, że tylko parę z nich doszło. I to czasem po pół roku się spóźniały.

Polskie rodziny na Wołczym chutorze czuły się zagubione i zapomniane. Od wiosny czterdziestego czwartego listy z frontu przestały do nich przychodzić. Nikt nie wiedział, nikt nie potrafił im wytłumaczyć dlaczego. Kobiety wytrwale na pocztę połową listy pisały, a odpowiedzi jak nie było, tak nie było. Co się z Polakami na tej wojnie dzieje? Rodziny coraz częściej zaczęły się zamartwiać, w głowach roilo się od podejrzliwych wątpliwości: a może znowu naszych, jak tamtych do Iranu, za jakąś granicę wyprowadzili?

Staszek przyniósł gazetę na chutor, przysiadł wieczorem na uboczu i zaczął powolutku czytać. I wierzyć mu się nie chciało, że to, o czym czyta, może być prawdziwe: „W ciężkich zwycięskich bojach z hitlerowskimi najeźdźcami bohaterska Armia Radziecka wyzwoliła kolejne miasta i rejony zachodniej Ukrainy: Lwów, Tarnopol, Kołomyję, Czortków, Zaleszczyki, i wyszła na rubieże rzek Dniestr i Seret!” Chłopak sylabizował te zdania jeszcze raz i jeszcze raz. Czuł, jak serce bije mu coraz mocniej. W głowie kłębiły się chaotyczne słowa i obrazy: ...Worwolińce! Czerwony Jar! Łany złotej kukurydzy. Arbuz, kawon, taki słodki, soczysty i czerwony. Wapniowy Dniestrowy brzeg. Rześka kąpiel w bystrym zakolu Seretu. Winogronowe kiście na południowym stoku głębokiego jaru nad Tupą... „Wyzwoliła Zaleszczyki!” To znaczy, że ich wioska, ich dom są już wolne! A może ojciec już tam jest? Zerwał się Staszek i wymachując płachtą gazety, wpadł do izby. Bronia też niedawno wróciła z roboty, siedziała przy stole i patrzyła, jak Tadek zjada zupę, którą przyniosła mu ze stołówki.

- Mamo! Patrz, co tu piszą: nasze Zaleszczyki wolne! - Rozkładał gazetę w takim pośpiechu, że mało bratu zupy nie wylał. Bronia śledziła za jego palcem zdanie po zdaniu. Dopiero kiedy skończył czytanie, uświadomił sobie, że pierwszy raz nazwał Bronię - mamą.

Nie spano tej nocy na Wołczym chutorze. Po kilka razy musiał Staszek czytać o tym wyzwolonym spod Niemców ich rodzinnym Podolu, Dniestrze, Serecie i Zaleszczykach. Nadzieja na rychły powrót do Polski, do domu, obudziła się na nowo. Wydawało im się to

wszystko już tak blisko jak nigdy dotąd. Nic, tylko jak najszybciej wędrować do Tułunu i tam wsiadać do pociągu jadącego na zachód!

A kiedy jeszcze Staszek przeczytał, że „...nasze wojska, z udziałem 1 Armii Narodowego Wojska Polskiego, w rejonie miasta Chełm przekroczyły rzekę Bug i rozpoczęły wyzwalamie terytorium Polski...” - wyzbyli się w tym entuzjazmie wszelkich wątpliwości i uznali, że czas powrotu jest tuż-tuż.

- O wojsku polskim w rosyjskich gazetach nie na darmo piszą!

- To pewnie i nasi tam gdzie są?

- Polskę wyzwalamają!

- A jakżeby inaczej? Muszą tam być. Przecież razem z Rosjanami na tym froncie wojują, o Polskę się biją.

- Walki tam pewnie, bitwy! Jezusie kochany, żeby ich tylko tam...

- A tu listów od pół roku nie ma. Ani słyhu, ani dychu...

- Wypluj te słowa, w Bogu nadzieja!

Radziły baby tej nocy i uradziły, że nazajutrz wybiorą się z tą gazetą do zarządcy Astafiewa, żeby, gdzie trzeba, się dowiedział: czy i kiedy Polacy z Buluszki mogą wracać do Polski.

Zarządca wysłuchał je uważnie. Nim odpowiedział, wziął gazetę i jeszcze raz coś tam sobie czytał po cichu. A może tylko myśli zbierał, co tym wzburzonym i pełnym nadziei Polkom odpowiedzieć.

- Gazeta sobie, a życie sobie... Baby moje drogie, przecież wojna jeszcze się nie skończyła! Czy wy tego nie rozumiecie? Tam jeszcze strefa przyfrontowa. Kto was tam puści? Z głowy to sobie wybijcie. No i co z tego, że wasze polskie wojsko już tam jest? Ale przecież tam wciąż jeszcze wojna. Wojna! Trzeba czekać. Skończy się wojna, wtedy pogadamy. Nie bójcie się, nigdzie się wam ta wasza Polska nie podzieje. Trzeba czekać, moje kochane, cierpliwie czekać!

Wrzesień. Jesień błądzi po polach. Tajga żółknie. Siew tego roku był w sowchozie spóźniony, zboże wyrosło liche. Traktor zepsuty. Konie kombajnu nie pociągną. Ścinali zboże konną kosiarką, siekli kosami. Zwozili snopy na sowchozowe gumno. Ale jak je wymłócić? Nawet cepów nie mieli, bo te poręczne narzędzia razem z kułakami

wyginęły. Sobie tylko wiadomym sposobem Astafiew wykombinował beczkę ropy i na uruchomienie kombajnu do młocki starczyło. Młócili, sypali zboże do worków, przygotowywali transport zboża dla państwa. Zinka-brygadzistka wszystko skrupulatnie w zeszytach zapisywała i zamykała zboże w spichlerzu.

Do Tułunu wieźli sowchozowe zboże na dziesięciu podwodach. Astafiew wyznaczył do tej roboty, do której wszyscy pchali się na wyścigi, również Honorkę Unicką i Staszka.

Honorkę Unicką polskie kobiety na swoją „delegatkę” wybrały, bo nie tylko że ze wszystkich była najbardziej odważna i wygadana, ale do tego była wdową po frontowym żołnierzu. Staszka wzięła za pomocnika, bo mógł się swobodnie po rusku wygadać i nawet czytać po rosyjsku umiał. W Tułunie mieli się zorientować, kiedy do Polski mogą wrócić.

Wozy przeładowane workami ze zbożem. Drogi leśne przez tajgę marne. Konie, spracowane przez lato, słabe. Prawie trzy dni wlekli się do Tułunu. Zboże do elewatora zdali szybko i Astafiew dał Unickiej i Staszce dodatkowy dzień wolny, żeby wszystkie polskie sprawy mogli sobie spokojnie w mieście pozatapiać.

-Ja też przy okazji, gdzie się da, popytam, co z wami dalej robić. Co za niecierpliwy naród te moje Polaki!

Było pod wieczór. Honorka ze Staszkiem zdecydowali, że udadzą się najpierw do tartaku i tam pogadają, naradzą się ze swoimi.

Miasto było ponure i wyludnione przez deszcz, który po jesiennemu się rozpadał. Skrzypiały stare drewniane chodniki. Pod mostem szerokim nurtem rwała bystra Ija. Staszce przypomniawszy się Kary: rzeka skuta lodem, koń tonący w przerębli, szpital i pochylona nad nim twarz Cyni Bialerówny.

W tartacznych barakach małe okna żółto łyskały słabymi odbłaskami świeczek. Weszli do ciemnego korytarza. Śmierdziało stęchlizną dawno niewietrzonego pomieszczenia. Za cienkimi przepierzeniami słychać było głosy, jakieś rozmowy, śmiech, popłakiwanie dzieci.

- Już nie pamiętam, do których drzwi pukać... - martwiła się Ilnicka.

Ktoś nagle uchylił drzwi. W blasku światła poznali panią Korczyńską.

- Dobry wieczór, pani Korczyńska. To ja, Honorka!

Z wrażenia Korczyńska mało wiaderka z rąk nie wypuściła.

- Wszelki duch! Honorciu, a skąd ty tutaj?

W tartacznych barakach mieszkała pani Korczyńska z Sylwią, starzy Majkowie i rodzina Gibały z Worwoliniec, która tej wiosny przywędrowała z tajgi.

- A Celina wciąż jeszcze w tym szpitalu pracuje?

- Celina? No tak, to wy nic nie wiecie! Do polskiego wojska poszła razem z naszymi chłopami. Jako sanitariuszka, na ochotnika się zgłosiła.

- Ale za to wy nic nie wiecie, że nasi tam na froncie Janka Majkę spotkali!

- Niemożliwe! A to się dopiero Majkowie ucieszą! Nic o nim nie wiedzą. Myślą, że Janek z tą swoją Buriatką w tajdze na zawsze im się zagubił.

- A stary Bialer na froncie zginął. I Janek Barski, Jasiak Kurylak, Florek Unicki...

Niestety, tułuńscy Polacy o Polsce, a zwłaszcza o możliwości rychłego do niej powrotu, wiedzieli tyle samo co ci z dalekiego Buluszkina.

- Nie ma rady, musimy czekać końca wojny, bo wcześniej nas z tego Sybiru nie puszczą. Nikt tu sobie głowy nami specjalnie nie zawraca.

- A gdyby tak samemu pomału na zachód jechać? Przecież nasze tereny są już oswobodzone od Niemca. Co się mamy tu marnować, kiedy tam nasze domy na nas czekają.

- Akurat, czekają! Ukraińcy pewnie wszystko rozgrabili. A gdybyś nawet chciała ruszyć teraz na zachód, to niby jak do pociągu wsiądziesz? Kto ci da pozwolenie? Kto cię z pracy zwolni, jeśli za samo spóźnienie do roboty niedawno z naszego baraku dwie kobiety na

pół roku do obozu pracy zamknęli. Nie było litości, że mąż na froncie, dzieci bez opieki zostają. Honorka się uparła!

- Skoro już tu jesteśmy, to czemu mamy nie połączyć po różnych urzędach, o powrót do Polski poprosić?

Zaczęli od NKWD. Honorka trochę się bała, żeby ich znowu za byle co nie zamknęli, ale tylko we wszechwładne NKWD wierzyła.

- Te diabły nas z Czerwonego Jaru wywiozły, cały czas nas pilnowały, ruskie paszporty nam wtrzybiały, to kto jak nie oni będą lepiej wiedzieć? Pal ich licho, idziemy, Stasiu, chyba nas tu nie pożrą.

Zapukali do furtki. Wartownik uchylił judasza i słuchał, jak tłumaczyli mu, że są Polakami i koniecznie muszą się widzieć z naczelnikiem, bo sprawę mają ważną. Kazał im czekać i trzasnął okienkiem. Z pół godziny czekali, nim ich wpuścił. Rozmawiał z nimi jakiś cywil z nerwowym dkiem: co chwila szarpał głową to w jedną, to w drugą stronę. Może dlatego chodził tam i z powrotem po ciasnym, zadymionym pokoju. Honorka gadała, Staszek trochę dumaczył.

- Skończyliście?

Cywil przystanął i o dziwo, jego głowa stanęła w miejscu, tik ustał.

- No to teraz ja wam swoje powiem. Wojna trwa? Trwa. Co jest teraz najważniejsze? Najważniejsze jest teraz dobić faszystowskiego zwierza. I my go dobijemy. A dopiero wtedy, po wojnie, wszystkie inne sprawy będą przez władze radzieckie rozstrzygane. Jasne?

- Przecież w gazecie piszą, że Armia Czerwona razem z naszym wojskiem do Polski doszła. To czemu my tam nie możemy wrócić?

- Prawda! I dalej nasze wojska idą jak taran! Niedługo do Berlina dojdziemy.

- Mój mąż w wojsku polskim służył, na froncie zginął, o, proszę, tu jest „pochoronka”.

- Chwalebne to, kobieto. Współczuję wam... Ale to niczego nie zmienia. Przynajmniej na dziś. Skończy się wojna, wtedy władza radziecka wszystkim innym się zajmie. Być może wami Polakami także. Pracujecie?

- A jakże, w sowchozie „Sybirak”.

- No i bardzo dobrze. Pracujcie dalej po stachanowsku, dokładajcie swoje cegiełki do rychlejszego zwycięstwa. Czekaście spokojnie końca wojny, a o resztę niech was głowa nie boli. I niech wam czasem do głowy jakieś głupie pomysły nie przychodzą! Prawo wojenne żadnej samowoli nie toleruje: na przykład samowolnego opuszczania pracy czy miejsca zamieszkania, nie mówiąc już o podróży do strefy przyfrontowej. Na to zezwolenia nikt wam nie da...

Unicka tak się zdenerwowała, że do wojenkomatu już nie chciała wstąpić.

- Jak NKWD do Polski wrócić nie pozwoli, to kto tu inny co może?

- Ale wojenkomat to jest wojsko: NKWD na wojnie nie wojuje, to skąd może wiedzieć, co się tam na froncie dzieje? A jak wojsko da nam „rozpiškę” i pozwoli wracać?

- Akurat! Jak chcesz, to idź do nich sam. Położę sobie po bazarze i za godzinę, o tu, kolo tej bramy będę na ciebie czekać.

Prawdę mówiąc, Staszкови było na rękę, że do wojenkomatu pójdzie sam. Ale to było tylko jego najskrytszą tajemnicą. Przy wejściu zatrzymał go lekko utykający dyżurny podoficer, z czerwoną opaską na przedramieniu.

- Czego?

- Chciałem się zapytać...

- Ile masz lat?

- No, no, szesnaście...

- Zmywaj mi się sprzed oczu. Ale to już! Szesnaście lat! Niedługo przedszkolaki zaczną się do nas zgłaszać. Już ja was znam, nic, tylko front wam w głowie!

Na to nadszedł jakiś oficer z czarną opaską na oku.

- O co tu chodzi, Seliwanow?

- Melduję, towarzyszu majorze, szesnaście lat dopiero ma, no to go wyganiam. Niedługo przedszkolaki...

- Poczekaj, Seliwanow... Czego chcesz, chłopcze?

Staszek wyciągnął zza pazuchy frontowy list od ojca i podał majorowi.

- Od pół roku ojciec nie pisze.. Jest w polskim wojsku, na froncie... -Jesteś Polakiem?

Staszek skinął głową. Major oglądał list, czytał głośno numer poczty polowej.

- Listy z frontu długo idą... Ty wiesz, gdzie twój ojciec może już być? W Warszawie, rzekę Wisłę forsuje. Wczoraj był najświeższy frontowy komunikat. Niedługo wspólnie z twoim ojcem całą Polskę wyzwolimy, do Berlina dojdziemy... Według poczty polowej nie da się zorientować, gdzie żołnierz jest. Nie martw się, chłopcze, ojciec na pewno napisze. Matce, rodzinie powiedz, żeby się nie martwili.

- Mama umarła... Można jeszcze zapytać, czy moglibyśmy dostać z wojenkomatu zaświadczenie, żeby w swoje strony wrócić?

- Nie, chłopcze, to jeszcze niemożliwe. A skąd ty pochodzisz?

- Zaleszczyki, nad Dniestrem...

- Zachodnia Ukraina. Piękny kraj. Nie da rady, chłopcze, tam strefa przyfrontowa, trzeba czekać na koniec wojny. Jeszcze coś?

- Towarzyszu naczelniku, niech mnie pan weźmie, niech mnie pan pośle do polskiego wojska! Na ochotnika chciałbym. Jestem mocny, dawno już pracuję, z końmi potrafię się obchodzić, na polowania chodziłem, strzelać potrafię...

- Dość! A toś ty taki gagatek? Listów od ojca nie dostaje, zagaduje, czy wracać do Polski już możliwe, a tu nagle - ochotnik! Nie, chłopcze. Nie zaczynaj mi nawet o froncie. Wracaj, skąd przybyłeś, to wszystko!

Wyraźnie zdenerwowany oficer zrobił w tył zwrot i odszedł. Speszony chłopak schował list do kieszeni. Sierżant złapał Staszka za ramię, najwyraźniej po to, żeby wyrzucić go za drzwi.

- Marsz mi stąd i żebym ja cię tu więcej już nie widział! Wojny mu się zachciało.

Staszek wyskoczył na ganek. Przenikliwy wiatr zaciął deszczem. „Nie, to nie, bez łaski! Sam sobie poradzę”. Czuł się upokorzony



i zły. Nawet płakać mu się nie chciało. Wbił czapkę na głowę i ruszył ku furtce.

- Hej ty, Polak, ano zatrzymaj się na minutkę!

Sierżant, który go dogonił, wtykał mu do ręki bochenek chleba i puszkę konserwy.

- Bierz, bierz... Major kazał ci dać: „Daj mu to, Seliwanow -mówi - bo jakoś nietęgo ten nasz polski ochotnik wygląda, przynajmniej podje sobie, do domu będzie miał z czym wracać" ... No to ja za tobą...

Honorki na umówionym miejscu nie było, Staszek poszedł połażyć po bazarze. Znał go jak swoją kieszeń. Myszkował po nim z Tadekiem, kiedy mieszkali w Tułunie. Niewiele tu się przez ten czas zmieniło. Jak bazar długi i szeroki, wszędzie kwitł handel wymienny. Staszek miał przy sobie parę rubli, ale nic za to nie mógł kupić. Mógł wymienić ofiarowany mu przez majora bochenek chleba i konserwę, ale na to Staszek się nie zdecydował. Znając możliwości tutejszych złodziejasków, mocno ścisnął woreczek ze swoim dobrem pod pachą. Wypatrywał wśród wałęsających się po bazarze takich jak on oberwańców swojego koleżki Sańki. W dumie napotkał Honorkę.

Wrócili pod elewator. Astafiew ponaglał do odjazdu.

- Przed nocą musimy do Paskotiny dojechać, a tu akurat deszczem się zaniosło... A dla was nie mam wesołych wieści: tak jak mówiłem, trzeba na wszystkie decyzje do końca wojny czekać. Polacy, nie Polacy, władza nie chce o żadnych wyjazdach na zachód słyszeć.

- Wiemy. Byliśmy w wojenkomacie. I w NKWD byliśmy. - W NKWD?

- A niby gdzie lepiej wiedzą? Przecież NKWD nas tu na Sybir przywiozło, to przecież NKWD...

- A czort z nimi z tym wszystkim! - Astafiew przerwał Honorce, wyraźnie nie miał ochoty na temat NKWD się rozwodzić. - Trudno, będziemy tego końca wojny razem czekać. Da Bóg, jakoś się doczekamy, a potem się zobaczy...

Wracali do Buluszkina. Nim droga zagłębiła się w ciemną tajgę, jakby na pożegnanie z Tułunem doleciał do nich chrapliwy, długi ryk parowozu. Dokądś pędził niewidoczny stąd pociąg. Może akurat na zachód, w stronę Polski? Staszкови aż w duszy jęknęło: kiedy nareszcie nadejdzie ta chwila, że będzie siedział w pociągu, a ten pociąg będzie pędził i nie zatrzyma się, aż dopiero w Polsce!. Tymczasem ciemna tajga wchłonęła drogę, wiatr między drzewami przycichł, ustał deszcz. Daria zaśpiewała:

*Stiep, da stiep krugom...*

Dołączyli do niej pozostali:

*A w stiepi gluchoj umirał jamszczik...*

Jesień. Spieszyli się z polowymi robotami, uciekali przed słońcem, kopali ziemniaki, wydzierali z ziemi buraki i rzepę. Astafiew był dobrym gospodarzem. Za jego rządów poprawiło się w sowchozie. Stołówka codziennie obiady gotowała, piekarnia piekła chleb i każdy należne kilkadziesiąt deko za roboczy dzień dostawał. Teraz szykował sowchoz do przezimowania. Astafiew skompletował dwie brygady: jedną posłał na Zołotuszkę łowić wielkie jesienne ryby, drugą w głąb tajgi polować i gromadzić mięso na zimę...

Staszka wzięli na pomocnika do brygady myśliwych. Domyślał się, że zawdzięczał to dziadkowi Mitriczowi. Było ich pięcioro. Jak Astafiewowi udało się namówić starego odludka na tę wyprawę, pozostało jego tajemnicą. Stary Pankratow uchodził w Buluszkino za najlepszego myśliwego. Nawet przed wojną, kiedy we wsi dobrych myśliwych nie brakowało, nikt Mitricza w tej sztuce prześcignąć nie zdołał.

Szli do tajgi co najmniej na tydzień, a może nawet na dłużej. Wszystko zależało od tego, jak powiedzie im się polowanie. Prowa-

dził dziadek Mitricz. Szła Daria z ciężkim workiem na plecach i fuzją przerzuconą przez ramię.

Szły jeszcze dwie baby: Muraszkina, z którą Staszek był na sianokosach, i Kapitolina, specjalistka od solenia i wędzenia dzikiego mięsiwa.

Prowadzili za sobą dwa juczne konie z przytroczonymi beczkami na mięso, workiem soli, obrokiem, zapasem jadła i wszelkim potrzebnym na taką okazję sprzętem. Polować mieli w górnym biegu Zołotuszki. Nocowali w tajdze przy ognisku i dopiero drugiego dnia pod wieczór dotarli do myśliwskiej półdymnej izbuszki.

Mieli szczęście do pogody. Deszcze przestały padać. W dzień słonecznie. Noce były ciche, księżycowe. Jesienna tajga złościła się modrzewiowym igliwem. Czerwieniła kiściami jarzębiny. Karmiła myśliwych jagodami miodowej „oblepichy” - rokitnika, borowikami i dorodną brusznicą. Tej jesieni tajga obrodziła wyjątkowo, zwłaszcza cedrowymi orzechami. Ale oni przyjechali tutaj na łowy, zwierzynę na mięso dobywać. Role mieli podzielone: Mitricz z Darią polowali, dwie pozostałe baby zajmowały się zdobyczą, ćwiartowały mięso, podwędzały, soliły i układały do beczek, czyściły i suszyły skóry. Staszek był tu chłopakiem do wszystkiego: dbał o konie, którymi na specjalnych brzożowych włókach ściągali do zimowiska tusze ubitych jeleni i kozic, dbał, żeby nie zabrakło suszu na ogień i świeżej brzoży do wędzenia mięsiwa.

Już pierwsze dni mieli udane. Bładym świtem na tropach do wodopaju Mitricz ustrzelił dwajelenie, w tym dorodnego rogacza z charakterystycznym, bogatym porożem. I jakby tego było mu mało, następnej nocy poszedł do tajgi sam, zasadził się i przy księżycowej poświacie ustrzelił jeszcze jednego. Daria miała mniej szczęścia, ale i ona ustrzeliła niebrzydkiego jelonka.

Baby warzyły duste, obfite obiady. W kociołku u niegasnącego ogniska zawsze można było wyłowić kawałek duszonej, pachnącej ziołami dziczyzny. Ludzie napychali się mięsem, psuli wygłodzone żołądki. Nawet psy, bo Mitricz tym razem zabrał je na łowy, po paru dniach na podrzucane im kości patrzeć nie chciały.

Baby rychło nasoliły dwie beczki przedniego mięsa, ale jeszcze dwie puste czekały. W dymie wędziły się łykowane gicze i łby. Osobno suszyły się skóry.

-Jak dalej nam tak pójdzie, to szybciotko się uwiniemy.

Szło tak dobrze, aż tu nagle jednej nocy niby brzytwą ucięło. Zerwał się nagle zimny przejmujący wiatr, niebo zaciągnęło się gęstymi chmurami i siało mglistym kapuśniaczkiem. Niedowędzone mięsiwo, oślizłe skóry pochowali pod dachem. Przygasło ognisko, dym włóczył się nisko. Baby łuskały z fioletowych szyszek cedrowe orzechy i wyplatały z brzozowego łyka tujaski. Mitricz ćmił cygarę, podkładał do pieca i patrzył w ogień. Psy drzemały u jego nóg. Staszek doglądał koni, przynosił drzewa do pieca. Parę dni tak trwało. Któregoś popołudnia Mitricz wyszedł przed chatę i długo patrzył w niebo.

-Jakby się trochę przecierało, chyba jutro będzie pogoda. Przejdę się wieczorkiem dla pewności po tajdze, kości rozprostuję.

- Dziadku, mógłbym z tobą?

Chmury szybko znikaly. Niebo przejaśniało. Tajga była mokra po deszczu. Staszek stapał krok w krok za Mitriczem i starał się tak jak tamten iść bezszelestnie, żeby żadna gałązka pod nogami nie trzasnęła. Mitricz prowadził brzegiem rzeki, potem zboczył i zaczął wspinać się na strome, porośnięte młodym sośniakiem wzgórze. U jego szczytu Mitricz przyłożył palec do ust. Staszek prawie oddech wstrzymał. Chyłkiem podeszli jeszcze parę kroków i przycupnęli u rozko-rzenionego, starego modrzewia. Stąd w prześwitach księżycy widać było rozległą polanę łagodnie opadającą ku rzece. A kilkanaście kroków od modrzewia postrzępione wichrami skalne rozsypisko. Mitricz pokazał w kierunku nadrzecznej polany.

- Pasą się tutaj, soliszukają i do wodopoju tędy chodzą. Może dziś przyjdą.

Ukryli się za wielkim pnem. Byli z zawietrznej strony. Długo czekali w milczeniu i bezruchu. Nic i nic. Nagle zobaczyli. Zza skalnego rozsypiska wysunął się wolniutko i przystanął ogromny zwierz.

- Sochatyj! Samotnik, pewnie do wodopoju idzie...

Mitricz nie dotykał strzelby. Staszek wstrzymał oddech, patrzył i napatrzeć się nie mógł. Łoś był potężny. Staszekowi wydawał się wyższy i cięższy od konia. Zwierz uniósł do góry brodaty łeb z szeroko zakrzywionym, łopatopodobnym porożem i węszył rozdętymi chrapami.

- Stary. Z dziesięć pudów będzie miał, a i więcej.

Łoś wciąż stał nieruchomo, w pomnikowej wręcz pozie. Wciągał głośno powietrze, oblizywał jęzorem. Naraz ni to jęknął, ni to zaryczał chrapliwie i unosząc wysoko kopyta przednich nóg, wolniutko ruszył w dół ku rzece. Staszek patrzył za nim jak zauroczony, dopóki zwierz nie skrył się w gęstych zaroślach miodnika.

- Czemu nie strzelałeś, dziadku? Dwa kroki od nas...

- Nigdy, synu, do zwierzyny bez potrzeby nie strzelaj. Ajaki z so-chatego dla nas pożytek? Mięso wiatrem przeszyte, samo łyko. Bardzo stary był, niech spokojnie swojego dożyje.

Następnego ranka w tym miejscu dziadek z Darią ustrzelili po ładnej sztuce. A Staszka coraz bardziej korciło, żeby samemu zapolować. Ale na jego nieśmiałe nagabywania Mitricz wciąż milczał. Wreszcie Daria nie wytrzymała i ujęła się za chłopakiem.

- To po co mu berdanę dałeś? Żarty sobie z chłopaka robisz? Jak ty go ze sobą nie wezmiesz na polowanie, to jeszcze dzisiaj ze mną pójdziesz.

- Babskie gadanie! - obruszył się dziadek na Darię. Ale wieczorem długo dumaczył Staszekowi, jakimi nabojami i na jakiego zwierza ładuje się berdanę, jak najporęczniejsz z niej celować i trafiać. Raniutko czatowali, aż sarny pójda wypatrzonym tropem do wodopoju. Kiedy się wreszcie pokazały, Mitricz wskazał Staszekowi na jednego sarniuka i kazał strzelać. Było za blisko, żeby z tej odległości chybić. Staszek wycelował, wstrzymał oddech i strzelił. Jeszcze mając na oku muszkę lufy, dostrzegł, jak trafiony koziołek podskoczył do góry, by nagle przykleknąć i wolno osunąć się na trawę. Stado rozpierzchnęło się w popłochu. Warujące w milczeniu psy zajazgotały i rzuciły się ku zdobyczy. Staszek za nimi. Koziołek jeszcze żył. Nawet

próbował wstać, ale psy obaliły go na powrót. Staszek je odpędził i wtedy zobaczył jego oczy. Koziołek obficie krwawił, grzebał zadnimi kopytami, bezsilnie unosił głowę, a z jego wielkich patrzących na człowieka oczu ściekały ciurkiem łzy. Staszekowi zrobiło się niedobrze. Padł bliski strzał. Wystrzelona przez Mitricza kula dobiła koziołka prosto w serce.

- Niech zwierz się nie męczy. Jak już strzelasz, to tak, żeby zabić. Poroże zaczął gubić, tylko jedno mu zostało: jeleni gubi poroże na przedwiośniu, samiuk teraz, przed zimą. Młody, do kotła będzie akurat...

Tej nocy hulał po tajdze silny wiatr, skrzypiał i wył, gwizdał w dziuplach i konarach starych drzew. Psy, które w nocy spały razem z ludźmi w izbuszce, nagle alarmująco zaszczekały i nie dawały się uspokoić. Rwały się do drzwi. Wszyscy się pobudzili i trwożnie nasłuchiwali. Wiatr wył, deski na dachu trzaskały. Niepokoił się o konie, które nocowały w przybudówce. Ale chyba było wszystko w porządku, bo konie nie rżały. Baby szeptały między sobą wystraszone.

Żadnego spania do świtu nie było. Ale psy już więcej alarmu nie podnosiły. Rano, nim otworzyli drzwi, długo i czujnie nasłuchiwali. W nocy wiatr ustał. Było cicho. Konie za ścianą chrzęściły sianem. Uzbrowili się w strzelby. Baby złapały za siekiery. Przez ostrożnie uchylone drzwi wypuścili psy. A ponieważ ludzie za nimi nie wychodzili, wróciły po chwili, wesoło merdając ogonami.

Tajga tonęła w bieli pierwszego, puszystego śniegu. Żadnego śladu dookoła izbuszki. A jeśli nawet jakieś były, to śnieg je zasypał. Baby otrzepywały skóry i karcily się za to, że je na noc zostawiły i teraz po tym mokrym śniegu muszą je suszyć. Naraz Kapitolina narobiła wrzasku.

- Baby, chyba dwóch skór nam brakuje!

Przeliczyły raz, drugi i rzeczywiście dwóch jelenich skór brakowało.

- Baby! Z kociołka prawie wszystko mięsiwo wybrane!

- Siekiery nie ma! Dobrze pamiętam, o tu, wbitą w pniak ją na noc zostawiłam.

Zaniepokoiili się nie na żarty. A jednak po nocy ktoś tu był. Mitricz zdecydował:

- Zbieramy się zaraz do drogi. Strzelb z rąk nie wypuszczajcie, rozglądajcie się dookoła. Ja tymczasem przejdę się z psami po okolicy. Blisko się będę trzymał...

Mitricz wrócił wcześniej, niż się go spodziewali. Biegł od strony rzeki i zziąjany, wołał z daleka:

- Czajnik z wrzątkiem, jakieś szmaty dawajcie! Szybciej, baby, szybciej. -I zawrócił. Staszek co sił w nogach pobiegł za dziadkiem.

Na brzegu Zołotuszki, w głębokiej niszy pod gałęziami rozkrze-wionego świerka, leżał człowiek. A ściślej to, co z człowieka jeszcze zostało: szkielet ludzki, odziany w nieprawdopodobne łańchmany, prawie bosy, o dłoniach sparszywiałych, z pazurami niby szpony, z twarzą w strupach, zarośnięty, z posiwiałymi włosami. Człowiek leżał na jelenich skórkach zarzygany, dławiący się niepogryzionymi kawałkami mięsa. Jeszcze dawał znaki życia. Jego głęboko wpadnięte, przerażone oczy nerwowym tikiem biegały na prawo i lewo. Ale nie miał siły wydobyć głosu. Baby obmywały mu twarz ciepłą wodą. Usiłowały poić, coś tam do niego mówiły.

Nie dało rady go uratować. Trudno było zgadywać, w jakim był wieku. Nie miał przy sobie żadnego świstka. Ale na pewno był to zbiegły więzień, strzępy więziennego odzienia to potwierdzały. Dwie skóry, leżąca przy nim siekiera i liche worek z resztkami gotowanego mięsa łatwo dowiodły, że to ten właśnie człowiek niepokoił myśliwych minionej nocy.

- Że też biedaczyna nie zapukał do nas, nie poprosił pomocy!

- Z głodu padł, raptowne jadło go zadusiło.

- Wolności widać mu brakowało, uciekał. Nie wytrzymał, nie doszedł...

- Z Arszana pewnie był. Tam jakąś rudę więźniowie dobywają i potem jak muchy od dziwnych chorób giną...

- Bywa, że z głodu w tajdze sami siebie zjadają jak ludożercy. Jeden drugiego bez litości zniecka ubije, zeżre i ucieka dalej...

- Zołotuszki się trzymał, pewnie do kolei chciał się dostać. Tułun omijał...

- Że też nie odważył się, biedak, nie zapukał do nas. Do czego to już doszło, że na tym świecie człowiek człowieka bardziej niż dzikiego zwierza się boi.

Pochowali zbiega tam, gdzie go śmierć dopadła, na brzegu Zołotuszki. Grób przywalili kamieniami, żeby trupa łase na wszelką padlinę rosomachy nie odgrzebały. A na najbliższym modrzewiu, na znak, że tu człowieka pochowano, dziadek Mitricz wysiekł prawosławny krzyż.



Noc Staszka z Wołczego chutoru do roboty wyganiała, noc przyganiała. Na nic innego w zimie, kiedy dzień ma tylko parę słonecznych godzin, czasu mu nie starczało. Wyjątkiem była wolna niedziela, która trafiała się ludziom w sowchozie raz w miesiącu. Ale i w taką niedzielę Staszek nie tracił dnia, tylko razem z Kazikiem Grubą skoro świt wyprawiali się do tajgi. Tam stawiali zajęcze wnyki albo polowali na sarny. Od kiedy dziadek Mitricz pożyczył mu berdanki, Staszek poczuł się myśliwym pełną gębą. Różnie z tą myśliwską zdobyczą bywało, ale od czasu do czasu coś mu się udało ustrzelić, wtedy cały Wołczy chutor miał po kawałku dziczyzny.

Listów do Polaków nadal nie było. Kobiety zamartwiały się coraz bardziej: „Co się z naszymi stało? Przecież niemożliwe, żeby ich wszystkich na tej wojnie pozabijali. W Polsce już być powinni, o tym gazety piszą. Co się tam z nimi dzieje?”

Tak doczekali wiosny. Astafiew przywiózł z Tułunu spóźnione gazety, które były w oczy tryumfalnymi tytułami: „W wielkiej styczniowej ofensywie niezwyciężona Armia Czerwona wyzwoliła stolicę Polski, miasto Warszawę!” - „Gromiąc uciekające w panice hitlerowskie hordy, Armia Czerwona zbliża się do granic Niemiec!” - Jak przepowiedział towarzysz Stalin: i na naszej ulicy jest teraz święto!” - „Wszystkie siły dla ostatecznego zwycięstwa!” - „Obywatele! Towarzysze! Rodacy! Dzień zwycięstwa już blisko!” - „Na Berlin! Na Berlin!”

Przy takich radosnych wieściach o rychłym końcu wojny jak grom z jasnego nieba raziły „pochoronki”. A przywiózł je Astafiew dwie. Jedną dostali starzy Suczkowie z wieścią o śmierci syna. Druga „pochoronka” była dla Polaków z Wołczego chutoru. Staszek wpadł

do kancelarii spytać o listy. Astafiew bez słowa wyjął z szuflady urzędową kopertę. Na ten widok serce w chłopaku zamarło.

- Ale ze mnie dureń, pewnie cię przestraszyłem. Nie do ciebie to, chłopcze. Szajna? Anieli Szajna mieszka tam u was na Wołczym? Coś nie słyszałem. Nie pracuje chyba?

Ślina przeszła z trudem przez ściśnięte Staszkowe gardło.

- Staruszka już, babcia...

- Syna na wojnie ma?

- Tak. Dwóch nawet.

- A niech to wszystko najjaśniejszy grom spali! „Pochoronka"! I to w takiej chwili, kiedy koniec wojny tuż, tuż!

- A listów do nas, do Polaków, nie było?

- Z tego wszystkiego byłbym o listach zapomniał. Są jakieś. I jak zwykle gazetkę możesz sobie wziąć, poczytać...

Listy też były dwa: do Honorki Unickiej i do babci Szajniny. Listu od ojca i tym razem Staszek się nie doczekał.

Z „pochoronki" wynikało, że „kapral Jan Szajna poległ śmiercią walecznych dnia 20. 9. 1944, w czasie forsowania Wisły pod Warszawą".

I list był też od Janka. Czytali go na Wołczym niby Jaśkowy głos zza grobu:

„25 lipca 44 r.

Kochana mamó i cała moja rodzinko!

W pierwszych słowach mojego listu niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Donoszę Wam, że dzięki Bogu jestem zdrowy i cały. Brata Staszka widziałem niedawno i też wszystko w porządku. Spotkałem ze znajomych jeszcze Janka Majkę, a więcej to już nikogo, bo w różnych jednostkach służą.

Mamusi kochana! Najważniejsze, co Ci chcę napisać, że już nareszcie jesteśmy znowu w Polsce! Co się ze mną, co się z naszymi chłopakami działo, to nie da się opowiedzieć! Polska! Polska! Po takiej tułaczce, po Sybirze! Wszystko tu było: i płacz, i radość,

i zmartwienie, że wy jeszcze tam, a nie tu razem z nami. A co ten Niemiec w Polsce nawyrabiał, to się nawet opowiedzieć nie da. Nie dość, że całą Polskę zniszczył i zrujnował, to jeszcze tylu ludzi namordował, że aż strach. I to od małego do starego. O naszych stronach, o Podolu, o Czerwonym Jarze nic nie wiem, bo my mamy na froncie całkiem inny kierunek. Przed nami teraz rzeka Wisła i Warszawa!

Myślimy tu o Was cały czas. A nasze dowództwo nam gwarantuje, że jak tylko wojna się skończy i dobijemy germańskiego gada, to Was zaraz z tego Sybiru ściągniemy. Mamuś! Dbaj tam o siebie, jak możesz. O mnie się nie martw. Jak Bóg da, niedługo znowu wszyscy będziemy razem. Do mnie piszcie cały czas na tę samą pol. pocztę, to list dojdzie. I jeszcze pozdrawiam wszystkich naszych z Wołczego. A Tobie Mamuś, ręce całuję.

Twój syn Janek.

W Polsce jestem, Mamo! W Polsce! I będziemy tu na Was niecierpliwie czekać, żebyście i Wy do Polski wrócili jak najrychlej. Na razie bijemy Germana, aż się kurzy".

Babka Szajnina listu od syna nie komentowała, słuchała jego treści w milczeniu i z cichym „wiecznym odpoczywaniem" na wargach.

A Honorka Unicka, ku własnemu zaskoczeniu, dostała list od Bronka Szuszkiewicza. Wyraźnie uradowana, długo nie zwierzała się nikomu, o czym też Bronek do niej napisał. Ale nie wytrzymała i wygadała się Broni w wielkiej tajemnicy:

- Niby jako do wdowy po Florcu Bronek do mnie napisał. Tak i tak, pisze, Honorciu, różnie między nami bywało, ale teraz, kiedy ty jesteś wdową po polskim żołnierzu, to jak się wojna skończy, to moglibyśmy razem, to znaczy niby ja i on, to moglibyśmy razem węzłem małżeńskim się przed Bogiem połączyć! Rozumiesz, Bronia!? I pyta mnie, co ja niby na to? I żebym mu bez zwłoki odpisała, bo chce bardzo to wiedzieć. No i tam takie jeszcze różne duperelne hece o miłości mi nabazgrał. No i jak myślisz, Broniu, odpisać mu?

A czy ja to wiem, co on tam na tym froncie z babami wyprawia? Za każdą spódnicą poleci! Już ja go znam. A tej Niurce z Buluszkina to może bękart nie zafundował? Kiedyś się do niej wmówiłam i popatrzyłam na tego dzieciaka. Mówię ci, Bronia, wykapany tata! Dzieciak podobny do Bronka niby dwie krople wody! A on mi tu będzie, buhaj jeden, węzeł małżeński przed Bogiem obiecywał! Niech sobie lepiej o swoim dziecku pomyśli, co je tutaj na Sybirze porzucił. Już ja mu odpiszę! Już ja mu, buhajowi, odpiszę!...

Broni własnych zmartwień nie brakowało. Z wiosną wróciła do niej zastarzała malaria i wysysała z niej wszystkie siły. Rok mija, jak o Dolinie z frontu nie ma wiadomości. Opiekuje się jego dziećmi prawem kaduka, na słowo. Tadek, młodszy, traktuje ją jak matkę. Co innego starszy, Staszek. Ten od początku był w stosunku do niej nieufny. Rozumiała dobrze, że w odróżnieniu od małego Staszek dobrze pamiętał rodzoną matkę i na każdym kroku porównywał ją z macochą. Jak dotrzeć z tymi dzieciakami do końca wojny? A co będzie, jeśli Dolina na wojnie zginie albo się do niej więcej nie odezwie? Na kocią łapę z Doliną się zeszła, na słowo mu zawierzyła. Co wtedy z nią, a najważniejsze, co z jego dzieciakami?

W majowy dzień pod wieczór, kiedy ludzie zjeżdżali z pól, do Buluszkina przygalopował na spienionym koniu milicjant. Ten sam, który gził się z Maruską Pogrebichą, a potem konwojował jej męża do kryminału. Od przeprawy przez Zołotuszkę milicjant gnał konia takim galopem, że kiedy ściągnął mu wędzidła przed kancelarią, koń nie miał siły stanąć dęba i chwiał się na nogach. A milicjant, zamiast z siodła zeskoczyć, wyszarpnął z kabury pistolet i zaczął strzelać do góry, raz po razie aż do ostatniego naboju. Zaalarmowani strzałami zlatywali się pod kancelarią ludzie z całej wsi. Skończywszy strzelaninę, milicjant, przystanąwszy w strzemionach, wrzasnął:

- Ludzie! Wojna się skończyła! Rozumiecie, co ja do was mówię? Wojna się skończyła! Wojna, wojna się skończyła!

Buluszkino świętowało! Do późna w nocy ludzie nie mogli się opamiętać. Dzieciaki biegały z tą radosną wieścią od chałupy do cha-

lupy, spotykały na wyprzódki powracających z pracy, pędziły z tryumfalnym wrzaskiem do oddalonych zaimków i polowych brygad:

- Ludzie! Wojna się skończyła!

Staszek, który na odgłos strzelaniny przybiegł pod kancelarię, zorientowawszy się, w czym rzecz, w te pędy pośpieszył na chutor. Biegł przez zalane wiosennymi roztopami leśne błota, a w głowie kołatała mu tylko jedna myśl: „Wojna się skończyła! Wojna się skończyła!”

Wpadł do izbuszki zziajany, ochlapany błotem. Wyglądać musiał jak zjawa, bo złożona kolejnym atakiem malarii Bronia aż przysiadła na posłaniu.

- Mamo! Ty nawet nie uwierzysz! Ty nie uwierzysz! -Jezus, Maria, Stasiu, co się stało?

- Mamo! Wojna się skończyła! Wojna się skończyła! Do Polski, do Polski niedługo pojedziemy!

Rzucił się w jej ramiona i obydwójce z tego szczęścia się rozplakali.

Z okazji zakończenia wojny Astafiew zarządził w sowchozie świętowanie. Na wspólny stół wieprzka kazał zaszlachtować. Wódki też nie pożałował. Baby naznosiły z domów kiszonej kapusty, ogórków, rydzów solonych i soczystej brusznicy. A która miała, to i tegiej bragi na tę okazję nie poskapiła.

Pod wieczór zeszli się wszyscy w stołówce. O Polakach z Wołczego też nie zapomnieli. Uroczyście odziani, w co kto miał najlepszego, ciasno sadowili się przy zastawionych stołach. Na szczytowej ścianie rozwiesili czerwony transparent, na którym Zinka własnoręcznie wykleiła białe papierowe litery: „Niech żyje tow. Stalin, nasz wielki wódz i zwycięzca”. A nad transparentem portret uśmiechniętego Stalina z fajką w ręku. Zinka też, usadowiwszy się po prawicy Astafiewa, jako pierwsza wstała i chciała coś powiedzieć. Ale zdążyła tylko zawołać:

- Towarzysze!

Baby zgodnym chórem ją zakrzyczały:

- Zamknij się, Zinka!

- Patrzcie to, jak się szarogęsi! Na froncie byłaś czy co?

- Niech Astafiew mówi, frontowiec!
- Przemów do nas z tej okazji, Iwanie. Należy ci się!

Astafiew wstał. Ocalałą ręką poprawił czarną opaskę na ślepych oku, dotknął medali połyskujących na wojskowej bluzie, ujął napełnioną szklankę:

- Szanowne matki i ojcowie nasi. Baby, męczennice wy nasze wojenne! Doczekaliśmy się nareszcie, doczekaliśmy się... - Głos mu się nagle załamał. Nie mógł powstrzymać łez i niezdarnie, ze szklanką w rękę, próbował wytrzeć sobie oczy. Na sali cichutko pochlipywały baby. - A pierwszym toastem uszanujmy, wspomnijmy tych z naszych, którzy na wojnie dalekiej swoje głowy położyli. I już nigdy tu do nas, do Buluszki, nie wrócą.

Wstali. Jak rosyjski zwyczaj każe, nie stuknęli się szklankami, tylko w milczeniu, wspominając poległych, spełnili toast do dna. I dopiero wtedy rozległ się jeden wielki szloch. Płakały nie tylko na czarno przyodziane wdowy-żołnierki, matki zabitych synów. Płakali wszyscy. Baby rzucały się sobie w ramiona, jak umiały, tak się wzajemnie pocieszały.

A w chwilę potem już nikt nikogo w tej sali nie słuchał. W ogólnej biesiadnej wrzawie ludzie jedli, pili i przekrzykiwali się wzajemnie. To tu, to tam zaczynały się nieskładne śpiewy. Pijany czad coraz mocniej tumażył ludzkie głowy. Głośno dopominano się harmonisty. Pawlik był na to przygotowany i nie kazał się dwa razy prosić: „Barynia, barynia, barynia sudarynia!” I tak jak na początku biesiady wszyscy płakali, tak teraz prawie wszyscy ruszyli w tany. Baby z chusteczkami w ręce wysoko uniesionej podśpiewywały głośno i drobno nogami szalony rytm czastuszek. Dziadkowie i dorastający chłopcy, z koszulami wypuszczonymi na spodnie, urozmaicali taniec przysiadami: „Szira ulica rozdajsia!”

- Ech, baby, co nam pozostało, raz się żyje.
  - Żywiej, Pawlik, żywiej, graj, milutki, aż się iskry posypią!
- Staszka zaciągnęła na tę wspólną biesiadę Murka. Nie miał głowy do radości, martwił się o ojca. Niurka szła do stołówki odświeżnie

wystrojona: wdowa z niej, bądź co bądź żołnierka. A że dzieciaka sobie z kim innym, do tego jeszcze z Polakiem, sprawiła, jej rzecz: Niurka głowę nosiła wysoko.

- Idziemy, Staś, bo się jeszcze spóźnimy. Patrz, ile narodu wali.

- Nie idę tam, Niurka.

-Jak to? A to niby czemu? Astafiew przecież wszystkich prosił. Idziemy!

- Tak jakoś, ojciec nie piszą...

- Ale nawet mowy nie ma: idziemy! Raz tylko wojna się kończy.

-Niurka zaciągnęła go do stołu i usadowiła obok siebie.

Do tego wieczoru Staszek wódki nie pił i papierosów nie palił. Przydziałową machorkę wymieniał najedzenie. Przydziałową wódką też handlował. Kilka razy baby z jakichś tam okazji próbowały go wódką częstować, ale kończyło się na żartach, kiedy krztusząc się po pierwszym łyku, wypluwał śmierzący karbidem, parzący podniebienie płyn.

Dzisiaj do wypicia wódki zmusił chłopaka nie kto inny, tylko dziadek Mikiszka. Przy pierwszym toaście Astafiewa ku pamięci poległych Staszek wstał, jak wszyscy trzymał w ręku napełnioną szklanekę i nie bardzo wiedział, co z nią począć. Niurka wypiła wódkę jednym duszkiem. Dziadek pił drobnymi łyżkami, niby źródlaną wodę. Chrząknął, otarł brodę i wtedy zauważył, że Staszek wódki nie wypił.

- Nie godzi się tak, chłopcze. Wielki to grzech pamięci zmarłych nie uszanować. Trza to wypić!

Jak Staszek wypił tę pierwszą w swoim życiu szklanekę wódki i nawet się nie zakrztusił, nigdy potem nie umiał sobie tego wydumaczyć.

- Mołodziec! - pochwaliła Niurka - ale zagryzać trzeba. Zaraz ci mięska naładuję: świeża świninka, smaczna...

Niurka mu znowu szklanekę napełniła. Niedługo potem zrobiło mu się błogo, ni to głupio, ni to wesoło. Jakaś mgła zaciągała mu oczy, wszystko przed nim skakało. Niurkę, która nad jego uchem coś tam bez przerwy trajkotała, coraz częściej widział podwójnie. To znowu śmieszyło go do hysterii, kiedy długa broda dziadka Mikiszki nu-

rzała się w misce z kapustą. Niurka wciągnęła go w tańczący dok, ale Staszek tańczyć nie umiał. Pijani tancerze obijali mu boki, popychali od ściany do ściany. Pawlik z harmonią, sufit, stoły, wszystko razem wirowało mu przed oczami. Niurka gdzieś się zapodziała... Ocknął się na zewnątrz. Oparty o modrzew, czuł na policzku jego chropowatą korę.

Majowa noc była ciemna i ciepła. Budynek stołówki huczał tańcem i śpiewami. Po wsi czekały psy. W pobliżu żeński głos samotnie śpiewał:

***Kostry goriat dalokije, Łuna w rekie kupajetsa...***

Nie pamiętał, kiedy i jak Niurka go odszukała. Kolana się pod nim uginały, nogi nie chciały go słuchać. Niurka wlokła go pod pachę.  
- Ale chłopczynę rozebrało! Bywa tak od niezwykłości...

- Dokąd ty mnie ciagniesz? Nie chcę. Puść mnie, sam sobie poradzę.

Wyrwał się i po kilku krokach zarył nosem w trawę. Nie mógł się podnieść o własnych siłach.

-Wstawaj, głuptasie. Nie zostawię cię tu przecież samego.

- Zostaw! Na chutor muszę. Ja sam, sam, na chutor...

- Akurat w takim stanie na chutor! Ani mi się śni jutro w kocz-kach topielca szukać...

Co dalej się z nim działo, nie pamiętał. Kiedy się rano obudził, leżał nagusieńki w nieznanym łóżku, w nieznannej izbie. Czuł się podle i bolała go głowa. Do tego ścienny zegar zaczął głośno wybijać długą godzinę. Nagle weszła uśmiechnięta Niurka.

- No jak, bohaterze? Wiem, wiem, możesz nawet nic nie mówić: łeb ci pęka, co? Zawsze tak, z przepicia. A wstydzić się nie masz czego. Nawet nie myślałam, że z ciebie już chłop całą gębą... Oj, znam ja was, chłopów, niby zły szeląg: od małego do starego wszyscy jednakowi...



Wiść o zakończeniu wojny dotarła do Polaków na Wołczym chutorze w maju. Tymczasem minął czerwiec, lipiec, kończyło się powoli krótkie syberyjskie lato, a oni nadal o powrocie do Polski nic konkretnego nie wiedzieli. Nikt się tutaj ich zesłańczym losem nie przejmował. Rzadko wpadające w ich ręce gazety zajmowały się o wiele ważniejszymi problemami dziejącymi się na tym świecie niż los zesłanych na Sybir Polaków. Nagabywany o możliwość powrotu do Polski, zarządca Astafiew odpowiadał niezmiennie:

- Widocznie jeszcze nie przyszła wasza pora. Kiedy? Naczalstwo tylko wie, co tam ja. Trzeba czekać... A zresztą, czy wam tu u mnie najgorzej?

Nie narzekali na Astafiewa ani na ludzi z Buluszki: razem tutejszą biedę klepali, nikt ich tu specjalnie nie krzywdził, palcem nie wytykał. Ale przecież wojna się skończyła! Jak długo w tej niewiedzy i szarpiącej duszę niepewności mieli tu czekać? Tym bardziej że znowu listy do nich przestały przychodzić. Zaczęły się rozterki: wojna się skończyła, może nasi już w wojsku nie służą, rozjechali się po całej Polsce, to jak ich list na połowę pocztę pisany znajdzie?

Polki z Wołczego długo radziły, co w tej sytuacji począć. Nic, tylko trzeba ponownie wybrać się do Tułunu i tam pukać do wszystkich możliwych władz. A żeby nie jechać tam z gołymi rękami i jakiś ślad po swoich staraniach zostawić, uradziły zbiorowe podanie w sprawie powrotu do Polski napisać. I tak jak poprzednim razem zdecydowały, że do Tulunu wyprawiają Honorkę Unicką ze Staszkiem.

Astafiew z trudem zgodził się zwolnić ich na parę dni z roboty, ale konia z wozem im na drogę nie dał.

- Żniwa zaczynamy... Nie mogę. Nawet za to, że was z roboty zwolniłem, wygawor dostanę. Nogi macie zdrowe, jakoś sobie poradzicie.

Trzy dni wlekli się tajgą do Tułunu. Pierwszą noc w mijanej wiosce przespali, drugą trwożnie przedrzemali, zagrzebawszy się w stercie siana. W Tulunie, tak jak poprzednio, pierwsze kroki skierowali do tartaku. Honorka się denerwowała:

- A może już wszyscy do Polski wyjechali? Siedzimy w tej tajdze i o niczym nie wiemy.

- Niech się pani tak nie denerwuje: jeśli nawet wyjechali, to dla nas lepiej, bo wtedy i my wyjedziemy. Dowiemy się, jak oni to sobie załatwili i już. Chyba jacyś ludzie w tych barakach mieszkają, to coś nam o naszych powiedzą.

Niepotrzebnie Honorka tak się martwiła. W tartakowych barakach nadal Polacy mieszkali. Nawet jeszcze ich przybyło, bo na wieść o zakończeniu wojny każdy, kto tylko mógł, wywlekał się z tajgi, byle tylko bliżej kolei. Zastali w dobrym zdrowiu Sylwię z synkiem, panią Korczyńską i starego Majkę, niestety już samotnego, bo Majkowa tej wiosny umarła. A o rychłym powrocie do Polski i tutaj nikt niczego konkretnego nie wiedział.

- Chodziliście, gdzie trzeba, pytaliście?

- Dzień w dzień ludzie po wszystkich możliwych urzędach łążą. Władze się denerwują i wszystkim odpowiadają, że na temat repatriacji Polaków Moskwa nie przysłała im żadnego „prikaza”.

- Tam już nie Polska jest na naszym Podolu, mówią, tylko zachodnia Ukraina, podobno do Sowietów na zawsze przyłączona w trzydziestym dziewiątym roku została.

- Jezus, Maria! Co wy wygadujecie? To my niby do Czerwonego Jaru, do swoich domów, nie mamy prawa wrócić?

- Na to, Honorciu, wychodzi. Jak w trzydziestym dziewiątym Sowieci weszli i te nasze tereny Polsce zabrali, to tak ma już zostać.

- Mówią na NKWD, że nas tu wywieźli, bo my kułaki, a oni takich tam nawet po wojnie nie potrzebują. Na naszych polach już dawno kolchozy pozakładali.

- No to dokąd my mamy teraz wracać?

- Jak to dokąd? Do Polski! Podole nam od reszty Polski odcięli, ale Polska przecież jest. Matka nasza, zawsze coś tam dla swoich dzieci znajdzie.

Nocowali u Sylwii. Ta sięgnęła na szafkę po jakąś gazetę.

- Polska gazeta?! - Staszek nie potrafił ukryć zdumienia.

- Właśnie sobie o niej przypominałam. Chłopak z naszego baraku na dworcu od kogoś dostał. „Wolna Polska” się nazywa. Drukuje ją w Moskwie Związek Patriotów Polskich. To są ci, którzy po Andersie Dywizję Kościuszki zorganizowali. Chcesz poczytać?

Staszek rzucił się na gazetę i o bożym świecie zapomniał. Ostatnią polską gazetę, „Karuzelę” z Patem i Patachonem, kupił sobie w Tłu-stem tuż przed wojną... To nic, że Sylwii gazeta była stara, z marca tego roku. Czego to w niej nie było! O wojnie, o Polsce, o wojsku polskim: „Stolica wolna! Żołnierze Dywizji im. Tadeusza Kościuszki defilują na ulicach Warszawy”. I fotografia z tej defilady. Ale marna, trudno rozpoznać twarze. Żołnierze niosą sztandar i maszerują. Miasta nie widać. Same gruzy dookoła. „Warszawa w gruzach” - „Zbrodnie hitlerowskiego okupanta” - „Polscy Żydzi zagazowani w Oświęcimiu i Treblince” - „Razem z bohaterską Armią Czerwoną nasze wojska zwycięsko dojdą do Berlina!” - „Z życia Związku Patriotów Polskich... Obwodowe oddziały ZPP powstały niedawno w Krasnojarsku i Irkucku. Do ich zadań należy interesowanie się znajdującymi się na obszarze tych obwodów Polakami, udzielanie im możliwej pomocy, prowadzenie ewidencji i przygotowywanie ich do repatriacji do nowej Polski...”

- Słuchajcie, słuchajcie, co tu piszą: „Obwodowe oddziały ZPP powstały niedawno w Krasnojarsku i Irkucku. Do ich zadań należy...” A przecież Irkuck to nasza obłast!

- To na co my tu jeszcze czekamy? - niecierpliwiła się Honorka.

Jeszcze tego wieczoru postanowili, że nie zwlekając, napiszą o sobie do redakcji. A już koniecznie ktoś z Polaków musi się wybrać do Irkucka, do tego obwodowego oddziału ZPP. Tylko kto? Ku zaskoczeniu wszystkich pani Korczyńska się zgodziła.

- Samotna jestem, nigdzie nie pracuję, to i żadnego pozwolenia mi nie trzeba. Tylko jeszcze ktoś by się do towarzystwa przydał, boja z ruskim nie za bardzo, no i latka już nie te...

- Niech mnie pani weźmie ze sobą! Na pewno się przydam i po rusku umiem. — Staszek aż się palił do tej irkuckiej podróży.

- Po rusku to on gada jak rodowity kacap, nawet pisze - potwierdziła Honorka. - Ale co mam Broni powiedzieć? Denerwować się będzie, martwić o ciebie?

- Przecież pani Korczyńska ze mną jedzie. Spisy nasze do Irkucka zawiozę, żeby o Buluszkino nie zapomnieli. Nie zginę...

Parę dni potrwało, nim wszystkich Polaków spisali i zdobyli bilety do Irkucka. Na wschodni kierunek bilety sprzedawano normalnie. Tylko na zachód nadal trzeba było mieć specjalne pozwolenie miejscowego NKWD i wojennego komendanta stacji. Z trudem wpakowali się do nocnego pociągu, do tego stopnia był przepełniony. Chyba tylko siwe włosy pani Korczyńskiej im w tym pomogły, bo młody żołnierz podał jej rękę i wciągnął do wagonu. Kto też tym pociągiem nie podróżował! Lżej ranni żołnierze na krótkie urlopy, okaleczeni, często straszliwie - do domów. Młody żołnierz, który im pomagał, podleczonej z rany w pachwinę, jechał z Tajszetu na dalsze leczenie do szpitala w Irkucku.

- A do Polski nie doszedłem. Na Dnieprze kulę dostałem. Na Ukrainie i pod Moskwą najwięcej Sybiraków wojna nakosiła. Najbardziej przykre, że w Berlinie mnie nie było. Ot, pech!

- To co, po szpitalu do cywila idziesz?

- Gdzie tam, mój rocznik jeszcze ma dalej służyć: podleczę się i wracam do jednostki.

- O to jeszcze, bracie, powojujesz!

- Jak to: powojuje? Co ty pleciesz, przecież wojna się już skończyła.

- Jedna się skończyła, a druga dopiero się zaczęła. I tylko jeden czort wie, jak długo potrwa.

- Jaka wojna się zaczęła? Coś ty, chłopie, pijany czyś makowiny się nażarł?

- To ty widać jesteś ciemna masa, żołnierzyku, jeśli nie słyszałeś, że nasi wczoraj na Dalekim Wschodzie Japońców zaatakowali. Co, nie widzisz, ile wojskowych transportów na wschód wali?

Wysiedli rano na irkuckim dworcu i nie bardzo wiedzieli, dokąd się ruszyć. Miasto, choć w większości z drewnianą zabudową, rozle-

głe, z centrum po drugiej stronie Angary. Gdzie tego ZPP szukać? Na irkuckiej stacji nikt ze służbowych ludzi o takiej polskiej organizacji nie wiedział. Milicjant odesłał ich do komendy miejskiej; może tam coś o tych Polakach wiedzą.

Angara, rzeka ciemnostalowa i rwąca. Most do centrum miasta zadoczony wojskowymi ciężarówkami. Na wielu z nich znaki Czerwonego Krzyża, widocznie rannych wiozą do szpitala. Z japońskiej wojny chyba jeszcze nie zdążyli. Ale o co dopiero rozpoczętej wojnie z Japończykami mówią wszyscy. Głośniki radiowe co chwila grzmią na cały regulator marszami wojennymi i pieśniami.

Kurz na ulicach. Smród spalin, ryk klaksonów. Daleko do tego centrum, a tu tak gorąco. Czerwony Krzyż na samochodach przypomniawszy Staszce Łubkę. Nie napisała do niego z tego Irkucka, jak obiecywała. A może list nie doszedł? Przypomniał sobie też, że wujek Łubki miał być w Irkucku dyrektorem jakiegoś szpitala. „Ile tych szpitali może być w takim mieście? Jak będzie czas, to spróbuję Łubki poszukać. Dopiero się zdziwi”...

Znaleźli komendę milicji. Mieli szczęście, bo pierwszy milicjant, którego zaczepili, wiedział, gdzie ZPP szukać.

- Niedaleko stąd, na placu Kirowa szukajcie. Tam już wam ludzie podpowiedzą.

Podpowiedzieli. Znaleźli ZPP. Tabliczka polska i rosyjska, polska chorągiew. Gnieździł się w dwóch pokojach w starej kamienicy. Jakaś miła pani, nim zaczęła rozpytywać o szczegóły, napoiła ich osłodzoną herbata, poczęstowała twardymi wojskowymi sucharami.

- Zaraz przyjdzie nasz delegat, pan Ziarniecki, to on wam wszystko dokładnie wydumaczy. Nie ma dnia, żeby tu do nas Polacy z różnych rejonów nie przyjeżdżali.

Ziarniecki ledwie w drzwiach się pokazał, przystanął zdumiony i rozjaśniony uśmiechem podszedł do pani Korczyńskiej.

- Chyba mnie oczy nie mylą!? Pani dyrektorowo, co pani tu robi?

I nim nie mniej zdumiona spotkaniem pani Korczyńska zdążyła przełknąć łyk herbaty, Ziarncki zgarnął ją pod rękę i poprowadził do swojego pokoju.

Ziarncki-Finkelstein był adwokatem z Zaleszczyk, gimnazjalnym kolegą Karola Korczyńskiego. Do Rosji uciekł w 1941 roku przed Niemcami. Miał jakiś wypadek przy wyrębie tajgi, strzaskało mu nogę i do polskiego wojska, mimo że był przedwojennym podchorążym rezerwy, go nie wzięto.

- Karol, biedny Karol. Jak ja pani dyrektorowej współczuję... A ja się tutaj zaczepiłem. Rozumie pani dyrektorowa, prawnicze wykształcenie i tak dalej. Wyszukujemy po tajdze Polaków, spisujemy ludzi, kiedy przyjdzie czas do Polski wracać... Kiedy? Droga, pani dyrektorowo... Pani nie uwierzy, aleja nawet już w Moskwie, w zarządzie głównym ZPP byłem. Wanda Wasilewska tam wszystkim kieruje. Tak, tak, ma pani rację, to ta sama Wasilewska, redaktorka przedwojennego „Płomyczka”. Co mi tam w Moskwie powiedzieli? Do Polski wrócimy na pewno, ale przed tym musi być jeszcze jakaś międzynarodowa umowa między polskim i rosyjskim rządem. Teraz musimy wyszukiwać Polaków, sporządzać ewidencję, żebyśmy się na tym Sybirze nie pogubili. Mam do pani nieśmiałą osobistą prośbę, pani dyrektorowo, żeby się pani bardzo nie zdziwiła, bo ja teraz tutaj nie nazywam się Finkelstein, tylko Ziarncki. Pierwsze lepsze polskie nazwisko mi do głowy przyszło. Po ciężkich osobistych doświadczeniach doszedłem do wniosku, że moje czysto żydowskie nazwisko Finkelstein to nie było na te zwariowane czasy najlepsze nazwisko. Wiem, że pani mnie zrozumie, droga moja pani dyrektorowo. A Karol, nasz biedny Karol. To przyjaciel był mój serdeczny...

Ziarncki załatwił im nocleg w jakimś robotniczym hoteliku i kartki na obiady. Nie zwlekając, kazał zaprowadzić ich do magazynu ZPP i odziać przyzwoicie z unrowskich darów, od stóp do głów. Staszek od niepamiętnych czasów nareszcie miał na sobie porządną koszulę, do tego wełniany sweter, ubranie i buty! Porządne, z grubą skórzaną podeszwą, wysoko sznurowane.

Pani Korczyńska, chciała czy nie chciała, dostała od Ziarnieckiego specjalne zaświadczenie po rosyjsku, z którego wynikało, że jest przedstawicielką obwodowego oddziału ZPP na rejon Tułunu, a wszystkie radzieckie władze powinny jej udzielać organizacyjnej pomocy w pracy z Polakami na tym terenie. Ziarniecki obiecał, że sam do Tułunu niedługo przyjedzie i we wszystkim pani Korczyńskiej pomoże.

Mogli już wracać, ale czekali jeszcze na załatwienie im powrotnych biletów do Tułunu, bo z tym było niełatwo. Staszek wybrał się pojechać do Irkucku. Liczył na to, że może napotka jakiś szpital, to Łubki spróbuje poszukać. Odziany był przyzwoicie. I pierwszy raz wstąpił do fryzjera.

- Jak cię strzyć?

- Wszystko jedno, byle nie na łyso.

- Golenie też?

Staszek zarumienił się jak piwonia. Fryzjerka, młoda piersiasta dziewczyna, mdławo pachniała perfumami i gładką dłonią pieściła jego puchowaty podbródek.

- Ładny masz puszek, młodziutki niby gąsiątko. Szkoda go na golenie, niech jeszcze nieco podrośnie, stwardnieje...

Fryzjerki chichotały. Staszek wyrwał się z babskiej fryzjerni niby oparzony. Jeden szpital, drugi, ale w żadnym nikt nie słyszał o doktorze Bielkowiczu, który do tego miałby być dyrektorem.

Szczęśliwie jeden z lekarzy przypomniał sobie, że doktorowi Bielkowiczowi polecono zorganizować dodatkowy szpital w szkole, i podał chłopcu adres:

- Szukaj szkoły numer trzysta. Niedaleko stąd.

Dzień był letni, prawie upalny. Godziny popołudniowe. Na szkolnym boisku ozdrowieńcy wygrzewali się na słończku. Staszek wszedł za bramę i rozglądał się dookoła.

- Szukasz kogoś? - zainteresowała się nim przechodząca obok sanitariuszka.

- Doktora Bielkowicza chciałbym...

- Na operacyjnej akurat. Jak masz czas, to poczekaj.
- A Luba Bielkowicz tu może pracuje?
- Pracuje, a co?
- Chciałbym się z nią zobaczyć.
- A kim ty dla niej jesteś? -Nikim..., to znaczy, znajomym...
- A, znajomy! - Dziewczyna uśmiechnęła się znacząco. - O tam ta

twoja Łubka, akurat beznogiego na wózku wozi. Łubka! Łubka! Turlaj maszynę do nas albo zostaw go tam na chwilę, gościa masz. Znajomy!

A Łubkę ledwie Staszek poznał: cała na biało, zostawiła wózek z rannym w cieniu i śpiesznym krokiem szła w jego kierunku. Poznała.

- Stasik!? -Witaj, Luba!

Stali przed sobą i obydwójce nie bardzo wiedzieli jak, a może nie mieli śmiałości, żeby się przywitać. Ranni żołnierze gapili się na nich z nieskrywanym zainteresowaniem...

Czekał na nią przed szpitalem, dopóki nie skończyła dyżuru. Wyszła do niego w perkalowej, kwiecistej sukience. Wydoroślała Łubka, wyładniała.

- Nie mam cię nawet dokąd zaprosić - zaczęła od usprawiedliwienia. - W hoteliku pielęgniarek mieszkam, po kilka w pokoju, a gości nam wprowadzać nie wolno. Wujek załatwił mi tu pracę i mieszkanie. A wiesz, moja mama umarła. Wspominała cię nawet czasem. No i tak to...

Usiedli na brzegu Angary i na wypródki opowiadali własne dzieje.

- Nie napisałaś do mnie, czekałem.

- List chyba nie doszedł. Myślałam, że ty zapomniałeś. A twój ojciec? Żyje, pisze?

- Nie pisze, żadnych wiadomości. Wojna się skończyła i nic. Nie wiem, co się z nim dzieje.

- A mój nie żyje. Mama dopiero przed samą śmiercią w wielkiej tajemnicy mi powiedziała. A co to znaczy być skazanym: „bez prawa



do korespondencji", wujek mi wydumaczył. To kiedy do tej swojej Polski wracasz?

- Obiecują tu, w Irkucku, że niedługo, ale ja wiem? Teraz znowu ta wojna z Japonią.

- Pewnie znowu rannych zaczną do nas zwozić. Czasami serce nie wytrzyma, tak mi tych biedaków szkoda: bez rąk, bez nóg, bez oczu. Mówiłam ci, że moja mama często cię wspominała? Tak sobie myślę, że przez te nasze buluskińskie spotkania moja biedna mama swoją polskość sobie przypominała. Tyle mi tylko po niej zostało.

Łubka wysupłała zza wysokiego kołnierza sukienki miniaturkę dwuramiennego krzyżyka zwisającego na srebrnym łańcuszku, przyłożyła go do warg i znowu głęboko ukryła.

- Przed dziewczynami go chowam. Komsomołką jestem. Nie dałoby się nikomu wydumaczyć, że to tylko pamiątka po mamie. Dopiero by mi za noszenie tego krzyżyka dali...

Zaczęło się ściemniać. Łubka odprowadziła go na plac Kirowa. Stali długo, trzymając się za ręce, nie umieli się rozstać. Łubka zawsze była odważniejsza w okazywaniu uczuć; zarzuciła Staszкови ręce na szyję i mocno pocałowała.

- Na pożegnanie, Staś, bo my się już chyba nigdy więcej nie zobaczymy. Ty do swojej Polski wrócisz, a ja tutaj...

Nie dokończyła. Wyszarpnęła mu się i pobiegła, nie oglądając się, w ciemność ulicy.

Staszek Dolina wracał do Buluszkino nie tylko z dobrymi wieściami, ale i z workiem wyładowanym różnymi fatałaszkami, którymi obdarowano ich w ZPP. Ale chyba sam diabeł go pokusił, żeby po drodze wstąpić jeszcze na tułuński bazar i tam spróbować wymienić konserwę zagęszczonego mleka na kawałek wędzonej słoniny. Z workiem pod pachą, z konserwą w ręce, wolno przepychał się w gęstym tłumie i wypatrywał u bab połcia słoniny Ani się spostrzegł, jak nagle wokół niego zakotłował się tłum chłopackich oberwańców, a szarpnięty worek wysliznął mu się spod ramienia. Tak się zagapić, tak głupio dać się podejść! Na szczęście znał ten bazar i zwyczajnie miejscowych złodziejasków z własnego doświadczenia. Nie tracąc czasu, wskoczył na pustą ladę i z tej wysokości zdążył jeszcze dostrzec dwóch chłopaków uciekających z jego workiem. O tym, żeby ich dogonić, nie było mowy, zwłaszcza że zginęli mu z oczu pomiędzy straganami. Co robić? „Nic, tylko trzeba Sańki poszukać, ten mu pomoże. Żeby tylko go odnaleźć”. Staszek zeskoczył z lady i z tą nieszczęsną konserwą w ręku pośpieszył w stronę pobliskich torów, gdzie wśród półrozwalonych bud była zwyczajowa złodziejska meta. Pamiętał, że tutaj „szpana” zwykła była zwędzony na bazarze towar przekazywać swoim szefom - „pachanom”. Tam też spodziewał się spotkać Sańkę i jego bandę. Jeśli worek ukradli mu chłopcy od Sańki, to nie ma sprawy, zwrócą mi go na pewno, choć trzeba będzie coś im odpalić. A jeśli inni, to Sańka chyba będzie wiedział kto...”

Przed starą wpółrozwaloną budą zatrzymało Staszka trzech ponuro wyglądających chłopaków. Nie było wśród nich uciekających z jego workiem.

- Czego tu szukasz? - warknęli, a jeden strzelił sprężynowym nożem.

- Mam sprawę do Sańki.

Chłopcy jakby na chwilę stracili pewność siebie i coś między sobą poszeptali.

- A ty ktoś taki?

- No, Staszek. Sańka mnie zna, będzie wiedział.

- Ale my cię nie znamy... Ksywę masz?

- Powiedz mu, że... Polak!

Dwóch zostało przy nim, trzeci zniknął między budami. Po chwili wrócił.

- Dobra jest, Sańka kazał go przyprowadzić.

Sańka ocenił sprawę jako trudną, ale niebeznadziejną.

- To nie moje chłopaki. Najpewniej to sprawka ludzi Amira. „Nos!”, Wal w te pędy do Amira. Słyszałeś, o co tu chodzi? No, to powiedz, że Sańka go tu zaprasza, bo ma sprawę. Tylko migiem. „Nos”, migiem! A swoją drogą, Staś, widać, że „wsiok” się z ciebie zrobił, żeby się tak dać byle komu na „wydrę” zrobić! Co to za konserwa? Mleko? Nie pijam mleka od czasu, jak mnie nieboszczka mama od cycka odstawiła. Mięsnej konserwy nie masz? Na zagrychę najlepsza „swinaja tuszonka”. To po coś aż do tego Irkucka zaiwaniał?

Nie pogadali sobie długo, bo do budy wszadł czarny, dobrze zbudowany chłopak, w towarzystwie jeszcze dwóch jemu podobnych. Jeden z nich trzymał Staszkowy worek.

- Cześć, Sari.

- Cześć, Amir. Fajnie, że cię widzę.

- Chyba o to barachło chodzi. Twój worek?

Staszek w milczeniu skinął głową. Amir błysnął białymi zębiskami w kwaśnym wzgardliwym półuśmiechu. Sańka kontynuował pertraktacje.

- Kumpel mój, „człowiek”... Ksywę ma „Polak”. A tak naprawdę to też Polak. Tak jak ty kibluje tu u mentów na naszym Sybirze. A ten worek, co go twoi znaleźli, na wieś niósł, do rodziny. Z Irkucka przez bazar wracał. No to taką miałem do ciebie sprawę.

Amir roześmiał się na to całą gębą i coś warknął w niezrozumiały dla Staszka języku do tego z workiem. Tamten bez słowa rzucił go Staszкови pod nogi.

- Sprawdź.

- Coś ty! Szalik tam mam, chcesz? Zagraniczny!

Amir pogardliwie machnął ręką, podał dłoń Sańce i ze swoimi wymknął się z budy.

- Nie Ruski chyba ten Amir. Gruzin?

- Też kaukaski człowiek, tyle że Czeczeniec. Tak jak i ty ze „spiec-piereseleńców”. Swój chłopak, ale szalony jak sto diabłów. Ze trzy razy z mamra uciekał, nim się w Tułunie zatrzymał. Nie chciało mi się z nim bić, chłopaków szkoda, no to zawarłem z nim ugodę. W Bodaj-bo, w tamtejszej karnej kolonii, jak mu ment młodszego brata pobił, to mu Amir gardło przegryzł i tylko ment piętami podrygał. Czeczeniec, bracie, bez rodziny i bez noża nie może żyć na tym bożym świecie. Amir głównie o żarcie dla swoich tu na naszym bazarze się stara. Nazwozili tu tych Czeczeńców do cholery i teraz całymi rodzinami z zimna i głodu zdychają. Ciuchy Amira nie interesują.

Z wieści, które przyniósł, na Wołczym ucieszyli się wszyscy. „Niedługo wyruszamy do Polski! Teraz to już na pewno. Niedługo, niedługo!” I zaczęło się na Wołczym jedno wielkie czekanie, kiedy to wreszcie z Irkucka dotrze do nich wieść, że nadszedł czas powrotu do Polski.

Przez tę irkucką wyprawę prawie miesiąc nie było Staszka w robocie. Kiedy zgłosił się do kancelarii, zarządca Astafiew nie miał dla niego wesołej nowiny.

- Źle z tobą, chłopcze... Ja tu ryzykuję, daję mu parę dni zwolnienia, a tego prawie miesiąc nie ma! Zapomniałeś do jasnej cholery, że za bumelkę idzie się do kryminału? Zinka, bladź, doniosła i milicjant na ciebie sprawę założył. Właściwie to powinienem teraz spętać cię jak prosiaka, wsadzić na wóz i wieźć na milicję. Ale czort z tobą, i tak swojego się doczekasz. Bierz Sierka, zaprzęgaj do skrzyni i pojedziesz na drugą zaimkę ziemniaki wozić. Kopiemy dzisiaj, trzeba się spieszyć, żeby przed pierwszym śniegiem zdążyć.

- Dziękuję, Iwanie Iwanowiczu.

- Daj spokój! A przynajmniej coś tam załatwiłeś? Dowiedziałeś się coś o ojcu? To kiedy do tej Polski wracasz? Aż w Irkucku podobno byłeś?

- O ojcu dalej nic... Ale w Irkucku mi powiedzieli, że już niedługo puszczą nas do Polski. I dadzą nam tu znać, do sowchozu.

-Jeśli cię wcześniej milicja nie zabierze. No to do roboty, synku, do roboty: naleniuchowaleś się, starczy. Patrzcie go, patrzcie, a to ci chojrak, aż do samego Irkucka się wybrał. No, no!

**Ziemiaki** tej jesieni w sowchozie obrodziły i baby cieszyły się, że na zimę starczy. A w ogóle to chodziły złe i rozdrażnione jak osy, którym gniazdo zrujnowano. No bo jakże to? Wojna już dawno się skończyła, a w ich babskim życiu żadnej zmiany na lepsze nie widać: głodna harówka od świtu do nocy w sowchozie. I w domu też wszystko na ich głowie. Już dawno zapomniały baby o tej spontanicznej radości, jaka nimi na wieść o zakończeniu wojny owładnęła. Kiedy niby naiwne dzieci wierzyły, że skoro skończyła się wojna, to natychmiast, jak ręką odjął, skończą się też ich męczarnie i kłopoty. Lada dzień wrócą mężczyźni z wojny, zajmą się polem, tajgą i sowchozem, zadbają o walący się dom, o żywność dla wygłodniałych dzieciaków, a je przytulą, wysłuchają babskich żalonych skarg i opowieści. A ich Bu-luszkino zamieni się odtąd w krainę jednej wielkiej szczęśliwości. Ale kiedy czas leciał, a w sowchozie nic takiego się nie zdarzyło, dzielne dotąd kobiety, coraz bardziej rozczarowane i rozżalone, traciły inicjatywę, wiarę w swoje siły i czekały z opuszczonymi rękami na to, co im przyniesie los.

I jakoś dopiero teraz, po wojnie, Buluszkino zaczęło liczyć, kto ze wsi na wojnę poszedł, kto z niej wrócił, kogo wciąż jeszcze nie widać, a kto z niej nie wróci już nigdy. Rachunek był tragiczny. Większość tutejszych mężczyzn na wojnie poległa. Kilku wróciło inwalidami na całe życie. Tylko sześciu z trzydziestki, których powołała wojna, wróciło do Buluszkino zdrowych i całych. Ale i oni zacządni woj-

ną wciąż nie mogli dojść do siebie: pili bez umiaru, awanturowali się z babami, ryczeli zachrypłymi od przepicia głosami frontowe śpiewy, bajali o swoich bohaterskich przewagach, o krainach dalekich, dziwnych i burżujskich, gdzie na wsi nie ma kołchozów i sowchozów, gdzie każdy chłop sam dla siebie „car, Boh i woński naczałnik”. Taki tryb życia byłych frontowców nikomu na zdrowie nie wychodził.

A do tego nowa wojna z Japonią ponowny popłoch we wsi wywołała. Baby nie mogły pojąć: jak to, to całe życie będą te nasze chłopcy wojować? Dopiero jakiś tam Niemiec i Hitler, a teraz znów jakiegoś skośnookiego Japońca diabli nadali. A chłopci, jak to chłopci, już się i na tę nową wojnę wracać wybierali. „Wsio dla fronta, wsio dla победы!”

- Lenie, pijusy sakramenckie, jak im ta wojna zasmakowała! A ty, babo, męcz się tutaj, dupy dzieciakom podcieraj, a oni pójdą wojować, ordery sobie przypinać, wódę chlać i za cudzymi babami latać: mało im było różnych tam Niemek, Japonek jeszcze nie próbowali!

I tak przyszła do Buluszkino pierwsza, powojenna zima. Nim śnieg zasypał tajgę, a rzekę ścięły lute mrozy, Staszek dwa razy musiał chować się w tajdze przed milicjantem. Na szczęście ten nie przejawiał zbytnej gorliwości, żeby chłopaka łapać.

Jak co zimy, w sowchozie taka sama robota. Staszek ze swoim nieodłącznym Sierkiem jeździł do tajgi po drzewo, woził siano ze stert na nadrzecznych polanach. I znowu, jak co zimy, noc go z Wołczego wyganiała, noc przyganiała. Robota, codzienne starania o to, żeby do domu przynieść choć odrobinę czegoś do zjedzenia, sprawiały, że miał mniej czasu na tęskne myślenie: kiedy! No kiedy nareszcie z tego Tułunu przyjdzie do Wołczego wezwanie: „Załadować wszystkich waszych Polaków, jakich tam macie, na podwozy i natychmiast wyprawić na stację do Tułunu! Do domu, do Polski, ci wasi Polacy wracają”. Ale takiego wezwania jak nie było, tak nie było. Boże! Żeby ta wiosna przyszła jak najszybciej, bo już wtedy na pewno. Na pewno!...

Tego ranka w kilka sari jechali po siano w górę Zolotuszki. Ledwie świtało. Droga wiła się korytem rzeki i była wyjątkowo trudna. Trwające od paru dni śnieżyce zawlokły rzekę głębokimi zaspami. Ale w sowchozie zabrakło siana i nie bacząc na podłą pogodę, trzeba było przywieźć. Parujące potem konie z trudem forsowały głębokie śniegi. Staszek włókł się jako przedostatni, z czego się nawet cieszył, bo Sierko miał drogę nieco przetartą. Chłopak był głodny, szcząkał z zimna zębami i siedząc tyłem do jazdy, chronił się przed zacinającym śniegiem. Z zamyślenia, a może z nagłej drzemki wyrwał go jadący za nim Pawlik.

- Nie śpij, bo cię okradną!

- Co, co? Czemu stoimy?

- A czemu stoimy, tego właśnie nie wiem. Chodź, zobaczymy, co się tam dzieje, bo przez tę czortową śnieżycę ani na krok nie widać.

Pierwszymi saniami powoził Wiktor Bogatulin, frontowiec, chyba jedyny, który wróciwszy niedawno z wojny, nie zapijał się na umór, tylko wziął się w sowchozie do roboty. Kiedy chłopcy do niego dotarli, stał obok sań i pokazywał w kierunku widocznej za drzewami polany. Dniało. Staszek pomyślał o wilkach, ale kiedy nieco wychylił się zza ośnieżonego świerka i spojrzał we wskazanym kierunku, zamarł z wrażenia. Bo oto na polanie rojło się od... ludzi! Z tej odległości trudno było dojrzeć, co to za jedni. Płonęło kilka ognisk. Ludzie stali w ich kręgu, siedzieli na śniegu albo kucali w niskich przysiadach. Chłopcy zaczęli dzielić się przypuszczeniami. Nim zdążyli się naradzić, co robić dalej, gdy wyskoczył zza sosny konwojent z pepeszą. Żołnierz był młody, w białym kożuchu i wysokich walonkach. Minę robił srogą.

- Kim jesteście, co tu robicie?

- Z sowchozu. Po siano jedziemy. Tam na polanie nasze sterty stoją.

- Po siano, nie po siano, a dalej nie mogę was puścić: rozkaz jest rozkaz! - Żołnierz jakby się usprawiedliwiał. Bogatulin pewnie to wyczuł.

- Myślisz, że nie wiem, co to rozkaz? Niedawno sam z frontu wróciłem, aż do Berlina doszedłem. Ale było bez siana żyć nie może. A ty sam skąd jesteś? Ze wsi, z miasta?

- Ze wsi, a bo co?

- No to wiesz, jak to bez siana. Długo tu jeszcze postoić?

- Nocleg był... Chyba niedługo ruszymy.

- A jak nie ruszycie? Może zawołać starszego?

- Zmiany tylko patrzeć. Zaraz pewnie podejdzie...

- Zapalisz?

- Coś ty! Mnie nawet z wami gadać nie wolno.

- To schowaj sobie na potem. Wiem przecież, jak jest...Więżniowie?

- Japońcy, jeńcy wojenni, jak już tak bardzo chcesz wiedzieć...

- Japońcy? A skąd tu Japońcy?

- Coś ty taki, chłopie, ciekawy? Mówię wam, zawracać! Dalej nie wolno! - Konwojent zaczął nagle głośno krzyczeć, pewnie, żeby go słyszała nadchodząca właśnie zmiana.

Ani rozprowadzający posterunki, ani dowódca konwoju nie pozwolili im zbliżyć się do polany. Wycofali konie za leśną gęstwinę i postanowili czekać: nie mogą przecież wracać bez siana. Chłopaków aż skrecało, żeby tych Japończyków zobaczyć. Ubłagali Bogatulina żeby pozwolił im wdrapać się na skalistą skarpe wąwozu, skąd spodziewali się zajrzeć na jenieckie obozowisko.

- Tylko uważajcie, nie pchajcie się konwojentom w oczy, bo dla takiego do człowieka strzelić to tyle, co splunąć - ostrzegał Bogatulin, który został przy koniach.

Zaczaili się między świerkowymi śnieżnymi okiściami i patrzyli. Japończyków było około setki. Niewysokiego wzrostu, krępi i śniado-skórzy. Nosili na sobie mundury piaskowooliwkowego koloru. Czapki klapouche, z długimi daszkami, podobne do krasnoarmiejskich spiczastych „budionówek”. Obuci byli w trzewiki, z owijaczami do kolan, na pumpowatych spodniach. Zbierali się właśnie w karnych kolejkach przed dwoma kotłami. Podstawiali kucharzowi ma-



nierki. Kotły parowały. Japończycy w pośpiechu odchodzili od koda i natychmiast podnosili menażki do ust.

- Zbierają się chyba... - syknął któryś z chłopaków. I rzeczywiście. Konwojenci siodłali oszronione wierzchowce. Jeńcy szorowali śniegiem osmolone kody. Rozległy się ostre gwizdki, pokrzykiwania konwojentów i Japończycy zaczęli ustawiać się w trójkową kolumnę.

- Patrzcie, chłopaki! Co te pieprzone samuraje tam taszcą? Kloce jakieś czy co?

Rzeczywiście: zza sterty siana wyłaniało się po dwóch Japończyków, a każda taka para dźwigała na ramionach, jeden z przodu a drugi z tyłu, coś, co przypominało niedługi kloc. Chłopcy naliczyli siedem par takich tragarzy. Ale kiedy zaczęli się im przypatrywać dokładniej, zobaczyli, że to zamrożone japońskie trupy.

Na przodzie ruszającej w drogę kolumny dwóch konwojentów na koniach. Dalej parę zaprzężonych sań, załadowanych kotłami i czymś tam jeszcze. Za saniami trójkowa kolumna Japończyków. Na końcu tragarze dźwigający trupy i konni konwojenci ze straży tylnej.

**Wiosna** przyszła rychła, ciepła i słoneczna. Rychlej też wyszli z pługami na sowchozowe pola. Astafiew nawet słuchać nie chciał, żeby Polaków wypuścić z sowchozu przed zakończeniem wiosennych robót.

- Zlitujcie się, ludzie dobrzy, pomóżcie nam jeszcze trochę; wiosna przecież cały rok karmi. Dokąd się tak spieszycie? Nikt się jeszcze o was nie upomina, znaku żadnego nie daje. W razie czego pierwszy będę wiedział. Co wy, Cyganie jacy, że tak po świecie bez potrzeby chcecie się włóczyć?

Taka była prawda, i to bardzo przykra: rzeczywiście o Polaków z Buluszkina wciąż nikt się nie upominał. Daleka i tak wytęskniona Polska milczała niby zaklęta. Nawet listów od swoich już dawno nie otrzymywali.

Dokończyli te siewy. Ale zaraz potem zaczęli się zbierać do wyjazdu. Astafiew, człowiek dobry i wyrozumiały, zwolnił ich z roboty, wy-

pisał na odjezdne po dodatkowym bochenku chleba, wypłacił z kasy zarobek.

- Oj, podpadnę ja przez was, podpadnę, że bez rozkazu zwierzchności was z sowchozu wypuściłem. Ale trudno, nie mam sumienia was tu dłużej trzymać. Szczęśliwej drogi i źle nas w tej swojej Polsce nie wspominajcie.

Przed kancelarię, skąd wyruszali, przyszły na pożegnanie prawie wszystkie buluszkiriskie baby. I prawie każda coś im na drogę przyniosła: ta parę blinów, ta jajko gotowane, inna kawałek chleba.

- Szczęśliwej drogi!

—Jak było, tak było, ale źle nas nie wspominajcie.

- Co swoje strony, to swoje.

- Poczta tam chyba u was jest, dajcie jakiś znak, napiszcie... Daria trzepnęła Sierka lejcami i wóz ruszył. Baby rogiem chusty oczy przecierały. A buluszkiriskie dzieciaki całą hurmą biegły za Polakami aż do przeprawy przez Zołotuszkę.

Staszek żegnał się ze wszystkimi jeszcze wczoraj. Do Niurki też wstąpił. Przed progiem bawił się z psem pyzaty malec. Na widok obcego wystraszył się i zaczął głośno wzywać mamy. Wskoczyła Niurka. Mały się uspokoił i władował brudny paluch do buzi.

- Ale urósł, co? Polak z niego jak smok! Bronieczka, mój syneczek kochany, uhm, uhm! - Ścisnęła i całowała dzieciaka bez opamiętania. - A przypatrz mu się, Stasik, dobrze, żebyś mógł jego ojcu opowiedzieć, jeśli go tam kiedyś w Polsce spotkasz, jak jego jedyny synek, jak jego Bródka, mały Polak, wygląda; aniołek ten mój, obrazeczek, na który patrzysz i napatrzeć się nie możesz. Szkoda, że fotografii mu nie mogę zrobić; pokazałbyś jego ojcu, popatrzyłby na swojego syneczka i może by go ojcowskie serce ruszyło. Przypomniałby sobie wtedy o nas sierotkach, które tutaj w nieutulonym bólu i tęsknocie zostawił. - Nie dokończyła Niurka, rozplakała się głośno.

Ale Niurka, jak to Niurka, u niej zawsze od płaczu do śmiechu niedaleko. Otarła łzy i zaciągnęła Staszka na pożegnalny czaj, szklanę brusznicowego kwasu.

- A nie masz ty czasem, Staś, jakiejś polskiej pamiątki? Może obrazek jakiś, żeby na nim tę waszą Polskę było widać? Nie masz? Szkoda... Ale może inni wasi coś takiego mają. Bądź dobry, popytaj. Nie dla mnie proszę, dla mojego Brońci, dla synka. No bo rozumiesz, wy wyjedziecie, odezwiecie się do nas kiedyś czy nie, różnie bywa. A on, sierotka, rodzzonego ojca Polaka też może się nigdy nie doczekać. A gdybym tak jakąś polską pamiątkę miała, drobiazg jakiś, to kiedy mój synek Polak dorośnie i wszystko zrozumie, pokazałabym mu ją wtedy. Albo bym go nawet ocyganiła: „Masz, synku, to pamiątka po twoim ojcu z Polski dalekiej”. A może bym nawet wtedy i takie cygaństwo na swoje matczyne sumienie wzięła, żebym mu powiedziała: „Masz, synu, to jedyna pamiątka po twoim ojcu, Polaku, który w czasie tamtej strasznej wojny na froncie bohatersko poległ”.

Wracał Staszek na Wołczy chutor i myślał, co by tu takiego polskiego Niurce na pamiątkę zostawić. Nic mu do głowy nie przychodziło. Przecież matczynej starej książki kucharskiej, jedynej po niej pamiątki, Niurce nie zostawi. Naraz aż klepnął się w czoło: orzełek! Polski wojskowy orzełek, подарowany mu przez inwalidę, żołnierza Adama Brodę. Podaruje orzełka Niurce, niech ma dla synka Polaka pamiątkę. Nikogo w chacie nie było. Staszek wdrapał się na piec, gdzie pod powalą chował matczyną książkę i tego orzełka. Tak, odżałuje i ofiaruje orzełka Niurce.

„Najnowsza kuchnia warszawska, zawierająca przeszło 1200 przepisów różnych potraw, od najskromniejszych do najwykwintniejszych”. Ta stara poniszczona książka nieodmiennie przypominała mu zmarłą matkę. Pachniała nawet jej zapachem, zapachem świeżo smażonych, skwierczących w smalcu pączków, górami przypudrowanego chrustu, przaśnym aromatem cynamonu i goździków... Jakiż to odruch, kiedy zerwali ich rozespanych do wywózki w Czerwonym Jarze, kazał mamie sięgnąć akurat po tę książkę? Albo co nią wiodło, o czym myślała, kiedy na ostatniej stronie w tej samej książce swoim czytelnym, starannym pismem, stalówką umoczoną w fioletowym atramencie kreśliła:

Odwaznym w życiu trzeba być, Ze strachem w sercu trudno żyć  
-I mężnie w życiu staczać bój Za prawdę i za honor swój.

Mamo, mamo! Skąd wzięłaś te słowa? Kto je tak poskładał? A może sama je wymyśliłaś? Bo pamiętam, że bajki mnie i małemu Tatkowi opowiadałaś i opowiadałaś. I to takie, jakich w żadnych książeczkach nie mogłem wyczytać. Czemu akurat te słowa: „Odwaznym w życiu trzeba być... za prawdę i za honor swój”. Na pamięć się, mamusiu, tych twoich słów nauczyłem. Na pamięć.

Przeprawili się przez Zolo tuszkę. Droga głębokim wąwozem stromo wspinała się pod górę. Sierko wparty w chomąto z trudem radził sobie z ciężkim wozem. Pomagali mu, pchając wóz, ile mogli. Kiedy wspięli się na górę i zanurzyli w tajdze, Staszka podkusiło, żeby wrócić i jeszcze raz rzucić okiem na leżące w dolinie za rzeką Buluszkino.

Z wysokiego brzegu widział dokładnie całą wieś. Dzień był słoneczny, majowy. Wczesny ranek. Dziadek Mikiszka, bo w tym roku on był pastuchem, zbierał po wsi krowy na pastwisko. „Dokąd pogoni? Pewnie w stronę Kozackiej Polany... Dojarki, niedźwiedzie, Łubka, Aniuta, polowanie z Mitriczem, oczy strzelonego koziołka, martwy brodiaga, ucieczka przed wilkami na Wołczym, Japończycy, bagnista topiel, dziadek Mitricz, zgniłe ziemniaki na przednówku, koniec wojny, Niurka...” Dzisiaj raniutko, biegnąc zaprzęgać Sierka, zapukał do jej okna. Otworzyła drzwi rozspana.

- A Staś!

- Prosiłaś o jakąś pamiątkę z Polski dla małego, no to ci przyniosłem. Tylko to znalazłem.

- Oj, Staś, dziękuję ci, dziękuję! A co to takiego? Chyba ptak jakiś czy co?

- Ptak. Orzeł! Herb Polski. Nasi żołnierze go na czapkach noszą, tak jak wasi czerwoną gwiazdę.

- Aaa! Rozumiem teraz... Wytlumaczę kiedyś mojemu Broni, że to jego ojciec, jak był na froncie, takiego polskiego ptaka na swojej czapce nosił. Dziękuję ci, Staś. Daj, ucałuję cię na drogę daleką.

Patrzył na Buluszkino. Spod stajni chłopcy wyjeżdżali na pola. Stado krów kierowało się brzegiem Zołotuszki ku Kozackiej Polanie. A tam, przy tej drodze, żegnał ojca odchodzącego na front. Gdzie on jest teraz? Zdrowy, żywy?...

Już drugi dzień Polacy z Wolczego wloką się tajgą do Tułunu. Daria daje często koniom odpocząć. Staszek cały czas dba o Sierka, karmi go i poi.

- Jeszcze mi go do Polski zabierzesz - żartuje Daria, ale zaraz przyłącza się do kobiet i wdaje się z nimi w nieustające babskie gadanie.

Kiedy wczoraj zatrzymali się nocować w Osinówce, Daria pół nocy przegadała z Honorką Unicką, suchej nitki na Niurce i Bronku Szuszkiewiczzu nie zostawiły. Honorce ciągle wierzyć się nie chciało, że tego dzieciaka Niurka spłodziła razem z „jej” Bronkiem.

- Materacem nie byłam, ale co wiem, to wiem: dzieciaka Niurce ten wasz Polak zmajstrował. Jak wtedy na sublokatorówce u niej mieszkał, nim wasi na wojnę poszli.

- A to ci buhaj jeden! Jak on tak mógł? A teraz własnego dzieciaka w tajdze na pastwę losu zostawił.

- Co ty, Honorka, chłopów nie znasz? Byle ich tylko dopuścić, a o resztę niech potem głupią babę głowa boli...

W Tułunie zawiozła ich Daria prosto pod tartaczne baraki. Pani Korczyńska uradowała się na ich widok.

- W samą porę przyjechaliście! W sam raz, kochani. A już martwiłyśmy się z Sylwią, kogo tu po was posłać, bo lada tydzień pierwszy transport do Polski się szykuje.

- Jedziemy do Polski! Jedziemy do Polski! - Tadek i dzieciaki Inickiej wrzeszczały i z radości podskakiwały dookoła wozu.

Staszek gładził Sierka. Koń, jakby próbował zrozumieć, że to ich pożegnanie, cichutko rżał i aksamitnymi wargami łapał chłopaka za rękaw...

Dopiero na wiosnę 1946 roku dla polskich zesłańców nastał czas powrotu do kraju. Jak syberyjska tajga długa i szeroka, nawet do jej najdzikszych i najodleglejszych ostępów, gdzie tylko znajdowali się polscy zesłańcy, wcześniej czy później, często nieprawdopodobnym wręcz przypadkiem, docierały wiadomości, że zaczęła się oficjalna, zorganizowana repatriacja do Polski. Każdy z zesłańców, który chciał do Polski wrócić i miał do tego prawo, powinien zgłosić się do najbliższego NKWD, gdzie był sprawdzony i wpisany na listę repatriacyjną. Na wieść o repatriacji, kto tylko czuł się na siłach, na nic się nie oglądał, rzucał wszystko i w gorączkowym pośpiechu, żeby zdążyć na czas, żeby go tylko w tajdze nie zostawiono, na własną rękę przedzierał się do transsyberyjskiej kolei. A że od tej kolei dzieliły ich najczęściej setki kilometrów przez puszcze i bezdroża tajgi? No cóż, tych ludzi okrutny zesłańczy los od dawna już nie pieścił...

Tamtej wiosny ze wszystkich zakątków syberyjskiej tajgi ściągali Polacy do stacyjnych osad, miast i miasteczek. Od Omska, Tomsk, Nowosybirsk, Krasnojarsk aż hen po Irkuck nad Bajkałem, Ulan-Ude, Czię, Bodajbo i jeszcze dalej, aż po chińską granicę i Włady-wostok nad Oceanem Spokojnym, nie było takiego przystanku czy stacji kolejowej, do których owej wiosny nie dotarłby choćby tylko jeden polski zesłaniec, wiedziony nadzieją na powrót do ojczyzny.

W Tułunie w tartaku, gdzie znajdowało się największe w tym mieście skupisko polskich zesłańców, zrobiło się doczno. Ściągający z tajgi Polacy po przybyciu do nieznanego miasta wśród rodaków szukali, jeśli nie chwilowego przytuliska, to choćby tylko rzetelnej in-

formacji: kiedy i jak do tej Polski? Tutaj dowiadywali się, że od niedawna działa w Tułunie specjalna radziecko-polska komisja mieszana do spraw repatriacji. Tam też należy załatwiać wszelkie niezbędne do powrotu formalności.

Ludzie z Buluszkino nie mieli z tym większych kłopotów. Wszystkie rodziny posłały swoich mężczyzn na wojnę, co łatwo było potwierdzić nie tylko „pochoronkami” czy listami z frontu, ale zaświadczeniem z ewidencji tułuńskiego wojenkomatu. Na tej podstawie wszystkich bez wyjątku wpisano na tułuńską repatriacyjną listę. Teraz pozostawało im tylko czekać na sygnał do odjazdu. Niestety, kiedy ten odjazd nastąpi, nikt w Tułunie nie umiał im powiedzieć. W zadoczonym pokoiku pełnomocnika dum repatriantów kłębił się od rana do wieczora. Nawet w nocy ludzie koczowali w pobliżu, żeby - broń Boże, czegoś związanego z wyjazdem nie przegapić.

- Nie wiemy, ludzie, naprawdę nie wiemy! Może to być już jutro, a może dopiero za tydzień. Albo nawet jeszcze później. Transport, do którego nasze tułuńskie wagony doczepią, dopiero zaczyna się organizować w Irkucku. Czekamy na wiadomość z Irkucka. Kogo już zakwalifikowano, ten zdąży; transport to nie ekspres, ze dwa dni w Tułunie postoi. Zresztą przed samym wyjazdem i tak każdy musi u nas pobrać specjalne zaświadczenie uprawniające do zajęcia miejsca w wagonie.

Pani Korczyńska, która od czasu wyprawy do Irkucka zaangażowała się w działalność Związku Patriotów, wracała w tych dniach z biura pełnomocnika bardzo późno, wymotana z ostatka sił, a do tego nie zawsze z pocieszającymi wieściami... Od dawna też mieszkała z Sylwią Krakowską i jej malutkim Pawełkiem, synem po Rosjaninie, Paszce Siedychu, który poległ na froncie. Pawełek traktował panią Korczyńską jak własną babcie, a ona kochała go jak wnuka. Tego wieczoru Pawełek jak zwykle nie mógł się babci doczekać. I dopiero kiedy malec usnął, Korczyńska odważyła się przekazać Sylwii ponurą dla nich wszystkich wiadomość:

- Tylko się, Sylwusiu, nie denerwuj, ale muszę ci coś ważnego powiedzieć. Nasz pełnomocnik odwołał mnie dzisiaj na bok i w wielkiej tajemnicy mi powiedział, że NKWD sprzeciwia się twojemu powrotowi do Polski.

Sylwia przysiadła bezwolnie obok śpiącego synka.

- Myślałam, że mi serce pęknie... Chcą tu ciebie razem z Pawełkiem zatrzymać. Boże, ja tego chyba nie przeżyję!

- Ale dlaczego? Dlaczego?

- NKWD wywahało, że nie Krakowska, tylko Siedych po legalnym mężu się nazywasz. Paszport masz rosyjski, zasiłek frontowy po poległym mężu bierzesz, więc Pawełek jest według tutejszych praw Rosjaninem i obywatelem radzieckim. Z tobą jeszcze może być różnie, ale Pawełka do Polski wywieźć ci nie pozwolą.

Prawie całą noc przeplakały. Sylwia przysnęła nad ranem z ponurą determinacją, że jeśli jej z synkiem do Polski nie puszczą, to ona!... Aż bała się nawet tego słowa pomyśleć, a co dopiero wymówić. Pani Korczyńska zmrużyła oczy, pocieszając się iskierką nadziei na pomoc Ziarnieckiego, który wszechmocnie szefował ZPP na całą irkucką obłast. Przy kwalifikowaniu repatriantów decydujące słowo należało wszakże do przedstawiciela NKWD. Kapitan Kulikow z tułuńskiego NKWD siedział zwykle w komisji kwalifikacyjnej wyraźnie znudzony i jakby wszystko przesypiał. Ale kiedy rzucał w kierunku zesłańca tylko dwa słowa: „Wasze dokumenty?“, jego małe oczka starały się prześwidrować go na wylot. Za dobre dokumenty Kulikow uznawał wystawiane zesłańcom przez NKWD amnestyjne zaświadczenia komendantów posiołków, naczelników gułagów i pisma wojenkomatów. Dobrze było jeszcze takie papiery potwierdzić „sprawką” z ostatniego miejsca zamieszkania czy pracy. Do polskich dokumentów Kulikow nie miał większego nabożeństwa, a powoływania się na świadków nie uznawał w ogóle.

- Znamy się na tych waszych świadkach... Diabłu duszę byście zaprzędali, żeby tylko do Polski wrócić! Dokumenty, dokumenty, proszę.



Zdarzyło się, że dokumenty zesłańca były w porządku, a kapitan Kulikow po ich przejrzeniu rzucał krótkie: „Niet!” Albo zadawał dodatkowe pytanie:

- To jakiej wy narodowości jesteście?

- Ukrainiec.

- Niet!

- Ale my przecież jesteśmy obywatelami polskimi! Do 1939 roku w Polsce mieszkaliśmy, z Polski nas na Syberię przywieziono.

- Niet!... Tam zresztą nigdy nie było Polski, tylko zachodnia Ukraina. A teraz tym bardziej Polski tam nie ma. Jesteście Ukraińcami, obywatelami radzieckimi. Związek Radziecki jest teraz waszą ojczyzną, a nie Polska, to niby dokąd wy chcecie jechać? Niet!

- ...Białorusin. Aleja z Grodna, polski obywatel.

- Niet!

- ...Litwin, z Nowej Wilejki, obywatel polski, w polskim wojsku służyłem.

- Litwa to radziecka republika związkowa. Niet!

- Żyd, po waszemu: Jewrej. Aż z miasta Lwów, towarzyszu naczelniku, ja się tu całkiem przypadkowo znalazłem.

- Lwów teraz na Ukrainie, u nas. Po co ci do Polski jechać? Chcesz, żeby cię tam znowu od Żydów wyzywali?

—Jaka mi różnica, Żyd czy Jewrej, panie naczelniku? Ale tak między nami mówiąc, na tej Polsce to ja się, towarzyszu naczelniku, po prostu trochę lepiej wyznaję... I to już od samego mojego urodzenia. Polski ze mnie Żyd, towarzyszu naczelniku, to już lepiej niech tak zostanie.

Żydów, obywateli polskich sprzed 1939 roku, kapitan Kulikow, chcąc nie chcąc, jeśli tylko dokumenty mieli w porządku, musiał do Polski puszcząć, bo wynikało to wyraźnie z polsko-radzieckiej umowy...

Staszek całymi dniami wałęsał się po Tułunie z nadzieją, że uda mu się coś do jedzenia zdobyć. A z tym różnie bywało. Wymienili już na bazarze, co im jeszcze lepszego z odzienia zostało. Staszek nawet

swoją marynarkę otrzymaną w Irkucku i buty sznurowane, z których tak się cieszył, wymienił u kołchoźników na trochę ziemniaków i parę lepioszek. Człapał teraz po Tułunie w starych walonkach dziadka Majki i potarganej fufajce. Kraść mu się nie chciało, więc na bazarze starał się unikać Sańki i jego bandy.

Nie było dnia, żeby w tych włóczęgach po mieście nie zaglądnął na stację kolejową. Oprócz tego, że i tu liczył na jakąś żywieniową okazję, spodziewał się dowiedzieć czegoś na temat oczekiwanego transportu. Kolejarze wiedzieli swoje: „Kiedy będzie, to będzie, a jak będzie, to się dowiesz. Zjeżdżaj, chłopcze, stąd, nie włócz się po kolejowych obiektach, bo cię milicją poszczujemy...”

Wreszcie któregoś dnia na oddalonej boczniczy tułuńskiego dworca pojawiło się kilkanaście wielkich towarowych wagonów, wyraźnie przystosowanych do długotrwałego przewozu ludzi. W takich właśnie wagonach towarowych, charakteryzujących się krótkimi żeliwnymi kominkami na półokrągłych dachach i otworami w podłodze zastępującymi sanitariaty, z dawien dawna transportowano po całym Związku Radzieckim różnej maści zesłańców, „wrogów ludu”, więźniów, a w czasie wojny - żołnierzy, rannych i jeńców wojennych. Staszek wypatrzył, że przy wagonach krząta się dwóch smoluchów postukujących po kołach młotkami, oliwiających osie i coś tam kombinujących przy hamulcach. Przysiadł na uboczu i czekał. Skończyli, a starszy z nich poszedł przez gęstwinę torów i zniknął za wagonami. Młodszy, krótko strzyżony chłopak, z wielką oliwiarką w ręku szedł wolno w kierunku nastawni.

- Ty, poczekaj chwilkę, chciałem cię o coś zapytać. Chłopak przystanął.

- Czego chcesz?

- Nie wiesz czasem, dla kogo te wagony podstawili?

- A ciebie co to obchodzi? Zresztą gdybym nawet wiedział, to nam gadać nie wolno.

- Zapalisz? - Staszek wyciągnął dwa papierosy. Sam nie palił, ale jak się dało, handlował tytoniem na bazarze.

- Włóż mi tu, do górnej kieszeni. Łapy mam smarem oblepione, potem sobie zakurzę... Te wagony? Na sto procent nie wiem, ale na nastawni mówili, że to jakieś Polaki będą się do nich ładować.

Staszek aż podskoczył z radości i wepchnął chłopakowi pozostałe papierosy.

- A ty czego znowu tak się cieszysz?

- Bo ja jestem Polakiem, rozumiesz teraz? Do domu wracam, do Polski!

Staszek pogonił z tą wiadomością do tartacznych baraków. A tam już o wszystkim wiedzieli. Zdenerwowana Bronia nie mogła się na niego doczekać.

-Jutro wyjeżdżamy, wieczór idzie, a ciebie nie ma i nie ma...

- Ze stacji lecę, bo się dowiedziałem, że wagony już nam podstawili. Na własne oczy widziałem!

- Zaświadczenie nam wydali, bez którego nikogo do wagonu nie wpuszczą. Rodziny wojskowych mają pierwszeństwo. Masz, zobacz sobie: „Polsko-radziecka komisja mieszana do spraw ewakuacji osób narodowości polskiej i żydowskiej, na podstawie umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

Zaświadczenie Nr BE - 04641

Ob.ob. Barska Bronisława, żona, Dolina Stanisław i Dolina Tadeusz, synowie żołnierza WP Doliny Jana (ewid. wojenkomatu Tułun, Nr WP - 2112-1929) udają się na stały pobyt do Polski".

Jeszcze tam jakieś daty, podpisy i pieczęcie. Staszek nie doczytał wszystkiego do końca.

- Prawda to, mamo? Do Polski, do Polski...

- Mnie samej jeszcze wierzyć się nie chce. Ale skoro kazali nam się pakować i jutro rano wyjść przed baraki z tobołkami, to pewnie jednak jedziemy...

A w pokoiku pani Korczyńskiej prawdziwa rozpacz: Sylwia Krakowska z synkiem nie tylko że nie dostała zaświadczenia na jutrzej-

szy wyjazd, ale NKWD w ogóle nie pozwoliło wpisać jej na listę repatriacyjną do Polski. Na nic się zdały wszelkie możliwe prośby i starania Sylwii, pani Korczyńskiej i ludzi im życzliwych z miejscowej komisji repatriacyjnej - kapitan Kulikow pozostał nieugięty. Co robić? Co robić?

W podobnej sytuacji, tylko z nieco innego powodu, znalazła się pani Rozalia Dąbrowska z dwójką dzieci: Anią i Staszkiem rówieśnikiem - Olgierdem. Im także odmówiono prawa powrotu do Polski: uznano ich bowiem za Ukraińców! Kiedy Dąbrowska stanęła przed komisją i po okazaniu wszelkich możliwych dokumentów usłyszała z ust kapitana Kulikowa jego krótkie: „Niet”, zemdląca. Tragedia Dąbrowskiej i jej dzieci zaczęła się w Tułunie. Kiedy miejscowe NKWD aresztowało wszystkich Polaków i wmuszało im radzieckie paszporty, Dąbrowski załamał się i nie tylko przyjął paszport, ale ku zdumieniu wszystkich, którzy go jeszcze z Polski znali - zadeklarował, że on i jego rodzina są Ukraińcami! Jaka mroczna tajemnica za tą odszczepieńczą decyzją Dąbrowskiego się kryła, nikt nie wiedział. Niedługo potem powołano go do Armii Czerwonej, wysłano na front, gdzie poległ. Pani Dąbrowska zahukana, cichutka, która decyzją męża była najbardziej zaskoczona i zawstydzona, dostała urzędową „pochoronkę”. Wszystko to razem gorzko opłakała i teraz już tylko jednego pragnęła: wrócić z dziećmi do Polski! A tu ci masz: „Niet, nie Izia!” Ania, dziewczynka ładna i rezolutna, ani na krok nie odstępowała od całkowicie załamanej tym nieszczęściem matki. Olgierd ponuro zaciął się w sobie, unikał wszystkich z baraku, nawet przed Staszkiem próbował uciekać. A przecież tyle się razem nakolegowali jeszcze w Kaluczem i potem w czasie wspólnych wędrówek ich rodzin do Kajenu, Szytkino i Tułunu. Razem też uczyli się polskiego u pana Korczyńskiego, razem marzyli i opowiadali sobie o Polsce.

Staszek odnalazł Olgierda nad brzegiem Iji. Milczeli, rzucali kamieniami do wody. Staszek zdecydował się zacząć:

- Wiesz, Olgierd, tak sobie myślę, że mógłbyś zaryzykować i zabrać się razem z nami. Najważniejsze to dostać się do Polski, a tam

na pewno by ci jakoś pomogli. Byłem dzisiaj na stacji, wiem, gdzie te wagony stoją. Łazi przy nich wartownik, ale wieczorem można się gdzieś ukryć, a potem nura do wagonu. Pomogę ci, Olgierd, uda się. Na pewno się uda.

- Mnie może by się nawet udało. Pewnie tak... A moja mama, a siostra? Zostawiłbyś tu swoją mamę? No powiedz, zostawiłbyś?

Wczesnym rankiem podjechały pod tartak dwie rozklekotane ciężarówki. Ludzie na wypródki wrzucali na nie swoje dumoki, dzieciaki wdrapywały się na skrzynie, każdy chciał być pierwszy.

- Spokojnie, ludzie, spokojnie, bo się pozabijacie! Nie ma się co denerwować, kto jest na liście, tego nie zostawimy.

Staszek wciągnął Tadka i siedzieli wciśnięci w kąat zatłoczonej ciężarówki. Bronia zegnała się z Sylwią i z panią Korczyńską, która podjęła nieodwołalną decyzję, że zostanie tu razem z Sylwią i małym Pawełkiem.

- Karol mój nie żyje. Do Tłustego, do własnego domu i tak przecież nie wrócę, to co ja tam będę na starość samotna niby palec robiła? Sylwia i Pawełek to teraz moja rodzina. Nie mam serca ich tu samych, bez żadnej nadziei zostawić. Zresztą, to dopiero pierwszy transport. Będą pewnie następne, a może akurat cud się jakiś stanie? Może pan Finkelstein nam coś w Irkucku załatwi... Zostaję! A wyjedźcie, jedźcie z Bogiem!

Staszek rozglądał się za Olgierdem, ale od Dąbrowskich na pożegnanie odjeżdżających nikt nie przyszedł.auta ruszyły. Tartak, baraki zostały w tyle. Sylwia z małym na rękę i siwiutka pani Korczyńska kiwały im na pożegnanie. Most na Iji. W oddali ulica Podgornaja, kino, poliklinika, przedszkole... To tak się wraca do Polski?

Przy wjeździe na stacyjną bocznice - tłok. Ciężarówki, wozy konne i kotłujący się przed bramą swarliwy dum oberwańców.

- Boże! - wyrwało się Broni. - Dopiero w takim dumie widać, jak my teraz naprawdę wyglądamy.

Na peronie czekają puste wagony. Te same, które Staszek wczoraj wypatrzył. Lokomotywy nie ma. Na zewnątrz ogrodzonego pero-

nu krążą enkawudowskie posterunki pilnujące, żeby się ktoś nieuprawniony do transportu nie przemycił na zajęcia. Babci Szajninie wyraźnie się to nie podoba, mruczy nieufnie:

- Znowu z tymi sztykami żołdacy koło nas łążą. Boże, obraniaj, żeby im czasem coś do łba nie strzeliło i zamiast do Polski...

Nie dokończyła, bo ciężarówka gwałtownie szarpnęła i zatrzymała się dopiero w bramie. A to, co tu się działo, opisać trudno. Niecierpliwym, rozemocjonowanym tłumem zesłańców napierało ku wejściu nieustannie. Ludzie sprzeczały się, coś tam wykrzykiwali, nawoływali jeden drugiego, udowadniali swoje racje i prawa, klęli i płakali. Tuż za bramą następowało sprawdzanie dokumentów, wpisu na listę wyjazdową i identyfikacja osób.

- Ta ciężarówka do wagonu numer pięć - zdecydował oficer.

- No i chwała ci, Panie! - Babcia Szajnina odetchnęła z ulgą.

Wagony, w których się teraz lokowali, niczym nie różniły się od tamtych, jakimi przed laty wieziono ich na Sybir. Takie same piętrowe prycze z desek, „burżujka” - żeliwny piecyk - na środku i śmierdzący karbolem, niczym nie osłonięty otwór latryny w podłodze. I jeszcze dwa wiaderka przydatne w drodze na wodę, gorące jado, węgiel czy na co tam jeszcze chcesz.

Zasiedlono wszystkie wagony do obiadu. Bramę na peron zamknięto. Żołnierze pilnowali płotu. Ludzi przed bramą nieco ubyło, ale wciąż kręcili się przy niej, chcieli przynajmniej popatrzeć, jak ci szczęśliwcy już do Polski odjeżdżają, a oni wciąż jeszcze niepewni jutra czekają...

W wagonach też coraz bardziej niecierpliwili się.

- No, kiedy my wreszcie ruszymy? - Jeszcze nawet naszego parowozu nie widać.

- Delegat mówił, że do irkuckiego transportu nasze wagony doczepią i dopiero wtedy ruszymy.

Doczekali się irkuckiego transportu jeszcze przed wieczorem. Ludzie doczyli się w odsuniętych szeroko drzwiach, przy okienkach: każdy chciał choć kątem oka zerknąć na Tułun w momencie odjazdu.

Staszek mocno tulił do siebie młodszego brata i nie odstępował od okienka. Stukot buforów, raz, drugi, trzeci.

-Już nas przyłączyli! - wrzeszcza chłopaki obserwujący ostatnie manewry lokomotywy. Parowóz ryczy. Raz, drugi. Dla Staszka ten charakterystyczny ryk, którego tak się wystraszył, kiedy usłyszał go w Szepietówce po raz pierwszy, wydaje się teraz głosem surmy anielskiej. Buchają kłęby pary, lokomotywa próbuje swoich sił kilka razy i transport rusza!

Ludzie ściskają się, całują, śmieją, płaczą, przeklinają, głośno się modlą i chwalą Boga... Staszek wpatruje się w dum przy bramie. Stoją tam smutni, rzadko kto żegna odjeżdżających kiwnięciem dłoni, kobiety trą oczy, niektórzy mężczyźni zdejmują uszate czapy z głów. A Staszek wciąż wypatruje, wypatruje. Jest! Olgierd Dąbrowski chował się za dróżniczą budką i stamtąd odprowadzał wzrokiem odjeżdżający do Polski transport.

- Olgierd! Olgierd!... - Staszek wystawił głowę z okienka wagonu i wrzeszczał jak opętany. Pewnie go usłyszał, bo gwałtownie uskoczył i zniknął za tą budką. A parowóz, porykując, nabierał szybkości.

Na trasie nie zatrzymywali się długo, tyle tylko, żeby doczepić następne wagony, które czekały na transport w Niznieudińsku, Ałza-maju i Tajszezie. Dopiero w Kańsku zatrzymano ich na cały dzień, gdzie transport ostatecznie sformowano i oznaczono go tranzytowym numerem TP - 2564.

- Proszę sobie ten numer dobrze zapamiętać, bo jak się ktoś na trasie zawieruszy, powinien natychmiast zgłosić się do komendanta stacji, podać numer swojego transportu i tylko wtedy ma szansę, żeby nas dogonić. Ale radzę się nie gubić, bo różnie może być z tym doganianiem. A transport na nikogo czekać nie będzie.

Tak ludziom z transportu TP - 2564 przedstawił się w Kańsku jego komendant, lejtnant NKWD, Borykin. On też i polski delegat z komisji repatriacyjnej, pan Gródecki, odpowiadali w tym transporcie za wszystko i mieli odprowadzić go aż do polskiej granicy. Borykin zażyczył sobie, żeby w każdym wagonie wybrano kome-

danta. W piątym nie było z tym problemu, bo na ochotnika zgłosił się Giczoł.

Giczoł miał na imię Feliks, ale Julka, jego młodziutka i ładniutka żona, wołała na niego Feluś. Giczoł był za stary, żeby go wzięli na front, a jechał w pierwszym transporcie, bo na wojnie miał dwóch synów. Ślubna żona Giczola umarła jeszcze w Kaluczem, a kiedy synów na front posłał, stary Giczoł zszedł się z Julką. A że Julka też sama została, bo całą jej rodzinę tyfus pochłoniął, żyła sobie z Giczołem i wszystkich miała w nosie. Kiedy baby dopiekały jej starym do żywego, odgryzała im się beczelnie:

- Aż tak was tam swędzi, że mi chłopa zazdrościcie? Kołkiem sobie pomerdajcie, a ode mnie się odczepcie. Stary! Stary, ale jary. Patrzcie ich, jakie to zakonnice mi się znalazły.

W wagonie Julka zachowywała się przyzwoicie, ale Honorka Unicka nie trawiła jej od początku i na sam jej widok syczała niby żmija:

- Chyba Boga nie ma na tym świecie i żadnej sprawiedliwości, żeby taka lafirynda jechała sobie do Polski, a nasza Sylwia czy choćby taka Rozalka Dąbrowska z dziećmiakami na Sybirze zostały.

A już do reszty Honorka wszelką wiarę w boską i ludzką sprawiedliwość utraciła, kiedy ktoś przyniósł wiadomość, że w wagonach dołączonych w Tajszerce wraca do Polski Irena Puc.

Wagony na trasie pomiędzy Tułunem i Kańskiem doczepiano pośpiesznie, daleko z tyłu, niektóre w nocy, więc trudno się było zorientować, kto w nich i skąd jedzie, czy nie ma tam kogoś ze znajomych. Toteż ledwie ogłoszono, że transport w Kańsku prawie cały dzień postoi, ludzie wysypali się na peron w nadziei na spotkanie z krajanami. Wzdłuż długiego transportu kłębił się dum. Ludzie łazili z końca w koniec, rozglądali się, głośno wywoływali nazwy miejscowości, a czasami nazwiska:

- Jest tu może ktoś z Kopyczyniec?
- ...ze Skałatu?
- ...Husiatyna?
- ... Jaremczy?



- ...Kołomyi?
- ...Zaleszczyk? -...Borszczowa? —...Horodenki?
- ...Buczacza?
- ...Tłustego?
- ...Jakubówki?
- ... Worwoliniec?
- ...Czerwonego Jaru?

Z Tłustego odezwała się pani Dereniowa. Z Worwoliniec pani Gi-bałowa, sąsiadka Dolinów z Kolonii. Wracła do Polski z dwójką dzieci: Gibała zginął pod Lenino. A z Czerwonego Jaru nie odzywał się nikt. Staszek spróbował inaczej: wywoływał ludzi z Kaluczego, Kajenu, z Szytkina. Z wagonu wychyliła się kobieta:

- My z Kajenu, kto się tu pytał? Staszek, aż podskoczył z radości.
- Toja, Staszek! Pani Ziemiakowa, nie poznaje mnie pani?
- Skądże bym się ciebie mogła spodziewać. Aleś ty, Stasiu, urósł!

Zdzisia! Edek, wyjrzyjcie ino, popatrzcie, kto .tu do nas przyszedł.

Zdziśka stanęła w drzwiach wagonu.

- Staszek? Staszek! - Zeskoczyła do niego, chwyciła w ramiona i zakręciła się z nim jak fryga. Dopiero po chwili jakby się nieco speszyła, zarumieniła. - W którym wagonie jedziesz?

- W piątym.

- Stasiu! Właż tu do nas na chwilkę, opowiesz, co tam u was słyhać. ...

A w tym wagonie sami znajomi, ludzie z Kajenu, z Czerwonego Jaru. Byli tam Stanisze, Kurylaki, Malinowscy, Zontki, Tomaszki, Dudo-wie, Niscy, Zelki, Czarnecy, Czulaki, Niemczyki... Ludzie, z którymi przeżyło się gehennę wywózki, piekło Sybiru, Kaluczoje i Pojmę, Birusę i Kajen. Boże! Jak niewielu ich do Polski wracało. Gdzie reszta, gdzie się pogubiła? Wielu, wielu, zwłaszcza starców, kobiet i dzieci, śpi snem wiecznym na zagubionych w tajdze, zesłańczych, zapomnianych przez

Boga i ludzi cmentarzach. Wielu, głównie mężczyzn, ojców, synów i braci, poginęło na wojnie, na którą wyrwali się z Sybiru z Andersem, a potem z Berlingiem, zdając sobie sprawę, że bez ofiary życia nie tylko dla ich rodzin powrotu z zesłania, ale i Polski może nie być...

Przekrzykiwali się chaotycznie opowieściami i pytaniami, radością i nagłym smutkiem. Popłakiwała dobra pani Ziemiakowa, której mąż, ojciec Zdziński i Edka, na froncie poległ. Poległo dwóch braci Kurylaków, Jan i Stanisław, ojciec Lusi i Tadka. Zabito na wojnie dwóch Szajnów, Staniszków, Malinowskiego, Staszka Konia, Balika, wszystkich jednym tchem nie wyliczysz. A po ilu na tej wojnie wszelki śluch zaginął, tak jak po Staszkowym ojcu?

Wracał Staszek do swojego wagonu oszołomiony tym wszystkim, ale ucieszony. Cieszył się, że odnalazł Zdzińską, swoich koleżków z wypraw do tajgi, nad Pojmę i Birusę: Edka, Tadka Kurylaka, Gienka Stanisza...

Transportowi czasami dawano długą wolną drogę i zatrzymywał się tylko, kiedy trzeba było zmienić lokomotywę, zaczerpnąć wody i załadować węgiel do tendra. Innym znów razem spychano go na bocznice i nigdy nie było wiadomo, jak długo na niej postoi: godzinę, cały dzień czy nawet całą dobę. Osobno liczyły się zaplanowane postoje, w trakcie których ludzi z transportu TP - 2564 zaopatrywano w prowiant lub kierowano do łaźni. Kiedy ludzie w transporcie już na dobre oswoili się ze świadomością, że naprawdę wracają do Polski, zaczęli się zastanawiać nad sobą, co ich też tam czeka:

- Ciekawe, zajdziemy na polską granicę, no i co dalej? Co z nami zrobią, dokąd nas powiozą?

- Jak to dokąd? Co to ja w Polsce swojego domu, gospodarstwa nie mam? Wrócę do Jakubówki, bo wszystko tam moje.

- Babciu, do jakiej znów Jakubówki? Co to nie wiecie, że po tej wojnie Sowieci całe nasze Podole zabrali? Terespol, Zaleszczyli, Lwów, wasza Jakubówka, Thuste, Czerwony Jar, wszystko im teraz przypadło. Nie ma tam już, babciu, naszej Polski, waszego domu nie ma.

Babcia Szajnina najpierw długo nie mogła w to uwierzyć, a nie pogodziła się z tym nigdy.

- Co wy mi tu za głupstwa wygadujecie? Jak to nie ma tam już Polski? Przecież Polska zawsze tam była. No to niby dokąd nas wiozą?

- Do Polski, babciu, do Polski. Tylko, że nie do tej dawnej nad Dniestrem, ale do tej nowej, nad Odrą... Na nowe ziemie, które nasi Niemcom po tej wojnie odebrali.

- Co to ja drzewo jakie czy co, żeby mnie tak z miejsca na miejsce przesadzać? A co z moim domem, co z polem?

Babcia Szajnina nie mogła tego wszystkiego zrozumieć. I nie tylko ona. Prawdę mówiąc, nikt z powracających nie potrafił sobie wyobrazić Polski bez miejsca, w którym przyszedł na świat, chodził do szkoły, gdzie od pokoleń mieszkała jego rodzina, skąd w lutym czterdziestego roku wywieziono ich na Sybir. Każdy z nich, poczynając od małego, który ledwie coś tam pamiętał, do starego - przez wszystkie lata Sybiru - jeśli nosił w swoim sercu Polskę, to zawsze i nieodmiennie kojarzyła mu się ona z jego rodzinnym domem, polem, sadem, wioską czy miasteczkiem, kościołem i rzeczką obok płynącą. I taką właśnie ojczyznę od najwcześniejszego dzieciństwa aż do śmierci kochał... Jadą do Polski, cieszą się z tego, zabić by się za Polskę dali, ale tej nowej Polski, bez ich rodzinnych miejsc, bez tych wszystkich Worwoliniec, Zaleszczyk, Husiatynów, Trembowli, Jakubówek i Czerwonych Jarów za nic sobie wyobrazić nie mogą. A już całkiem bezradnie czują się te rodziny, które na zesłaniu albo na wojnie swoich bliskich na zawsze potraciły.

- Sybir, wiadomo było, morduj się, człowieku, zmiłowania nie czekaj, ale teraz? Jak ja sobie tam, na tym nowym miejscu, z tymi sierotami poradzę? Tobie to dobrze, chłop ci wojnę przeżył, zajmie się wszystkim, wszystko przygotowuje, a ja?

- Mówisz tak... Rok listu, żadnej wieści od niego nie miałam, nie wiem nawet, czy żyje. A jak nawet Bóg był dla nas łaskaw, to nie wiem, gdzie goja teraz mam szukać?

Dzień za dniem leci, kilometrów ubywa, transport TP – 2564 jest już na Uralu.

- Ludzie, ludzie, koniec z tym naszym Sybirem! Europa!

A ta „Europa” po obydwu stronach torów tym się tylko różni od Sybiru, że takiej tajgi, do której przez te lata zdążyli się przyzwyczaić, tu nie ma. Górki ni to górki, całe połacie ledwie zieleniejącego stepu, białe solankowe jeziora i liche brzozowo-olchowe przylaski. Chałupki biedne, sklecone z byle czego, nie to, co syberyjskie domy z przednich modrzewiowych bali.

W Swierdłowsku dłuższy postój, transport idzie do łaźni. Najwyższa pora zeskrobać trochę brudu, a do tego w niektórych wagonach wszy ludziom spokoju nie dają. Idą do łaźni wszyscy razem, bez różnicy chłop czy baba, miody czy stary. Nikomu nawet do głowy nie przychodzi, żeby się w łaźni golizny kępować. Znają przecież rosyjskie zwyczaje. Mało to się w syberyjskich wspólnych baniach nakapa-li, wyparzyli, brzozowymi miotełkami ciała nasiekli? Kąpią się, jak kto chce, ktoś pod prysznicem, ktoś chłapie się w cebrzyku, ktoś z wiadra na sąsiada wodę leje. Kłęby pary gęste, trudno się w nich odnaleźć. Staszek sapie pod prysznicem z zadowolenia, szoruje się, pluje wodą i mruży oczy od piekącego szarego mydła.

W tym samym Swierdłowsku, na dalszej bocznicy wypatrzyli podobny transport z ludźmi, tyle tylko, że z zasuniętymi na głucho drzwiami, pilnowany przez konwój NKWD.

- Ciekawe, kogo w nim wiozą? Pamiętacie, jak nas wieźli na Sybir? Konwój nie pozwalał bliżej podejść. Chłopcy dostrzegli, że z jednego, ledwie uchylonego okienka ktoś wygląda.

- Skąd jedziecie? Kto wy?

- Litwini my. Co to za stacja?

- Swierdłowsk. Dokąd was wiozą? Za co?

- A czy my to wiemy? Na Sybir chyba. Kułaki na nas mówią, całe rodziny tu jadą.

Jeszcze kilka podobnych transportów konwojowanych przez NKWD, a podążających na wschód spotykali: jechali nimi krymscy Tatarzy, Kałmucy z Elisty, niedaleko od Kaspijskiego Morza, Mołdawianie znad Dniestru, tego samego, co przez Zaleszczyki płynął...

A w Woroneżu po raz pierwszy zobaczyli Niemców. Oddział niemieckich jeńców wojennych naprawiał tory, odgruzowywał zbombardowane stacyjne budynki. W obszarpanych mundurach, w byle co obuci, wychudzeni, o ziemistych cerach, z kilkudniowym zarostem, Niemcy wyglądali żałośnie i raczej wzbudzali litość niż grozę. Pilnowało ich dwóch krasnoarmiejców, ale ot tak, dla oka, bo przez cały czas, dopóki stał transport, bojcy przekomarzali się z polskimi dziewczętami. Konwojentom pomagał nadzorować jeńców jakiś ważny Niemiec, pewnie oficer. W furażerze na głowie, w czystym mundurze, poklepywał się patykiem po cholewach i co chwila coś tam do jeńców pokrzykiwał. Przy ognisku grzał się baniak wody, a może kawy. Jeńcy podchodzili, gasili pragnienie.

Na widok Niemców Edek Ziemiak zbladł i zgrzytnął zębami.

- Może to właśnie któryś z tych fryców naszego tatę zabił? Czekaście, już ja ich urządzę!

I pobiegł do swojego wagonu. Wrócił z kieszeniami pełnymi ostrych karabinowych naboji.

-Wgruzach nazbierałem... Zaraz mi tu, fryce, potańczycie.

Wyczekał, kiedy przy ognisku nikogo nie było, i zagrzebał naboje popiołem. Chłopcy odskoczyli i czekali za wpełrozwalonym filarem. Naboje zaczęły pryskać z szybkością karabinu maszynowego, potem rozległ się jeden wielki huk i kocioł wyleciał do góry. Dym, kurz, syk rozlewanej na ognisko wody. A Niemcy, jak przystało na frontowych żołnierzy, wykonali szturmowe „padnij” i długo głów nie unosili. Najbliżej ogniska, oblany wodą, obsypany popiołem, leżał ten ich oficer.

Przybiegli wystraszeni konwojenci i dopiero pełne triumfu wrzaski chłopaków uświadomiły im, co się tu wydarzyło. Huk był duży, ale nikomu nic się nie stało. I można by było całą tę chłopacką głupotę obrócić w żart, gdyby nagle nie zerwał się niemiecki oficer i rozwścieczony, nie smagnął patykiem najbliższego chłopaka. W tym samym momencie jeden z konwojentów puścił Niemcowi pod nogi długą serię z pepeszy.

- Na kogo rękę podniosłeś, faszystowska twoja morda? Polaków bić ci się zachciało?

- Może taki jak on mojego tatę na froncie zabił!

- Twojego ojca na froncie zabili?

- Zabili.

- Masz, chłopcze, rąbnij tego fryca!

Jeden z konwojentów, jasny blondynek, przygrywający przed chwilą dziewczynom na bałajce, wpychał Edkowi do rąk swoją pepeszę. Speszony chłopak z początku cofał się strachliwie, a potem odwrócił się i ile sił w nogach uciekł do wagonu...

W miarę posuwania się transportu ku zachodowi ślady wojny widać było wszędzie. Spalone wioski, ruiny miast, ludzie gnieźdzący się w ziemiankach.

Długo stali w Kijowie, a ściślej w Darnicy. Majka i Giczoł pamiętali, że w tej samej Darnicy mieli postój, kiedy ich w czterdziestym na Sybir wieziono. Teraz była już prawdziwa wiosna. W Kijowie, gdzie nie spojrzeć, kwitły białoróżowe kasztany, pachniały bzy. Ukraina! Jakże bliska sercu Podolan była sama nazwa tej krainy. I ten znajomy od dzieciństwa śpiewny ukraiński bałak...

Staszek bez celu łąził za Zdzišką po torach. Podobała mu się ta dziewczyna coraz bardziej i kiedy tylko mógł, szukał jej towarzystwa. Ona też go nie unikała. Ładnie jej było w pepitkowej sukience, z białą kokardą wplecioną w gruby warkocz pszenicznych włosów. Po drugiej stronie drogi, tuż przy torach, Staszek dojrzał kwitnący krzak białego bzu i pobiegł go dla niej narwać. Już przygiął gałąź z najładniejszą kiścią, kiedy zauważył, że bez krzewi się na cmentarzu. Speszył się, wypuścił gałąź.

- Cmentarz tu jakiś... Torami nadszedł stary kolejarz.

- Wy z tamtego transportu? - spytał.

- Z tamtego.

- To wy pewnie też Polacy... A na tym cmentarzu wasi żołnierze leżą. O, tam, nawet stąd ich mogiłki widać. Tam, gdzie te katolickie krzy-

że stoją... W czterdziestym czwartym roku, akurat w Wielkanoc to było, Niemcy nalot na Darnicę zrobili. Cała chmara samolotów nadleciała. A tu na stacji transportami, wojskiem, amunicją wszystkie tory wypełnione. Piekło na ziemi się rozpętało. A wasi żołnierze akurat tu przejazdem na front stali. Wojska przeciwlotnicze, tak się zdarzyło. Działka, karabiny maszynowe na kolejowych platformach mieli poustawiane i z tymi bombowcami bój podjęli. Wielu, wielu Polaków wtedy w Darnicy zginęło. No a potem pochowano ich właśnie na tym cmentarzu... Chodźcie, pokażę wam te mogiłki. - Naliczyli czterdzieści brzoźowych krzyży. Ale żadnego na nich napisu, żadnego nazwiska.

Jeszcze tu, w Kijowie, niektórzy mieli odrobinę nadziei, że stanie się jakiś cud i że skierują ich transport na Żytomierz, Szepietówkę i Tarnopol, w rodzinne podolskie strony. Ale cudu nie było i transport PT-2564 skierowano na linię Korosteń, Sarny, na Brześć.

Sarny to pierwsza większa stacja za przedwojenną polską granicą. Była piękna słoneczna niedziela. Ogłoszono, że transport postoi tutaj do wieczora. Odstawiono ich na bocznice. Niedaleko było do kościoła. Wierzył ktoś w Boga, nie wierzył, modlił się ktoś gorąco czy ledwie przeżegnać się potrafił, ale do pierwszego napotkanego na ich powrotnej drodze polskiego kościoła runął społem cały transport!

Zapach kadzideł, płomyki świec, umajony ołtarz, pierwsze takty organów, dzwonki ministrantów i stary ksiądz w srebrzystym ornacie wznoszący złocistą monstrancję. Grzmot opadających na kolana ludzi i jeden wielki głośny szloch. I ten modlitewny, dziękczynny śpiew po mszy:

***Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki Otaczał blaskiem potęgi i chwały... Przed twe ołtarze zanosim błaganie, Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie!***

Od Sarn niedaleko już do nowej polskiej granicy. Toteż każdy przebyty kilometr, każda godzina wprawiała ludzi z transportu PT-2564 w stan narastającego podniecenia, niecierpliwego oczeki-

wania na spotkanie z Polską. A tu jeszcze jeden postój, w Kowlu. Przez peron sąsiadowali z transportem Polaków, repatriowanych z Wołynia do Polski. Dla Sybiraków wszystko, o czym opowiadali im Wołyniacy, było nowiną, często trudną do uwierzenia:

- Wam to dobrze! Na Sybir was nie wywieźli, wojnę na swoim żeście przetrzymali, a teraz z całym dobytkiem na nowe jedziecie. A my tylko wszy do Polski wieziemy.

W transporcie wołyńskim porykiwały krowy, rżały konie, nawet kury gdakały. Wołyniacy smutno kiwali głowami, bo wiedzieli swoje:

- Nie macie znowu tak czego zazdrościć... To co z tego, że nas akurat Sowieci na Sybir wywieźć nie zdążyli? Czy wy wiecie, co się u nas na Wołyniu, a zresztą i na waszym Podolu, działo, kiedy Niemcy przyszli? Najpierw wszystkich Żydów co do nogi wybili albo do gazu posłali. A potem za Polaków się wzięli: łapanki na roboty do Niemiec, obozy koncentracyjne, egzekucje... A najgorsze, że Ukraińców takich różnych siczowców, upowców i bulbowców, na nas poszczuli: sąsiad sąsiada mordował. U nas na Wołyniu całe polskie wsie z dymem puszczali, rznąli Polaków kosami, rąbali siekierami, w studniach topili. Nie było „zmiłuj się” dla nikogo.

- Ludzie, bójcie się Boga, co wy wygadujecie! Przecież to niemożliwe, żeby tak człowiek na człowieka. A jak to się stało, że wy żyjecie?

- Cudem, cudem ocaleliśmy. Polacy chowali się po miastach, miasteczkach, w kryjówkach różnych. Polska partyzantka pomagała. Samoobronę organizowali. No i Sowieci weszli, wojna się skończyła. Bo gdyby tak, nie daj, Boże, ta wojna jeszcze z rok potrwała, na pewno byśmy się tutaj nie spotkali... Nie zazdroście nam, nie ma czego. Tak my teraz zamiast płakać, że nas z rodzinnego gniazda na tułaczkę wyganiają, cieszymy się, żeśmy z tego piekła głowę unieśli.

Ruszyli z Kowla w nocy. Rano byli w Brześciu, a stąd do granicy na Bugu rękę podać. Na stacji w Brześciu pierwsze widome polskie ślady manewrująca polska lokomotywa pogwizduje, a nie ryczy. To ona z Brześcia pociągnie transport do Polski. Polscy kolejarze w swoich charakterystycznych rogatywkach.



- Kiedy ruszamy, panowie?

- Jak się tylko wasi „opiekunowie” z formalnościami granicznymi uwiną.

Trudno wytrzymać. Zwłaszcza że radzieccy pogranicznicy zwartym kordonem transport otoczyli, żeby od tej chwili nikt nieuprawniony do niego się nie przeszwarcował. I wagon po wagonie dokładnie przeszukują, przeliczają ludzi według własnych spisów, sprawdzają dokumenty, wyjaśniają wątpliwości.

Skończyli! Co za ulga. Pierwszy i ostatni raz w powrotnej drodze w Sybiru trzasnęły wagonowe drzwi, zasunięte przez rosyjskiego żołnierza. Ludzie, żeby coś widzieć, dusili się z ciekawości w małych okienkach.

- Co tam widać, mówcie, mówcie!

- Rzeka jakaś...

- Do mostu podjeżdżamy.

- Sowieci zeskakują, chyba zaraz nasza granica! Pociąg wyraźnie zwolnił. Szarpnęli drzwiami na oścież.

- Słup graniczny, biało-czerwony...

- Tablica z orłem „Rzecz..., rzecz...

- Rzeczpospolita Polska!

- Żołnierz polski w rogatywce...

- Uśmiecha się, salutuje...

- Ludzie, to już przecież Polska!

- W Polsce jesteśmy!

- Nareszcie, nareszcie, Jezusie, Maryjo Święta!

- Polska!

- Polska... nasza kochana Polska...

We wszystkich wagonach zapadła niespodziewana cisza, przerywana tylko dumionym pochlipywaniem kobiet. W takiej zaskakującej ciszy ludzie z transportu; PT 8564 po latach syberyjskiego zesłania witali się z Ojczyzną.

Rzeszów, 1993-1997